



*Jan Karon*

**NA TEJ GÓRZE**

*Soli deo gloria*  
Bogu jednemu chwała

*Pan Zastępów przygotowuje  
dla wszystkich ludów na tej górze  
uczę z tłustego mięsa, uczę z wybornych win,  
z najpożywniejszego mięsa, z najwyborniejszych win.*

**Księga Izajasza 25, 6**

TLR

# Rozdział pierwszy

## RADOSNA NOWINA

I znowu krety!

Ojciec Tim Kavanagh stał na wejściowych schodach żółtego domu i z przerażeniem przyglądał się kopcom świeżej ziemi wyrzuconej na zmarzniętą marcową trawę.

Murawa upstrzona była małymi kraterami, które nadawały jej księżycowy wygląd; sieć usypanej ziemi pokrywała podwórko niczym kamienne murki widoczne z irlandzkiego wzgórza.

Spojrzał ponad drogą dojazdową na dom, w którym mieszkał jako pastor i który obecnie wynajmował jako jego właściciel, gdzie nieznośne gryzonie z gatunku *Talpidae* zabawiały się w dokładnie ten sam sposób. W istocie udało im się nieomal podkopać skromną tabliczkę Hélène Pringle, „Lekcje gry na pianinie. Wiadomość na miejscu”; przechylała się niebezpiecznie w prawą stronę.

Rok po roku próbował swych sił w stosowaniu różnego rodzaju środków na krety, ale te nicponie niezmieniły go przechytrzały; prawdę powiedziawszy, wyglądało na to, że znajdują przyjemność w zjawianiu się ponownie, i to w coraz większej liczbie.

Wszedł na podwórko i kopnął energicznie najbliższy kopiec. Przeklęte krety, a jego żona na dodatek chce, żeby łapał je do klatki i wywoził na wieś, gdzie będą mogły baraszkować na trawie pośród jaskrów i dzwonek.

A kto ma je łapać? Oczywiście, on sam!

Wszedł do swojej pracowni i zadzwonił do słynącego z żelaznych zapasów sklepu Hard to Beat Hardware w Wesley, wierząc od dziecka, że sklepy z artykułami żelaznymi w jakiś cudowny sposób mają gotową odpowiedź na większość najbardziej nurtujących życiowych problemów.

— Nornice! — wykrzyknął sprzedawca. — Większość ludzi ma kłopoty z nornikami, wydaje im się tylko, że to krety!

— Aha.

— Nornice zjadają korzenie roślin, gryzą cebulki. Czy pana rośliny cebulkowe kwitły w ostatnich kilku latach?

— O tak. Tak, kwitły.

Sprzedawca ze sklepu westchnął.

— Więc może to jednak krety. No cóż, przychodzą po robaki, wie pan, trzeba po prostu zabić robaki.

— Myślałem raczej o pozbyciu się kretów.

— Nie można już tego robić, prawo stanowe. Nawet rząd postanowił wspierać krety, po raz kolejny demonstrując, do czego sprowadza się jego rola w tym kraju.

— No to jak mogę się pozbyć robaków?

— Trucizna.

— Rozumiem.

— Oczywiście, niektórzy twierdzą, że nie należy jej stosować, jeśli się ma psy i koty. Ma pan psy albo koty?

— Mam.

Zadzwonił do Dory Pugh do sklepu z artykułami żelaznymi na Main Street.

— Wiatraczki — poradziła Dora. — Wie ojciec, te małe drewniane zabawki; ze śmigielkami, na patyku, takie jak robił kiedyś stary Mueller. Są pięknie pomalowane i tak dalej, zrobione na kaczkę, gęsi i co tylko człowiek sobie zamarzy. Gdy wieje wiatr, ich skrzydełka fruwać, to właśnie śmigielka, a ruch powoduje, że wzdłuż krecich tuneli rozchodzą się fale dźwiękowe i to sprawia, że uciekają. Ale trzeba umieścić dość dużo takich wiatraczków.

Nie sądził, żeby jego żonie spodobał się trawnik usiany wiatraczkami.

— Jest jeszcze coś, co działa na baterie i co wbija się w ziemię. Problem w tym, że musiałabym to specjalnie zamawiać, co trwałoby sześć tygodni, a do tej pory...

— ...same prawdopodobnie sobie pójda.

— Zgadza się — przyznała mu rację Dora, przyciskając ramieniem słuchawkę do lewego ucha i jednocześnie wsypując do worka ziarno kukurydzy.

Zadał to samo pytanie Percy'emu Mosely'owi, wieloletniemu właścicielowi baru Main Street Grill.

— Co można zrobić, żeby pozbyć się kretów? Percy uważał, że to głupie pytanie.

— Łapię je za ogon i odgryzam im głowy — rzekł.

W drodze na pocztę spotkał Gene'a Bolicka, który wychodził właśnie z Irish Woolen Shop, oferującego doroczną wyprzedaż wyrobów z wełny. Guz mózgu, którego nie można było operować ze względu na jego położenie blisko rdzenia mózgu, sprawiał, że Gene idąc, zataczał się. Widok tej przypadłości u starego przyjaciela i parafianina nie sprawiał ojcu Timowi przyjemności.

— Niech ojciec tylko spojrzy! — Gene uniósł do góry paczkę. — Kardigan zapinany na guziki ze skóry, z pięćdziesięcioprocentową zniżką i kolejne dwadzieścia procent za zakup w dniu dzisiejszym. Trzeba korzystać z okazji.

— Nie, dziękuję. Panie z Pracowitych Palców w Whitecap wydziergały mi kardigan, który przeżyje piramidy. Powiedz mi, przyjacielu... czy wiesz coś na temat pozbywania się kretów?

— Kretów? Mój tato zawsze krzyczał w ich dziury i uciekały gdzie pieprz rośnie.

— Co takiego krzyczał?

Gene odchrząknął, nachylił się w stronę prawego ucha ojca Tima i powtórzył krótką, ale siarczystą litanie.

— Na niebiosa! — wykrzyknął zapalony ogrodnik, rumieniąc się po cebulki włosów, które mu jeszcze pozostały.

Usłyszał szelest słuchawki przyciskanej do słusznych rozmiarów biustu sekretarki jego biskupa i stłumioną rozmowę. Pomyślał, że to wruszająco dziwne, iż jego rozmowa nie została przełączona na oczekiwanie i że nie ogłusza go muzyka, której wcale nie ma ochoty słuchać.

— Timothy! Wszelkiego błogosławieństwa na Wielkanoc!

— Wzajemnie, Stuarcie!

— Myślałem o tobie zaledwie dzisiaj rano.

— Z jakiego powodu? Jakaś czasowa posługa duszpasterska na rubieżach Mongolii?

— Nie, po prostu pomyślałem, że nie udało nam się spotkać na przyzwoitą pogawędkę już od wieków, na pewno nie od czasu, gdy wyjechałeś do Whitecap.

— Eon, dokładnie mówiąc. No, kilka lat, w każdym razie.

— Odwiedź mnie i zjedzmy razem lunch — zaproponował biskup, z nutą... z nutą czego? Melancholii? Nostalgii?

— Załatwione! — zawołał pełen entuzjazmu po wielkanocnych uroczystościach w ostatnią niedzielę. — Zamierzałem cię odwiedzić, jest coś, co chciałbym z tobą omówić. Będę pewnie miał klatkę kretów, które muszą zostać wywiezione na wieś. Będę mógł je uwolnić po drodze do ciebie.

— Klatkę... kretów.

— Tak.

Nie chciał wdawać się w szczegóły.

Ale nie był w stanie ich złapać. Wkładał do tuneli kij, z jutowym workiem w pogotowiu; krzyczał do ich jam, powtarzając to, co polecił mu Gene, chociaż ściszone głosem; gwizdał na swoim honorowym gwizdku trenera Mitford Reds; tupał z całych sił po ziemi.

— Poddaję się — oznajmił swojej żonie, szczękając zębami z zimna.

Zauważył błękitną smugę akwareli na jej policzku, pewien znak, że pracuje nad kolejną książką dla dzieci z Violet w roli głównej, prawdziwym kotem, który zazwyczaj rezydował na ich łódźce.

— Ale dopiero zacząłeś!

— Zacząłem? Zajmowałem się tym przez pełne pół godziny.

— Najwyżej dziesięć minut — zaoponowała Cynthia. — Przyglądałam ci się i muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam o pozbywaniu się kretów przez wznoszenie okrzyków do ich tuneli.

Ściągnął rękawice ze zmarzniętych dłoni i usiadł niezadowolony na kuchennym taborecie. Pies wyciągnął się u jego stóp i ziewnął.

— To znaczy, co takiego tam krzyczałeś? Nie miał zamiaru jej powiedzieć.

— Jeśli nadal chcesz, żeby zostały złapane i załadowane do klatki, ty zajmij się łapaniem i ładowaniem do klatki, a ja wywozę je na wieś. Sprawiedliwy podział pracy.

Miał już dość całej tej sprawy.

Cynthia spojrzała na niego gniewnie, jakby była jego nauczycielką z piątej klasy, a on krnąbrnym uczniem w ławce.

— Dlaczego nie dasz sobie z tym spokoju, Timothy? Niech sobie poszaleją!

Niech sobie poszaleją! Oto właśnie artystyczny temperament, którego ci brakuje.

— Ale niszczą murawę, nad którą pocilem się przez całe lata, murawę, o której marzyłaś, za którą tęskniłaś, której łaknęłaś, żebyś mogła po niej chodzić bosymi stopami — cytuję — „jak po bali zwiniętego aksamitu”.

— O, na litość boską, czy ja naprawdę mówiłam takie brednie?

Przewrócił oczami.

— Timothy, wiesz, że jeśli po prostu odwrócisz na chwilę wzrok, garby znikną, dziury się zapełnią i do maja albo czerwca murawa będzie jak nowa.

Miała oczywiście rację, ale nie o to chodzi.

— Kocham cię do szaleństwa — rzuciła radośnie, drepcząc korytarzem do swojej pracowni.

Nałożył strój do biegania z ochotą dziecka wydartego z łóżka w dniu, kiedy ma pisać sprawdzian, do którego się nie przygotowało.

Uprawianie sportu jest dobrym lekarstwem dla diabetyków, ale to nie znaczy, że on musi to lubić. Szczerze mówiąc, zastanawiał się, dlaczego bieganie już nie sprawia mu radości. Kiedyś bardzo je lubił.

— Góry i doliny — wyszeptał.

Zbliżał się czas jego badań, którym poddawał się co dwa lata, teraz zamierzał wejść do gabinetu Hoppy'ego Harpera w dobrej kondycji.

Dokładnie gdy dzwony Lord's Chapel wybijały południe, on szedł do baru Main Street Grill, gdzie w tylnym boksie miał odbyć się uroczysty lunch z okazji urodzin J.C. Hogana.

Wybiegając z Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, skręcił w lewo i zderzył się z kimś z całej siły.

Edith Mallory zatoczyła się do tyłu, z trudem odzyskując równowagę i obrzuciła go wzrokiem, który zmroził mu krew w żyłach.

— Edith! Bardzo cię przepraszam.

— Dlaczego nie patrzysz, gdzie idziesz?

Podciągnęła energicznie szeroki kołnierz ciemnego futra z norek, by jeszcze szczelniej otulał jej twarz.

— Duchowni — stwierdziła z wyraźną odrazą — są zawsze zatopieni w swoich wzniosłych myślach, nie-prawdaż?

Nie czekając na odpowiedź, przemknęła obok niego do księgarni, a dzwonek przy drzwiach zadzwonił za nią energicznie.

— Hm. Jej Wysokość Żmijowata przechodziła obok minutę temu — poinformował go Percy, wycierając stolik w tylnym boksie.

Ojciec Tim zauważył, że na jego ubraniu pozostał zapach jej perfum.

— Właśnie na nią wpadłem.

— Miałbym ochotę wpaść na nią... — zadeklarował właściciel baru Grill — tirem.

Jeśli był w miasteczku ktoś, kto nie lubił Edith Mallory bardziej niż Tim, to był to Percy Mosely, który kilka lat temu nieomal stracił swój biznes w wyniku pokretnych praktyk Edith, od której wynajmował lokal. To właśnie osoba duchowna, a mianowicie on sam, sprawiła, że jej nikczemne ambicje zostały zniweczone. Dlatego nie wydało mu się, żeby w miasteczku mógł być ktoś, kogo Edith Mallory nienawidziłaby bardziej niż Tima Kavanagha.

— Za każdym razem, gdy myślę, że już nigdy nie zobaczę tej wiedźmy na miotle, znowu się zjawia, jak bu-merang.

— Uspokój się, Percy, pamiętaj o swoim ciśnieniu...

— A Ed Coffey nadal wozi ją tym lincolnem, jak królową Anglii. Powinien się wstydzić, przyniósł hańbę całej rodzinie Coffeyów.

J.C. Hogan, wydawca „Muse” i stały bywalec baru Grill, cisnął swoją wypchaną teczkę na siedzenie w boksie i sam usiadł.

— Nigdy nie zgadniecie, o czym się mówi na Main Street. Percy spojrzał na niego gniewnie.

— Nie waż się wymówić jej imienia w moim barze.

— Joe Ivey i Fancy Skinner wypowiedzieli wojnę cenową.

J.C. wyciągnął dużą chusteczkę z kieszeni na biodrze i otarł twarz.

— Wojnę cenową? — nie rozumiał ojciec Tim.

— Idą łeb w łeb, można powiedzieć. Fancy kazała sobie wymalować i wystawiła u siebie w oknie na górze tabliczkę z napisem: „Strzyżenie 12 dolarów. Salon damsko-męski”. Zanim się obejrzała, Joe wystawił tabliczkę na dole: „Strzyżenie 11 dolarów”.

Zakład fryzjerski na jedno stanowisko Joe Iveya znajdował się w byłym magazynie, za kuchnią cukierni Sweet Stuff należącej do jego siostry. Jedyłą konkurencją w miasteczku był salon uniseks Fancy Skinner, O Stopień Wyżej, mieszczący się w wynajmowanym pomieszczeniu nad cukiernią. „Ironia poetycka”, tak określił całą sytuację jeden z klientów baru Grill.

— No więc Fancy obniża swoją cenę do dziesięciu dolarów i każe poprawić tabliczkę. Wtedy Joe obniża cenę, zmienia tabliczkę i daje mi do zamieszczenia ogłoszenie następującej treści: „Strzyżenie dziewięć pięćdziesiąt. Ciasteczko z kawałkami czekolady dla każdego klienta gratis”.

— Wojna na noże — ocenił Percy.

— Nie wiem, do czego to doprowadzi — stwierdził J.C. — ale jeśli chcecie się ostrzyć, to teraz jest odpowiedni moment.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Ojciec Tim był zdania, że najwyższy czas przejść do rzeczy.

— No właśnie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! — zawołał Percy. — Możesz być jednym z pierwszych, którzy zamawiają z mojego nowego menu.

Na twarzy J.C. pojawił się grymas.

— Byłem przyzwyczajony do starego menu.

— To mój ostatni rok z Velmą w tej dziurze, chciałem odejść w dobrym stylu.

Percy podszedł do lady i zabrał z niej trzy menu, na których farba drukarska nie zdążyła jeszcze dobrze wyschnąć, i podał je gościom. Uważał, że drukarnia w Wesley wpadła na doskonały sposób prezentacji graficznej dla tej partii — okładka przedstawiała motto baru Grill napisane zielonymi literami, które unosiły się, niczym para, nad kubka kawy: „Zjedz u nas raz, a będziesz wracał zawsze”.

— Gdzie jest Mule? — dopytywał się Percy.

— Nie mam pojęcia — odparł ojciec Tim. — Być może u fryzjera.

— Więc, ile masz lat? — chciał wiedzieć Percy. J.C. uśmiechnął się.

— Pomiędzy czternastym a piętnastym rokiem życia. Tak twierdzi Adela.

— Tu mi kaktus urośnie — zawołał Mule, wślizgując się do boksu. — Ma całe pięćdziesiąt sześć lat, wiem, bo widziałem jego prawo jazdy, jak wypisywał czek w Shoe Barn.

— No dobrze, zamawiajcie, i to szybko, Velma robi sobie trwałą u Fancy i brakuje mi rąk do pracy. Dla tego boksu stawiam dzisiaj wyjątkowo kawę.

— Nie chcę kawy — nie zgodził się Mule. — Miałem ochotę na słodką mrożoną herbatę.

— Kawa gratis a herbata to zupełnie inna sprawa. J.C. otworzył swoje menu z ponurą miną.

— Jest błąd w słowie „ziemniaków”! — obwieścił.

— W którym miejscu? — zainteresował się Percy.

— Tutaj, w daniu „croissant z tuńczykiem i frytkami z ziemniaków”. „Ziemniaków” pisze się przez „n”.

— Od kiedy?

— Od zawsze.

I kto to mówi, pomyślał ojciec Tim.

- Niech mnie licho — zawołał Mule. — Sałatka taco! Czy w tym miasteczku można podawać sałatkę taco?  
— Sałatka taco — mruknął pod nosem Percy, zapisując zamówienie w notesie.  
— Chwileczkę, nie powiedziałem, że chcę sałatkę taco, zastanawiałem się tylko.  
— Nie mam czasu na zastanawianie się — oznajmił Percy. — Za chwilę zjawi się tu chmara klientów na

lunch.

Ojciec Tim zauważył, że twarz Percy'ego robi się czerwona jak burak. Ciśnienie, stres związany z nowym menu...

- Co to jest sałatka taco? — usiłował dowiedzieć się Mule.

Wydawca „Muse” podniósł z niedowierzaniem wzrok.

- A gdzie ty się uchowałeś? Sałatka taco to sałatka w taco, na litość boską.  
— Wcale nie — nie zgodził się Percy. — To sałatka w misce, posypana frytkami taco.

Mule opadł na oparcie siedzenia, wyglądając na przygnębionego.

— Wezmę to, co brałem zawsze, zanim wprowadziłeś nowe menu, grillowany ser pimiento na białym chlebie, bez majonezu.

— Czy widzisz gdziekolwiek w tym menu ser pimiento? W tym menu nie marny sera pimiento i nie zamierzamy go sprowadzać, i koniec.

Właściciel oddalił się dumnym krokiem, wyglądając na zdegustowanego.

- Wyprowadziłeś go z równowagi — podsumował J.C., ocierając twarz chusteczką.

— Jak można związać koniec z końcem, nie oferując sera pimiento w tym menu? — nie mógł się nadziwić Mule.

— Jeśli nie masz ochoty biec do kafeterii i siedzieć z kobietami, nie ma żadnego innego miejsca w tym mieście, żeby zjeść lunch... — J.C. dotknął palcem menu — więc lepiej coś stąd wybierz. A może burger rybny? Patrz, „120 gramów panierowanego, smażonego na głębokim tłuszczu fileta z dorsza, na bułce z grilla z sałatą, pomidorami i sosem tatarskim”.

- Nie lubię sosu tatarskiego.

Ojcu Timowi wydawało się, że zaraz osunie się na podłogę i rozłoży się jak długi.

- Ja biorę sałatkę szefa kuchni! — obwieścił, mając nadzieję, że inni pójdą za jego przykładem.

Mule spojrzał na niego z ulgą.

- Dobrze, ja też. Zabębnił palcami po stole.

— Z drugiej strony, nigdy nie wiadomo, co jest w sałatce szefa kuchni, w przypadku tego szefa.

— Ja poproszę zapiekankę z tuńczykiem — zdecydował się J.C. — i burgera rybnego z ziemniakami w mundurkach!

- Bardzo proszę — zaoferował Mule. — Weź sobie to, na co masz ochotę, my stawiamy.

Spojrzał uważnie na menu.

- Chilli udekorowane frytkami z tortilli i serem — to może być dobre.

— Oto nadchodzi, zdecyduj się — rzucił ostro J.C.

— Ja wezmę chilli — stwierdził Mule, unikając kontaktu wzrokowego z Percym. — Ale tylko, jeśli podają je bez fasoli.

Percy spojrzał na niego z dezaprobatą.



— Jak można jeść chili bez fasoli? To jak cheeseburger bez sera.

— Zgadza się — popart go J.C. — Albo kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem bez bekonu.

Ojciec Tim zamknął oczy, jakby się modlił, czując, jak gwałtownie spada mu poziom cukru.

*I co porabiasz tymi czasami?*

Było to zdawkowe i ogólnie rzecz biorąc niegroźne pytanie, dokładnie takie, jakiego mógł się spodziewać każdy człowiek na emeryturze. Ale on go nie cierpiał. A teraz, tuż po tym jak zaledwie wczoraj zadał mu takie samo pytanie były parafianin...

— Więc co, u licha, robisz całymi dniami?

Mule wyszedł, żeby pokazać dom, J.C. wspiął się na górę, żeby pracować nad poniedziałkową rozkładówką, a Percy stał przy tylnym boksie, przyglądając mu się, jakby był motylem na szpilce.

Po nieomal czterech latach na emeryturze dlaczego nie przygotował sobie gładkiej odpowiedzi? Zazwyczaj odpowiadał, że przyjmuje zastępstwa w różnych kościołach, co oczywiście było prawdą, ale brzmiało nieprzekonująco. W istocie, kiedyś powiedział bez zastanowienia: „Ach, nic takiego”. Gdy usłyszał takie niedorzeczne słowa z własnych ust, poczuł się bardzo zawstydzony.

Według niego, Bóg nie sprowadza nikogo na ziemię, żeby ten ktoś robił „nic takiego”. Dlatego tuż po jego czasowej posłudze w Whitecap poświęcił niezliczone godziny Szpitalowi Dziecięcemu w Wesley, który zajmował u niego drugie miejsce, tuż po kościele, jako jego ulubiona organizacja charytatywna. Zgodził się nawet zrobić coś, czego szczerze nienawidził: zbierać fundusze. Ku jego zdziwieniu udało mu się w istocie zgromadzić pewną sumę.

Pracował też nad trawnikiem przy swoim domu.

Ludzie przejeżdżający obok zaczęli zwalniać, żeby się przyjrzeć. Od czasu do czasu zupełnie obca osoba zatrzymywała się samochodem przy chodniku i pytała, czy może zrobić zdjęcie.

W czasie drugiego roku pomagał nowemu burmistrzowi, Andrew Gregory'emu, i zastępował księży w Wesley, Holding, Charlotte, Asheville, Morganton, Johnson City i — przez kilka miesięcy — w Hickory. Jakoś zupełnie mu to wystarczało. Prawie.

Cały czas miał wrażenie, że coś nie daje mu spokoju, nie potrafił jednak powiedzieć co. Być może było to jedynie, ni mniej, ni więcej, jego męskie ego, które domagało się odpowiednio bogatej stawy; w każdym razie odczuwał pewien niepokój, czuł się, jakby nie dość dobry i jakby już nie umiał radzić sobie z życiem.

Jego żona zaproponowała, żeby pojechali do Dordogne, albo nawet do Afryki, i próbował nawet zachwycić się perspektywą podróży do odległych miejsc, ale nie potrafił.

Koniec końców po co się oszukiwać? Kościół! Tego właśnie potrzebował, Tęsknił za swoją własną trzódką, której dostarczałyby stawy, której by doglądał. Czasami tęsknił nawet za napisaniem na maszynie biuletynu kościelnego, chociaż nigdy nie przyznałby się nikomu do takiej osobliwości.

A tak w ogóle dlaczego przeszedł na emeryturę? Mógł zostać i pracować w Lord's Chapel do końca świata. Gdy wreszcie udało mu się zerwać tę przyjemną więź, nie mógł się doczekać wolności i przygody. Mimo to teraz zastanawiał się, co też takiego mu się wydawało.

Kiedyś, zimą, przyszła mu do głowy myśl, o której nie mógł zapomnieć, coś, w sprawie czego od tamtej chwili razem z Cynthią szukali boskiej mądrości. Nie wiedząc dokładnie, jakie podjąć działania w sprawie takiego pomysłu, postanowił omówić to ze Stuartem. To pomoże rozwiązać tę sprawę.

Tymczasem zaczął robić to, co każdy szanujący się duchowny na emeryturze powinien zrobić: pisał książkę, a mianowicie tom esejów, który zaczął w pierwszy dzień nowego roku.

Jedyny problem polegał na tym, że nie mógł nikomu o tym powiedzieć.

Percy nachylił się do wnętrza boksu i spojrzał na niego spod przymrużonych powiek, marszcząc czoło. Ojciec Tim nieomal czuł jego gorący oddech.

— Więc leżysz w łóżku przez cały ranek czy co?

Percy nie miałby pojęcia, co to esej, dlatego Tim nieomal bezwiednie zaczął wyliczać listę zajęć tak niekończące się, że Percy ziewnął mu prosto w twarz. Potem żałował, że nie zrezygnował w tej części, w której mówił o usuwaniu nalotu ze starych butów i układaniu skarpetek kolorami. Wydawało mu się również, że jego wyznanie o gotowaniu i zmywaniu nieomal codziennie było lekko przesadzone — szczerze mówiąc, z pewnością dostarczył temat do plotek na całej Main Street.

Inna kwestia, która go trapiła, to męczące podejrzenie, że pisanie esejów jest egocentrycznym i mało szlachetnym zajęciem. Z tego powodu rozważał zmianę planów w połowie zadania i rozpoczęcie pisania pamiętników.

Czyż pisanie pamiętników w dzisiejszych czasach nie cieszy się pewnym prestiżem? W niektórych kręgach jest prawdziwym przebojem. Nie mógł sobie jednak wyobrazić, że powie komuś, iż pisze pamiętniki. Pisanie o własnym życiu niosło ze sobą założenie, że ma się życie, o którym warto pisać. I oczywiście, miał takie, ale dopiero odkąd poślubił swoją sąsiadkę, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Tak, to nadawało się na pamiętniki.

Ale nie, nie był człowiekiem stworzonym do pisania pamiętników; jak się nad tym zastanowić, był człowiekiem stworzonym do pisania esejów. Pragnął, nieomal jak dziecko, odsłonić przed kimś swoje sekrety; udało mu się przecież napisać już ponad dziewięćdziesiąt stron i bardzo podobał mu się rozmach, którego nabral.

Gdy następnego dnia rano Mule nie zjawił się na śniadaniu z powodu testu na bieżni w szpitalu, ojciec Tim pod wpływem impulsu postanowił wyjawić tę osobistą ciekawostkę J.C. Hoganowi, którego bliskość literackiemu światu z pewnością nie znajdzie rywali za jego życia w Mitford.

— Co takiego? — zawołał J.C., osłaniając dłonią ucho, jakby go źle zrozumiał.

— Eseje! — powtórzył, czując się nagle jak zupełny idiota. — Pracuję nad... tomem esejów.

Wydawca „Muse” z wyrazem twarzy nie zdradzającym zainteresowania nabijał na widelec parówkę.

— Przeczytałem kilka esejów — zadeklarował, wsuwając do ust parówkę, a następnie połowę posmarowanej masłem bułki. — Zy synesyne setone. Zy tysycne.

Ojciec Tim westchnął.

— Można i tak na to spojrzeć.

— Więc — zmienił temat J.C. — jak myślisz, kogo zainstaluje tutaj Edith Mallory, gdy Percy przejdzie na emeryturę?

— Bóg raczy wiedzieć. Można się tylko domyślać.

— Mnie by odpowiadała naprawa obuwia — zastanawiał się J.C., wydłubując z pojemniczka resztkę dżemu z winogron. — Albo pralnia chemiczna. Mam już dość jeżdżenia do Wesley, żeby ktoś wyprasował mi spodnie.

— Nie musiałbyś dawać ich do prasowania, gdybyś przestał je wieszać na podłodze — poradził Percy.

Percy odwiedził kiedyś kawalerskie mieszkanie wydawcy, zanim ten poślubił Adele, i przeżył szok.

Bez względu na to, jak bardzo się starał, ojciec Tim nie potrafił sobie wyobrazić, jak będzie spotykał się z J.C. i Mule'em w kafeterii. To po prostu nie będzie to samo. Poza tym Percy oświadczył, że żadną siłą nie da się

zaciągnąć do lokalu, którego ściany oklejone są tapetą w lawendowe niezapominajki, z koronkowymi firankami w takim samym kolorze.

— Percy! — krzyknął J.C. w stronę grilla. — Jak myślisz, kogo sprowadzi tutaj Godzilla, gdy ty przejdziesz na emeryturę?

Percy spojrział na nich z niesmakiem.

— Sklep zoologiczny, tak mówił Ron Malcolm.

Sama myśl o zapachu, który wydobywałby się z takiego miejsca na Main Street, sprawiała, że miało się ochotę zwymiotować.

— Niemożliwe! — nie zgodził się J.C. — Ludzie w Mitford nie kupują swoich zwierzątek w sklepie zoologicznym. Czekają, aż znajdą coś na wycieracze. Prawda? — zwrócił się do ojca Tima, który sam wiedział najlepiej.

— „Pan częścią dziedzictwa i kielicha mego... — recytował jednym głosem z członkami kongregacji St. Paul's w Wesley. — To właśnie Ty mój los zabezpieczasz. Sznur mierniczy wyznaczył mi dział wspaniały i bardzo mi jest miłe to moje dziedzictwo. Błogosławię Pana, który dał mi rozsądek, bo nawet nocami upomina mnie serce. Stawiam sobie zawsze Pana przed oczy, nic mnie nie zachwieje, bo On jest po mojej prawicy”.

Cynthia otoczyła go w pasie ramieniem, gdy tak czytali ze wspólnego psalterza.

— „Dlatego się cieszy moje serce, dusza się raduje, a ciało moje będzie spoczywać bezpiecznie, bo nie pozostawisz duszy mojej w Szeolu i nie dozwolisz, by wierny Tobie doznał skażenia”.

— „Ukażesz mi ścieżkę życia, pełnię radości u Ciebie, rozkosze na wieki po Twojej prawicy”.

Czuł, jak jego serce zalewa fala ciepła, pod wpływem znajomych słów, słów, których nauczył się na pamięć — kiedy? jakdawno temu? Miał wtedy dziesięć lat, może dwanaście?

Spojrzał na swoją żonę i ogarnęło go ogromne uczucie czułości. Chłopiec, który recytował te słowa przed onieśmiałą klasą w szkole niedzielnej w Holly Springs w Missisipi — jaki to cud, że stoi teraz w tym miejscu w Wesley w Karolinie Północnej, ponad pół wieku później, czując ramię swojej żony, którym otacza go w pasie, przepełniony radością, co do której nie wiedział nawet, że istnieje.

Stuart Cullen nie przypominał czcigodnego i cieszącego się ogólnym szacunkiem biskupa. W istocie, w wieku siedemdziesięciu jeden lat wyglądał jak człowiek, który właśnie wrócił po grze w piłkę na podwórku za domem.

Ojciec Tim odczuwał dziwną dumę, że jego biskup i najlepszy przyjaciel z seminarium wygląda młodo i jest zupełnie pozbawiony wyniosłości; był to widok, który sprawiał, że miało się ochotę wypiąć dumnie pierś, wciągnąć brzuch i wejść energicznym krokiem do pokoju. Stuart spojrział znad antycznego orzechowego biurka i uśmiechnął się.

— Mój przyjacielu! — wykrzyknął.

Spotkali się na środku pokoju i objęli, biskup szczęśliwy ze spotkania ze swoim ulubionym księdzem i ksiądz zadowolony, że nigdy nie miał ambicji, aby wspiąć się na szczyt, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że właśnie tam zbiera się śmietanka w dzbanku. Prawdę powiedziawszy, był zadowolony, że ktoś inny był gotów wziąć na swoje ramiona przytłaczający ciężar życia na wyższych szczeblach hierarchii kościelnej i zostawić go w spokoju.

— Wyglądasz wspaniale! — zawołał ojciec Tim jak najbardziej szczerze.

— I staro — dodał Stuart.

— Staro? Co to znaczy staro? Starość to kwestia... Stuart zachichotał.

— Ależ, Timothy, nie praw mi kazań. Usiądź.

Usiadł, zauważając z rozbawieniem, że są ze Stuartem ubrani nieomal identycznie, w spodnie khaki, sportową koszulę i koloratkę.

— Jak dwa ziarnka w korcu maku — rzekł, wskazując na ich strój.

— Tyle że ty nie jesteś stary, Timothy.

— O co chodzi z tym byciem starym? Stawy mi trzeszczą jak nienaoliwione zawiasy w stodole.

— Zawsze podobała mi się twoja rustykalna metaforyka — zauważył Stuart.

— Za dużo Wordswortha w młodym wieku — wyjaśnił ojciec Tim.

— A skoro mowa o kwestiach rustykalnych, czy wypuściłeś swoje krety gdzieś po drodze?

— Nieudana misja — przyznał. — Nie udało nam się złapać ani jednego, więc nie było co wypuszczać.

— Nie cierpię kretów. A może to nornice? A poza tym co za różnica?

— To nic ciekawego — odparł ojciec Tim. — A teraz powiedz mi, co słyhać. Wyglądasz zagadkowo. A może to wygląd filozoficzny?

Stuart siedział na skórzanym fotelu z wysokim oparciem, naprzeciwko swojego emerytowanego księdza i spoglądał przez okno na ogród, który pielęgnowała jego żona i przy którym on czasami usiłował jej pomagać. Różowy dereń, który dopiero co zakwitł, drżał na porywistym wietrze. Biskup skierował wzrok na gościa.

— Chcę wybudować katedrę.

— Ach.

Ojciec Tim zastanawiał się przez chwilę nad tym zaskakującym oświadczeniem.

— Budowa katedr to nie jest zajęcie dla osób w podeszłym wieku.

— Myślenie o tym sprawiło, że musiałem zmierzyć się ze swoją śmiertelnością; boli mnie, że mogę nie dożyć chwili jej ukończenia. Prawdę mówiąc, zważywszy na fundusze, jakie będziemy musieli pozyskać, i czas, jaki będzie potrzebny, żeby je pozyskać, może mnie już nie być na ceremonii wmurowania kamienia węgielnego, co dopiero na poświęceniu. Nie zamierzamy pożyczyć ani centa, rozumiesz.

— W takim razie rzeczywiście do tego czasu może nas już nie być na tym świecie.

— Za jedenaście miesięcy będę miał siedemdziesiąt dwa lata, kiedy to — jak wiesz — przepędzą mnie z obecnie piastowanej funkcji. Zawsze żałowałem, że mamy taką surową politykę w kwestii wieku emerytalnego. W całym swoim życiu nie czułem się lepiej. Dlaczego mam być zmuszony do przejścia na emeryturę w wieku siedemdziesięciu dwóch lat?

— Nie mam pojęcia — odparł ojciec Tim.

— W każdym razie zaczynam prace nad katedrą bardzo późno!

— Przepraszam za komunał, ale nigdy nie jest za późno.

— Zastanawiam się też, czy ten pomysł nie jest jedynie egoistycznym dążeniem do nieśmiertelności, jakąś... demonstracją cielesności.

Rozmyślali nad tym przez chwilę w ciszy. Zegar na półce nad kominkiem tykał.

— Czy myślisz — zapytał ojciec Tim — że pragnienie nieśmiertelności było siłą sprawczą powstania *Dawida* Michała Anioła czy *Mony Lizy* da Vinci?

Biskup założył nogę na nogę i zdawał się wpatrywać w czubek swojego buta.

— Czy, powiedzmy, *Mesjasza* Haendla?

— Nie udaję, że wiem, co popycha do działania nas, ludzi. Są dni, kiedy wydaje się, że wszystko, co robimy, robimy z niewysłowienie egoistycznych pobudek, potem przychodzą dni na szczycie góry, gdy znowu dociera do nas elektryzująca prawda, a mianowicie, że gorliwie dążymy do tego, żeby robić to wszystko na chwałę Boga.

— Co powiedział ci w tej sprawie Bóg?

— Dość dużo. Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że to jest całkowicie jego pomysł. Jestem dość mądry, przypuszczam, ale nie dość mądry, żeby wymyślić... wszystkie szczegóły tego pomysłu. Muszę wyznać, że gdy to wszystko do mnie dotarło, płakałem.

— W takim razie to nie ma nic wspólnego z chęcią ujżenia swojego imienia wrytego nad drzwiami? St. Stuart's on the Hill?

Stuart roześmiał się. Och, jak ojciec Tim lubił słyszeć śmiech swojego biskupa!

Sekretarka Stuarta otworzyła drzwi i wsunęła do środka głowę.

— Wychodzę na lunch. Mam nadzieję, że niczego wam nie brakuje.

— Jedynie odrobiny pokory, przyprawionej cierpliwością i wytrwałością — odparł biskup.

— Na chlebie pełnoziarnistym czy żytnim? — zapytała sekretarka, zamykając drzwi.

— Niektórzy z nas — kontynuował Stuart — są zainteresowani rozpoczynaniem takich dzieł, których owocami będą się mogli cieszyć, ale ja zawsze wybiegałem poza czas obecny, poza dzień dzisiejszy, skłonność, która jest zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

— Niebuhr o tym mówił — zauważył ojciec Tim.

— Rzeczywiście. Powiedział: „Nic, co jest warte zrobienia, nie może zostać osiągnięte w trakcie naszego życia; dlatego musi nas zbawić nadzieja. Nic, co jest prawdziwe albo piękne, albo dobre, nie ma sensu w żadnym bezpośrednim kontekście historycznym; dlatego musi nas zbawić wiara”.

— „Nic, co robimy, bez względu na to, jak jest to szlachetne — zacytował ojciec Tim — nie może zostać osiągnięte w pojedynkę; dlatego musi nas zbawić miłość”.

Stuart pochylił się lekko na fotelu.

— Mam wrogów, wiesz o tym.

Ojciec Tim tego nie przyznał, ale oczywiście wiedział, że tak jest.

— Jak wiesz, znajdujemy się w najbiedniejszej z południowo-wschodnich diecezji. Do tej pory pomysł budowy katedry był zdecydowanie odrzucany jako ekstrawagancki, egoistyczny i będący rażącym marnotrawstwem pieniędzy, które mogłyby zostać wykorzystane do wyższych celów.

— A to jedynie na początek, jestem pewien.

— Diecezja funkcjonuje w kulturze, w której katedra trąci europejską dekadencją, mimo że baptyści na drugim końcu ulicy właśnie zbudowali kościół na dwa tysiące osób i nikt się nawet nad tym nie zastanawiał, w ogóle.

— Gdzie zostanie zbudowana ta katedra? — zapytał ojciec Tim, pragnąc widzieć pozytywy.

Stuart podniósł się z fotela, uśmiechając się, i zapiął marynarkę.

— Chodź. Pokażę ci po drodze na lunch.

— To pastwisko, Stuart!

Był pewien, że właśnie w coś wdepnął.

— Ach, Timothy, otwórz oczy! Pastwisko, tak, ale takie, które opada łagodnie i ukazuje wspaniały widok na miasto! Patrz, gdzie stoimy, na litość boską! To domostwo aniołów!

Wiatr porywał ich słowa; ich płaszcze wydymały się i łopotały jak żagle.

— ...transept — krzyknął Stuart, wskazując na grzbiet wzgórza — ...zbudowany na planie krzyża! — krzyża! machając rozłożonymi ramionami.

Mimo że zrozumienie tego, co mówił Stuart, było nieomal niemożliwe, wyraz twarzy biskupa mówił sam za siebie; był rozpromieniony jak młodzieniec, którego ojciec Tim pamiętał sprzed wielu lat w seminarium.

Pośpieszyli do samochodu, smagani chłodnym wiatrem, który wiał im w plecy.

— A oto szczegóły — kontynuował Stuart, zapominając o włożeniu kluczyka do stacyjki. — Wybudujemy katedrę z drewnianych bali.

— Drewnianych bali.

— Tak! Szlachetny materiał prosto z naszych górskich lasów, z wiązarami z południowej sosny, dach z ręcznie obrabianych belek, dębowe ławki zrobione przez miejscowych rzemieślników... Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mnie to fascynuje, Timothy! A na dodatek...

Oczy biskupa błyszczały.

— A na dodatek takie materiały są wyjątkowo ekonomiczne cenowo!

— Aha.

— Wydaje się, że będziemy to mogli zrobić za sześć milionów — poinformował go Stuart. — Marne grosze, zważywszy na wszystko. W końcu będziemy mieć to, czego potrzebowaliśmy od wielu lat — wspólne miejsce spotkań dla naszej rozproszonej diecezji, centrum edukacji, a pewnego dnia, ufam, wspaniałą szkołę chóralną.

Biskup uruchomił samochód i zaczęli zjeżdżać w dół wzgórza ulicą porośniętą po obydwu stronach drzewami.

— Módl się za mnie, żeby się udało — rzucił cicho.

— Modlę się za ciebie, przyjacielu, od ponad czterdziestu lat.

— Nie przestawaj teraz. Wiesz, oczywiście, że i ja modlę się wiernie za ciebie i zawsze będę.

— Tak — odparł ojciec Tim. — I jestem za to wdzięczny.

— Mówiłem jednak zbyt wiele o tym, co dla mnie ważne. Wybacz mi, Timothy. Powiedz, co cię dzisiaj do mnie sprowadziło, co ci leży na sercu.

Po rozmowie na temat wspianiałej katedry trudno było przejść do równie interesujących tematów, ale odpowiedź na pytanie padła nieomal natychmiast.

— Wyjazd na misję.

Na twarzy Stuarta pojawił się wyraźny grymas rozczarowania.

— Nie masz dość obowiązków, emerytura, ogółem rzecz biorąc, daje ci zbyt wiele czasu na rozmyślanie.

— Nie mów do mnie z góry, Stuart.

On nie zlekceważył marzenia Stuarta i nie spodobała mu się próba potraktowania w taki sposób jego własnych snów.

— Masz rację, oczywiście.

— To dla mnie ważne, i dla Cynthii. Poza tym nakaz mówi, żeby iść i głosić słowo Pana, nie siedzieć w domu i zamieniać się w skamielinę.

— Zareagowałem w ten sposób, ponieważ jesteś diabetykiem. Nie musisz potykać się w ciemnościach na jakiejś odległej placówce, bez pomocy medycznej.

— Biorę dwa zastrzyki insuliny dziennie, dokładnie monitoruję poziom cukru, jem w regularnych odstępach czasu, ćwiczę dwa razy w tygodniu — to nic wielkiego. Prawdę powiedziawszy, mój lekarz nie zgodziłby się na odległą placówkę; nie pojedziemy daleko od domu.

— Jakieś sugestie?

— Gdzieś w Appalachach — odparł. — To stamtąd pochodzi Dooley Barlowe i Lace Harper.

— Kim jest Lace Harper?

— To wyjątkowa młoda dama, która jest adoptowaną córką mojego lekarza i jego żony, jesienią wyjeżdża na pierwszy rok do college'u. Nie tak dawno mieszkała w norze pod swoim domem.

— Dlaczego?

— Żeby uciec przed swoim pijanym ojcem, który bił ją do utraty przytomności.

— Dobry Boże.

— Do czasu, gdy wzięli ją do siebie Harperowie, była nieomal zupełnym samoukiem, dzięki objazdowej bibliotece w naszym okręgu. Teraz jest jedną z najlepszych uczennic, jakie kiedykolwiek uczęszczały do naszej prywatnej szkoły. Bardzo lubimy Lace, żywimy nadzieję, że może pewnego dnia ona i Dooley... no cóż, rozumiesz.

— Rozumiem. A twój chłopiec, Dooley, wszystko u niego w porządku?

— Został przyjęty na University of Georgia, gdzie będzie studiował weterynarię. Jeśli sobie przypominasz, Dooley jest synem ojca z marginesu, którego prawie w ogóle nie znał, i byłej alkoholiczki, która rozdała swoje dzieci. Od pewnego czasu w życiu Pauline zagościł Chrystus i poślubiła też wierzącego mężczyznę; zmiana, która się dokonała, jest cudowna. Chodzi mi o to, że widziałem na własne oczy, jak wiele może zdziałać w życiu dzieci takich jak Dooley i Lace nowa szansa, miłość innych. Prawdę powiedziawszy, to zmienia wszystko!

Stuart zahamował, czekając, aż będzie mógł skrócić w lewo i spojrzał na swojego starego przyjaciela.

— Angielski misjonarz powiedział: „Niektórzy chcą mieszkać tak blisko kościoła, żeby słyszeć bicie jego dzwonów; ja chcę otworzyć schronisko u wrót piekła”. Masz moje błogosławieństwo.

Ze wszystkich jego duchownych Timothy Kavanagh był tym, na którym mógł całkowicie polegać, tym, który nigdy nie zachwiał się w swojej teologii i którego przyjaźń miała prawdziwą wartość.

— Będę potrzebował twojej pomocy, Stuart, twojej rady na temat posługi duszpasterskiej, którą mamy rozważyć.

Biskup wjechał na parking przy restauracji i wyłączył zapłon. Spojrzał na ojca Tima i skinął głową na znak zgody.

— Na to również możesz liczyć — obiecał.

# Rozdział drugi

## MIESZANE BŁOGOSŁAWIENSTWA

*Nieśmiałe zaloty Pani Wiosny — nie tak zabawne*

AUTORSTWA HESSIE MAYHEW

Przez trzy dni w połowie lutego Pani Wiosna obchodziła się tak łaskawie z naszymi zimowymi nastrojami, zsyłając nam balsamiczne zefiry, że daliśmy się jej zupełnie oszukać. Jakże szybko zapominamy, z roku na rok, jak sromotnie ta frywolna i niepoprawna dama z nas szydzi.

Nasze linie elektryczne zerwane przez burze śnieżne w marcu! Nasze dachy uginające się pod ciężarem śniegu w kwietniu! Nasze bzy smagane ostrymi wiatrami w May Day\*. Przerażeniem napawa nas myśl, co może przynieść czerwiec, drogi czerwiec, który kiedyś dawał nam róże i klematis!

\* May Day — 1 maja, święto wiosny.

Na południowych stokach góry, gdzie pigwowiec już dawno temu zrzucił swe purpurowe płatki, my, niefortunne sieroty, jakimi jesteśmy, musimy szukać pocieszenia w zdobieniu naszych domów gałązkami wyschniętego głogu!

Bez względu na to, jak bardzo moje serce łaknie wiosennego korowodu Pani Wiosny, posłuchajcie, usilnie was proszę, rady, która bez względu na to, co przydarzy się nam w tym ziemskim życiu, nigdy, ale to przenigdy was nie zawiedzie:

**NIE SADŹCIE PRZED 15 MAJA!**

Doroczny wiosenny niepokój Hessie Mayhew...

Westchnął i upuścił gazetę na podłogę.

Kiedyś udawało mu się przebrnąć przez „Mitford Muse” w dwadzieścia, trzydzieści minut. Spoglądając na zegarek, odkrył z przerażeniem, że właśnie spędził nad gazetą półtorej godziny, tak zaabsorbowany, jakby to była „Chicago Tribune”.

Przełądnał nawet ogłoszenia drobne, co robił niezwykle rzadko, zauważając ze zdziwieniem, że szczere zainteresowanie wzbudziła w nim orzechowa komoda do nabycia na wyprzedazy w Wesley.

Emerytura. To prawdziwy winowajca.

Chwycił najnowszy „Anglican Digest” leżący na stole przy fotelu i począł go zapamiętale studiować.

— Poczta! — zawołała jego żona, której nic bardziej nie cieszyło niż dostawa poczty wrzucanej przez otwór w drzwiach wejściowych.

I któż nie byłby zachwycony? Nie było nieomal dnia, żeby wierni czytelnicy nie wyrażali podziwu dla jej talentu, piękna, dowcipu, inteligencji i ogólnego pożytku dla ludzkości.

Usiadła obok niego na sofie i zajęła się sortowaniem.



— List od czytelnika, list od czytelnika, list od czytelnika, rachunek... rachunek, rachunek, list od czytelnika, reklama, rachunek... — Zauważył, że rachunki układa na jego kolanach, nie na własnych. — Reklama, reklama, list od czytelnika, rachunek...

— Szast pac, szast pac — powiedział. Przestała sortować i otworzyła kopertę.

— Ach, cudownie, to nie jest list od czytelnika, to od Marion!

Marion była ich dobrą i wierną przyjaciółką z czasów ich posługi duszpasterskiej na Whitecap Island; długie i pełne nowin listy Marion zawsze sprawiały mu ogromną przyjemność.

— Ojej!

Wybuchnęła śmiechem.

— Co? — zapytał.

— Ptak Elli Bridgewater, Louise... pamiętasz tego kanarka, który śpiewał dla ciebie serenady? No cóż, to wcale nie jest Louise, to Louis! Marion nie ma zielonego pojęcia, jak Ella odkryła ten zaskakujący fakt, ale to temat numer jeden w St. John's.

— Aha.

— Marion już wkrótce będzie osiągalna online i chce nasz adres e-mailowy.

— Świat się kończy.

— I razem z Samem przesyła pozdrowienia.

— To wszystko? Louise jest Louisem i przesyłają pozdrowienia?

— To wszystko, najdroższy, to tylko krótki liścik.

— Ach — westchnął rozczarowany.

Jego żona przeszła szybko do innych spraw, używając nożyka do otwierania korespondencji, aby przeciąć białą kopertę.

— Wielkie nieba — szepnęła, czytając. — No cóż... Przez chwilę wydawała się lekko zasmucona, potem spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Co się stało?

— Poproszono mnie, abym wzięła udział w tournée po kraju razem z czterema innymi autorami i ilustratorami książek dla dzieci.

— Tournée po kraju?

Sama myśl zmroziła mu krew w żyłach. Przypomniał sobie jej wyjazd do Lansing, gdzie miała czytać książki w szkole. Wróciła do domu bardzo późno, dokładnie w chwili, gdy dzwonił na policję, aby rozpoczęto poszukiwania.

— Cykl spotkań odbywa się pod hasłem READ — opowiadała, spoglądając ponownie na list — to akronim od słów Readers Earn Author's Day\*. Chwileczkę... hm... jaki świetny pomysł! Szkoły biorą udział w konkursie na największą liczbę przeczytanych książek i te, którym uda się osiągnąć lub przekroczyć określony limit, zdobywają prawo do wizyty autora, zdobywcy medalu Davant. Celem programu jest zgromadzenie funduszy na lokalne programy do walki z analfabetyzmem, i spójrz... pozostali autorzy to moi ulubieńcy!

\* READ (ang.) — „czytaj”, pełna nazwa programu: Readers Earn Author's Day — Czytelnicy Wygrywają Wizytę Autora.

Jej rozpromieniona twarz przeraziła go.

— Ale...

— Ale oczywiście nie mogę pojechać — stwierdziła.

— Dlaczego nie?

— Bo to pierwszy sierpnia i będziemy wtedy w Tennessee.

— Zgadza się!

Poczuł ogromną ulgę.

— Oczywiście!

Wybierali się do Tennessee za niecałe dwa miesiące, żeby połączyć siły z Our Own Backyard\*\*, projektem misyjnym, który pojawił się w ich życiu po długich modlitwach. Dooley skończy swój pierwszy rok w college'u, spędzi z nimi kilka dni w Mitford i wyjedzie na całe lato do Meadowgate, żeby pomagać Halowi Owenowi w jego praktyce weterynaryjnej.

**\*\* Our Own Backyard — Nasze Własne Podwórko.**

Następnie ojciec Tim i Cynthia przejadą wzdłuż całej granicy stanu, wypełniając roczną posługę duszpasterską w nowo utworzonym OOB. Pomysł tego projektu, gorąco przyjęty przez Stuarta Cullena, został opracowany przez ojca Rolanda, którego poszukiwania ukazały porażającą prawdę o rozmiarach ubóstwa i deprawacji na terenie wokół Jessup w Tennessee. Tam można było znaleźć alkohol i narkotyki, przemoc, poważne problemy medyczne i stomatologiczne, rodziny pozbawione transportu, nieutwardzone drogi, wysoki odsetek młodzieży niekończącej szkół — krótko mówiąc, teren niewiele różniący się od społeczności Mitford Creek, zanim została zamieniona na centrum handlowe.

Ich posługa duszpasterska będzie skromna i — jeśli o niego chodzi — to właśnie zaliczało się do jej atrakcji. Razem z ojcem Rolandem oraz gorliwym młodym księdzem z Kentucky i jego żoną zamieszkają w oddalonej od skupisk ludzkich społeczności; tyle że każdego popołudnia będą otwierać drzwi owych domów wszystkim młodym ludziom, którzy się tam pojawiają. Będą zajęcia plastyczne i śpiew, przypowieści biblijne i książki, poczęstunek i gry — bezpieczne miejsce, dobre miejsce; a w niedzielę Tim i dwaj pozostali księża będą odprawiać nabożeństwo i nauczać w kilku oddalonych od siebie kościołach misyjnych utworzonych w ostatnim wieku przez gorliwych biskupów anglikańskich.

Sama wyprawa będzie esencją prostoty — załadują mustanga sprzętami z kuchni, białą siatki na moskity, pięcioma walizkami, czterema poduszkami i stertą koców. Ciężarówką przetransportują osiemnaście kilogramów artykułów plastycznych i dwieście książek. Po przyjeździe urządkują swoje domostwo w skromnie umeblowanym blaszanym budynku z cementową podłogą.

Jego żona zbladła, gdy powiedział jej o blaszanym budynku, i nieomal zawetowała cały projekt, gdy pojawiła się kwestia cementowej podłogi.

— Ale — stwierdziła — to przecież nie chodzi o cementowe podłogi.

Pogłaskał ją po dłoni, w której znajdował się list. Przykro mi, chciał powiedzieć, ale tego nie zrobił. I naprawdę było mu przykro, ponieważ nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż widok jego żony, dzielącej się z innymi na swój własny sposób, niezależny od bycia żoną księdza.

Spojrzał na jej radosną twarz i zawstydził się tego, co czuje. Był niewypowiedzianie samolubny; głęboko w środku wiedział o tym i nie, nigdy nie mógłby jej tego wyznać, za żadne skarby świata.

W Mitford Blossoms poprosił Jenę Ivey o tuzin róż; z długimi łodygami, nie usztywnionych drucikami, bez paproci i gipsówki, w pudełku wyłożonym zielonym papierem i przewiązanym różową atlasową wstążką.

— Och, pamiętam, jak bardzo lubi róże! — Jena spojrzała mu w oczy, uśmiechając się. — A minęły już wieki, odkąd ostatnio ojciec to zrobił.

Zarumienił się. Nadal zmagał się z ponurą świadomością, że nieludzko boi się rozstania ze swoją żoną. Nagle poczuł się słaby i kruchy, jak dziecko. Sam przez te wszystkie lata, kawaler, który rzadko łaknął żaru miłości żony, a teraz... jest mężczyzną, którego trapi straszna mieszanina obawy i upokorzenia z powodu głębi jego przywiązania.

— Może... — Słowa utkwily mu w gardle. — Może niech będą dwa tuziny!

Jena mrugnęła, nie dowierzając. W Mitford był zaledwie jeszcze jeden mężczyzna, który kupował za jednym razem dwa tuziny róż, a był to Andrew Gregory, burmistrz. Za każdym razem, gdy on i jego włoska żona obchodzili rocznicę, pan Gregory zjawiał się w Mitford Blossoms i wykladał gotówkę, bez względu na aktualną cenę.

— Ależ, ojcze! Cynthia pomyśli... pomyśli, że zupełnie ojciec oszalał!

Uśmiechnął się z trudem.

— I będzie miała rację — oznajmił.

— Tim?

Dzwonił John Brewster, dyrektor Szpitala Dziecięcego w Wesley.

— Tak, John, jak się masz, przyjacielu?

— Doskonale, mam wspaniałą wiadomość.

— Jak zawsze jestem zainteresowany dobrymi wiadomościami!

— Mamy w końcu fundusze, żeby kogoś zatrudnić, kogoś o silnej osobowości, z tęgą głową, doskonałego w pozyskiwaniu darczyńców — osobę, która wszystko tutaj zmieni.

— Cudownie! Trwało to dość długo.

— Tak, rzeczywiście trwało to długo i chcę cię poprosić, abyś rozważył propozycję pracy na tym stanowisku.

Zapadła krótka chwila ciszy.

— Możemy porozmawiać o szczegółach później. Jesteś absolutnie idealną osobą na to stanowisko, Tim — zesłaną z nieba. Mam nadzieję, że się zgodzisz.

— Ach.

Był dziwnie poruszony. Tak, to było coś, czego chętnie by się podjął i co faktycznie robiłby całkiem nieźle. Ale...

— Za późno — powiedział dyrektorowi. — Ostatnio przyjąłem na siebie pewne zobowiązania, razem z Cynthią wyjeżdżamy do Tennessee, żeby pracować nad programem dla dzieci, będziemy przyjeżdżać do Mitford na większość weekendów, ale...

— Tak mi przykro.

Wydawało mu się, że John wybuchnie płaczem.

— Jestem taki rozczarowany, wszyscy byli zdania, że powinienem natychmiast do ciebie zadzwonić. Czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że ta druga możliwość... się nie zrealizuje, nie wyjdzie?

— Nie wydaje mi się. Mnie również jest przykro, sprawiłoby mi to przyjemność...

John westchnął.

— No cóż, musimy uruchomić poszukiwania i przestawić nasze myślenie. Ach. No cóż. Do licha.

Wydawało mu się, że dyrektor sprawiał wrażenie bardzo rozczarowanego. To nie jest koniec świata, chciał powiedzieć.

— To bardzo łaskawa propozycja, John, naprawdę, bardzo mi pochlebia.

I tak było. Czuł pewną lekkość kroku, gdy szedł korytarzem do pracowni Cynthii, a potem usiadł na jej dwuosobowej kanapce i powiedział, jaką propozycję właśnie odrzucili.

Podeszła, usiadła mu na kolanach, pocałowała go w czubek głowy i przytuliła bez słowa.

*Drogi Stuarcie,*

*właśnie sobie przypomniałem, że Mahatma Gandhi powiedział: „Najpierw się z ciebie śmieją, potem z tobą walczą, a potem wygrywasz”.*

*W braterstwie z Nim Timothy*

— Ojczy!

Hélène Pringle szybkim krokiem przeszła przez podjazd i znalazła się w ogrodzie żółtego domu. Zauważył, nie bez pewnej czułości, że idąc, podskakuje, niczym mały zajaczek przebiegający przez otwarte pole.

Ścisnęła w dłoniach paczkę, którą następnie mu wręczyła.

— Chleb! — wykrzyknęła, sapiąc lekko. — Świeżo upieczony. Mam nadzieję, że będzie ojcu i Cynthii smakował.

— Dziękuję, Hélène!

Kuszące ciepło bochenka wyczuwalne było przez brązową papierową torbę.

— Mógłbym zjeść go w całości, nie ruszając się z miejsca!

Jego sąsiadka roześmiała się radośnie jak mała dziewczynka. Jaka ogromna zmiana zaszła w tej drobnej, kiedyś nieśmiałej Francuzce, która wprowadziła się do sąsiedniego domu z Bostonu, dwa czy trzy lata temu. Prawie w ogóle o tym teraz nie myślał, ale początek ich znajomości był bardzo zły — Hélène nie tylko ukradła drogocenną figurę z brązu z półki nad jego kominkiem, ale złożyła też do sądu pozew przeciwko niemu o wysokie odszkodowanie — i zrobiła to wszystko, mieszkając cały czas w wynajmowanym od niego domu. Dzięki Bogu, on wycofał swoje zarzuty, ona zrezygnowała z procesu, a teraz razem z Cynthią mieli najlepszego sąsiada pod słońcem. Szczerze mówiąc, Hélène Pringle wzrosła w łasce i rozwinęła skrzydła.

— Ociepla się! — ocenił pogodę i był szczęśliwy, słysząc takie słowa z własnych ust.

— *Oui! J'adore le printemps!* Och, proszę mi wybaczyć, ojczy, zawsze mówię po francusku, gdy jestem podekscytowana!

— Widziałem wczoraj Françoise, jest w dobrej kondycji i wygląda na szczęśliwą.

Hélène udało się sprowadzić z Bostonu mamę i umieścić ją w Domu Nadziei, gdzie — mimo iż dokuczały jej skutki uboczne choroby serca, czuła się wspaniale.

— Mama uwielbia ojca wizyty, dziękuję za wszystko, co razem z Cynthią robicie dla nas. Pewnego dnia, obiecuję, zrewanżuję się wam w jakiś istotny sposób. *Absolument!*

— Proszę nawet o tym nie myśleć! Sam widok twojego szczęścia jest dla nas podwójną nagrodą.

— Troje nowych uczniów, ojczy! To razem piętnaście na chwilę obecną i wydaje mi się, że nie mogę przyjmować więcej. Nigdy bym nie pomyślała, że będę mogła tak kiedyś powiedzieć.

Hélène spojrziała na zegarek.

— *Ça, par exemple!* Już nieomal czas na Sophie Hawthorne o jedenastej.

Lekcje gry na pianinie prowadzone przez Hélène nadały życiu w Mitford przyjemnego nowego wymiaru. Czuł się osobiście dumny z jej sukcesu, chociaż nie miał z nim nic wspólnego.

— Proszę zrywać swoje róże, gdy zakwitną, ojczy, muszę wyznać, że jestem szczęśliwa, iż mieszkam w domu zamiłowanego ogrodnika! *Cóż, à bientôt!*

— *Au revoir, Hélène! Ach, i merci!*

Szacował, że jego zasób słownictwa w języku francuskim równał się teraz niebagatelnej liczbie dziesięciu lub dwunastu słów.

Pomachała mu, unosząc do góry rękę, następnie przebiegła przez podjazd, a potem przemierzyła trawnik przed domem i wbiegła po schodach. Uśmiechnął się. Dokładnie jak zając.

Gdy wchodził do holu przez drzwi wejściowe, zauważył swoją żonę stojącą przy oknie w salonie.

— Widziałam, jak rozmawiałeś z Hélène, najzwyczajniej w świecie pożerała cię wzrokiem!

— Szpiegujesz mnie! — zawołał.

— To prawda, kochanie, ale tylko dlatego, że ścierałam plamę z szyby. Wydaje mi się, że Hélène szaleje za tobą, ale ogólnie rzecz biorąc, w przyzwoity sposób, oczywiście.

Zauważył, że oczy Cynthii są dokładnie koloru kwiatów cykorii, które wkrótce pojawią na polach wokół Mitford.

Położył chleb na krześle i podbiegł do niej, a potem wziął ją w ramiona.

— Dlaczego miałabyś być o mnie zazdrosna, na litość boską?

Mówiąc to, śmiał się, ale naprawdę chciał wiedzieć, potrzebował to wiedzieć; nagle zapragnął żarliwie, żeby powiedziała coś, co sprawi, że zakręci mu się w głowie. Potrafiła mówić takie rzeczy...

— Ale ja wcale nie jestem o ciebie zazdrosna!

— Nie jesteś?

— Oczywiście, że nie! Hélène jest cudowną kobietą, która w swoim życiu nie spotkała przyzwoitego mężczyzny, dopóki nie poznała swojego sąsiada. Czułam dokładnie to samo, gdy zaczęłam „zaglądać” do ciebie przez żywopłot.

Ach. Zaglądanie przez żywopłot. Właśnie taki był modus operandi ich znajomości; na samo wspomnienie żywopłotu poczuł nutkę nostalgii.

— Poza tym, Timothy, wiem, że będziesz mnie kochał przez całe życie, a potem na zawsze.

Otoczyła ramionami jego szyję, a on pocałował ją czule, wdychając jej ciepły zapach.

Ale skoro już o tym mowa, chciał, żeby była zazdrosna — chociaż odrobinę.

Zdradził jej nowinę, gdy siedzieli przy kuchennym stole.

— Nie znowu! — jęknęła Puny. — Dopiero niedawno wróciliście, nawet nie chcę o tym myśleć, że znowu wszyscy wyjedziecie!

— Tylko na rok — odparł, czując się jak zdrajca.

— O tak, wielbny, wydaje się, że jeszcze nie doszliśmy do siebie po waszym ostatnim wyjeździe — przyznał Harley.

Harley Welch był jego przyjacielem, jego pomocnikiem, jego bratem w Chrystusie, jego sąsiadem, który mieszkał w suterenie u Hélène Pringle.

— Będziemy pracować z dziećmi, które zostały okrutnie skrzywdzone przez życie — wyjaśniła Cynthia. — To cudowny program, który pomoże rodzinom wyleczyć rany.

— Ale macie dzieci tutaj — argumentowała Puny, starając się zrozumieć. — To znaczy nie zostały zranione ani nic takiego, nawet jeśli dałam Sassy porządnego klapsa za to, że bawiła się zapalkami.

Rudowłose bliźniaczki Puny, Sissy i Sassy, od początku, czyli od ich narodzenia, były częścią domostwa Kavanaghów. Obecnie przychodziły prawie codziennie do żółtego domu ze szkoły w Mitford, gdzie uczęszczały do drugiej klasy.

Ojciec Tim spojrział na Cynthię, którą wyraźnie otrzeźwiła ponura reakcja na ich wiadomość. Czy nie mają świętego prawa robić tego, na co mają ochotę? Czy nie zasługują na prawo do realizowania boskiego planu na życie? A tutaj mieli do czynienia z dwoma nosami spuszczoneymi na kwintę, tak że nieomal opierały się na podłodze.

Harley potrząsnął głową i westchnął.

— Słuchajcie! — odezwał się ojciec Tim swoim głosem kaznodziei.

Aha. Tak trzymać, to przyciągnęło ich uwagę. Od tej pory będzie im mówił, co mają robić, a nie pytał ich o zdanie!

— Jedziemy do Tennessee, ale nie możemy zrobić tego bez was. Nie, naprawdę, bylibyśmy w strasznych tarapatach. Szczerze mówiąc, gdyby Bóg nie dał nam was dwojga tutaj, abyście mogli się wszystkim zaopiekować, wątpię, czy moglibyśmy odpowiedzieć na Jego wezwanie.

— Harley, masz dopilnować, aby obydwa ogrody były skoszone, krzewy przycięte i nawiezione.

— Puny, masz wykonywać tę wspaniałą pracę, którą wykonywałaś, gdy byliśmy w Whitecap! Będziemy często przyjeżdżać do domu na weekendy, wygłodzeni jak wilki, więc pilnuj, żeby lodówka była zawsze pełna, i nie żałuj sosu pomidorowego!

— Harley...

— Tak, proszę ojca? — Harley połknął haczyk.

— Pamiętaj o tym, żeby dostarczać dziadkowi Dooleya wątróbkę, ponieważ Dooley będzie tego lata u Owenów w Meadowgate. Poza tym chciałbym, żebyś od czasu do czasu jeździł na farmę i pozwalał Marge Owen poczęstować się zapiekanką z kurczakiem. Mówiła, że cię zaprasza.

Harley zerwał się z krzesła.

— Zrozumiano, wielbny!

Wydawało mu się, że Harley zaraz zaszaluje.

— Puny, dasz sobie ze wszystkim radę?

— O tak, proszę ojca, poradzę sobie, z przyjemnością!

Jej policzki na powrót nabrały koloru i była pełna energii; dom znowu tętnił życiem, jakby wznowiono dostawę energii po krótkiej przerwie.

— No cóż, w takim razie zabierajcie się do roboty i dzięki Bogu za was obydwój!

Jego żona odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

— Kochanie — westchnęła z wyraźnym podziwem — mógłbyś zaciągnąć się do marines!

— Dla ciebie! — powiedziała Cynthia, pochłonięta swoim codziennym zadaniem sortowania korespondencji.

Z niecierpliwością otworzył kopertę z pieczętą więzienia federalnego.

*Drogi Ojcze!*

*Dziękuję za list z zeszłego miesiąca. Nie odpowiedziałem tak szybko jak zwykle, ponieważ bardzo dużo się tutaj dzieje. Bóg działa tutaj w zupełnie nieoczekiwany sposób.*

*Mówiąc w skrócie:*

*Po ośmiu latach mam zostać zwolniony za dobre sprawowanie. Moja dłoń drży, gdy piszę te słowa, ponieważ nie wiedziałem, czy kiedykolwiek będę się mógł podzielić takimi dobrymi wiadomościami.*

*Mam nadzieję, że być może zechce mnie przyjąć Mitford. Gdyby mógł Ojciec pomóc mi znaleźć tam jakieś miejsce, będę zawsze wdzięczny i będę ciężko pracował, żeby zdobyć Ojca zaufanie i zaufanie wszystkich w Mitford. Jak już mówiłem wiele razy, nigdzie indziej nie czułem się tak bardzo w domu jak tam. Będę potrzebował pracy i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł Ojciec o tym pamiętać i dać mi znać, gdyby się coś pojawiło, chociaż wiem, że rynek pracy dla byłych skazańców nieomal nie istnieje.*

*Proszę się za mnie modlić, Ojcze, w czasie tych najbliższych kilku tygodni, powinienem przyjechać do Mitford, jeśli się Ojciec zgadza, w połowie czerwca.*

*Nie wiem, co mogę Ojcu powiedzieć na temat mojego przygotowania zawodowego, ponieważ nigdy więcej nie zostanę zaakceptowany przez system uniwersytecki. Przede wszystkim, zależy mi na przeżyciu tego łaskawego nowego życia dla Chrystusa, i na czytaniu. Potrafię grać w softball i umiem remontować stare samochody, co — gdy teraz patrzę na to, co właśnie napisałem, wydaje mi się dość żalnym życiorysem zawodowym. Bardzo chętnie nauczyłbym się jakiegoś rzemiosła, czegokolwiek, z wyjątkiem może osvajania dzikich koni... no cóż, mogłoby być i to.*

*W załączeniu przesyłam comiesięczny czek na rzecz Szpitala Dziecięcego. Odłożyłem nieomal całą resztę mojego dochodu z pracy w więziennej pralni, a więc będę miał pewne środki, jakkolwiek ograniczone, żeby zacząć nowe życie.*

*Proszę zauważyć, że na czas do mojego zwolnienia, mieszkam pod innym adresem. Wyczekuję z nadzieją listu od Ojca.*

*Twój, w Tym, który jest naszą wierną tarczą i puklerzem George Gaynor*

— Promieniejesz — zauważyła.

— Zwalniają z więzienia George'a Gaynora.

— Bogu niech będą dzięki!

— Przyjeżdża zamieszkać w Mitford. Musimy znaleźć mu pracę.

— Tak! Wspaniale! I mieszkanie — dodała, już pracując nad tym pomysłem.

Zapiął czerwoną smycz na obroży Barnaby i szedł w górę ulicy, gwizdząc. Nie gwizdał już od dłuższego czasu, przypuszczalnie od czasu swoich wypadów na plażę w Whitecap.

Miał ochotę złożyć komuś wizytę. Gdyby Bezdomny Hobbes nie przeprowadził się na wieś, gdy społeczność Creek została wysiedlona i jej miejsce zajęło centrum handlowe, powędrowałby tam na pogawędkę. Często brakowało mu sympatycznego towarzystwa Bezdomnego i jego ciężko zdobytej mądrości. Prawdę powiedziawszy, jego wizyty w chatce nad strumieniem były kiedyś prawdziwym wytchnieniem.

Przywitał okrzykiem Avisy Packarda, który palił papierosa przed Sklepem; wsunął głowę przez drzwi Collar Button i zamienił kilka słów z człowiekiem, który sporządzał inventarz i nie był w rozmownym nastroju; zboczył do Cukierni Sweet Stuff i przywitał się z Winnie Kendall, odwracając wzrok od lady z ciastkami i usiłując nie wciągać zbyt głęboko cudownego zapachu, gdy jej mąż, Thomas, wyjmował z piekarnika brytfannę ciastek z kawałkami czekolady.

Nieco dalej zaczepił smycz o żelazną nogę ławki przed barem Grill i wszedł do środka na duże frytki z delikatnym mięsem kurczaka, plus deserowy smakołyk w postaci ciasteczka Little Debbie. Następnie, trzymając mocno torbę, powędrował do zabytkowego Porter Place, znanego również pod nazwą muzeum miejskiego, żeby odwiedzić wujaszka Billy'ego i pannę Rose.

Wujaszek Billy wstał z krzesła, opierając się na lasce, podszedł wolno do tylnych drzwi i wyjrzał. Uśmiechnął się.

— Ojej, toż to sam kaznodzieja! Rose, chodź i zobacz, to kaznodzieja!

Zawołał swoją schizofreniczną żonę, od z górą pięćdziesięciu lat, która była nieomal głucha jak pień, ale nie chciała się zgodzić na noszenie aparatu słuchowego.

— Na tym świecie jest dość aparatów! — brzmiała jej zwyczajowa odpowiedź.

Panna Rose pojawiła się za swoim mężem, w szenilowym szlafroku i turbanie, ozdobionym... może to była całkowicie spłaszczona jedwabna lilia?... a może mieczyk?

— Niech ojciec zostawi psa na zewnątrz — zawołała. Mieczyk podskakiwał, gdy mówiła.

— Tak, proszę pani — odparł — taki miałem zamiar.

— I proszę nie przywiązywać go do moich krzeseł ogrodowych, porozrzuca jej po całym ogrodzie.

— Tak, proszę pani.

Przywiązał swojego cierpliwego psa do słupa na ganku i wszedł do środka z torebką z baru Grill.

— Małe co nieco, żeby urozmaicić waszą kolację — wyjaśnił.

Uwielbiał przynosić frytki dla wujaszka Billy'ego, chociaż musiał uważać na pannę Rose, bo w przeciwnym razie była gotowa zjeść wszystko, co do okruszka, i zostawić swojego męża z pustą torebką w dłoniach.

— Co to? — zapytała starsza kobieta, wyglądając wyjątkowo gniewnie.

— Kurczak, frytki...

— Bill Watson nie będzie jadł nóżki!

Wyrwała torebkę z ręki ojca Tima i uciekła w głąb korytarza.

— On lubi białe mięso!

— Niech mnie licho — zawołał za nią błagalnie mąż. — Rose! Wracaj!

Usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi do sypialni i szczęk zamka.

— No cóż — westchnął wujaszek Billy.



— No, no — powtórzył ojciec Tim, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— Raz lepiej, raz gorzej, wie ojciec, jak to jest.

Ojcu Timowi zdawało się, że wujaszek Billy wygląda wyjątkowo słabo, niczym wiotka trzcina smagana wiatrem.

— Czy miałby wujaszek ochotę przejść się do baru Grill, zanim zamkną? Usiądziemy sobie tam w spokoju i może sobie wujaszek zamówić wszystko, na co będzie miał wujaszek ochotę. Dodam od siebie czekoladowy koktajl mleczny.

Zamglone oczy wujaszka Billy'ego wyraźnie pojaśniały.

— Byłbym zobowiązany, ojcze, naprawdę.

— Wzajemnie — odparł ojciec Tim, spragniony towarzystwa swojego starego przyjaciela.

Spacer z Billym Watsonem był bardzo wolny, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Nie miał się przecież gdzie spieszyć, a i Barnaba wydawał się zadowolony.

— Wszyscy będziemy dużo starsi, gdy tam w końcu dotrzemy — stwierdził wujaszek Billy.

Pomagał właśnie wujaszekowi Billy'emu pokonać krawężnik, gdy podniósłszy wzrok, zobaczył ją, jak wysiada z lincolna, kilka budynków dalej. Zawsze tak się działo, bez względu na to, jak często widywał ją w ostatnich latach, zawsze było tak samo: jego serce biło jak oszalałe, w ustach robiło mu się sucho i miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

Spojrzała w jego stronę i wydawało się, że przygląda mu się przez chwilę, gdy pomagał wujaszekowi Billy'emu pokonać chodnik. Odwrócił natychmiast głowę i gdy spojrzał ponownie, Edith Mallory zniknęła w drzwiach Cukierni Sweet Stuff.

W drodze powrotnej z domu wujaszka Billy'ego, gdzie panna Rose była nadal zamknięta bezpiecznie w sypialni, zajrzał do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń.

Margaret Ann, pomarańczowy kot, leżał wyciągnięty na ladzie przy kasie; Hope Winchester siedziała na taborecie, czytając... nie widział co.

— Co nowego? — zapytał, dochodząc do wniosku, że Hope wygląda dzisiaj wyjątkowo atrakcyjnie, niczym młodzieńcza postać z powieści Jane Austin, ubrana w dzinsy.

— Coś starego — odparła, podnosząc książkę, żeby mógł zobaczyć. — Angela Thirkell!

— Coś nowego na półce z rzadkimi książkami, czego jeszcze nie widziałem?

— Będzie coś w następnym tygodniu, wyda się ojcu wyjątkowo wierutna.

— Jakaś podpowiedz?

— Och, chciałabym, żeby to była... — zastanawiała się przez chwilę — siurpryza.

— Aha — odparł. — Zadzwoń do mnie, gdy już przyjdzie. Przy okazji, nasz przyjaciel wprowadza się do miasteczka w czerwcu, będzie potrzebował pracy. Gdybyś o czymś słyszała...

— W czym się specjalizuje?

Hope poprawiła okulary w szylkretowych oprawkach.

Prawda o George'u Gaynorze wyda się, jak tylko on sam pojawi się w mieście, więc równie dobrze może ją zdradzić już teraz.

— Pamiętasz człowieka z poddasza?

— Ależ oczywiście! Kto mógłby zapomnieć? I przyjeżdża zamieszkać w Mitford?

Jej oczy rozbliły.

Jeśli ona była tak zafascynowana perspektywą, że zamieszka pośród nich skazany za kradzież klejnotów mężczyzna, pomyślał, może reszta miasteczka będzie myślała podobnie. Prawdę powiedziawszy, całe miasteczko polubiło George'a Gaynora za to, jak oddał się w ręce władz w czasie porannego niedzielnego nabożeństwa w Lord's Chapel. Pamiętał, że uczniowie pierwszej klasy szkoły w Mitford przysyłali George'owi do jego celi w więzieniu rysunki, a jego niezwykle przyznanie się do popełnionego przestępstwa było stawiane za wzór w wielu kazaniach w miejscowych kościołach.

Postanowił potraktować radosny wyraz twarzy Hope jako dobry znak.

Po co wybierać się na badania teraz? Dlaczego nie na dzień lub dwa przed wyjazdem do Tennessee? Dzięki temu wszystko będzie aktualne. Poszedł do łazienki na parterze, gdzie przechowywał swój glukometr, otworzył zestaw, naciął lancetem czubek lewego palca wskazującego i upuścił kropelkę krwi na pasek testowy.

Barnaba wszedł do środka i usiadł przy jego stopach, zaciekawiony.

— Cześć, przyjacielu.

Wsunął pasek do glukometru i czekał na wynik: 180.

Nie za dobrze. Ale też nie tragicznie źle. Jest w stanie sprowadzić go do normy.

Poszedł do pracowni, zadzwonił do gabinetu Hoppy'ego i przesunął termin wizyty.

— Poczta! Poczta!

Cynthia pojawiła się w głębi korytarza, weszła do pracowni w towarzystwie Violet, podążającej tuż za nią, i umieściła całe naręczce kopert na sofie. Jej nożyk do otwierania korespondencji zajmujący miejsce obok gardenii w doniczce na ławie natychmiast został wprawiony w ruch.

— No dobrze, kochanie. Rachunek, rachunek, list od czytelnika, list od czytelnika, reklama, reklama, reklama, uch, reklama, list od czytelnika, „Southern Living”, list od czytelnika... ojej.

— Ojej, co? — zainteresował się, wypijając łyk herbaty.

— Ten jest od komisji przyznającej nagrody.

Violet wskoczyła na sofę i usadowiła się na kolanach Cynthii.

— Komisji przyznającej nagrody...

— Tak, medal Davant. Nikt w Nowym Jorku o tym nie wspominał. Na pewno coś by powiedzieli...

Otworzyła wolno list i zaczęła czytać:

— „Szanowna Pani! Niezwykle miło nam poinformować, że Pani najnowsza książka o Violet, *Violet wybiera się na plażę*, otrzymała prestiżową nagrodę, medal Davant, która zostanie wręczona na uroczystym bankiecie, 14 lipca, w Plaza Hotel w Nowym Jorku. Gratulacje! Jesteśmy zachwyceni, że to już drugi Pani medal Davant i mimo że to uznanie dla Pani wyjątkowych osiągnięć nie jest wcale zaskoczeniem dla profesjonalistów z szacownej komisji przyznającej nagrody, mamy szczerą nadzieję, że będzie przyjemnym zaskoczeniem dla Pani”.

Jego żona była wzruszona.

— Ach, Timothy...

Pochylił się w jej stronę, a ona rozplakała się.

Żona miejscowego pastora zdobywa wyjątkową nagrodę

Zwinął ostatnie wydanie „Muse”, nałożył czapkę i — ignorując swojego psa — ruszył szybkim krokiem w dół Wisteria Lane, następnie skręcił w prawo, na Main Street.

Minął w pośpiechu cukiernię, sprawiając, że szyby we frontowych oknach dwupiętrowego budynku zdrząły, i wtargnął do baru Grill, gdzie podszedł do tylnego boksu, otworzył drzwi prowadzące na tylne schody i wbiegł po nich, pokonując jednocześnie po dwa stopnie.

— J.C. — zaczął przez zaciśnięte zęby.

Wydawca spojrział na niego, podnosząc wzrok znad stołu z makietą gazety.

— Co?

Potrząsnął zwiniętą gazetą.

— Moja żona nie jest żoną pastora... Żałował, że sapie i dyszy.

— Niewiele brakowało, a byłbym uwierzył — odparł J.C., wyglądając na zaskoczonego.

— Jest odrębną osobą, ma imię i nazwisko i byłbym bardzo wdzięczny, widząc, że go używasz od tej chwili na przyszłość. Otrzymała właśnie jedną z najbardziej prestiżowych nagród w branży wydawniczej, a ty pomniejszyłeś ten zaszczyt przez pominięcie jej nazwiska w nagłówku i przedstawienie jej jako mojej żony.

— Piłeś? Ona jest twoją żoną! Ojciec Tim ściszył głos.

— Zdobyła tę nagrodę nie jako żona pastora, ale jako ciężko pracująca autorka i ilustratorka, która przez ponad dwadzieścia lat spędziła wiele pracowitych godzin na stołem do rysowania i zasłużyła sobie na prawo, by mówiono o niej, używając jej własnego nazwiska.

— Nazwałem ją jej własnym nazwiskiem, do licha.

— W nagłówku.

J.C. obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

— Umrzesz na zawał, jak nie będziesz uważał. Zauważył, że drżą mu ręce, założył je do tyłu i wziął głęboki oddech.

— Chciałem tylko, żebyś wiedział — dodał.

Odwrócił się, zszedł po schodach, przeszedł przez Grill, wyszedł na ulicę, gdzie zatrzymał się, otarł czoło i zastanawiał się, co dokładnie mu się stało.

— Hej, dziadku!

— Hej, dziadku!

Dwie dziewczynki bliźniaczki, dwie czupryny rudych włosów, dwa bliźniacze uściski — a mimo to dwa całkowicie indywidualne serca, dusze, umysły i osobowości.

— Hej! — wykrzyknął, odwzajemniając ich powitanie. — Chodźcie i opowiedzcie mi wszystko.

Ach, jak bardzo lubił wnuczki, które Punny pozwoliła mu adoptować jako własne. Nie było jednak babci w tym domu; o nie, zaiste, Cynthia nie dała się namówić na to swojskie określenie, dla wszystkich była zwykłą Cynthią, bez względu na wiek czy pozycję.

— To dla ciebie! — zawołała Sassy, wyjmując coś z torby na książki. — Na dole jest moje imię.

Spojrzał na akwarelę — mężczyzna śpiący w fotelu z wysokim oparciem z ogromnym czarnym psem u stóp. Mężczyzna miał duży nos i nieobute stopy.

— To ty! — poinformowała go, wyglądając na zadowoloną.

— Hm. Jesteś pewna, że mam taki duży nos?

— Panna Cynthia mówi, że wygląda dokładnie jak ty!

— A widzisz, dziadku, to jest moja!

Sissy uniosła swoją akwarelę — mężczyzna leżący na sofie, z ogromnym dużym psem rozciągniętym przy nim, na podłodze.

— To ty i Barnaba, umieściłam Violet pod sofą, to jej ogon, podoba ci się?

I znowu ten nos wielkości kartofla. Sięgnął dłonią i dotknął tego, co wyrastało mu na twarzy.

— Bardzo. Dlaczego, kochane, malowałyście mnie dzisiaj?

— Pani Hellman kazała nam namalować kogoś, nie mamę i nie tatę, kogo bardzo lubimy.

— Cóż, skoro tak się sprawy mają, to może nie będziecie miały nic przeciwko, jeśli zobaczą nas razem na mieście.

Bliźniaczki zaczynały się huścić na palcach stóp, rozpoczynając ich ulubioną zabawę, w którą często bawili się razem, gdy wracały ze szkoły.

Ojciec Tim podrapał się w głowę, udając kompletne zaskoczenie, i zapytał poważnie:

— Ale gdzież moglibyśmy pójść?

— Do Cukierni Sweet Stuff! — wykrzyknęły jednocześnie.

— Nie wiedziałam, że ma ojciec wnuki!

Ada Rupert, która kupowała dwanaście ciastek owsianych z okazji wizyty swoich własnych wnuków, przyglądała mu się podejrzliwie.

— Nie mam — odparł. — No cóż, niedokładnie. Wypożyczam swoje wnuki, można powiedzieć.

— Hm — zastanowiła się Ada. — Przypuszczam, że gdy się nie ma co robić przez cały dzień, wypożyczenie wnuków pomaga w zabiciu czasu. Jeśli chodzi o mnie, to i bez moich wnuków przyjeżdżających dzisiaj po południu z dwudniową wizytą mam pełne ręce roboty.

Zauważył, że Ada sapie i dyszy, jakby zbiegła do cukierni ze szczytu góry.

— Ciastko z kawałkami czekolady! — zawołała Sassy, stając na czubkach palców i składając zamówienie u Winnie.

— Rożek kremowy! — zadeklarowała Sissy i wskazała swój smakołyk, dotykając palcem szklanej gabloty i zostawiając smugę.

— Cóż! — rzuciła Ada, zbierając swoje zakupy i odwracając się do wyjścia. — Może ojciec pożyczyć moje, kiedy tylko będzie ojciec miał ochotę! Bardzo proszę!

Ze wstydem zdał sobie sprawę, że padł właśnie ofiarą znanej z ciętego języka Ady. Gdy się nie ma co robić przez cały dzień? Nic przez cały dzień, zaiste!

Jego twarz płonęła, w chwili gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach, a on sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

— Rożek kremowy, ciastko z kawałkami czekolady i... Wpatrywał się w szklaną gablotę, przerażony.

— I? — zapytała Winnie, spoglądając na niego. Jego serce zabiło mocno.

— I napoleonkę! — odparł, słysząc z zaskoczeniem, jak wypowiedziane głosem ksznidzicy zakazane zamówienie wydobywa się z jego ust.

Po kolacji w żółtym domku zapukał do drzwi prowadzących do suterenu jego domu.

Otworzył mu Harley, wyglądając na zmieszanego.

— Ojej, wielebny, przyłapał mnie ojciec na smażeniu cebuli! Zapraszam do środka, mam nadzieję, że nie przeszkadza ojcu zapach.

— Pachnie wspaniale! Zajmę ci tylko chwilę, chciałem jedynie powiedzieć, że do naszego miasteczka przyjeżdża mój przyjaciel. Będzie potrzebował pracy i dachu nad głową, twierdzi, że umie odnawiać stare samochody i że chętnie nauczyłby się jakiegoś rzemiosła. Gdybyś miał jakieś pomysły albo gdybyś się o czymś dowiedział...

— Będę o tym pamiętał. Może ojciec usiądzie na chwilę?

— Dzisiaj wieczorem nie mogę, dziękuję, zamierzamy wybrać się na małą przechadzkę po parku Baxter. Nazywa się George Gaynor. Był... skazany i odbywał karę w więzieniu, zwolniony warunkowo po ośmiu latach.

Harley wyglądał na przestraszonego, następnie spuścił wzrok i utkwiał go w podłogę.

— O co chodzi, Harley?

— No cóż, wielebny, jest coś, o czym nigdy nie mówiłem. Chciałem, ale... ale nie powiedziałem, bo nigdy ojciec o to nie pytał.

Harley podniósł głowę i spojrzał w oczy właścicielowi domu, w którym wynajmował mieszkanie.

— Ja też odsiedziałem karę w więzieniu.

— Aha.

— A to dlatego, że uciekałem przed policją w czasach, gdy woziłem alkohol. Nie chciałem uciekać, o nie, proszę ojca, ale bałem się, nie byłem w stanie zdecydować, czy chcę jechać dalej i może dać się złapać trochę później, czy się zatrzymać i wypić piwo, którego nawarzyłem. Harley westchnął.

— Jechałem dalej, z dwustoma litrami samogonu w błotnikach. Jechali za mną, aż do Cumberland County, a im szybciej musieli za mną jechać, tym bardziej byli wściekli, ponieważ miałem wtedy chevy'ego V-8 z sześćdziesiątego drugiego roku, który szedł jak burza.

Harley westchnął ponownie.

— Dostałem trzy lata. To mnie otrzeźwiło, że tak powiem.

Ojciec Tim kiwnął głową.

— Przykro mi, że muszę to ojcu powiedzieć, wstyd mi.

— Co się stało, to się nie odstanie.

— Gdy mnie wypuścili, nie przewiozłem już ani kropli. A niedługo potem rzuciłem picie tego świństwa — od tej chwili nie chciałem mieć już nic wspólnego z alkoholem.

Oparł dłoń na ramieniu Harleya. Co zrobiłby bez tego dobrego człowieka, którego zesłał mu Bóg?

— To trudne przeżycie miało wobec tego swoje pozytywne strony.

Harley skinął głową, następnie uśmiechnął się z ulgą, odsłaniając różowe dziąsła, zupełnie pozbawione zębów.

— Miej oczy i uszy szeroko otwarte w sprawie George'a, dobrze? Przyjedzie gdzieś w czerwcu. Polubisz go, jest człowiekiem dużej wiary.

— Może ojciec na mnie liczyć. I, wielebny...

— Tak?

— Nie chciałbym, żeby chłopiec się o tym dowiedział, nie byłoby dobrze, gdyby dowiedział się o tym, co ojcu powiedziałem.

— Ode mnie się nie dowie. Odwrócił się, żeby wyjść.

— Wielebny?

Harley przełknął z trudem.

— Dziękuję, że... pozwolił mi ojciec to powiedzieć.

— Dziękuję, że mi powiedziałeś — odparł.

Zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby odszukać pozostałe rodzeństwo Dooleya. Po Sammym i Kenym ślad zaginął ponad dziewięć lat temu i nic — bez względu na to, jak się starał — nie przynosiło żadnych pozytywnych wyników. Ojczym Dooleya, Buck Leeper, też wywiązywał się ze swoich obowiązków. Pracował nad fałszywym tropem, który miał doprowadzić do Kenny'ego przez cały rok, i wszystko spełzło na niczym.

Znalezienie pierwszej dwójki dzieci Barlowe'ów było cudownie proste. Ojciec Tim i Lace Turner wyciągnęli Poo ze społeczności Creek, a Jessie, która miała wtedy pięć lat, odnaleźli na Florydzie. Kierowani najdziwniejszym z przeczuc, on i Cynthia wybrali się w długą podróż do Lakeland razem z mamą Jessie, Pauline, a teraz, dzięki Bogu, trójka z piątki rodzeństwa była bezpieczna i pod dobrą opieką. Bardziej niż cokolwiek innego, tak, ponad wszystko, chciał zobaczyć całą rodzinę zjednoczoną z ich całkowicie przeobrażoną matką, która zawierzyła swe życie Chrystusowi i poślubiła wierzącego mężczyznę, który kochał jej dzieci.

Usiłował nie rozpaczać z powodu narastającego zniechęcenia, które go ogarniało, i zdecydowanie odrzucał myśl, jaka od czasu do czasu go prześladowała; myśl, że gdzieś głęboko w środku stracił już nadzieję.

— Nie wstawaj — polecił żonie. — Zobaczę, kto to.

Dźwięk dzwonka przy drzwiach zawsze sprawiał mu swoistą przyjemność. Nigdy nie wiadomo, jaka niespodzianka albo nawet zaskoczenie może na niego czekać. Pod tym względem bardzo przypominało to pocztę.

Jedynie z wielkim trudem był w stanie dostrzec Jenę Ivey zza ogromnego kosza kwiatów, który właśnie dostarczała do ich drzwi. Jena wychyliła głowę spoza bluszczu, który spływał obficie z jednej strony kompozycji.

— Gratulacje! — wykrzyknęła, wpychając mu w ramiona ogromną konstrukcję.

Zatoczył się do tyłu pod jej ciężarem.

— Gratulacje? A co ja takiego zrobiłem?

— Nic, o ile mi wiadomo, to dla Cynthii!

Ciężko pracująca właścicielka Mitford Blossoms najzwyczajniej w świecie promieniała.

— Oczywiście! Ależ tak. Wielki Boże...

— To najdroższe zlecenie, jakie kiedykolwiek dostałam — zawołała za nim. — Użyłam wszystkiego z wyjątkiem zlewozmywaka!

Ruszył wzdłuż korytarza, wyglądając ostrożnie spoza gąszczy adiantum, żeby nie wpaść na ścianę, i zaniósł bukiet do pracowni.

— Proszę!

Postawił go na kominku, nieomal wybijając sobie oko jedną z kilku łądyg winogrona, zatkniętego fantazyjnie w mchu.

— Nie wiem, co to jest, prawdopodobnie całe hrabstwo z zachodniej Anglii!

— Jaki cudowny!

Jego żona w jednej sekundzie wstała z sofy, pomknęła do bukietu i zanurzyła w nim twarz, cała w uśmiechach.

— Na niebiososa! Ojej! Cóż za radość!

Obserwował, jak żona chodzi na czworakach wokół kosza, który wielkością z powodzeniem dorównywał Johnson County i zawierał wszystko, od żółtych tulipanów poczynając, poprzez lawendową naparstnicę i różowe róże, a na fioletowej werbenie kończąc.

— Uch! Na litość! Spójrz, najdroższy, czyż to nie heliotrop? A tutaj! Czy widzisz te malutkie grzybki rosące na mchu?

— Od kogo to? — zapytał, kucając, żeby być bliżej całego zdarzenia.

Zsunęła kartkę z francuskiej wstążki usztywnionej drutem.

— Niech no spojrzę... No cóż! Kto by pomyślał? Nie, nigdy by nie pomyślał.

— Od kogo? — zapytał.

— Od drogiego Jamesa!

— Od drogiego Jamesa?

— No wiesz, kochanie, mojego wydawcy.

— Aha.

— „Moja Droga Cynthio — czytała na głos dedykację. — Przyjmij, proszę, ten drobny dowód wdzięczności za tę całą radość, którą przyniosłaś tak wielu. Gratuluję!”

— Od drogiego Jamesa, droga Cynthio?

To pytanie, zadane z nietypowym sarkazmem, wydobyło się z jego ust, zanim zdążył sobie zdać z tego sprawę. Jego twarz splonęła rumieńcem.

Tak jak niewiele trzeba było, żeby sprawić jego żonie radość, tak samo niewiele, zaiste, wystarczyło, żeby ją głęboko zranić. Wyglądała tak, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody.

— Przepraszam — powiedział zupełnie zaskoczony swoimi emocjami.

Skąd wzięła się ta niespodziewana, cierpka zazdrość? Pochylił się w jej stronę, ale ona się odsunęła.

— Nigdy przedtem nie słyszałam... żebyś tak mówił — szepnęła.

Do oczu napłynęły mu łzy.

— Nie wiem, przepraszam, proszę, wybacz mi. Poczul się dziwnie zagubiony, osamotniony, jakby pomiędzy nimi otwarła się ogromna przepaść.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Potem się uśmiechnęła.

— Nic się nie stało, najdroższy — powiedziała, ujmując jego dłoń.

# Rozdział trzeci

## PRZYSZŁA GODZINA

Usiadł wygodnie na swoim fotelu w pracowni, obrócił się twarzą do biurka i zerwał kilka kartek z kalendarza. Maj 21, przeszedł do historii! Maj 22, odhaczony! Maj 23, już po nim!

Kiedy uciekł mu ten czas? Nie napisał ani słowa niemal od miesiąca. Ale nie zamierza się czuć z tego powodu winny; przyrzekł sobie, że cały proces pisania będzie dla niego przyjemnością i nie będzie robił sobie wyrzutów, jeśli nie uda mu się zrealizować zaplanowanego celu.

Skoncentrował swoje myśli na tym, co go czekało.

— „Dość, jeśli jakieś dzieło naszych rąk ma moc — zacytował na głos — by żyć i działać i służyć przyszłej godzinie...”\*

\* Fragment wiersza *Valedictory Sonnet To The River Duddon* Williama Wordswortha.

Jego nowy esej będzie traktował o dwuwierszu Wordswortha; poruszał kwestię, która nurtowała go już od dłuższego czasu, czy rzeczywiście przez nieomal czterdzieści lat jako ksiądz zrobił cokolwiek, co naprawdę służyłoby przyszłej godzinie. Musiał znać odpowiedź, uczciwą odpowiedź. Pisanie, aby wnikać w głąb własnej duszy, było często pomocne; niejednokrotnie pomogło mu w lepszym zrozumieniu osobistych kwestii. Uważał też, że cały temat może interesować innych — czyż wszyscy nie pragną żarliwie pozostawić po sobie śladu, zrobić czegoś wyjątkowego? Prawdę powiedziawszy, bycie śmiertelnym jest jednym z najbardziej dojmujących rozczarowań ludzkości — dysponowanie jedynie krótkim życiem, żeby pozostawić po sobie ślad, sprawia, że cały czas odczuwamy presję, żeby działać.

Ujął czarne pióro i z przyjemnością poczuł jego ciężar w dłoni; przez lata marzył o eleganckim piórze, o czymś więcej niż doroczny bożonarodzeniowy długopis ze Sklepu albo przeróżne marne pisaki z jego kubka, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. I teraz, w dowód uznania dla jego esejów, jego dobra żona podarowała mu czarne pióro na naboże z białym znaczkiem na zatyczce; nie miał pojęcia, ile mogło kosztować — wygląd jednak nie pozostawiał wątpliwości, że grube pieniądze. Może użyje dzisiaj pióra, zamiast maszyny do pisania; czy Montaigne używał maszyny do pisania, albo Proust, albo Emerson?

Spojrzał na wiekową, ręczną maszynę do pisania marki Royal, która służyła mu dobrze tak wiele lat, że nie pamiętał już dokładnej ich liczby. Towarzyszyła mu przez jego szesnastoletnią kadencję w Lord's Chapel i nadal działała bez zarzutu, z wyjątkiem małego „i”, które często wychodziło jak „ii”. Zawsze zamierzał to naprawić, a teraz nikt nie naprawiał już maszyn do pisania.

W korytarzu pojawił się Dooley. Wszedł do kuchni, która prowadziła bezpośrednio do pracowni, i przyjrzał się dokładnie zawartości lodówki. Otworzył puszkę coli i spojrzał na ojca Tima.

— Hej.

— Hej — odwzajemnił jego powitanie ojciec Tim. Poczuł, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech.

— Co słychać? — zapytał Dooley.



Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Dooley nie czekał na odpowiedź; pytanie było retoryczne. Zniknął w korytarzu, zostawiając za sobą świszczący dźwięk, który wydobywał się, gdy spody jego sportowych butów odrywały się od sosnowej podłogi.

Dooley. Oczywiście! To właśnie ten wpływ — bez względu na to, jak niedoskonały — jaki wywarł na życie chłopca, posłuży przyszłej godzinie. Tak!

Poczuł pieczenie pod powiekami i wstał, przeszedł przez pracownię, wszedł do kuchni i spojrzał w głąb korytarza, mając nadzieję, że zobaczy Dooleya, zanim ten zniknie w drzwiach wejściowych. Chciał mu coś powiedzieć, nie wiedział dokładnie co. Ale Dooley już wyszedł.

Jego żona też wyszła, zapomniał tylko gdzie, a w jego pracowni było cicho jak makiem zasiał, cały dom zdawał się pozostawać w spoczynku, którym ojciec Tim powinien się delectować, nie był jednak w stanie. Słuchał, jak jego pies chrapie w kącie, i przyglądał się Violet śpiącej na sofie. Violet, która już nie była młodką, ostatnio też zaczęła chrapać. Stał przez chwilę, przysłuchując się tej dziwnej kakofonii, delikatnemu pochrapywaniu dochodzącemu z sofy i grubemu donośnemu chrapaniu dobiegającemu z kąta pokoju w pobliżu jego biurka. Jeśli nie będzie uważał, to za chwilę dołączy do tej grupki. Prawdę powiedziawszy, świat zdawał się stać w miejscu, dopóki w drzwiach nie pojawiła się Cynthia; było tak, jakby brakowało mu jednej połowy — tej lepszej.

Lepszej połowy! Kiedyś to określenie wydawało mu się tak dziwaczne jak „panienka”. Ale teraz był mądrzejszy, a czyż ona nie była naprawdę jego lepszą połową? Połową, której łatwiej przychodził śmiech? Połową, która nie traktowała życia tak śmiertelnie poważnie? Połową, która była bardziej spontaniczna i swobodna, bardziej wyczekująca Bożego błogosławieństwa, bardziej pewna, czasami, Jego miłości?

Usłyszał dźwięk dzwonów w Lord's Chapel, oddalonej zaledwie o jedną przecznicę, i spojrzał na zegarek. Trzecia.

Chciało mu się pić, bardzo chciało mu się pić, wrócił jednak do biurka i usiadł, jakby śpiąc, aż usłyszał, jak żona wchodzi do kuchni i kładzie coś na ladzie. Był to przyjemny odgłos; miał ochotę ruszyć jej na przywitanie, zobaczyć jej twarz, ale właśnie to pragnienie sprawiło, że nie mógł się podnieść z fotela, na którym siedział.

— Co robisz, najdroższy?

— Myślę! — odparł.

— Myślisz? Ale myślisz już od wielu godzin. Myślałeś, gdy wychodziłam!

Wziął kawałek papieru, usiłując stworzyć pozory pracy naukowej. W rzeczywistości na kartce nie było absolutnie nic; była czysta. Odłożył ją i zaczął przeszukiwać szufladę swojego biurka.

— Dzisiaj jest wspaniały dzień, Timothy!

Szelest toreb w kuchni, pewnie kilka produktów ze Sklepu. Była jej kolej na przyrządzenie kolacji.

— Po prostu wspaniały! — zawołała.

Jego żona chciała kogoś, kto dotrzymałby jej towarzystwa, jak choćby na spacerze wokół Mitford Lake, być może, albo na przejażdżce Parkway z rozłożonym dachem. Czy nie widzi, że jest zajęty czymś ważnym? Chwycił książkę ze sterty przy biurku i otworzył ją. Natychmiast poczuł się pełen autorytetu, jakby był człowiekiem wszechwiedzącym i bardzo mądrym, a ona bezwolnym dzieckiem.

Weszła, stanęła obok jego fotela i spojrzała na niego czule.

— Timothy, myślisz za dużo!

Nie mógł uwierzyć, że słyszy te słowa od swojej żony, słowa, które słyszał od dzieciństwa — od mamy, od nauczycieli, od pierwszego biskupa, nawet od Stuarta Cullena. Co to znaczy za dużo? Kto ma decydować, do jakiej granicy należy myśleć, a potem zatrzymać się nagle w miejscu? A co gdyby Wordsworth nigdy nie myślał za dużo, albo Shakespeare, albo Milton, albo Cranmer, albo Sokrates? A co z Beethovenem albo Edisonem, albo... Marią Curie? Dlaczego myślenie jest taką zbrodnią?

— Dlaczego myślenie jest taką zbrodnią? — zapytał dziwnie zły.

— Och, phi, kochanie!

Uniosła do góry ręce i wróciła do kuchni.

Nie chciał, żeby wychodziła z pokoju, chciał, żeby została, chciał, żeby... usiadła mu na kolanach i zmierzwiła tę resztkę włosów, które mu jeszcze zostały. Poczuł się nagle mały i opuszczony. W jednej chwili to ona stała się autorytetem, a on bezwolnym dzieckiem.

Drogi George'u!

Jak wiesz, nie będzie nas tutaj, gdy przyjedziesz 15 czerwca, ponieważ wyjeżdżamy 1 czerwca do Tennessee. Wszystko jest przygotowane na Twój przyjazd. Nasza lokatorka mieszkająca na piętrze w moim domu, Hélène Priingle, wyraziła zgodę na to abyś zamieszkał w suterrenach razem z Harleyem Welchem i wydaje mi się, że będziecie wzajemnie zadowoleni ze swojego towarzystwa. Będę bardzo wdzięczny za każdy rodzaj pomocy udzielony pani Priingle w ogrodku.

Harley zabierze Cię do sklepu kosmetycznego w Wesley, gdzie jak myślisz będziesz mógł znaleźć pracę. Mogłby Cię tam wozić codziennie rano, przed swoją pracą w Miford. Kilku innych moich przyjaciół też szuka pracy dla Ciebie, wspominałem również o Tobie Avisowi Packardowi ze Sklepu, który pod koniec czerwca będzie musiał znaleźć następcę dla kierowcy swojej dostawczej ciężarówki.

Rodney Underwood jest nadal szefem naszej policji i wie, że przyjeżdżasz. Zaprasza Cię, żebyś zajrzał na posterunek i odwiedził chłopców, którzy towarzyszyli Ci podczas ceremonii chrztu, wszyscy nadal tam są, z wyjątkiem gościa, który dał Ci skarpetki.

Sutereny w moim domu to nie Ritz, ale Mam nadzieję, że będzie Ci tam wygodnie. Materac na sofie jest trochę nierówny, ale tylko po lewej stronie. Pamiętasz to ciasto pomarańczowe, które określiłeś mianem „najlepszego ciasta, jakie kiedykolwiek jadłeś”? ta sama dobra parafianka zadeklarowała, że w lodówce w suterrenach zostawi takie samo ciasto na Twój przyjazd.

Niech Bóg Cię błogosławił, George, w tym trudnym zadaniu rozpoczęcia nowego życia. Cynthia i ja bardzo żałujemy, że nie będzie nas tutaj, żeby Cię przywitać, ale przyjedziemy do domu na urlop na długi weekend we wrześniu, a na dobre wrócimy w czerwcu następnego roku.

Hal i marga Owen zapraszają Ciebie i Harleya na Meadowgate Farm na zapiekankę z kurczaka domowej roboty w dowolną niedzielę w lipcu. Możesz mi wierzyć na słowo, nie chciałbyś przegapić takiej uczy.

Na zakończenie, myślami jestem przy fragmencie psalmu 126, który cytowałem podczas naszego rozstania osiem lat temu. Ci którzy postępują naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na siew; z powrotem przychodzą wśród radości, przynosząc swoje snopy.

Jakie to cudowne, że Bóg sprawi, że powrotem przychodzisz, mój przyjacielu... tym razem wśród radości w miłości Tego Który pokochał nas pierwszy.

W drodze do baru Grill zdarzyła się dziwna rzecz. Zupełnie niespodziewanie przyszła mu do głowy myśl tak doskonała, tak właściwa, że nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej. Oczywiście. Oczywiście! Jedyny problem polega na tym, jak przedstawi ją Dooleyowi?

— Muszę coś zrobić, żeby ściągnąć tu klientów.

Percy wślizgnął się do boksu, wyglądając... Percy wyglądał staro, o to chodziło; mniej więcej tak samo jak reszta bywalców tylnego boksu. Wciągnął drugi podbródek.

— Może powinienem zmienić menu — zastanawiał się Percy — i zaproponować specjalność dnia, którą serwowałbym w tym samym dniu, co tydzień.

— Żołądki drobiowe! — zawołał Mule.

— Jakie żołądki drobiowe?

— Powtarzam ci od lat, że żołądki drobiowe to sposób na wypchanie sobie kabzy.

— Nie mów mi o żołądkach drobiowych, do licha! Należą do tej samej kategorii co cztery litery, za przeproszeniem. Nie doczekasz dnia, w którym zacznę sprzedawać żołądki.

— Żeby dorobić się w restauratorstwie — wyjaśniał Mule — musisz odłożyć preferencje osobiste na bok. Żołądki drobiowe są bardzo popularne.

— Ma rację — włączył się J.C. — Sprzedaż żołądków drobiowych w tym mieście będzie dużym sukcesem. Żołądki tu pasują.

Mule wypił łyk kawy.

— Wszystko, co musisz zrobić, to wystawić tablicę i zobaczyć, co się stanie.

Percy spojrział na nich sceptycznie.

— Jaką tablicę?

— Zwykłą, prostą tablicę. Sam ją zrób i wystaw w oknie, żadna wielka sprawa.

— Gdy razem z Velmą przejdziemy na emeryturę z końcem roku, chcę skończyć z pozytywnym wynikiem, może uda mi się wysłać ją do Waszyngtonu, żeby zobaczyła kwitnące wiśnie, nigdy nie widziała, jak kwitną wiśnie.

— Właśnie o to chodzi z żołądkami drobiowymi — wyjaśnił Mule.

— Co masz na myśli?

— Żołądki drobiowe wygenerują tu trochę gotówki.

— Wydawało mi się, że wątróbki drobiowe powinny przyciągnąć tu większe tłumy — odparł Percy.

— Wątróbki zamrażają zbyt dużo kapitału.

J.C. pałaszował wiejską szynkę, jajka na miękko i przystawkę w postaci jogurtu.

— Wątróbki są zbyt kosztochłonne. Twoim celem powinien być niski koszt inwestycji i wysokie zyski.

Mule spojrział na J.C., nie bez podziwu.

— Znowu czytałeś „Wall Street Journal”.

— Jaki napis miałbym umieścić na tablicy? — dopytywał się Percy.

— Oto, co ja bym napisał — radził Mule. — „Dzisiaj żołądki drobiowe”.

— Tylko tyle? „Dzisiaj żołądki drobiowe”?

— Wszystko się w tym zawiera. Tak jak mówiłeś, oferuj swoją specjalność dnia raz w tygodniu, może w...

Mule bębnił palcami w stół, myśląc.

— Niech no pomyślę...

— We wtorki! — wykrzyknął J.C. — Wtorki byłyby dobre na żołądki drobiowe. Nie chciałbyś zaczynać w poniedziałki od żołądków, to byłoby za wcześnie w tygodniu. A w środy wolałbyś coś bardziej...

— Coś bardziej optymistycznego — dokończył Mule. Ojciec Tim posmarował masłem resztkę swojego tostu.

— Zgadza się!

— W środy mógłbyś podawać lasagne — wyjaśniał J.C. — Byłbym gotów dużo zapłacić za lasagne w tym mieście.

Zapadła długa, pełna namysłu cisza, przzerwana jedynie beknięciem. Wszyscy spojrzeli na Mule'a.

— Przepraszam — powiedział.

— Czy wszyscy jecie żołądki drobiowe? — zwrócił się do siedzących przy stoliku Percy.

— Za żadne skarby świata — odparł J.C.

— Absolutnie nie — rzucił Mule.

— Ja dziękuję — odparł ojciec Tim. — Ja zjadłem żołądek drobiowy w pierwszej klasie szkoły podstawowej i to mi wystarczy.

Percy zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem. Jesteście jednymi z moich najlepszych stałych klientów — dlaczego miałbym sprzedawać coś, czego żaden z was nie będzie jadł?

— My jesteśmy innym pokoleniem — wyjaśnił J.C.

— Och — odparł Percy. — A więc ile żołądków drobiowych powinno się składać według ciebie na jedną porcję?

— A ile polędwiczek drobiowych podajesz w jednej porcji?

— Sześć — powiedział Percy. — O jedną za dużo za tę cenę.

— A więc dobrze, ponieważ w żołądkach drobiowych jest dużo mniej mięsa niż w polędwiczkach, dałbym piętnaście albo szesnaście żołądków minimum.

J.C. zamoczył bułkę z mikrofalówki w żółtku jajka.

— Nie zapomnij dobrze otoczyć ich w cieście, usmażyć na chrupko i podawać z dipem.

Percy wyglądał przez chwilę bardzo poważnie, potem nagle się rozchmurzył.

— Piętnaście żołądków, dwa dolce. Co myślicie?

— Myślę, że Velma pojedzie do Waszyngtonu — odparł ojciec Tim.

Krótką chwilę ciszy wypełnił dźwięk zmywarki pracującej na pełnych obrotach, tuż za tylnym boksem. Przyzwyczajeni do jej obrotów bywalcy tylnego boksu nie zauważyli, że cykl zmywania powoduje rytmiczne drżenie podłogi.

— Jak myślisz, jak sobie poradzi twój złodziej klejnotów? — zapytał J.C.

— Nie jest moim złodziejem klejnotów — rzucił gniewnie ojciec Tim.

— To na poddaszu twojego kościoła się ukrył — wyjaśnił Percy.

— Myślę, że poradzi sobie bardzo dobrze. Spłacił cały swój dług wobec społeczeństwa, ale co jeszcze ważniejsze, jest zbawionym człowiekiem z silną wiarą.

Cisza.

Przeżuwanie. Siorbanie.

— Mam nadzieję — kontynuował ojciec Tim — że wyciągniecie do niego pomocną dłoń.

Proszę. To wszystko, co miał do powiedzenia na ten temat. Mule skinął głową.

— Nie ma sprawy. Tak należy postąpić. Przeżuwania ciąg dalszy.

— Więc jak to się stało, że nie jedziesz do Rwandy albo jakiegoś podobnego miejsca? — chciał wiedzieć Percy.

— Hoppy nie chciał się zgodzić.

Hoppy nigdy nie rozważyłby nawet takiej możliwości. Ojciec Tim znał swoje ograniczenia, a były one liczne.

— A co z dziećmi z twojego własnego podwórka? Myślałeś kiedyś o zrobieniu czegoś dla nich?

To, że od dwudziestu lat wspiera Szpital Dziecięcy w Wesley, jest jego prywatną sprawą; nigdy o tym nie mówił.

— Tennessee to jest nasze własne podwórko.

Nie mógł pojąć, jak mógł skończyć pośród tej zgrai bęcwałów.

— Będziemy za tobą tęsknić — wyznał Mule, klepiąc go w ramię. — Nie będę wiedział, co tutaj zamówić.

Ojciec Tim roześmiał się, już nie czując urazy. Pomyślał, że on może też będzie za nimi tęsknił, chociaż prawdopodobieństwo, że tak się stanie, wydawało mu się raczej niewielkie.

— Oto nadchodzi Hamp Floyd — rzucił J.C. — Schowajcie portfele.

— Dlaczego?

— Miasto potrzebuje nowego wozu strażackiego.

— Wydaje się, że to słuszny cel — stwierdził ojciec Tim. Wyjął portfel i wyciągnął z niego banknot dziesięciodolarowy.

— Miasto ma pieniądze na zwykły wóz, ale Hamp chce, żeby miał dzwonki i gwizdki.

— Aha.

— A na dodatek nie chce nawet słyszeć o czerwonym wozie — wyjaśnił J.C.

— Można by pomyśleć, że szef straży pożarnej powinien lubić czerwony. Poza tym jaki inny kolor można brać pod uwagę?

— Żółty. Upiera się przy żółtym.

Żółty wóz strażacki? Ojciec Tim włożył z powrotem do portfela banknot dziesięciodolarowy i wyjął pięciodolarowy.

Zazwyczaj gadatliwa Puny krzątała się po kuchni, nie zauważając w ogóle jego obecności. Można by pomyśleć, że jest zupełnie niewidzialny, gdy tak siedzi przy kuchennej ladzie i pije herbatę.

Spojrzał na nią sponad gazety.

Znał te jej ściągnięte brwi i smutno spuszczone wzrok; Puny Guthrie miała swoje uczucia wypisane na twarzy, niczego nie mogła przed nim ukryć. Mógł ją zapytać wprost, co się dzieje, ale z drugiej strony... może woli nie wiedzieć.

Opuścił wzrok na opowieść o miejscu pochówku żołnierzy unionistów, które ponoć istniało na terenie rozległej posiadłości Edith Mallory na grzbiecie wzgórza nad Mitford. Coot Hendrick, ich nieoficjalny tymczasowy burmistrz i prawnuk założyciela Mitford, chciał, aby groby zostały oznaczone i udostępnione zwiedzającym, podobnie jak kilka innych zabytków na tym obszarze. Edith Mallory, bezpieczna za kombinacją elektrycznych płotów i elek-

tronicznych bram, konsekwentnie odmawiała dostępu komukolwiek, a tym bardziej — jak to określiła w liście do wydawcy, „lubującym się w śmierci i profanacji”.

Jak zwykle, „Muse” zamieściła dodatkową kolumnę, zawierającą wszystkie wersy piosenki, która rzekomo została skomponowana przez założyciela Mitford, Hezekiaha Hendricka, i wedle Coota Hendricka i jego starszej już matki była niezbitym dowodem na to, że groby mogą się znajdować na terenie posiadłości pani Mallory.

*Zastrzelił pięciu jankesów Z wojny zbiegłych Znalazł ich pośród zbóż Cichutko śpiących Teraz już nie uciekną, o nie Nie uciekną, o nie!*

*Siekierą i motyką Pięć grobów wykopał Przykrył ich ziemią Zanim śnieg spadł Teraz już nie uciekną, o nie Nie uciekną, o nie!*

Przypisek wydawcy: Pani Hendrick, która znajduje dużą radość w śpiewaniu pieśni, przekazywanej w jej rodzinie przez pokolenia, twierdzi, że pierwsza zwrotka mogła oryginalnie brzmieć: „Znalazł ich pośród swoich zbóż”, uwiarygodniając w ten sposób teorię, że pięciu jankeskich żołnierzy, w istocie, zostało pochowanych na terenie posiadłości pani Mallory.

— Yhm, yhm! — odezwał się ojciec Tim.

Ten komentarz nie doczekał się żadnej odpowiedzi z ust jego wieloletniej pomocy domowej, która pozostała niewzruszona niczym grób, zajęta obieraniem jabłek na szarlotkę.

— Puny, co cię dręczy?

Odwróciła się od zlewu i spojrzała na niego dziwnie, a następnie wybuchnęła płaczem.

No właśnie. Nie powinien się odzywać. Puny uniosła fartuch i schowała w nim twarz.

— Miałam straszny sen!

— Opowiedz mi wszystko — poprosił. — Chodź i usiądź tutaj.

Poklepał taboret obok siebie.

— Nie umiem mówić, gdy siedzę — odparła, wycierając łzy. — Ten sen wydawał się tak realny, wydawało mi się, że dzieje się to naprawdę. Przez cały dzień zamartwiam się tym na śmierć.

— Co ci się śniło?

— Ten sen był o ojcu. Nie wiedziałam, czy powinnam ojcu mówić. To znaczy chcę ojcu powiedzieć, ale nie wiem, czy powinnam, bo to trochę tak, że jak ojcu powiem, to może się naprawdę zdarzyć.

Ponownie zasłoniła twarz fartuchem.

— Był ojciec taki chory.

— Puny, Puny, to był tylko sen, nie płacz, wszystko jest w porządku! Jestem zdrowy jak ryba!

Wstał z taboretu, podszedł do niej i otoczył ręką jej szerokie ramiona.

— Po prostu nie zniosłabym, gdyby ojcu się coś stało, jest ojciec jedynym dziadkiem, jakiego kiedykolwiek będą miały dziewczynki...

Wydymuchała nos w chusteczkę, którą jej podał.

— O czym był ten sen?

— We śnie błagałam ojca, żeby poszedł ojciec do lekarza, i Cynthia też, a ojciec nie chciał iść i poczuł się ojciec naprawdę źle, i...

— I co?

— I może nawet ojciec umarł, nie pamiętam końca, ale wyglądało tak, jakby ojciec umarł, Joe Joe mnie obudził, bo płakałam.

— Wyrzuć to z pamięci, to był tylko sen. Spałaś prawdopodobnie na plecach. Ja miewam złe sny, gdy śpię na plecach.

— Spałam na boku, zawsze śpię na boku — zapewniała go.

— Więc prawdopodobnie jadłaś zbyt późno, to zawsze tak skutkuje.

— Nie! — zaoponowała, potrząsając głową. — Zjadłam tylko sałatkę owocową, nie miewa się złych snów po sałatce owocowej.

Westchnął.

— Wydaje mi się, że ten sen coś znaczył. Wydaje mi się, że powinien ojciec pójść do doktora Harpera i sprawdzić, czy stan ojca zdrowia jest w porządku.

— No cóż... — odparł, nie chcąc robić wielkiego zamieszania z powodu snu.

— No cóż to za mało — stwierdziła kategorycznie. — Musi ojciec to zrobić dla Cynthii. I dla Sissy, i Sassy.

— No dobrze — zgodził się. — Pójdę.

— Mógłby ojciec wziąć słuchawkę i umówić się już teraz.

Druga Emma Newland, tyle że z piegami.

— Prawdę powiedziawszy, mam umówioną wizytę... niech no sprawdzę, za trzy dni! Co ty na to?

Przyjrzała mu się uważnie, czerwonymi od płaczu oczami.

— Ojciec...

— Tak?

— Wydaje mi się, że Bóg chce, żeby ojciec to zrobił.

— No cóż, w takim razie sprawa jest przesądzona — odparł z przekonaniem.

— Najdroższy, musisz obciąć włosy.

Obetnij włosy. Idź do lekarza. Czy to się nigdy nie skończy?

— To może chwilę poczekać.

— Wyglądasz jak reżyser filmowy z Los Angeles.

— A co ty możesz wiedzieć o reżyserach filmowych z Los Angeles?

— Telewizja, kochanie. Przypominasz sobie telewizję? Reżyserzy filmowi pojawiają się w takich programach jak noc Oscarów, którą ja i ty oglądaliśmy ostatnio przez całe dziewięć minut, dopóki nie zasnęliśmy w ubraniach.

— Ach.

— Więc kiedy będziesz mógł to zrobić?

— Nie wiem.

— Tak, ale wiesz, jaka jest alternatywa. Jeśli nie obetnie ci włosów fryzjer, to znaczy, że ja będę musiała to zrobić, albo Dooley. — Jego żona uniosła do góry jedną brew i uśmiechnęła się.

Na samą myśl poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Obydwoje najnormalniej w świecie oszpecili go raz czy dwa razy w przeszłości, a Puny nie zgodziła się dotknąć jego włosów za żadne skarby świata. Ale ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to znaleźć się w ogniu walki, jaką obecnie toczyli Joe Ivey i Fancy Skinner. Pod żadnym pozorem nie będzie się skradał przez tylne drzwi Cukierni Sweet Stuff i ryzykował, że wpadnie na Fancy Skinner; jej widok wy-

starczyłyby, żeby jego włosy od razu stanęły dęba. Prawdę powiedziawszy, plotka głosiła, że często spoglądała ze swojego balkonu na górze, żeby zobaczyć, kto wychodzi i idzie do Joe Iveya, i zapisywała imiona. Emma mówiła, że Fancy widziała, jak zdradziła ją Marcie Guthrie, nie wspominając o innych. Za nędzne dwa dolary mniej Marcie poszła do Joe i opuściła ponoć jego lokal, wyglądając jak J.C. Hogan.

— Niech sobie chodzą na dół! — rzuciła gniewnie Fancy, nieomal przypalając ucho Emmy lokówką. — Każdy może zaoszczędzić dwa dolary, a potem spędzić dwa miesiące, żałując że to zrobił.

— Pojadę do Wesley w najbliższym czasie — odparł, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

Siedział na sofie w pracowni, gdy usłyszał, jak Puny i jego żona rozmawiają o ich sąsiadce.

— Nie wydaje mi się, żeby była stworzona do małżeństwa — oceniła Cynthia, płucząc mieszanek warzyw do sałatki.

— Tak, ale jest ładną kobietą, wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdyby miała męża.

— Może. Ale kto, na litość, mógłby to być? Chodzi mi o to, że to jest Mitford!

— Uważaj! — zawołał do kuchni. — To przecież właśnie w Mitford mnie znalazłaś.

Puny zachichotała.

— Wydaje mi się, że ma słabość do ojca.

— Tak, no cóż — zgodziła się jego żona — poradzi sobie z tym!

No proszę! Jakie miłe słowa. Czując się nagle pewny siebie, zsunął ze stóp półbuty.

— A co powiesz na właściciela Collar Button? — zapytała Puny, kładąc na ladzie duże talerze.

— Nie wydaje mi się, żeby był stworzony do małżeństwa.

— Pan Omer — zaproponowała Puny. — Ma taki miły szeroki uśmiech.

— Omer Cunningham jest cudowny, ale nie jest w jej typie. Kochanie, jakich mamy jeszcze kawalerów w Mitford?

— Hm. Niech no pomyślę. Avis Packard!

— Zbyt dziwny! — odparła jego żona, przewracając oczami.

— Scott Murphy! — zawołał z pracowni.

— Timothy! Scott i panna Pringle nie pasowaliby do siebie w ogóle. Co ci też przyszło do głowy?

— Nie próbuję kojarzyć par, pytałaś mnie o kawalerów. Chciałbym jednak, żeby Scott znalazł kogoś, gdyby ci przy okazji przyszło coś do głowy.

— Jest też oczywiście — kontynuowała Cynthia, pomijając jego prośbę w sprawie Scotta — szwagier Andrew Gregory'ego, Tony, przystojny mężczyzna i katolik tak jak panna Pringle, ale oczywiście...

— Zbyt młody! — stwierdziła Puny.

— To bardzo trudne. Podrapał się w głowę.

— Stary Mueller?

— Timothy, na litość boską!

— Pamiętaj, ja nic nie proponuję, wymieniam jedynie kawalerów, tak jak mnie poproszono. Lew Boyd!

Lew był wdowcem już od wielu lat. Cynthia udała, że nie słyszy ostatniej propozycji. Uniósł do góry ręce, wymieniając jedyne pozostałego kawalera, jaki przychodził mu do głowy.

— Coot Hendrick!



— No widzisz? — zwróciła się Cynthia do Puny. — Nie ma absolutnie nikogo w Mitford dla miłej francuskiej pani, która uczy gry na pianinie.

On i Cynthia pracowali z zapalem w ogródku, przed i za żółtym domem. Burmistrz Gregory dodał wszystkim ochoty do pracy przed dorocznym Dniem Róż, reklamując wydarzenie w gazetach, stąd do Charlotte, Asheville, Winston-Salem i Raleigh. Teraz wszyscy robili co w ich mocy, żeby uporządkować ogródki przed przyjazdem turystów już za kilka dni. Podczas gdy poprzednia pani burmistrz, Esther Cunningham, nienawidziła samego słowa „turysta”, Andrew Gregory był odmiennego zdania, twierdząc, że kontrolowana turystyka to dziedzina gospodarki, która nie powoduje emisji szkodliwych substancji ani skażenia wody. Kupcy, pomimo sympatii dla rządów pani burmistrz Cunningham, wyraźnie preferowali renesans burmistrza Gregory'ego.

Mimo że pięć zadań z listy ojca Tima zostało już odhaczonych, następujące wciąż na niej widniały:

*Spryskać rabaty z przodu, przyciąć wisterię nad garażem, wyrwać wiciokrzew/bluszcz ze schodów, nawieźć/posypać korą/spryskać róże, taczki od H. Pringle, nowy wąż/końcówka.*

Czy zdąży na czas? Czy jego lista jest zbyt ambitna? Jest też lista Cynthii, znacznie dłuższą niż ta w jego kieszeni. Oparł się na ogrodowej łopacie i otarł pot z czoła zużytą chusteczką do nosa.

— Nie ma spoczynku dla potępionych — stwierdził.

— A prawi go nie potrzebują! — odskrzyknęła jego żona, kończąc jedno z ulubionych powiedzeń wujaszka Billy'ego Watsona.

Kucała z opielaczem w dłoni, wrywając z zapalem całą kępę pięciornika z rabaty z bylinami wychodzącej na Wisteria Lane.

Ojciec Tim usłyszał gwałtowne hamowanie samochodu na ulicy, zatrzymującego się przy chodniku.

— Oto i ona! — zawołał ktoś.

Spojrzał w górę, w chwili gdy kierowca i pasażer wyskakiwali z buicka z pracującym silnikiem, a następnie przebiegli chodnik i w jednej sekundzie znaleźli się przy rabacie z bylinami. Obydwie panie miały na sobie hawajskie suknie muu muu, chociaż w różnych kolorach, i obydwie wyglądały na podekscytowane i lekko zdenerwowane.

— Pani jest Cynthia Coppersmith! — wykrzyknęła ta z aparatem na szyi.

— Miły pan w drogerii powiedział nam, gdzie pani mieszka — wyjaśniła druga — ale proszę mu nie mówić, że zdradziłyśmy to pani.

— Jesteśmy pani największymi fankami, przyjechałyśmy tutaj aż z Albany w stanie Georgia, tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie tworzy pani te swoje małe książeczki o kocie!

— Miałyśmy nadzieję, że panią spotkamy, ale nawet nie marzyłyśmy, że znajdziemy panią w ogródku!

— Ojej, często jestem w swoim ogródku — zauważyła Cynthia.

— Stań obok niej, Sue Lynn, żebyśmy mogła zrobić zdjęcie!

Zauważył, że Sue Lynn podskoczyła i ustawiła się za jego żoną z zadziwiającą zwinnością. Pstryk.

— Sue Lynn, kochanie, mrugnęłaś, zrobię jeszcze raz.

Pstryk.

— Ach, hm, czy mógłby się pan przesunąć, poprzednie wyszło z pana ramieniem.

Pstryk.

— Przepraszam, czy mógłby pan zrobić zdjęcie Sue Lynn i mnie, jak stoimy za Cynthią?

W jednej sekundzie aparat znalazł się w jego dłoniach.

— Sue Lynn, słonko, zdejmij okulary, nie widać ci twarzy!

— Na litość boską! — rzuciła jego żona, wyraźnie zdenerwowana. — Jestem brudna, naprawdę nie powinniśmy tego robić.

Poruszył go wyraz osłupienia i przerażenia na jej twarzy.

— Drogie panie! — zaproponował swoim głosem kaznodziei. — Czy moglibyśmy...

— Wystarczy spojrzeć przez to małe okienko na środku i nacisnąć przycisk po prawej stronie — poradziła właścicielka aparatu.

Pochyliła się nad Cynthią, która zastygła w kucającej pozycji.

— Po prostu kochamy te twoje małe książeczki ponad wszystko, to takie ekscytujące, nie mogę uwierzyć, przyślemy ci odbitki, zawsze zamawiamy 10 na 15 na błyszczącym papierze. Sue Lynn, słonko, przysuń się tutaj! Ten mały przycisk po prawej stronie! Po prawej! Proszę bardzo!

Zauważył, że Dooley zjada pośpiesznie swoją lasagne, nie mogąc się już doczekać, kiedy zabierze Tommy'ego i zawiezie go do Wesley na film. Ich plan, żeby jadać co najmniej jeden posiłek dziennie razem, nie był łatwy do wykonania, ale jak do tej pory im się udawało i został im jeszcze jeden dzień, do chwili gdy jutro wieczorem Dooley przeprowadzi się do domu swojej mamy. Potem chłopiec wyjedzie do Meadowgate na całe lato, żeby pomagać Halowi Owenowi w jego praktyce weterynaryjnej, a oni wyjadą do Tennessee.

— „Sława...” — szepnął, krobiąc oliwą z oliwek kromkę chleba.

— Tak, co chciałeś powiedzieć? — zainteresowała się Cynthia.

— „...nigdy nie będzie towarzyszem spokoju” — dokończył słowa Montaigne'a w wolnym tłumaczeniu.

— I wszystko z powodu małych książeczek o kocie. Kto by pomyślał?

Jego żona wyglądała na dziwnie zadowoloną.

Ta cała afera z nagrodą w Nowym Jorku i zaproszenie na tournée po kraju to jedna sprawa, ale to, co wydarzyło się dzisiaj, to już zupełnie coś innego. Wizyta pań w sukniach muu muu dziwnie wyprowadziła go z równowagi.

— Kto wybiera się z tobą do kina? — zwrócił się do Dooleya.

Uważał, że chłopiec wygląda wyjątkowo przystojnie; jego kości policzkowe były ładnie zarysowane.

— Tommy.

— Wiem o Tommym. Ktoś jeszcze?

— Jenny. I koleżanka Tommy'ego.

— Aha.

— Jenny — szepnęła jego żona, unosząc brwi.

Ich młoda sąsiadka z domu z czerwonym dachem pojawiała się i znikwała z życia Dooleya z pewną częstotliwością w ciągu ostatnich lat.

— Czy Lace nie wróciła już do domu? — zapytał ojciec Tim.

Słyszał, że Lace zatrzymała się u swojej współlokatorki po drodze ze szkoły do domu. Dooley wzruszył ramionami.

— Zadzwonimy po prostu do Harperów i sprawdzimy

— zaproponowała Cynthia, zrywając się od stołu. — Przepraszam!

— Chwileczkę! — zawołał Dooley, wyglądając na zaniepokojonego. — Nie dzwońcie. Nie chcę wiedzieć, czy jest w domu.

— Nie chcesz wiedzieć? — zapytała Cynthia, wyraźnie nie zmartwiona tym, że jej pytanie wyda się zbyt oczywiste.

— A co to może zaszkodzić?

Nie bez pewnego pośpiechu chłopak złożył serwetę, demonstrując dobre wychowanie wdrożone w szkole, i wstał.

— Muszę iść. Dziękuję za kolację.

— Bardzo proszę — odparł ojciec Tim, wyczuwając napiętą atmosferę. — Lunch jutro, zgadza się?

Dooley wyszedł z kuchni, nie oglądając się za siebie.

— Stawię się żywy czy umarły! — zawołał przez ramię i zniknął w korytarzu.

Ojciec Tim spojrzał na Cynthię, w której oczach tańczyły złośliwe iskierki.

— No widzisz? — rzuciła.

— Co mam widzieć?

— Umiera z ciekawości, czy Lace jest w domu! Westchnął mimowolnie.

— Mógłby zapytać w miasteczku, gdyby chciał wiedzieć. Może naprawdę nie chce wiedzieć, czy Lace jest w domu.

— Nie chodzi przecież o to, żebyśmy mu chcieli coś narzucić — tłumaczyła się.

— Oczywiście — odparł. — Z pewnością nie!

Na pewno nie zabierze Dooleya do baru Grill, w żadnym razie. J.C., Mule i Percy chcieliby wiedzieć wszystko o szkole, dziewczynach, samochodach, stopniach. Nie miał na to ochoty. Poza tym Dooley nie ceni zbyt wysoko baru Grill, jako że menu nadal oferuje wątróbkę i frytki, które zdecydowanie nie są najwyższych lotów.

Przeczytał gdzieś, że jakiś lokal w Wesley oferuje zawijane kanapki typu „wrap”. Nie wiedział dokładnie, co to jest, ale wydawało mu się nowoczesne i do przodu. Zdołał nowy numer na informacji, zadzwonił, żeby zapytać o adres, i Dooley zawiózł ich tam mustangiem z rozłożonym dachem.

— Więc co myślisz? — zapytał, gdy rozglądali się po lokalu oferującym zawijane kanapki typu „wrap”.

Miejsce wypełnione było młodymi ludźmi z kolczykami w nosach i tatuażami, grała też muzyka, która przypominała... nie był pewien, co przypominała, może odgłos kogoś dyszącego ciężko do pustej skorupy kokosa.

— Ekstra — rzucił Dooley.

— A jak podobał wam się film? — zapytał, gdy odwijali swoje zawijane kanapki typu „wrap”.

— Super.

Co się stało z jego słownictwem? Przy niebotycznych kosztach dwudziestu dwu tysięcy rocznie zostało zredukowane do zasobów leksykalnych gwarka. Oczywiście, przekonali się razem z Cynthią, że oceny ma pierwszorzędne, więc nie mogli na nic narzekać pod tym względem.

— Jak się ma Jenny?

Dooley odgryzł duży kęs. Ojciec Tim odgryzł duży kęs; zawartość kanapki z drugiego końca spadła mu na kolana.

— Wspaniale — odparł Dooley.

W wieku jedenastu lat, i to prawie bez żadnego przygotowania szkolnego, Dooley Barlowe był w stanie wyrażać się pełnymi zdaniami. Ojciec Tim nie mógł zrozumieć tego nagłego pogorszenia — nie mógł złożyć go na karb jednego samotnego roku na University of Georgia; to musiało zostać zapoczątkowane w tej wymyślnej szkole w Wirginii.

— Czy nie chciałbyś, eee... przywitać się przynajmniej z Lace, zanim wyjedziesz do Meadowgate?

— Przywitać się? Ona nie chce się ze mną przywitać. Ostatnim razem, gdy do niej zadzwoniłem ze szkoły, była zbyt zajęta, żeby się przywitać, nawet nie oddzwoniła. Chciałbym, żebyś przestał cały czas wymawiać jej imię, Lace, Lace, Lace, zupełnie mnie to nie obchodzi.

Twarz mu płonęła.

— Przepraszam — odparł ojciec Tim jak najbardziej szczerze.

— Właśnie spadła ci na kolana sałata — zauważył Dooley.

— To najfajniejszy samochód w całym miasteczku — stwierdził Dooley w drodze do domu. — W Mitford nie ma naprawdę żadnych fajnych samochodów.

— Nieprawda! Jest przecież plymouth panny Sadie z 1958 roku, który nadal stoi w garażu w Fernbank. Niektórzy oddaliby wszystko, żeby dostać w swoje ręce taki samochód.

Gdy Dooley objeżdżał pomnik, ojciec Tim pomachał ręką Billowi Sprouse'owi, który wyszedł na spacer ze swoim psem, Sparkym. Ojciec Tim uważał, że Sparky wygląda jak kuchenny mop, prowadzony na smyczy.

— Nie ma też w Mitford żadnych fajnych dziewczyn. Według Cynthii i Puny nie było mężczyzn; według Dooleya nie było dziewczyn.

Ojciec Tim poczuł nagle przyływ natchnienia.

— Nie jedźmy do domu! Pojedźmy do Farmer.

Droga do Farmer była drogą, na której Dooley ćwiczył jazdę, drogą, na której Dooley rozbił starą ciężarówkę Harleya... Była drogą pełną wspomnień. Dzisiaj czuć było lato; chciał delectować się każdą minutą z chłopcem, który dorastał tak szybko, zbyt szybko.

Dooley spojrzał na swojego pasażera i uśmiechnął się.

— Ekstra — odparł.

Zatrzymali się przy wiejskim sklepiku i wynieśli swoje zimne napoje na zewnątrz, siadając na drewnianych ławkach przy stole pod klonem. Ojciec Tim delectował się jego mentolowym cieniem. Wiał delikatny wietrzyk.

— Chciałem o czymś z tobą porozmawiać — zwrócił się do Dooleya.

Zamilkł na chwilę i zwrócił się do Boga w kilku słowach niemej modlitwy.

— Chodzi o Sammy'ego i Kenny'ego.

— Nie chcę już o nich mówić.

— Ale musimy to zrobić, raz na zawsze, musimy znaleźć twoich braci. Myślę o tym już od dłuższego czasu i w końcu przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Nie uda się. Nie ma sensu ich szukać, nigdy ich nie znajdziemy, minęło zbyt dużo czasu. Buck ich szukał, ty ich szukałeś i...

— I co?

— I modliłeś się.

— Zawsze.

— I Cynthia się modliła, mama się modliła i ja się modliłem. Nawet Jessie i Poo. Nic z tego nie wyszło.

— To prawda. Jak na razie.

Dooley spojrział na swoją butelkę z napojem.

— Jaki pomysł?

— Jeśli chcemy znaleźć twoich braci, szczególnie Sammy'ego, myślę, że musimy znaleźć najpierw kogoś innego.

— Kogo?

Właśnie tego bał się najbardziej.

— Twojego ojca.

— Nie — rzucił Dooley, podnosząc się z ławki. — Nie. Jego twarz była biała, cofnął się o kilka kroków.

— Tylko on może dać nam jakieś wskazówki. Sammy był z nim, gdy widziano go po raz ostatni. To szansa, z której musimy skorzystać, synu.

— Myślałem, że chcesz być moim ojcem.

Dooley cofnął się aż pod klon i stał tam, gotów się bronić.

— Chcę ci dać wszystko, co może dać ojciec, ale nie mogę dać ci żadnych wskazówek co do Sammy'ego, w odróżnieniu od — jak sądzę — twojego biologicznego ojca. Pomóż mi to zrobić, Dooley.

— Nienawidzę go! — zawołał Dooley. Na jego pokrytej piegami twarzy pojawiły się łzy. — Nie chcę go widzieć, nie chcę, żeby się włóczył w pobliżu, żeby był pijany i bił wszystkich, i obrzucał mnie wyzwiskami.

— Tak, ale...

— Mógłby znaleźć mamę i skrzywdzić ją albo zabrać Jessie i Poo.

— Będę w Tennessee, ale pojedę wszędzie, gdziekolwiek on będzie. Albo Buck — Buck pojedzie. Ale musisz nam pomóc odnaleźć miejsce jego pobytu, być może opowiedzieć o jego zwyczajach.

Dooleyowi pozostały z nimi niecałe dwa dni, a teraz ta przykra sprawa w środku jedyne prywatnego popołudnia, jakim mogli się razem cieszyć...

Nie można jednak w nieskończoność odkładać przykrych spraw.

Dooley otarł oczy wierzchem dłoni.

— Nie pamiętam — odparł. — Poza tym może już nie żyje. Mam nadzieję, że nie żyje.

— Proszę. Usiądź. Spróbuj sobie przypomnieć. Kenny ma teraz siedemnaście lat, Sammy piętnaście, jest tylko cztery lata starszy od ciebie, w chwili gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy.

Tak wyraźnie, jakby się to stało zaledwie wczoraj, ojciec Tim przypomniał sobie obraz jedenastoletniego Dooleya Barlowe'a, bosego i w brudnych spodniach na szelkach, zagląającego do drzwi jego kancelarii. „Czy jest tu jakieś ustronne miejsce?”

— Postarajmy się najlepiej jak potrafimy, spróbujmy jeszcze raz — powiedział. — Życie jest przecież takie krótkie.

Coś mocno ścisnęło go w gardle — z powodu Sammy'ego i Kenny'ego, z powodu Dooleya i z powodu wszystkich przykrych spraw w życiu.

Czy jest zazdrosny o sławę swojej żony? Wyrwał dmuchawiec z wilgotnej ziemi i cisnął go na stertę. Z drugiej strony, czy dwie kobiety w sukienkach muu muu można potraktować jako prawdziwą oznakę sławy? Jego twarz płonęła na myśl o tym, że ktoś zwrócił się do niego, jakby był ogrodnikiem.

Postanowił się pomodlić — prosząc o pokorę, o pomoc w pokonaniu swojej dumy. Przynajmniej wydawała się dumą na powierzchni. Czy było w tym wszystkim coś głębszego? Z pewnością nie mógł być zazdrosny o żaden zaszczyt należny jego żonie za długie lata ciężkiej pracy i poświęcenia.

Cokolwiek to było, istniało na poziomie dużo głębszym niż zazdrość. Usiadł w trawie przy ogrodzeniu, zdjął rękawice, których używał do pracy w ogrodzie, i oparł się o sosnę. Więc co naprawdę sprawiało, że jego żołądek doznawał nagłego skurczu?

Strach.

To było takie proste.

Bał się, że ktoś mu ją zabierze, porwie ją jakiś przyływ, którego nie będą w stanie przewidzieć ani kontrolować.

— Jak ci idzie nowa książka? — zapytał, gdy leżeli w łóżku.

Masował jej szyję, jak miał to w zwyczaju, gdy spędzała długie godziny nad stołem do rysowania. Dawno temu stracił nadzieję, że już nie będzie sobie robić tej krzywdy; nie, za bardzo to kochała. Tak jak dla niego głoszenie słowa Bożego, tak i dla niej ilustrowanie książek było podstawową czynnością, tak przeżywała życie.

— Hm. Dobrze, najdroższy. Bardziej na prawo, czuję straszny ból bardziej na prawo.

— Muszę znowu ustawić krzesło przy twoim stole do rysowania.

— Byłbyś tak miły, Timothy?

— Oczywiście. Zajmę się tym z samego rana. Opowiedz mi o książce.

— Jestem przerażona, że mi nie wyjdzie. Powinnam była się posłuchać, wtedy gdy mówiłam, że nie będę już więcej pisać książek o Violet. Myślę, że może ją odłożę do czasu naszego powrotu do domu z Tennessee.

— Nic dziwnego, że masz z nią problemy. Ten kot naprawdę zrobił już wszystko, co było do zrobienia — widział już królową, nauczył się grać na pianinie, był na plaży, mieszkał w hotelu w Nowym Jorku, uczył się francuskiego jako drugiego języka...

— Masz rację! Uch, boli mnie tutaj. O czym rozmawiałeś z Dooleyem podczas lunchu?

— O odnalezieniu jego ojca, żeby zobaczyć, czy uda nam się coś dowiedzieć o chłopcach. Wszystko, co ma jakikolwiek związek z jego ojcem, przeraża go, oczywiście. To mogłoby się okazać włożeniem kija w mrowisko.

— Rozumiem. Ale to dobry pomysł, Timothy.

— Przypomniał sobie, że jego ojciec miał przyjaciela, kumpla do pijatyki, z którym się zadawał, z którym pakował się w kłopoty. Dooley przypomniał sobie bardzo wyraźnie, jak się nazywał — Shorty Justice. Mieszkał w Holding, pracował na autostradzie. Zamierzam poprosić Emmę, żeby się tym zajęła.

Jego byłej sekretarce, która pomogła odnaleźć Jessie Barlowe, nic nie sprawiało większej przyjemności niż prowadzenie śledztwa w cyberprzestrzeni.

— Pomogę ci najlepiej, jak będę potrafiła — obiecała Cynthia. — Zrobię wszystko.

Pochylił się i pocałował ją w ramię, z przyjemnością czując dotyk jej ciała. Była dla niego niczym balsam, była wszystkim, czego mógł kiedykolwiek pragnąć albo o czym mógł kiedykolwiek marzyć, była jego najlepszym przyjacielem, dodawała mu otuchy i zachęty do pracy. Jak mógł kiedykolwiek wieść tę posępną, nierealną egzystencję kawalera i uważać się za człowieka pozostającego w pełni władz umysłowych?

— Kocham cię — powiedział.

— Ja też cię kocham, kochanie. — Ziewnęła, obróciła się i założyła mu ramiona na szyję. — Jesteś nadal moim kochaniem, prawda?

Uśmiechnął się.

— Na całe życie, a potem na zawsze! — odparł, cytując napis wygrawerowany na swojej obrączce.

## Rozdział czwarty

[www.szukaj&znajdz.com](http://www.szukaj&znajdz.com)

Emma Newland opadła ciężko na skórzany fotel w jego pracowni, poprawiła szydełkową poduszkę za swoimi plecami i otworzyła laptop.

Miała w zwyczaju pojawiać się w żółtym domu o ósmej trzydziści w każdy wtorek rano, w celu wprowadzenia do komputera ostatniego fragmentu eseju, nad którym obecnie pracował, wysłania przeróżnych e-maili w imieniu jej byłego pracodawcy, chrupania chipsów tortilla, aby utrzymać odpowiedni poziom cukru w organizmie, i porządkowania jego biurka, czy mu się to podobało, czy nie.

Uważała tę pracę, zazwyczaj cztery bite godziny, za swój „święty obowiązek”, podpisawszy rodzaj paktu z Bogiem. Zobowiązała się służyć swojemu bezradnemu, byłemu pastorowi, dopóki śmierć ich nie rozłączy, pod warunkiem że Bóg zaoszczędzi jej agonii i dolegliwości związanych z artretyzmem — na który, przynajmniej jak sięgała pamięcią, cierpiała każda kobieta w jej rodzinie. Do tej pory cierpiała jedynie na drobne rwanie w prawym kciuku, które przypisywała zbyt częstemu używaniu myszki.

Bez względu na to, jak bardzo nie w stylu jej byłego pastora byłoby poruszenie takiego tematu, uważał, że jej brwi wyglądają na przypalone albo wręcz zupełnie nieobecne, jak gdyby nie zdążyła uskoczyć, rozpalając grilla na wolnym powietrzu. Jej brwi zawsze niesamowicie przypominały mu kosmate robaki, które obrosły w dodatkowe futerko na zimę.

Prawdę powiedziawszy, twarz jego sekretarki wydawała się tik bardzo obnażona, że czuł się zażenowany.

— Na co się tak patrzysz? — rzuciła ostro, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Poczuł się jak uczeń przyłapany na wpuszczaniu ropuchy do dziewczęcej toalety.

— Na nic!

Manipulowała sprzętem spoczywającym na jej kolanach.

— No więc, czy już przeszedłeś wiosenne przeziębienie?

— Nie zamierzam się przeziębic — odparł.

— Jak, u licha, tego unikniesz... Całe to picie ze wspólnego kielicha ze wszystkimi i każdym z osobna, i całe to podawanie sobie ręki przy przekazywaniu znaku pokoju.

Nie skomentował jej wypowiedzi.

— Teraz, gdy już nie musisz pić z kielicha w każdą niedzielę, powinieneś zacząć maczać opłatek, to właśnie robiłam, zanim wróciłam do baptystów.

Ugryzł się w język.

— Domyślam się, że słyszałeś, iż metodyści będą mieli księdza kobietę.

Nie lubił, gdy Emma pierwsza poznawała nowiny, szczególnie gdy dotyczyły sfery duchowej. Był małostkowy, ale...

— No, no.

— Sprawdź, czy masz jakąś pocztę — stwierdziła — potem spróbujemy odnaleźć tatę Dooleya.

Obrócił się na swoim krześle twarzą do biurka i rozpoczął nanoszenie ostatecznych poprawek do eseju o postulacie Wordswortha, zastanawiając się, czy będzie musiał znosić towarzystwo Emmy Newland nawet w niebie. Nie, z pewnością nie, ponieważ to z pewnością miałoby posmak tego drugiego miejsca...

Usiłował nie cieszyć się zbyt na myśl, że być może rzeczywiście uda mu się odnaleźć Clyde'a Barlowe'a, tu, w tym pokoju, dzisiaj. Usiłować nie robić sobie zbyt wielkich nadziei po jednej próbie wykonanej po omacku, chociaż jego biskup w Alabamie udzielił mu ostrej nagany właśnie w tej kwestii.

Jego Ekscelencja ksiądz biskup Paul Jared Sotheby pogroził mu palcem jak belfer. „Timothy, skończ z tą bzdurą przygotowywania się na najgorsze i zacznij spędzać czas, przygotowując się na najlepsze!” Nigdy nie zapomniał tej rady, mimo że rzadko mógł z niej korzystać.

Emma wpatrywała się w ekran, pogwizdując cicho przez przednie zęby. Muzyka pop nie była jego mocną stroną, ale brzmiało to jak dwie pierwsze linijki *Delta Dawn*, powtarzane w nieskończoność.

— Spójrz — zawołała — masz wiadomość!

— Naprawdę?

Podsłoczył i pochylił się nad jej ramieniem.

— Aha!

Marion Fieldwalker, jego była parafianka i dobra znajoma z Whitecap Island.

— Dałem jej mój adres e-mailowy, niech ją Bóg błogosławi, żeby mogła być z nami w kontakcie.

Drogi O, napiszę to najlepiej jak potrafię, to mój pierwszy dzień w cyberprzestrzeni.

O. Conklin nie był dla nas zbyt dużym rozczarowaniem. Ma słabość do parafialnych kolacji i starych pieśni i organizuje wycieczkę do Ziemi Świętej. Sam uważa, że się sprawdzi.

Morris Love gra na organach w każdą niedzielę. Nigdy nie słyszeliśmy takiego niebiańskiego grzmotu! Ludzie przyjeżdżają ze wszystkich stron, żeby rozkoszować się muzyką, a w ostatecznym rozrachunku słuchają o łasce boskiej, co jest całkiem przyjemnym rozwiązaniem.

Ella Bridgewater przywozi drogiego kapitana Larkina do kościoła prawie we wszystkie niedziele i zastępuje Morrisa w co piątą niedzielę. Jeffrey Tolson pracuje w college'u na łądzie przez trzy dni w tygodniu i w Dorchester w dużym doku przez dwa dni. Przychodzi do kościoła z Janette i dziećmi w każdą niedzielę. Niektórzy uważają, że wróci do swoich złych nawyków, ale Sam jest zdania, że da sobie radę.

Bardzo za ojcem tęsknimy. Otis i Marlene wybudowali plac zabaw za kościołem i Jean Ballenger pisze historię St. John's zawierającą listę wszystkich napisów nagrobnych, włącznie z ojca ulubionym: „Stateczna w końcu” Maude Boatwright, który jak sobie przypominam, bardzo się ojcu podobał. Wyślę ojcu kopię, jak tylko wyschnie tusz.

Sam cierpi na zapalenie nerki, bylibyśmy wdzięczni za ojca modlitwę. My zawsze pamiętamy o ojcu w naszych.

Serdeczne pozdrowienia dla ojca i Cynthii. Gdy ojciec wyjechał, to było tak, jakby ktoś zdmuchnął płomień, ale staramy się dzielnie sobie radzić.



Wyprostował się, chwytając się za plecy.

— Poczekaj! — zawołała. — Jest więcej.

— Moje plecy... — jęknął, czując ból w każdym stawie.

— Gdybyś nie był taki oszczędny i kupił sobie drukarkę, nie musiałbyś czytać poczty przez moje ramię!

Niech lichy weźmie współczesną technologię. Opierał się jej przez lata, aż kilka dni temu ostatecznie uległ i pozwolił Puni, żeby go nauczyła obsługiwać mikrofalówkę. To był przełomowy moment, coś, z czego nie był dumny, ale w przeciągu kilku sekund jego letnia herbata parowała. Może powinien kupić drukarkę.

— Spójrz — zawołała. — Twój przyjaciel z Mitford w Anglii.

— Przesuń w tę stronę, światło odbija się od ekranu. Pochylił się trochę niżej, walcząc z ciężkim zapachem My Sin, który unosił się nad jego sekretarką jak mgła nad Górą Świętej Heleny.

— Ta czcionka jest za mała!

— Bolać cię plecy, światło odbija się od ekranu, czcionka jest za mała. Jedyne wyjście: musisz sobie kupić własny laptop, jak wszyscy normalni ludzie! — Prychnęła. — Usiądź, przeczytam ci. „Drogi Ojczy...”

Mrugnęła i spojrzała do góry.

— Wiesz, że mogę sprawić, iż będziesz dostępny online w mgnieniu oka!

— Nie chcę być dostępny online.

— W każdej chwili. Daj mi po prostu znać.

— W żadnym razie — odmówił kategorycznie.

— Schowaj głowę w piasek, pozwól, żeby życie przeszło ci koło nosa — mruknęła. — „Drogi Ojczy...”

Gwałtowny deszcz zabębnił w szyby. Usłyszał głos radia swojej żony dochodzący z jej pracowni.

— „Co za absolutnie fantastyczny pomysł, aby uczynić z naszego i Waszego Mitford miasta partnerskie. Jestem pewien, że cała ta sprawa będzie wymagała trochę pompy, żeby wszystko było oficjalne. Nie wiem dokładnie, co to powinno być, ale moja żona Judy z pewnością wymyśli coś odpowiedniego. Słynie z organizowania najlepszych wyprzedaży w okolicy i nasz pastor jest również w tym bardzo dobry. Wszyscy zrobimy burzę mózgow i wymyślimy coś wspaniałego, jestem pewien. Najlepsze życzenia powodzenia w Ojczy pracy misyjnej w Tennessee, skąd — jak mi się wydaje — pochodzi znakomita większość Waszej whisky. Pozostaniemy w kontakcie przez Ojczy dobrą sekretarkę. Szczerze oddany, Cedric Hart”.

— Cudownie — rzucił. — Coś jeszcze?

— To wszystko. Czy chcesz, żebym coś wysłała, zanim zacznę szukać Clyde'a Barlowe'a?

— To — powiedział, podając jej kartkę, na której zapisał cytat dla Stuarta Cullena.

— Mógłbyś to zrobić sam — rzuciła.

— Do licha, Emma...

*Architektura kościelna — zaczęła pisać — powinna być ziemskim i przemijalnym spełnieniem proroctwa samego Zbawiciela, że mimo iż głosy ludzkie umilkną, skały i kamienie będą głosić chwałę i uwielbienie i cześć należne Królowi królów i Panu panów. Michel di Giovanni, średniowieczny budowniczy i projektant.*

— Do kogo? — zapytała.

— Do biskupa.

Obserwował, jak porusza myszką.

— Załatwione! A teraz możemy zaczynać, jesteś gotowy?

— Wspaniale!

Z trudem wytrzymał na swoim fotelu.

— Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei — uprzedziła go, spoglądając na niego sponad swoich połówkowych okularów.

— Oczywiście, że nie — odparł.

— To trochę potrwa.

— Tak.

Machnęła w jego stronę ręką.

— Więc zrób, co masz zrobić ze swoim esejem, żebyśmy mogła wprowadzić go do komputera, zanim wyjdę.

Usiłując wyrzucić z pamięci trwające właśnie poszukiwania, utworzył z jednego akapitu dwa i wykreślił liniijkę, która poprzednio wydawała mu się błyskotliwa. Oceniał jednak po wyblakłym druku, że taśma w jego ręcznej maszynie do pisania marki Royal jest już nieomal całkowicie zużyta. Emma z pewnością nie będzie z tego zadowolona, przepisując tekst.

Zegar tykał, deszcz zaczął w szyby, radio grało Brahmsa. Czy nie mogłaby po prostu przejść do litery B i znaleźć go? Co zajmuje jej tak dużo czasu?

Usunął akapit, przeniósł dwie linijki i poprawił Blake, żeby zaczynało się z dużej litery, tak jak William. Trzydzieści minut, żeby znaleźć zwykłe imię?

— Spójrz tylko! — wykrzyknęła.

— Co?

— Do licha.

— Co?

— No, no — stwierdziła, w ogóle nie zwracając na niego uwagi.

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wstać i spojrzeć jej przez ramię.

— Widzisz tutaj?

Pokazała palcem na listę nazwisk.

— Gdzie?

— O tutaj. Cate Turner. Czy to nie tak samo nazywa się tato Lace Turner?

— Rzeczywiście tak.

— Jest tylko jeden Cate Turner na tej liście i mieszka w Hope Creek, tym małym miasteczku niedaleko Holding.

— Lace wcale nie chce wiedzieć, gdzie jest jej tato. Wręcz przeciwnie. Szukaj dalej.

Prawdę powiedziawszy, Lace została prawnie adoptowana przez Harperów i przybrała ich nazwisko, mimo że większość mieszkańców Mitford, z przyzwyczajenia, nadal nazywała ją Lace Turner.

— A tak w ogóle, dlaczego jesteś przy literze T? — zapytał rozdrażniony. — Nie znajdziesz Barlowe'a pod literą T.

— Szukałam Caldecotta Turnera, mojej sympatii ze szkoły średniej, mówiliśmy na niego Cal.

— Emma, Emma...

— Już sprawdziłam wszystkich Barlowe'ów.

— I?

- I z przykrością muszę ci powiedzieć, że nie ma tam żadnego Clyde'a Barlowe'a.
- Musi być. Zarówno imię, jak i nazwisko są bardzo popularne w tej okolicy.
- Sprawdziłam wszystkie pięćdziesiąt stanów i całą Kanadę, Nową Szkocję i Yukon, i jeszcze...
- Ale to takie proste nazwisko. Z pewnością...
- Zobacz sam.

Wstała, wysuwając laptop w jego stronę.

- Usiądź sobie tutaj i pobaw się trochę, a ja wyjdę do toalety.

Cofnął się, uśmiechając się mimo woli.

- O nie. Nie uda ci się! Nie zamierzam dać się zwieść twojej marnej sztuczce i uzależnić się od tego żalnego ustrojstwa.

Emma zachichotała, co nie zdarzało się często.

- Uzależnisz się prędzej czy później. Równie dobrze możesz tego nie odkładać.
- Gdy wrócisz — odparł, ignorując jej prognozę — chciałbym, żebyś poszukała kogoś o imieniu Shorty Justice.

Ale Shorty'ego Justice'a też nie było.

Gdy odprowadzał Emmę do drzwi, wiedział, że o to zapyta, i wiedział, że będzie tego żałował.

- Hm. Twoje brwi...
- Co ci się nie podoba w moich brwiach? — rzuciła gniewnie.
- Wyglądają... — Wzruszył ramionami. — Inaczej!
- Czyż nie wiedział, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?
- Czy ja pytam cię o twoje brwi?
- No cóż, nie, ale moje wyglądają tak samo.
- O naprawdę? A kiedy ostatnio patrzyłeś do lustra?

Minęła go w drzwiach, nieomal zmiatając go z drogi. Poszedł natychmiast do łazienki na dole. Patrząc w lustro, doszedł do wniosku, że jego brwi nie wyglądają w żaden sposób inaczej niż zwykle, a już z pewnością nie dziwnie.

- Czy moje brwi wyglądają dziwnie? — zwrócił się do Cynthii.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie. Dlaczego pytasz?
- Emma powiedziała, że powinienem przyjrzeć się moim brwiom w lustrze.
- Skąd przyszło jej to do głowy?
- Nie wiem. Przypuszczam, że dlatego, że zapytałem ją o jej brwi, wydawały mi się... inne.
- Ach, to o to chodzi! Ależ oczywiście, że wyglądają inaczej! To znaczy w ogóle ich nie ma! Fancy Skinner namówiła Emmę do regulacji brwi i zamiast je wydepilować, Fancy użyła paska z woskiem, pozbawiając ją w ten sposób całości.

— Ojej.

- Gdy umrę, Timothy, pamiętaj o moich instrukcjach. Pamiętasz, prawda?

Pamiętał. Ta instrukcja była spisana odręcznie i przypięta spinaczem do testamentu jego żony, który żądał tradycyjnego pochówku, w odróżnieniu od coraz bardziej popularnej kremacji.

TIMOTHY,

nie pozwól Fancy Skinner dotknąć moich włosów!!!

*Twoja z niebios i na zawsze, C.*

Wrangler Dooleya był u Lew Boyda, gdzie Harley pracował nad ręczną skrzynią biegów, która zgodnie z nazwą nastęrczała trudności przy ręcznej obsłudze.

— Zawiozę cię do mamy — zaproponował ojciec Tim. Nie chciał, żeby Dooley wyjeżdżał, w ogóle, ale oczywiście nie zamierzał o tym mówić...

— Czy mogę pojechać twoim samochodem dzisiaj wieczorem, bo mój będzie gotowy dopiero jutro?

— Czy możesz pojechać?

— Czy mógłbym pożyczyć twój samochód? Ojciec Tim uśmiechnął się, czekając.

— Proszę!

— Tak, możesz go pożyczyć — zgodził się ojciec Tim, rzucając mu kluczyki.

— Dziękuję, tato!

— Bardzo proszę.

Był wzruszony, gdy chłopiec dał mu mocnego kuksańca w ramię.

Wszystkie książki, jakie mogliby zapragnąć przeczytać albo skonsultować w czasie ich pobytu w Tennessee, znajdowały się nareszcie w pudłach. Zauważył, że są to zasadniczo te same książki, które zabrali ze sobą w długą podróż do Whitecap, z dodatkiem skrzynki książek dla dzieci.

Cofnął się i podrapał się w głowę. Co jeszcze? Ach! Chciałby Tozera i dzieła zebrane George'a Macdonalda, które znajdowały się na górze, zapomniał o nich; była też kwestia Galsworthy'ego...

Przypominał też sobie, że jego żona wygłosiła mu kazanie o tym, żeby nie zaglądał do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń w żadnym innym celu niż tylko po to, żeby pożegnać się z Hope Winchester. Chodziło o to, że ani jemu, ani Cynthii nie było wolno dodać ani jednego grama wagi do obecnego bagażu, który zabierali ze sobą.

Nie obiecał jej, że nie kupi kolejnej książki, chociaż przyznał, że uważa jej radę za bardzo trafną. Było to oczywiście, zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje tego tomu Galsworthy'ego. Jedna mała książka! I na dodatek w miękkiej oprawie! Ile może ważyć? I tak nie włożyłby jej do skrzynek z książkami, upchnąłby ją w swojej torbie, zawinałby w piżamę. Niektórzy mężczyźni uganiali się za kobietami, niektórych fascynowały szybkie samochody. Wielka sprawa, on lubił książki.

Zanim wyszedł spełnić swoją misję, otworzył drzwi do lodówki i znalazł zapas coli, którą trzymali na wizyty Dooleya. Zdał sobie sprawę, że ignoruje narastające pragnienie i mimo że nie powinien tego robić, puszka była już otwarta... zapewne wywietrzała, ale co tam, napije się jeden łyk. Opróżnił puszkę, wyplukał ją, zgniótł i wrzucił do kosza na odpady w garażu.

Zapłacił trzynaście dolarów z drobnymi.

— Ach, nie wspominaj o tym — rzucił, pewien, że Hope dobrze go zrozumie.

— Oczywiście, że nie! — odparła Hope, urażona. — Wiele osób prosi mnie o zachowanie tajemnicy.

— Naprawdę? Jakiej na przykład?

Spojrzała na niego przez swoje okulary w szylkretowej oprawce i uśmiechnęła się.

— Gdybym ojcu powiedziała, to już nie byłaby...

— Tajemnica! — dokończył. — Oczywiście.

Włożyła książkę do torby i podała mu.

— Przypuszczam, że wie ojciec, iż niektóre osoby pozwalają sobie na bardzo krytyczne uwagi pod adresem człowieka z poddasza.

— Nie dziwi mnie to.

— Twierdzą, że jego kryminalna przeszłość z pewnością odezwie się na nowo.

Nie mógł tego w żaden sposób skomentować, podobnie jak nie mógł nie zauważyć, że Hope wygląda na dziwnie zmartwioną i trochę bladą.

— Modłę się, żeby wszystko było dobrze i bardzo dobrze — odparł. — Może ty też chciałabyś się o to pomodlić?

— Ja się nie modłę.

— Aha.

Włożył torbę pod ramię.

— Ale wierzę w Boga — dodała.

— To dobrze! Bóg wierzy w ciebie.

— Więc mam nadzieję, że wasza wyprawa będzie naprawdę wspaniałą, podziwiam was za to, że tam jedziecie i że będziecie mieszkać na pustkowiu, mam nadzieję, że zabieracie ze sobą środki przeciw ukąszeniom żmij.

— Hm, raczej nie. Cóż! Chyba nie zobaczę cię wcześniej jak we wrześniu, mam nadzieję, że wszystko...

— Ojcze?

— Tak?

— Czy ma ojciec chwilkę?

— Oczywiście. Spuściła wzrok.

— Wydaje mi się, że... powinnam ojcu o czymś powiedzieć.

Przez te wszystkie lata, kiedy znał Hope Winchester, nigdy nie powiedziała mu niczego w zaufaniu.

— Napisałam do człowieka z poddasza list — szepnęła. — Powiedziałam mu, że Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń będzie miała dla niego pracę, gdy przyjedzie.

— Ależ to wspaniale!

— Widzi ojciec, wydawało mi się, że wszyscy lubią pana Gaynora za to, jak poradził sobie z tym, co zrobił, przyznając się publicznie do winy przed ojca kongregacją, a potem prosząc ojca, żeby wezwał ojciec policję, żeby go aresztowali, i wszystkie te pary butów, które zostały przyniesione na posterunek policji. Ktoś mi powiedział, że wygłosił ojciec o nim kazanie i nazwał go ojciec kimś w rodzaju świętego Pawła. Teraz nie jestem już pewna, niektórzy twierdzą, że może zacząć znowu kraść. Jestem bardzo zmartwiona tym, że uczyniłam taką pochopną deklarację. A co, jeśli ludzie nie będą już chcieli tu przychodzić, co, jeśli obniży to sprzedaż?

— Czy mówiłaś o tym Hélèn?

Mimo że nieobecna w Mitford przez dziewięć miesięcy w roku, właścicielka księgarni była znana z tego, że bardzo interesowała ją wszystkie szczegóły dotyczące jej biznesu.

— Kilka tygodni temu poleciła mi zatrudnić pracownika na niepełny etat, który zająłby się zamówieniami rzadkich książek. Wiem, że ma do mnie całkowite zaufanie, ponieważ nigdy jej nie zawiodłam.

— Jestem tego pewien.

— Teraz nie wiem, co zrobić.

— Skoro mowa o świętym Pawle, prosił nas, abysmy nigdy nie przestawali się modlić. Nie bój się, ale zamierzam się o to pomodlić w tej chwili.

— W tej chwili? — zapytała Hope. Pochylił głowę.

— Ojciec — zaczął — mamy tu problem. Prosimy Cię, żebyś dał Hope mądrość, jak powinna postąpić, i aby w swoim sercu znalazła jednoznaczną odpowiedź od Ciebie. W imię Jezusa, amen.

Hope spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— To wszystko?

— Tak! — odparł. — Posłuchaj swojego serca, będziesz wiedziała, co zrobić.

— Ach — rzuciła z wyraźną ulgą.

— A przy okazji, myślę że wszyscy na nowo pokochają George'a Gaynora.

— Dziękuję, ojciec, dziękuję!

— Przyślę ci kartkę z naszym nowym adresem — obiecał. — Napisz mi, jak się wam wiedzie.

Wszedł do drogerii, poszedł prosto do działu ze słodyczami i zaczął przyglądać się przezroczystym paczkom z żelowymi cukierkami.

— Szuka ojciec żelowych cukierków dla swojego lekarza? — zapytał Tate Smith.

— Tak.

— Wydaje mi się, że nieźle je przetrzebił kilka dni temu.

Ojciec Tim przyjrzał się uważnie jednej paczce.

— Ta wygląda, jakby miała dużo zielonych. Wezmę ją.

Hoppy Harper słynął z tego, że uwielbiał zielone cukierki żelowe; uważnie wybierał je spośród różnych smaków i po oczyszczeniu torebki z ulubionych przekazywał resztę swoim siostrom.

— Wydaje mi się, że lekarz, który zajada cukierki żelowe, nie jest dobrym przykładem dla swoich pacjentów — stwierdził Tate. — Mój lekarz kazał mi rzucić cukier, ale nie pokazuje mi, co sam je. Doktor Harper nie dba o to, kto wie, że ma słabość do słodyczy.

Tate wystukał na kasie zakup na kwotę jednego dolara siedemdziesięciu dziewięciu centów.

— Jada zapewne bekon i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

— Parówki! — dodał ojciec Tim.

— Czy będzie ojciec grał w drużynie Redsów w tym roku? — zapytał Tate.

Ojciec Tim włożył cukierki żelowe do torby z książką.

— W tym roku nie dam rady. Wyjeżdżamy do Tennessee na jakiś czas. Może w następnym roku.

Zdał sobie sprawę, że czuje ogromną ulgę na myśl, że nie będzie musiał grać w zwycięskiej drużynie softballowej Mitford. Myśl, że musiałby biegać pomiędzy bazami, uderzać w piłkę, podnosić kij...

Był zmęczony, gdzieś głęboko w środku, w miejscu, do którego nigdy wcześniej nie zaglądał. Ale to wszystko nie miało sensu. Nie był już pełnoetatowym księdzem; nie musiał się denerwować na spotkaniach rady parafialnej, prowadzić robót budowlanych ani martwić się o dziwnych parafian; od czasu do czasu udzielał jedynie ślubów, chrztów albo odprawiał pogrzeb i nie musiał już przygotowywać nikogo do bierzmowania. Nie musiał już nawet biec do toalety, jak robił to w Whitecap, żeby poprawić spłuczkę, bo ktoś źle spuścił wodę.

Bieganie! W tym właśnie był klucz. Powinien wrócić do swojego grafiku biegania. Jak tylko wstanie z fotela fryzjerskiego Joe Iveya, pójdzie prosto do domu, założy Barnabie smycz i wybiorą się w jego starą trasę — w górę Main Street, w prawo w Lilac Road, w dół Church Hill i w prawo na Old Church Lane, do parku Baxter, a potem do domu.

W drodze do Joe zjrzał do Sklepu i odnalazł Avisa, który ciął właśnie udziec barani.

— Wygląda na wspaniałą kawałek mięsa — ocenił ojciec Tim.

— Jak piecze ojciec baraninę?

— Różnie.

— Oto mój sposób, który nigdy nie zawodzi. Ogrzać piekarnik do dwustu trzydziestu stopni.

— Tak?

— Natrzeć mięso czosnkiem i cytryną, włożyć trochę świeżego rozmarynu pod skórę, umieścić całość na ruszcie, bez przykrycia, nadaża ojciec?

— Tak.

— Obniżyć temperaturę do stu sześćdziesięciu stopni I zostawić, aż wewnętrzna temperatura spadnie do około osiemdziesięciu. Wspaniałe! Wyśmienite! Znakomite! Wszystko jasne?

— Tak.

— Jak to będzie ojciec robił, proszę pokroić na ćwiartki i usmażyć kilka ziemniaków, i zrobić sałatkę z dodatkiem mojego octu balsamicznego w zielonej butelce, trzeci rząd, druga półka. Czy chce ojciec przepis na moją miętową galaretę?

— Już go mam, dziękuję.

Stanął na jednej stopie, a potem na drugiej.

— Avis! Jakies nowiny w kwestii zatrudnienia nowego kierowcy?

— Już go znalazłem! Zaczyna w środę.

— Aha.

Avis wytarł ręce w fartuch.

— Uwieńczyłbym to jakimś szacownym merlotem.

Innymi słowy, pomyślał ojciec Tim, wolne stanowisko było z pewnością zajęte.

Joe Ivey strzepnął i rozłożył złożoną na pół pelerynę, po czym zarzucił ją ojcu Timowi na ramiona i zawiązał na szyi z tyłu.

— Słyszałem, że przyjeżdża do ciebie więzień.

— Nie będzie więźniem, gdy tu przyjedzie; będzie wolnym człowiekiem, pełnym skruchy i pragnącym dołączyć do społeczeństwa.

— To nie zawsze wychodzi.

— Co nie zawsze wychodzi, aa... udaje się?

— Ta skrucha.

— Tobie się udało. Od jak dawna nie pijesz?

— Od czterech lat, już prawie pięciu.

— No widzisz?

Ojciec Tim był przekonany, że usłyszał szpilki Fancy Skinner stukające o podłogę nad ich głowami, ale nie poruszyłyby tego przykrego tematu za żadne skarby świata.

Joe wziął do ręki nożyczki i grzebień.

— Podetnij mi tylko trochę po bokach — poprosił ojciec Tim.

— Opierają ci się o koloratkę, najpierw pozbędę się tej peleryny z twojej szyi.

— Cynthia mówiła, żebyś nie obciążł mnie na rekruta.

— Gdybym dostawał pięciocentówkę za każdym razem, gdy kobieta każe mi przekazać taką wiadomość, miałbym forsy jak lodu i mieszkałbym w Los Angeles.

— Dlaczego, u licha, miałbyś chcieć tam mieszkać?

— Nie chciałbym, to po prostu pierwsze duże miasto, które przyszło mi do głowy.

— Aha. — Ojciec Tim ujrzał spory kosmyk włosów upadający na podłogę.

— Gdzie będzie pracował?

— Nie wiem. Mamy kilka możliwości.

— Nie chciałbyś, żeby nie miał pracy.

— Oczywiście, że nie.

— To byłaby zbyt duża pokusa.

— Polubisz tego człowieka. Pamiętaj, przyznał się publicznie do winy i oddał się w ręce policji; był gotów przyznać się do błędu i spędzić osiem lat, płacąc za niego. Daj mu szansę.

— Nie wiem...

— Nasz Bóg jest Bogiem drugiej szansy, Joe.

Joe cofnął się i spojrzał spod przymrużonych powiek na swoje dzieło, następnie podał ojcu Timowi lusterko.

— No cóż, oto i są.

— Co?

— Twoje uszy. Kiedy ostatnio je widziałeś?

Wyszedł od fryzjera i siedł na róg Main Street, ze spuszczoną głową. Nie przyznałby się nikomu, nawet Cynthii, ale coś z tego, co powiedziała Hope, jego też już martwiło. Rzeczywiście, co będzie, jeśli sprawy nie ułożą się pomyślnie dla George'a? Cała wina spadnie na niego. Co gorsza, jego tutaj nawet nie będzie, wyjedzie do Tennessee i nie będzie miał żadnej możliwości, aby śledzić przebieg wydarzeń w domu. W jakiś dziwny sposób cały czas nie docierał do niego fakt, że wkrótce przeprowadzą się do Tennessee; wydawało mu się to takie nierealne. Pudła były spakowane, ubrania gotowe do zasunięcia w workach, ale...

Przyznał się przed sobą, że odczuwa ulgę, iż nie udało im się znaleźć Clyde'a Barlowe'a. Rzeczywiście, było możliwe, że sprawdziłyby się najgorsze obawy Dooleya; gdyby udało im się znaleźć tego mężczyznę, rodzina mogłaby być zagrożona, to było igranie z ogniem. Dlaczego mieszał się w cudze sprawy, ułatwiając George'owi Gaynorowi wejście do Mitford i aktywnie poszukując kogoś, kto zawsze sprawiał tylko kłopoty?

Gdy znalazł się przed szpitalem oddalonym o cztery przecznice, pomyślał, że równie dobrze może zgłosić się na izbę przyjęć i mieć to za sobą. Jego stopy i nogi zdawały się ważyć całą tonę; dosłownie dowlókl się na wzgórze. Przypomniał sobie, że wujaszek Billy zaprosił go, żeby zajrzał do niego dzisiaj po południu, ale może jutro...

— No i jak ci się podoba styl rekruta?



— Styl rekruta?

— Twoje włosy. To, co ci z nich zostało.

Jego lekarz, o jak zwykle bujnej czuprynie, uśmiechnął się i przecesał dłonią swoje własne, skręcone i potargane włosy, które porastały obficie jego głowę.

— Odczyt glukometru jest niebotyczny. Dwieście pięćdziesiąt.

Jego serce zamarło.

— Wiesz, że powinien być zdecydowanie poniżej dwustu, idealnie, żeby oscylował około stu czterdziestu.

Nic nie powiedział; nie cierpiał tej choroby, miał jej dość...

— Poproszę siostrę Kennedy, żeby pobrała ci krew do badania laboratoryjnego. Co stało się z twoim programem ćwiczeń?

— Niech no się zastanowię... — Miał wrażenie, że jego mózg zawinięty jest w watę. — Przeminał z wiatrem, wydaje mi się.

Hoppy wrzucił do ust zielonego cukierka żelowego. Ten spokój, pomyślał ojciec Tim.

— Jestem gotów zabronić ci wyjazdu.

— Co?

— Albo to, albo pozwolę ci wyjechać, wierząc ci na słowo, jeśli zobowiążesz się do bezwzględnego dbania o siebie.

— To znaczy...?

— To znaczy, że musisz wrócić do surowego przestrzegania programu ćwiczeń i musisz przestrzegać diety. Ponadto podwoję ci dawkę insuliny.

Ojciec Tim spojrzał na swoje buty.

— Wiesz, że im większa będzie dawka insuliny, tym bardziej będziesz głodny i jeśli nie będziesz ćwiczył, przytyjesz, będziesz się fatalnie czuł... to błędne koło. Więc jest sprawą konieczną, abyś o nich pamiętał, ojciec. Przepisuję ci kolejne dziesięć jednostek... codziennie. Codziennie rano, wieczorem, żadnego zmniejszania, zapomnienia i żadnych wymówek.

Skinął głową, porażony.

— Martwię się o ciebie, przyjacielu. Nie ma natychmiastowego lekarstwa na cukrzycę.

— Tak.

— Kto będzie twoim lekarzem w Tennessee?

— Nie wiem, nie myślałem o tym.

— Na szczęście nie musisz. Mam starego przyjaciela ze szkoły w Nashville. Zadzwoń do niego, to nakaz.

Hoppy zapisał jego imię w notatniku, oderwał kartkę i wręczył mu ją.

— Wydaje mi się, że nie zdajesz sobie sprawy, jak poważne może to być, mimo zapaści, przez którą przeszedłeś kilka lat temu.

— Może nie. Próbowalem przestrzegać programu ćwiczeń, ale ostatnio nie czułem się na siłach.

— To właśnie wtedy, oczywiście, powinieneś się do nich zmuszać.

— Oczywiście.

Być może był zmęczony ze względu na podeszły wiek. Wiek powinien się jakoś liczyć w tym wszystkim.

— Okropna rzecz, ćwiczenia — przyznał jego lekarz. — Dzięki Bogu cukrzyca nie wpisuje się w moje obciążenie genetyczne. Moi ludzie mają inne problemy.

— Jakie?

— Rak prostaty. Mój tato, dwóch wujków, kuzyn. Ojciec Tim potrząsnął głową.

— Przykro mi — odparł jak najbardziej szczerze. Któż nie miał krzyża do niesienia?

— Opowiedz mi o Lace. Czy już wróciła do domu ze szkoły?

— Wróciła wczoraj i poszła prosto do Harleya, mówiła, że spróbuje odwiedzić ciebie i Cynthię, zanim wyjedzie. Nie uwierzysz, jaka jest piękna, Timothy. Zniewalająco piękna.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— A na dodatek znalazła się na liście dziekana. Olivia i ja nigdy nie będziemy w stanie wystarczająco ci podziękować za to, że pomogłeś nam stać się rodziną. Nie było łatwo, ale jest promykiem naszego życia.

Ojciec Tim uśmiechnął się.

— To nie ja, oczywiście, pomogłem wam stać się rodziną, ale przekażę twoje podziękowanie w modlitwie dzisiaj wieczorem. Co zamierza zrobić za rok?

— Podjąć studia na University of Virginia.

— To dobrze. Wspaniale.

— Co u Dooleya?

— Jest przystojny. Niesamowicie inteligentny. Promyk naszego życia.

Roześmiali się razem swobodnie, dwójka, która modliła się za Olivię Davenport, aby znalazł się dla niej dawca serca do przeszczepu. Podczas procesu szukania serca jego dobry lekarz znalazł żonę.

Wieczorem nałożył swój strój do joggingu, zapiął smycz swojemu dobremu psu i wyszedł z nim pobiegać.

Nie działało. Na szczycie Church Hill nie pragnął niczego więcej, jak tylko usiąść i spoglądać w dół na miasteczko. Po prostu usiąść; nie biec, nie jechać do Tennessee, nie miał nawet ochoty wracać do domu na kolację.

Wieczorem wyjął glukometr z pudełka, żeby sprawdzić, ile pasków mu jeszcze zostało. Obszedł się z tym przedmiotem dość niezręcznie i upuścił go na podłogę. Gdy zaczął go szukać po omacku w nieoświetlonej łazience, usłyszał, jak rozgniała go stopą.

— No i dobrze! — stwierdził, włączając światło, żeby posprzątać podłogę.

# Rozdział piąty

## NAGŁA CIEMNOŚĆ

Siedział przy kuchennej ladzie, sporządzając listę prac ogrodowych do wykonania w zimie przez Harleya.

Czy liście powinny pozostać na trawie, czy też raczej zgrabione i dodane do kompostu? Istniały zdecydowanie dwie szkoły filozoficzne w tym temacie; jego życie natomiast było ciągłą huśtawką pomiędzy obydwoma. Ale dlaczego miałby się martwić tym w czerwcu, skoro Harley nie będzie musiał tego wiedzieć wcześniej niż pod koniec października?

Do kuchni weszła Cynthia i usadowiła się na taborecie obok niego.

— Dzwoniła Lace Harper. Będzie tutaj o czwartej!

— Aha! Dobra wiadomość!

— Zrobiłam lemoniadę i kanapki z serem pimiento. Zjemy razem podwieczorek.

— Zapomnij o serze pimiento.

— Timothy! Czy papież jest katolikiem?

Chichocząc, pocałował żonę i spojrzał na zegarek. Może uda mu się złapać Dooleya. Pośpieszył do telefonu przy sofie w pracowni.

— Jessie! — powiedział, gdy dziesięcioletnia siostra Dooleya odebrała telefon.

— Hej, ojcie Timie.

— Jak się masz?

— Dobrze. Dooley dał mi całe pudełko cukierków z drogerii, są w nich orzechy. Lubi ojciec orzechy?

— Jeśli chodzi o orzechy, to najbliżej mi do dziadka do orzechów — odparł, uśmiechając się.

— Dlaczego?

— Bo jestem zmęczony i jadę gdzieś, gdzie... naprawdę nie chcę jechać.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział.

— Ja też muszę robić rzeczy, których nie chcę robić.

— Jak na przykład co, jeśli mogę zapytać?

— Zmywać naczynia i odrabiać lekcje.

— Obydwe bardzo popularne w dziedzinie rzeczy, których ludzie nie lubią robić. Czy jest Dooley?

— Tak.

Usłyszał Dooleya w tle:

— Odpowiedz: tak, proszę ojca!

— Tak, proszę ojca, czy chciałby ojciec z nim rozmawiać?

— Tak, dziękuję. I, Jessie...

— Tak? To znaczy tak, proszę ojca?

— Chciałem ci to powiedzieć już dawno. Jesteś śliczną dziewczynką. Jesteśmy wszyscy bardzo z ciebie dumni.

Wzięła głęboki oddech, rozważyła komplement, potem zachichotała.

— Dziękuję.

— Bardzo proszę. Do zobaczenia po powrocie.

— Hej — przywitał się Dooley.

— Hej — odwzajemnił powitanie chłopca. — Lace Harper zagładnie do nas o czwartej. Cynthia przygotowała lemoniadę i kanapki z serem pimiento. Chciałbyś przyjść?

Cisza. Może powinien dorzucić talerz ciastek czekoladowych? Mógłby pójść do Sweet Stuff...

— Dooley?

— Nie wiem, raczej nie.

— Zajmie to trzydzieści minut, może godzinę, to nie będzie długa wizyta.

— Raczej nie.

Zauważył, że milczy.

— No cóż, w takim razie pojedę z tobą w czwartek rano do Meadowgate, dobrze?

— Dobrze.

— Kochamy cię, przyjacielu.

— Ja też was kocham. Klik.

— Nie przyjdzie — oznajmił ojciec Tim, czując się dziwnie smutny.

Jego żona podeszła do sofy na bosaka i opadła na miejsce tuż obok niego.

— Chcesz się założyć?

Być może napisze esej o tajemniczej zdolności kobiet do zauważania i przewidywania kwestii pozostających poza zasięgiem mężczyzny. Za pięć czwarta drzwi wejściowe otwarły się i do domu wtargnął Dooley.

— Hej.

Razem z Cynthią wymówili jednocześnie ich jednowyrazowe rodzinne powitanie:

— Hej!

— Zapomniałem czegoś.

— Czego? — zapytała Cynthia.

— Moich... eee... butów sportowych.

— Masz je na nogach. Dooley zarumienił się.

— Ach, tak. To znaczy nie, nie miałem na myśli tych. Moich starych butów sportowych.

— Wyrosłeś z nich.

Ojciec Tim objął żonę, mając nadzieję, że odwróci jej uwagę. Zachowywała się jak najprawdziwszy w świecie agent CIA, żołnierz oddziału szturmowego.

— Cynthia...

— Potrzebne mi są dla... dla Poo! — wyjaśnił Dooley.

— Dla Poo! Co za cudowny pomysł. Oczywiście!

— Oczywiście! — przyznał ojciec Tim. Szybka riposta! Jeden zero dla Dooleya.

Dooley uśmiechnął się, odsłaniając w uśmiechu rezultat prac dentystycznych na kwotę tysiąca sześciuset dolarów, sfinansowaną z funduszu panny Sadie.

Przystojny! — pomyślał ojciec Tim. Niesamowicie inteligentny! Promyk naszego życia!

Jego lekarz miał rację. Lace Harper była... jakiego słowa użył Hoppy, dokładnie? Piękna. Gdy spotkał ją po raz pierwszy, jak kradła pokrzywy panny Sadie, miała lekko wystające górne zęby, teraz widać było wyraźnie, że i Lace miała za sobą interwencję dentystyczną. To jednak jej oczy go fascynowały. Wydawało mu się, że są brązowe, ale w rzeczywistości były bursztynowe. Były olśniewającego, jasnobursztynowego koloru, który sprawiał, że trudno było oderwać wzrok od tej młodej kobiety.

Dooley usiłował wyciągnąć się swobodnie na sofie w pracowni, ale — ponieważ nonszalancka poza okazała się niewykonalna — na powrót przyjął pozę posągu.

— Co będziesz robiła latem? — Cynthia zwróciła się do ich gościa.

— Moja koleżanka Alicia zaprosiła mnie, żebym odwiedziła z nią jej ciocię w Martha's Vineyard, ale zamierzamy wybrać się całą rodziną na Zachód.

Zauważył, że wymowa Lace zbliżona jest do akcentu mieszkańców Wirginii, a nie Mitford, którzy swobodnie używali takich dźwięków jak szerokie „a” i „ej”.

— Kocham Zachód! — obwieściła Cynthia. — Gdzie?

— Pradziadek Hoppy'ego ma ranczo w Montarne, więc pojedziemy tam, a potem wyruszymy na Oregon Trail.

Lace uśmiechnęła się nagle.

Ojciec Tim uważał, że jej uśmiech jest prawdziwym cudem ozdowieńczym; gdy była dzieckiem, na jej twarzy malowała się jedynie złość i ogromny smutek. Był również pełen podziwu dla jej sposobu bycia. Mimo że była o rok młodsza od Dooleya, wydawała się mądrzejsza, bardziej dojrzała, ustatkowana.

— Wydaje się, że to będzie dobre lekarstwo dla mojego doktora — ocenił ojciec Tim.

Przez te wszystkie lata, gdy znał pracowitego praktyka medycyny, Hoppy wyjechał na wakacje tylko dwa razy, w tym raz była to jego podróż poślubna.

— Olivia kupiła mu buty kowbojskie.

— Aha!

— Ale nic mu nie mówcie — poprosiła Lace. — To sekret.

— Za nic w świecie!

Mimo że rozmowa toczyła się dość płynnie, napięcie w pokoju było wyczuwalne; odczuwał je gdzieś w okolicach szczęki, jakby zaciskał zęby, od chwili gdy pojawił się ich gość. Nie sposób było nie zauważyć chłodnej obojętności Lace wobec Dooleya i psychologicznej bariery, za którą schował się chłopak, żeby chronić swoje uczucia.

Ojciec Tim przypomniał sobie ten dzień, w którym chłopiec ukradł stary kapelusz Lace, a ona zareagowała, uderzając go tak mocno w zębra, że Dooleyowi wydawało się, iż kilka z nich może być złamanych. Tak, to dopiero była komunikacja!

Cynthia po raz drugi podała kanapki. Ojciec Tim wziął jedną, Lace podziękowała. Dooley wziął dwie, po jednej do ręki, następnie zdając sobie sprawę z popełnionego faux pas, usiłował odłożyć jedną z powrotem na talerz, ale Cynthia odsunęła go tak, że znalazł się poza jego zasięgiem. Włożył całą kanapkę do ust i siedział czerwony na twarzy, trzymając drugą, jakby go parzyła.

Coś trzeba zrobić! — pomyślał ojciec Tim. Podniósł się gwałtownie z fotela i zwrócił się do wszystkich obecnych.

— A może wszyscy wybierzemy się na przejażdżkę moim samochodem? Dooley, ty możesz prowadzić!

Tak! To powinno załatwić sprawę. Dooley za kierownicą czerwonego mustanga z rozłożonym dachem, ich czwórka, bez żadnych trosk...

— Na przejażdżkę? — zapytała jego żona, ponownie napełniając ich szklanki. — Po co?

Usiadł równie szybko, jak wstał.

— Nie poszło za dobrze, prawda? — zapytała Cynthia. Leżeli w łóżku, trzymając się za ręce.

— Zależy, czego oczekiwaliśmy.

— Oczekiwaliśmy, że będą przyjaciółmi, oczywiście, tak jak kiedyś.

— Powiedział mi, że zignorowała jego telefon, gdy zadzwonił do niej kiedyś do szkoły.

— Tak — odparła — ale chodzi o coś więcej. Ze względu na ich przeszłość obydwójce bardzo boją się swoich uczuć. Dooley może zabrać Jenny do kina i to niewiele dla niego znaczy, ale w jego uczuciach wobec Lace jest coś... tak intensywnego, tak wrażliwego, że po prostu usiłuje je stłumić.

— Poważna sprawa.

— Poważna, tak jak w twoim przypadku, gdy rozwijała się nasza znajomość.

— Naprawdę?

— Ależ oczywiście!

— Co się stało? — zapytał, uśmiechając się w ciemnościach. — Jak to się stało, że wylądowaliśmy w jednym łóżku?

Poklepała go po dłoni.

— Woda żłobi kamień. Ziewnął szeroko.

— Cokolwiek to oznacza — odparł.

Siedział na krześle z wysokim oparciem w małym pustym pokoju z klepiskiem zamiast podłogi. Była to ta sama chłodna twardo ubita podłoga piwniczki na ziemniaki jego babci, ale miała okna, przez które sączyło się światło, rysując wzory u jego stóp.

Usłyszał, jak za nim otwierają się drzwi; do pokoju wbiegły dzieci, ustawiając się po obydwu stronach krzesła. Weszły w ciszy, nieomal nabożnej i usadowiły się u jego stóp, jakby czekając, żeby przemówił, żeby opowiedział im jakąś historię albo rozwiązał jakąś wielką zagadkę; w pokoju znajdowały się dziesiątki dzieci, dużo więcej, niż mały pokój był w stanie pomieścić, ale ich milczenie sprawiało, że robiły wrażenie znacznie mniejszej gromadki. Światło wpadające przez otwarte drzwi padało na ich włosy i oświetlało ich twarze, jak na niego patrzyły, wypatrując czegoś, czego nie był w stanie nazwać ani wymówić. Próbował się odezwać, ale nie mógł otworzyć ust; próbował, ale nie zdołał wydobyć z siebie słowa...

— Co się stało, kochanie?

Dotyk jej dłoni na ramieniu przynosił ukojenie, jakie dane mu było zaznać wcześniej jedynie poprzez dotyk dłoni jego matki.

— Zasypiam i budzę się na przemian. Obudziłem cię?

— Coś ci się śniło — odparła. — Ja też nie śpię. To ta zmiana, która nadchodzi.

Już do nas dotarta, pomyślał. Naruszyli coś drogocennego, coś delikatnego. Robili jednak coś, czego, jak wierzyli, pragnie Bóg...

— Chodź — szepnął, otaczając ją ramionami. Leżeli w milczeniu, gdy głaskał ją po policzku.

— Jadę z tobą do Nowego Jorku — oznajmił w końcu.

— Nie musisz, naprawdę.

— Nie, jedziemy razem.

Przyjechać do Tennessee na początku czerwca i wyjechać w połowie lipca nie wydawało się najmądrzejszym rozwiązaniem, ale zamierzał pojechać ze swoją żoną, koniec kropka. Co do jego odwiecznego strachu przed lataniem, zamknie oczy i po prostu to zrobi, pokona go.

Pocałowała go czule.

— Będę dumna, mogąc pochwalić się mężem.

Odwrócił opartą na poduszce głowę i wyjrzał przez okno na liście klonu jaśniejącego w świetle księżyca.

— Wyjazd do Whitecap nie wydawał mi się taki trudny.

— Do wyjazdu do Whitecap podchodziliśmy beztrąsko — szepnęła. — Swoboda, jaką daje wyspa...

— Wiatr we włosach...

— Mewy krążące nad nami...

— Zapach morskiego powietrza! — dokończył ich starą litanię.

Whitecap wydawało się kuszące i wolne; to, co czekało ich teraz, zdawało się otoczone murem, choć nie wiedział dlaczego.

— To będzie nasza ostatnia eskapada — obiecał.

— Dziękuję ci, Timothy. Nie jesteśmy już tacy młodzi.

O tak. Za niecały miesiąc skończy sześćdziesiąt dziewięć lat i będzie musiał spojrzeć prosto w oczy perspektywie okrągłej siedemdziesiątki w niedługim czasie. Wiek jednak nie miał nic wspólnego, absolutnie nic wspólnego ze służbą Bogu. Istnieli niezliczeni starsi święci, wierni do końca, którzy oddali życie, pracując na misjach. Były też misje do spełnienia w domu, na ich własnym podwórku — czyż nie był od zawsze orędownikiem miejscowych misji? Po Tennessee zabierze się do tego, raz i na zawsze. Odnajdzie swoją niszę i zostawi trwały ślad po swojej pracy dla Boga w domu, w Mitford. Przy dwóch dniach w Szpitalu Dziecięcym w Wesley, kilku dniach u Scotta Murphy'ego w Domu Nadziei, środach u Bezdomnego Hobbesa z poczęstunkiem zupą i zastępstwach w miejscowych kościołach będzie miał pełne ręce roboty.

— Pozwól, że się za nas pomodłę — powiedział, odgarniając jej włosy z czoła.

Poczuł ledwie wyczuwalny zapach wisterii, ulotny, ale działający niczym balsam. Potrafiłby znaleźć swoją żonę wszędzie, nawet z zawiązanymi oczami na zatłoczonym terminalu lotniczym; jej zapach stał się dla niego zapachem domu, spokoju i poczucia bezpieczeństwa.

— Panie — zaczął — przed Tobą stoją otworem wszystkie serca, Ty znasz wszystkie pragnienia i przed Tobą nie ma żadnych tajemnic. Niczego nie możemy przed Tobą ukryć, jest jednak coś, czego nie możemy dostrzec. Przemów do nas, Ojcze, pomóż nam dostrzec cel, który wybrałeś dla nas w życiu. Czy jesteśmy na drodze, którą dla nas przeznaczyłeś? Czy przeoczyliśmy jakiś znak?

Leżeli następnie w ciszy, słuchając tykania zegara i Barnaby chrapiącego na półpiętrze w holu.

Buck Leeper zajrzał do nich następnego dnia rano, po drodze na plac budowy w Holding. Stał w drzwiach wejściowych, trzymając w ręce kubek kawy na wynos, wyraźnie speszony, że przeszkadza, i zmęczony.

— Pomyślałem, że nie będzie już ojciec spał.

— Od piątej trzydzieści — przyznał ojciec Tim. — Co się stało, przyjacielu?

— Czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać?

Usiedli na ostatnim stopniu schodów na wejściowym ganku.

— Wyruszyłem wczoraj tropem, który okazał się fałszywy, wydawało mi się, że znalazłem Kenny'ego. Ktoś na budowie powiedział, że widział w okolicy Elizabethtown obrazy na aksamicie, mówił, że były oparte o półciężarówkę na pustym parkingu i podpisane Kenny Barlowe.

Mimo że misja najwyraźniej się nie powiodła, ojciec Tim poczuł, jak nagle podniósł mu się poziom adrenaliny. Buck pił kawę.

— Zacząłem do ojca dzwonić, ale nie było czasu, wskoczyłem do ciężarówki i ruszyłem w pościg. Pojechałem tam i znalazłem ciężarówkę — serce waliło mi jak młotem i wtedy pojawił się ten dzieciak, być może w wieku Sammy'ego. Ledwie powstrzymałem się od tego, żeby nie wybuchnąć łzami.

— Ale?

— Ale ten chłopiec miał na imię Wayne, jego ojciec nazywał się Kenny Barlow, bez „e” na końcu. Poznałem jego tatę, zupełnie przyzwoity facet, który ostatnio miał trochę pecha. Kupiłem obraz przedstawiający głowę jelenia, leży zwinięty za siedzeniem w ciężarówce.

— Dobra robota.

— Nie wiem, jak ojciec, ale ja mam już tego dość i zastanawiam się, czy nie dać sobie z tym spokoju.

Ojciec Tim wziął głęboki oddech. Dać sobie spokój. On też miał zamiar to zrobić. Ale z tego, że dadzą sobie z tym spokój, nie wyniknie nic dobrego, nic dobrego.

— Nie dajmy sobie z tym spokoju — powiedział. — Nie dajmy sobie z tym spokoju.

Buck postawił kubek na stopniu, pomiędzy stopami.

— Kilka dni temu poprosiłem Pauline, żeby powiedziała mi wszystko, co pamięta o chłopcach, czy mają jakieś znamiona i jaki mają kolor oczu.

— Całkiem słusznie.

— Nie mogła sobie przypomnieć koloru ich oczu.

Zapadła długa chwila ciszy.

— Gdy zdała sobie sprawę, że nie pamięta koloru...

Buck pochylił się, chowając w dłoniach głowę.

— To przez alkohol, oczywiście. Przez te wszystkie lata...

— Te lata są już za wami.

— Tak, są, dzięki Bogu. Buck spojrzał na niego.

— Ale cierpi się konsekwencje.

— To prawda. Ale teraz w tym cierpieniu jest z wami Bóg. W przeciwnym razie pozostalibyście w nim sami, przerażająco sami.

Buck wstał.

— Przepraszam, że przeze mnie tak źle rozpoczyna się ojcu dzień. Szukanie igły w stogu siana nigdy nie należało do moich ulubionych rozrywek.

Mężczyźni podeszli razem do ciężarówki.

— Widziałem wczoraj coś w telewizji — zaczął ojciec Tim. — Wydarzyło się to tuż po drugiej wojnie światowej, gdy ludzie nie mieli żadnych pieniędzy. Firma produkująca maszyny do szycia ogłosiła konkurs... Osoba,



która znajdzie igłę w stogu siana, wygra fabrycznie nową maszynę do szycia. Ludzie kłębili się wokół stogu siana, siano fruwało w powietrzu. I zgadnij co?

— Co?

— Szansa była jedna na milion, ale ktoś znalazł igłę. Buck roześmiał się, w swój charakterystyczny sposób przypominający odgłos wody gotującej się w czajniku.

— Naprawdę?

— Tak! — odparł ojciec, Tim promieniejąc.

*Drogi Timothy!*

*Nie posiadamy się z radości, że przyjedziecie do nas razem z Cyntią już za kilka dni. Zrobiłem tak, jak mnie prosiłeś, i zdobyłem dywan. Wygląda na to, że psy pogryzły go z jednej strony, ale możesz wsunąć ten koniec pod meble. Mimo że jest bardzo skromna, jestem pewien, że będziesz zadowolony ze swojej blaszanej chatki (moje mieszkanie na kanadyjskiej dziczy nie było ani w połowie tak wygodne). Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko, iż powiesiłem moją głowę łosia na ścianie w waszym pokoju, ponieważ moja własna kwatera (która jest jeszcze skromniejsza), jest zbyt mała, żebym mógł to zrobić. Mieszkam w odległości sześciu kilometrów i mam nadzieję, że pozwolisz mi przyjechać z wizytą, żeby odwiedzić staruszkę, gdy będę miał na to ochotę? Jack Farrier, Prymitywny Baptysta\*, który zna te wąwozy i zatoki jak własną kieszeń, zabierze Was w najbliższy poniedziałek, żebyście mogli odwiedzić Waszą nową parafię. W niektórych miejscach nie ma mostów, będziecie podróżować korytami rzek, więc zabierzcie ze sobą płaszcze nieprzemakalne! Po przyjeździe czeka Was powitalna kolacja w postaci spaghetti, którą przygotuję osobiście. Bądź spokojny, Timothy, Bóg działa cuda w Jessup, Tennessee!*

*W jego służbie, ojciec Harry*

*PS: Czy moglibyście przywieźć ze sobą moskitiery? Dość dla dwóch Kavanaghów i jedna dla Rolanda byłaby cudownym rozwiązaniem, Richard i Trudy przywiozła własne.*

\* Prymitywny Baptysta (*Primitive Baptist*) — członek Kościoła stanowiącego odłam Kościoła baptystów. Nazwa przyjęła się na początku XVIII wieku, gdy „prymitywny” oznaczało raczej pierwotność, oryginalność niż zacofanie. Prymitywni Baptysty deklarują wierność doktrynom i praktykom pierwotnych baptystów, którzy wywodzą się z Kościoła Nowego Testamentu.

Postanowił, że nie będzie zwracał głowy swojej żonie tą ostatnią wiadomością z ich przyszłej placówki misyjnej.

Otworzył lodówkę i zobaczył swój lunch w postaci świeżo przyrządzonej sałatki z kurczakiem, jajkami na twardo i selerem naciowym. Jego ulubiona kombinacja — bez orzechów i winogron. Tak trzymać. Odwinął folię, ukradł kawałek marchewki i zamknął drzwi — lunch poczeka, aż wróci z Meadowgate — nie był tak przeraźliwie głodny, odkąd zmniejszył dawkę insuliny kilka dni temu. Jeśli podniesie mu się poziom cukru, zacznie znowu przyjmować dodatkowe dziesięć jednostek. No tak, zupełnie o tym zapomniał — musi zajrzeć do drogerii i kupić nowy glukometr; zamierzał to zrobić już od kilku dni. A jego bieganie... Musi znowu do niego wrócić.

Za pięć minut ma spotkać się z Dooleyem i pojechać za jego wranglerem na Meadowgate Farm. Chłopak mógłby pojechać sam, miał prawie dwadzieścia lat, na litość boską, ale chciał mu towarzyszyć, tak jak wiele lat temu, gdy zostawił Dooleya w Meadowgate i pojechał do Irlandii, żeby spotkać się z Walterem i Katherine.

Znaleźli Hala i jego współpracownika, Blake'a Eddistoe w izbie przyjęć, z owczarkiem szkockim. Po krótkiej wizycie na ganku, gdzie rozmawiali z Marge i siedmioletnią Rebeccą Jane, poszli razem z Dooleyem nad strumień, dokładnie wito samo miejsce, w którym się kiedyś pożegnali. Dooley miał wtedy zaledwie jedenaście lat; pamiętał, jak siedział z nim na brzegu strumienia, z ciężkim sercem. Czy teraz było rzeczywiście inaczej?

— Cóż, synu... — zaczął.

— Może do was napiszę, albo coś.

— Naprawdę? Odpiszemy. I będziemy dzwonić, oczywiście. Wierzę, że to będzie dobre lato dla nas obydwu.

Siedzieli na dużym gładkim kamieniu na brzegu strumienia. Dooley podniósł patyk i uderzał nim w wodę, dokładnie tak samo jak, pamiętał ojciec Tim, robił to wiele lat temu.

— Jak będziesz sobie radził z Blake'em?

W przeszłości doszło do kilku spięć z pracownikiem Hala; podczas gdy Dooley skłaniał się w stronę bardziej naturalnych metod medycyny weterynaryjnej, Blake był zagorzałym zwolennikiem leczenia tradycyjnego.

— Ja będę robił swoje, on będzie robił swoje.

— Całkiem sprawiedliwe rozwiązanie.

— Musi się trzymać z daleka od tego, co robię, to wszystko.

— To też całkiem w porządku. Ale wymiana doświadczeń też może okazać się całkiem pożyteczna.

Hal utrzyma tę dwójkę w ryzach; doskonale zdawał sobie sprawę z tarć pomiędzy nimi. Ponieważ własne teorie medyczne Hala wywodziły się z tradycji, często brał stronę Blake'a, ale świeże spojrzenie Dooleya intrygowało doświadczonego weterynarza i zostawiał chłopcu dużo swobody.

Dooley uderzył w wodę patykiem.

— Co myślisz o Sammym i Kennym?

Nie może, nie powie Dooleyowi, co myśli. Myślał, że odnalezienie ich może być zamkniętym rozdziałem.

— Nie wiem. Buck i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy. To, że wyjeżdżam, nie znaczy, że nie będę o tym myślał, nie będę się o to modlił i że nie spróbuję czegoś wymyślić.

Dooley spojrzał na wodę.

— Co mogę zrobić? Ojciec Tim westchnął.

— Nie wiem — odparł. — Nie wiem.

Sammy i Kenny byli niczym dwa ziarenka piasku na plaży, która ciągnęła się po sam horyzont.

Dooley uniósł głowę i spojrzał na ojca Tima.

— Postaram się coś wymyślić — stwierdził w końcu.

— Tim!

Hal Owen pomachał do niego z wejściowych drzwi do kliniki.

— Tim! Zanim wyjedziesz...

— Tak?

Hal podszedł szybko do ojca Tima.

— Przepraszam, że nie zdążyliśmy was odwiedzić.

— Co z owczarkiem?

— Wyjdzie z tego. Został poważnie pogryziony przez psy po drugiej stronie strumienia, ale nic mu nie będzie. Posłuchaj... coś do przemyślenia...

Nie chciał już nic nowego, o czym miałyby myśleć.

— Marge i ja chcielibyśmy pojechać do Francji za rok i zabrać ze sobą Rebeccę Jane. Wyjedziemy wkrótce po Bożym Narodzeniu.

Hal zdjął okulary i włożył je do kieszeni poplamionego krwią fartucha.

— Zaproszono nas, abyśmy poprowadzili przez rok praktykę kolegi ze studiów, on w tym samym czasie podejmie się podobnego zadania we Włoszech. Rozmawialiśmy o tym wczoraj w nocy — zastanawialiśmy się, czy może zechcielibyście z Cynthia zająć się przez ten czas farmą?

Zająć się farmą. Nigdy nie zajmował się farmą.

— Byłbyś oddalony od Mitford zaledwie o piętnaście minut jazdy mustangiem, dwadzieścia pięć, gdybyś używał pick-upa. Mogłoby cię to zainteresować. Wiem, jak bardzo Cynthia lubi tu rysować. Joyce Havner przychodzi w każdy poniedziałek i piątek, żeby posprzątać dom, niedaleko stąd są dwa kościoły...

— Aha.

— Dooley będzie tutaj przez lato, oczywiście, i Blake będzie przez cały czas, żeby prowadzić praktykę. Nie będzie się to wiązało z żadną pracą na farmie. Lewis będzie przycinał krzewy. Sam Rayner zajmie się dojeniem, Bo Davis będzie wykonywał drobne prace... Wszystko będzie się kręciło tak jak zwykle. Jeśli zechcesz, codziennie rano będziesz mógł zabrać kilka jajek z gniazda.

— Aha! — rzucił ponownie; wydawało mu się, że w mózgu ma same trociny.

— Poza tym Meadowgate byłoby wspaniałym miejscem do pracy nad tymi esejami, o których mówiłeś!

— Nie wiem, musiałbym...

— Całkiem łatwe zajęcie, biorąc wszystko pod uwagę.

— Tak. No cóż...

— Nie musisz podejmować decyzji już teraz. To jedynie... coś do przemyślenia.

Klepnął go mocno w ramię, a następnie go uściskał.

— Trzymaj się, przyjacielu. Bóg z tobą.

— I z tobą — odparł ojciec Tim, odwzajemniając uścisk.

Mimo że miał niewiele czasu, wybrał dłuższą drogę do domu.

Chciał pomyśleć. Przez ostatnie kilka dni towarzyszyło mu poczucie strachu; wydawało mu się, że jego mózg spowija mgła.

Nagle dotarło do niego, że jest przeraźliwie spragniony, jakby coś w samej jego duszy pozbawione było ożywczej wody już od dłuższego czasu...

Dlaczego nie zabierał swojej żony na rejs statkiem, zamiast ciągnąć ją do Tennessee? Wyobraził sobie pasażerów statku na leżakach, ciągnących się długim sznurem i smażących się jak frytki na patelni. Nie. W żaden sposób. Nie byłby w stanie. Razem z Cynthia robili tak mało w kwestii rozrywki, ponieważ tak wielu rzeczy nie lubił robić — nie lubił latać, nie podobał mu się pomysł leżenia na leżakach pośród licznych pasażerów statku, nie lubił, gdy Cynthia od czasu do czasu cieszyła się na możliwość wyjazdu do Hiszpanii albo Francji, albo nawet powrotu do

Maine, który kiedyś był świadkiem ich podróży poślubnej. W co się wpakowała? Powszechnie ceniona autorka książek przywiązana do mężczyzny nudnego jak flaki z olejem i pochłoniętego samym sobą.

Prawdę powiedziawszy, był tak żaloszny, że nie chciał nawet grać w golfa. Czyż emerytowani duchowni nie lubią golfa? Tak myślał, wydawało mu się, że słyszał dużo rozmów na temat golfa na spotkaniach diecezji, o tym, jak to cudownie jest dbać o sprawność umysłu i tężyznę fizyczną. Wystarczy spojrzeć na przykład na Stuarta Cullenę. Gracz w golfa i sprawny jak młodzieniec. Mimo to, koniec końców...

— Wolałbym, żeby mnie wrzucili do mrowiska — zaczął pomstować. — Wszystko, tylko nie golf!

Otarł czoło chusteczką i podkreślił klimatyzację.

To ta sama niewypowiedzianie uciążliwa głupota, z którą zмага się od lat. Nie wie, jak należy się wżyciu bawić, nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać. To Cynthia zawsze musiała zmuszać go do rozrywki; czyż nie ona wymyśliła te słynne chwile wytchnienia dla duchownego, drogocenne chwile, kiedy to mogli się roześmiać, zrelaksować, zregenerować siły? Czy on kiedykolwiek zrewanżował się jakąś chwilą wytchnienia przygotowaną specjalnie dla niej? Nic takiego sobie nie przypominał. Można by się zastanawiać, czy on w ogóle ma mózg.

Ale chwileczkę. Ona jest w takim samym stopniu zaangażowana w ich wyprawę do Tennessee, jak on sam. Obydwoje modlili się o posługę duszpasterską wśród dzieci, coś, co mogliby robić jako para, i Cynthia była pełna entuzjazmu dla tego przedsięwzięcia. To jednak on zachwycił się propozycją ojca Rolanda, która — jak się właśnie dowiedział — wiązała się z głową łosia w ich pokoju, brakiem mostów nad strumieniami, dywanem pogryzionym przez psy i plagą moskitów.

Koniec końców, pomysł Hala być może jest rzeczywiście wart przemyślenia. Meadowgate było zawsze bliskie sercu Cynthii i z pewnością jego samego. Będzie dla nich miłą perspektywą podczas ich pobytu w Tennessee. Rozmyślał przez chwilę o piknikach na łąkach Owenów i długich spacerach w lesie; o dochodzącym z oddali munczeniu krów i pianiu kogutów. Co najważniejsze, będą razem z Dooleyem przez całe lato, nie musieliby przeżywać tego bolesnego rozstania...

Pragnienie doskwierało mu mocno, przynosząc ze sobą jakiś stary niepokój, którego nie potrafił bliżej określić. Na szczęście niedaleko przy drodze znajduje się ten mały sklep, przy którym zatrzymali się razem z Dooleyem kilka dni temu. Zjechał na parking, wysiadł z trudem z samochodu i wszedł do środka.

— Woda — rzucił.

— Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... Z tyłu za budynkiem.

Pochłonięty liczeniem pieniędzy mężczyzna przy kasie wskazał kciukiem na tył budynku.

— Z tyłu za budynkiem?

— Kran z tyłu. Czterdzieści, czterdzieści pięć... Automat z napojami jest tam.

Automat z napojami. Podeszedł do niego, jakby brodził w wodzie, nogi miał ciężkie jak kłody. Cola. Pepsi. Sprite. Dr Pepper.

Nie może tego pić.

Ale nie miał też ochoty iść na tył budynku.

Wrzucił drobne do otworu, przycisnął guzik wybranego napoju i pociągnął za rączkę. Puszka wypadła na taćę. Ręka mu drżała, gdy otwierał puszkę i pił, czując, jak lodowaty napój przepływa przez jego przełyk, niczym rzeka życia, błogosławieństwo.

Usiadł na stercie skrzynek po napojach i spojrzął na zegarek.

Znajduje się w odległości trzech kilometrów od Lottie Greer, starszej siostry Absaloma Greera, która nadal mieszkała na tyłach wiejskiego sklepiku, wybudowanego przez jej rodziców ponad osiemdziesiąt pięć lat temu. Powinien do niej zaglądnąć i złożyć jej wizytę. Minęło już wiele czasu.

Zbliżało się rozwidlenie na drodze. Miał trzydzieści sekund, żeby podjąć decyzję.

Ujrzał drogowskaz, „Mitford 11 km, Farmer 3 km”, i zauważył, jak na ładnie przystrzyżonej murawie rozwidlenia pozostawiono chwasty rosnące bujnie wokół słupa...

Skręcił w lewo; nie pojedzie do Lottie Greer. Wszystko w domu jest teraz tak precyzyjnie zaplanowane, że gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, mogłoby uniemożliwić ich poranny wyjazd. Jeśli Bóg pozwoli, odwiedzi Lottie, gdy wróci we wrześniu. Złożył obietnicę, że to uczyni; Absalom chciałby tego.

Tęsknił za starym kaznodzieją, który kochał pannę Sadie aż do śmierci, kaznodzieją, który pozostał wierny czemuś, co niektórzy ludzie nazywają „dawną wiarą”. W istocie, prawda Ewangelii nie ma w sobie nic „dawnego”, jest natomiast prawdą ponadczasową — wczoraj, dzisiaj, jutro. Absalom Greer nigdy nie nauczał zgodnie ze współczesną modą ani nie robił nic z tych popularnych rzeczy, które miały zapełnić ławki w kościele; nauczał Słowa Bożego i nie martwił się o konsekwencje. Odwiedzi siostrę Absaloma choćby tylko z tego powodu.

A skoro mowa o odwiedzinach... do licha! Nie wybrał się, żeby odwiedzić Louellę w Domu Nadziei. Jak mógł o tym zapomnieć, jak mógł zapomnieć. Wcisnął pedał gazu z nadzieją, że chłopcy szeryfa nie kryją się gdzieś w krzakach.

Louella siedziała przy oknie, spoglądając na dachy domów w Mitford.

— Puk, puk! — zawołał, stając w otwartych drzwiach pokoju numer jeden.

— Ho, ho! Spalę się chyba ze wstydu. Nadal jestem w tej starej podomce!

— Nie szkodzi, Louello, wyglądasz pięknie w tym kolorze.

— Bóg raczy wiedzieć, ubieram się codziennie bez wyjątku; dzisiaj powiedziałam sobie: Louello, nie będziesz miała żadnych gości, żebyś musiała robić na nich wrażenie!

— I miałaś rację! Nie musisz robić na mnie wrażenia, ja już jestem pod wrażeniem.

— Ciekawe, czemu to zawdzięczam! Pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Twojej wytrwałości, twojej pozytywnej postawie, twojemu pięknemu śpiewowi. Masz ochotę zaśpiewać kilka wersów?

Usiadł na podnóżku przy jej fotelu. Natychmiast poczuł się, jakby miał osiem, może dziesięć lat. Panna Sadie i Louella zawsze tak na niego działały, sprawiały, że ubywało mu lat.

— Nie mogę chwalić Boga w tej starej podomce, to lata na łacie, panna Sadie mi ją dała.

— W takim razie tylko pogadamy.

Siostra Carter wsunęła głowę przez drzwi, uśmiechając się.

— Będziecie dzisiaj śpiewać?

— Nie — odparł. — Nie możemy. Louella ma na sobie podomkę.

— Ach — rzuciła siostra Carter.

— Cynthia i ja wyjeżdżamy jutro — powiedział. — Wrócimy do domu we wrześniu.

Z jakiegoś powodu zbudowanie tych dwóch zdań sprawiło mu ogromną trudność.

Stał na parkingu, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest i gdzie się wybiera. Spojrzał na dach nad wejściem i zauważył różę wiatrów w postaci anioła. Oczywiście! Był przed Domem Nadziei i wybierał się do domu.

Odnalazł czerwonego mustanga, stojącego za bronco, wsiadł do środka i pokonał długi podjazd prowadzący na Lilac Road, skręcił w lewo na Church Hill i minął Little Mitford Creek po prawej stronie. Gdy zbliżał się do znaku stop, zauważył, że chwasty rosną wokół słupa i że stoi tam...

...stoi tam jego ojciec. Jego serce zaczęło bić radośnie.

W chwili gdy przed jego oczami pojawił się obraz Matthew Kavanagha, w jego głowie eksplodowało coś nagle i gwałtownie, i poczuł, jak jego ciało zapada w rodzaj letargu, dziwnej ciemności.

## Rozdział szósty

### DOLINA

— Ojczy?

Ubrany w ciemne spodnie i znajomą koszulę w kratę mężczyzna przed nim stał obok znaku drogowego na brzegu stromego zbocza. Prawe ramię mężczyzny było uniesione, jakby osłaniał oczy przed jasnym słońcem, chociaż słońce wcale nie świeciło.

Serce ojca Tima biło gwałtownie w piersiach — i pomyśleć, że to może być jego ojciec, który zmarł wiele lat temu, a teraz wygląda na żywego, prawdziwego i ma na sobie koszulę, którą syn dał mu na Boże Narodzenie. Brąz w kracie był wyjątkowo piękny; nigdy by nie pomyślał, że brąz może być tak głęboki i ciepły.

Mężczyzna przyjrzał mu się spod przymrużonych powiek, jakby niezadowolony, że przerwał mu jakąś ważną myśl.

Tak! Teraz widział wyraźnie: to był jego ojciec, jego młody i przystojny ojciec, wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu w srebrnej oprawie, które zawsze stało na toalecie jego mamy. Poczuł, jak pieką go oczy. Jakie to dziwne, że jego tato żyje, że mają jeszcze jedną szansę. Stał jak wryty w miejscu, płacząc bezwstydnie.

— Kto to? — zapytał jego ojciec.

— To...

Kim jest? Spojrzał na swoje ręce, nogi, stopy. Miał na sobie półbuty, które nałożył dzisiaj rano, i spodnie, które odebrał z pralni w Wesley. Dotknął głowy i poczuł włosy opadające mu na czoło. To wszystko bez wątpienia prowadziło do wniosku, że to on sam.

— Timothy!

Jego ojciec zmarszczył czoło i prychnął.

— Nie znam cię! — stwierdził.

Odwrócił się i odszedł brzegiem zbocza, jakby się wybierał na wieczorny spacer.

Przy prawym uchu usłyszał szept; poczuł ciepły oddech, który pieścił i wyostrzał jego słuch.

— „Dobry Boże, Światłość światłości, zachowaj nas od wewnętrznej ciemności. Pozwól nam spać w pokoju, abyśmy mogli powstać do pracy zgodnie z Twoją wolą”.

Głos umilkł, a on czekał, aby usłyszeć go ponownie. Czy to wszystko? W jego głowie pojawił się rodzaj szumu, niczym odgłos wirujących planet i wtedy głos ogrzał jego ucho ponownie.

— Dobranoc, najdroższy. Kocham cię ponad życie...

Nie był w stanie otworzyć ust, czuł się, jakby ich nie miał, jedynie uszy, aby słyszeć ten cudowny głos, ten oddech tak ciepły jak wyspy tropikalne, których nigdy nie odwiedzi. Nie miał też oczu, żeby widzieć; odkrył to, gdy próbował je otworzyć. Nie miał ust, żeby mówić, oczu, żeby widzieć; zdołał umiejscowić jedynie prawe i wyczekujące ucho.

Usiłował sobie przypomnieć, co głos właśnie do niego powiedział, ale nie był w stanie. Przemów do mnie jeszcze raz! — zawołał całym sercem. *Proszę!* Ale nic więcej nie usłyszał.

Woda wlewała się przez czubek jego głowy, głośno niczym wodospad i płynęła do jego szyi, ramion i dłoni, i brzucha, i nóg, i spływała do stóp. Natychmiast nadeszła kolejna fala, pojawiając się u czubka jego głowy i ponownie przepłynęła przez niego.

Płynąca woda była ciepła i przynosiła ulgę, wydawała się znajoma; czuł się tak, jakby czekał na ten moment przez całe życie, i teraz, gdy nadszedł, odczuwał spokój.

Następnie płynął gdzieś, lekki jak piórko, pozbawiony wszelkich wątpliwości czy strachu, ale nie pozbawiony tęsknoty. Bardziej niż cegokolwiek innego pragnął brzmienia głosu przy jego uchu i ciepłego zefiru, który pojawiał się razem z nim.

Śpiew ptaków był wyraźny i czysty, niebo bezchmurne. Szedł ścieżką w lesie i niósł coś na plecach. Przypuszczał, że może to być plecak, ale nie miał ochoty sprawdzać. Gdy usiłował umiejscowić ciężar na środku, pomiędzy łopatkami obolałych ramion, poczuł, jak przesuwają się on gwałtownie, i stracił równowagę. Potknął się; brzeg leśnej ścieżki osunął się pod jego prawą stopą i Tim upadł na kolana, mocno, i obudził się, krzycząc.

— Boże! Gdzie jesteś?

Był pewien, że krzyknął, mimo to nie usłyszał swojego głosu.

Pokój — czy to był pokój? — było ciemno, nie świeciła się nawet lampa uliczna, a sen — czy to był sen? — był tak silny, tak przekonujący, że nie śmiał go porzucić. Gdzie jesteś? — powtórzył, szepcząc natarczywie.

Oto jestem, Timothy.

Uniosł dłoń i wyciągnął ją w stronę Jezusa, którego nie widział, ale którego bliskość bardzo silnie wyczuwał, wokół siebie.

Poczuł na twarzy gorące łzy. Odnalazł Boga, którego jak myślał, stracił, i teraz leżał na plecach, oddychając z trudem, jakby przeszedł długi odcinek szlaku szczytami Appalachów.

Dziękuję! — odpowiedział cicho. Czy wydobyl z siebie głos?

— „Chociażbym chodził ciemną doliną...”

Przy jego uchu znowu pojawił się ten głos i delikatny ciepły oddech. *Zostań! Nie odchodź, nie zostawiaj mnie...*

Słuchał, ale nie mógł zapamiętać słów; zapominał je natychmiast po tym, jak zostały wypowiedziane.

— Kocham cię, mój drogi, mój najdroższy, mój Timothy.

Zapach przepełnił powietrze przy jego poduszce, a on delektował się nim niczym balsamicznym aromatem ogrodu. Niósł ze sobą życie i obecność kogoś bliskiego i przypominał jakby...

...Dom. Ale co to takiego, Dom? Nie mógł sobie przypomnieć. Jego serce powtarzało słowo, *Dom, Dom*, ale jego głowa nie zdołała dostarczyć znaczenia.

— Ja... przyszedłam... na zmianę... tak... jest... wkrótce.

Głosy. Głosy przerywane szumem przypominającym radio, które znajdowało się w rogu pokoju w Holly Springs, z audycjami, które pomijały całe fragmenty istotnych wiadomości na temat toczonych wojen i zastępowały je ciszą.

— Czy... Kennedy?

— ...tak... i jeszcze potem.

— ...dwa razy... siódma wystarczająca przyczyna... śmierć.

— ...muszę... lekarz... też.

— ...ukręcić głowę.

Zmęczył się próbą ułożenia układanki, w której najwyraźniej brakowało najbardziej interesujących części.

Odkrył, że pragnie czegoś tak misternie wplecionego w istotę jego bytu, iż nie mógł tego zidentyfikować, było to bliskie wysiłkom nadania formy i kształtu skroplonemu powietrzu. Pragnienie, pragnienie, rozdzierające jego duszę...

Wtedy powoli zaczęło to do niego docierać. Ta wiedza przychodziła stopniowo, otwierając się w nim jak płatki kwiatu po deszczu.

Wstrzymał oddech, czekając na objawienie, co do którego był pewien, że nadchodzi. Gdy w końcu był w stanie je nazwać, poczuł, jak jego serce przepelnia nagła, zadziwiająca radość.

Pragnął... swojej żony.

Nie był jednak w stanie zrozumieć tego słowa; wydawało się, że jego serce zna je dość dobrze, ale jego mózg odmawiał sprostania zadaniu. Co to znaczy „żona”? *Pomyśl, Timothy! Pomyśl!* Miał wrażenie, że cała sieć połączeń w jego mózgu została zupełnie zablokowana i następowało teraz dziwne ich przepinanie.

Żona. Serce mówiło mu, że oznacza to coś zbliżonego do pocieszenia i ulgi. Tak! Żona jest pocieszeniem. Czekolada to cukierek. Cukierek to czekolada. Pocieszenie to żona.

Żona jest też... Czekał, aż znaczenie zrodzi się w jego piersi, potem poczuł, jak czyta swoje serce, na podobieństwo kogoś, kto czyta książkę, żeby zrozumieć dany fragment. Żona jest też wspaniałością, serce zdawało mu się podpowiadać. Tak! Wspaniałością i przyjemnością i... rozkoszą!

Podobała mu się ta gra, zawsze lubił gry, naprawdę, był całkiem niezły w scrabble i nieomal nie do pobicia w czymś na literę... Na jaką literę się zaczynało? M? Znowu jednak pogrążył się w mgłę. Teraz, gdy wiedział, że może czytać swoje serce, nie będzie się czuł taki samotny. Co jeszcze w takim razie?

Żona to...

...śmiech! Pamiętał śmiech, chociaż bardzo odległe. Śmiech jest jak zdrowie! — usiłował powiedzieć.

Zapał w rodzaj snu, podczas którego jego ciało szybowało jakby na falach muzyki. Myślał, że to może *Pastorał* Beethovena, w którym usłyszy wkrótce grzmot rozlegający się nad łąkami, burza jednak nie nadchodziła. Gdy się obudził, odkrył, że nauczył się jeszcze jednej definicji:

Żona to spokój.

Poczuł, jak ktoś delikatnie dotyka jego dłoni, nie był jednak w stanie otworzyć oczu, żeby zobaczyć, ani ust, żeby zapytać, kto to. Dotyk był niewypowiedzianie czuły; pragnął chwycić tę pieszczotę, zatrzymać ją jako zabezpieczenie przed tym, co może nadejść.



Żona, powiedział, usiłując poruszyć ustami. Żona, odkrył podczas snu, jest miejscem, do którego się idzie, gdy się czegoś boi, albo gdy się jest samemu, albo nawet bezgranicznie szczęśliwym. To miejsce, w którym chce się być, miejsce, które się się wielbi... To coś bardzo przypominającego Dom.

— Dom — powiedział i usłyszał siebie.

— Ale on tego chce. To jedyne słowo, jakie wypowiada przez te wszystkie dni.

— Nie może pójść do domu, jest za wcześnie, może być tutaj przez całe tygodnie, nie wiemy, do czego to wszystko zmierza...

— Moglibyśmy skorzystać z dochodzącej pomocy, na pewno byście kogoś dla nas znaleźli, może siostra Kennedy, gdy nie pracuje w szpitalu.

Wydawało mu się, że kobieta jest bliska łez, i chciał się podnieść i obronić ją przed tym drugim głosem.

Oddawał mocz tam, gdzie leżał, i nie mógł zrobić absolutnie nic, aby temu zapobiec. Czuł, jak wypływa z niego, i potem odczuł ogromną ulgę. Zastanawiał się, dlaczego nie przemoczył łóżka, na którym leży. Ale oczywiście nie leżał w łóżku, leżał na hamaku, który huśtała jego mama. Miał na sobie jedynie majtki, bose stopy i śmiał się, a jego mama śpiewała.

*Słodkie dziecię, oto mucha,*

*Spójrzmy na nią, ty i ja,*

*Gdy po ścianie idzie,*

*Nigdy w dół nie spadnie.*

*Z szczęcioma takimi nogami*

*Bylibyśmy baletnicami.*

*Czerwone plamki zdobią jej głowę,*

*Na plecach widać paski tęczowe*

— Nie jestem dzieckiem! — zawołał, na wypadek gdyby zapomniała.

Roześmiała się.

— Naprawdę? Rzeczywiście? Na chwilę zapomniałam, przyznaję, ale tylko na jedną chwilkę!

Uważał, że jego mama jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Piękniejszą niż panie w „Ladies' Home Journal” i dziewięćset tysięcy razy piękniejszą niż wszystkie inne panie w kościele.

— Mam pięć lat! — zawołał ponownie, fruując w powietrzu.

— Masz jeszcze cały dzień, zanim skończysz pięć lat! Chcę, żeby ten dzień trwał wiecznie...

— Na zawsze? — krzyknął.

— Na zawsze! — wykrzyknęła jego mama.

W duchu bardzo się cieszył, że jego mama chce, aby miał zawsze cztery, a nie pięć lat, chociaż osobiście bardzo by nie chciał mieć zawsze cztery lata.

„Pan jest przeznaczonym mi działem i kielichem moim: To właśnie Ty mój los zabezpieczasz. Sznur mierniczy wyznaczył mi dział wspaniały i bardzo mi jest miłe to moje dziedzictwo. Błogosławię Pana, który dał mi rozsądek, bo nawet w nocy upomina mnie serce...”

Stał przed całą swoją klasą w szkole niedzielnej w kościele baptystów jego mamy i recytował cały Psalm 16, za co miał dostać jakże upragnioną złotą gwiazdę, którą będzie mógł przypiąć na klapie.

„Stawiam sobie zawsze Pana przed oczy, nie zachwieję się, bo on jest zawsze po mojej prawicy. Dlatego się cieszy moje serce, dusza się raduje, a ciało moje będzie spoczywać z ufnością...”

„Ukażesz mi ścieżkę życia, pełnię radości u Ciebie, rozkosze na wieki po Twojej prawicy”.

Na wieki... Ta fraza poruszała go głęboko i sprawiała, że zaczynał rozmyślać nad wiecznością i duszami innych. Panna Wright uśmiechała się i kiwała głową. Podczas gdy jedna jego część miała dwanaście lat i siedziała po zakończeniu recytacji, druga jego część, nieuchwytna i rozmyta część, stała przepelniona ulgą i radością, że panna Wright, którą on i wszyscy pozostali uwielbiali, nie zginęła w wypadku samochodowym razem z jej mężem w wigilię Bożego Narodzenia.

Wspaniale, Timothy.

Dziękuję, proszę pani.

Serce waliło mu jak młotem, jego twarz płonęła. Wiedział nagle, że dzisiaj wieczorem, może nawet wcześniej, pomodli się: „Panie, ukaż mi ścieżkę życia...”

Dlaczego nie możemy porozmawiać? — chciał zwrócić się do swojego ojca, który siedział naprzeciw niego przy kuchennym stole. Ale to pytanie zakładało, że już próbowali i im się to nie udało. Oni nigdy naprawdę nie próbowali rozmawiać. Spróbuje wobec tego czegoś innego, czegoś bardziej bezpośredniego i adekwatnego. Co, gdyby jego ojciec umarł, zanim uda im się skorzystać ze swojej szansy?

Odchrząknął i poczuł przerażający strach człowieka, który stoi na trampolinie, a nie potrafi pływać.

— Porozmawiajmy... proszę ojca — zaczął.

— O czym?

Jego ojciec był dużo starszy niż ten przystojny mężczyzna w srebrnej ramce, który zawsze stał na toalecie jego mamy.

— Nie... nie wiem — odparł zawstydzony tym, że nie wie.

Teraz, gdy już w końcu udało mu się zwrócić uwagę ojca, przypomniał sobie, że nie wybrał tematu.

— Może o tym, jak moglibyśmy... się lepiej porozumieć.

— Porozumieć się.

Jego ojciec powtórzył to słowo, wyglądając tak, jak często wyglądał — na niezmiernie znudzonego.

— Dlaczego mnie nienawidzisz?

Udało mu się, powiedział to. Zabrakło mu tchu.

— Nienawidzę cię.

Z trudem chwycił powietrze.

— Tak, tak mi się wydaje. Nie wiem dlaczego.

Przerażało go to, co właśnie robił, ale ponad wszystko desperacko pragnął się dowiedzieć.

Ojciec grał na zwłokę, sprawiając, że syn cierpiał.

— Porozmawiaj ze mną, ojcie. Powiedz mi dlaczego.

Twarz ojca zrobiła się biała.

— Jesteś arogancki, Timothy.

— Nie, ojcie, jestem twoim synem i muszę znać odpowiedź.

Poczuł przyływ gniewu, ale go stłumił. Był teraz mężczyzną, skończył szkołę średnią z wyróżnieniem, został przyjęty do cenionego i konkurencyjnego college'u — poczeka na odpowiedź bez ponownego zadawania pytania i bez błagania czy zebrania. Czuł głośne bicie serca.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Timothy. Szczerze mówiąc, rzadko mi się to zdarza.

Jego ojciec wstał od stołu i poszedł sztywnym krokiem do kuchni. Zamknął za sobą drzwi, które najczęściej pozostawały otwarte.

Siedział znieruchomiał, jakby najdrobniejszy ruch mógł spowodować, że coś w nim pęknie.

Wtedy usłyszał szmer sukni mamy. Szelest szarej tafty przypominał dźwięk suchych łusek kukurydzy poruszanych wiatrem.

Usiadła na miejscu ojca i wyciągnęła do niego ponad stołem rękę.

— Kochaj swojego ojca, Timothy — powiedziała cicho. — Módl się za niego.

— Nie potrafię. Próbowałem, ale mi nie wychodzi. Chciał, żeby mu wychodziło, nawet tylko po to, by sprawić jej przyjemność.

— Nadszedł czas, żebym ci coś powiedziała.

Miała brązowe i ciemne oczy. Wydawało mu się, że widzi w nich wieczność.

— Twój ojciec nosi wiele ran.

— Ale ranienie innych w odpowiedzi nie jest sprawiedliwe, szczególnie jeśli chodzi o ciebie.

— Nie. Nie jest sprawiedliwe. Mimo to z wielu powodów nie jest zaskakujące. Jego ojciec traktował go bardzo brutalnie. Znasz ten werset z Księgi Powtórzonego Prawa.

— Wiele osób zostało brutalnie potraktowanych. Święty Paweł...

— Ale święty Paweł spotkał Chrystusa, a twój ojciec broni się przed nawet najmniejszą możliwością zbliżenia się do Chrystusa.

Przez okno zobaczył, jak jego ojciec odjeżdża.

— Timothy, twój dziadek wychłostał kiedyś twojego ojca — na oczach wielu ludzi. Był to okrutny atak, który wpłynął w druzgocący sposób na Matthew. Po tym zdarzeniu, które nie było pierwszym zdarzeniem tego rodzaju, Matthew całkowicie zamknął się w sobie. W ten sposób sprawił, że ojciec już nigdy więcej nie mógł go zranić.

Obserwował, jak czarny packard skręca w prawo przy żywopłocie z mirtu i znika z pola widzenia. Poczucie straty, które go ogarnęło, było nagłe i niewysłowione, inne od jego wcześniejszych doświadczeń.

— Przepraszam — powiedział w końcu. — Ale to byłoby zbyt łatwe. Gdy zamknął się przed ojcem, zamknął się też przed wszystkimi innymi. Wykorzystuje straszne osobiste przeżycie, żeby ranić innych.

— Przebacz mu, Timothy.

— Jak mam to zrobić? Nie wiem, jak to zrobić.

— Będę się za ciebie modliła, żebyś wiedział, jak to zrobić — powiedziała zwyczajnie.

— Czy ty go kochasz? — zapytał.

Było to bardzo osobiste pytanie. W jego rodzinie nie zadawało się bardzo osobistych pytań, a dzisiaj zażądał bardzo osobistych wyznań od obydwójga rodziców.

Wyglądała przez okno, odpowiadając na jego pytanie.

— Myślałam, że będę mogła zmiękczyć jego serce, dać mu radość. Wierzyłam, że miłość pokona wszystko.

— Czy nadal w to wierzysz?

— Tak — odparła, zwracając się do niego. — Nadal w to wierzę. Proszę, wierz ze mną.

Uczęszczał do college'u przez dwa lata, następnie poszedł do seminarium, postrzegając swoje powołanie do kapłaństwa jako boski plan na wykorzystanie Timothy'ego Kavanagha do pojednania ojca z Jezusem Chrystusem. Jego ojciec jednak zmarł z zatwardziałością serca, której nie był w stanie usunąć żaden ziemski syn.

Próbował bardzo mocno wierzyć razem z matką, że miłość pokona wszystko. Ale tak się nie stało.

Poczuł chłodną bryzę na policzku i usłyszał śmiech dzieci.

Dzieci zdawały się siedzieć na gałęzi drzewa nad jego głową, ponieważ widział stopy wystające spośród liści. Jedna mała para stóp odziana była w białe skarpetki i lakierki, a druga para stóp była brązowa i bosa.

— Ojcze, czy to ojciec?

— Panno Sadie! Czy to pani?

— To my!

Wybuch śmiechu. Nogi poruszyły się; liście zadrżały.

— Co tam robicie?

— Bawimy się!

— Czy Louella też tam jest?

— Jemy chleb kukurydziany i pijemy mleko! — krzyknęła Louella.

— A niech mnie — odparł, potrząsając głową.

— Proszę do nas przyjść! — zawołała panna Sadie. — Musimy o czymś porozmawiać.

— Za nic w świecie tam nie wejść.

— Ojcze, jeśli chce ojciec poznać moją radę, duchowny też musi wspiąć się od czasu do czasu na drzewo.

— Żeby się ojciec nie zrobił zarozumiały!

— Będziecie musiały ze mną porozmawiać z miejsca, w którym stoję — odmówił zdecydowanie.

Co za głupota!

— No cóż, w takim razie, ojcze, chcę, żeby miał ojciec w swojej pieczy Dooleya i Lace Turner.

— Co to znaczy, że mam ich mieć w swojej pieczy?

— Proszę nie pozwolić, żeby rozeszły się ich drogi.

— A co ja mogę zrobić w tej sprawie? — Naprawdę zaczynało go to złościć. — To jest sprawa Boga!

— Wydawało mi się, że sprawy Boga to ojca praca! — odparła panna Sadie.

— Mieszanie się w życie uczuciowe ludzi, którzy są zaledwie w college'u, nie jest moją pracą!

— Phi! Jak myślisz, co powinnam mu powiedzieć, Louello?

— Proszę mu powiedzieć, żeby zrobił wszystko, co w jego mocy.

— Proszę zrobić wszystko, co w ojca mocy. To wystarczy.

— Do licha! — wymamrotał, oddalając się spod drzewa.

Nie lubił, jak ludzie przesiadywali na drzewach nad jego głową. To żalosne.

Był balonem w kształcie człowieka; jego prawa ręka, jego pierś, jego pachwina, jego nogi były wypełniane jakąś znajomą substancją, chociaż nie potrafił określić, co to dokładnie jest...

Odczuwał ogromne zmęczenie, jakby wspinał się na szczyty gór, na szczyty, których w ogóle nie chciał zdobywać.

*Abba, Ojcze...*

Usiłował się modlić, ale jego uwagę odwrócił głośny, pulsujący dźwięk, dochodzący gdzieś znad głowy. Otworzył oczy i odkrył, że widzi.

Był w jakimś ciemnym miejscu.

Pachniało folią aluminiową albo może płynem do płukania ust.

Wąski słup światła wpadał przez drzwi, które były szeroko otwarte.

Gdzie, na litość boską, się znajduje? Ich drzwi są po drugiej stronie sypialni. Cynthia!

Odkrył, że nie może poruszać lewą ręką, jeszcze się nie napelniła, sprawdził więc łóżko prawą ręką. Łóżko było wąskie, a on był sam.

Próbował przewrócić się na bok, ale odkrył, że jest przywiązany.

— Cynthia? Cynthia!

Pulsujący dźwięk stał się głośniejszy, a struga światła zrobiła się szersza w chwili, gdy otwarły się drzwi.

— Ojciec Kavanagh!

— Kto to?

Ktoś wszedł bezszelestnie do pokoju, nie włączając światła.

— Siostra Kennedy.

Ujęła go za nadgarstek i sprawdziła dwoma palcami tętno.

— Dzięki Bogu — powiedziała miękko.

— Gdzie jestem? — zapytał.

Zrobiła coś, co przerwało pulsujący dźwięk.

— Jest ojciec w szpitalu w Mitford. Witamy w domu.

# Rozdział siódmy

## DOŚĆ ŁASKI

— Najdroższy...

Otworzył oczy i zobaczył Cynthię stojącą przy szpitalnym łóżku. Mimo że łzy płynęły jej po policzkach, jej uśmiech był olśniewający.

Odkrył, że nie może podnieść ręki, żeby jej dotknąć, choć widok, który miał przed oczami, był najcudowniejszy, jaki kiedykolwiek oglądał.

Dotknął jej spojrzeniem, potem bez słowa zbadał dokładnie oczami jej twarz. Dom. Był w domu. Cokolwiek zrobił, już nigdy nie zrobi tego ponownie. Czuł się jak mężczyzna, który był na okropnej wojnie i wrócił do domu, żeby pocałować jego próg.

— Timothy... — szepnęła, pochylając się, żeby dotknąć jego twarzy policzkiem.

— Chodź — szepnął.

— Dobry Boże, co za cholerna głupota! Ile razy zamierzasz wywinąć tę sztuczkę?

— Jaką sztuczkę? — chciał wiedzieć ojciec Tim. Wysilek związany z mówieniem był ogromny.

— Pograć się w śpiączce. Poszło ci tak dobrze za pierwszym razem, że myślałeś, że zrobisz to wszystko jeszcze raz? — Hoppy podniósł głos, jakby jego pacjent był klinicznie głuchy.

— W śpiączce?

— Przez nieomal czterdzieści osiem godzin. Przypuszczam, że wszystko zaczęło się od delirium spowodowanego drastycznie zwiększonym poziomem cukru, którego efekt spotęgowało wstrząśnienie mózgu, gdy uderzyłeś się w głowę. Wszystko to w rezultacie doprowadziło do rozpaczliwej żony i zasmuciło połowę okręgu... — Hoppy pochylił się i przyjrzał się uważnie ojcu Timowi. — Co ty, u licha, sobie zrobiłeś, tak w ogóle?

Zejdź mi z oczu, miał ochotę powiedzieć; miał wrażenie, że ogniste spojrzenie oczu lekarza przygniata go do poduszki.

— Nie pamiętam.

Przypominał sobie jak przez mgłę jazdę z Dooleyem na wieś, ale nic więcej.

— Jak duży miałem cukier?

— Wolałbyś nie wiedzieć — rzucił ostro jego lekarz.

— Jak to się stało, że doznałem wstrząśnienia mózgu?

— Nie byłeś przypięty pasem.

— Kiedy mogę pójść do domu?

Hoppy podszedł do okna, z grymasem na twarzy, z dłońmi wciśniętymi głęboko do kieszeni fartucha.

— Jutro zabierzemy cię z reanimacji, potem spędzisz jeszcze trzy, cztery dni na oddziale. Będziesz w domu w niedzielę i czeka cię pełny miesiąc rekonwalescencji. Szczerze mówiąc, będziesz się czuł paskudnie przez sześć tygodni.

Cera Hoppy'ego miała ten ziemisty kolor, który tak często u niego widywał przez te wszystkie lata. Dobrze go znał — to było zmęczenie, ni mniej, ni więcej; przypuszczał, że to on sam jest powodem...

— Jesteś nieźle wkurzony.

— Tak!

Hoppy odwrócił się od okna.

— Bo mnie nie słuchasz. Mówię, pouczam, ostrzegam, ale ty traktujesz mnie jak jakiegoś nic nie wiedzącego rodzica.

Postanowił zignorować to oskarżenie.

— Co się stało?

— Straciłeś przytomność, kiedy prowadziłeś, i wjechałeś w...

— W co?

Hoppy przecesał dłonią gęstwinę siwych włosów.

— Znak stopu przy Little Mitford Creek. Więc co to było, ojcze? Znowu to piekielne ciasto, które jadłeś ostatnim razem? Albo może obniżyłeś dawkę insuliny i próbowałeś żyć według własnych zasad?

Obniżył dawkę insuliny, tak, ale tylko odrobinę. Co do ciasta, nie jadł żadnego ciasta. Colę, może. A może to było ciasto? Nie, to była cola, jakiś przebłysk pamięci zapewniał go o tym.

— Cola — odparł. — Wypiłem colę w wiejskim sklepiku, w drodze powrotnej z Meadowgate.

Tak. Wrócił mu rozum.

— Wydawało mi się, że wybrałem colę dietetyczną, ale przypuszczam, że dostałem prawdziwą... Nie zjadłem lunchu, a potem chciało mi się pić i...

— Nie rozumiem — powtarzał Hoppy, potrząsając głową. — Nie rozumiem.

Opadł na zielone winylowe krzesło przy łóżku i spojrzał na zegarek.

— Jesteś naprawdę uciążliwy.

Uśmiechnął się do swojego lekarza, którego maniery najwyraźniej gwałtownie się pogorszyły.

— Wzajemnie.

Hoppy usiłował się uśmiechnąć.

— Poradzimy sobie z tym — zapewnił go.

Usnął nieomal natychmiast po wizycie Hoppy'ego, a potem zerwał się gwałtownie. Tennessee! A co z Tennessee?

Począł szukać po omacku na poduszce dzwonek, żeby zadzwonić po siostrę, ale wysiłek tak go wyczerpał, że położył się, dysząc z wysiłku. Telefon. Mógłby zadzwonić do Cynthii i zapytać ją; nie rozmawiali o tym, gdy przyjechała pośpiesznie do szpitala dzisiaj o drugiej nad ranem. Teraz była — która była godzina? Nie miał zegarka. Nie miał zegara. Skąd ma tutaj cokolwiek wiedzieć? Zauważył po raz pierwszy, że nad jego łóżkiem wisi pod dziwnym kątem telewizor, jakby miał spaść za chwilę wprost na jego głowę. Może jest tu jakiś pilot; mógłby sprawdzić, która jest godzina, w CNN. Wykręcił głowę i spojrzał na szafkę nocną, ale ujrzał jedynie pudełko chusteczek i szklanek wody. Doszedł do wniosku, że zawołanie siostry w ogóle nie wchodzi w rachubę — pochłonęłoby to więcej energii, niż posiadał, a co gorsza, zakłóciłoby spokój innych pacjentów.

W takim razie będzie po prostu tutaj leżał, aż ktoś przyjdzie, cierpiąc pulsowanie skroni i ostry ból siniaka, w miejscu, gdzie uderzył się w głowę w całej tej aferze ze znakiem.

Usłyszał, jak deszcz zacina w szybę, i poczuł się dziwnie samotny i opuszczony. Powinien się cieszyć tym odgłosem, cieszyć się dobrem, jakie przyniesie ten wiosenny deszcz trawie i ogrodowi, jego różom. Ale nie czuł radości. Prawdę powiedziawszy, nie czuł nic.

Czy to właśnie tak będzie przez te długie nadchodzące tygodnie? I czy to rzeczywiście jego upór i głupota przysporzyły jego żonie takiego cierpienia, jego lekarzowi dodatkowej pracy, a posłudze w Tennessee problemów, zanim zdążył ją jeszcze zacząć?

Paczkę od Emmy dostarczono razem z jego lunchem, który składał się z kubka mleka, miseczki jogurtu i czegoś, czego nie był w stanie zidentyfikować — czy była to zastygła zupa pomidorowa czy może galareta, czy... coś jeszcze gorszego? Pochłaniał słońca zawartość i zaczął czytać swoje e-maile.

Od: [naszepodworko@aol.com](mailto:naszepodworko@aol.com)

No to się porobiło, Timothy! Przypuszczam, że to ta głowa łosia Cię tak wystraszyła.

Gdy już wyzdrowiejesz i będziesz gotowy do nas dołączyć, ściągnę ją ze ściany w Waszym pokoju i zawieszę ją w Waszej drewni.

Zapomniałem dodać, że będziecie ogrzewali dom piecem na drewno, tak jak wszyscy w Bear Creek Cove.

Dzięki Bogu za Richarda i Trudy, którzy przyjechali wczoraj i już wykonali pracę za czterech. Młodość! To klucz do wszystkiego!

Odkryliśmy, że trzeba załatać Wasz dach. W czasie wiosennych obfitych deszczy do części sypialnej dostało się dużo wody, patrząc na to z optymistycznej strony, w wodzie utopiło się dużo myszy.

Richard przywiezie świeżą słomę na dach, jak tylko wyschnie błoto, żebyśmy mogli poruszać się po okolicy bez grzęźnięcia w nim po zderzaki.

Zakładamy wszyscy, że macie z Cynthią samochód z napędem na cztery koła.

Cóż, stary przyjacielu, trzymaj się i pocieszaj się gołą prawdą, że Bóg działa cuda w Jessup, Tennessee!

Twój o. Harry

PS: Chłopiec z sąsiedztwa o imieniu Abner, zupełnie jak z tego dawnego komiksu, zapukał do moich drzwi w poszukiwaniu pracy, niebiosaraczą wiedzieć, że potrzebujemy dodatkowych rąk do pracy. Serce się raduje na widok jego pracowitości. Ma około czternastu, może piętnastu lat i nie umie czytać ani się podpisać.

Módl się za Abnera. Pisz, co słyhać. Przyślij pieniądze.

Wieczny optymizm Harry'ego Rolanda to więcej, niż człowiek jest w stanie znieść na pusty żołądek. Otworzył drugą paczkę krakersów i wypił mleko o niskiej zawartości tłuszczu, sprawdzając, czy w drzwiach nie pojawia się Cynthia. Samochód z napędem na cztery koła. Do licha. Dlaczego o tym nie pomyśleli? Mazda Cynthii miała napęd na przednie koła. Czy to nie wystarczy? O czym on w ogóle myślał przez te ostatnie kilka miesięcy? Co się z nim w ogóle działo?

Od: [biskup@aol.com](mailto:biskup@aol.com)

Mój Drogi Przyjacielu

Piszę do Ciebie, tak jak święty Paweł pisał do Tesaloniczan.

„Jakież bowiem podziękowanie możemy za was złożyć Bogu za radość, którą odczuwamy z waszego powodu przed Bogiem naszym?

Gorąco modlimy się we dnie i w nocy, abyśmy mogli osobiście was zobaczyć i dopełnić tego, czego brak waszej wierze (Jeśli rzeczywiście, czegoś w niej brakuje, drogi bracie).

Drogę naszą do was niech utoruje sam Bóg, Ojciec nasz, i Pan nasz, Jezus! A Pan niech pomnoży was licznie i niech spotęguje miłość waszą nawzajem do siebie i do wszystkich... jaką i my (Martha i ja) mamy dla was".



Zamierzam przejeżdżać przez Mitford 28., po drodze na spotkanie w Charlotte. Odwiedzę Cię wtedy, chyba że nie będę miał pozwolenia. Nie trać ducha.

Stuart

Odczuwał przerażający ból w każdej kończynie, w każdym stawie; oczy piekły go tak, jakby ktoś zasypał je solą. A jego głowa — miał wrażenie, że ból rozsadza mu czaszkę. Odkrył, że czoło po lewej stronie ma obandażowane, i doszedł do wniosku, że to efekt zderzenia ze znakiem stopu...

Odłożył pocztę na koc, wyczerpany.

Być może jogurt wzmocniłby go trochę, nie miał jednak ochoty unieść łyżki do ust. Zadzwoił po siostrę, żeby zabrała tacę i żeby w ten sposób zrobić miejsce dla Cynthii, aby mogła usiąść obok niego na łóżku. Jakiś płomyk pojawił się na myśl o niej i rozgrzał go, gdy kładł z powrotem głowę na poduszkę. Zamknął następnie oczy i usiłował zapamiętać, co zrobił, gdzie jest i dlaczego.

Jego żona leżała na boku obok niego, trzymając go za dłoń. Milczeli już od dłuższego czasu, zadowoleni z tego, że mogą leżeć razem, dotykając się wzajemnie.

— Niezła z nas para — szepnęła. — O czym myślisz?

— Dziękuję Bogu za ciebie.

— Za to, co ze mnie zostało — odparł, zaskoczony ironią we własnym głosie. — Ja myślę o Tennessee, o tym, jak będzie im ciężko, zanim tam nie pojedziemy. Na pewno nie jest dobrze zaczynać od braków.

— Pomyślimy o tym później.

— A co z samochodem? Czy...?

— Porozmawiamy o tym później, najdroższy. Porozmawiamy... o wszystkim, później.

Hoppy wpadł do pokoju tak gwałtownie, że pęd powietrza rozrzucił wydrukowane e-maile po podłodze.

— Teraz mam dwóch pacjentów?

— Mnożą się jak grzyby po deszczu! — zawołała Cynthia, siadając i poprawiając strój.

Hoppy położył dłoń na ramieniu Cynthii.

— Udało ci się zasnąć?

— W końcu — odparła. — Ale nadal jestem senna. Ojciec Tim podniósł głowę z poduszki.

— Właśnie rozmawialiśmy o Tennessee i o tym, kiedy będziemy mogli...

— Będziesz musiał zapamiętać o Tennessee — zawyrokował jego lekarz, krzyżując na piersi ramiona. — Z twoją niekontrolowaną cukrzycą ostatnia rzecz, której potrzebujesz, to rok na odludziu.

— Tak, ale mówiłeś...

— Powiedz, co by się stało, gdyby zdarzyło się to w Jessup, ojcze? Dwadzieścia dwa kilometry od najbliższego szpitala?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zamilkł.

— Oto odpowiedź na twoje pytanie — stwierdził Hoppy.

Hoppy zarządził, że nikt oprócz Cynthii nie może go odwiedzać na oddziale. To mu odpowiadało. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia i jeszcze mniej energii, żeby to zrobić. Personel szukał przeróżnych wybiegów, żeby faszerować go jedzeniem na każdym kroku. Czuł się jak geś, którą ktoś zamierza utuczyć na dobry pasztet. Gdy dzwonił telefon, nie odbierał. Kiedyś siostra podniosła słuchawkę i poinformowała go, że to J.C. Hogan. Ruchem ręki dał znać, że nie chce rozmawiać, był wyczerpany.

Zewsząd napływały kwiaty. Róże, tulipany, nawet kilka gałązek bluszczu zerwanych w ogrodzie byłego parafianina i włożonych do słoika. „Niech puści korzenie”, głosił bilecik.

Sissy przysłała piętękę ziemniaka, puszczającą pędy w papierowym kubku. Sassy przysłała pestkę awokado, zawieszoną na trzech wykałaczkach w szklanym pucharku, której olśniewający gąszcz liści okres świetności miał już za sobą.

Hessie Mayhew z pewnością przeszła samą siebie, przysyłając mu kompozycję w koszu, która zajmowała cały kąt pokoju. Miał ochotę delektować się każdą lodygą i każdym pręcikiem, przyglądać się kolorom, rozkoszować się zapachami, ale nie był w stanie. Gdy od czasu do czasu spoglądał na kosz, czuł się winny, że w ogóle go nie obchodzi, i z czasem przestał w ogóle spoglądać w tamten kąt.

Podarował go siostrze Kennedy, która przyjęła prezent dość sceptycznie.

— Miewałam w swoim życiu mniejsze ogródki — oceniła, wynosząc z wysiłkiem kosz z pokoju.

Odkrył, że sprawia mu przyjemność śmiech gości przychodzących do pacjentów leżących na tym samym piętrze. Był to rodzaj zapewnienia, że życie innych ludzi trwa nadal, mimo że jego własne zostało tak brutalnie przerwane.

Przeszedł się kiedyś korytarzem, bez pozwolenia, nie mogąc rozprostować kości, posuwając ciężko nogami jak starzec. Oczywiście, że jest stary, ma prawie siedemdziesiąt lat. Gdy był młody, siedemdziesiąt lat wydawało mu się sędziwym wiekiem. Jeden z jego dziadków zmarł w wieku siedemdziesięciu lat i na pewno nikt nie mówił wtedy: „Biedny Yancey, był taki młody”.

Zauważył, że kilka osób przygląda mu się, gdy tak posuwa się wolno w pantoflach, jakby z jednego z nich wystawał i ciągnął się za nim papier toaletowy. Przynajmniej dwie osoby, które znał z widzenia, spuściły wzrok i udawały, że go nie poznają. Znał niektórych pacjentów, z pewnością, i większość siostr — jako pastor Lord's Chapel przychodził tutaj prawie każdego dnia rano przez szesnaście lat — mimo to dzisiaj wszystko wydawało mu się obce. Czuł się jak zupełnie obca osoba w miejscu, w którym kiedyś spędził całe godziny, modląc się z pacjentami i pracownikami i czytając Słowo Boże przy niezliczonych łózkach.

Zdołał zaledwie dojść do kauczkowca przy windach, gdy siostra Kennedy znalazła go i zaciągnęła z powrotem do jego pokoju, jakby był skazańcem, któremu udało się wydostać za mur.

— Nic dziwnego, że ludzie umierają w szpitalach — mruknął do siostry przełożonej z wieloletnim stażem. — Nie pozwalacie człowiekowi na odrobinę przyjemności.

*Wróciłem do domu.*

Zapisał te słowa na białej kartce z tyłu swojego dziennika, planując napisać więcej, ale odkrył, że nie ma nic więcej do powiedzenia. To było wszystko, co chciał powiedzieć, a nawet za dużo, chciał po prostu wrócić do domu.

Pomyślał, że powinien podać datę wpisu, i wziął do ręki pióro. Trzymał przez chwilę, potem znowu je odłożył i wyjrzał przez okno na park Baxter, który przypominał rysunek na znaczku.

Powinni zburzyć ten stary garaż i odsłonić widok na park. Nie miał pojęcia, dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli. Nawet wybujały żywopłot za nim, który należał do miasta, można było uporządkować do jakiegoś stopnia i usunąć z niego suche gałęzie. W ciągu kilku dni razem z Harleyem mogliby się uporać z tym zadaniem, nic prostszego. Użyją piły łańcuchowej, ponieważ rzeczywiście chciałby zebrać gałęzie i wywieźć je, ku uciesze miasta, i *voilà!*, widok na park Baxter.

— O czym myślisz, stary przyjacielu?

Barnaba zeskoczył z sofy przykrytej pokrowcem, podszedł do niego i spojrzał mu smutno w oczy.

Ojciec Tim zaczął podnosić się z fotela, ale odkrył, że nie ma siły ani ochoty, żeby to zrobić. Myśl o tym, żeby wyburzyć garaż i uporządkować żywopłot, zupełnie go wyczerpała.

— Żadnych kolejnych e-maili, a szczególnie od ojca Rolanda — usłyszał, jak Cynthia mówi do Emmy w drzwiach wejściowych. — Potrzebuje odpoczynku.

Słowa Emmy zdawały się stłumione, ale jego żony były ostre i wyraźne, mimo że ściszyła głos.

— Przez jakiś czas dość ze wszystkim. Stłumiony głos Emmy, wyraźnie się łamiący.

— Jestem pewna, że chce cię zobaczyć, ale zalecenia lekarza są zaleceniami lekarza. Zadzwoń do mnie w poniedziałek, powiem ci, jak się czuje...

Drzwi wejściowe zamknęły się i jego żona ruszyła do niego korytarzem, a za nią, truchtem, jego pies.

Dlaczego nie mógł zobaczyć się z Emmą? Poza tym zaczynał lubić e-maile. Nie chciał być osobiście online, na litość boską, ale lubił ten mały plik kartek, które przynosiła ze sobą co tydzień Emma, dla niego były niczym cud, szczerze mówiąc. Co z tym pastorem, jak mu tam, z Anglii? Ciekawe, co porabia? I ojciec Harry — dostał czek czy też obfite opady W czwartek uniemożliwiły samochodowi z pocztą dotarcie do wąwozu? Skoro najwyraźniej nikt nie pisał już zwyczajnych listów, skąd on ma cokolwiek wiedzieć? I oczywiście była też Marion Fieldwalker... Choć dopiero stawiała pierwsze kroki w krainie e-maili, zapowiadała się na prawdziwą encyklopedię wiadomości z Whitecap, miejsca, za którym, jak niejednokrotnie zauważył, bardzo tęsknił.

— Zgadnij, kto dzisiaj nas odwiedzi, najdroższy.

Cynthia stanęła za jego fotelem i pocałowała go w czubek głowy.

— Hm.

Usiłował powiedzieć coś mądrego i błyskotliwego, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

— Dooley!

Barnaba szczechnął, słysząc imię chłopca.

— Będzie tutaj o trzeciej. Bardzo się o ciebie martwił, chciał cię odwiedzić w szpitalu, ale Hoppy...

— Do licha z Hoppym — szepnął.

— Hoppy zajrzy do nas po lunchu, na marginesie.

— Po co?

— Żeby porozmawiać.

— Wydaje mi się, że miał mi dużo do powiedzenia w szpitalu.

— Jedzie na wycieczkę na Zachód i chciał... omówić z tobą kilka spraw.

— Gdzie jest Puny?

— Dałam jej kilka dni wolnego.

Jego żona była jakaś dziwna, nie wiedział jednak, o co chodzi. Wydawała się spięta, rozkojarzona, zmęczona. Być może była to wina wszystkiego, przez co musiała przejść; z drugiej strony, pewnie chodziło o coś więcej.

— Ach — rzuciła, spoglądając na zegar na jego biurku. — Idę do Sklepu. Przyjeżdża Dooley, wiesz, co to znaczy.

Pocałowała go w policzek i wyszła pośpiesznie z pokoju, zabierając kluczyki od samochodu z lady w kuchni.

— Przywiozę ci niespodziankę! — zawołała przez ramię. Żadnych niespodzianek, proszę, pomyślał. Wszystko, tylko nie kolejna niespodzianka.

— Ojciec...

Hoppy siedział w ich pracowni, wyglądając na zaniepokojonego i wyczerpanego. Jakikolwiek oznaki poprawy, które ojciec Tim był w stanie zaobserwować u swojego lekarza, z pewnością zniknęły. Nie próbowali wieść przyjemnej rozmowy o niczym, nie komentowali pogody — obecnie dominował deszcz — nie mówili też o nowej pracowni, którą Hoppy widział tego dnia po raz pierwszy.

— Masz za sobą bardzo niebezpieczne doświadczenie. Potrwa trochę, zanim odzyskasz siły.

— Tak — odparł.

Miał przeczucie graniczące z pewnością, że za chwilę spadnie topór. Jego żona siedziała z nim na sofie i trzymała go za rękę. Wydawało mu się, że wygląda źle. To wszystko było naprawdę ponad jego siły...

— Ale jesteś teraz w miejscu, które bardzo dobrze znasz, z najlepszą siostrą w okręgu, wyłączając siostrę Kennedy. I wierzę, że jesteś wystarczająco silny, żeby znieść to, co chcemy ci powiedzieć.

On jednak nie chciał słyszeć niczego więcej...

— Gdy straciłeś przytomność za kierownicą swojego samochodu, rzeczywiście uderzyłeś w znak stopu przy Little Mitford Creek.

— Jeśli są jakieś straty, Rodney wie, że pokryję wszelkie koszty.

— Potrafiłeś również Billa Sprouse'a.

Spojrzał na swoją żonę z niedowierzaniem i zauważył, że jej twarz jest blada jak płótno. Ścisnęła mocniej jego dłonie.

— I jego psa, Sparky'ego — szepnęła. Poczuł, jak przerażające zimno ścina mu krew.

— Bill jest w szpitalu z kilkoma złamaniami i niewielkim wstrząśnieniem mózgu. Był na sali sąsiadującej z twoją. Przykro mi, ojciec.

Wszyscy znali i lubili wesołego pastora z kościoła baptystów, który uwielbiał swojego psa i był regularnie widywany. Jak spaceruje z nim po ulicach Mitford.

— Co jeszcze?

Gwałtowne bicie serca wydawało się nieomal nie do zniesienia.

— Sparky'ego znaleziono pod tylnym kołem twojego samochodu; prawdopodobnie zmarł na miejscu.

Boże, miej litość. Chryste, miej litość. Ukrył twarz w dłoniach.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi wcześniej?

— Chcieliśmy poczekać, aż będziesz silniejszy. Nie każdy postanowiłby tak postąpić, ale wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

Ojciec Tim przez ułamek sekundy miał nadzieję, że to tylko straszny sen...

— Oto dobra wiadomość. Billowi nic nie będzie, chociaż potrzebuje kilku tygodni, żeby wypocząć i wyzdrowieć. Szukają kogoś, kto będzie mógł zastąpić go w kościele.

...ale nie, to był koszmar po przebudzeniu.

Dooley siedział z nim na sofie, nie odzywając się. Barnaba zszedł z fotela przykrytego pokrowcem, podszedł do swojego pana i położył się u jego stóp.

Zegar tykał. Wskazówka przesunęła się z 3:10 na 3:11.

— Przykro mi — powiedział w końcu Dooley.

— Wiem — odparł.

— Zrobiłbym coś, gdybym tylko mógł.

— Wiem — powtórzył.

— Modliłem się za ciebie.

— Nie przestawaj.

— Nie, proszę taty, nie przestanę.

— Billowi nic nie będzie. Ale jego pies...

— Tak, proszę taty.

Wskazówka zegara przesunęła się z 3:13 na 3:14. Czerwcowy bryza wdarła się do pokoju przez otwarte okna, niosąc ze sobą zapach deszczu i mokrych liści.

— Lepiej już pójdę — rzucił Dooley.

— Wiem.

Chłopiec wstał; ojciec Tim spojrzał na niego, pogrążony w smutku.

— Kocham cię — powiedział Dooley odważnie. Jego głos drżał.

Ja też cię kocham, pomyślał, nie był jednak w stanie wydobyć z siebie głosu.

Siedział w pracowni, gdy Cynthia, wyglądając na niepokieszoną, poszła spać. Wiedział, że powinien zrobić coś, żeby dodać jej odwagi, tej, która dodawała mu odwagi raz po raz. Jednak nie potrafił.

Wziął do ręki Pismo Święte leżące na biurku i otworzył je na Drugim Liście do Koryntian. Zamknął oczy i modlił się za Billa Sprouse'a i jego żonę. Potem siedział przez długi czas z Pismem Świętym na kolanach, modląc się ponownie.

Wreszcie skierował tom w stronę ciepłej plamy światła, Jakie rzucała lampa. Mimo że znał ten fragment na pamięć, chciał zobaczyć go ponownie na papierze.

— „Wystarczy ci mojej łaski — przeczytał, wymawiając słowa w zaledwie słyszalny sposób. — Moc bowiem w słabości się dokonali”.

# Rozdział ósmy

## MIŁOSIERDZIE

W odróżnieniu od wiosny, która w Mitford zawsze zdawała się przychodzić z opóźnieniem, lato tego roku nadeszło dokładnie o właściwym czasie.

W dniu przesilenia pogoda zmieniła się jak na zawołanie, a temperatury podskoczyły gwałtownie z zaledwie dwudziestu poprzedniego dnia do ponad trzydziestu stopni.

Podest domu Hessie Mayhew, który służył z chłodnych bryz docierających z zachodu, stał się w południe istną patelnią, a Hessie kapłonem wbrew własnej woli, gdy układała kwiaty na ślub w kaplicy metodystów. Ratując kosze róż, ostróżki, żółtego słonecznika i lilii od śmiertelnego gorąca, złożyła cały kram w kuchni, żałując, że jej zasłonięty ganek stał się graciarnią, w której trudno się swobodnie obrócić.

Była zdecydowanie zde gustowana koniecznością przygotowania ślubu w kuchni wielkości napastrka, ale jeszcze bardziej nie podobało się jej to, co wędrowało po jej materiale roboczym — gąsienice, pająki, żuki, moskity, komary, mszyce, pszczoły, robaki, biedronki, stworzenia zbyt dziwne i odrażające, żeby je zidentyfikować, i — w zależności od pory roku — przeróżne pchły.

Czując, jak strużki potu spływają jej po plecach, otworzyła drzwi do lodówki, żeby się ochłodzić, i obwieściła na głos, biorąc na świadka piec Kenmore, że to jej ostatni rok jako będącej na zawołanie wszystkich, przynieś-wynieś-pozamiataj florystki — zrywa z tym biznesem, raz i na zawsze, niech się dzieje, co chce, pozwoli służbom socjalnym pokazać jej, na co ich stać.

I jeszcze jedno. Ta śmieszna kolumna „Pani Wiosna”, nad którą ślęczała co roku przez ostatnie dziesięć lat, to już historia. Zrobiła pierwszą dla zabawy, po tym jak zmusiła się do przeczytania Wordswortha i Cowpera, i tych wszystkich dawnych poetów, którzy lubili się włóczyć po górach i lasach w poszukiwaniu fiołków i wypychać sobie kieszenie orzechami. Gdy zobaczyła, jak bardzo spodobało się to ojcu Timowi, zrobiła ją również za rok, potem za rok i jeszcze za rok, aż do znudzenia i wszystko za nędzne piętnaście dolarów od tekstu, które J.C. Hogan zdawał się uważać za okrągły milion przed opodatkowaniem.

Hessie podniosła sukienkę i wsunęła jej brzeg do nogawek majtek, tak stała się podobna do — ogólnie rzecz biorąc — grzyba odwróconego do góry nogami na nóżce.

Tyle lat zarabiania na kawałek chleba, biegania jak w ukropie i nadal nie było jej stać na klimatyzację, nawet na klimatyzator! A tu, proszę bardzo, w górach robiło się coraz cieplej, z każdym kolejnym latem — do historii należały dni, gdy ludzie nakładali w sierpniu swetry!

Hessie wepchnęła gumowy korek do odpływu kuchennego zlewozmywaka i odkręciła kran. Niektórzy mówili, że całe to zamieszanie z pogodą to efekt cieplarniany. Tylko patrzeć, jak lodowce zaczną topnieć na północy, a w stronę ich kontynentu zaczną nadciągać ogromne fale powodziowe, co znaczy, że Południe znowu będzie zbierało za wszystkich.

Poruszona nieuniknionym i niesprawiedliwym skutkiem emisji zanieczyszczeń do środowiska, zanurzyła łądygi czterdziestu siedmiu lilii w letniej wodzie.

— Pijcie! — poleciła.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie otrzymała, jak nakazywała zwykła ludzka przyzwoitość, ani słowa podziękowania od ojca Kavanagha za kosz roślin ogrodowych, który posłała do jego pokoju do szpitala prawie trzy tygodnie temu. Rachel Sprouse natomiast od razu jej podziękowała za piękny wazon żółtych róż.

Chwyciła kubek na kawę i rozgniotła robaka na ladzie. Co się ostatnio działo z ludźmi? Czy zwykła uprzejmość została już zupełnie zapomniana? Ludzie gadali do znudzenia o swoim życiu seksualnym, ale nie było już niemal nikogo, kto zdobyłby się na to, żeby powiedzieć zwykłe „proszę” czy „dziękuję”.

Z drugiej strony...

Ta myśl ją poraziła — czy rzeczywiście zaniósła do szpitala kosz dla ojca Tima, czy tylko się jej to przyśniło? Czy może zaplanowała to tak dokładnie, każdy szczegół, że w końcu tylko jej się wydawało, że to zrobiła? Prawdę powiedziawszy, nie pamiętała, żeby go dostarczała. I nic dziwnego — od połowy maja zrobiła tyle koszy roślin ogrodowych, tyle razy targała je do szpitala i układała kwiaty na tyle ślubów, że wszystko wydawało się zamazywać w jej pamięci...

Poczuła nagle ogromny ciężar na sercu. Biedny ojciec Tim, z tym wszystkim, co mu się przytrafiło, i ani jednego ludzkiego słowa od Hessie Mayhew.

Poczuła się jak ten robak, którego właśnie wyprawiała na tamten świat.

Kilka przecznic na południe dalej wujaszek Billy Watson zaniósł paczkę nasion i zardzewiałą motykę do ogródka za miejskim muzeum.

Szelest nasion w kolorowej paczce sprawiał mu przyjemność. Ten dźwięk dodawał mu otuchy do wykonania zadania, które go czekało. Ta paczuszka kosztowała całego dolara w sklepie z artykułami żelaznymi Dory Pugh, a on zrobił tyle zamieszania wokół ceny, że dała mu starą paczkę z ubiegłorocznych zapasów, ostrzegając go, że mogą nie zakiełkować i żeby wtedy nie miał do niej pretensji.

Zamierzał właśnie wdrożyć plan upiększenia muzeum miejskiego, ponieważ władze miejskie były zbyt małostkowe, żeby zająć się upiększaniem samodzielnie. Pokaże im, na co stać człowieka z odrobiną zapалу i wyobraźni, co powinno zawstydzić całą miejską załogę. Tylko patrzeć, jak ludzie będą przejeżdżać obok jego domu i podziwiać kwiaty, tak jak podziwiają co roku kwiaty ojca Tima — te różowe róże kwitnące z boku żółtego domu jego żony... Tak, to dopiero był widok.

Położył paczkę na siedzeniu zardzewiałego krzesła z chromowanego metalu, które stało pod drzewem od kilku lat. Przyglądał się przez chwilę korzeniom drzewa, które były doskonale widoczne. Raczej nie powinien kopać przy korzeniach drzewa, Bóg wie jakie problemy mogą z tego wyniknąć; jak zacznie tu coś robić, drzewo może przewrócić się na dom, a po tej stronie właśnie znajduje się sypialnia jego i Rose.

Odsunął się od drzewa i podwórka, gdzie wysoka trawa oczekiwała na załogę miejską i ich kosiarki, które miały się pojawić za dwa dni. Nie miał pojęcia, jak uda mu się wykopać ten długi pasek trawy, ale zamierzał to zrobić i na tym koniec.

Uniósł do góry motykę, by uderzyć nią mocno w ziemię, ale motyka wypadła mu z rąk i wylądowała metr od niego. Wujaszek Billy wymówił słowo, które już od dłuższego czasu nie wydobyło się z jego ust, następnie przesunął się w stronę motyki i pochylił, żeby ją podnieść.

— Boże, miej litość — powiedział, ocierając pot z czoła.

Nie cofając się do poprzedniego miejsca, ponownie uderzył mocno w ziemię i tym razem udało mu się wbić motykę.

Ostrze motyki zdołało wyrwać odrobinę ziemi, czerwonej jak cegła i nieomal równie twardej. Widok ziemi, która poddała się motyce, dodał mu pewności siebie; uderzył ponownie, ale nie trafił we wgłębienie, które właśnie udało mu się zrobić, tylko utworzył drugie zagłębienie, oddalone od pierwszego o zaledwie kilka centymetrów. — Do licha!

Miał problemy z zaczerpnięciem powietrza, a jego serce skakało jak oszalałe, niczym ryba wyrzucona na brzeg.

Nie wspominając o tym, że nieomal się gotował w ubraniu, i nic dziwnego — miał na sobie stare wełniane spodnie brata Rose, które nie tylko sprawiały, że było mu gorąco, ale również swędziała od nich skóra. Miał ochotę rozebrać się do naga.

Przez chwilę rozważał udanie się do domu, żeby się przebrać, ale doszedł do wniosku, że to zbyt dużo zachodu. Poza tym, jeśli pójdzie, Rose zacznie go nagabywać o to i tamto, i zanim się obejrzy, będzie wynosił śmieci albo obierał ziemniaki, albo ostrzył nóż, którym nie można ukroić masła. Może go nawet posłać do piwnicy po ten słoik pikli, który Lew Boyd przyniósł jakiś czas temu, a na samą myśl o tych wszystkich siedzących tam pająkach czuł mrowienie na czubku głowy.

O nie, zamierza się z tym rozprawić, raz na zawsze i w październiku — a może we wrześniu? — będą mieć trochę żółtych chryzantem, które będzie widać aż spod pomnika. Nieocenioną pomocą byłby ojciec Tim, gdyby tylko wybrał się tą drogą na spacer ze swoim psem. Kaznodzieja wiedziałby na pewno, jak najlepiej wykonać taką pracę. Nie widział go jednak już od dłuższego czasu z powodu zapewne tego przykrego wypadku, który mu się przytrafił. Wybierze się do niego za parę dni, żeby opowiedzieć mu te dwa nowe dowcipy, których nauczył się z jednego ze swoich almanachów. Zrobi to samo dla kaznodziei Sprouse'a, ale nie ma takiej możliwości, żeby zdołał wejść na to strome wzniesienie, na którym znajduje się, jak nazywają go ludzie, Sprouse House.

Ujął mocno stylisko motyki w swoje zaatakowane przez artretyzm dłonie, uniósł ją najwyżej jak potrafił i wbił z całej siły w ziemię.

Na Jowisza, zadziało. Wysoka kępa trawy przewróciła się, odsłaniając płytkie wgłębienie wielkości dłoni.

— Alleluja! — zawołał.

Spojrzał w stronę domu, żeby zobaczyć, czy obserwuje go Rose. O ile mógł dojrzeć, a możliwości w tym zakresie miał niewielkie, nie przyglądała mu się.

Postanowił usiąść na chwilę i złapać oddech, ale przekłete krzesło zdawało się być na drugim końcu świata. Upuścił motykę w trawę i pokuśtykał pod drzewo, trzymając rękę na krzyżach, skąd promieniował ostry ból, jakby ktoś wbijał mu w ciało szpilki.

Opadł na krzesło, na paczkę nasion, otarł czoło rękawem koszuli i przyjrzał się krytycznie sporych rozmiarów dziurze, którą właśnie wykopał jednym uderzeniem.

Ile uderzeń będzie trzeba, żeby zrobić miejsce dla garstki nasion? Ile czasu będzie trzeba, żeby zobaczyć, jak kiełkują? Czy będzie musiał zbudować ogrodzenie wokół kwitnących kwiatów, żeby załoga miejska nie...

Zasnął. Śnił o strumieniu w pobliżu jego chatki z chłopięcych czasów, strumieniu, w którym złapał swoją pierwszą kijankę i zobaczył po raz pierwszy niedźwiedzia, i gdzie ukąsił go wąż. W tym śnie jednak nie było węży, jedynie jego mama stojąca w zakolu Little Jack Creek, pochylona i piorąca spodnie, w których chodził do szkoły, i nucała *Redwinga*.



W Księgarni Szczęśliwych Zakończeń Hope Winchester otworzyła wejściowe drzwi, spojrzała na zegarek, następnie poszła na tył sklepu i otworzyła zamknięte na klucz drzwi, które prowadziły do magazynu przeładunkowego. Nie obchodziło jej, czy przez tylne drzwi, w których nigdy nie było siatki, dostaną się do środka muchy. Musi coś z tym zrobić, oddałaby wszystko za powiew świeżego powietrza.

Wentylacja! Czyż to nie ona była centralną ideą wszystkich istotnych rozwiązań architektonicznych Południa? Przesunęła po podłodze pudełko książek w miękkiej oprawie, żeby podeprzeć otwarte drzwi, i zadowolona, że zdoła przeżyć do czasu naprawy klimatyzacji we wtorek, wróciła na swój taboret przy kasie i wzięła do rąk wydanie z 1913 roku *Aunt Olive in Bohemia*, które przez pomyłkę zostało przysłane razem z partią rzadkich i używanych książek.

Hope zauważyła od razu, że to nie jest literatura, a jedynie płytka rozrywka, ale może powinna się trochę rozluźnić ten jeden raz i przeczytać coś lekkiego i nieistotnego, dokładnie tak, jak czyniła to większość jej klientów. Z wyjątkiem oczywiście jej dobrej klienteli z college'ów w Wesley albo pani Harper i Lace Turner, i pana Gregor-y'ego i garstki innych, nie wspominając jej ulubionego klienta, ojca Kavanagha.

Westchnęła, nagle przygnębiona na myśl o tym, co mu się stało, i jakie fatalne było to całe straszne wydarzenie. Bardzo chciałaby mu pomóc w jakiś sposób, ale nie było absolutnie nic, co mogłaby zrobić. Dwie osoby powiedziały jej, że się za niego modlą, i zaproponowały, żeby zrobiła to samo, ale ona nie wierzyła w modlitwę, była odwiecznym zwolennikiem optymizmu i rozumu.

Przez cały ranek udawało się jej ignorować swoje najskrytsze uczucia, ponieważ powodowały jedynie dramatyczną huśtawkę nastrojów, od czarnej rozpacz po czysty zachwyt. Zaiste, skupi swoją energię na czytaniu tej niewinnej książki, utrzymywaniu odpowiednio niskiej temperatury w sklepie i zaspokajaniu potrzeb swoich klientów, jeśli się tacy pojawiają. Bez względu na to, co będzie robiła, podejmie się zdecydowanego i świadomego wysiłku, żeby trzymać pod kontrolą swoją wyobraźnię, która zawsze była nieokiełzana i kapryśna — rezultat, według jej mamy, nadmiernego czytania książek.

Spojrzała na zegarek i otworzyła książkę na rozdziale trzecim.

Była prawie siódma wieczorem i przez jedno z okien w nowo urządzonej pracowni do środka dostawała się smuga słońca. Tworzyła plamę światła na błękitnym drojocie leżącym na podłodze, dotykając również dębowej komody, na której rozłożono stary serwis obiadowy Worcester...

Hope była zdania, że metaforyka jest dość zręczna. Podobało się jej również słowo „drojet”, którego nigdy wcześniej nie widziała ani nie słyszała. To z pewnością musi być chodnik, ale ponieważ nigdy nie nauczyła się niczego poprzez zgadywanie, odłożyła książkę i podeszła szybko do słownika, na małym stojaku przy drzwiach, umieszczonego tam dla klientów, aby korzystali z niego, gdy będą mieć na to ochotę.

...chodnik z Indii, o ostrym włosie z bawełną lub jutą...

Wtedy poczuła bryzę, tak chłodną i słodką na swym karku, że na chwilę przestała się pilnować, zamknęła oczy i w jednej chwili znalazła się na wrzosowiskach w Anglii. Stała tam w długiej czarnej pelerynie, powiewającej na wietrze, a w jej kierunku jechał na szarym wierzchowcu George Gaynor...

— Dzień dobry, proszę pani. Mam nadzieję, że to nie kłopot, iż jestem trochę wcześniej.

Przebudziła się gwałtownie ze swojego snu, czerwona ze wstydu i zaniepokojona niekontrolowanym biciem swego serca. Zupełnie oniemiała na widok wysokiej, szczupłej sylwetki George'a Gaynora stojącego w wejściowych drzwiach sklepu, skąpanej w promieniach popołudniowego słońca.

Hélène Pringle stała w oknie sypialni na piętrze domu, który kiedyś służył jako mieszkanie kolejnych pastorów Kaplicy Naszego Pana i Zbawiciela, znanej również jako Lord's Chapel.

Czuła się dziwnie zaniepokojona i rozdrażniona — cała na szpilkach, dosłownie — próbując zdecydować, co mogłoby być odpowiednie.

Czy powinna wybrać się do sąsiedniego domu, żeby złożyć swoje uszanowanie i być może okazać się intruzem, w tym bardzo delikatnym czasie? Albo poczekać, aż sprawy wrócą do normy, i ryzykować, że być może zostanie uznana za osobę zimną i obojętną, dlatego że nie złożyła wizyty wcześniej? Zawsze lubiła się zamartwiać i często bywała rozdarta pomiędzy zupełnymi przeciwnościami rozwiązań i uczuć.

Przed i po lekcjach gry na pianinie i odwiedzinach u swojej mamy w Domu Nadziei stała z nosem przyklejonym do szyby, myśląc, że może uda się jej znaleźć jakąś wskazówkę odnośnie do tego, co się dzieje u Kavanaghów. Ale żółty dom stojący obok był niczym twierdza; widziała Cynthię tylko raz, jak wybiegła z wejściowych drzwi w szlafroku i piżamie, żeby zabrać gazetę, i jak potem ponownie wbiegła. Ponieważ „Muse” była dostarczana w poniedziałki, a dzisiaj była sobota, upłynęły dosłownie wieki, odkąd zaobserwowała jakiegokolwiek oznaki życia. Oczywiście, nie widziała tej strony domu, po której znajdował się nowy garaż, gdzie prawdopodobnie przewijali się przez cały czas ludzie, i z pewnością nic nie można było ujrzeć przez ich okna na piętrze, ponieważ te wychodzące na jej stronę zawsze były zasłonięte okiennicami.

Kot, Barbizon, ocierał się o jej kostki, lecz ona nie zwracała na niego żadnej uwagi.

Nie da rady znieść tej strasznej niepewności ani chwili dłużej, a z pewnością nie przez cały kolejny dzień.

Jak czuje się jej drogi mężczyzna? Czy jego cukrzyca jest tak zaawansowana, że zagraża jego życiu? Czy jest pogrążony w rozpacz? Jako człowiek obdarzony niezmierną wrażliwością, a na dodatek miłośnik psów, musiał znieść to wszystko bardzo źle.

Gdy robiła zakupy w Sklepie, zapytała Avisę Packarda o wielebnego Sprouse'a i dowiedziała się, że czeka go jeszcze kilka tygodni odpoczynku w łóżku, ale że wróci do zdrowia. Ponadto wielebny Sprouse bardzo cierpi po stracie swojego psa, ale stara się być nadal wesoły i podnosić na duchu innych. Nie miała odwagi, żeby zapytać o ojca Tima, w obawie, że pan Packard mógłby zinterpretować jej żywe zainteresowanie jako dziwne lub zbyt daleko idące.

Zauważyła, że wykręca nerwowo dłonie, i zrozumiała, że musi załatwić tę sprawę raz na zawsze. Cała ta historia szarpała jej nerwy i odwracała jej uwagę od uczniów.

— *Ça ne va pas!* — zawołała na głos, napominając się. — Upiecz chleb, jak musisz, i zostaw go pod drzwiami! A jeszcze lepiej, upiecz smacznego *poulet!*

Mówił jej kiedyś, że lubi pieczonego kurczaka.

— *Bien sûr!* W takim razie sprawa postanowiona.

Jako że jej młodzieńcza wiara znacznie osłabła wiele lat temu, pożałowała, że nie modliła się częściej. Oczywiście, musi się pomodlić natychmiast; najzwyczajniej w świecie zaniedbała zrobienie tej najistotniejszej rzeczy dla człowieka, który — nieomal pod każdym względem — ocalił jej życie, którego czułe przebaczenie zła, które wyrządziła, wskrzesiło ją z otchłani goryczy i poczucia winy. Przeżegnała się szybko i spojrzała na sufit.

— *Saint Père, accorde-moi, s'il te plaît, l'occasion de faire quelque chose pour ton cher émissaire, quelque chose que fera une différence!*

Zastanawiała się przez chwilę, a potem wymówiła te same słowa po angielsku.

— Święty Ojczy, proszę, daj mi sposobność zrobienia czegoś dla Twojego emisariusza, czegoś, co będzie mógł docenić.

Miała nadzieję, że dwie odrębne prośby mogą być podwójnie skuteczne, mimo to nie miała w ogóle pewności, że została wysłuchana. Niemniej jednak poczuła dziwną ulgę, gdy poprawiała kołnierzyk bluzki i uszczypnęła się w policzki, a następnie zeszła na dół, żeby przygotować się na przyjście kolejnego ucznia.

W korytarzu zastanawiała się — czy to odgłos dochodzący z sutereny?

Nie, to samochód przejeżdżający ulicą. Od czasu gdy mężczyzna z poddasza, jak często nazywali go mieszkańcy Mitford, wprowadził się do pana Welcha dwa dni temu, myślała, że może usłyszy donośny śmiech albo odgłosy dużego zamieszania. Szczerze mówiąc, nie miałyby pojęcia, że na dole mieszka dodatkowa osoba, gdyby nie przyszedł i nie zapukał do jej drzwi, żeby się przedstawić. Poprosił ją nawet, żeby mu dała znać, jeśli będzie potrzebowała pomocy.

Wydawał się jej atrakcyjny, albo może urodziwy byłoby bardziej właściwym określeniem, i zauważyła z ulgą, że jest gładko ogolony, co — jak się jej wydawało — było wymagane w więzieniu. Był też szalenie szarmancki — ale, oczywiście, jeśli chce do czegoś dojść w świecie, nie może sobie pozwolić na inne zachowanie. Ogółem rzecz biorąc, zaaprobowała nowego lokatora, spokojna, że ojciec Tim nie przysłałby nikogo podejrzanego, żeby zamieszkał w domu będącym jego własnością.

Przeszła do pokoju, w którym nauczała muzyki, rozmyślając o mężczyźnie z poddasza...

Rozmyślała jeszcze nad tym dziwnym imieniem, dochodząc do wniosku, że — co jeszcze dziwniejsze — George Gaynor był teraz *l'homme au sous-sol*.

Po kanapce z mięsem i mrożonej kawie na lunch Esther Bolick rozciągnęła się w leżącej pozycji na rozkładanym fotelu w kratę, słuchając chrapania swego męża i zastanawiając się, co może zrobić dla ojca Tima.

To było trudne, bardzo trudne, gdy ludzie nie mogli — i w dzisiejszych czasach po prostu nie chcieli — jeść ciasta. Gdy ona dorastała, rodziny dosłownie żyły od ciasta do ciasta. Ciasto było specjalnym wydarzeniem, miało jakieś znaczenie. Teraz domowej roboty ciasto, upieczone od podstaw, nic nie znaczyło. Przede wszystkim większość młodych ludzi nigdy nawet nie zaznała czegoś takiego jak ciasto. Wszystko, co mieli okazję poznać, pochodziło ze sklepu i smakowało jak plastik albo było wsypywane z pudełka do miski, mieszane z mlekiem o niskiej zawartości tłuszczu i wrzucane do piekarnika, który nieomal wysadzał korki, tylko dlatego że został uruchomiony. Takie ciasto nigdy nie może być ciastem domowym, oczywiście, jest Betty Crocker's albo Duncan Hines', a różnica pomiędzy nimi jest ogromna i niewybaczalna.

I spójrzcie tylko, jak ludzie zachowują się w dzisiejszych czasach na sam widok ciasta. Ciasto? Zabierajcie je stąd! Jestem na diecie! Nie chcę tego w domu!

Jeszcze gorsza była nieunikniona deklaracja: Nie tykam ciasta!

Nie tykam ciasta! Żalodne! Na świecie przybywało takich ludzi, nie wspominając o tych, którzy zjadali ciasta w tajemnicy, wpychając je w siebie, gdy nikt ich nie widział, i twierdząc, że żyją na diecie składającej się z gotowanych jajek i suchych tostów. Dobrze wiedziała, co to za jedni.

Ojciec Tim był inny, oczywiście; zjedzenie ciasta w jego przypadku nie dodałoby jedynie nędznego kilograma czy dwóch, ale zabiłoby go na śmierć. Zobaczcie tylko, jaką krzywdę sobie zrobił wypiciem coli, czy to była pepsi?

Gene zachrapał i się obudził. Podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

— Co mówiłaś, najśłodsza?

— Śpij dalej! — warknęła rozgoryczona całą ideą nowoczesnej cywilizacji.

A weźmy na przykład herbatniki — herbatniki popadły w niełaszkę razem z ciastem. Czy ktoś chciałby jeszcze jeść herbatniki? Żadną miarą, za żadne skarby świata. Zbyt tuczące! Za dużo cholesterolu! Cała ta biała mąka! Cały ten tłuszcz! I tak bez końca, aż do znudzenia. Urodziła się w złym wieku.

Podniosła oparcie fotela do pozycji stojącej, wstała i poszła do kuchni, następnie otworzyła drzwi do swoich szafek.

Nic. Nie było absolutnie nic w tym domu, co mógłby zjeść ojciec Tim, z wyjątkiem może puszek łososia.

W takim razie kartka. Bez względu na to, jak żalosne jest to rozwiązanie, nic lepszego nie jest w stanie wymyślić. Czekala, aż sprawy trochę ucichną po tym strasznym zdarzeniu, i nadszedł właśnie czas, żeby zadziałać; nadeszła nowa pora i nowy początek — ojciec Tim będzie chciał się dowiedzieć, że ludzie nie mają do niego o nic żalu...

Zeszła do małej łazienki na dole, zmoczyła pod bieżącą wodą gąbkę toaletową i umyła spoconą twarz, następnie zanurzyła mały palec w tubce ze szminką. Wydłubywała zawartość od tak dawna, że już prawie nic nie zostało; kupi nową w drogerii, gdy pójdzie po kartkę. Rozciągnęła usta w szerokim grymasie i nałożyła palcem odrobinę koloru. Może koralowy tym razem, zamiast fioletoworóżowego — fioletoworóżowy sprawiał, że wyglądała blado.

Westchnęła z nadzieją, że znajdzie coś, co sprawi, że ojciec się uśmiechnie.

Przez ostatnie kilka dni miał dziwne wrażenie niedawnej obecności panny Sadie. Odczuwał z nią jakąś nową, intuicyjną więź, której nie zaznał od czasu jej śmierci. Być może coś mu się śniło...

Ojciec Tim siedział przy swoim biurku, spoglądając na przestrzeń, którą niedawno zajmował garaż. Był zaskoczony dwoma ekstremalnymi uczuciami, których doznawał — z jednej strony, będzie mu brakowało widoku mchu na dachówce i gniazda budowanego z błota przez jaskółki; z drugiej strony, widok, który się ukazał, dał mu poczucie wolności, czego — jak zdał sobie sprawę — tak bardzo pragnął.

Obserwował George'a Gaynora, jak wrzuca kilka desek na pakę ciężarówki Harleya, podczas gdy Harley pije gatorade z plastikowej butelki. Wspomniał Harleyowi o swoim niespodziewanym pomysle, żeby zburzyć garaż, którym to projektem mogliby się zająć razem, gdy będzie silniejszy. Zanim się obejrzał, obydwaj mężczyźni zabrali się do pracy, spełniając jego wizję w przeciągu kilku godzin od jej powstania.

Po uporządkowaniu żywopłotu przez Harleya ojciec Tim ujrzał park Baxter jakby zupełnie nowymi oczami. Praca wykonana w ciągu tych dwóch dni odsłoniła róg terenu parku, którego nigdy raczej nie zauważał, włącznie z czerwonym klonem — jego konary rozpościerały się nad letnią trawą, która nawet w dzisiejszym doskwierającym upale wydawała się chłodna i pociągająca.

Pies położył się u jego stóp.

— Mój przyjaciel — szepnął, czując, jak coś ścisza go znowu w gardle.

Co by zrobił, gdyby ktoś... gdyby to samo przytrafiło się Barnabie? Spojrzał w dół, w ciemne i smutne oczy, z których czerpał pocieszenie tak wiele lat, oczy, które czasami zdawały się oknem prowadzącym w głąb jego własnej duszy. Czy Bill Sprouse zaznał tej samej tajemniczej i pocieszającej więzi ze Sparkym?

Oczywiście... I został jej w gwałtowny sposób pozbawiony.

Cynthia weszła do pokoju i stanęła obok jego fotela, obserwując, jak George wrzuca kolejną deskę na pakę ciężarówki.

— Błogosławieństwo! — westchnęła.

— Błogosławieństwo, to prawda.

Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

— Bóg jest dobry.

— Tak — odparł. — Bóg jest dobry.

Usłyszał, jak wychodzi z pokoju, chciał się odwrócić i patrzeć, jak wychodzi, ale nie był w stanie.

— Barnaba! — zawołała Cynthia, dzwoniąc smyczą. — Czas na spacer pod pomnik!

Barnaba wstał wolno i podreptał do kuchni, gdzie Cynthia zapięła mu czerwoną, noszącą oznaki długiego używania smycz.

— Wracam za dziesięć minut, najdroższy! Potem wpadnę do Sprouse'ów, z potrawką z tuńczyka.

Przeszli korytarz i zniknęli w drzwiach wejściowych.

Siedział jak porażony. Przynajmniej miesiąc odpoczynku, powiedział Hoppy; minęły już trzy tygodnie i nie odzyskał ani grama energii; prawdę powiedziawszy, nie był nawet w stanie pójść na spacer ze swoim psem. Może zapyta doktora Wilsona o leki, być może nie działały. Był niezadowolony z nieobecności Hoppy'ego — on, który osobiście namawiał swojego lekarza, rok po roku, żeby wybrał się na urlop.

Spojrzał na otwarty dziennik na biurku i na cytat z Thomasa à Kempisa, który zapisał wcześniej dzisiaj rano: „Ogromny spokój serca przypada temu, kto nie dba ani o chwałę, ani o potępienie”.

Nie zaznał spokoju serca; poczucie winy, które brało się z niego samego oraz, jak sobie wyobrażał, którym obarczali go inni, drażyło go. Żałował w jakiś dziwny perwersyjny sposób, że Bill Sprouse nie chce oddać sprawy do sądu.

— Nie należę do ludzi, którzy lubią się procesować — wyjaśnił Bill, gdy rozmawiali przez telefon. „Czy odważy się ktoś z was, gdy zdarzy się nieporozumienie z drugim, szukać sprawiedliwości u niesprawiedliwych zamiast u świętych?” Święty Paweł tak powiedział i ja mu wierzę! Następnie, w Ewangelii świętego Łukasza, czytamy: „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie”. Sam Bóg tak powiedział i ja w to wierzę! Poza tym nie chciałbym, żebyś się ze mną sądził o coś, na co nic nie mogłeś poradzić. Nic nie mogłeś na to poradzić, bracie. Nie bądź dla siebie taki surowy.

— Przyjdę cię odwiedzić, jak tylko będę mógł — obiecał, wycierając oczy.

Bill roześmiał się.

— Który z nas, kalek, pierwszy wstanie z łóżka i będzie w stanie się poruszać, ten pierwszy złoży wizytę. Co ty na to?

— Załatwione.

— Niech cię Bóg błogosławi, Timothy.

— I ciebie, mój przyjacielu.

Nic nie mogłeś na to poradzić, powiedział Bill. On jednak mógł na to coś poradzić. Mógł na to coś poradzić przez niezmniejszanie dawki insuliny, przez kupienie nowego glukometru i używanie go, przez nieopuszczanie posiłków, przez przestrzeganie programu ćwiczeń, przez wypicie wody zamiast bogatego w cukier napoju gazowanego...

Nie mógł jednak nikomu tego powiedzieć, nie mógł wyznać tej strasznej prawdy, że był w tym dniu niczym śmiertcionośna broń, że w istocie mógł na to coś poradzić.

Króliki... Nadal myślał o swoim małym stadku i jak wydawały się czuć zupełnie dobrze jednego dnia, a następnego wszystkie nie żyły, co do jednego. Nigdy nie zapomni gniewu swojego ojca, przekonania, że nic nie zrobił, żeby zapobiec tej zbrodni marnotrawstwa, polegającej na ich śmierci i bezsensownym uszczupleniu rodzinnych finansów.

Tak, zauważył pewien niepokój w zachowaniu kilku królic, ale nie wiedział, że to może być coś poważnego, nie wiedział, że może... na to coś poradzić.

Przyglądał się, jak ciężarówka Harleya znika z pola widzenia; jechał na wysypisko, gdzie — za piętnaście dolarów od ładunku — garaż zbudowany ponad siedemdziesiąt lat temu zniknie z powierzchni ziemi.

Gdyby tylko...

Zdał sobie sprawę, że siedzi tu jak posąg od, jak mu się wydawało, wielu godzin, i wstał, z trudem rozprostowując kości.

Pragnął swojej żony — jej miękkości, jej oddechu na swoim policzku, jej ciepła, jej błogosławieństwa.

Wszedł wolno po schodach i skręcił do ich sypialni, następnie zaczął zdejmować kape. Kiedy ostatnio położył się do łóżka po południu? Nawet gdy miał gripę, raz czy dwa, udawało mu się ją przemęczyć na sofie. Chciał przestać zdejmować kape, ale nie był w stanie.

Rozebrał się, zauważając po raz pierwszy, że zapiął pasek inaczej i że jego spodnie są zaskakująco luźne. Powiesił następnie swoje ubrania w garderobie i nałożył piżamę; cały ten proces zdawał się zajmować wiele czasu.

Położył się, nakrył kołdrą i czekał na swoją żonę, zawstydzony, że znajdzie go w takim stanie, a jednak pragnąc jej dotyku.

— Timothy? — powiedziała, stając w drzwiach.

Nie widział jej twarzy i nie mógł odczytać jej myśli, na widok jego leżącego w łóżku niczym próżniak. Chciał rozpaczliwie ją zadowolić, być może mu wybaczy.

Weszła do pokoju i usiadła na brzegu łóżka. Odczuł ulgę, nie dostrzegając w jej oczach krytyki, a jedynie niepokój.

— Najdroższy?

— Chodź — odparł, odchylając kołdrę.

Całym swoim sercem, całą swoją duszą i z całej siły pragnął uspokoić i sprawić przyjemność swojej żonie, jednak gdy położyła się obok niego i objęła go, nie był w stanie.

*Wybaw mnie, Boże, bo woda mi sięga po szyję.*

*Ugrzązłem w mule topieli i nie mam nigdzie oparcia, trafiłem na wodną głębinę i nurt wody mnie porywa.*

*Zmęczyłem się krzykiem i ochrypło mi gardło, osłabły moje oczy, gdy czekam na Boga mojego...*

*Boże, Ty znasz moją głupotę i występki moje nie są zakryte przed Tobą...*

*Lecz ja ślę moją modlitwę do Ciebie, o Panie — czas to łaski; wysłuchaj mnie w Twojej wielkiej dobroci...*

*Wysłuchaj mnie, Panie, bo Twoja łaska pełna jest dobroci; wejrzyj na mnie w ogromie swego miłosierdzia!*

*Nie kryj swego oblicza przed Twoim sługą; prędko mnie wysłuchaj, bo jestem w ucisku.*

*Przybliź się do mnie i wybaw mnie; uwolnij mnie przez wzgląd na moich wrogów!*

*Ty znasz moją hańbę, mój wstyd i mą niesławę; wszyscy, co mnie dręczą, są przed Tobą.*

*Wylej na nich swoje oburzenie, niech ich ogarnie żar Twojego gniewu!*

Siedział w plamie światła o trzeciej nad ranem z Barnabą u stóp. Modlił się słowami psalmów, tak jak zwykł to czynić w przeszłości. Wrogów króla Dawida zastąpiły jego osobiści wrogowie w postaci strachu, poczucia winy i pogardy dla samego siebie, którzy w swojej mnogości stali się niczym armie ciemności.

## Rozdział dziewiąty

### DOTYKAJĄC BOGA

Odłożył oddzwonienie do dwóch księży, którzy chcieli mu dać komunię.

Nie zadzwonił też do doktora Wilsona, jego żona jednak nie omieszkała tego zrobić.

Słyszał koniec jej rozmowy przez otwarte drzwi do jej pracowni — najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że ją usłyszy, chociaż nie słyszał całości.

— Jest naprawdę źle... i w ogóle się nie śmieje, a to takie do niego niepodobne. Tak, może. Cóż, nieomal z pewnością... prawie w ogóle nie ma apetytu, chociaż przygotowuję... ulubione rzeczy... bardzo wyszczupłał. Dziękuję, doktorze. Co za błogosławieństwo, że doktor przyjdzie. Tak, nie ma dość energii, żeby podnieść się z fotela...

Weszła do pracowni i obwieściła, że doktor Wilson zajrzy do nich po piątej.

— A ponieważ jutro są twoje urodziny, najdroższy, pomyślałam, że urządzimy sobie małe przyjęcie.

— Nie — odparł. — Proszę. Nie chcę przyjęcia.

— Rozumiem. Ale zobaczysz, że będziesz zachwycony, Timothy. Uwierz mi.

Chciał jej uwierzyć.

— Depresja — stwierdził doktor Wilson. — I proszę nie myśleć, że to coś dziwnego po tym, co ojciec przeszedł.

Depresja. To słowo przygniotło go niczym gład. Sama myśl, że coś takiego mogło się mu przytrafić, była obrzydliwa. Depresja była problemem innych ludzi; on był duchownym, był...

— Depresja zazwyczaj bierze się z gniewu zwróconego do wewnątrz. Nie jestem psychologiem, ale proponuję, żeby spróbował ojciec zidentyfikować, skąd się bierze ten gniew — dotarcie do źródła mogłoby okazać się pomocne.

Przez chwilę wydawało mu się, że krew mu zawrzała z oburzenia.

— Zmienimy leki, ale co ważniejsze, chcę, żeby zaczął ojciec widywać ludzi — być może mogłoby odwiedzić ojca kilku przyjaciół.

— Nie chcę nikogo widzieć — rzucił ostro.

— To bardzo dobrze, ojcze, ale tak brzmi zalecenie lekarza. Powinien ojciec mieć odrobinę towarzystwa.

Na tym właśnie polegał problem z Wilsonem, pod nieobecność Hoppy'ego zachowywał się, jakby tu rządził.

— Zanim Hoppy pojechał sobie nie wiadomo gdzie, zalecenia lekarza brzmiały, żebym nie miał żadnego towarzystwa.

Wilson uśmiechnął się.

— To było wtedy, ojcze. Teraz jest teraz.

Poczuł zapach kawy i otworzył oczy.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Jego żona położyła tacę na stoliku przy łóżku i pocałowała jego twarz: nos, podbródek, bolesne miejsce, gdzie uderzył się w głowę...

Nie podniósł się, żeby usiąść.

— Przepraszam — powiedział. — Przepraszam, że nie potrafię być bardziej... że nie jestem w stanie być... wszystkim, czego potrzebujesz.

— Ależ jesteś wszystkim, czego potrzebuję — odparła. — To minie, Timothy, ten trudny czas nie będzie trwał wiecznie. Pamiętasz nasz stary werset z Księgi Jeremiasza? „Ja bowiem znam zamiary, jakie mam wobec was — wyrocznia Pana — zamiary pełne pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”.

— Tak.

— Nie rozumiem Go, Timothy. Gdybym rozumiała, czy byłby Bogiem? Wierzę, że wszystko, co się dzieje, dzieje się za aprobatą Boga i że w jakiś sposób pozwolił, żeby się tak stało. Jest z nami — i działa w naszym życiu.

— Tak.

— Ale czasami o tym zapominasz, tak? Podała mu parujący kubek.

Kiwnął głową.

— Modłę się, żeby użył tego trudnego doświadczenia dla naszego dobra. Chciałam powiedzieć, kochanie, spójrz tylko, co zrobił dla Izraelitów!

— Tak.

Ale on nie ma czterdziestu lat...

— Będiesz się dzisiaj dobrze bawił!

— Muszę?

Nie mógł uwierzyć, gdy usłyszał ten płaczący ton w swoim głosie; to było odrażające.

— Kaznodziejo...

Bill Watson wszedł do pracowni, posuwając nogami. Mimo że wyraźnie zdenerwowany, odsłonił swój złoty ząb w szerokim uśmiechu.

— Proszę tylko nie wstawać.

Podszedł i stanął przed swoim byłym księdzem, uklonił się nieznacznie i uściśnął mu dłoń.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, wie ojciec.

— Dziękuję, wujaszku Billy.

Dłoń wujaszka Billy'ego była niczym pergamin.

— Usiądź, przyjacielu.

Jego były parafianin usiadł na skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Promienie popołudniowego słońca wpadające przez wysokie okna wykuszu tańczyły na policzku starszego mężczyzny.

— Rose nie mogła przyjść, obiera ziemniaki na kolację.

— Aha. Jak ci się wiedzie tymi czasami, wujaszku Billy?

— Poczynając od nieźle do średnio. Siedziałem na krześle dzisiaj rano, gdy nagle coś poczułem, wie ojciec.

— Co takiego?

— Swędzenie. Okropne. Okazało się, że mam wysypkę.

— Może co zjadłeś?



— Nie, proszę ojca, to wszystko przez pracę w ogrodzie.

— Pracujesz w ogrodzie?

Miał ochotę położyć się na podłodze i oddać ducha. Ile osób zaprosiła Cynthia? Był już wyczerpany.

— Głównie kopię ziemię, nie zacząłem jeszcze sadzić roślin.

Ojciec Tim usiłował zmusić się do jakiejś konwersacji towarzyskiej, ale nie był w stanie. Usłyszał swoją żonę w kuchni i dźwięk dzwonka. Czas na kolejną zmianę.

Wujaszek Billy odchrząknął.

— Przyszedłem opowiedzieć ojcu dowcip na urodziny.

— Naprawdę?

— Tak, proszę ojca, przygotowałem dwa.

Aby powstrzymać nogi przed drżeniem na myśl o tym, co ma właśnie zrobić, wujaszek Billy zacisnął dłonie na kolanach.

— Jestem wdzięczny — odparł ojciec Tim.

Oddałby wszystko, żeby wymigać się jakoś od tego zobowiązania towarzyskiego. W zмовie z Wilsonem Cynthia zaplanowała wizytę kilku osób, które mogły w ten sposób złożyć mu życzenia urodzinowe; mieli być wprowadzani do pracowni pojedynczo, tak żeby nie był narażony jednocześnie na działanie zbyt wielu bodźców. Czuł się, jakby został poddany eksperymentowi, równie dobrze mogli go wystroić w biały kitel; a przez cały ten czas Hoppy Harper wędrował sobie po Oregon Trail w butach ze skóry strusia i zupełnie nie obchodził go los jego pacjentów w Mitford.

Wujaszek Billy poprawił krawat i odkaszlnął, następnie przystąpił do zadania.

— No cóż, proszę ojca. W tartaku pracowało dwóch gości, wie ojciec, i jeden z nich stanął zbyt blisko piły i piła odcięła mu ucho. Cóż, wpadło w trociny, więc pochylił się i zaczął go szukać, wie ojciec. Drugi facet pyta: „Co ty tam robisz?”. Na to ten pierwszy: „Odcięło mi ucho i go szukam!”. Ten drugi gość wskoczył do dołka i mówi: „Pomogę ci!”. Kucnął na czworaka, zaczął szukać i nagle krzyczy: „Jest, znalazłem!”. Ten pierwszy gość wziął i dobrze mu się przyglądał, wie ojciec, i w końcu mówi: „Szukaj dalej, ja miałem za uchem ołówek!”.

Ojciec Tim próbował się roześmiać. Ku jego przerażeniu z ust wydobył mu się dźwięk przypominający pisk starej bramki na zardzewiałych zawiasach. Dostrzegł grymas bólu na twarzy starszego mężczyzny.

— Nie poszło zbyt dobrze, prawda?

— Przepraszam, wujaszku Billy, to dobry dowcip, naprawdę.

— Nie, nie jest dobry — odparł wujaszek, najwyraźniej zmartwiony.

Ojciec Tim oblał się rumieńcem wstydu. Wiedział, jakiego trudnego zadania podejmował się wujaszek Billy, przygotowując dowcipy, które gwarantowały śmiech, tak aby podnieść na duchu słuchającego i nie zawstydzić opowiadającego. Ale co mógł zrobić? Nie było w nim śmiechu, który mógłby z siebie wydobyć.

— No cóż, proszę ojca, proszę pozwolić, że opowiem drugi, skoro już go przygotowałem.

Ojciec Tim pokiwał głową. Gdyby tylko mógł się położyć...

— Trzech księży siedziało sobie razem i rozmawiało, wie ojciec. Jeden z nich mówi: „Szkoda, że nie widzieliście, ile nietoperzy lata po strychu w moim kościele. Próbowałem już nieomal wszystkiego, ale nic nie jest w stanie ich przestraszyć”. Drugi na to: „Jejku, my mamy całe setki w naszej dzwonnicy. Kazałem odkazić całe po-

mieszczenie, ale w ogóle nie mogę się ich pozbyć". Na to ten trzeci: „Do licha, ja ochrzciłem wszystkie moje nietoperze, przyjąłem do kościoła i tyle je widziałem”.

Ojciec Tim potrząsnął głową. To beznadziejne. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, pełzać jak wąż i lizać pył, cokolwiek; to było beznadziejne, on był beznadziejny. Do oczu napłynęły mu łzy.

Starszy mężczyzna wyglądał na zrozpaczonego.

— Dobry Boże, sprawiłem, że ojciec się rozplakał...

— Nie, nic się nie stało, wujaszku Billy, nie wiem... Postaram ci się to jakoś wynagrodzić... Nie jestem po prostu...

— Nie wezmę tego do siebie, proszę kaznodziei. O nie! Spróbujemy ponownie, to właśnie zrobimy.

Oto wyzwanie, a on zamierza mu sprostać.

— Niech ojciec posiedzi sobie jeszcze dzień, dwa, a ja wrócę, wie ojciec.

Wujaszek Billy wstał z trudem i poszedł, suwając nogami, do drzwi.

— Ja już skończyłem, proszę pani!

Do pokoju weszła Cynthia, wyraźnie zadowolona z dotychczasowego rozwoju wydarzeń.

— Wujaszku Billy, w kuchni czeka ciasto i lody. Chcielibyśmy, żeby wujaszek świętował razem z nami.

— Ja wezmę swoje do domu, dla Rose, i będę bardzo zobowiązany.

— Sama nie wiem — zastanawiała się Cynthia — jest za gorąco, żeby nieść lody do domu.

Wujaszek Billy rozważał przez chwilę zasadność niesienia lodów stąd do muzeum miejskiego w trzydziestostopniowym upale. Oto było kolejne wyzwanie i zamierzał mu sprostać.

— Będę musiał biec truchtem, żeby to zrobić — stwierdził — ale proszę mi je przygotować, jeśli nie ma pani nic przeciwko, Rose będzie na nie czekać.

— Timothy, przyszła cię odwiedzić Emma. Czy chciałbyś jeszcze jedną szklanek wody?

Woda. W kuchni było ciasto i lody, a jemu proponowano wodę. Wodę i Emmę Newland. Nic dziwnego, że nigdy nie przepadał za urodzinami.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Wydawało mu się, że Emma zrobiła się dużo, dużo większa niż zaledwie kilka tygodni temu. Albo może to on się skurczył. Miał neodpartą potrzebę, żeby wstać i jakoś obronić się przed nią, ale tkwił w miejscu, jak skała. Jego pies podszedł do Emmy i obwąchał jej gołe nogi.

— Czuje Snickersa — wyjaśniła, opadając ciężko na skórzany fotel i szeleszcząc plikiem kartek. — Buszowałam w Internecie...

— I?

Po raz pierwszy w dzisiejszym dniu poczuł się czymś zainteresowany. Jeśli nie może jeść ciasta i lodów, to przynajmniej dostanie swoje e-maile.

Uniosła do góry jedną z kartek i przyjrzała się jej, mrużąc oczy.

— Posłuchaj tego, jest niezłe. „Czytaj Pismo Święte, ujrzysz diabła”.

Drętwa cisza.

— Nie śmiesz się — rzuciła oskarżycielskim tonem.

— Bo to nie jest śmieszne.

— Ja się śmiałam — oznajmiła wyniośle.

— No cóż, to, co właśnie przeczytałaś, jest bardzo poważnym stwierdzeniem. I prawdziwym, mógłbym dodać. Żałuję, że nie ja to powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

— Posłuchaj tego. „Wojna zmniejsza nadzieję na pokój”.

Przyglądał się jej bezmyślnie.

— To jest śmieszne — oznajmiła rozzłoszczona.

— Co to takiego, tak w ogóle?

— Błędne nagłówki. Takie, jakie przytrafiają się J.C. Hoganowi, tylko lepsze.

Westchnął.

— Przeczytam po prostu całą listę, może któryś ci się spodoba — oznajmiła, ściągając usta.

Poczuł się dziwnie zagrożony. Dlaczego nie ma tu jego żony, żeby mu pomóc?

— „Policja zaczyna kampanię, aby ścigać nieostrożnych pieszych”.

Pochylił się i podrapał za uszami swojego psa.

— „Pijani mężczyźni dostają dziewięć miesięcy w pace”.

— Hm.

— „Skradziony obraz znaleziony przez trójcę”.

— Nie rozumiem.

— Nic dziwnego — odparła wyraźnie rozdrażniona. — „Tajfun przechodzi nad cmentarzem. Setki ofiar”. „Górnicy odmawiają pracy po swoim trupie”. „Jeśli strajk nie zostanie zażegnany wkrótce, może chwilę potrwać”.

Wepchnęła kartki do notesu i spojrzała na niego tak, jakby był zukiem na szpilce.

— A jak się ma Harold? — zapytał.

Scott Murphy wszedł cicho do środka, przykucnął przy fotelu, ujął jego dłonie w swoje i powiedział:

— Proszę pozwolić, że się za ojca pomodłę. Żeby ktoś modlił się za księdza!

Jego skronie pulsowały, ale nie zamierzał poskarżyć się ani słowem. Zaciśnie zęby i przejdzie przez to wszystko...

— Kto jeszcze? — zwrócił się do Cynthii.

— Tylko George i Harley, wpuszczę ich obydwu, będą dobrym lekarstwem.

— Tak — odparł, nagle poweselawszy.

— Wszyscy chcą cię odwiedzić, dobijają się o wizytę.

— Tęsknię za dziewczynkami — powiedział, mając na myśli Puny i jej bliźniaki.

— Ja też. Przyjdą w niedzielę, co ty na to? Wydawało mu się, że wygląda na zmęczoną i bladą.

To wszystko przez to dogłądanie go, dzień po dniu, oczywiście.

— Czy masz ochotę zobaczyć J.C. Hogana?

— Nie.

Zdecydowanie nie.

— Powiedziałam mu, że do niego zadzwonię, jeśli będziesz się czuł na siłach, ale zrozumie. Percy i Mule też chcieli przyjść, ale pomyślałam, że lepiej poczekać do następnego razu.

— Do następnego razu? — rzucił szorstko. — Ile tych małych przesłuchań zaplanowaliście dla mnie razem z Wilsonem? Zamierzam ruszyć się z domu już wkrótce, sam pójde odwiedzić Percy'ego.

— Timothy, nie bądź taki zgorzkniały.

Cynthia podniosła się z sofy i podażyła do kuchni, a za nią jego pies.

I jeszcze jedno — dlaczego wszyscy próbują go rozśmieszyć?

I dlaczego nie może po prostu roześmiać się im prosto w twarz i mieć to wszystko z głowy? Skończyłoby to w końcu ich cierpienia, na litość boską! Pomyślał o stresie, który z pewnością odczuwają, usiłując sobie poradzić ze straszną odpowiedzialnością rozśmieszenia księdza. Wyobrażał ich sobie, jak skupieni blisko siebie na ogródku wy-  
pytują Boga ducha winne dusze, które opuszczają ich dom: Czy udało ci się go rozśmieszyć? Nie, ale wrócimy z dodatkowymi posiłkami! Na pewno w końcu ulegnie!

Było mu wstyd, że nie jest w stanie sprostać ich największym oczekiwaniom i sympatii.

Wyglądało na to, że George i Harley niczego od niego nie oczekują. Nie usiłowali sprawić, żeby zrobił coś, czego nie chce albo nie jest w stanie zrobić.

— Dziękuję — powiedział, gdy wyglądali razem przez okno w pracowni na odsłonięty widok na park Baxter. — Nie pamiętam, kiedy ostatnio otrzymałem taki cudowny podarunek.

— Gdybym wiedział, że chce ojciec, żeby to zrobić, zrobiłbym to już dawno — wyznał Harley.

— Kiedy ja zapragnąłem tego dopiero te kilka dni temu. Jak idą prace nad mustangiem?

— Wygląda jak nowy. Prosto z salonu!

Ojcu Timowi wydawało się, że uśmiech Harleya sięga dosłownie od ucha do ucha.

— George pomaga mi z błotnikiem z przodu, ja zrobiłem kratownicę wlotu powietrza.

— George, wydaje mi się, że na sam początek daliśmy ci dość dużo pracy.

— To dobrze, ojcze. Potrzebuję jej.

— Jak twoje mieszkanie? Czy Harley nie chrapie za głośno?

George Gaynor uśmiechnął się.

— Nie, proszę ojca, obawiam się, że to przeze mnie drżą szyby w oknach.

— Jest tyle rzeczy, o których musimy porozmawiać. Spotkajmy się wkrótce.

— Tak, proszę ojca, bardzo chętnie.

— A jak układa się twoja nowa praca w księgarni?

— Uczę się. Więzienie stworzyło nam wiele możliwości — jedną z nich była szansa nauki obsługi komputera. Wydaje mi się, że będziemy mogli rozwinąć sprzedaż rzadkich książek przez Internet.

— Jak znajdziesz pierwsze wydanie Wilberforce'a, pamiętaj o mnie. Usiądźmy, proszę.

Czy posuwa nogami jak wujaszek Billy? Ciężyły mu jak dwie kłody.

Jego goście usiedli na sofie, a on na fotelu, w chwili gdy jego żona weszła do pokoju z tacą i postawiła ją na ławie. Gdy podała poczęstunek George'owi i Harleyowi, zwróciła się do niego, jakby radośnie:

— Dla ciebie, najdroższy.

Podawała mu talerzyk z lodami i ciastem.

— Ale... — odparł kompletnie zaskoczony.

— Bez cukru! Z niską zawartością tłuszczu! Bez sody! Wszystko tak jak trzeba. Chciałam, żeby to była niespodzianka. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Wziął od niej talerzyk, szczerze poruszony.

Barnaba wskoczył na jego przykryty pokrowcem fotel. Zięba zaśpiewała za otwartym oknem. George i Harley z zapalem zjadali poczęstunek. Nareszcie odrobina spokoju, pomyślał, czując nagły przypływ optymizmu.

Razem z Cynthią załadowali zmywarę i włączyli ją, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

— Uch — rzuciła, podążając w stronę drzwi.

— Biskup!

— Jak się masz, moja droga?

Do licha! Zupełnie zapomniał o tym e-mailu, zapomniał powiedzieć Cynthii... Ani razu o tym nie pomyślał, odkąd wyszedł ze szpitala. Przycmiony ból głowy znowu się odezwał, pulsując gwałtownie w jego lewej skroni.

Spojrzał na zegarek nad lodówką. Czwarta trzydzieści. Niezła pora, żeby dobijać się do ludzi...

— Jest ze mną Chuck Albright — oznajmił Stuart. — Zostawiłem go w Sklepie, gdzie kupuje wątróbkę, żeby przewieźć ją obłożoną lodem do domu. Tam, skąd przybywamy, wątróbka jest nieomal nieosiągalna.

— Nie bez powodu — skomentował ojciec Tim, który nigdy nie tykał takiego jedzenia.

Siedzieli w pracowni, skapaniej w popołudniowym słońcu. Ojciec Tim pomyślał, że Stuart zadziwiająco się postarzał i wygląda mizernie.

— Czy masz ochotę wszystko mi opowiedzieć? — zapytał biskup.

Nie chciał o tym rozmawiać. Ktoś na pewno przekazał

Stuartowi szczegóły; wszyscy wiedzieli, co się stało. Zaczął jednak opowiadać, tak jak nakazuje obowiązek.

— Straciłem przytomność za kierownicą i potrafiłem Billa Sprouse'a, który jest pastorem w kościele baptystów. Był na spacerze ze swoim psem. Pies zginął na miejscu. Bill doznał kilku złamań i lekkiego wstrząśnienia mózgu. — Wziął głęboki oddech. — Wyjdzie z tego.

Po raz pierwszy opowiedział całe zdarzenie drugiej osobie i udało mu się. Ból rozsadzał mu głowę.

— Tak, słyszałem o tym wszystkim i Bóg raczy wiedzieć, jak mi przykro z tego powodu. Ja chciałbym jednak usłyszeć, jak ty się czujesz — na duszy.

— Aha. Na duszy.

Przyłożył dłoń do swojego czoła, nie będąc w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

— Eucharystia w takim razie — stwierdził Stuart. Poderwał się z krzesła, zabrał z lady w kuchni swój podróżny zestaw do udzielania komunii i umieścił go na ławie.

Ojciec Tim obserwował swojego biskupa, jak otwiera mahoniowe pudełko, w którym znajdowały się butelczki na wodę i wino, srebrny kielich mszalny i patena, pudełko na komunię i sztywno wykrochmalone białe płótno.

— Nie tak dawno ktoś mi przypomniał — zaczął Stuart — że gdy święty Jan chrzczył Chrystusa, dotykał Boga. Gdy przyjmujemy ciało i krew, my też dotykamy Boga.

Stuart nalał wino i po kilka kropel wody do każdego kieliszka.

— Wiem, że wiesz o tym cudownym fakcie, drogi bracie, ale czasami warto, żeby ktoś nam przypomniał.

— Niebieski Ojczy, dawco życia i zdrowia, pociechy i nadziei, prosimy, obdaruj nas takim silnym poczuciem Twojej obecności, żebyśmy mogli zaufać wiernie w Twoją potężną siłę i moc, w Twoją mądrość, która przeżyła nasze zrozumienie, i w Twoją miłość, która otacza nas na wieczność. W tej chwili prosimy o Twoją szczególną łaskę dla Timothy'ego, aby poznał Twój dar serca przepełnionego radością i silnego wiarą. Pobłogosław również Cynthię, modlimy się, której troskliwe dłonie i serce opiekują się nim...

Gdy ojciec Tim ukląkł przy ławie obok swojej żony, z jego oczu popłynęły łzy i nie próbował ich powstrzymać.

— Jak się mają sprawy z katedrą?

Stał przy wejściowych drzwiach ze Stuartem, mobilizując wszystkie swoje siły, żeby zapytać o wielką pasję biskupa.

— To właśnie dlatego jadę stąd do Charlotte. Ktoś postanowił podarować nam pół miliona.

— Wyglądasz na bardzo zmęczonego, przyjacielu.

— Tak, rzeczywiście jestem zmęczony.

— Nadal boisz się zrobić sobie przerwę, odpocząć...

— Nie mogę. Katedra.

— Oczywiście.

W uśmiechu Stuarta można było wyczuć ironię.

— Poza tym już niedługo będę miał siedemdziesiąt dwa lata i będę zmuszony trochę odpocząć.

Biskup ucałował go w obydwa policzki i otworzył drzwi.

— Razem z Cynthią jesteście zawsze obecni w moich modlitwach, Timothy. Bóg wszystko naprawi i nie zapomina o tym. To właśnie na tym polega jego rola, na naprawianiu wszystkiego.

— Bóg z tobą, Stuarcie.

— I również z tobą!

— Pozdrów serdecznie od nas Marthę!

— Nie zapomnę!

Przyglądał się, jak Stuart podchodzi energicznie do samochodu i wsiada do środka.

— Ojczce!

Hélène Pringle pojawiła się nagle koło domu, wbiegła po schodach na ich ganek — najwyraźniej dostała się tutaj przez przejście w żywopłocie. Na dłoniach miała rękawice kuchenne w błękitne paski, a w dłoniach trzymała naczynie nakryte ściereczką.

— Dla ojca!

Wysunęła swój dar w jego stronę z wyraźną radością, ale jak mógł wziąć od niej coś, do przytrzymania czego potrzebne były kuchenne rękawice?

Zrobił krok do tyłu.

Panna Pringle zrobiła krok do przodu.

— *Pieczony poulet!* — wykrzyknęła. — Na oliwie z oliwek i czosnku, i nadziewany rodzynkami. Mam szczerą nadzieję, że będzie ojcu — ojcu i Cynthii — smakował.

— Hélène!

Jego żona pojawiła się w korytarzu i znalazła się błyskawicznie obok nich.

— Co takiego zrobiłaś? Co pachnie tak niebiańsko?

— *Pieczony poulet!* — wykrzyknęła panna Pringle ponownie, jakby oznajmiała przybycie pary królewskiej.

— Ojej! — zawtórowała Cynthia. — Zaraz przyniosę ręcznik.

Pospieszyła do łazienki na końcu korytarza i wróciła w jednej sekundzie.

— Dziękujemy ci bardzo, Hélène, już go zabieram. Cudownie! Może wejdiesz?

— Och nie, w istocie. Nie chciałabym przeszkadzać. Mam nadzieję... to znaczy słyszałam o... — Przerwała, rumieniąc się gwałtownie. — *Merci, ojcze, Cynthia, bon appétit, au revoir!*

Zniknęła na ścieżce, szybka niczym zając.

— Podobają mi się jej rękawice kuchenne — stwierdziła Cynthia.

— Wyśmienite!

Nałożył łyżeczką gęsty sos z rodzynek na plaster delikatnej piersi kurczaka i odsunął na bok marchewkę, którą ugotowała Cynthia.

— Zachwycające!

Jadł łapczywie, jakby umierał z głodu.

Podniósł wzrok i zobaczył, że żona mu się przygląda.

— Co? — zapytał.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio... tak jadłeś.

— Wspaniały smak! Przypuszczam, że to te rodzynki.

— Tak myślę — odparła.

Poranek jego urodzin mógł się zacząć tydzień temu albo w zeszłym miesiącu; w istocie — wydawało mu się, że od czasu, gdy zbudziły go pocałunki żony, minęła cała wieczność.

Obrócił się na łóżku i usiłował ponownie umieścić głowę na poduszce, aby było mu wygodnie i żeby mógł pospać jeszcze jakiś czas. Spojrzał na cyferblat zegara, jaśniejący na zielono w ciemnym pokoju. Druga. Jego żona urządziła przyjęcie, żeby go rozweselić i dodać mu otuchy, i z pewnością gdzieś obok całego tego zmęczenia kielkowała radość serca, którą z pewnością poczuje mocniej jutro, gdy odpocznie.

W całym tym zamieszaniu zdał sobie sprawę, że zapomniał o czymś bardzo ważnym — to były nie tylko jego urodziny, była to również rocznica dnia, w którym poprosił Cynthię o rękę. Zgodnie z tradycją świętowali to wyjątkowe zdarzenie razem z jego urodzinami i dlatego zawsze o nim pamiętał. Tym razem zupełnie zapomniał, a teraz było za późno.

Zastanawiał się, czy naprawdę odzyska siły w sześć tygodni, tak jak przewidywał Hoppy, czy też wciągała go ta sama otchłań, która zniszczyła jego ojca.

Bez względu na to, co robił przez te kilka ostatnich tygodni i jak bardzo się starał, sprawiał zawód sobie i innym. Nie był w stanie cieszyć się, popisać się błyskotliwością, zachować się stosownie do okazji, przyjmować życia z wdzięcznością i aprobatą. Czuł narastający w nim chłód, gdzieś głęboko w środku, gdzie nigdy wcześniej nie zaglądał. Szczerze mówiąc, często czuł się tak, jakby tonął, pozbawiony kontroli.

Być może jego ojciec też był pozbawiony kontroli, być może jego depresja sprawiła, że nie był w stanie zwalczyć tego zimnego surowego stosunku do żony i syna. Być może nie da się go kontrolować, gdy już sięgnie duszy...

Z drugiej strony, jego ojciec nigdy nie przyjął Boga, zbawiającego Chrystusa, podczas gdy on, jego syn, przyjął wszystko — miłosierdzie i wybaczenie, bezwarunkową miłość i kamień węgielny wiary: zbawienie.

Więc co miał na swoje usprawiedliwienie?

Barnaba poszedł za nim na dół i położył się w delikatnej plamie światła padającej z lampy, gdy on otworzył Pismo Święte na Drugim Liście do Tymoteusza.

Czytał obydwa listy w nieomal każde swoje urodziny, odkąd skończył dwanaście lat. Jego mama wyrobiła w nim ten nawyk i jako poważny młodzieniec wyobrażał sobie, że list ten został napisany wiele wieków wcześniej, osobiście i bezpośrednio do niego, do Timothy'ego Kavanagha. Nadal wierzył, że w jakiś cudowny sposób jest to prawda.

Czytał na głos, wiedząc, że jego pies będzie słuchał.

— „Ty natomiast trwaj w tym, czego się nauczyłeś i co ci powierzono, bo wiesz, od kogo się nauczyłeś. Od lat bowiem niemowlęcych znasz Pisma Święte, które mogą cię nauczyć mądrości wiodącej ku zbawieniu przez wiarę w Chrystusie Jezusie... Ty zaś czuwaj we wszystkim, znoś trudy, wykonaj dzieło ewangelisty, spełnij swe posługiwanie!”

Spełnij swe posługiwanie. To właśnie ta linijka, co roku, sprawiała, że stawał jak wryty, zastanawiając się, czy rzeczywiście spełnia swe posługiwanie? Kilka razy w trakcie posługi duszpasterskiej wydawało mu się, że rzeczywiście tak jest. Teraz... teraz oczywiście sprawy miały się inaczej.

Dzisiaj w nocy nie był w stanie kontynuować podróży z Pawłem. Ostatnio zdał sobie sprawę, choć było to bardzo niejasne przypuszczenie, że szuka czegoś w Piśmie Świętym. Poszukiwał desperacko przesłania od Boga, nie wiedział jednak, co to może być. Wiedział jedynie, że będzie bezpośrednie, przeznaczone tylko i wyłącznie dla niego i że je rozpozna natychmiast, gdy tylko zostanie mu objawione.

Przewertował strony Pisma Świętego, od tyłu do przodu, do głosu Dawida, głosu, który brzmiał łudząco podobnie do jego własnego.

*Panie, wysłuchaj modlitwy mojej,  
a wołanie moje niech do Ciebie dojdzie!  
Nie kryj przede mną swego oblicza  
w dniu utrapienia mojego!  
Nakłoń ku mnie Twego ucha;  
w dniu, w którym zawołam, spiesznie mnie wysłuchaj!  
Dni bowiem moje jak dym znikają,  
a kości moje płoną jak w ogniu.  
Moje serce wysycha spalone jak trawa,  
zapominam nawet o jedzeniu chleba.  
Od głośnego mego jęku  
przywarty mi kości do skóry.  
Jestem podobny do kawki na pustyni,  
staję się jak sowa w ruinach.  
Czuwam i jestem jak ptak samotny na dachu...  
Dni moje są podobne do wydłużonego cienia,  
a ja usycham jak trawa.*

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk i obrócił się, zaskoczony.

— Timothy...

— Nie mogłem spać.

— Ja też nie.



— Wybacz mi, że zapomniałem.

Zaczął wstawać, żeby do niej podejść, ale ona go uprzedziła.

— Nic się nie stało.

— Stało się. Przepraszam. Pocałowała go w czoło.

— Co czytasz?

— Psalm sto drugi.

— Pozwól, że ci go przeczytam, najdroższy. Wiem, jak go lubisz. Czy mogę?

— Tak — odparł, podając jej Pismo Święte. Spojrzała na otwarty tom.

— Przeczytam następny, sto trzeci. Chodź, usiądźmy na sofie, gdzie czuć bryzę wpadającą przez okna.

Włączyła lampę i usadowiła się na swoim końcu sofy. Usiadł obok niej, wdzięczny, zdając sobie sprawę, jak bardzo cieszy się z jej widoku, z jej towarzystwa.

— „Błogosław, duszo moja, Pana, i całe moje wnętrze — święte imię Jego!”

Oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. Jego żona posiadała dar czytania Pisma Świętego, jakby jeszcze pachniało farbą drukarską.

*Błogosław, duszo moja, Pana,*

*i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach!*

*On odpuszcza wszystkie twoje winy,*

*On leczy wszystkie twe niemoce,*

*On życie twoje wybawia od zguby,*

*On wieńczy cię łaską i zmiłowaniem,*

*On twoje dni nasycza dobrami,*

*odnawia się młodość twoja jak orła...*

*Jak jest odległy wschód od zachodu,*

*tak daleko odsuwa od nas nasze występki...*

*Wie On, z czego jesteśmy utworzeni,*

*pamięta, że jesteśmy prochem...*

*Błogosławcie Pana, wszystkie Jego zastępy,*

*śludzy Jego, pełniący Jego wolę...*

*Błogosław, duszo moja, Pana!*

Pamiętał tylko, że przykryła go pledem, i zapadł w głęboki sen, i spał aż do samego rana.

# Rozdział dziesiąty

## W WIRZE PRACY

Gdy przewracał kartki kalendarza na biurku, zauważył zaznaczoną datę wyjazdu do Nowego Jorku.

To już za kilka dni. Może powinien zadzwonić do linii lotniczych i odwołać wyjazd; może mogliby otrzymać z powrotem pieniądze?

Cynthia jednak nie może stracić takiej okazji. Mogłaby pojechać bez niego, a jemu może uda się uzyskać zwrot kosztów biletu. Nie czuł się na siłach, żeby stawić czoło podróży do Nowego Jorku i wziąć na dodatek udział w niezwykle wymagającym towarzysko zdarzeniu. Bardzo jednak nie podobał mu się pomysł, aby Cynthia jechała tam sama. Tak bardzo chcieli, tak cieszyła ich myśl o wspólnym wyjeździe...

Wstał, podszedł do okna i przyglądał się niewidzącymi oczami klonowi.

Kto mógłby towarzyszyć jego żonie, opiekować się nią i zabrać ją na ceremonię wręczenia nagród, i dopilnować, aby dostała się bezpiecznie do i z hotelu, i na lotnisko?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast; i natychmiast wiedział, że jest słuszna.

Drzemał na sofie, gdy ktoś zapukał do tylnych drzwi. Mimo że był nie ogolony i miał na sobie najbardziej zniszczony dres, podszedł do drzwi i otworzył je, spragniony towarzystwa.

— Przyszedłem sprawdzić, jak się ojciec ma — wyjaśnił Harley. — Dzisiaj mam wolne popołudnie.

— Zapraszam do środka! Cieszę się, że cię widzę!

— Chciałem przynieść ojcu blaszkę ciastek czekoladowych, ale to byłoby najnormalniej w świecie morderstwo, więc przyniosłem to...

Harley wyciągnął zza pleców rękę i podał ojcu bukiet róż Malmaison z rabaty w ogrodzie domu ojca Tima.

Ojciec Tim spojrział na nie z zachwytem. Zupełnie zapomniał o swoich różach...

— Mógłby je ojciec dać na konkurs — stwierdził Harley.

Jak mógł zapomnieć o swoich różach?

— Siadaj, Harley, siadaj. Potrzebuję towarzystwa, brakowało mi ciebie.

Nalał wody do flakonu, który znalazł w szafce, i ułożył różowe róże, których płatki właśnie się rozwijały. Zapierające dech w piersiach! Poszuka aparatu i zrobi zdjęcie...

Zaniósł je do pracowni i postawił flakon na półce nad kominkiem, skąd mógł je widzieć, siedząc na sofie. Następnie opadł na wgłębienie w poduszce, które wyłubił w ostatnich tygodniach.

— Opowiedz mi wszystko — powiedział z zainteresowaniem. — Jak układa ci się z George'em?

— Naprawdę dobrze. Nie bardzo radzi sobie w kuchni, więc ja gotuję, a on zajmuje się praniem. Wieszka spodnie na wieszaku i utrzymuje porządek w swoim pokoju, jakby był w wojsku. Domyślam się, że nauczył się tego w zakładzie karnym. Próbuje nauczyć mnie poezji, powiedział, że miał lekcje pisania, które sprawiły, że polubił poezję, mówił, że pomogły mu w ćwiczeniu umysłu.

— Nauczyłeś się jakiegoś fragmentu?

— Ktoś zawsze próbuje nauczyć mnie czegoś, czego nauką nie jestem zainteresowany. Niech no sprawdzę, czy umiem wyrecytować ten wiersz pana Longfeller\*. — Harley oparł łokcie na kolanach i schował głowę w dłoniach. — No dobrze, usiłuję go sobie przypomnieć. — Nastąpiła długa chwila ciszy. — No to, proszę bardzo: „Życie wielkich nam przykładem, Że jak oni możemy żyć, I, wstępując nam ich śladem, W księdze dziejów możemy ryć”.

— Świetnie!

— Chwileczkę, była jeszcze jedna albo dwie linijki. „A więc idźmy nieustając, Z sercem niezdolnym się bać.

\* Chodzi o: Henry'ego Wadswortha Longfellow — poetę amerykańskiego (1807-1882). Cytowany fragment pochodzi z wiersza *Psalm życia* (1839), tłum. W. Baworowski, PIW, Warszawa 1975.

Harley podniósł wzrok, zasmucony.

— Wyleciało mi z głowy.

Ojciec Tim uśmiechnął się.

— „Byśmy, czynem czyn witając, Mogli mężnie w pracy trwać”.

— No właśnie!

— Nauczyłem się tego wiersza w młodości. Lace byłaby z ciebie dumna.

— Tęsknię za tą dziewczyną.

— Co jeszcze słyhać? Opowiedz mi nowiny z szerokiego świata!

— No cóż, niech pomyślę. Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Stary Mueller przywiózł mi kiedyś swój zdezelowany samochód. Będę się nim zajmował jutro.

— Co się zepsuło?

— Mówi, że nie da się nim skręcać w prawo. Mówi, że nie chce się nagiąć w stronę jego przekonań politycznych.

— Aha.

— Nie skręcił nim w prawo od dwóch albo trzech tygodni, mówił.

— Jak sobie wobec tego radzi? — zainteresował się ojciec Tim. — Człowiek musi skręcić w prawo od czasu do czasu.

— No cóż, zasadniczo, jadąc do miasta, musi skręcić w prawo z podjazdu. Ale ponieważ nie może skręcać w prawo, nie ma innego wyjścia, jak tylko przełączyć na wsteczny, wycofać aż do stodoły, objechać dookoła za tą starą stodołą, która się rozwalila, i zrobić koło, aż znajdzie się przy swoim ganku...

— Cały czas na wstecznym?

— Tak mówił.

— Jak to się dzieje, że nie może zawrócić przed swoim domem?

— Jedno pole kukurydzy sięga mu aż do wejściowych drzwi, a drugie znajduje się po lewej stronie domu.

Ojciec Tim potrząsnął głową, jakby chciał się upewnić, czy dobrze słyszy.

— Więc jak już udało mu się ustawić przy ganku, mógł skręcić w lewo i pojechać do miasta.

— Gdybym nie mógł skręcić w prawo, niech no pomyślę... Jak dostałbym się do miasta?

Człowiek, który nie ma nic lepszego do robienia, jak się nad tym zastanawiać, nie zasługuje na nic lepszego do robienia.

Harley wpatrywał się nieruchomo w ścianę, myśląc.

— No cóż, wielbny, musiałyby ojciec wycofać z garażu i skręcić w lewo, w ten sposób znalazłby się ojciec na Church Hill, gdzie ponownie skręciłby ojciec w lewo. Następnie skręciłby ojciec w lewo na Lilac Road i znowu w lewo na Main Street. — Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając różowe dziąsła. — Proszę bardzo. Same skręty w lewo.

— Bułka z masłem — przyznał ojciec Tim.

Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale wizyta Harleya zawsze sprawiała, że czuł się dużo lepiej. Prawdę powiedziawszy, poczuł, że ma dość odwagi, żeby zapytać o coś, co cały czas chodziło mu po głowie i co Harley z pewnością wiedział.

— Harley, co mówią w mieście?

Harley wyglądał bardzo poważnie.

— Mówią, że mogłoby być dużo gorzej.

Zegar tykał na półce nad kominkiem.

— Nikt ojca nie obwinia.

— Nikt?

— Nie, proszę ojca. I jeśli mi ojciec wybaczy, to chciałbym, żeby ojciec też się nie obwiniał.

Siedział przez chwilę w milczeniu.

— Spróbuję, Harley. Zamierzam spróbować.

Harley pokiwał głową, dla zachęty.

— To wszystko, co człowiek może zrobić — dodał.

Im bardziej o tym myślał i miał żarliwą nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie zawracał sobie tym głowy, zastanawiał się, dlaczego stary Mueller nie wykonuje skrętu o sto osiemdziesiąt stopni obok swojego ganku po powrocie z miasta, ponieważ w ten sposób ustawiałby się we właściwym kierunku do kolejnego wyjazdu.

A skoro już o tym mowa, to dlaczego stary Mueller w ogóle jeszcze jeździ? Czyż nie jest już mocno po pięćdziesiątce? I całe to cofanie! Dobry Boże. Poszedł do kuchni, otworzył drzwi do lodówki i wpatrywał się nie widzącymi oczami w jej zawartość.

— Bill, mówi Tim. Jak sobie radzisz?

— Bóg nigdy nie zsyła cierpienia, którego nie jesteśmy w stanie znieść. Radzę sobie dobrze, bracie, i mam nadzieję, że ty też.

— Tak. Bill... Mam nadzieję, że mogę zaproponować następującą rzecz...

— Co takiego?

Było mu ciężko to powiedzieć, ale musiał to w końcu mieć za sobą.

— Pomyślałem, że...

Odchrząknął i zaczął od nowa.

— Gdy tylko uznasz za stosowne, chciałbym ci kupić psa.

— Jestem wdzięczny, ale nigdy nie miałem psa, który zostałby kupiony — Bóg zawsze zsyła mi psy. Z wyjątkiem Hoovera, wydaje mi się, że Hoovera zesłało samo piekło! Nie, jestem wdzięczny, Tim, ale gdy nadejdzie właściwa pora, mój pies zjawi się sam.

Nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Wydawało się, że nie może nic zrobić dla Billa Sprouse'a. Tak bardzo chciał w jakiś sposób wypełnić swoje obowiązki duszpasterskie wobec niego, ale Bill najwyraźniej nigdy tego nie potrzebował. Prawdę powiedziawszy, wiara Billa wydawała się silniejsza, jego pewność mocniejsza, a jego nadzieja jaśniejsza niż jego własna.

Usiadł w miejscu, które wysiedział na sofie, pragnąc — jeśli nawet przez krótką chwilę — żeby to Bill prowadził samochód, a on był tym, który stał pod znakiem stopu.

Wujaszek Billy Watson przyciągnął z trudem krzesło z chromowanego metalu z kuchni do jadalni, gdzie sterty gazet przewyższały wysokością rosnącego człowieka.

Zajął mu chwilę, zanim wspiął się na krzesło i stanął tak, że sięgał czubka sterty. Ponieważ nie robił tego często, zapominał od czasu do czasu, co tam schował. Dzisiaj szukał szczególnego egzemplarza „Farmer's Almanac”, ale miał nadzieję, że przy okazji znajdzie trochę gotówki. Kiedyś chował pieniądze pod materacem, ale Rose się o tym dowiedziała i tak przepadły jego dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe i jedna dziesiątka, które zarobił na karmnikach.

Cała sztuka polegała na delikatnym wodzeniu palcami dookoła, bo jeśli wsunęło się dłoń w stertę zbyt gwałtownie, gazety wyślizgiwały się i zasypywały podłogę niczym lawina. Gdy gazety były poukładane jedna na drugiej, miały tendencję do wyślizgiwania się jak węże. Trudno było przewidzieć, co się z nimi stanie.

Inspektor miejski zagroził, że wywiezie wszystkie te śmieci, ale nigdy nie spełnił swojej groźby. Wujaszek Billy był zdania, że to musi być naprawdę podłe zajęcie — chodzić po domach i mówić ludziom, co mogą sobie zatrzymać, a co muszą wywieźć.

Chętnie oddałby gazety na makulaturę, gdyby jeszcze coś takiego funkcjonowało, ale nie słyszał o akcji zbierania makulatury już od lat. O nie, teraz chcieli, żebyś je związał w paczkę i wystawił na ulicę w czerwonym plastikowym kubku. Jakby tego było mało, miasto dawało ci błękitny kubek na szkło i biały plastikowy kubek na periodyki.

Czerwony, błękitny, biały — za dużo, żeby pomieścić to wszystko w głowie; on i Rose wkładali wszystko do foliowej torby po zakupach, gdy mieli na to czas, i wrzucali do kubka na śmieci, który znalazł na śmietniku. To powinno wystarczyć, żeby uznać, iż obywatel postępuje ze swoimi śmieciami, jak nakazuje prawo, zamiast wykopywać dołek i zasypywać go samemu.

Wodził dłonią po czubku sterty, rozpaczliwie usiłując odnaleźć almanach, który — wyraźnie pamiętał — tam właśnie kładł. Był pełen dobrych dowcipów, najlepszych, jakie w ostatnim czasie miał okazję przeczytać. Ale gdyby zostawił go na stole, jak należy, Rose zrobiłaby z nim Bóg raczy wiedzieć co — obrałaby na nim ziemniaki albo postawiłaby garnek, albo wycięła z niego przepisy. Nie miał pojęcia, dlaczego jego żona wycina przepisy, skoro w całym swoim życiu nie zrobiła niczego z przepisu. Bóg mu świadkiem, że on zrobił wiele rzeczy z przepisów, które pamiętał ze swoich chłopięcych lat.

Stał przy stole swojej mamy w tym małym domku w lesie i przyglądał się jej, jak wyrabia ciasto na bułki, placki i nie wiadomo co jeszcze. Nauczył się robić rzeżuchę ze słoniną i potrawkę z królika, i nawet piec w piecu na

drewno jeleninę z octem winnym, wodą źródlaną, smalcem i cebulą. Trzeba było jednak dobrze i szczelnie przykryć rondel, bo w przeciwnym razie mięso wysychało i robiło się twarde jak podeszwa...

Przestał szukać gazety i zaczął się zastanawiać, jak, u licha, zejdzie z krzesła. Nieomal zawsze zapominał o tym, jak ciężko będzie mu zejść na dół, gdy już wejdzie na górę. Wydawało się, że ostatnio artretyzm sprawiał, iż jego kończyny były tak sztywne, że gdy Bóg wezwie go do siebie, będzie w sam raz pasował do trumny.

Znalezienie porządnego dowcipu w dzisiejszych czasach było naprawdę nie lada wysiłkiem. Czasami myślał, żeby skończyć z opowiadaniem dowcipów, zostawić to po prostu za sobą — przejść na emeryturę, by tak rzec. Problem polegał jednak na tym, że lubił słyszeć, jak ludzie się śmieją, o tak, sprawiało mu to tyle przyjemności, a przy tym nic nie kosztowało.

Może schował almanach w tej małej spiżarni obok kuchni... Przytrzymał się oparcia krzesła i spojrzął w dół. — Tylko ostrożnie! — napomniał się na głos. Krzesło zachwiało się, gdy uniósł do góry prawą stopę i postawił ją na podłodze. Na Jowisza, no to się doigrał, ból, który przeszył jego nogę, obaliłby muła...

Zdjął drugą stopę z siedzenia krzesła, postawił ją na podłodze i poczuł pod sobą twarde podłoże. No to udało mu się postawić na dole dwie stopy, i to by było na tyle, dzięki Panu Bogu Wszechmogącemu!

### *Oslawiony lokalny artur otrzymuje nagrodę*

Najsłynniejsza osobistość Mitford, pani Cynthia Coppersmith Kavanagh, wyruszy w czwartek w podróż do Nowego Jorku, aby odebrać jedno z najważniejszych wyróżnień w branży wydawniczej.

Podczas uroczystości w Waldurf Astoria otrzyma swój drugi medal Davant w uznaniu za jej cykl % książek o białym kocie, Violet, który jest rzeczywistym kotem, mieszkającym w samym Mitford z panią Kavanagh i jej mężem.

Notatka prasowa od wydawcy pani Kavanagh stwierdza, że żaden inny artur nie zdobył dwa razy tego medalu. Fachowcy z branży twierdzą, że medal Davant dorównuje rangą Oskarowi.

Avette Harris, główny bibliotekarz w wolontariacie w bibliotece w Mitford powiedziała: „Violet uosabia dzisiejszą wyzwoloną kobietę — ma niezależne poglądy, nie boi się uczyć nowych rzeczy i udaje się jej wyjść z wielu fascynujących opresji”.

Pani Kavanagh rysuje i pisze opowiadania, odkąd skończyła dziesięć lat. Bohaterem jej pierwszej książki był chrząszcz, chociaż nigdy nie została wydana. Pośród jej licznych książek o Violet należy wymienić: *Violet wybiera się na wieś*, *Violet wybiera się z wizytą do Królowej* i *Violet idzie do szkoły*. Pani Kavanagh również idzie do szkoły gdy kilka razy w roku czyta ze swoich książek uczniom w miejscowych szkołach. Swoje książki czytała również %^ Wesley, Holding i wielu okolicznych społecznościach.

„Jest naszym ulubionym arturem” — twierdzi Dorene Little która otrzymała ubiegłoroczną nagrodę Nauczyciela Roku w szkole w Mitford. „Zarówno chłopcy, jak i dziewczynki mogą identyfikować się z Violet, która zdaje się posiadać więcej cech realnej osoby, niż kota, jeśli chodzi o moje zdanie”.

Artur został również zaproszony na tournée po Ameryce, w ramach programu do walki z analfabetyzmem, pod nazwą READ, wraz z innymi autorami literatury dziecięcej, która rozpoczyna się 5 sierpnia.

Pani Kavanagh uda się do Nowego Jorku w towarzystwie Dooleya Russella Barlowe'a z Mitford, który jest odnoszącym sukcesy studentem pierwszego roku w University of Georgia”.

— Uch — jęknęła jego żona. — Kto to w ogóle pisze?

— Głównie J.C. Ale czasami kogoś zatrudnia.

— To znaczy naprawdę — „dzisiejsza wyzwolona kobieta”? A kim są ci „fachowcy z branży”? A te błędy w pisowni! Najgorszy komputer w szkole ma moduł sprawdzania pisowni!

Jego żona była zdenerwowana, bez dwu zdań.

— Nie wspominając o moim zdjęciu. Skąd je, u licha, wygrzebał? Jest stare jak świat, włosy mam upięte w kok!

— Chwileczkę — powiedział, wyjmując jej z dłoni gazetę — po co się tak wściekać?

— Czy on kiedykolwiek rozmawia z ludźmi, którzy padają ofiarą tych niecznych praktyk? Czy całość jego reportażu bierze się z pogłosek i pomówień? Nigdy nie napisałam książki o chrząszczu!

— A o czym?

— O biedronce! — odparła całkowicie zdegustowana. Pogłaskała ją po dłoni.

— No, no, Kavanagh.

Spojrzała na niego szybko, a potem opadła na poduszki sofy, zanosząc się od śmiechu.

Podeszli do ławki w parku i usiedli, obserwując, jak księżyc wschodzi nad parkiem Baxter.

— Mój drogi Jan... — szepnęła, przeczesując palcami jego srebrne pukle.

— Jaki Jan?

— Przecież wiesz, kochanie, Jan Chrzyciel!

Westchnął.

— Może sam obetnę sobie włosy.

— Zrobię to, jak tylko wrócimy do domu! Co ty na to?

— Absolutnie się nie zgadzam. Miałem okazję ocenić twoje umiejętności fryzjerskie.

— Nie chcę cię zostawiać, Timothy.

— Ale oczywiście, musisz. To jedyne rozwiązanie.

— Dziękuję ci, kochanie.

— Nic mi nie będzie. Nic mi nie będzie. Zupełnie nie masz się o co martwić.

— Puny będzie tutaj codziennie i dziewczynki będą przychodzić po południu zaraz po przedszkolu. Dooley i ja będziemy do ciebie dzwonić rano i oczywiście zadzwonimy po ceremonii wręczenia nagród. Potem zadzwonimy do ciebie następnego dnia rano i po lunchu, i po sztuce i przed wyjazdem na lotnisko — będziesz miał dość naszych telefonów.

— Nigdy!

— Dziękuję, że kupiłeś dla nas bilety do teatru, najdroższy, za to, że wszystkim się zająłeś. Dooley tak się cieszy, można by pomyśleć, że lecimy na księżyc.

— Już czas, żebyśmy zrobili dla niego coś wyjątkowego. Poza tym nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kogo chciałbym z tobą posłać.

Było mu ciężko na sercu, ale dokładał wszelkich starań, żeby jego głos brzmiał lekko. Prawie czterdzieści lat za amboną uczy człowieka, jak ukrywać swoje uczucia.

— Proszę, nie bądź smutny — poprosiła, kładąc mu na ramieniu głowę.

— Smutny? Jak mogę być smutny?

Pocałował ją w czoło.

— Jesteś pierwszym autorem, który zdobył dwukrotnie medal Davanti

Chciał, żeby jego żona miała jakieś inne życie, oprócz doglądania go, jakby był jakąś cieplarnianą orchideą. Naprawdę chciał.

— Podaj jej ramię, gdy będziecie przechodzić przez ulicę. O tak.

Pokazał mu.

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Dooley.

— Ponieważ w Nowym Jorku jest duży ruch uliczny i jest tam niebezpiecznie. Ponieważ jest kobietą. I ponieważ jest to twoje zadanie jako mężczyzny.

— Nigdy nie słyszałem o takim zadaniu.

— No to właśnie usłyszałeś.

Dooley uśmiechnął się.

— Zaopiekuję się nią, obiecuję.

— Masz moją kartę. Wybierz dobrą restaurację, poproś kogoś na ceremonii wręczenia nagród, żeby ci coś polecił ona lubi kuchnię francuską albo włoską. Zadzwoń wcześniej i zarezerwuj stół. W Nowym Jorku przykładają do tego ogromną wagę.

— Dobrze. W porządku.

— Jedźcie taksówką, rób, co tylko będzie konieczne. Oto sto dolarów. I nie zapomnij dać napiwku chłopakowi hotelowemu, który zanieś wasze bagaże do pokoi.

— Ja mogę zanieść nasze bagaże.

— Nie pozwolą ci.

— Ale to nasze bagaże!

— No tak, cóż, nie prosz mnie, żebym ci to wytłumaczył. A gdy dostaniesz rachunek w restauracji, daj dwadzieścia procent napiwku.

— A niech mnie!

— Płać kartą. A skoro już o tym mowa, uważaj na portfel. I pomóż też Cynthii pilnować torebki, zdarzało się je stawiać ją na ladzie podczas robienia zakupów. Czy chciałbyś coś z tego zapisać?

— Nie, proszę taty.

— Dobrze. Po zastanowieniu...

Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

— Oto jeszcze jedna setka, na wszelki wypadek. I dwadzieścia dla ciebie.

— Jejku — rzucił z zachwytem Dooley, biorąc banknoty. — Zawsze chciałem nosić przy sobie takie pieniądze.

— Jeszcze jedno. Kup gdzieś kwiaty, zazwyczaj sprzedają kwiaty na ulicy. Daj je Cynthii.

— Kiedy?

— Za każdym razem, gdy będziecie przechodzili obok straganu z kwiatami. Tylko różowe róże, nie czerwone. Albo białe tulipany, jeśli nie będą mieli róż.

— OK.

— Tuzin. Powiedz jej, że są ode mnie.



— Tak, proszę taty.

— Jakieś pytania?

— Nie, proszę taty.

— Dobra robota!

W całym swoim życiu nie czuł się taki dumny. Mógł posłać tego młodego mężczyznę na misję i być spokojny, że ją wypełni. Czuł, jak serce mu rośnie, gdy obejmował tego chłopaka, który pojawił się w jego życiu i zmienił je na zawsze.

Stał przy drzwiach do garażu i obserwował, jak Dooley Wycofuje mazdę na Wisteria Lane.

— Kochamy cię! — zawołała Cynthia.

— Ja też was kocham!

Machał, aż auto zniknęło z pola widzenia za żywopłotem, następnie przeszedł szybko na koniec ogrodu, skąd mógł zobaczyć, jak skręcają w lewo na Main Street.

Miał nadzieję, że przebywanie w pojedynkę będzie mu bardziej odpowiadało — w ten sposób będzie mógł być tak bardzo zrzędlivy, jak tylko zechce, i nikt tego ani nie zauważy, ani nikomu nie będzie to przeszkadzało. Ale on czuł się samotny.

Otworzył lodówkę i zajrzał do środka, następnie zamknął ją, nie pamiętając, co widział. Wszedł do pracowni i włączył lampę przy fotelu, następnie wyjrzał przez okno na park Baxter, zauważając, że niebo zrobiło się złowrogie. Książka! Oczywiście, oto rozwiązanie...

Zdjął tom z półki, usiadł na fotelu i poczuł się wdzięczny Bogu za dobrego psa, chrapiącego przy stopach. Następnie otworzył książkę na przypadkowej stronie i spoglądał na nią przez chwilę.

W książce nie było nic, tylko słowa.

Burza dotarła do Mitford wkrótce po zmroku. Zabrał Barnabę na ogród, jak tylko zaczął się deszcz — duże, ulewne krople sprawiały mu ból, rozpryskując się na jego koszuli.

O dziesiątej wieczorem rozszalała się pełna burza z piorunami, pozbawiając miasteczko dostaw prądu i przebudzając go z głębokiego snu.

Oślepiający błysk platyny oświetlił pokój. Ojciec Tim przewrócił się na bok i słuchał deszczu uderzającego o dach i ogromnych strumieni wody spływających w dół rynnami.

Nie wziął swoich tabletek na depresję; odstawi je na kilka dni i zobaczy, co się stanie. Przyjmowanie czegoś takiego było upokarzające. Jedynym pocieszeniem był fakt, że miliony innych ludzi jechało na tym wozie; depresja była pospolitą, dotykającą przeciętnego człowieka przypadłością. Ale on nigdy nie aspirował do tego, żeby być przeciętnym; był pewien, że za kilka dni poczuje przypływ energii — będzie w lepszym nastroju, spojrzy optymistycznie na świat, a całe to żalosne doświadczenie będzie przeszłością.

Chwytał się brzytwy, mając nadzieję, że wyciągnie go na powierzchnię.

Odkurzacz chodził na pełnych obrotach, tak samo jak pralka, suszarka i garnek ciśnieniowy. Wolał trzymać się z daleka od garnków ciśnieniowych; sąsiad z Holly Spring zdrapywał fasolkę szparagową z każdej możliwej powierzchni łącznie z sufitem przez dwa tygodnie. Ale dzisiejsze dudnienie, syczenie, wirowanie i huczenie tworzyło miłą dla ucha kakofonię w żółtym domu i był za to wdzięczny.

— „... aby dotrzeć do portu zwanego Niebem — zapisał w swoim notesie z cytatami — musimy żeglować czasami z wiatrem, a czasami pod wiatr — ale musimy żeglować, nie dryfować ani nie cumować na kotwicy”.

Oliver Wendell Holmes trafił w samo sedno. Zamknął książkę, w której znalazł cytat, i wyrzwał na park.

Mógł się oszukiwać, twierdząc, że dryfuje. Prawda jednak była taka, że cumuje na kotwicy.

Próbował kilka razy wrócić do pisania esejów, ale za każdym razem nic z tego nie wychodziło. Spędzał czas, patrząc raczej na klon, niż posuwając się do przodu w pracy nad esejem, który zatytułował *Przyszła godzina*.

Bez względu na to, jak otwarty i jasny zdawał się ich dom, miał wrażenie, że znajduje się w więzieniu. Chce się stąd wydostać...

Wstał gwałtownie, podszedł do tylnych drzwi i otworzył je szeroko. Zabierze dziewczynki do Cukierni Sweet Stuff, jak tylko przyjdą. Nie potrzebuje jedynie rześkiego górskiego powietrza, potrzebuje też zobaczyć ludzi, stanąć z nimi twarzą w twarz, tak żeby mógł spojrzeć im w oczy i zobaczyć, jak go osądzają, jeśli rzeczywiście tak jest. Bał się wyjść na ulicę; teraz był gotowy się z tym zmierzyć.

„Proszę nie przesadzać — radził Wilson. — Nawet jeśli poczuje ojciec przypływ energii, szybko się wyczerpie”.

Tak, ale nie mógł nadal żyć tylko dla siebie, tylko w sobie; miał tego dość.

Pochwyił bezprzewodowy telefon, zanim uruchomiła się automatyczna sekretarka.

Od kilku tygodni prawie w ogóle nie odbierał telefonu, jego żona otrzymała zalecenia od lekarza, aby ograniczać takie bodźce do minimum. Skoro jednak czuł się na tyle dobrze, żeby radzić sobie samemu, miał z pewnością prawo do odbierania przeklętego telefonu...

— Nie mogę uwierzyć! — sapnęła Emma.

— W co nie możesz uwierzyć?

— Że z tobą rozmawiam. Zaczynałam się zastanawiać, czy jeszcze żyjesz, czy już po tobie...

— I jedno, i drugie — odparł.

— ...a twoje e-maile piętują się tutaj jak... jak... Emma nigdy nie była zbyt dobra w analogiach.

— Jak samoloty nad Atlantą.

— Zgadza się! Nigdy nie zgadniesz, co się dzieje w Whitecap!

— Jak szybko możesz tutaj przyjść? — zapytał.

Gdy odkładał słuchawkę, zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. E-mail.

Drogi Ojczy, już od wieków przyjaciele z Whitecap nie mieli od Ojca żadnych wiadomości, Ojca dobra sekretarka przysłała nam e-maila, że ostatnio nie czuł się Ojciec za dobrze.

Jakże smuci nas ta wiadomość i prosimy, żeby Ojciec o siebie dbał. Nieomal codziennie wspominamy Ojca w bibliotece, gdzie pełnię funkcję szefowej już ostatni sezon. Jak szybko mija ten czas, minęło już tyle lat, że wolę nie pamiętać, wydaje mi się, że planują mi podarować pierwsze wydanie autobiografii Agathy Christie, jeszcze w obwolucie!

Proszę pamiętać, że jeszcze nie posiadałam umiejętności pisania tych krótkich wiadomości e-mailowych, która zdaje się tak powszechna u wszystkich i każdego z osobna. Mam nadzieję, że nadal interesują ojca nowiny z naszej małej wyspy, jako że ostatnimi czasy zdaje się tutaj dziać dość dużo!

Słyszeliśmy, że na żółtej linii oddzielającej Mona's Cafe i sklep ze sprzętem wędkarskim wzniesiony został mur. Nie wiemy, co to wróży, mamy nadzieję, że nie jest to prognoza bardziej drastycznych działań, takich jak rozwód! Proszę się pomodlić w tej sprawie, bo wiem, jak dużo znaczy dla Ojca Ernie.

Morris nadal gra na organach w każdą niedzielę, ale nie byliśmy go w stanie nakłonić, żeby został na zwyczajową kawę, Jean Ballenger podjęła się zadania, żeby nad tym popracować. Nie jestem pewna, czy jest właściwą osobą, żeby to zrobić, może go zupełnie wystraszyć. Jestem przekonana, że gra w każdą niedzielę uczyniła go w pewien sposób szczęśliwym, szkoda, że nie może Ojciec usłyszeć tych pochwał, które się na niego sypią, zanim zdąży uciec ciężarówką Juniora i Misty, którzy zawsze wożą go tam i z powrotem. Czy słyszał Ojciec, że Junior i Misty będą mieć dziecko? Junior jest bardzo dumny, szkoda, że nie widzi Ojciec, jak czule opiekuje się swoją młodą żoną!

Jeffrey Tolson pracuje nad sobą, wydaje mi się, i jest wierny swojej drogiej rodzinie. Janette wygląda cudownie. Zrobiła się prawdziwie piękną dziewczyną, gdy jej małżeństwo weszło w okres rozkwitu. Z pewnością też nie musi tak ciężko pracować, teraz gdy J ma stały dochód. Ojca Jonathan jest psotnikiem i podbił serca wszystkich w parafii.

Otis i Marlene mają dwoje nowych wnuków i zamknęli basen przy domu. Marlene mówi, że to tylko, dopóki wnuki nie podrosną. Otis twierdzi, że na zawsze, bo basen to nic innego, jak tylko utrapienie i wydatki. Zamierza kazać swoim pracownikom budowlanym, żeby wypełnili go żyzną ziemią i posadzili na niej palmy, chociaż jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby palmy dobrze rosły tak daleko na północy.

Duncanowie mają nowego koguta, który jest powodem narzekań wszystkich sąsiadów. Wydaje mi się, że z tym światem dzieje się coś złego, skoro człowiek nie może się już cieszyć paniem koguta!

Ojciec Conklin ma dobre chęci i Bóg raczy wiedzieć, bardzo się stara, ale nie jestem pewna, jak sobie poradzi na dłuższą metę, jeśli można o czymś takim w ogóle mówić.

Odkąd wyjechaliście z Cynthią, już nigdy nie było tak samo, najchętniej zatrzymalibyśmy Ojca i Cynthię do końca świata.

Proszę pozdrowić ją ode mnie i dziękujemy za pamięć b nas w modlitwie, tak jak i my pamiętamy o Was. Nie będę spokojna, dopóki nie usłyszę, że znowu czuje się Ojciec świetnie.

Timothy, na litość boską czy nie mógłbyś napisać człowiekowi chociaż SŁOWA O TYM, JAK SIĘ CZUJESZ?

Czy już umarłeś, czy jeszcze dychasz, ale przygotowujesz się do ostatniego sakramentu — którego z przyjemnością udzielię, jeśli tylko mnie o to poprosisz.

Jakoś sobie radzimy tutaj na pustkowiu, chociaż bardzo brakuje nam rąk do pracy. Wyrabiam sobie dziury w podszwach, wędrując po górach i dolinach i znajdując ludzi mieszkających w warunkach przerastających wszelkie wyobrażenie i rozdzierających serce. Czynimy jednak postępy. Dobry Bóg przyprowadził całkiem sporą gromadkę młodych ludzi do naszych drzwi i kilku ponurych rodziców. Przychodzą z ciekawości i zostają na ciastka i herbatę, i opowieści biblijne. Zdecydowanym faworytem jest potop. Abner przychodzi codziennie, mam nadzieję, że modlisz się za niego, tak jak prosiłem.

Cóż, bracie, czy już całkowicie nas odrzuciłeś? Jeśli nie możesz pisać, zrób drugą w kolejności najlepszą rzecz...

**PRZYŚLIJ PIENIĄDZE!!!**

Sissy rozwinęła akwarelę i uniosła ją przed nim. — Widzisz, dziadku? To jest kościół. Czy przykleisz go na lodówce?

— Oczywiście! Dobra robota!

— A to — zaczęła Sassy — jest Barnaba. Użyłam największej kartki papieru w całej szkole!  
— Cudownie! — zawołał, podziwiając akwarelę ogromnej czarnej masy na czerwonym chodniku.  
— Ale muszę przyznać, że podobnie jak twój temat, twój rysunek jest większy niż lodówka.  
— Mógłbyś... hm... mógłbyś przykleić go na ścianie!  
— Aha, na ścianie.  
— Masz taśmę w szufladzie biurka, widziałyśmy ją, gdy używałeś kredek.

— Niech no pomyślę...

Sassy podbiegła do ściany przy jego biurku.

— Tutaj, dziadku! Będzie wyglądał świetnie! Możesz ściągnąć te inne rzeczy.

— Ja też chcę, żebyś powiesił mój na ścianie — poprosiła Sassy — nie na lodówce.

Życie jest krótkie.

Podszedł do biurka i wyciągnął taśmę.

— Załatwione! — odparł.

Zadziwiające. Z beznadziejnego starego kawalera, który mieszkał sam, stał się mężczyzną z psem, żoną, synem i dwójką wnuków. Myśląc o tym, pomaszerował Main Street z rudowłosymi wnuczkami po lewej i prawej stronie, zadowolony z życia.

Stał razem z dziewczynkami przy gablocie z ciastkami gdy usłyszał, jak otwierają się drzwi, a następnie stukot obcasów na podłodze wyłożonej płytkami. Wiedząc, że nie ma ucieczki, odwrócił się, żeby przyjąć atak.

Fancy Skinner w swoim unikatowym stroju złożonym z koszulki i rybaczek w cukierkowym różowym kolorze uniosła do góry jedną brew i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

— Kopę lat!

— Fancy, jak się masz?

Mierzy pewnie fryzurę bardzo uważnie, pomyślał, opuszczając głowę, żeby zaglądnąć na dolną półkę gabloty.

— Ekler czekoladowy! — zawołała Sissy.

— Ciasteczko z kawałkami czekolady! — zawtórowała Sassy.

— Ja wezmę ciastko owocowe bez cukru — poinformowała go Fancy. — To moje ulubione, niebo w gębie, cały ten krem i te małe plasterki kiwi, mam nadzieję, że są dzisiaj z kiwi, czasami nie mają kiwi, tylko maliny i takie tam, dzięki Bogu Winnie nigdy nie używa jagód. Nigdy ich nie tykam, nie wiem, może dlatego, że nadają fioletowy kolor językowi, nawet zębom, i banany, weźmy na przykład banany, nigdy nie lubiłam konsystencji bananów, nie obchodzi mnie, że mają potas, sprawiają, że czuję się gruba, czy na ojca tak nie działają?, weźmy na przykład kiwi, kiwi jest bardzo tropikalne, bardzo lekkie i odświeżające...

Szczerze mówiąc, myślał, że nie powinien nic kupować dla siebie. Ale ciastko owocowe bez cukru to zupełnie inna sprawa. Poweselał.

Winnie nadeszła pośpiesznie, odchylając zasłonę oddzielającą kuchnię od cukierni.

— Ojcie! Tak bardzo się cieszę, że ojca widzę, mam ochotę ojca uściskać!

— Chodź i zrób to w takim razie!

Dobra, serdeczna Winnie, pachnąca cukrem, przyprawami i wszystkim przyjemnym, wyszła z za lady z ciastkami.

— Jak interes? — zapytał, odwzajemniając z radością jej energiczny uścisk.

— Kwitnie, teraz gdy tu przyszlście!

Gdy dziewczynki już złożyły swoje zamówienie, on złożył swoje.

— Ciastko owocowe bez cukru! — wyrecytował pełen nadziei.

— Tylko jedno?

— Tylko jedno.

— To dobrze! Bo to wszystko, co mi zostało!

Nie zamierzał spoglądać w oczy Fancy Skinner. Miał szczerą nadzieję, że już nigdy nie znajdzie się w takich opałach, które zmusiłyby go do zajęcia miejsca w jej fotelu.

— Na miejscu czy na wynos? — zapytała Winnie.

— Na miejscu! — zawtórował z dziewczynkami. Wychodząc z cukierni ze swoim niskotłuszczowym pączkiem, Fancy obrzuciła jego fryzurę spojrzeniem zdradzającym profesjonalną pogardę. A może było to zwykłe obrzydzenie?

— Czy uważacie, że dziadziu powinien obciąć sobie włosy? — zapytał swoich doradczyń.

— Tak, proszę dziadka — przyznała Sassy. — Zdecydowanie tak.

Sissy pokiwała głową z pełnymi ustami.

— No cóż, w takim razie — odparł, zjadając łapczywie ciastko, które pełne było kiwi.

Wyszli z domu niecałą godzinę temu, a jego zapas energii był już zupełnie na wyczerpaniu. W czasie gdy dziewczynki piły napój gazowany w Sweet Stuff, on siedział na fotelu Joe Iveya, czując się słaby i zmęczony.

— Pewnie nie powinienem ojcu tego mówić...

Pac, pac. Joe zaczął swoje zadanie od obcinania włosów, które spadały na koloratkę jego klienta.

— No to nie mów — zaproponował ojciec Tim.

— ...ale ktoś powiedział, że skoro musiał ojciec przejechać księdza, to lepiej by było, gdyby trafił ojciec na tego błazna z Wesley Chapel.

Poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody.

— Nie wypadło to za dobrze. Nie powinienem być tego mówić.

Pac. Pac.

— Nie wygląda ojciec najlepiej. Przypuszczam, że to całe zdarzenie było dla ojca bardzo trudne.

Pac, pac, pac. Dźwięk klaksonu na Main Street, odgłos kroków nad ich głowami, dźwięk otwieranych drzwi do cukierni Winnie, podnoszący się mu poziom ciśnienia krwi.

— Czy miałby ojciec ochotę na jednego?

— Myślałem, że trzymasz się od tego z daleka — rzucił ostro.

— Ja trzymam się z daleka, mam ją dla klientów.

Następnym razem, gdy będzie chciał obciąć sobie włosy, pojedzie do Wesley, albo do Holding... Wszędzie, byle nie tutaj.

Spojrzał na wznoszący się po wschodniej stronie Mitford grzbiet wzgórza i był zaskoczony, widząc kominy Clear Day, przepastnej posiadłości Edith Mallory o powierzchni ośmiuset metrów kwadratowych. Najwyraźniej ścięto sporo drzew; wolał, gdy nic nie było widać z jej trzydziestu sześciu hektarów ziemi.

Gdy był proboszczem w Lord's Chapel, często zapraszała do siebie radę parafialną na spotkania. Był wdzięczny Bogu, że nie musi już poddawać się temu żalosnemu doświadczeniu — zatrzymywać się przy elektronicznej bramie i wystukiwać cyfry, które zdawały się zmieniać z każdym spotkaniem, następnie jechać tym długim ciemnym podjazdem poprzez tunel nisko rosnących rododendronów. Pamiętał to uczucie, jakby się dusił, gdy przejeżdżał przez ten tunel, po czym następował długi wieczór, w czasie którego musiał unikać jej prób spojrzenia mu w oczy, ujęcia go za ramię czy usunięcia nieistniejącego klaczką z klapy jego marynarki.

Zdarzył się też kiedyś wieczór, podczas którego rozszalała się burza, gdy rada parafialna debatowała o Domu Nadziei. Po odesłaniu do domu osoby, z którą miał jechać, W czasie gdy on był w łazience, zastawiła na niego pułapkę w bibliotece, gdzie — po ostrej wymianie zdań — spędził większość nocy w fotelu klubowym. Ed Coffey twierdził, że nie może uruchomić samochodu Edith, chociaż udało mu się uruchomić bez problemu to cholerstwo za dnia. Został wysadzony pod swoim domem, dokładnie w chwili, gdy jego sąsiadka wyszła na zewnątrz szukać swojego kota. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Cynthii, gdy wyslizgiwał się z tego czarnego lincolna, wściekły i upokorzony.

Gdy znalazł się w drzwiach wejściowych z dziewczynkami, wydawało mu się, że nie dojdzie do końca holu i do kuchni.

— Dobry Boże! — zawołała Puny, wyglądając na przerażoną. — Proszę w tej chwili położyć się na sofie!

Posłuchał jej bez słowa; nie miał wyboru.

Gdy zadzwonił telefon, usiadł, z trudem zbierając myśli. Dlaczego leży na sofie? Czuł pulsujący ból w skroniach. Było już nieomal zupełnie ciemno, a w pokoju nie paliła się żadna lampa. Sięgnął po omacku po telefon i zrzucił słuchawkę na podłogę.

— Chwileczkę! Już odbieram!

Upadł na kolana, przeszukując po omacku chodnik przed sofą. Nareszcie.

— Cześć, kochanie — zawołał pozbawiony tchu.

— No cóż, Timothy! — Edith Mallory roześmiała się chropowatym głosem. — Spodziewałeś się z pewnością telefonu... od kogoś wyjątkowego. Nie zajmę ci dużo czasu. Właśnie przyjechałam do Mitford z Hiszpanii i dowiedziałam się o tej strasznej rzeczy, która ci się przytrafiła.

— Ta straszna rzecz nie przytrafiła się mnie, tylko Billowi Sprouse'owi — odparł chłodno.

— Oczywiście. No cóż, chciałam powiedzieć, że mam nadzieję, iż wkrótce wyzdrowiejesz i odzyskasz siły i że bardzo szybko będziemy mogli cię oglądać w dobrym zdrowiu, jak do tej pory.

Usłyszał, jak wydmuchuje dym z papierosa.

Z trudem powstrzymywał się, żeby nie rzucić słuchawką na drugi koniec pokoju. Mimo to siedział bez słowa, znosząc łomotanie w głowie.

— Muszę przyznać, Timothy, że nie mam do ciebie żalu, W ogóle. Powinam ci podziękować. Ludzie, którym mogłam wynająć Grill, zbankrutowali, podczas gdy czek od pana Mosely'ego co miesiąc zjawia się na czas.

— Muszę kończyć — powiedział.

— Oczywiście, że musisz. Rozumiem! No cóż, w takim razie do widzenia...

Upuścił słuchawkę na kolana, czując się dziwnie zaniepokojony, jakby teraz gdzieś w mrocznym pokoju czaiła się zmija.

Hessie Mayhew obudził o trzeciej nad ranem jakiś dziwny odgłos... Co to, u licha, było?

Jej wiekowy materac Sears na sprężynach zaskrzypiał, gdy siadała na łóżku, żeby lepiej usłyszeć.

Grad!

Sypialnia zamigotała w oślepiającym błysku błyskawicy, a potem rozległ się grzmot pioruna, który sprawił, że zadrżały szyby w oknach.

Zasłoniła oczy dłońmi, jakby nie chciała przyznać się sama przed sobą, że to się dzieje. Grad oznaczał, że każda róża w jej ogrodzie zostanie zniszczona, i w najlepszym razie zostanie się jakaś garstka na jutrzejszy ślub w kaplicy metodystów. Będzie zmuszona zebrać o róże u ludzi, stąd aż po Wesley, i to jeżdżąc samochodem, który ma tak łyse opony, że Lew Boyd powiedział jej, iż powinna zacząć pisać swój nekrolog.

Rozmyślała gorączkowo. Może ojciec Tim nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zetnie to, co zostało z jego starych róż Malmaisons; na litość boską, on nawet już nie mieszka w swoim domu, zamieszkuje go teraz ta mała francuska kobieta i kot wielkości stodoły, powinna się cieszyć, że ma okazję pozbyć się przynajmniej części róż. Na Boga, jak dużo róż może potrzebować jedna filigranowa kobieta?

Ojciec Tim! Hessie jęknęła. Jego kosz z roślinami ogrodowymi! Ubrana jedynie w górę bawełnianej piżamy, którą znalazła na ostatniej wencie dobroczynnej, ruszyła pośpiesznie do kuchni, włączyła światło na tarasie i wyjrzała na zewnątrz przez szklane drzwi.

Położone! Wybite! Zniszczone! Piękny kosz z dwunastoma ziołami i pięcioma pojemniczkami z miniaturkami róż, lawendą i goździkiem, tak starannie umieszczonym w zielonym wilgotnym mchu, mchu, który wyrwała własnymi dłońmi z jej własnej specjalnej części ogródka, czyniąc gest, na który się zdobywała tylko dla bardzo szczególnych ludzi — zniszczony!

Grad wielkości grochu podskakiwał na podłodze tarasu i odbijał się od szklanych drzwi. Błysk pioruna oświetlił jej ogród.

Odwróciła się od tego strasznego widoku i weszła gwałtownie do kuchni. Nie będzie czekała, aż będzie miała sześćdziesiąt pięć lat, o nie, wielkie dzięki, kończy z tym kwiatowym interesem natychmiast. Jak tylko kupi nowe opony, na które powinny wystarczyć pieniądze z dwóch dużych ślubów i lunchu dla druhen i drużby, da sobie z całym tym kramem spokój — nie zniesie już kolejnego dnia w biznesie tak niestabilnym, tak ulotnym, tak kapryśnym jak kwiaty! Pójdzie do pracy w Wal-Mart, może w sekcji z gospodarstwem domowym, albo nawet przy wejściu, gdzie będzie podawała ludziom wózek na zakupy i życzyła im miłego dnia.

Całkowicie zdegustowana i bliska łez, otworzyła na oścież drzwi lodówki, porwała wczorajszą pieczeń i dała sobie pozwolenie, żeby zjeść ją w całości.

Odgłos burzy gradowej obudził go z głębokiego snu.

Leżał na sofie z czymś, co niczym kamień wbijało mu się pod lewe żebro. Przekłęta słuchawka. Odłożył ją i zmusił się do wejścia na górę, gdzie znalazł Barnabę pod łóżkiem i Violet zwiniętą na poduszce Cynthii. Spojrzał na zegarek. Trzecia rano i żadnych wiadomości z Nowego Jorku. Czy powinien zadzwonić do hotelu? Oczywiście, że nie. Nie będzie dzwonił do nikogo o tej porze.

Usiadł na fotelu z wysokim oparciem, zmęczony, ale czujny. Pociągnął łańcuszek, zapalając znajdującą się obok lampę, i wziął ze stolika, jak je nazywał, swoje Pismo Święte z pietra. Jeśli chce znaleźć to, czego szuka, będzie musiał kontynuować poszukiwania, nic dodać, nic ująć.

— Pokaż mi, Boże — modlił się. — Poprowadź mnie tam i otwórz moje serce na Twoją mądrość...

Pismo Święte leżało na jego kolanach przez dłuższy czas. Nie miał siły go otworzyć.

Wszedł do łóżka i leżąc na plecach, słuchał bicia gradu o dach i chrapania swojego psa. Poczł się tak, jakby powrócił do swoich kawalerskich dni, gdy miejsce obok niego było zawsze puste. Ale nie, nie był już tym kawalerem, był zupełnie innym człowiekiem, w każdym calu. Miał żonę, która pojutrze wróci do domu — wtedy rzucą się w wir pracy, z sercem gotowym na to, co przyniesie im los.

Przewrócił się na prawą stronę i poklepał swoją poduszkę. Powinien był dać Dooleyowi dwadzieścia dolarów więcej.

## Rozdział jedenasty

### ŚPIEWAĆ W CIEMNOŚCI

O siódmej rano porwał słuchawkę dzwoniącego telefonu.

— Cynthia?

— Timothy! Czy dobrze się czujesz?

— Czy ty dobrze się czujesz, oto jest pytanie!

— Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić kilka razy, ale telefon był cały czas zajęty. Z kim, u licha, rozmawiałeś?

— Z nikim. Zasnąłem na sofie i nie odłożyłem słuchawki.

— Żałosne! Nie można cię zostawić samego ani na pięć minut!

Usłyszał ulgę w jej głosie.

— Przepraszam, kochanie, wybacz mi. Czy było cudownie?

— Bardziej niż cudownie!

— Mów dalej.

— Uwielbiam ciężką pracę i tę nigdy nie opuszczającą mnie niepewność, czy sobie poradzę, a potem radość, gdy książka zostaje wydana i gdy podoba się dzieciom i rodzicom, a teraz... to.

— Czy jesteś bardzo dumna? Czy nie będziesz patrzyła z góry na swojego małomiasteczkowego męża?

— Moje poczucie niższości sprawiło, że jestem taka mała, że zmieściłabym się w twojej dłoni.

— A jak Dooley opiekuje się swoją słynną towarzyszką?

— Otacza mnie najtroskliwszą opieką, otwierając drzwi, nawet podając mi ramię, gdy przechodzimy przez ulicę.

Szkoda, że tego nie widzisz, Timothy, nie mam pojęcia, kto nauczył go takich cudownych, staromodnych manier.

— Bóg raczy wiedzieć.

— I daje dwadzieścia procent napiwku! Muszą chyba mieć z tego zajęcia na uniwersytecie.

— Tak myślę.

— I kwiaty! Całe naręcza róż i tulipanów! Ale wszystkie od ciebie, oczywiście. Dziękuję, kochanie, nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Jak się czujesz?

— Wyszedłem wczoraj z domu. Zabrałem dziewczynki do Sweet Stuff. Obciąłem włosy.

— U Joe Iveya?



— Musisz być dzielna.

— Ojej. Jak się czuleś, spacerując po mieście? Czy wszystko... poszło dobrze?

— Czulem się jak nowo narodzony. Co dzisiaj robicie?

— Kupuję Dooleyowi garnitur.

— Garnitur?

— Włoski!

— Miej litość, Kavanagh, jest jeszcze bardzo młody.

— I jedwabny krawat! Na jego widok wszystkim poopadają szczęki.

Uśmiechnął się. Dooley Barlowe już nigdy nie będzie taki sam...

— Dziewczeta tutaj o mało się nie pozabijają na jego widok. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że uczucie do Lace przetrwało tak długo!

— Pomyśl tylko, jak długo przetrwało uczucie do mnie — odparł — i zobacz, co się stało.

— Tęsknię za moim mężem — powiedziała nagle smutna.

— Tęsknię za swoją żoną... moją ekstrawagancką, hojną, dowcipną i ważną żoną.

— Kocham, gdy tak mówisz.

— Ach, Kavanagh, czego ty nie kochasz?

— Taksówek, które poruszają się w ruchu miejskim z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, rajstop za małych o jeden rozmiar, czego człowiek nie wie, dopóki nie zacznie się ubierać na ceremonię wręczenia nagród, a wtedy jest już za późno, no i oczywiście, płam starczych.

Roześmiał się.

No to chyba wszystko.

— Zadzwonimy do ciebie dzisiaj wieczorem i znowu jutro rano, a zanim się obejrzysz, będziemy w domu!

— Odliczam godziny.

Gdy obudził się dzisiaj rano o szóstej, czuł się przytłoczony, stary. Teraz gdy usłyszał jej głos, z radością wyglądał jutra.

— Ojczy?

— George! Wejdz, proszę!

— Czy przyszedłem w porę? Modliłem się za ojca w domu obok i nagle poczułem silne przekonanie, że bym pomodlił się tutaj.

Otworzył drzwi z siatką przed swoim wysokim, szczupłym sąsiadem, znanym w całym Mitford jako mężczyzna z poddasza, i przywitał go uściskiem.

— Cieszę się, że cię widzę, bracie. Usiądź. Powiedz mi, jak się mają sprawy w twoim nowym mieście rodzinnym.

— Może opowiedziałbym ojcu następnym razem. Mam dwadzieścia minut, żeby dostać się do księgarni.

— Skoro tak.

Mimo że osiem lat w więzieniu spowodowało pojawienie się kilku zmarszczek na twarzy George'a Gaynora, a jego trochę rzadsze włosy zrobiły się siwe na skroniach, ojciec Tim był zdania, że nigdy nie wydawał się tak przystojny.

— Ojczy, nie rozumiem zbyt wiele z tego, przez co ojciec przeszedł. Obawiałem się troszkę poprosić, żeby pozwolił mi się ojciec za siebie pomodlić.

— Ależ absolutnie nie powinienes się niczego obawiać, George. Wszyscy potrzebujemy modlitwy.

Żałował, że nie może wyznać, jak bardzo w istocie potrzebuje modlitwy...

Po oprowadzeniu Barnaby po parku Baxter, zajął przez żywopłot do swojego starego domu. Grad z pewnością pociął jego róże na sieczkę, a w funkcii uczynił finezyjne dziurki.

Nie miał szczególnej ochoty na oglądanie miejsca zbrodni; nadal czuł się słabo, nieomal jak przezroczysta porcelana, która może się potłuc, jeśli się ją potrąci. Wiedział jedynie, że musi się zająć swoim życiem, które ostatnio zdawało się go omijać. Dzięki Bogu, dzisiaj rano miał niski poziom cukru, co oznaczało, że jego rehabilitacja przebiega planowo i mieści się w przewidywanych sześciu tygodniach. Wkrótce wszystko będzie dobrze i bardzo dobrze.

— Ojczy! *Bonjour!*

Hélène Pringle stała na tylnym ganku, machając do niego. Jej kot, Barbizon, siedział u jej stóp, wyglądając na niezadowolonego.

— *Bonjour*, Hélène! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że rozglądam się po twoim ogrodzie?

— Ależ skąd. To ojca ogród, może się ojciec rozglądać, kiedy tylko będzie miał ochotę.

— Burza wczoraj w nocy była naprawdę straszna. Chciałem zobaczyć, czy coś zostało z moich róż. Ojej.

Spojrzał na leżące wkoło liście i całą masę płatków pokrywającą mierzwę.

— Niewiele, obawiam się.

— Moja babcia uważała, że odrobina złej pogody ma dobry wpływ na ogród.

Zeszła po schodach, nieśmiało, ale uśmiechając się z zadowoleniem.

— Cudownie widzieć ojca znowu na zewnątrz.

Żałamywała ręce, jakby przywitanie go wprawiało ją w zakłopotanie. Zastanawiał się, czy mógłby być bardziej przyjacielski, aby Hélène poczuła się pewniej.

— Dziękuję, Hélène, zaczynałem już kostnieć.

— Kostnieć? — zapytała, nie rozumiejąc.

Uśmiechnął się.

— Twardnieć jak kość.

— Ach! — zawołała. — *Oui!*

Obszedł dookoła rabatę, usiłując przejmować się zniszczeniami tak bardzo, jak mógłby to robić rok czy dwa lata temu. Potrzebował na to tyle energii...

— Czy... dobrze się ojciec czuje?

— O tak. Radzę sobie. — Usiadł na ławce. — Jeśli pozwolisz...

— Ależ oczywiście, że tak! To przecież ojca ławka! Stała po drugiej stronie rabaty, nadal załamując dłonie. Zdał sobie sprawę, że nic nie może zrobić.

— Byłam wczoraj w Holding i widziałam waszego drogiego chłopca.

— Dooleya?

— Tak, wychodził z drogerii, gdy ja wchodziłam do środka. Nie jeżdżę często do Holding, wydaje mi się, że to tak daleko.

— Tak, spory kawałek. Nie mogłaś jednak widzieć Dooleya. Jest w Nowym Jorku.

— W Nowym Jorku? — Zastanawiała się przez chwilę, wyraźnie zdezorientowana. — Ale ja się do niego odezwałam! Oczywiście, nic nie odpowiedział, wydawało się, że bardzo się śpieszy... I wyglądał bardzo mizernie, i był blady. — Zawahała się. — Miałam nic ojcu nie mówić, ale... Był bardzo brudny i *mal habille*, zupełnie nie podobny do siebie. Wiem, że tego lata mieszka na farmie, może to dlatego.

— Tak, no cóż, Dooley jest w Nowym Jorku.

— Ach, *oui, bien sûr*, już to ojciec mówił. — Potrząsnęła głową. — No cóż, ten chłopiec chyba rzeczywiście wyglądał na młodszego niż Dooley, mimo to... Jakie to dziwne.

Podniósł się z ławki.

— Będę się zbierał, Hélène. Ten pieczony kurczak, który przyniosłaś, był bardzo dobry, naprawdę. *Très...* — zawahał się — *bon! Oui, très bon!*

Jaki okropny był jego francuski. Na dodatek zawstydził siebie i swoją sąsiadkę.

Jej policzki oblały się rumieńcem.

— Nic się nie stało!

— *Au revoir*, w takim razie! — odparł, machając ręką na pożegnanie.

— *À bientôt*, ojcze! Dziękuję za odwiedziny, proszę zajrzeć ponownie!

Poczłapał do domu i usiadł na sofie, dysząc. Powinien wyrzucić tę przeklętą sofę z domu, zamknąć ją pod kluczem, do chwili gdy sprawy będą się miały lepiej. Serce biło mu mocno.

— Wody — rzucił, gdy do pokoju weszła Puny.

— Wpędzi mnie ojciec do grobu! — zawołała z przerażeniem.

Pospieszyła do kuchni i przyniosła mu szklankę wody, którą wypił od razu.

— Smaczna. Dokładnie to, co zalecił lekarz.

— Ojcze.

— Tak?

— Nie zniosłabym, gdyby się ojcu coś stało.

Łzy popłynęły nagle po jej policzkach.

— No cóż, Puny, jakie to zadziwiające — dokładnie tak samo myślę o tobie.

Roześmiała się i wytarła oczy w fartuch.

— Czy dobrze się ojciec czuje?

— Doskonale. Naprawdę.

— Ostatnio nie był ojciec sobą.

— A kim byłem, jak myślisz?

Zachichotała.

— Kimś smutnym i zrzędlwym.

— Aha.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

— Cynthia kocha ojca ponad wszystko, zrobiłaby dla ojca wszystko, i ja też, i tak samo dziewczynki, kochają swojego dziadka.

— Ich dziadek też je kocha.

— Nie może ojciec umrzeć — stwierdziła w końcu ze spokojem.

— Z pewnością nie!

— Czy zamierza ojciec wrócić do formy?

— No pewnie.

— Dobrze! — odparła. — Mam nadzieję, że nie każe nam ojciec długo czekać!

Dooley w drogerii w Holding... Ta myśl zrodziła się w jego głowie bardzo wolno, podczas gdy powinna była porazić go niczym piorun.

Szybko wcisnął klawisze telefonu, chodząc nerwowo po pokoju.

— *Bonjour!*

— Hélène, Tim Kavanagh. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w lekcji.

— Ależ skąd, ojczu. Dwóch uczniów nie przyszło, ponieważ są przeziębieni. Pierwszą lekcję mam dopiero o czwartej trzydzięci.

— Gdzie jest drogeria w Holding?

— Są dwie. Ja chodzę najczęściej do tej na Main Street, można tam dostać specjalny rodzaj cukierków, który lubi moja mama.

Nigdy nie był na Main Street w Holding; zawsze chodził do centrum handlowego na obwodnicy, tak jak cała reszta ludzkości.

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, jak się tam dostać?

— Obecnie jest się tam bardzo trudno dostać, odnawiają pomnik na skwerze i ulice są trochę... — zastanawiała się przez chwilę nad odpowiednim słowem — w nieładzie. Rozkopane.

— Aha.

Będzie musiał znaleźć kogoś, kto go zawiezie; wiedział, że nie będzie w stanie podołać tej wyprawie samodzielnie. Zadzwoi do Bucka. Po namyśle jednak nie chciał rozbudzać fałszywych nadziei; i z pewnością nie mógł poprosić George'a, który właśnie zaczynał pracę w księgarni i pracę na pół etatu u Lew Boyda.

— Pojadę tam, jeśli uda mi się znaleźć kogoś, kto... Wydaje mi się, że jest trochę zbyt wcześnie, żebym pojechał sam.

— Zawiozę ojca!

— Ależ nie, skądże znowu, nie mogę cię prosić o taką przysługę...

— Ale ojciec mnie nie prosi — odparła najwyraźniej zachwycona perspektywą wyjazdu. — Sama proponuję! To wielki zaszczyt móc coś zrobić dla ojca, osoby, która tak wiele zrobiła dla mnie.

— Ależ, Hélène...

— Kiedy chciałby ojciec wyjechać? Zastanowił się przez chwilę.

— Czy moglibyśmy od razu?

— *Je serai devant votre maison dans cinq minutes!*

— Przepraszam?

— Będę u ojca za pięć minut. Pięć minut!

— Dziękuję! — odparł.

Hélène jednak już odłożyła słuchawkę.

Wujaszek Billy Watson stał przed lustrem umieszczonym na drzwiczkach szafki na lekarstwa w łazience i mówił na głos do swojego odbicia:

— No cóż, jeden gość dostał papugę na swoje urodziny, wiecie.

Zajrzał do almanachu, który trzymał w ręce, ale jego drżąca dłoń sprawiała, że słowa tańczyły mu przed oczami. Człowieka może rozboleć głowa, gdy próbuje czytać słowa, które tańczą jak opętane.

— Spokój! — polecił.

Stwierdził ze zdziwieniem, że jego dłoń go posłuchała. Poprawił okulary, przysunął gazetę bliżej do światła nad szafką i mrużąc oczy, spojrzął na kolejną linijkę.

— Była to dorosła papuga, pełna złośliwości, a na dodatek wyrażała się w skandaliczny sposób. Jej co drugie słowo sprawiało, że człowiekowi cierpła skóra. Oczywiście, ten gość próbował to zmienić, wiecie, cały czas wyrażał się bardzo uprzejmie, puszczał spokojną muzykę z radia, robił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, żeby dać jej dobry przykład, ale nic nie działało.

Wujaszek Billy położył almanach na zbiorniku toalety, zacisnął powieki i powtórzył z pamięci to, co właśnie przeczytał na głos. Wydawało mu się, że wyszło mu to całkiem niezłe; wziął almanach i poprawił okulary sklezione na łączeniu taśmą klejącą. Złamały się w tym miejscu na dwie połówki kilka miesięcy temu.

— Pewnego dnia tak bardzo się wściekł, że chwycił ptaka i potrząsał nim tak, że aż kłapał mu dziób. Ojej, to dopiero rozwścieczyło papugę. Zaczęła przeklinać gościa na wszystkie możliwe sposoby, używając słów jeszcze gorszych niż do tej pory. No więc, gość chwycił papugę i włożył ją do zamrażarki i zamknął drzwi. O tak! Usłyszał, jak papuga skrzeczy, kopie, krzyczy i nie wiadomo co jeszcze. Potem w środku zapadła całkowita cisza. Facet przestraszył się, że stracił papugę, otworzył więc drzwi do zamrażarki i wyobraźcie sobie, że ptak, gdy wydostał się na zewnątrz, przemówił następującymi słowami: „Bardzo przepraszam, jeśli obraziłam cię swoimi słowami i tak dalej, i bardzo proszę o wybaczenie. Od tej pory obiecuję zdecydowaną poprawę”. Już miał zapytać, co spowodowało tak wielką zmianę, gdy papuga odezwała się: „A jeśli chodzi o tego kurczaka w zamrażarce — czy mogę spytać, co on takiego zrobił?”.

Na Jowisza, to powinno zadziałać, jeśli przeciwczy dowcip wystarczająco wiele razy. Miał nadzieję, że rozśmieszy kaznodzieję, to jest najważniejsze. W całym swoim życiu nie widział, żeby ktoś wyglądał tak smutno, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Dałby wiele, żeby móc opowiedzieć ten dowcip Rose Watson i poznać jej opinię, ale Rose nigdy nie śmiała się z jego dowcipów, o nie, nigdy.

Zauważył, że jego prawa dłoń zaczęła ponownie drżeć. Włożył ją do kieszeni i wyszedł na korytarz z laską w drugiej dłoni, nucąc cicho. Była to piosenka, której nauczyła go matka, kiedy był jeszcze chłopcem; często nucił albo śpiewał kilka słów *Redwinga*, gdy był szczęśliwy.

Jazda samochodem z Héléne Pringle sprawiała, że lot z Omerem Cunninghamem zdawał się herbatką wydaną przez Bractwo Ołtarzowe.

Zamknął oczy, nie mogąc na to patrzeć. Héléne posuwała się w dół krętej górskiej drogi niczym wystrzelona kula armatnia. Jeśli jego krew była tak zastana jak koryto rzeki przez kilka ostatnich tygodni, teraz pędziła jak zasykana przez pompę. Co gorsza, Héléne była najwyraźniej niezdolna prowadzić samochód i jednocześnie mówić po angielsku. Jakby tego było mało, była dokładnie wzrostu Sadie Baxter i kierownica nieomal zupełnie przesłaniała jej pole widzenia.

— Kocham te górskie drogi, sprawiają, że czuję się taka wolna! *Je n'ai jamais de la vie été plus heureuse nulle part ailleurs que je ne le suis ici dans ces montagnes.* Ojciec zapewne myśli tak samo, mieszka tu ojciec od tak wielu lat. *Ça par exemple! Regardez les nuages audessus de ce pic là!*

— Hélène — zaczął łamiącym się głosem — czy mogłabyś zwolnić? Odrobinę?

Zaakcentował słowo „odrobinę”, ponieważ nie chciał jej obrazić.

— Oczywiście, ojcie, ale mój prędkościomierz pokazuje zaledwie osiemdziesiąt osiem kilometrów na godzinę.

— Lepiej zaprowadź swój samochód do Harleya, żeby go przegładnął, wydaje mi się, że jedziemy co najmniej... sto dziesięć.

Prędeży sto trzydzieści, ale po co być nieuprzejmym.

— Sto dziesięć? Ale ten samochód nigdy nie zdołał tyle wyciągnąć.

Zamknął oczy i zaczął się modlić.

— Jak wygląda? — zapytał aptekarz.

Ojciec Tim sięgnął po portfel, podczas gdy Hélène próbowała opisać chłopca.

— Wysoki, bardzo szczupły. Ma piegi. Rude włosy. Dość... brudny.

— Proszę — powiedział ojciec Tim, pokazując zdjęcie Dooleya. — Wygląda mniej więcej tak.

Aptekarz spojrział z dezaprobatą.

— Musicie mówić o Sammym Barlowe. Przyłapaliśmy go, jak próbował wypchać sobie kieszenie spodni cukierkami, ale nikomu nigdy nie udało się znaleźć niczego przy nim.

Serce ojca Tima było jak oszalałe. Rozejrzał się w poszukiwaniu krzesła, czegoś, na czym mógłby usiąść na chwilę...

— Gdzie mieszka?

— Bóg raczy wiedzieć. Gdzieś z tym starszym mężczyzną, który jest największym pijakiem, jaki chodził po tej ziemi. Dlaczego szukacie tego chłopca? Widzę, że jest pan duchownym.

— Tak, no cóż... to rodzina. — Ojciec Tim zamyślił się na chwilę. — To rodzina.

Aptekarz uniósł brwi.

— Możecie zapytać w klubie bilardowym. Musicie dojść na róg, przejść przez ulicę i będzie po lewej stronie.

Wyszli szybko z drogerii, żegnani przez dźwięk dzwonka na drzwiach, i pośpieszyli na róg, gdzie stanęli, czekając, aż zmieni się światło.

Oddychał szybko, głowę miał tak lekką, jakby napił się szampana.

— Hélène, to może być ślepa uliczka. Ale musisz wiedzieć, jakie to strasznie, strasznie ważne, żebyśmy zrobili to... co robimy. Czy modlisz się?

— Właśnie zaczęłam! — odparła zachwycona perspektywą, że może to być dla niego jakaś pomocą.

— Módl się w takim razie. Jest bardzo możliwe, że odnalazłaś brata Dooleya.

Łzy napłynęły jej do oczu.

— Ach! — westchnęła, z trudem łapiąc powietrze. — Ach!

— To na pewno nie jest Sammy Barlowe — odparł właściciel klubu bilardowego.

Zaciągnął się mocno resztką papierosa, upuścił peta na cementową podłogę i przydepnął.

— Ten chłopak wygląda, jakby żył w wielkim stylu. Wypuścił z ust okazały obłok dymu.

— Zgadza się. Chodzi mi o to, czy Sammy wygląda tak jak ten chłopiec? Czy widać duże podobieństwo?

— O tak. Tak myślę. Dlaczego to was interesuje?

— Chciałbym się z nim skontaktować.

— Czy odziedziczył jakiś majątek? — Mężczyzna zachichotał. Dwóch pozostałych mężczyzn przerwało grę w bilard i słuchało ich rozmowy.

— Nic takiego. Może mógłby pan nam powiedzieć, gdzie on mieszka.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo to nie jest wasza sprawa, dlatego.

— Jestem jego krewnym — odparł, jakby to wszystko zmieniało.

Mężczyzna uśmiechnął się pogardliwie.

— Jest pan księdzem.

— Księża mają rodziny! — rzuciła z oburzeniem Hélène.

— Mówcie sobie, co chcecie, i tak nic wam nie powiem. Mężczyzna przeszedł przez salę, wszedł do pomieszczenia z napisem „Biuro” i zatrzasnął za sobą drzwi. Radio grato, przeskakując pomiędzy dwiema stacjami country. Jeden z grających w bilard podszedł do ojca Tima i uściśnął mu dłoń.

— Jak bardzo zależy wam, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka Sammy?

— Bardzo — odparł ojciec Tim.

— Pink Shuford.

— Pink — powtórzył ojciec Tim, ściskając mu dłoń. — Tim Kavanagh. A to jest panna Pringle.

Hélène schowała ręce za plecami.

— *Bonjour.*

Ojcu Timowi wydawało się, że usłyszał drzenie w jej głosie.

— Imię otrzymałem po moim pradziadku, Pinckneyu.

— Szacowne stare południowe nazwisko.

— To jest Skin Head Bug Eye Snaggle Tooth Austin, w skrócie może go ojciec nazywać Bug.

Ojciec Tim kiwnął głową w stronę Buga, który mrugnął, ale nie odwzajemnił powitania.

— Czy grał kiedyś ojciec w bilard? — chciał wiedzieć Pink Shuford.

Na lewym przedramieniu miał tatuaż w kształcie węża wijącego się od nadgarstka do łokcia.

— Raz czy dwa. Byłbym wdzięczny, gdybym mógł się dowiedzieć, gdzie mogę znaleźć Sammy'ego.

Pink podszedł z powrotem do stołu, pochylił się nad nim z kijem i uderzył. Kule stuknęły o siebie i potoczyły się w dwóch kierunkach. Kula numer siedem wpadła do kieszeni na rogu.

— Domyślam się, że nie grał ojciec na tyle często, żeby docenić doskonałość tego uderzenia.

— Nie, nie grałem — zgodził się ojciec Tim.

— Siódemka w kieszeni na rogu. W większości klubów dostałbym za to niezłą gotówkę.

— Co chciałbyś w zamian za to, że powiesz nam, gdzie możemy znaleźć Sammy'ego?

— No cóż, niech no się zastanowię. — Pink podrapał się w głowę i spojrział w sufit. — Niech no się zastanowię, no tak.

Woń tytoniu i kwaśnego piwa przenikała pomieszczenie; wiatrak pod sufitem wolno obracał się nad ich głowami. Pink Shuford spojrzał na ojca Tima i uśmiechnął się nagle.

— A co powie ojciec na...

Kula Buga wylądowała w bocznej kieszeni. Pink spojrzał na stół, zaznaczył kredą koniec swojego kija, pochylił się nad krawędzią stołu i odpowiedział na uderzenie.

— Kula numer osiem w narożnej kieszeni, tylko się nie rozplacz — rzucił Pink.

Bug przeklął.

— A teraz — zaczął Pink — wracając do interesów. Co powie ojciec na pięćdziesiąt dolców?

Ojciec Tim wyjął portfel i przeliczył banknoty. Dwadzieścia, trzydzieści, trzydzieści pięć, sześć, siedem, osiem... Poczul struzkę potu na plecach. Cała ta sytuacja pachniała kryminałem; chciał się stąd wydostać. Hélène już przesuwała się w stronę drzwi.

— Trzydzieści osiem — zaproponował ojciec Tim.

— Zgoda.

Pink podszedł do niego szybko i wziął pieniądze. Wepchnął je do kieszeni dzinsów.

— Jedźcie za mną i Bugiem. Jestem tą niebieską półciązarówką Chevy, która stoi przed budynkiem.

— Może moglibyście powiedzieć nam po prostu, jak tam dojechać.

— Nie znajdziecie tego miejsca bez pomocy. Nie było odwrotu.

— Stoimy przed drogerią.

— Szary dodge sedan — powiedziała Héléne głosem, w którym nadal można było wyczuć drżenie.

— Jak daleko, myślicie, może być do... do miejsca, do którego jedziemy?

Pink Shuford wyjął papierosa z paczki lucky strike'ów, która znajdowała się w kieszeni jego koszuli.

— Może szesnaście, dziewiętnaście kilometrów. — Zapalił papierosa zapalką, zaciągnął się głęboko i spojrzał na Héléne, uśmiechając się. — Mam nadzieję, że ma pani dobre resory.

Ojciec Tim zdążył ubiec ją w drodze do samochodu i śpiesząc na stronę kierowcy, chwycił za klamkę.

— Chętnie poprowadzę!

— Ależ nie, ojczu! Jest coś nie tak z hamulcami, muszę naciskać je w szczególny sposób, bo jeśli nie, to...

— To... co?

— To nie działają zbyt dobrze. Proszę wsiąść, zrelaksować się i zostawić prowadzenie samochodu mnie!

Zrelaksować się? Zrelaksować? Wyjął chusteczkę i otarł czoło, następnie wsiadł do samochodu i przeżegnał się. Otaczaj nas swoją czułą opieką, modlił się po cichu. Chroń nas od wszelkiego niebezpieczeństwa; i doprowadź nas bezpiecznie do kresu podróży; przez Jezusa Chrystusa Pana naszego, amen.

Hélène uruchomiła z hukiem samochód.

— Tak bardzo się cieszę, że się ojciec modli — rzuciła radośnie.

Pick-up najwyraźniej nie zwolnił przed zakrętem. Héléne dodała gazu i równie szybko ruszyli za nimi.

— *Mon Dieu!* — jęknęła Héléne. — Jakże się spieszą. My jedziemy osiemdziesiątką.

Setką, pomyślał, sparaliżowany strachem. Ale dlaczego miałby się tym martwić? Czyż nie wierzy, że Bóg wyznaczył dla każdego odpowiedni czas? Jeśli tak, to trudno; jest gotowy. Tyle tylko, że wolałyby pójść do domu Pana w jakiś inny sposób, na przykład we śnie, z uśmiechem na twarzy...



Dokuczało mu straszne, dojmujące pragnienie. Poczuł je, gdy ruszali spod drogerii w Holding. Nie tylko, że wyszedł z domu bez butelki wody, ale zdał sobie również sprawę, że zupełnie zapomniał o swoim porannym zastrzyku insuliny.

Na twarzy Héléne malował się wyraźny dyskomfort, nie wspominając o tym, że była blada jak ściana, jak powiedziałaaby jego mama.

— Czy... dobrze się czujesz?

— Bardzo mi niezręcznie o tym mówić, ojcze...

— Mnie możesz powiedzieć.

Przyglądał się, jak zмага się z jakąś głęboką prawdą.

— Chciałabym być delikatna, ale...

Zakręcili gwałtownie na kolejnym wirażu i pędzili teraz w dół pod ostrym kątem, otoczeni kłębem dymu, który unosił się za półciężarówką.

— ...muszę natychmiast znaleźć... znaleźć toaletę!

Wydawało mu się, że zaraz z upokorzenia wybuchnie łzami.

— A ja muszę znaleźć wodę! — zawołał równie zrozpaczony.

Nie wyglądało to najlepiej, o nie. Znajdowali się w sosnowym lesie, a w polu widzenia nie było żadnych zabudowań. Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że nie natkną się na inny pojazd, ponieważ droga była przystosowana do przejazdu tylko jednego samochodu. W co ich wpakował? Poczuł się nagle odpowiedzialny za Héléne Pringle, niewinnego świadka. Minęli opuszczoną przyczepę campingową.

— Jest jeszcze coś, co powinnam ojcu powiedzieć — dodała. — Coś dużo gorszego.

— Co takiego?

— Wskaźnik poziomu paliwa pokazuje, że mamy pół baku benzyny, ale ten wskaźnik nie działa prawidłowo, W rzeczywistości jest mniej niż jedna czwarta.

— Aha.

— Wyruszyliśmy w takim pośpiechu, że zapomniałam sprawdzić, ale jestem pewna, że mamy dość, żeby wrócić do miasta...

Jej głos urwał się, a potem zanikł zupełnie. Panie Boże, miej litość...

— Jestem pewna — powtórzyła, kaszląc od kurzu, który dostał się do wnętrza samochodu. — *J'en suis désolée, mon père! Pardonnez-moi. J'espère que je ne nous ai pas attiré des ennuis.*

Nie miał pojęcia, co mówi, ale jej niepokój był oczywisty.

— Możemy zawrócić i pojechać z powrotem! — wykrzyknął, pragnąc ją pocieszyć.

— *Non, non!* Nie możemy tego zrobić! To jest bardzo ważne dla ojca szczęścia, dla szczęścia drogiego Dooleya! Musimy jechać dalej i spróbować, czy nam się uda. — Odwróciła się i spojrzała na niego błagalnie. — Ojciec niech się modli, a ja będę prowadzić!

Droga była niczym tarka; wydawało mu się, że jego wnętrzności mogą się przemieścić w dziwny sposób, jego wątroba na miejsce nerki, jego serce do gardła...

Jechali za niebieską półciężarówką, skręcając ostro w lewo na nieoznakowaną piaszczystą drogę usianą dziurami; usłyszał, jak rura wydechowa ociera się o kamień, potem o jeszcze jeden. Droga nie była wiele lepsza niż wyschnięte dno strumienia.

Nagle zdał sobie sprawę, że półciężarówka zniknęła.

— Gdzie oni pojechali?

— Nie wiem — odparła zdziwiona. — Ale dogonimy ich! Zasłonił oczy dłonią, przygotowany na wszystko.

Nie chciał tego przyznać, nawet przed samym sobą, ale kilka minut później poczuł ogromną ulgę, gdy się okazało, że półciężarówka rzeczywiście zniknęła. Hélène zwolniła i zatrzymała się na chwilę, roztrzęsiona. Miał dziwne uczucie, że przejażdżka za trzydzieści osiem dolarów skończyła się dla nich stosunkowo niegroźnie.

W całym swoim życiu nie odczuwał takiego zmęczenia; wydawało się, że całe wyczerpanie i rozpacz poprzednich tygodni zostały stłoczone w jedną wielką agonię. Powinien chyba oddać się dobrowolnie pod opiekę jakiegoś ośrodka; nie można mu było powierzyć zadania opieki nad samym sobą. Być może głęboko w nim tkwiło jakieś pragnienie śmierci, którego nigdy nie udało mu się wykorzenić, które ukrywał przed Bogiem i nigdy nie pozwolił Mu go dotknąć.

W drodze do domu zatrzymali się, żeby skorzystać z toalety, zatankować paliwo i coś zjeść. Siedział w samochodzie na stacji jak inwalida, podczas gdy Hélène tankowała paliwo, kupowała im napoje i dwie paczki fritos i starała się zaspokoić wszystkie jego potrzeby. Było to niesamowicie upokarzające, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdy wspinali się na górę, pił łąpczywie wodę z butelki i konsumował fritos.

Wszedł do kuchni, z trudem łapiąc oddech, zamroczony i przytrzymał się kuchennej lady. Gdy fala zmęczenia przetaczała się przez jego organizm, czuł się jak tonący pływak, którego stopę porwał zdradliwy wir. Odetchnął głęboko i potrząsnął głową, przerażony; wtedy to straszne uczucie minęło i znowu był bezpieczny, trzymając się lady i spoglądając w oczy swojego psa.

Wypuścił Barnabę do ogrodu bez smyczy, co zdarzało mu się bardzo rzadko, i podziękował Bogu za to, że jego wierny towarzysz słucha każdego polecenia swojego pana.

Teraz mógł zrobić sobie wieczorny zastrzyk i pójść do łóżka — tylko tego pragnął, niczego więcej: niczego.

Spał, gdy zadzwonił telefon; przyłożył słuchawkę do ucha.

— Proszę?

— Ach, Timothy, tak bardzo się cieszę, że cię zastałam, mówi Edith.

Edith! Czy to sen?

— Gdy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, powiedziałam, że powinnam ci podziękować, a potem, jakie to z mojej strony głupie, zapomniałam to faktycznie zrobić! Więc dziękuję ci, Timothy, dziękuję. Bóg działa zawsze dla naszego dobra, nieprawdaż? Ale nie mogę cię dłużej zatrzymywać. Wszystkiego najlepszego dla ciebie, Cynthii i tego drogiego chłopca, którego do siebie przyjąłeś! Toodlesa!

Po raz kolejny nie wiedział, o co chodzi, a ponadto czuł się prześladowany, ni mniej, ni więcej. Dlaczego Edith Mallory nie chce zostawić go w spokoju? Dlaczego nieustannie pojawia się w jego życiu? Nie cierpiał tego, że do niego wydzwania, jakby był jej starym kumplem ze szkoły, miał żarliwą nadzieję, że to się już nigdy nie powtórzy. Może nie; podziękowała mu przecież, bez względu na to, jak dziwny miała powód, i to powinno wystarczyć.

Miał nadzieję, na Boga, że to powinno wystarczyć.

Rozmowa z Cynthią nie poszła dobrze; usłyszała w jego głosie zmęczenie i chciała wszystko wiedzieć, ale on bał się jej wszystko powiedzieć.

Wiedział, że zatajanie trudnych szczegółów przed jego żoną, czy jakkolwiek żoną, nie wróży dobrze na przyszłość. Nie był jednak w stanie tego wszystkiego wytłumaczyć; było to zbyt wyczerpujące, zbyt skomplikowa-

ne, zbyt... Wydawało mu się, że całe to popołudnie było niczym sen, jakby się to nigdy nie zdarzyło. Był w innym świecie, z zamiarem spełnienia wspaniałej misji, a wrócił do domu upokorzony i pokonany. Po co w ogóle o tym mówić?

W nogach łóżka Barnaba drapał się wściekle, sprawiając, że materac drżał jakby w takt wielkiego arytmicznego bicia serca.

Nadal nie śpiąc o trzeciej nad ranem, ojciec Tim leżał w ciemnym pokoju i wyglądał przez okno w ciemność na zewnątrz. Niebo zasnuwane było chmurami, zasłaniającymi księżyc nieomal w pełni, a nieostrożny kierowca stracił lampę z ulicznego słupa dwa tygodnie temu.

Kto mógł zapewnić, że Cynthia z niego nie zrezygnuje? Prawdę powiedziawszy, on tracił siły, podczas gdy ona nabierała animuszu. Jak długo inteligentna, odnosząca sukcesy, piękna kobieta może mieć cierpliwość do mężczyzny, który nie ma w sobie żadnej pasji? Jego żona pełna była pasji, pasji we wszystkim, co robiła, dla wszystkiego, co ją czekało. Na początku stwierdziła, że jest czarującym i romantycznym mężczyzną — być może teraz zmieniła zdanie. Nie mógł jednak znieść tych myśli, te wstrętne myśli były bluźnierstwem.

— Czy jesteś tam, Boże? Czasami nie potrafię wyczuć Twojej obecności, muszę polegać tylko na wierze. Chcesz, abyśmy w życiu kierowali się wiarą, tak nam mówisz... Czyż nie żyjemy, wierząc, że słońce zajdzie, księżyc wszędzie, nasz oddech wydostanie się na zewnątrz, a potem dostanie się do środka, że nasze serca będą bić? Daj mi wiarę, Boże, abym odczuł Twoją obecność z taką pewnością, z jaką odczuwam bicie mojego serca. Czuję się tak bardzo oddalony od Ciebie...

Przypomniał sobie opowieść panny Sadie o tym, jak wpadła do nieczynnej studni, o jej przerażeniu, gdy krzyczała w ciemną letnią noc i nikt jej nie słyszał, nie będąc się w stanie poruszyć — powiedziała, że po raz pierwszy zrozumiała głębokie znaczenie modlitw, których nauczyła się na pamięć. „To ciemność — powiedziała panna Sadie — była najgorsza”.

Poczuł na twarzy gorące łzy. Zdaje się, że jego własne życie spowite jest ciemnością od kilku tygodni; pojawiła się jasna i kusząca możliwość, a potem znowu przytłaczająca ciemność. Coś zajaśniało w jego pamięci.

— Ptaki śpiewające — szepnął. — Ptaki śpiewające, tak... ptaki śpiewające uczą się śpiewać w ciemności.

Był to werset z Oswalda Chambersa, z książki, którą trzymał na stoliku przy łóżku już od wielu lat. Nie chciał jednak włączać lampy, żeby poczytać; jego oczy zdawały się zmęczone i obolałe. Przewrócił się na bok, wyciągnął szufladę szafki nocnej i wyjął latarkę. Następnie położył poduszkę Cynthii na swojej i skierował światło latarki na otwartą książkę.

Przewracał zniszczone i znajome kartki. No właśnie! Strona czterdzieści pięć, czytanie na czternastego lutego...

*Przychodzą czasy, gdy Bóg poddaje nas lekcji ciemności, żebyśmy się nauczyli Go słuchać. Śpiewające ptaki uczą się śpiewać w ciemności, a my stajemy w cieniu Bożej dłoni, aż nauczymy się Go słyszeć... Obserwuj bacznie, gdzie Bóg umieszcza cię w ciemności, a gdy już się tam znajdziesz, nic nie mów. Czy jesteś w ciemnościach właśnie teraz, w swojej sytuacji życiowej albo w swoim życiu z Bogiem? W takim razie pozostań w milczeniu... Gdy jesteś w ciemności, słuchaj, a Bóg da ci bardzo cenną wiadomość dla kogoś innego, gdy ponownie znajdziesz się w świetle.*

Latarka ześlizgnęła się na łóżko obok niego, gdy zapadł w sen, ale jego dłoń rezolutnie ścisnęła książkę, aż do wschodu.

# Rozdział dwunasty

## TAM, GDZIE SERCE TWOJE

Wujaszek Billy Watson stwierdził, że ma już dość uczenia się dowcipów z książek. Musiał przestudiować maluteńki kawałek zapisany maczkiem, następnie zamknąć oczy i powtórzyć go z pamięci, następnie przestudiować kolejną przekłętą cząstkę, i tak dalej, i dalej, aż w końcu wszystko tak zupełnie pomieszało mu się w głowie, że już sam nie wiedział, czy to jest śmieszne. Nie zaśmiał się ani razu z tego dowcipu o papudze, dlaczego więc uważał, że uda mu się rozśmieszyć kaznodzieję?

— Gdzie się wybierasz? — zapytała stanowczo jego żona.

— Wychodzę do mojego cholernego ogrodu! — odparł, stąpając sztywno w kierunku drzwi.

— Ta zupa jest ugotowana i gotowa do zjedzenia!

— Jest za gorąco na zupę! — odparł, wściekły na życie ogółem. — Człowiek nie powinien musieć jeść zupy, gdy temperatura sięga trzydziestu stopni w cieniu!

— Człowiek powinien jeść, co mu dają, i być zadowolony, że to dostaje!

Pomyślał, że Rose Watson jest najpodlej wyglądającą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, gdy tak stoi z założonymi rękami i patrzy na niego gniewnie, miażdżąc go spojrzeniem. Czasami myślał, że jego żonie nic nie dolega. Była niesamowicie inteligentna i w dwójnasób twarda; jej choroba była jedynie czymś, co wykorzystywała, żeby zwrócić na siebie uwagę i żeby człowiek zamartwiał się na śmierć.

— Nie ma spoczynku dla potępionych, a prawi go nie potrzebują — wymamrotał pod nosem.

Puścił drzwi z siatką, tak że za nim trzasnęły, nawet jeśli trzaskanie drzwiami nie było tolerowane w jego domu, i zszedł po tylnych schodach, opierając się na lasce.

Wszystko mu jedno, czy będzie na niego krzyczała aż do utraty tchu, idzie w swoje ulubione miejsce, żeby usiąść na krześle i przyglądać się, jak kielkują jego rośliny. Wymyśli swój własny dowcip, na Jowisza — człowiek, który przeżył ponad osiemdziesiąt lat, powinien mieć dość cholernego rozumu, żeby wymyślić swój własny dowcip.

Leżeli w łóżku zwróceniu do siebie twarzami; wzeszedł księżyc, jasny, w pełni, oświetlając pokój.

— Ten wyjazd był dla ciebie dobry — powiedział, wodząc koniuszkami palców po brzegu jej ucha.

— Tak. Był. Ale jeszcze lepiej dla mnie jest być w domu.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę.

Pocałował ją, niespiesznie.

— Myślę, że jesteś zadowolony, że wróciłam do domu.

— Amen! Uśmiechnęła się.

— Dom jest tam, gdzie serce twoje.

Przyłożyła dłoń do jego policzka i pocałowała go; poczuł wzbierającą w nim powolną falę ciepła.

Nie był tak słaby i stary, jak mu się wydawało. Nie, w istocie, nie był wcale ani stary, ani słaby.

Hope Winchester siedziała na taborecie przy kasie w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, nie mając odwagi podnieść wzroku znad książki, którą czytała. Zupełnie nie rozumiała słów; zdawały się zlewać ze sobą, tworząc rodzaj drukarskiego trzęsawiska. W jakie tarapaty się wpakowała; dokładała wszelkich starań, żeby wyglądać na pogrążoną w lekturze *Jim the Boy*, nad którym tak zachwycał się „New York Times”, ale jej uwaga skupiała się na kancelarii.

To było nieomal ponad jej siły, że drzwi do kancelarii, oddalonej zaledwie o ponad metr od kasy, były częściowo otwarte; od czasu do czasu widziała go, jak podchodzi do półek i zdejmuje z nich książkę. Była zafascynowana jego dłońmi — jego długimi, zwężającymi się palcami, które zdawały się ujmować rzeczy z wrażliwością i celowością.

Usiłowała zapomnieć, że tymi samymi palcami odkręcił miskę olejową samochodu i ukradł klejnoty przyjaciela, które, jak się okazało, zostały skradzione z muzeum w Wielkiej Brytanii. Ale to był zamknięty rozdział, to była przeszłość; odbył zasłużoną karę i był przemiły, i bardzo poważny, i uprzejmy, i kochał książki, tak bardzo jak ona.

Pomyślała, że pewnie mogłaby znosić jego bliskość z większym spokojem, gdyby nie kochał książek albo gdyby nie był taki przystojny. Nigdy nie przebywała z przystojnymi mężczyznami i fakt, że jeden z nich pracował w sąsiednim pokoju i wymawiał jej imię, i od czasu do czasu przynosił jej rano kawę, był... Usiłowała znaleźć właściwe słowa, żeby to wyrazić. To było jakby bolesne, zdawało się nie do zniesienia, mieć go tak blisko i odczuwać taką mieszaninę emocji i nie móc śmiać się i rozmawiać, i zajmować się normalnie swoim życiem, a jedynie siedzieć na taborecie, sparaliżowana tęsknotą i strachem, i stwarzaniem pozorów, usiłując czytać słowa, które wcale nie wchodziły jej do głowy.

— Proszę pani?

George Gaynor stał w otwartych drzwiach, oddalony od niej zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów, uśmiechając się. Miał na sobie dżinsową koszulę, w kolorze oczu; jedynie z największym trudem zdołała się odezwać.

— Tak?

— Czy mogłaby pani pomóc mi wprowadzić to zamówienie — różni się od wszystkich pozostałych.

Miała ochotę umrzeć na miejscu i mieć to za sobą, a nie cierpieć tak okrutnie.

— Oczywiście — odparła, ześlizgując się z taboretu.

Książka spadła na podłogę, a ona pochyliła się, żeby ją podnieść. Spojrzała na niego, kładąc ją na ladzie, i zauważyła, że on się uśmiecha.

— Wiesz, jak potoczyły się kilka razy sprawy przez te ostatnie kilka lat — wyjaśniał Buckowi przez telefon. — Przeżyliśmy wiele rozczarowań. Może nie powinniśmy nic mówić na razie Pauline i dzieciom... ani Dooleyowi... ale Sammy jest w Holding.

Usłyszał ostro wciągnięte powietrze.

— Jakie są okoliczności?

— Mieszka ze swoim ojcem, nie wiem gdzie. Ktoś miał mnie poprowadzić tam samochodem, ale okazało się, że zabrali nas jedynie na przejażdżkę.

— Zajrzę do ojca jutro wieczorem, w drodze do domu, jeśli to ojcu odpowiada. Muszę zabrać dzisiaj Poo i Jessie na mecz, obiecałem im.

— Na jutro wieczorem mam zaplanowane pewne bardzo istotne wydarzenie. A może zobaczymy się rano — najlepiej w barze Grill — czy mógłbyś tam być, powiedzmy, tak o ósmej trzydzieści?

— Załatwione — odparł Buck.

Jak na człowieka, który przestraszył go kiedyś na śmierć, pomijając fakt, że doprowadził go do wściekłości, Buck Leeper był teraz nieomal źródłem pocieszenia. Jeśli był ktoś, kogo chciał mieć u swojego boku, gdy będzie stawiał czoło Clyde'owi Barlowe'owi, to był nim właśnie Buck Leeper.

Powinien podzielić się z żoną nowinami o Sammym. Ale opowiedzenie wszystkiego od początku i wyjaśnienie okoliczności wymagałoby zbyt wiele energii. Poczekaj. Czuł się dzisiaj dużo silniejszy niż przez wiele poprzednich dni, ale każda czynność wymagała od niego mnóstwo wysiłku — przyniesienie gazety, rozmowa z Harleyem, spacer z psem na koniec ogrodu, każda najdrobniejsza rzecz. Opowie jej po tym, jak porozmawia z Buckiem, gdy obmyślą plan. Była przecież taka dobra w układaniu planów. Będzie mógł go opowiedzieć i zapytać o jej zdanie, to zawsze było dobrym pomysłem.

— Tim, mówi twój brat w Chrystusie!

— Bill.

— Nigdy nie zgadniesz, co się stało!

— Nie, w rzeczy samej. Co takiego?

— Dobry Bóg zesłał mi psa.

— Nie mówisz poważnie...

— Trochę się pośpieszył, nie spodziewałem się nowego psa tak szybko, ale to on, to ten. Chcę, żebyś go zobaczył, Tim, jest taki zabawny! Czy już wychodzisz z domu?

— Byłem u fryzjera i wybrałem się na małą... przejażdżkę. Chciałbym cię odwiedzić. Kiedy byłby odpowiedni moment?

— W każdej chwili. Po prostu przyjdź.

— Czy dałeś mu już imię?

— Buddy.

— Buddy. Dobre imię. Jestem pewien, że spełni pokładane w nim oczekiwania.

— Chodzi na boki.

— To wymaga pewnej umiejętności. Ile ma lat, jak myślisz?

— Pięć, może sześć. Jeden z moich parafian znalazł go w rowie, bez obroży, skóra i kości. Rozmawiałem o tym ze Sparkym wczoraj wieczorem, Sparky powiedział, że się zgadza, żeby pozwolić mu... — głos Billa załamał się, ale tylko na chwilę — żeby pozwolić mu spać na jego posłaniu w kącie naszej sypialni.

— Tak się cieszę, Bill.

— Czy dobrze sobie radzisz?

— Bóg jest wielki, odzyskuję siły — odparł ojciec Tim. — A ty, mój przyjacielu?

— Nie mogę narzekać!

— Cóż, jeśli ty nie możesz narzekać, to wszyscy inni tym bardziej. Może przyniosę tobie i Rachel parę ciastek owocowych?

— Nie, proszę ojca, Hoppy powiedział, żebym odstawił cukier.

— Wszystkim to mówi. Te pyszności są bez cukru.

— W takim razie przynieś je, bracie — zgodził się Bill Sprouse, śmiejąc się.

Ojciec Tim poczuł ogromną ulgę, jakby z serca spadł mu ogromny kamień. Bill Sprouse ma psa! Bill Sprouse się śmieje. Bóg rzeczywiście jest wielki.

Idąc w odwiedziny na górze, oprócz ciastek zabierze torebkę psich smakołyków.

Stwierdził, że nigdy wcześniej nie jechał do baru Grill samochodem; zawsze szedł na piechotę, bez względu na pogodę.

Czując się jak typowy przedstawiciel współczesnego społeczeństwa, wycofał mustanga z garażu, żeby przejechać dwie przecznice. Oszczędzał energię, która będzie mu potrzebna, żeby pójść na spacer, oszczędzał ją dla niej.

— Nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Percy wytarł ręce w ścierkę zatkniętą za pasek i podszedł do tylnego boksu.

— A myślałem, że jesteś już stracony dla ludzkości.

— Jestem z powrotem i nigdy nie czułem się lepiej. Wspaniale cię widzieć, przyjacielu. Gdzie jest Velma?

— W toalecie, zdejmuje wałki z głowy.

— Aha.

— Nie wyjąłem ani jednego jajka z wody, odkąd byłeś tu ostatni raz.

— Zobaczmy, czy nie wyszedłeś z wprawy! Poproszę dwa jajka z wody na chlebie pełnoziarnistym, to, co zwykle.

Podsunał swój kubek Percy'emu, który go napełnił kawą.

— Z tobą to same problemy — rzucił Percy, udając niezadowolenie, ale wyraźnie zadowolony. — Chcesz do tego odrobinę bekonu? Kaszę?

— Kantalup. Miałem ogromną ochotę na kantalupa.

— Pokrojonego w plastry czy w kostkę?

— Mam wybór?

— Nie, żartowałem, mamy tylko plastry.

— Nie chcę niczego więcej — odparł ojciec Tim, uśmiechając się.

— Mam coś na zapleczu, na twoje nazwisko. Przyszło wczoraj, pocztą UPS.

— Dobrze. Odbiorę przed wyjściem. Myślę, że spędzę trochę czasu z Mule'em i J.C., potem spotkam się tutaj z Buckiem Leeperem około ósmej trzydzieści.

— No cóż, klub indyków nie był ten sam, od kiedy ciebie zabrakło.

— Klub indyków?

— Tak Velma nazwała stałych klientów z tylnego boksu.

— Bardzo wymowna nazwa. No to jakie są najświeższe plotki albo skandale? Co mnie ominęło?

J.C. wślizgnął się do boksu, ze swoją wypchaną teczką z rozsuniętym zamkiem.

— Wszystkie skandale i plotki zostały należycie odnotowane w „Mitford Muse”. Jeśli coś nie zostało odnotowane, to znaczy, że się nie zdarzyło.

Wydawca podsunał mu przez stół egzemplarz gazety.

— Jeszcze pachnie farbą drukarską, wszystkie nowości, które nadają się do opublikowania, wychodzą na światło dzienne w tej gazecie. Należy się pięćdziesiąt centów.

— Pięćdziesiąt centów? — zdziwił się ojciec Tim.

— Cena papieru poszła w górę, cena tuszu poszła w górę, koszty dystrybucji poszły w górę...

Percy napełnił kubek J.C., marszcząc czoło.

— Jakość poszła w dół...

— Trzeba z czegoś żyć — wyjaśnił J.C. Wyciągnął z kieszeni pomietą chusteczkę, rozwinął ją i otarł czoło.

— Otrzymujesz tutaj wiadomości warte dziesięć centów za cenę pół dolara — też mi interes.

— Skoro jesteś taki mądry — rzucił gniewnie J.C. — to poproszę bułkę z kielbasą wartą ćwierć dolara za cenę jednego dolara, ze smażonymi ziemniakami wartymi dwadzieścia centów za cenę jednego dolara siedemdziesiąt pięć centów.

— Indyk — mruknął Percy, idąc do grilla.

— Noto popatrz na pierwszą stronę — zachęcił go J.C.

Była tam jego żona, Cynthia, nieomal naturalnej wielkości, a w okienku dodatkowo znajdowało się zdjęcie medalu Davant. Na tym zdjęciu zdecydowanie nie wyglądała zbyt korzystnie, o nie, w jej wydawnictwie polecają głowy za udostępnienie tego zdjęcia...

— Przeczytaj nagłówek — rzucił J.C. — Ja go napisałem, zawsze sam piszę ważne rzeczy, nigdy nie zlecam ważnych rzeczy.

— Nie żartuj.

— Tak, nie wiedziałem, czy powinienem powiedzieć „miejskowa” czy „światowej sławy”. Wydawało mi się, że „miejskowa” brzmi bardziej...

— Zwiększa sprzedaż — rzucił ojciec Tim, usiłując być pomocnym.

— Potem wydawało mi się, że „uhonorowana” jest trochę zbyt wielkim słowem jak na lokalną gazetę w małym miasteczku...

— Zgadza się.

— Ale doszedłem do wniosku, że nauczenie się nowego słowa może mieć walory edukacyjne.

— Dobrze myślisz.

Dlaczego to właśnie on miałby być tym, kto zwraca uwagę na pisownię w głośnym nagłówku?

— Patrz, napisałem tam o zaproszeniu, jakie otrzymała na tournée po całym kraju z tym programem do walki z analfabetyzmem. Była o tym mowa w liście, który przysłał jej wydawca.

— Bardzo dokładna relacja. Ale Cynthia nie pojedzie na to tournée.

— Pozwólcie, że się do was dosiadę i wypiję odrobinę kawy, zanim rozstąpią się niebiosa! — Mule Skinner opadł na siedzenie obok ojca Tima.

— Dlaczego miałyby się rozstąpić niebiosa? — zdziwił się J.C.

— Bo ojciec jest tutaj, idioto.

— Ach — powiedział J.C.

Mimo że nie było go zaledwie kilka tygodni, ojciec Tim miał wrażenie, jakby był nieobecny kilka lat; ci faceci wyglądali... jakby inaczej. Potrwa chwilę, zanim wszystko przestanie mu się wydawać nowe i znowu zacznie być znajome.

— To co dla ciebie? — Percy zawołał znad grilla, gdzie przygotowywał bekon, kielbasę i smażone ziemniaki.

— To, co zwykle! — zawołał Mule.



— A co to niby ma być? — dopytywał się Percy. — Nie zamówiłeś tego samego dania dwa razy w przeciągu ostatnich dwudziestu lat!

— Daj mi spokój. Zaledwie w zeszłym tygodniu zamówiłem lekko ścięte jajka dwa razy pod rząd.

— A więc zamawiasz lekko ścięte jajka?

— Nie mówiłem, że to zamawiam, powiedziałem, że... Velma wypadła z toalety.

— Pozwól, że ja się tym zajmę! Wyduszę z niego to zamówienie.

J.C. schował głowę w dłoniach.

— Chociaż raz, Boże, Ty to widzisz, chociaż raz...

— Chociaż raz co?

— Chociaż raz zamówić i mieć to z głowy.

— No właśnie! — rzuciła Velma, chwytając notes na zamówienia. — Tylko szybko.

— Lekko ścięte jajka czy nie? — zastanawiał się J.C.

— Lekko ścięte, na litość boską! Biały tost! Bez masła! Dżem z winogron! Sok pomarańczowy! Smażone ziemniaki!

Wszyscy zaniemówili z wrażenia.

— Proszę bardzo, do licha! — Mule triumfował. — Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

— Nie do wiary! — wykrzyknęła Velma. — To trzeba zapisać złotymi zgłoskami. Dobrze — co to było, zaraz po soku pomarańczowym?

Mule wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Nie wiesz, co powiedziałeś?

— Nie słuchałem.

— Smażone ziemniaki — wtrącił się J.C. — Powiedział: smażone ziemniaki.

— Tak, ale może powinien wziąć kaszę. Z masłem! Dlaczego nie? Kasza z masłem, ale za to tosty bez.

— Przynieś mu smażone ziemniaki — zdecydował J.C.

Velma przewróciła oczami, zerwała kartkę z zamówieniem z notesu, nabiła ją na szpikulec na ladzie i przeszła do następnego boksu.

— Jej! — westchnął J.C., ocierając twarz.

Mule zwrócił się do ojca Tima i uśmiechnął się szeroko.

— Więc, przyjacielu, witamy z powrotem.

— Dzięki. Cieszę się, że wróciłem. Wygląda na to, że nic się nie zmieniło.

— Wszystko po staremu, wszystko po staremu — przyznał Mule.

Ojciec Tim był pewien, że Mule spojrzał na niego w dziwny sposób. Prawdę powiedziawszy, może równie dobrze wziąć byka za rogi i zmierzyć się z tym, co ludzie myślą o wypadku. Serce biło mu mocno, gdy pytał, nie chcąc w rzeczywistości poznać odpowiedzi.

— Więc, co myślisz?

— Co myślę? — zapytał Mule. — Nic nie myślę.

— Żadna strata — skomentował J.C.

Ojciec Tim poczuł zapach smażonego bekonu, usłyszał stukanie okiennego klimatyzatora, zobaczył, jak Percy kroi kantalupa...

Wcisnął się wygodnie w kąt boksu, tak jak to robił od niemal dwudziestu lat; miejsce, w którym łączyło się zielone malowane drewno, zdawało mu się nieomal domem.

— Może powinniśmy zwrócić się z tą sprawą do władz, niech opieka społeczna będzie pośrednikiem.

— Z trzema małżeństwami i problemem alkoholowym, mam serdecznie dość wszystkich pośredników — rzucił Buck. — Czasami myślę, że powinniśmy zostawić te sprawy w spokoju. Jessie była dzieckiem, gdy rozdzielono dzieci, nie pamięta Sammy'ego ani Kenny'ego, i Poo też ich prawie w ogóle nie pamięta. Sprawy się ustabilizowały, wszystko toczy się gładko.

Buck spojrział na blat stołu, a następnie na ojca Tima.

— Ale nie ma takiej możliwości, żebyśmy przestali próbować scalić tę rodzinę. Nie ma takiej możliwości.

— Jeśli się uda, czy chciałbyś, żeby Sammy zamieszkał z wami?

— Chcielibyśmy dać mu taką możliwość — odparł Buck.

— Możecie mieć z nim poważne problemy wychowawcze.

— Rozumiemy. Dużo by to dla nas znaczyło, gdybyśmy mogli być chociaż pewni, że nic mu nie jest — a jeśli będzie chciał z nami zamieszkać, gdyby udało się nam załatwić to w sądach... zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Gdy pojechałem te kilka dni temu do Holding, zrobiłem to bez zastanowienia. Nie wiem, co miałem nadzieję osiągnąć, być może po prostu chciałem go zobaczyć, przypomnieć mu o jego braciach i siostrach, przyjrzeć się, w jakich żyje warunkach — może nie byłoby go w domu, może wyprowadziłoby to w jakiś sposób z równowagi jego ojca...

— Najpierw go znajdziemy, potem się zastanowimy. Obaj mamy niezłe wyobrażenie o warunkach, w jakich żyje, a jeśli chodzi o sądy, nie umywają się one do warunków, jakie moglibyśmy mu zapewnić.

— Jesteś wspaniałą dla Jessie i Poo.

— Bycie ich tatą jest wspaniałe, nigdy nie mogłem mieć własnych dzieci... A jak pomyśleć o moich przeżyciach, to chyba najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Próbuję też wywiązać się ze swoich obowiązków wobec Dooleya, ale wiem, że on ojca traktuje jak tatę, i nie chciałbym się w to mieszać.

— W pamięci mam wryty obraz tego chłopca, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy — mały, rudowłosy z piegami, wściekły na świat, chłopiec, który wydorósł przed czasem. Nie było łatwo, ale tyle otrzymałem w zamian... i jestem wdzięczny.

— Przyznaję, naprawdę martwię się tym, co może z tego wyniknąć...

— Dooley boi się, że możemy otworzyć puszkę Pandory.

— Ale modliłem się, żebyśmy znaleźli chłopców, odkąd się pobraliśmy. Tak samo Pauline. I wiem, że ojciec też się modli.

— Modliłem się i nadal będę.

— Więc... — Buck skończył kawę i zdecydowanym ruchem postawił kubek. — Może zaplanujemy razem odpowiedni moment na wyprawę na dół? Chciałbym zacząć od początku, od Pinka Shuforda i jego przyjaciela.

— Ojciec Tim!

Odwrócił się i zobaczył ojca Talbota, który zbliżał się do niego od strony Księgarni Szczęśliwych Zakonów w swoim stroju do biegania.

— Proszę poczekać!

Nie jest łatwo, pomyślał ojciec Tim, zostać zastąpionym w Lord's Chapel przez człowieka, który mimo że jest zaledwie kilka lat od niego młodszy, ma wszystkie włosy, biega codziennie, ćwiczy, używa maszyny do wioślowania i nosi najnowsze buty Nike.

— Henry! Cieszę się, że cię widzę!

I rzeczywiście, cieszył się.

— Właśnie szedłem do kancelarii, żeby do ciebie zadzwonić — wyznał Henry Talbot, sapiąc. — Wyglądasz wspaniale, tak szczupło i zdrowo!

Prawdę powiedziawszy, był tak pozbawiony siły, że szedł prosto do domu, rezygnując z wyprawy do Cukierni Sweet Stuff po ciastka owocowe.

— Jakoś sobie radzę, dziękuję. A co u ciebie i Mary?

— Planujemy wycieczkę na Wyspy Bahama na dziesięć dni, prezent niespodzianka od dzieci na naszą rocznicę. Mam nadzieję, że będziesz mnie mógł zastąpić w Lord's Chapel w następnym tygodniu. Chwileczkę, niech no sprawdzę...

Henry Talbot wyjął z kieszeni szortów mały kalendarzyk i przewrócił kilka kartek.

— Ósmy i piętnasty. Uszczęśliwiłoby to wiele osób, śmiem twierdzić.

Lord's Chapel! Coś jak strach przeszło jego serce. Czy nie wyszedł z wprawy? Czy sobie poradzi?

— Tak! — odparł. — Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Hessie Mayhew weszła do maluteńkiego ogródka pomiędzy Collar Button i Cukiernią Sweet Stuff i stała bez ruchu przy rabacie dali, mając nadzieję, że przechodzący obok ojciec Tim jej nie zauważy.

Ścisnęła mocniej mosiężny flakon wypełniony po brzegi różami wielokwiatowymi, które ścięła przed chwilą w swojej altanie i niosła do biura sąsiadującego z Cukiernią Sweet Stuff. Był to bukiet za czterdzieści dolarów, wart każdego centa wydanego na jego ułożenie, ale nagle poczuła się jak najzwyklejszy kryminalista. I tylko pomyśleć, przez co przeszedł, a teraz, w końcu, znowu wychodzi z domu, żeby podziękować tym wszystkim, którzy przysyłali jedzenie i kwiaty przez te długie tygodnie, podczas gdy brak jednego, zwykłego słowa od Hessie Mayhew dokuczał mu jak wrzód...

— Dzień dobry, Hessie!

Odwróciła się, upokorzona i spojrzała w jego promieniejącą twarz.

— Wspaniale cię widzieć, Hessie! Co słyszeć?

Nie myśląc, szybko pokonała odległość pomiędzy nimi i wręczyła mu flakon róż.

— Proszę! — wydobyła z siebie, wylewając wodę na rękaw jego koszuli.

Przerażona swoim wyjątkowo niezręcznym gestem, odwróciła się i pobiegła chodnikiem.

Ponieważ stał w drzwiach Cukierni Sweet Stuff, postanowił wejść do środka. Będzie tu mógł przynajmniej posiedzieć przez parę minut i odpocząć, zanim wyruszy w długą wędrówkę do domu. Flakon róż zdawał się ważyć więcej, niżby przypuszczał. Wszedł do środka, postawił flakon na stole i usiadł.

— Poproszę wody — zwrócił się do Winnie, która przyjrzała mu się z niepokojem.

— Gdzie jest twój samochód, kochanie?

— Och — odparł. — Mój samochód.

— Tak. No wiesz, czerwony mustang z dachem z materiału, skórzane fotele i tak dalej...

— Ach, samochód. — Do licha! — Zaparkowany przed barem Grill.

Wręczył jej flakon.

— Proszę! — rzucił, nie wiedząc, co mógłby jeszcze powiedzieć.

— Ojej! Śliczne!

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! — oznajmił, odzyskując w końcu przytomność umysłu.

Postawiła flakon na ławie przed sofą.

— Idealnie! Jaki cudowny odcień różu! Dziękuję, najdroższy!

Wyciągnęła małą kopertę spomiędzy róż i uśmiechnęła się.

— Zobaczmy, jakie czułe słowa mi przesyłasz. Uniósł bezsilnie rękę. Nie zauważył koperty! Wyjęła małą kartkę i spojrzała na nią.

— „Wszystkiego najlepszego z okazji przejścia na emeryturę, Mildred...” — przeczytała na głos. — „Starzy księgowi nigdy nie umierają, oni po prostu powoli wysysają z nas krew”. Timothy, co u licha?

— Żart — odparł słabo.

Ponieważ jednak to jemu go splatano, wyznał jej prawdę i odczuł ogromną ulgę, gdy roześmiała się w głos.

Leżał w poprzek łóżka, usiłując sobie przypomnieć, o czym jeszcze zapomniał — ciastka owocowe, obiecana wizyta u Billa i Rachel...

Z dołu dochodziły głosy. Trzecia godzina. Musiał zasnąć po lunchu. Był lekko zdezorientowany; ranek wydawał się całym dniem. Może powinien wybrać się jutro do Hoppy'ego — ale nie, jutro ma zajęty cały dzień...

Usiadł na brzegu łóżka i wpatrywał się w podłogę niewidzącymi oczami.

— Timothy?

— Tak?

W drzwiach stała Cynthia; zaniepokoiła go jej blada twarz.

— Harley właśnie to przyniósł.

Podeszła do łóżka i wręczyła mu kartkę papieru.

— „Za robociznę i części — przeczytał na głos — sto sześćdziesiąt osiem dolarów”.

— Za samochód panny Pringle. Harley stwierdził, że kazałeś mu naprawić hamulce i wskaźnik paliwa i że powiedziałaś, iż uregulujesz rachunek.

Ton jej głosu sprawiał, że serce biło mu dziko.

— Chodź i usiądź tu — poprosił.

— Nic mi się nie dzieje, gdy stoję. Powiedział, że zauważyłeś, iż jej samochód wymaga naprawy, gdy... zawiozła cię na dół podczas mojej nieobecności.

Nie powiedział swojej żonie wszystkiego. Odłożył na później powiedzenie prawdy.

Z pewnością będzie musiał zapłacić za ten niefortunny błąd.

Ból, którego doświadczał przez ostatnie straszne tygodnie, był tępy. To cierpienie było ostre i dojmujące. Spojrzał na zamknięte drzwi do jej pracowni; jedynie bardzo rzadko widywał je zamknięte...

W obydwu przypadkach zranił kogoś przez samolubne zaniedbanie. Do wypadku doszło, ponieważ zlekceważył zalecenia lekarza; zranił swoją żonę, ponieważ zlekceważył potrzebę podzielenia się z nią prostą prawdą o

tym, co zrobił. Hélène Pringle zdobyła się dla niego na piękny gest poświęcenia, a on próbował zrobić coś, czego, jak wiedział, potrzebowała i na co nie było jej stać. Nie przyszło mu do głowy, że ten zwykły akt wdzięczności może zawieść zaufanie Cynthii.

Czuł się tak, jakby ziemia usunęła mu się spod stóp, a on spadał w przepaść, ciemną i bezkresną.

„Słowa nie są w stanie wyrazić smutku, jaki czuję z powodu...”

Odłożył pióro i zaczął spoglądać na park Baxter.

To był dzień urodzin jego żony, dzień, w którym miał ją zabrać właśnie do tego parku na piknik i podarować jej prezent, który tak szczegółowo zaplanował wiele miesięcy temu. Nie mogą całkowicie stracić tego dnia, jest zbyt ważny; w istocie, jest krytyczny. Nie można tracić dnia, który należy tak wyjątkowo do kochanej osoby; nie można pozwolić, aby urodziny, niczym liść, targane były podmuchem byle jakiego wiatru...

Spojrzał na zegarek. Czwarta czterdzieści pięć. Miał trzydzieści minut, żeby zdać się na jej łaskę i skutecznie to, co zaplanował.

— Proszę bardzo — powiedział Avis Packard ubrany w fartuch z zielonym logo Sklepu.

Ojciec Tim stanął w drzwiach wejściowych i wyciągnął ręce, żeby odebrać kosz na piknik, wypełniony aż po brzegi.

— Proszę mi powiedzieć, co ojciec myśli, może zaoferuję to jako stałą usługę, może powinienem wywiesić banner... „Pikniki pierwsza klasa. Na zamówienie”, co ojciec myśli?

— Myślę, że to dobry pomysł — odparł, wycofując się. Avis był gadułą, a on nie miał czasu...

— Miły akcent na podróż poślubną, rocznicę albo na małą przejażdżkę Parkway twoim samochodem, zatrzymaj się po prostu przy jakimś pięknym widoku z ukochaną osobą, wyciągnij ten kosz i...

Avis potarł dłonie, uśmiechając się.

— Jesteś geniuszem marketingu — przyznał ojciec Tim, zamykając drzwi i zostawiając jedynie szparę. — Dziękuję za osobiste doręczenie. Dopisz to do mojego rachunku,

— Ten ser owczy jest z Francji — zaznaczył Avis, zaglądając przez szparę — nie z doliny. Pomyślałem, że na tę wyjątkową okazję będzie ojciec chciał francuski.

— Zgadza się. Stokrotne dzięki. Zamknął drzwi.

Avis zapukał. Otworzył drzwi.

— A szampan...

— Tak?

— Jest z Szampanii, z Francji, prawdziwy, powiedział ojciec, żeby dać same najlepsze rzeczy. Ach, no tak, wszystkiego najlepszego z okazji... Co to za okazja? Rocznicą?

— Urodziny — odparł. — Muszę uciekać.

— Ja mam urodziny w następnym tygodniu, zgadnij, ile będę miał lat...

— Pogadamy później — odparł, zamykając drzwi.

— Cynthia — zawołał cicho, stojąc pod drzwiami jej pracowni. — Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Otworzyła drzwi i spojrzała na niego, cicha, spokojna.

— Czy pójdziesz usiąść ze mną na naszej ogrodowej ławce? — zapytał.

Podał jej ramię. Gdy je ujęła, jego serce podskoczyło z wdzięczności.

— Gdy cię poprosiłem, żebyś za mnie wyszła, uklęknąłem na jedno kolano. W głębi duszy wiedziałem, że to za mało, ale w tamtych czasach nie słuchałem mojej duszy, tak Jak mnie tego później nauczyłaś. Teraz jej słucham.

Ukląkł na jedno kolano, potem na drugie i ujął jej dłonie w swoje ręce.

— Wybacz mi, proszę, że cię z tego wyłączyłem. Zamierzałem ci wszystko opowiedzieć, przysięgam, że tak było.

Ujrzał, jak do jej oczu powraca światło, światło, dzięki któremu żył, światło, którego za żadną cenę nie mógł stracić.

— Héléne wspomniała, że widziała Dooleya w drogerii w Holding, i coś w środku powiedziało mi, że to mógł być jeden z chłopców. Nie miałem dość siły, żeby pojechać na dół, a ona zaproponowała, że mnie zawiezie. Już od bardzo dawna nie czułem takiej potrzeby, żeby coś zrobić, musiałem pojechać, chciałem sprawdzić, czy to może być... — Przełknął z trudem. — Czekaliśmy tak długo i modliliśmy się tak żarliwie...

— Tak — przyznała.

— Tak więc pojechaliśmy, a wszystko okazało się jedynie przejażdżką za moje pieniądze, i hamulce samochodu Héléne były w bardzo złym stanie. Naprawdę, byłem przerażony, widząc, jak wchodzi w zakręty...

Patrzyła na niego w milczeniu.

— I wskaźnik poziomu paliwa nie działał, mogła nam się skończyć benzyna na jakimś pustkowiu, uwierz mi, to było pustkowie.

— Wierzę ci — odparła cicho.

— Nie ma absolutnie niczego pomiędzy Héléne Pringle i mną, z wyjątkiem wzajemnego szacunku. Pobyt jej mamy w Domu Nadziei jest istotnym wydatkiem, myślę, że nie stać jej na naprawę samochodu — nie miałem żadnych wątpliwości, że powinienem poprosić Harleya, żeby to zrobił, naprawdę nie musiała tego dla mnie robić. Mam przekonanie, że pomogła nam znaleźć Sammy'ego. Spojrzał na nią błagalnie.

— Jest uprzejmą sąsiadką, to wszystko.

— Tak — przyznała.

— Wierzysz w to?

— Zawsze w to wierzyłam i zawsze będę. Nie przeszkadza mi tak bardzo to, że pojechałeś na dół z inną kobietą, albo nawet to, że zapłaciłeś rachunek za nasmarowanie jej skrzyni korbowej...

— Jej hamulców, to były hamulce.

— No dobrze, hamulców! To, co natomiast bardzo, ale to bardzo, bardzo mi przeszkadza, to fakt, że mi nie powiedziałaś. I to takiej dobrej wiadomości, że odnalazłeś Sammy'ego... I ani słowa o tym nie usłyszałam. Wiesz, że jestem może nieco przewrażliwiona, Timothy. Pamiętaj, że byłam żoną kogoś, komu sprawiało przyjemność towarzystwo innych kobiet i kto w końcu zrezygnował ze mnie na ich korzyść.

Liście derenia rosnącego obok ławki szemrały na delikatnym wietrze.

— Te ostatnie tygodnie nie były łatwe, byłeś taki cichy i posepny, taki zupełnie niepodobny do siebie. Byłam strasznie przerażona, widząc cię takim, czułam, że może oddalasz się ode mnie, jakbyś znalazł w życiu jakiś inny cel...

— Nigdy! — zawołał przerażony tym, że tak myślała. Poklepała ławkę obok siebie.

— Chodź i usiądź, kochanie.

Jego nogi zaczynały odczuwać to, co zrobił; były zupełnie zdrętwiałe.

— Nie, dopóki nie otrzymam tego, po co tu klęczę.

— A co to takiego?

— Twoje wybaczenie.

Był niewidomym żebrakiem, był chromym człowiekiem przy sadzawce zwanej Betesda, był kobietą cierpiącą na krwotok...

Spojrzała na niego czule, następnie pochyliła się i pocałowała go w czoło.

— Proszę, najdroższy. Przepraszam, że tak się niepokoiłam. Kocham cię całym sercem.

— Ja też kocham cię całym sercem.

— Oczywiście, że ci wybaczam — powiedziała. Spojrzał jej w oczy i znalazł to, czego szukał.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Roześmiała się, wstała i wyciągnęła do niego ręce. Pochwycił je, zauważając, że nie byłby w stanie podnieść się bez jej pomocy.

Zjedli obiad, wzniesli toast z okazji jej urodzin, spędzili miłe chwile, leżąc na kocu w parku Baxter, niczym wieśniacy.

— Pośpieszmy się — zachęcał — zanim zajdzie słońce...

Wyjął pudełko spod ławki w parku i podał jej; było zawinięte w błękitny papier i przewiązane rafią, którą znalazł na jej stole ogrodniczym.

Położyła je na kolanach, promieniejąc.

— Zamówiłem je wiele miesięcy temu, zostało zrobione specjalnie dla ciebie.

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy wyraz jej twarzy. Rozpierała go ciekawość i ulga.

Zerwała papier — jego żona nie należała do tych, którzy prasują papier i odkładają go na później — i zawiązała rafię we włosach, śmiejąc się. Uniosła do góry pokrywkę pudełka, które zawierało jej prezent, i znalazła inne pudełko. Jej inicjały, inkrustowane mosiądzem w płomiennym drewnie oliwnym, jaśniały w półmroku.

Milczała onieśmielona.

— Zajrzyj do środka — zachęcił, dotykając jej ramienia.

Uniosła umocowaną na zawiasach pokrywkę i zobaczyła grube pałeczki pasteli umieszczone w pudełku, rząd za rzędem — indygo, fiolet, ultramaryna, kobalt, żółta ochra, cynober, karmin, szkarłat i wszystkie pośrednie kolory.

— Timothy...

Jego szczebiotliwa i rozmowna żona nie mogła wydobyć z siebie słowa.

— Pudełko jest z Włoch. Zostało zrobione przez bliskiego przyjaciela Roberta, Marcella, z drewna oliwnego. Roberto umieścił coś cudownego w tej małej skrytce. Pociągnij za tę rączkę.

Pociągnęła za małą mosiężną rączkę i zajrzała do środka lilipuciego pudełeczka w pudełku.

— Siedem z pasteli jego dziadka, Leonarda — wyjaśnił. — Leonardo był chłopcem, który pomagał pomalować sufit w Fernbank, gdy panna Sadie była dzieckiem. Roberto przesyła je dla ciebie z najlepszymi życzeniami.

Łzy jego żony wydały mu się łzami radości i dziwnej przyjemności, a nie strachu, jak wtedy gdy rozwijała się ich znajomość.

— Proszę — powiedział, przytulając ją. — Mówiłaś kiedyś, że chciałabyś spróbować pasteli...

— Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam, nie ma nikogo wspanialszego od ciebie.

— Na nieszczęście, cierpię na samolubstwo i chciałbym cię poprosić o podarunek.

Spojrzała na niego i przyglądała mu włosy nad lewym uchem.

— Cokolwiek zechcesz, Timothy.

— Chcę, żebyś wzięła udział w tym objazdowym programie walki z analfabetyzmem.

No proszę. Powiedział to, a jego serce nie ścisnęło się z bólu. Prawdę powiedziawszy, gdy te słowa wydobyły się z jego ust, w jego sercu zagościł jakby spokój.

Wujaszek Billy stał przed lustrem w łazience, czesząc swoje krzaczaste siwe brwi grzebykiem kieszonkowym żony, i próbował się zmierzyć z przerażającą prawdą.

Za nic w świecie nie mógł wymyślić dowcipu.

Za każdym razem, gdy próbował, zasypiał i budził się ze strasznym bólem w szyi. Jeśli nie zdobędzie jakiegoś dowcipu, dzisiaj w barze Grill, kaznodzieja będzie musiał sam znaleźć sposób na to, żeby się roześmiać.

Puny przyprowadziła ze sobą dziewczynki, ponieważ pracowała tylko przez pół dnia. Siedział w pracowni ze swoim modlitewnikiem, gdy do środka weszła Sassy i usiadła obok niego. Wtuliła się pod jego prawe ramię.

— Co się stało, dziadku?

— Co się stało? Nic się nie stało.

— Jesteś smutny. Czy to dlatego, że panna Cynthia jedzie w tę podróż dookoła świata?

— Nie, nie. Nie dookoła świata. To podróż po Ameryce.

— To to samo.

— Tak — zgodził się. — Masz rację.

Znalazł się w Cukierni Sweet Stuff zaraz po otwarciu, żeby kupić sześć ciastek owocowych. Następnie poszedł do samochodu i wjechał pod stromą górę, do domu państwa Sprouse, gdzie — zdenerwowany tym, co go czekało — wypił kawę z Billem i Rachel, pomodlił się z Billem, pośmiał się serdecznie z następcy Sparky'ego i czuł się niewypowiedzianie lepiej, gdy żegnał się z nimi godzinę później.

Salę oświetlało jedynie szare światło wpadające przez okna, które wychodziły na ulicę. Ojciec Tim podszedł z Buckiem Leeperem do stołu bilardowego.

— Proszę pana, wydaje mi się, że ma pan coś, co jest moją własnością.

Pink Shuford nie podniósł wzroku; przechylił się przez krawędź stołu i planował uderzenie.

— A co takiego?

— Trzydzieści osiem dolarów.

— Proszę mnie nie rozśmieszać, kaznodziejo. Czy to moja wina, że wasz rozwalający się samochód nie mógł za nami nadążyć?

— No właśnie — dorzucił Bug Austin z drugiego końca stołu.

— Zgubiliście nas, co było najwyraźniej waszym zamiarem.

— No nie, Bug, czy przypominasz sobie, jak musieliśmy zwalniać, żeby nie stracić ich z oczu?

Buck przysunął się do Pinka Shuforda na odległość kilku centymetrów i stał, milcząc, aż Pink spojrzał w górę.



— Nie rozumiem, dlaczego musimy omawiać tę konkretną kwestię — rzucił Buck. — Ojciec Kavanagh zapłacił wam za coś, czego nie zrobiliście. Możecie mu oddać pieniądze albo poprowadzić nas do Sammy'ego Barlowe'a. Wybierajcie.

Buck Leeper był postawnym mężczyzną, bardzo postawnym mężczyzną. Cała jego fizjonomia emanowała siłą; ojciec Tim zauważył, że Pink Shuford odnotował ten fakt.

— Clyde Barlowe trzyma tam parę groźnych psów, nieprawda, Bug?

— Groźne psy zostawiają mnie w spokoju — wyjaśnił Buck.

Pink odwrócił się i zaznaczył kredą swój kij.

— Widzę, że ty i twój kolega macie dużo wolnego czasu... — Buck nonszalancko podwinął jeden rękaw koszuli, następnie drugi. — Ale my nie mamy.

Pink Shuford robił wrażenie bardzo cierpiącego.

— Jeśli kiedykolwiek powiecie, że was tam zawiozłem, to powiem, że kłamiecie. Gdzie stoicie?

— Tuż za waszą półciągarówką, gotowi do drogi — rzucił Buck. — Przy okazji, lepiej, żebyście nie próbowali wywinąć takiego samego numeru.

— Dobrze — zgodził się Pink. — Nie ma sprawy. Ojciec Tim poczuł zdecydowany przyływ adrenaliny.

O ile złe psy mogą się trzymać z daleka od Bucka, o tyle z pewnością nie są tak miłe dla niego; w wieku dziewięciu lat został pogryziony dość poważnie w kostkę. Mimo to, z Bożą opieką i Buckiem Leeperem w odsiecz, wydawało mu się, że jego szanse znacznie wzrosły w porównaniu z jego ostatnią wyprawą w dół góry.

# Rozdział trzynasty

## SAMMY

Jechali za półciężarówką szosą stanową, potem skręcili w lewo na zwirową drogę, która prowadziła obok przydrożnej tabliczki Shady Grove Chapel.

„Nie czekaj na sześciu osiłków, żeby zaciągnęli cię do kościoła”.

Ojciec Tim otworzył butelkę i przyjrzał się okolicy.

— To inna droga — zauważył, gdy brali ostry zakręt w prawo.

— Lepiej, żeby to była właściwa droga — rzucił Buck. — Jeśli Shuford nie sprawdzi się tym razem, to owinę mu ten tatuaż wokół karku.

Ojciec Tim napił się wody z butelki, którą trzymał w jednej ręce, a drugą złapał uchwyt nad drzwiami pasażera. Pink Shuford gnał przed siebie, bez dwu zdań, a Buck trzymał się tylnego zderzaka niebieskiej półciężarówki. Z braku klimatyzacji okna czerwonej półciężarówki Bucka były otwarte i do środka dostawały się niesamowite ilości kurzu.

Zwirowa droga prowadziła teraz wzdłuż płytkiej rzeki. Jej brzegi wznosiły się ostro nad korytem, które gdzieś usiane było dużymi głazami; wijące się pnącza tworzyły misterną sieć pośród drzew.

— Jak w dreszczowcu — zauważył Buck.

— Jak daleko jesteśmy od miasta?

— Jakieś dziewiętnaście kilometrów. Na marginesie, proszę się nie martwić, nie owinę Shufordowi tatuażu wokół szyi. — Buck uśmiechnął się. — Ale on tego nie wie.

Ujrzeni opuszczony budynek, fragment zabudowań gospodarskich z zawalonym dachem, następnie opuszczony dom porośnięty wiciokrzewem; na końcu wyżłobionej koleinami drogi, obok otwartej skrzynki pocztowej, siedział pies, dysząc. Ojciec Tim nie mógł już dłużej ignorować bólu głowy, który rozpoczął się w klubie bilardowym. Ból zdawał się rozsadzać mu skronie.

Niebieska półciężarówka zatrzymała się tak gwałtownie, że Buck musiał skręcić i zjechać z drogi. Wychylił się przez okno i krzyknął:

— Co się dzieje?

Pink Shuford wykonał skręt o sto osiemdziesiąt stopni, ustawiając swoją półciężarówkę w kierunku, z którego przyjechali. Bug siedział w kabinie, podczas gdy Pink wysiadł, gryząc wykałaczkę.

— To tam.

Pink wskazał na przyczepę campingową ustawioną przodem na przeciwległym brzegu rzeki. Dwie pary spodni wisiały na sznurku pomiędzy domem i nieomal zupełnie pustą szopą. Kurczak drapał w ziemi.

Ojciec Tim i Buck wysiedli z półciężarówki.

— Skąd mamy wiedzieć, że to tutaj? — zapytał Buck.

— Poprosiliście mnie, żeby was tutaj zaprowadzić, to właśnie zrobiłem. Nie mam papierów, żeby udowodnić, czyj to dom.

— Czy Barlowe jest w domu? Nie widzę samochodu.

— Nie mają samochodu.

— Jak chłopiec dostaje się stąd do miasta? — zapytał ojciec Tim.

— Zabiera się z Lonem Burtiem, albo inaczej.

— Czy chodzi do szkoły? Pink wzruszył ramionami.

— Nie śledzę jego życia osobistego.

— Czy często przyjeżdża do miasta?

— Dość.

— Co robi w klubie bilardowym?

— Gra w bilard.

— Jest niepełnoletni.

— To nie jest mój problem.

Buck przysłonił oczy i spojrział na drugi brzeg rzeki.

— Nikogo tam nie widzę — zwrócił się do Pinka.

— To co? W umowie nie było, że tam ma ktoś być.

— Z czego żyje Clyde Barlowe?

— Z niczego, dostaje czek od rządu, do tego Sammy doskonale gra w bilard, wygrywa na tyle, żeby pomóc w kupnie jedzenia, alkoholu dla ojca i takich tam. Oczywiście, że mną nie wygrywa. — Pink uśmiechnął się, zakładając kciuki za szlufki spodni.

— Gdzie jest most?

— Musicie zjechać trochę niżej i skręcić w prawo. To wisząca kładka, nie możecie po niej przejechać samochodem.

Ktoś pojawił się w drzwiach domu. Odległość była na tyle duża, że ojciec Tim nie był w stanie dostrzec nic poza błękitną koszulą.

— To Clyde, ten facet, którego tam widzicie — rzucił Pink. — My widzimy go lepiej, niż on nas, bo nie widzi na jedno oko. Nie słyszy też za dobrze.

Pink wypluł wykałaczkę na ziemię.

— Ta wykałaczka zupełnie się nie sprawdza. A może dałoby się skołować od ciebie papierosa?

— Skończyłem z tą głupotą — odparł Buck.

— No to słuchajcie, skoro macie to, o co wam chodziło, ja i Bug wracamy do miasta.

Pink wyciągnął rękę, otwartą dłonią do góry.

— Nie wydaje mi się, żebyście mieli ochotę kupić człowiekowi i jego przyjacielowi po zimnym piwie.

— Nie — odparł Buck — nie miałbym. Dziękujemy za podwiezienie.

— Wydaje się, że jak za przywiezienie was tutaj, aż dwa razy, trzydzieści osiem dolarów to nie jest dużo, zapłacilibyście więcej za taksówkę.

— Gdy zabraliście ojca na przejażdżkę donikąd, to przypuszczam, że byliście w drodze do domu, a to znaczy, że nic was to nie kosztowało. Dzisiaj to będzie trzydzieści osiem kilometrów tam i z powrotem, za dwadzieścia jeden i pół centa za kilometr według urzędowej stawki, co daje nam osiem dolarów z drobnymi. To z kolei oznacza trzydzieści dolców za godzinę waszego czasu. Według mnie to całkiem niezłe pieniądze.

Pink roześmiał się rehotliwie.

— Jesteś niezłym gościem, może zagramy kiedyś w bilard. Na marginesie, kaznodziejo, nie wierzysz chyba w całe te bzdury o tym, że Bóg istnieje, prawda?

— Wiem, że istnieje.

— Skąd ta pewność?

— Rozmawiałem z Nim dzisiaj rano.

Pink zrobił krok do tyłu, roześmiał się ponownie i podszedł szybko do niebieskiej półciężarówki. Wsiadł do środka, uruchomił silnik, puścił sprzęgło i ruszył przed siebie, zostawiając po sobie ślad kół, które wryły się w czerwona glinę brzegu rzeki.

Przyglądali się, jak półciężarówka znika za zakrętem, następnie odwrócili się w milczeniu i spojrzeli na drugi brzeg rzeki.

— Interesują cię przyzwoite dowcipy czy te drugie? — zwrócił się kierowca ciężarówki do wujaszka Billy'ego.

Podniósł górną część burgera i wyjął plastry pomidora, włożył pikle i porcję frytek, polał ketchupem zrewidowaną zawartość przekąski, nałożył ponownie górę bułki i ścisnął obydwie części.

— Przyzwoite — odparł wujaszek Billy. — Tylko takie opowiadam. Poza tym to ma być dowcip dla księdza.

— Niektórzy księża wolą te drugie.

— Nie ten ksiądz — wyjaśnił starszy mężczyzna.

— Znam dowcipy o żonach, teściach, nauczycielach... Kierowca ugryzł duży kęs burgera.

— Są też dowcipy o księżach, co mogłoby być dobrym pomysłem, zważywszy na okoliczności.

Wujaszek Billy nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Usiadł po prostu na taborecie w barze Grill, zaczął rozmowę z kierowcą ciężarówki w drodze do Greensboro, no i proszę...

— Do tego znam jeszcze dowcipy o lekarzach, prawnikach, taksówkarzach...

— A niech mnie licho — nie mógł uwierzyć w swoje szczęście wujaszek Billy. — Nie wiem, od czego zacząć.

Był pewien, że dobry Bóg musi w tym jakoś maczać palce.

— Znam też dowcip o starej panie, który jest całkiem zabawny.

— Ale jest przyzwoity, tak?

— Przyzwoity — uspokoił go kierowca, pałaszując burgera.

— A niech mnie!

Wujaszekowi Billy'emu aż szumiało w głowie ze szczęścia. Przez te wszystkie lata mozolnie musiał zdobywać swoje dowcipy, a tu proszę, pod samym nosem, siedzi sobie Król Dowcipu we własnej osobie. To trzeba uczcić.

Wsunął delikatnie dłoń do lewej kieszeni spodni i namacał dwadzieścia dolarów, następnie podniósł wzrok i przywołał spojrzeniem Percy'ego.

— Poproszę paluszki z kurczaka z waszym dipem z musztardy miodowej! — zawołał głośno.

Minęło już wiele czasu od chwili, gdy ostatnio siedział na taborecie i zamawiał jak mężczyzna.

— I poproszę do tego pepsi-colę!

Hope Winchester podskoczyła, jakby usłyszała wystrzał armaty.

— Przepraszam panią...

Odwróciła się szybko i wypaliła:

— Proszę mówić do mnie Hope!

— Hope — powtórzył, uśmiechając się.

Pochylił się i podniósł książkę, którą właśnie upuściła.

— *Cray's Anatomy*, nic się nie stało.

Nie chciała powiedzieć tego, co właśnie powiedziała, planowała to powiedzieć, gdy będą rozmawiali spokojnie na temat poezji albo nawet niuansów zamówień wysyłkowych.

— Trzynaste wydanie przed poprawkami? Starła się robić swobodne wrażenie.

— Tak. Postaram się być bardziej ostrożny.

— Uważam, że jest pan bardzo ostrożny, proszę pana, obchodzi się pan z książkami jak z dziećmi.

— Proszę mówić do mnie George. Ostatni raz zwracano się do mnie per pan, gdy wykładałem ekonomię.

— George.

Wymawianie jego pierwszego imienia wydawało się jej niepokojąco intymne. Zarumieniła się mocno i odwróciła w drugą stronę, sięgając po książkę, która leżała otwarta przy kasie. Zrobiła to niezręcznie i książka upadła na podłogę.

Poczuła się upokorzona. Dwukrotnie upuściła przy nim książkę i oczywiście on też przed chwilą upuścił książkę... Czy przez Mitford przechodziła właśnie jakaś epidemia układu nerwowego?

Podszedł, podniósł książkę i podał jej.

— Dziękuję — szepnęła.

Wiedziała, że nie zdoła już dłużej znieść tego miazdzącego strachu i fascynacji, jaką odczuwała, jak również ogromnego konfliktu pomiędzy obydwojema uczuciami.

Hessie Mayhew zaparkowała w strefie nie zezwalającej na parkowanie przy szpitalu w Mitford i weszła do windy, która zawiozła ją na drugie piętro do pokoju pielęgniarek. Jej dostawa przeznaczona była dla Minnie Louder, która właśnie przeszła operację nerki i skończyła osiemdziesiąt cztery lata, a wszystko to w jednym dniu.

Przyjrzała się krytycznie po raz ostatni kompozycji w koszu, oceniając prostą harmonię, jaką tworzyły barwinek, paproć i mech, z którego wyrastał maluteńki czerwony grzybek i prawdziwe ptasie gniazdo, które wyjęła z donicy z bluszczem, gdy już odleciały strzyżyki.

— Ach! — zachwyciła się siostra Kennedy. — Piękne! Znowu to zrobiłaś, Hessie!

— Mogłyby być bardziej kolorowe — rzuciła krytycznie Hessie.

— Ależ skąd, jesteś dla siebie zbyt surowa! Ale oczywiście nic nie zdoła dorównać koszowi, jaki podarowałaś ojcu Timowi, gdy był u nas.

— Koszowi...

— Tak, był po prostu wspaiały i ogromny jak okrąg Johnson!

Siostra Kennedy nigdy by nie przyznała, że ojciec Tim podarował kosz właśnie jej i że zasadziła wszystko u siebie wokół poidełka.

Hessie postawiła energicznie koszyk w pokoju pielęgniarek.

— Minnie Louder, dwieście sześć! — obwieściła gromkim głosem.

Następnie, niesamowicie wściekła, odwróciła się i pośpieszyła do windy.

— Nie ruszaj się — rzucił ojciec Tim.

Bicie jego serca nieomal pozbawiało go tchu.

— Patrz tam.

Przyglądali się, jak wysoki, bosi chłopiec idzie korytem rzeki, stąpając po głazach leżących na dnie strumienia.

Słońce przeświecało przez baldachim drzew zwisających nad wodą; gdy stanął w plamie światła, włosy Sammy'ego Barlowe'a zapłonęły niczym ogień.

Doszli do mostu, przeszli na drugą stronę i podążyli ścieżką prowadzącą obok lasu sosnowego po lewej stronie. Zatrzymali się, gdy znaleźli się na polance, na której stała przyczepa Barlowe'ów oparta na ceglach.

Podszedł do nich kulejący pies ze spuszczonego ogonem. Ojciec Tim ocenił, że to przedstawiciel rodziny psów gończych; można by z łatwością policzyć mu zębra.

— Jeśli to jest zły pies, to ja jestem święty turecki — stwierdził Buck.

Ojciec Tim sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął resztkę batonika muesli, w który zaopatrzyła go na tę misję żona. Odwinął go i położył przy korzeniu białego dębu na krawędzi ogródka.

— Dobry piesek! — zawołał, gdy pies pożerał przekąskę, a potem wachał ziemię w poszukiwaniu okruszków.

— Jesteś gotowy? — zapytał Buck.

— Tak. I modłę się, żeby w czasie tego starcia nie doszło do użycia żadnej broni.

Modlił się też, żeby zelżał jego ból głowy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak bardzo go bolała.

— Człowiek z takim psem prawdopodobnie nie ma żadnej broni.

— Na waszym miejscu nie zrobiłbym już dalej ani jednego kroku.

Obaj mężczyźni podskoczyli, zaskoczeni głosem, który dobiegł ich z cienia lasu. Spoglądając w sosnowy zagajnik, zobaczyli chłopca stojącego w pobliżu dużej skały.

— Szukamy Sammy'ego Barlowe'a — powiedział Buck.

— To go nie znajdziecie. Wziął i wyprowadził się do Statesville, i nie zamierza wrócić.

Ojciec Tim spojrział w twarz młodszego Dooleya Barlowe'a i wiedział, że musi dokonać świadomego wysiłku, żeby jego głos nie zadrżał.

— Ale ty jesteś Sammy, oczywiście.

— Nie, nie jestem! I lepiej się natychmiast stąd wynoście, to teren prywatny.

Pies obwachał nogawki spodni ojca Tima.

— Przyszedliśmy porozmawiać z tobą o twoich braciach i małej siostrzyczce.

Sammy wymówił ulubione słowo małego Dooleya na cztery litery.

— Nie mam żadnych braci ani siostry.

Czy Pink znowu wywiódł ich w pole? Nie. To był krewny Dooleya Barlowe'a, piegi i cała reszta; ojciec Tim miał absolutną pewność.

— Jessie cię nie pamięta — wyjaśnił Buck — ale Poo tak, i Dooley. Naprawdę chcą cię zobaczyć.

— Stłukę was na kwaśne jabłko, jak się stąd nie wyniesiecie.

Sammy podniósł patyk i zaczął nim wymachiwać.

— Pamiętasz Dooleya — kontynuował ojciec Tim. — Opiekował się tobą, gdy byłeś chory na grypę, dał ci swoją najlepszą kurtkę, żebyś mógł ją ubrać do szkoły, i włożył dolara do kieszeni. Pamiętasz.

Składał razem fragmenty historii, które opowiedział mu Dooley. Nie było tego wiele, ale robił co w jego mocy.

Zbliżył się do lasu, do wąskiej ścieżki prowadzącej do chłodnego światłocienia. Nawet z tej odległości ujrzał gniew i strach w oczach chłopca; wydawało mu się, że zobaczył też coś innego — rodzaj nadziei i tęsknoty.

— I Dooley opowiadał, jak...

— Jeszcze jeden krok i wejdziecie w gniazdo węży tak dużych jak wasze ramię!

— Zgadza się — poparł go Buck — i Jessie mówiła, że gdyby zobaczyła swojego brata, Sammy'ego, dałaby mu wszystkie pieniądze, które zaoszczędziła, i robiłaby jajecznice codziennie rano. Jessie robi wspaniałą jajecznicę.

— Schowałem tu pod skałą śrutówkę. Przestrzeleń wam głowy, jak się nie wyniesiecie tam, skąd przyszlście.

— Lubi kruszyć wątróbkę do jajecznicy — opowiadał dalej Buck — podobnie jak twój dziadek Russell Jacks.

— Mamy zdjęcia, które chcielibyśmy ci pokazać — powiedział ojciec Tim, sięgając do kieszeni kurtki.

Widać było wyraźnie zmieszanie chłopca; wydawało się, że zaraz odwróci się i ucieknie. On jednak stał w miejscu jak przykuty do ziemi.

— Czasami — mówił Buck — Jessie nakrywa dla ciebie do stołu. Skończyła w zeszłym tygodniu dziesięć lat.

Wchodzili teraz do lasu, zbliżali się do skały, do chłopca z bladą, przerażoną twarzą.

Nie spoglądając na siebie, nie zamieniając ani słowa, obydwaj mężczyźni wiedzieli, że muszą pokazać Sammy'emu te zdjęcia; to było zasadnicze. Ojciec Tim zastanawiał się, czy gdzieś tutaj może rzeczywiście być śrutówka, ale coś mu mówiło, że nie. Odczuwał nieodpartą chęć, żeby wejść do lasu; tak należało postąpić. Uśmiechnął się do Sammy'ego, chociaż to Dooleya widział w tym szczupłym chłopcu z blizną na policzku i prostymi rudymi włosami związanymi w kucyk.

Usunął się na bok, żeby umożliwić przejście wąską ścieżką Buckowi, i napomniął się, żeby nie przestawać mówić.

— Śnisz się Dooleyowi, Sammy. Zostawił dla ciebie swój pierwszy rower...

Sammy nie poruszył się; słuchał. Usiłował tego nie robić, jak zauważył ojciec Tim, ale słuchał, czekając, pozwalając, żeby weszli. Buck wyjął zdjęcia z kieszeni. Ojciec Tim zrobił to samo. Bądź z nami, dobry Boże. Ześlij Ducha Świętego...

Gdy podchodzili do skały, spojrzal prosto w oczy Sammy'ego. Radość, jaką mu to sprawiło, była nie do opisanania; miał ochotę zarzucić chłopcu na szyję ramiona i krzyczeć, ale powstrzymał się od okazywania jakichkolwiek uczuć. Stąpali po cienkim lodzie. Tylko spokojnie, tylko spokojnie. Położył zdjęcia na skale, milcząc; Buck zrobił to samo, rozkładając zdjęcia jak karty. Przeszli wszystkie bazy; byli już nieomal w bazie domowej.

— To jest Poo, ma jedenaście lat — wyjaśnił Buck, starając się, żeby jego głos nie zdradzał emocji. — To jego zdjęcie ze szkoły, ma szóstkę z geografii, ja, gdy byłem w szkole, to nie wiedziałem nawet, gdzie jest Idaho. To on ze swoją nową pałką, potrafi wybić piłkę w softballu aż do samego Tennessee... A to on na rowerze...

Buck odetchnął głęboko, jakby od dłuższego czasu wstrzymywał powietrze.

— A to jest Jessie... Jej ostatnie zdjęcie ze szkoły... Ma dziesięć lat.

Ojciec Tim poczuł, jak coś ściska go w gardle; to był rodzaj cudu, a on właśnie znajdował się w samym jego centrum. Wskazał na zdjęcie Dooleya i Cynthii siedzących na wejściowych schodach żółtego domu.

— To jest Dooley — powiedział — ma dziewiętnaście lat.

Ojciec Tim obserwował, jak Sammy Barlowe opiera się głębi i sile swoich uczuć. Sammy robił to, co zawsze robił Dooley, skrywał swoje uczucia pod osłoną maski, zachowywał kamienną twarz; jedynie jego oczy zdradzały głębię jego pragnienia, żeby przyjrzeć się obrazom rozłożonym przed nim.

Sammy cofnął się za skałę.

— Lepiej się stąd wynośćcie. Jak mój t-tato zobaczy, że się tutaj włóczycie, obedrze was ze skóry.

Buck uśmiechnął się.

— Zeszłoby mu trochę czasu, żeby mnie oskórować. Pewnie by nie zdążył dokończyć.

Ojciec Tim zdał sobie sprawę, że przez cały ranek jego organizm zalewała adrenalina; ogarniała go fala wyczerpania. Nagle zakręciło mu się w głowie, potem wszystko wróciło do normy; dopiero teraz rozglądnął się dookoła. W tym skąpanym świetle i cieniem zagajniku było cudownie chłodno; w istocie, znajdowali się w ogrodzie.

— Obuwik! — wykrzyknął ojciec Tim. — I, na niebiosa, patrzcie! Kaczeniec.

Mimo że nie było już kwiatów, rozpoznał liście.

— Zostańcie na ścieżce! — polecił chłopiec. — P-patrzcie, gdzie idziecie.

— Oczywiście. Przepraszam. I jest też trójlist, cała kępa! Kwitną na biało czy różowo?

Sammy wahał się przez długą chwilę.

— Na biało — odparł.

Ojciec Tim usłyszał szum wartkiego potoku obok, po raz pierwszy, odkąd przeszli przez most.

— Te cudowne rzeczy z pewnością nie rosły wszystkie w tym samym miejscu?

— Wykopałem niektóre w lasach dookoła.

Na powierzchni niewiele większej niż pracownia Cynthii i wysypanej czarną gliną i kompostem z liści znajdowała się zadziwiająca różnorodność dziko rosnących kwiatów — wysokich paproci z pierzastymi główkami, cała kolonia srebrzystych kokornaków, które rozświetlały poszycie lasu niczym małe świeczki, kępa mandragory...

Ojciec Tim przykucnął i zajrzał pod liście, pod którymi całe mnóstwo onyksowych jagód wisiało niczym naszyjniki.

— Konwalie? — zapytał, zwracając się do Sammy'ego.

— Są pospolite — wyjaśnił Sammy. — Nie różnią się wiele od innych, ale dobrze rosną i dają cień kaczeńcom.

— A te różowe obuwiki — zauważył ojciec Tim. — Nigdy nie widziałem tak wielu w jednym miejscu.

— Już tu rosły, w kępie, stąd wzięłem pomysł — Sammy rozglądnął się dookoła — żeby to zrobić.

— Czy tamten kwiatek to żółty obuwik?

— Tak. Jest pięć różnych rodzajów obuwika. To jedyny żółty, jaki udało mi się znaleźć. Jest też żółto-biały, ale Lon Burtie mówi, że rośnie tylko gdzieś na zachodzie.

— Jakie to szczęście, to wszystko zobaczyć — powiedział ojciec Tim, uśmiechając się do chłopca. — Szczęście.

Dziadek Sammy'ego, Russell Jacks, był najwspanialszym ogrodnikiem, jaki kiedykolwiek pracował dla Lord's Chapel...



— Wydaje mi się, że obuwik należy do rodziny orchidei.

Czuł się jak nowo narodzony, było mu lekko na duchu, ustąpił jego ból głowy.

— Lon Burtie był w dżungli w Wietnamie, gdzie widział mnóstwo orchidei. Mówi, że są dwa miliony gatunków orchidei.

— A ten różowawy liść? Chwileczkę, nie przychodzi mi do głowy nazwa...

— Galaks. Nie wykopałem go, już tu rósł, ale muszę kilka wyrwać, bardzo się rozrasta.

Ojciec Tim przykucnął jeszcze na chwilę, następnie wstał, słysząc, jak chrupie mu w kolanach. Coś się właśnie tu wydarzyło, dość dużo się wydarzyło, szczerze mówiąc...

— To prywatne miejsce, prawda, Sammy? Chłopiec spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

— Dziękuję, że pozwoliłeś nam tutaj wejść.

— Tak — poparł go Buck, odchrząkując. — Dziękujemy.

— Muszę powtórzyć jeszcze raz, żebym był pewien, że dobrze zapamiętałem.

— Proszę bardzo — zgodził się uprzejmie kierowca ciężarówki, który właśnie zamówił szarlotkę à la mode.

— To łatwy transport, nie taki delikatny jak kantalupy, które wiozłem tydzień temu do Pensylwanii.

Wujaszek Billy odchrząknął.

— Poszła baba do nowego lekarza. Był taki młody, że jeszcze miał mleko pod wąsem. No cóż, minęło kilka minut, jak weszła do jego gabinetu, a tu nagle wybiega przez drzwi, krzycząc, i biegnie dalej korytarzem. — Wujaszek Billy przerwał.

— Dobrze — ocenił kierowca ciężarówki. — Mów dalej.

— No cóż, lekarz, który był trochę starszy, ruszył za nią i pyta: „Co się stało?“, a ona mu wszystko opowiedziała. Starszy lekarz poszedł do tego młodego i mówi: „Co się z tobą dzieje? Panna Perry ma sześćdziesiąt pięć lat, blisko sześćdziesiąt sześć, czwórkę dorosłych dzieci i siedem wnucząt — a ty jej powiedziałaś, że będzie miała dziecko?“ Nowy lekarz uśmiechnął się: „Ale to wyleczyło jej czkawkę, prawda?“

Wujaszek Billy wiedział, gdy dowcip się nie udał, a ten z pewnością się nie udał — nie zadziałał nawet w przypadku osoby, która go mu opowiadała.

Kierowca ciężarówki spojrzął z namysłem na swoje odbicie w chromowanym stojaku na serwetki.

— Wydawał mi się zabawny, gdy usłyszałem go po raz pierwszy, ale teraz wydaje mi się, że jak to się mówi...

Wzruszył ramionami.

— Nie wypalił — dokończył wujaszek Billy, który myślał dokładnie tak samo.

— Radziłbym ci go skasować — rzucił kierowca ciężarówki, pałaszując szarlotkę. — Zaczynij od tego o dwóch gościach na plaży, potem na dokładkę opowiedz ten o kierowcy taksówki, a potem, żeby wzmocnić efekt, ten o starych pannach.

Wujaszek Billy zapragnął mieć jakąś gwarancję, że ten konkretny układ zadziała.

# Rozdział czternasty

## CZEKAJĄC NA SKRZYDŁA

Gdy rodziny w Mitford budziły się i zabierały do pracy, więcej niż połowa zastanawiała się, jakie szkody mogła wyrządzić nocna burza zbiorom kukurydzy w dolinie. Pierwsza dostawa w sezonie kukurydzy Sliver Queen, której spodziewano się w Sklepie lada moment, co do ważności ustępowała miejsca jedynie paradzie w Dniu Niepodległości.

Po wysłuchaniu prognozy pogody Neese Simmons, jego żona i czwórka dzieci zbierali kukurydżę do drugiej nad ranem, zanim nad doliną rozpętała się o trzeciej burza. Pracując przy świetle lampy i latarki, załadowali pośpiesznie zebrane żniwo do ciężarówki i wjechali do stodoły, w samą porę. Od trzeciej do siódmej na dolinę poniżej Mitford spadło prawie trzynaście centymetrów deszczu, zmywając duże plantacje ziemniaków, kantalupów i truskawek przeznaczonych na sprzedaż w Sklepie. To zniszczenie sprawiło, że rodzina Simmonsów zaczęła się martwić, czy ich modlitwa o deszcz nie była zbyt żarliwa. Neese powiedział swojej żonie, Vadzie, że nie omieszka porozmawiać na ten temat z ich księdzem, żeby się upewnić, czy wina za utratę plonów może w jakiejś części spoczywać w istocie na barkach Simmonsów.

— Uspokój się i śpij — odparła, głaszcząc go po ręce. — Dobry Bóg wie, co robi.

— Czy pojedziesz ze mną jutro? — zapytał.

— Jeśli nie będę zbyt zmęczona — odparła.

W drodze na lotnisko ojciec Tim minął Neese'a i Vadę Simmonsów jadących do Mitford, podczas gdy on z Cynthią je opuszczali. Obydwie pary uniosły do góry dłonie w powitaniu.

— Jedzie nasza kukurydza — rzucił ojciec Tim.

To będzie wielki dzień w Mitford. Przed pierwszą po południu znikną wszystkie kolby z koszy na Main Street, a przed szóstą wszystkie będą się gotować na kuchenkach w miasteczku, nie wyłączając jego własnej.

Jego żony jednak nie będzie tutaj, żeby mogła ją smakować razem z nim. Przez dwa tygodnie będzie w podróży po świecie — i to właśnie on ją do tego zachęcił.

Problem w tym, że musiała nacieszyć się owocami swojej pracy, ujrzeć zafascynowane twarze dzieci, dla których pisała i malowała z taką pasją przez tak wiele lat. I była jeszcze jedna prawda, prawda, o której nie rozmawiali, prawdą, którą ukrył w swoim sercu tak starannie, że prawie o niej nie pamiętał — potrzebował czasu.

Czasu na co? Żeby jakoś wziąć się w garść, żeby popracować nad esejami, żeby zabrać się razem z George'em i Harleyem do zrobienia półek w holu i może szafki na jej ilustracje. Trochę czasu, to wszystko, czego potrzebuje i znowu będzie sobą.

Przez niekończące się tygodnie był pływakiem opadającym na dno stawu, podczas gdy jego dzielna żona walczyła ze wszystkich sił, żeby wyciągnąć go na brzeg. Był dla niej ciężarem, chociaż nigdy tego nie powiedziała; w istocie, może sama o tym nie wiedziała. Ale on to wiedział, ponieważ widział to na jej twarzy i słyszał to w jej głosie. Gdyby chociaż w połowie był mężczyzną, jakim chciałby być, byłiby w drodze na lotnisko, jadąc do Wenecji albo Toskanii, albo jednego z tych miejsc, które tak bardzo chciałyby zobaczyć... nawet do domku w Main, gdzie spędzili swój miesiąc miodowy, na litość boską. On jednak nie był tym człowiekiem i nie ma sensu myśleć, że kiedyś taki będzie. Był najgorszym nudziarzem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi.

Przełknął, czekając, aż przestanie go ścisnąć w gardle.

— Nie będę płakał — obiecał, ujmując jej dłoń.

Łzy płynęły jej po policzkach, chociaż zdążyli wyjechać zaledwie za granicę miasta.

— Dziękuję, najdroższy. Tak mi żal, że nie będę mogła słuchać twoich kazań.

— Kurczę blade! — odparł, cytując jedno z jej ulubionych wyrażen. — Słyszałaś setki moich kazań i mam nadzieję, że usłyszysz jeszcze drugie tyle. Zostawię ci notatki... jeśli z jakichś będę korzystał.

Spojrzała na niego, uśmiechając się.

— Obiecuj mi coś.

— Wszystko — zgodził się.

— Nie polewaj kukurydzy masłem. Nie polewać kukurydzy masłem!

— Weź oliwę, jest dla ciebie zdrowsza.

— Nie ma spoczynku dla potępionych — westchnął. Ścisnęła mu dłoń i uśmiechnęła się przez łzy.

— A prawi go nie potrzebują.

Jego dom nie okazał się jednak grobowcem ani kryptą. Jego światelko mogło go opuścić, ale Puny Bradshaw Guthrie, jego oficjalna opiekunka i strażnik, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby błyszczał. Dooley miał przyjechać na lunch i czekała ich ucztą godną koronowanych głów — nie, niebiańskich zastępów.

— Alleluja! — obwieścił Puny, która stojąc przy kuchni, ocierała twarz fartuchem.

Nawet klimatyzacja nie zdołała ich uchronić przed gorącym wytwarzanym przez unoszącą się parę, skwierczący tłuszcz i boski tumult przygotowań.

Ich pomoc domowa, alias jego nieprawnie adoptowana córka, piekła kurczaka, robiła sałatkę ziemniaczaną z młodą cebulką, bekonem i kwaśną śmietaną, gotowała świeżą żurawinę z wiórkami świeżego imbiru i skórki pomarańczy, dusiła na wolnym ogniu kukurydzę, robiła jajka z nadzieniem z domowym majonezem i wałkowała na ładzie ciasto na bułki. Dzbaneł słodkiej herbaty czekał w pogotowiu, przykryty jednym końcem ściereczki; ciężki szklany dzbanek jego babci, napełniony niesłodzoną herbatą, był przykryty drugim końcem. Trzywarstwowe ciasto kokosowe, ustawione na samym środku kuchennego stołu, królowało w pomieszczeniu tuż obok niewielkiego flakonu z jasnozielonymi kwiatami hortensji.

Podeksytowany jak dziecko, zszedł do łazienki na dole i sprawdził poziom cukru.

Jako że bankiet przygotowywany był dla Dooleya, nie uwzględniał żadnego z morderczych ograniczeń nieodzownych w przypadku diabetyka. Lunch zatem najeżony będzie minami, których będzie musiał unikać najlepiej, jak potrafi. Jeśli nawet, w takim dniu jak ten człowiek powinien umrzeć szczęśliwy i niczego nie żałować.

Omówił wszystko dokładnie z Cynthią i postanowili, co następuje: przejdź prosto do rzeczy — ale dopiero po ciastku.

— Więc, co myślisz?

— Świetne! — ocenił Dooley, spoglądając na niego i uśmiechając się. — Naprawdę dobre. Lukier jest wyśmienity.

— Powiedz to Puny.

— Tak, proszę taty, powiem.

— Pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie spać po raz pierwszy i Puny wrzuciła cię do kąpieli?

Dooley uśmiechnął się.

— Pamiętam.

— Musiała cię gonić w kółko po domu, raz albo dwa.

— Ja też ją goniłem.

Ojciec Tim roześmiał się, świadom, że widok Dooleya jedzącego dzisiaj ciastko będzie jednym z jego najszczęśliwszych wspomnień.

Dooley zlizął lukier z widelca.

— Chciałbym spędzić kolejne lato z tobą i z Cynthią. Poczul, jak wzbiera w nim coś na kształt radości.

— Będziemy szczęśliwi, ale pamiętaj — jest tu dość nudno.

— Nie szkodzi.

Wydawało się, że minęły wieki, odkąd Dooley mieszkał w ich domu, w zagraconym pokoju na dole, i siedział z nimi przy stole. Milczeli przez chwilę.

— Co słyszać w Meadowgate? Nadal chcesz być weterynarzem?

— Tak, proszę ojca! — Okrzyk był natychmiastowy i żarliwy. — Wczoraj wypróbowaliśmy procedurę skrętu macicznego na lamie.

— Na lamie!

— W Wilson Creek jest farma lam.

— Na czym polega procedura skrętu macicznego?

— Czasami lama, nawet krowa, ma skręconą albo zawiniętą macicę. To znaczy, że zarodek nie może dostać się przez jajowód. Doktor Owen mówi, że większość zarodków pozostaje w lewym rogu macicy...

— W lewym rogu?

— Macica lamy ma dwa rogi. Doktor Owen mówi, że najczęściej macica zawinięta jest zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tak że lewy róg nałożony jest na prawy. To bardzo trudny zabieg dla lamy i musieliśmy działać szybko, więc doktor Owen postanowił zrobić deskę w zad.

— Co?

— Użyliśmy deski pięć na dwanaście, włożyliśmy ją do lamy i doktor Owen kazał mi uklęknąć na desce, zaraz z tyłu. Potem użyliśmy sznurów zawiązanych na jej przednich i tylnych nogach i przewróciliśmy ją na drugi bok. Widzisz, chcieliśmy przytrzymać deską zarodek i macicę w miejscu i przewrócić ją tak, żeby macica uzyskała właściwą formę. To rozwiązało cały problem.

— Naprawdę?

— Tak, proszę taty. Jej młode jest naprawdę piękne. Oniemiał z wrażenia, słysząc tę zupełnie niepojętą relację. Dooley Barlowe musi być geniuszem.

— Jesteś geniuszem! — wykrzyknął zachwycony, dumny i poruszony.

— Gdzie tam, to znaczy nie jestem. — Dooley zaczerwienił się. — Doktor Owen jest.

Nie pamiętał już, kiedy coś tak z pozoru bezsensownego sprawiło mu taką radość.

— Jestem z ciebie taki dumny, że duma rozsadza mi serce!

Dooley przyglądał się pelargonii w doniczce na stole.

— Więc jak wygląda twoje życie towarzyskie na prowincji?

Był szczęśliwy, widząc, jak chłopiec uśmiecha się od ucha do ucha.

— Nieźle, jak rozumiem. — Nieźle, proszę taty.

— Aha.

— Chodzę z Rebą Sanders.

— Naprawdę? Kto to taki?

— Dziewczyna.

— Cieszę się.

— Jej tato jest farmerem, mają czterysta sztuk bydła. Krzyżówka angusa z hereford. Jej mama uczy w piątej klasie.

Może powinien powiedzieć Dooleyowi, że Harperowie wracają za kilka dni — czy nie chciałby się dowiedzieć, jak podobała się Lace wyprawa na Oregon Trail? Prawdopodobnie nie.

Dooley pałaszował resztę ciasta.

— Jest super.

— Reba?

— Tak, proszę taty. Muszę popracować nad jeepem. Hal uważa, że to gaźnik.

— Po lunchu pojedziemy na stację i poprosimy Harleya, żeby się temu przyjrzał. Może będziesz chciał mu potowarzyszyć? Dobrze wiedzieć, co się dzieje pod maską własnego samochodu.

Doskonale nadawał się do udzielania tego typu rad, on, który w całym swoim życiu nie zaglądał pod maskę własnego samochodu, chyba żeby podrapać się w głowę tuż przed jej zatrzaśnięciem.

Był szczęśliwy, chłopiec też. Wyczuwał niewypowiedziane szczęście towarzyszące ich rozmowie; a on miał właśnie to zmienić. Z pewnością nic się nie stanie, jeśli odłoży podzielenie się swoją nowiną o kilka minut — niech chłopak przynajmniej przetrawi posiłek, na litość boską.

— Więc. Opowiedz mi coś więcej o Rebie.

— Jest wysoka.

Lace też była wysoka, jeśli o to chodzi. Dooley myślał przez chwilę.

— Ma brązowe włosy — a może blond.

— Dobrze. Coś jeszcze?

— Hm. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Wydobywanie wiadomości z Dooleya Barlowe było niezwykle trudnym zadaniem.

— Czym się interesuje?

— Motocyklami.

— Motocyklami.

Jak miał na to zareagować? Brnął dalej.

— W... jakim sensie dokładnie interesuje się motocyklami?

— Przerabia sportowe motocykle, żeby zarobić na college w następnym roku. Obecnie pracuje nad suzuki GSXR 1100. Gdy już go skończy, będzie robił dwieście sześćdziesiąt, jak fabrycznie nowy.

Dooley spojrzął na swój pusty talerzyk po ciastku.

— A niech mnie! Pękam!

— Ja tylko w połowie, ale za to dobrze uściskajmy Puny.

Dooley zachichotał.

— Nie bede jej ścisnął.

— Uwielbiam, gdy mówisz „nie bede”.

— Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. Kiedyś nie cierpiałeś, gdy mówiłem „nie bede”.

— Wiem. Podoba mi się tylko dlatego, że teraz prawie nigdy tak nie mówisz.

— Wybierzmy się odwiedzić Harleya, możemy zabrać Barnabę.

Ścisnęło go dosłownie w żołądku po wysłuchaniu wiadomości Dooleya o Rebie Sanders. Podczas gdy on obawiał się zranienia chłopca, Dooley zranił jego. Dwieście sześćdziesiąt na godzinę? Niemniej jednak nie mógł już tego dłużej odkładać.

— Mam ci coś do powiedzenia, synu. Znaleźliśmy Sammy'ego.

Widelec upadł na stół i odbił się, spadając następnie na podłogę.

— Mieszka z twoim ojcem, nie widzi na jedno oko i jest częściowo głuchy.

Dlaczego to powiedział? Co to ma wspólnego z czymkolwiek? Być może w ten sposób Clyde Barlowe nie będzie się wydawał taki groźny.

— Kto jest ślepy? — zapytał Dooley szorstkim głosem.

— Twój ojciec.

— Nie jest moim ojcem! — krzyknął Dooley.

Nie będzie robił uników, ani w prawo, ani w lewo, uderzy w sam środek.

— Mieszkają około dziewiętnastu kilometrów na wschód od Holding. Buck i ja widzieliśmy Sammy'ego i rozmawialiśmy z nim. Ma się dobrze, jest bardzo do ciebie podobny, chce zobaczyć swoich braci i małą siostrzyczkę.

Sammy tego nie powiedział, ale ojciec Tim widział to wyraźnie w jego oczach; dlatego nie było to kłamstwem.

— Pomyślałem, że powinniśmy o tym porozmawiać, zastanowić się, jak chciałbyś to zaplanować.

Dooley odwrócił się od stołu i spojrzął na kuchenkę, porażony.

Wewnętrzny konflikt chłopca dotyczył głównie jego ojca ale ojciec Tim pamiętał też odrobinę mniej istotną kwestię Dooley powiedział, że znajdzie Sammy'ego i Kenny'ego, zrobi coś cudownego, magicznego. W zamian ktoś zrobił to za niego. Żałował, że Dooley nie odnalazł swojego brata, zostało jednak postanowione inaczej — Sammy został odnaleziony przez Francuzkę, która — jako dziecko — została porzucona przez własnego ojca.

Sama myśl o tym sprawiała, że chodził w kółko po pracowni jak więzień. Roznosiło go od chęci wygłoszenia kazania, ale wiedział, że nie powinien tego robić.

O szóstej trzydzieści zadzwonił do Meadowgate Farn i poczuł ulgę, gdy usłyszał Dooleya.

— Hej, przyjacielu.

— Hej — odwzajemnił jego powitanie Dooley.

— Czy masz na sobie kask?

— W tej chwili?

— Gdy jedziesz motocyklem.

— Tak.

— Za każdym razem, bez wykrętów?

Znał polne drogi i pokusę złamania kilku zakazów.

— Tak, proszę taty — odparł Dooley, a w tle dał się słyszeć wybuch śmiechu.

— Dobrze. Liczę na to.

Zamilkł na chwilę, aby chłopiec dobrze zapamiętał jego słowa.

— Nie martw się — odparł Dooley. Miód dla jego uszu.

— Czy w Meadowgate jest jakieś przyjęcie? — zapytał, starając się, żeby jego pytanie zabrzmiało zdawkowo.

— Reba przyszła na kolację, jemy spaghetti. Pani Owen prosi, żeby ci podziękować za wszystko, co przysłałaś. Muszę kończyć.

Oddaję go, Boże, w Twoje ręce, modlił się, odkładając słuchawkę. Poślij swoje anioły, aby chroniły go przed wszelkim złem. Zastanawiał się przez chwilę. I pobłogosławił go, proszę, mądrością i rozsądkiem we wszystkim, co robi, w imię Chrystusa, naszego Pana, amen.

A skoro już o tym mowa, pomyślał, lepiej będzie, jak pomodli się też za Rebę Sanders.

O siódmej wieczorem przygotowywał naprędce częściową powtórkę z lunchu i odkrył, że słodzona herbata nie przedstawia już żadnej pokusy; dzięki Bogu nauczył się w końcu trochę rozumu. Dla bezpieczeństwa zapakował resztę ciasta Dooleyowi, który pojechał z powrotem do Meadowgate.

— Proszę kaznodziei?

Zaskoczony, odwrócił się od kuchennej lady i ujrzał wujaszka Billy'ego zaglądającego przez drzwi z siatką.

— Czy jecie może kolację?

— Właśnie się przygotowuję, wujaszku Billy. Wejdz, proszę, i zjedzmy razem.

— Nie mam nic przeciwko — odparł starszy mężczyzna.

Ojciec Tim był zaskoczony wyglądem swego przyjaciela — jakby zgasło jakieś wewnętrzne światelko, które go wcześniej rozpromieniało, jakby z drzewa odpłynęły życiodajne soki.

— Jak się tutaj dostałeś?

— Harley widział, jak idę ulicą, i podwiózł mnie. Wolałbym nigdy nie musieć wspinać się do jego ciężarówki, wydawała mi się wysoka jak budynek banku w Wesley. Chyba wolałbym iść na piechotę.

— Jesteś zasapany, przyjacielu. Odwiozę cię potem do domu.

— Będę zobowiązany.

— Jak się masz?

— Nie za dobrze.

Ojciec Tim pomógł wujaszкови Billy'emu podejść do lady.

— Czy dasz radę wspiąć się na ten taboret?

— Proszę pozwolić, że się ojca przytrzymam.

Wujaszek Billy postawił stopę na szczeblu, następnie przytrzymał się ramienia ojca Tima jedną ręką, a drugą, w której trzymał laskę, odepchnął się mocno od podłogi.

— Ojej! — wykrzyknął, podciągając się na górę i opadając na taboret.

Nie mógł się nadziwić, dlaczego taka ważna osoba jak kaznodzieja nie ma stołu i krzeseł, jak reszta ludzkości.

— Miło cię widzieć, wujaszku Billy. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają wujaszкови odgrzewane resztki.

— O nie, proszę ojca, lubię resztki, ponieważ prawie nigdy ich nie mamy. Człowiek jest naprawdę tak głodny na wikcie Rose, że nigdy nie zostają nam żadne resztki, wie ojciec.

Ojciec Tim zajął się lodówką, wyciągnął półmisek kurczaka i miskę sałatki ziemniaczanej z sosem żurawinowym i zademonstrował je dumnie.

— A do tego wszystkiego mam świeżą kukurydzę. Puny obrała kolby i zrobiła kukurydziane purée, jest słodka jak cukier. Podgrzeję wujaszkwowi miskę.

— Bardzo chętnie — zgodził się starszy mężczyzna. — Przepraszam, że sprawiam kłopot.

— Ależ to żaden kłopot!

Prawdę powiedziawszy, był niesamowicie szczęśliwy, że może w końcu zrobić coś dla kogoś innego, po tygodniach bycia zupełnie bezużytecznym.

Nałożył sporą porcję kukurydzy do miski, dodał kilka bułek, które mu zostały, i włożył całość do mikrofalówki. Został prawdziwym zawodowcem w korzystaniu z mikrofalówki; nigdy by nie pomyślał, że to wyzwolenie sprawi mu taką radość.

Gdy nakładał jedzenie na dwa talerze i wyciągał sztuczki, przyjrzał się kątem oka starszemu mężczyźnie. Coś było nie tak.

— Wujaszku Billy, nie jesteś sobą. Poproszę o błogosławieństwo dla naszego posiłku, a potem chciałbym, żeby wujaszek opowiedział mi, co się dzieje.

Wujaszek Billy złożył dłonie pod podbródkiem i pochylił głowę. Robił co mógł, żeby lewa dłoń przytrzymała w miejscu prawą.

— Ojczy, dziękuję Ci, że przysłałeś tego drogiego przyjaciela do mojego stołu, to zaszczyt cieszyć się jego towarzystwem. Boże, prosimy Cię o siłę dla Billa Watsona: siłę ducha, moc umysłu, siłę wiary, siłę ciała. Bądź łaskaw zesłać na niego moc Twojej wszechmocnej, a mimo to czulej łaski i obdarz go nadzieją i zdrowiem na wszystkie dni jego długiego i posłusznego życia. Prosimy również, abyś zesłał moc łaski na Puny, za to, że przygotowała to, co Ty wiernie raczyłeś zesłać, i prosimy Cię również, żebyśmy zawsze byli wrażliwi na potrzeby innych. W imię Jezusa, amen.

— Amen!

Postawił miskę kukurydzy i talerz z gorącymi bułkami przed swoim gościem.

— Jeszcze skwierczą! Proszę się częstować, wujaszku Billy, a tutaj jest masło.

— Tak, proszę ojca, i mam nadzieję, że kukurydza nie jest za mocno posolona, lekarz mówi, żeby się trzymać z daleka od soli.

— Jest wujaszek w dobrych rękach. Nie używamy tutaj zbyt wiele soli.

— Gdy skończymy, mam dowcip przygotowany specjalnie dla ojca.

— Wspaniale! — zawołał. — Wspaniale!

I będzie się śmiał, nawet gdyby miał wyzionąć ducha.

Wujaszek Billy począł delikatnie kosztować kolację; następnie, dostawszy, jakby to określiła mama ojca Tima, „przychodzącego apetytu”, rozpędził się i opróżnił całkowicie swoją miskę i talerz.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— Objadłem się tak, że za chwilę chyba pękne!

— A ja pękam z ciekawości, żeby usłyszeć wujaszka dowcip.

— Mam ich razem trzy. Zajął mi trochę czasu, żeby je wszystkie zebrać.

— Rozumiem. Kazania też nie przychodzą łatwo.



— Czy jest ojciec zadowolony, że nie głosi już ojciec kazań w każdą niedzielę?

— Będę głosił kazanie w najbliższą niedzielę — na końcu ulicy. I zapewne w następną niedzielę. Mam nadzieję, że będzie mógł wujaszek przyjść do kościoła razem z panną Rose.

— Jeśli damy radę.

— Proszę mi powiedzieć, jak się wujaszek czuje. Co mówi Hoppy?

— Jedna z tabletek, które mi przepisał, sprawia, że kręci mi się w głowie, więc przestałem ją brać.

— Nie wiem, kto jest gorszym pacjentem, wujaszek czy ja.

— Mówi, że moje serce nie pompuje właściwie, sprawia, że jestem taki słaby.

— Nie może wujaszek przestać zażywać swoich lekarstw, to poważna sprawa. — Usłyszał stanowczość w swoim głosie. — Być może przyszedł czas, żebyście przeprowadzili się z panną Rose do Domu Nadziei.

Wiedział, z jaką spotka się reakcją, ale nie zaszkodzi poruszyć tego tematu ponownie.

— Nie, proszę ojca, nie przeprowadzimy się, Rose nawet mułami nie da się wyciągnąć z domu jej brata. Wystarczy tylko pomyśleć o moim artretyzmie, który mi dokucza, i o moim sercu, które zupełnie wysiada. Byłbym już na pewno u Pana Boga, gdyby nie to, że zostawiłbym tutaj Rose.

Ojciec Tim westchnął.

— Nie ma takiego człowieka, który by z nią wytrzymał, wie ojciec.

Zadzwoń jutro do doktora Wilsona i dowie się szczegółów. A teraz lepiej, żeby znaleźli jakiś powód do weselości, zanim całkiem spuszczą nosy na kwintę.

— Co słyhać w wujaszka ogrodzie?

— Nic nie słyhać. Nic nie wzeszło z nasion, które dała mi Dora. Tylko jeden mały kiełek, a i jego zjadł królik.

— Usiądźmy w pracowni, wujaszku Billy, pomogę wujaszкови zejść.

Z pomocą ojca Tima starszy mężczyzna skierował stopy na podłogę i ześlizgnął się z taboretu.

— Na Jowisza! — wykrzyknął, gdy misja została ukończona.

— No cóż, proszę ojca — powiedział wujaszek Billy.

Pierwszy dowcip poszedł lepiej, niż przypuszczał. Teraz przyszedł moment na dowcip o kaznodziei, który — jak mu się wydawało — miał spore szanse ze względu na tematykę. Stojąc przy ławie i zajmując dzięki temu centralne, jak mu się wydawało, miejsce, wziął głęboki oddech i oparł się na swojej trójnożnej lasce.

— Zmarł pewien kaznodzieja, wie ojciec, i oczekiwał w kolejce do bram raj. Przed nim stał gość w dżinsach, skórzanej kurtce i z tatuażem na ramieniu. Święty Piotr zwraca się do gościa z pytaniem: „Kim jesteś, żebym wiedział, czy mogę cię wpuścić do Królestwa Niebieskiego?”. Gość odpowiada, jestem Tom taki a taki, prowadziłem taksówkę w Nowym Jorku. Święty Piotr spogląda na listę i odpowiada: „Weź tę jedwabną szatę i złotą laskę i wejdź do Królestwa Niebieskiego!” Potem woła: „Następny!”.

Podchodzi kaznodzieja, wypina pierś i mówi: Jestem wielbny Jimmy Lee Tapscott, pastor w kościele baptystów przez czterdzieści trzy lata”.

Święty Piotr spogląda na swoją listę, wie ojciec, i mówi: „Weź worek pokutny i tę laskę z hikory i wejdź do Królestwa Niebieskiego”.

Kaznodzieja na to: „Chwileczkę! Te facet był taksówkarzem i dostaje jedwabną szatę i złotą laskę?”.

Na to święty Piotr: „Gdy ty głosiłeś kazania, ludzie spali. Gdy on prowadził samochód, ludzie się modlili”.

Ojciec Tim odrzucił do tyłu głowę i zaniósł się śmiechem. Potem klasnął w dłonie i klepnął się kilka razy w nogi, nadal się śmiejąc. Wujaszek Billy w całym swoim życiu nie widział takiego korowodu. Dlaczego kaznodzieja nie zostawi trochę sił na jego ostatni dowcip?

— Chwileczkę! — zawołał. — Mam jeszcze jeden.

— Dobrze — zgodził się ojciec Tim. — Ten był naprawdę dobry.

— Może wykorzystać go ojciec w kościele, za darmo.

Wujaszek Billy poczuł, jak intensywnie pracuje mu serce, co według jego opinii było dobrym znakiem. Wyprostował się na chwilę, żeby odpoczęły mu plecy, potem znowu oparł się na lasce, jakby zasłaniając się przed silnym wiatrem. Ten był najważniejszy i chciał, żeby poszedł naprawdę gładko.

— No cóż, proszę ojca, mieszkały razem trzy starsze siostry, wie ojciec. Najmłodsza miała osiemdziesiąt dwa lata, średnia dziewięćdziesiąt parę, a najstarsza była bardzo posunięta w latach. Pewnego dnia najstarsza nalała wody do wanny. Wstawiła do niej jedną stopę, zaczęła myśleć i w końcu zawołała do swoich siostr na dole: „Czy ja wchodzę do wanny, czy z niej wychodzę?”.

Średnia siostra zaczęła wchodzić po schodach na górę, żeby pomóc, wie ojciec, potem zastanowiła się przez minutę. W końcu zawołała do swojej najmłodszej siostry: „Czy ja wchodziłam po schodach na górę, czy schodziłam na dół?”.

Najmłodsza siostra, która siedziała w kuchni i piła kawę, mówi na to: „No cóż, pewnie będę musiała wejść tam do nich i pomóc im... Ojej, mam nadzieję, że nigdy nie zrobię się tak zapominalska, odpukać w niemalowane drewno!”.

Zapukała w stół, wie ojciec, potem się poderwała i woła: „Już do was idę, muszę tylko sprawdzić, kto puka do drzwi!”.

Wujaszek Billy nie mógł się powstrzymać od tego, żeby się nie uśmiechnąć do kaznodziei, który nie tylko się śmiał, ale na dodatek wycierał oczy. Starszy mężczyzna potraktował to jako jeden z największych komplementów w swoim życiu. Zdarzało mu się już słyszeć śmiech; wydawało mu się, że każdemu może się udać wywołać śmiech, jeśli się tylko wystarczająco postara, ale łyzy... to już zupełnie inna sprawa, to było marzenie każdego profesjonalisty. Serce biło mu mocno, a kolana się pod nim ugięły. Usiadł ciężko na skórzanym fotelu kaznodziei i usłyszał coś, czego nie słyszał już od dawna...

Był to dźwięk jego własnego śmiechu.

Po tym, jak ojciec Tim odwiózł swojego przyjaciela do muzeum miejskiego i odprowadził go do wejściowych drzwi, pojechał do domu i zaparkował samochód w garażu. Gdy wyłączył silnik, wróciło wyczerpanie. Przyszło nagle, falą, która pozbawiła go siły i przestraszyła go. Gdyby nie to, że Barnaba czekał na spacer, mógłby siedzieć w samochodzie do końca świata. Czy ten straszny ból w jego duszy nigdy się nie skończy?

Zmusi się do tego, żeby przejść się ze swoim dobrym psem pod pomnik i z powrotem. Było powszechnie znanym faktem, że zarówno psy, jak i diabetycy potrzebują ćwiczeń.

Barnaba szedł dzisiejszego wieczoru wolniej niż jego pan, co nie było źródłem radości dla ojca Tima. Jego pies nie będzie z nim na zawsze; człowiek musi opłakać stratę czterech albo pięciu najlepszych przyjaciół w życiu — ale nie może myśleć o tym teraz.

Gdy szli przez miasto, zaczęły się pokazywać robaczki świętojańskie. Pod pomnikiem stał zauroczony na trawiastym rondzie i obserwował, jak maluteńkie światełka tańczą nad żywopłotem. Jeden na chwilę oświetlił ucho

psa, inne migotały w gałęziach drzew po drugiej stronie ulicy. Powinien pójść do domu i znaleźć słoik, zrobić dziurki w pokrywie, złapać kilka, zgasić światła w swoim pokoju i — z Barnabą leżącym w nogach jego łóżka — obserwować je, jak migotają i błyszczą niczym gwiazdy. Później oczywiście otworzy okno i je wypuści, dokładnie tak jak robił to, gdy był chłopcem...

Opuszczał właśnie rondo przez szczelinę w żywopłocie gdy nadjechał samochód. Był to czarny lincoln Edith Mallory, nowy model, który błyszczał i mienił się w świetle ulicznych lamp. Posuwając się wolno, objechał pomnik i skręcił w prawo na Lilac Road.

Barnaba warknął niskim głosem. Gdy ojciec Tim pochylił się, żeby pogłaskać go po szyi, poczuł, jak zjeżyła mu się na karku sierść.

O dziewiątej wieczorem usiadł w ciemnej sypialni, słuchając chrapania Barnaby.

Zastanawiał się, czy powinien był przyjąć pracę w Szpitalu Dziecięcym. Kilka lat po przejściu na emeryturę nadal zastanawiał się, czego oczekuje od niego Bóg. Jak długo jeszcze będzie mógł, nie wspominając o Bogu Wszechmogącym, znieść to nieustające wpatrywanie się we własny pępek? Czy jest to cholerny kryzys wieku średniego, przesunięty o trzydzieści lat?

Jakby znalazł w życiu jakiś inny cel, powiedziała Cynthia. Jaki inny cel? Wyglądało na to, że nie ma żadnego celu, co dopiero mówić o jakimś innym celu. Pracując w Szpitalu Dziecięcym, będzie mógł decydować o swoim czasie pracy, kontaktować się z obecnymi darczyńcami, których w zdecydowanej większości bardzo lubił, i stworzyć nową listę kontaktów — było wiele osób, z którymi nigdy się nie kontaktował w zachodniej diecezji...

Kiedy rozmawiał ostatnio z Johnem Brewsterem, stanowisko było nadal wolne. Cóż złego byłoby w tym, gdyby zadzwonił do Johna i zapytał, jak się mają sprawy?

Ale czy naprawdę, w głębi serca, chce tej pracy? Czy też może starał się wypełnić czas własnym planem dobrych uczynków, nie chcąc poczekać na Boży plan?

Przypomniał sobie opowieść, którą usłyszał z ambony w Wesley. Młody chłopak znalazł kokon i widząc, jak insekt w środku męczy się, żeby wydostać się na zewnątrz, rozciął kokon na dwie części scyzorykiem, żeby pozwolić mu wyjść. W rezultacie rodzący się motyl zginął. Kolekcjoner motyli wyjaśnił mu, że to właśnie walka w kokonie daje motylowi siłę i sprawia, że jego skrzydła mogą urosnąć i się rozwinąć. Dopiero wtedy będzie mógł się wydostać i uwolnić.

Czy tkwi w tym dziwnym i niewypowiedzianym stanie, czekając na swoje skrzydła?

— Boże — pomodlił się na głos — chciałbym objąć to stanowisko, jeśli taka jest Twoja wola.

Umyje zęby i zadzwoni do Johna.

Stanowisko jednak było zajęte.

— I to w samą porę! — powiedział administrator szpitala.

Cóż mógł powiedzieć? Jego modlitwa została wysłuchana.

— Właśnie odkryliśmy, że należy wzmocnić fundamenty całego budynku. Gdy wznoszono tę starą konstrukcję w 1901 roku, zaczęli układać cegłę na zakładkę. Przy tej wodzie spływającej z gór za nami cegły zaczęły niszczeć i cały fundament ugiał się, co tłumaczy pęknięcia na wewnętrznych ścianach budynku.

— Niedobrze.

— Gdy zobaczyłem szacunek kosztów, to miałem ochotę wypaść na korytarz i poszukać wolnego łóżka.

— O jakiej kwocie mówimy? — zainteresował się ojciec Tim.

— Blisko trzy czwarte miliona.

— Udało ci się znaleźć kogoś dobrego?

— Tak, to kobieta. Zamierzałem zadzwonić do ciebie i podzielić się nowiną za kilka dni. Idealnie pasuje na to stanowisko, Tim, absolutnie idealnie, to o nią się modliłem.

Gdy odłożył słuchawkę, cieszył się z pomyślnego rozwoju wypadków dla Johna i w szpitalu, który wspierał od ponad dwudziestu lat. Mimo to nie mógł zapomnieć, że John nazwał kiedyś właśnie jego idealną osobą na to stanowisko...

Siedział w fotelu z wysokim oparciem, po raz kolejny wyczuwając, że Bóg przygotował coś dla niego, jaką mądrość, która rozbłyśnie w jego sercu niczym płomień i rozświetli ciemność. Zaczął czytać psalmy, później poczuł chęć, żeby przeczytać Ewangelię według świętego Jana. Była w niej każda możliwa prawda, czego jeszcze mógłby pragnąć albo chcieć człowiek? On jednak cały czas nie znajdował tej jeszcze nie poznanej prawdy, przeznaczonej specjalnie dla niego, prawdy, którą rozpozna natychmiast, jak tylko zostanie mu wyjawiona.

Położył tom na stole, zamknął oczy i odmówił modlitwę, która nigdy nie zawodziła. Bez względu na to, czy znajdzie, czy też nie, upragnioną mądrość, czy uda mu się odzyskać radość, ta modlitwa ochroni go w chorobie i w zdrowiu, w smutku i w radości, gdy będzie odnosił sukcesy, i tak, gdy poniesie ostateczną klęskę.

Jego żona była w Bostonie; jutro cała grupa wyruszy do Chicago, następnie skieruje się do ośrodków na zachodzie, włącznie z Los Angeles. Pozostali autorzy dotarli szczęśliwie, właśnie skończyli kolację, a Miniver Tarleton spełnił wszystkie oczekiwania Cynthii, jakie wiązała z legendarnym, ponadsiemdziesięcioletnim autorem/ilustratorem/wzorcem do naśladowania. Jego żona była wyraźnie zachwycona, a on nie zamierzał żałować jej ani chwili z tej wyprawy.

Nie mógł się jednak oprzeć zasygnalizowaniu męczącej go obawy, nawet jeśli tylko po to, żeby usłyszeć, jak jej zaprzecza.

— Mam nadzieję — powiedział — że nie spodoba ci się za bardzo blask życia w dużym mieście.

— Timothy! Nigdy nie mogłabym mieszkać w mieście, dużym czy małym! Wiesz to, kochanie.

— Wiem — odparł uspokojony.

— Prawdę powiedziawszy, uważam, że powinniśmy skorzystać z propozycji Hala i Marge i zamieszkać na ich farmie przez następny rok.

— Naprawdę chciałabyś to zrobić?

— Bardzo!

— A skoro mowa o następnym roku, Dooley mówi, że chciałby spędzić lato z nami.

— Doskonale! — zawołała. — W Meadowgate wszyscy moglibyśmy być razem w miejscu, które on kocha.

— Mogłabyś napisać książkę o Violet, która wyjeżdża na wieś.

— Już ją napisałam, najdroższy. Wieki temu! Poza tym nie zamierzam pisać żadnej książki przez cały następny rok!

Zawsze gdy jego żona mówiła, że nie zamierza napisać książki, zaczynała nad nią pracować.

— Zostanę za to żoną farmera. Będę chodziła na bosaka, zbierała polne kwiaty, jajka, robiła masło... — Przerwała, zastanawiając się. — Prowadziła traktor!

— Cynthia, Cynthia...

— Życie jest takie krótkie, Timothy!

— Prowadzenie traktora może je uczynić jeszcze krótszym — zauważył, jako że był rodzinnym pesymistą.

— A jak chce postąpić Dooley w sprawie Sammy'ego?

— Zastanawia się nad tym.

— Podejmie słuszną decyzję.

— Tak — zgodził się. — Pauline nie chce podejmować żadnych kroków, dopóki Dooley nie przemyśli wszystkiego. Poo i Jessie jeszcze nie wiedzą.

— Modłę się, najdroższy, i wierzę, że wszystko będzie dobrze i bardzo dobrze. A teraz pora kłaść się do łóżka. Sprawdzaj poziom cukru, pamiętaj o diecie, odpoczywaj, bądź posłuszny Puny i nie zapomnij o wizycie u okulisty.

— Załatwione — odparł. — Niech Jego anioły towarzyszą każdemu twojemu krokowi.

— Timothy...

— Tak?

Szczęśliwe westchnięcie.

— Jesteś miłością mojego życia.

— Wzajemnie! — wykrzyknął. — Przy okazji, czy słyszałeś ten kawał o trzech starszych siostrach, które...

— Timothy? Przepraszam, że tak późno dzwonię... Edith Mallory.

Odruchowo rzucił słuchawką na koniec pokoju i usłyszał, jak odbija się od ściany i spada na podłogę.

Na długo przed przyjściem Puny on już nie spał. Wypił najpierw filiżankę kawy, a potem, zgodnie z zaleceniami lekarza, przetrzucił się na herbatę ziołową. Herbata ziołowa! Nigdy by nie pomyślał, że dożyje tego dnia.

— Zgadza się — odparł Hoppy — a jeśli nie zadbasz o siebie, to rzeczywiście nie dożyjesz tego dnia.

— Bardzo śmieszne.

— Śmiech jest jak zdrowie, przyjacielu.

Potrząsał głową, zalewając wrzącą wodą torebkę herbaty. Posługując się białym kitem i stetoskopem jako rodzajem licencji, Hoppy Harper mógł spokojnie praktykować morderstwo.

Nastawiał właśnie wodę na herbatę, gdy zadzwonił telefon. Mając nadzieję, że to Cynthia, natychmiast odebrał.

— Timothy, jeśli odłożysz, to stracisz szansę dowiedzenia się, jaki cudowny pomysł przyszedł mi do głowy, coś, co powinno być ci bardzo bliskie.

Usiłował się odezwać, ale nie był w stanie.

— Proszę, nie denerwuj się tak bardzo, gdy dzwonię, próbuję jedynie zrobić coś wartościowego dla społeczeństwa. Czy to nie właśnie ty nagabywałaś mnie w tej sprawie? Hm?

— Nie dzwoń tu nigdy więcej — odparł, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

— Nigdy, przenigdy?

Usłyszał, jak wciąga ostro powietrze i jak wydycha dym ze swojego brązowego papierosa.

— Tak! — zawołał, rzucając słuchawkę na widełki.

Stanął przy ladzie w kuchni i wziął głęboki oddech. Potem kolejny. Zaledwie w przeciągu kilku sekund znowu poczuł spokój, nawet pewność siebie; w końcu to on panował nad sytuacją.

Mimo to zauważył, że drży mu ręka, gdy podnosił kubek.

— Proszę! — zwrócił się do Puni, która myła żółty kabaczek przy zlewozmywaku. — Weź sobie dzień wolnego! Nic mi się nie dzieje, nie musisz być moją pielęgniarką.

— Nie zamierzam brać sobie wolnego.

— Puni, dlaczego masz takie problemy z wykonywaniem poleceń swojego pracodawcy?

— Gdy chodzi o opiekowanie się ojcem, przyjmuję polecenia od Cynthii. Powiedziała, że mam przychodzić codziennie, i to właśnie robię.

— Mogłabyś spędzić ten dzień ze swoimi dziećmi.

— Spędzam dzień ze swoimi dziećmi. Poszły do drogerii i zaraz będą z powrotem.

— Dom jest posprzątanym, pranie zrobione, moje koszule wyprasowane...

— Ale ojca lunch nie jest jeszcze ugotowany ani kolacja.

— Mógłbym zjeść lunch w barze Grill.

— Ojciec...

— Tak, Puni?

Odwróciła się od zlewozmywaka, znużona.

— Powiem ojcu to, co mówi mi Joe Joe, gdy proszę go, żeby wstał w środku nocy i przyniósł mi miseczkę lodów ze słodkimi piklami.

— I co mówi?

— Daj sobie z tym spokój!

— Dobrze — odparł.

Wziął swój notes z kazaniem z lady w kuchni i skierował się do korytarza. Zatrzymał się w drzwiach.

— Poczekaj chwileczkę. Lody ze słodkimi piklami?

— Tak, proszę ojca.

— To znaczy...?

Jej piegowata twarz nigdy nie wydawała mu się tak piękna, tak promienna.

— Tak, proszę ojca. Znowu zostanie ojciec dziadkiem.

# Rozdział piętnasty

## NA TEJ GÓRZE

George Gaynor spojrzął z dzwonnicy Lord's Chapel na wschód, na zielone wzgórza okalające Mitford.

— X oznacza to miejsce — wyjaśnił. — Moja dusza została zbawiona, gdy stałem dokładnie w tym miejscu.

Ojciec Tim przeżegnał się, wzruszony wspomnieniem George'a schodzącego z kościelnego poddasza pewnego niedzielnego ranka, ponad osiem lat temu. Stojąc na bosaka przed oniemiałą kongregacją, przyznał się do kradzieży klejnotów, opowiedział o długich miesiącach, podczas których ukrywał się na kościelnym poddaszu, i wyznał swoją nowo odnaną wiarę w Jezusa Chrystusa.

— Czasami wydaje mi się, że to przez ten śpiew — wyznał George.

Łzy popłynęły mu po policzkach; otarł oczy rękawem koszuli.

— Nadal płaczę, ojcze, gdy o tym myślę.

— To Duch Święty sprawia, że twoje serce pozostaje czułe.

— Ale oczywiście, to było coś więcej niż tylko śpiewanie. Pamiętam, że ukradłem ojca Pismo Święte...

Ojciec Tim zachichotał.

— Przewróciłem to miejsce do góry nogami, szukając go.

— Potrzebowałem kilku dni, żeby podjąć decyzję, by je otworzyć. Byłem przekonany, że gdy je otworzę, stanie się coś bardzo ważnego, coś... poza moją kontrolą.

— Tak!

— Wreszcie zacząłem czytać Ewangelię świętego Jana, a to był najlepszy początek, jaki mogłem zrobić. Gdy czytałem kolejne rozdziały, zaczęło mnie również intrygować to, co zapisał ojciec na marginesie. Co uczynił dla ojca Chrystus? Jak bardzo zmienił ojca życie w tej części, której nikt na co dzień nie oglądał, której może nie widać, gdy stoi ojciec na ambonie? Próbowałem znaleźć serce w tym, co zapisał ojciec prywatnie, być może żeby zobaczyć, czy gdzieś się ojciec nie potknął w jakiś sposób i nie zdradził, że to wszystko jedna wielka lipa.

— Czy miałeś nadzieję, że okaże się to lipą?

George usiadł na szerokim kamiennym parapecie okna dzwonnicy.

— Tak, proszę ojca, miałem nadzieję. Zaoszczędziłoby mi to problemu zawierzenia czegokolwiek Bogu. Byłem łajdakiem i trzymałem się kurczowo swojego łajdactwa.

— Czyż nie robimy tego czasami my wszyscy?

Odczuwał nikczemność trzymania się kurczowo własnego łajdactwa przez te ostatnie tygodnie, najwyraźniej nie potrafiąc zawierzyć niczego.

— Przeczytałem wszystkie Ewangelie, ale cały czas wracałem do Ewangelii według świętego Jana, gdzie przestudiowałem to, co miał do powiedzenia Jezus, z najwyższą uwagą. Zacząłem uczyć się na pamięć wersetów, w przekonaniu, że to jedynie sposób na spędzenie czasu. Wtedy werset z rozdziału piętnastego zaczął...

George zawahał się.

— Zaczął...?

— Mnie prześladować, w pewnym sensie. Jeżeli we Mnie trwać będziecie, a słowa moje w was, to proście, o cokolwiek chcecie, a to wam się spełni". Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, o co mógłbym poprosić Boga. A

przede wszystkim nie wierzyłem, że Bóg, jeśli naprawdę istnieje, byłby zainteresowany spełnianiem jakiegokolwiek życzenia, które zdołałbym wymyślić.

W dzwonnicy dało się wyczuć lekką bryzę.

— Był to rodzaj intelektualnego koszmaru, siłowanie się pomiędzy logiką i tęsknotą, że tak powiem. Chciałem Go o coś poprosić, ale nie mogłem uwierzyć, że naprawdę jest otwarty na prośby. Wtedy, pewnego dnia, Pete Jamison wszedł do kościoła i usłyszałem, jak ktoś krzyczy: „Czy jesteś tam na górze?”

George spojrział na ojca Tima, uśmiechając się. Obydwaj mężczyźni wybuchli śmiechem, jakby obydwaj znali ten sam rodzinny dowcip.

— Przeraziło mnie to na śmierć — wyznał George. — Pomyślałem, co za idiota pyta, czy tu jestem — czy myśli, że zamierzam zawołać: Pewnie, wejdź tu i zobacz, jaki mam ładny widok? Pomyślałem, że może to policja federalna, ale nie mogłem się nadziwić, dlaczego są tacy uprzejmi.

Zaśmiali się razem ponownie, delektując się miłym uczuciem, jakie niosła ze sobą ich więź, swojskością opowieści, która przeszła do historii Mitford.

— I wtedy usłyszałem, jak ojciec rozmawia z Pete'em, i słuchałem tego, co ojciec mówi, jakby od tego zależało moje życie. Oczywiście, moje życie od tego zależało. Powiedział ojciec, że jego pytanie nie powinno brzmieć, czy Bóg jest tam na górze, tylko czy Bóg jest tam na dole. Zdałem sobie wtedy sprawę, że zaczynam doświadczać Jego obecności tam na dole i że Jego słowa zaczynają w jakimś sensie we mnie „trwać”. Gdy poprosił ojciec Pete'a, żeby odmówił tę modlitwę, nie miałem pojęcia, co zamierza ojciec powiedzieć, ale wiedziałem, że będzie zawierać wszystko, o co kiedykolwiek chciałem Go poprosić. To dlatego, gdy Pete odmawiał modlitwę zbawienia, modliłem się razem z nim.

— Dwóch za jednym razem.

— Ta modlitwa, ta chwila, zmieniła wszystko.

— Alleluja! — odparł cicho ojciec Tim.

Wyglądali przez okna, milcząc przez chwilę. Ktoś jechał na niebieskim rowerze po przeciwległym chodniku. Samochód jadący Church Hill skręcił w podjazd prowadzący do Fernbank.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli posuwam się zbyt daleko — rzekł George, zwracając się do ojca Tima. — Wydaje mi się, że być może... ojciec sam zмага się z czymś obecnie.

To straszne, że inni mogą to wyczuwać. Zaczerwienił się.

— Być może tak samo w ostatnich tygodniach, jak w całym moim życiu.

Wiedział jednak, że może być szczery z George'em. Nie musiał udawać, że jest doskonały, tylko dlatego, że jest księdzem.

— Próbuję czekać na Niego, żeby rozświetlił ciemność, potem zaczynam się bać i usiłuję rozświetlić ją samodzielnie.

— Coś, co zapisał ojciec na marginesie — przypomniał sobie George — nie pamiętam gdzie... „Ważne, kształtujące nasze życie okresy to nudne, długie przerwy pomiędzy dużymi wydarzeniami”. Dość proste stwierdzenie, ale bardzo głębokie, jeśli się nad nim głębiej zastanowić. Kiedyś wierzyłem, że kształtujące nasze życie okresy to te okresy na szczycie, okresy wielkiego zachwyty...

— Radosne hosanny...



— Kolega ojca po fachu, Oswald Chambers — wie ojciec, że dużo go czytałem w więzieniu — powiedział coś takiego: „Wysokość górskiego szczytu mierzy się szarą głębią doliny”. Dalej napisał, że to właśnie w przestrzeni upokorzenia odnajdujemy naszą prawdziwą wartość dla Boga, że to właśnie tam odkrywa się nasza wiara.

— Wstydzę się do tego przyznać, ale wydawało mi się, że znam swoją prawdziwą wartość przed Bogiem, wydawało mi się, że już dawno temu udowodniłem mu swoją wierność. Nie pomyślałbym, że... może wymagać czegoś więcej.

Proszę bardzo. Powiedział to w końcu.

— Być może powinien się ojciec cieszyć, że wymaga czegoś więcej. Wydaje mi się, że Bóg nie prosi o więcej każdego przeciętnego człowieka.

Ojciec Tim wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł oczy i nos.

— Niech cię Bóg błogosławi — odparł. — Dziękuję.

— Dziękuję, że poprosił mnie ojciec, żebym tu z ojcem dzisiaj przyszedł. Zrobiłem coś kilka tygodni temu. To idealna chwila...

George wyjął z kieszeni kurtki małą papierową torebkę, a z niej drewniany krzyż.

— Ty to zrobiłeś?

— Tak, proszę ojca. Harley miał kilka patyków drewna wiśniowego, które leżały bezużytecznie. Wiśnia jest twarda jak granit, ale udało mi się ją wystrugać, a potem natarłem całość woskiem.

Słup porannego światła padał na wypolerowany krzyż. Przez otwór na górze przeciągnięty był kawałek szpagatu.

— Czy widzi ojciec ten gwóźdź?

George wskazał na rdzewiejący gwóźdź pomiędzy dwoma oknami dzwonnicy.

— Ach!

Nigdy wcześniej go nie widział, ale z drugiej strony nieczęsto tutaj przesiadywał...

— Wpatrywałem się w ten gwóźdź, jakby był jakąś wielką filozoficzną zagadką. Skąd się tam wziął? Jakiego celowi mógłby służyć? Kto go tam umieścił, zadając sobie trud, żeby wbić go tak starannie w cement pomiędzy kamieniami? Nigdy nie zapomniałem o tym gwoździu.

George zawinął szpagat wokół gwoździa, przywiązał do niego krzyż, potem odsunął się.

— Na tej górze — powiedział — spocznie na mnie ręka Pana...

Drewniany krzyż zawisł na kamiennej ścianie pomiędzy oknami. Po obydwu jego stronach ciągnęły się aż po letnie chmury kopuły błękitnego nieba wysokie zielone wzgórza. George odwrócił się i oparł dłonie na ramionach swego przyjaciela.

— Na tej górze niech ręka Pana spoczywa zawsze na tobie, przyjacielu. Pamięta ojciec swoje ostatnie słowa, gdy wyjeżdżałem stąd osiem lat temu?

— Pamiętam.

— „Którzy we łzach sieją, żąć będą w radości. Postępują naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na zasiew; z powrotem przychodzą wśród radości, przynosząc swoje snopy”.

Ojciec Tim uśmiechnął się.

— I przyszedłeś z powrotem wśród radości.

— I ojciec też przyjdzie z powrotem w radości, proszę mi wierzyć.

Przed wyjściem zauważyli z radością, że krzyż wyglądał tak, jakby wisiał tam już od bardzo długiego czasu.

Ojciec Tim odebrał wstępną wersję niedzielnego biuletynu kościelnego z kancelarii Lord's Chapel i poprosił o poprawienie dwóch błędów drukarskich. Potem, gdy misja została zakończona, obydwaj mężczyźni wyszli na zewnątrz, rozkoszując się ciepłym sierpniowym popołudniem.

Na końcu krótkiej alejki prowadzącej na ulicę George zawahał się.

— Jest coś, co muszę ojcu powiedzieć.

— Mów śmiało!

Poczuł się lżej na duchu; jego ciało wydawało się mniej napięte i czuł, jakby z ramion spadł mu ogromny ciężar.

— Nie tak dawno klient tankował benzynę u Lew i rozpoznał Harleya jako kogoś, z kim siedział.

— Ach. Niedobrze.

— Był z zachodniej Wirginii, więc nie miał tutaj nic do stracenia przez to, że powie, że był w więzieniu. Obwieścił to na całej stacji. Harley bardzo źle to zniósł. Teraz Lew ma u siebie dwóch byłych skazańców i ludzie o tym mówią. Ponieważ mieszkamy w ojca domu, może chciałby ojciec wiedzieć, co mówią.

— Co mówią?

Lekkość ducha, którą odczuwał zaledwie kilka sekund temu, zupełnie go opuściła, a jej miejsce zajęło coś na kształt strachu.

Po przebiegnięciu trzech kilometrów płaską drogą do Farmer — bieg w górę Church Hill w ogóle nie wchodził w rachubę — poszedł do domu i zadzwonił do Hoppy'ego. Lekarz przyjmował pacjenta, ale recepcjonistka zapisała jego numer.

Przebrał się, poszedł do kuchni i otworzył drzwi lodówki. Umiera z głodu. Ale już jadł. Wyjął dwa kawałki marchewki z pojemnika na owoce i warzywa. Niech licho weźmie tę chorobę, miał ochotę na burgera, lekko opieczonę na ogrodowym grillu, z majonezem i przyprawą ze słodkich pikli, dużym kawałkiem cebuli Vidalia i grubym plastrem wyhodowanego w dolinie pomidora Big Boy, z dużą ilością soli i pieprzu, a wszystko to na razowej bułce domowego wypieku, z dodatkiem surówki z białej kapusty. Poszedł do swojej pracowni i kopnął podnózek przed swoim skórzanym fotelem.

Nie mógł już tego dłużej odkładać, chodzić w kółko po pokoju i trzymać się kurczowo cienia nadziei, że niedzielne kazanie spadnie mu w ramiona prosto z nieba.

Czy zdoła to zrobić? Czy zdoła nauczać w swoim starym kościele i przyczynić się w jakiś wartościowy sposób do nabożeństwa? Nie mógł oszukiwać w tej sprawie siebie ani Boga — czuł się stremowany i roztrzęsiony. Potrzebował kogoś, kto wygłosiłby mu kazanie.

— „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia!” — wypowiedział gromkim głosem werset 13 z rozdziału 4 z Listu do Filipian.

— Czy to oznacza zaledwie to i owo, Timothy, czy rzeczywiście wszystko? — zadał sobie pytanie, gdy tak chodził tam i z powrotem po jasno oświetlonej pracowni.

Umierał z głodu.

— Wszystko! — zawołał swoim głosem kaznodziei. Proszę. To powinno wystarczyć.

Opadł na krzesło przy biurku i zaczął się wpatrywać w swoją starą maszynę do pisania marki Royal, którą wydobyl z kąta pokoju, gdzie stała przez cały wiek przykryta pokrywą, następnie otworzył szufladę, wyjął kartkę papieru i założył ją na rolkę.

Jak na razie wszystko w porządku.

Wyjął Pismo Święte, już otwarte na fragmencie Listu do Hebrajczyków, który studiował wczoraj wieczorem. Dzięki Bogu za ten rozdział, jeden z najwspanialszych w całym Piśmie Świętym. Jego potężna siła napomnienia niejednokrotnie ratowała kark jego i całych rzeszy innych.

Prawdę powiedziawszy, jedenasty rozdział Listu do Hebrajczyków był kazaniem samym w sobie, nie wymagającym nędznej egzegezy od niego, zmęczonego i emerytowanego wiejskiego księdza — ale ludzie chcieli właśnie egzegezy i egzegezę dostaną...

Odebrał niuśtepliwy telefon, zapominając, że zamierzał ściszyć dzwonek i włączyć automatyczną sekretarkę.

— Ojciec? Mówi Betty Craig.

— Betty!

Wspaniała siostra, która opiekowała się dziadkiem Dooleya w swoim domku na górze.

— Czyżbyśmy zapomnieli o dostawie wątróbki dla Russella w tym tygodniu?

— Nie, proszę ojca, to nie o to chodzi. Zrozumiał natychmiast.

— Pan Jacks odszedł dzisiaj rano o ósmej trzydzieści.

— Tak mi przykro, Betty.

To był cios. Będzie jednak dużo większym ciosem dla Dooleya, dla Pauline i dla dzieci — nawet dla Betty Craig, bo przez te wszystkie lata pokochała byłego kościelnego Lord's Chapel, który przez wiele lat sprawiał, że teren przykościelny mógł służyć za wystawę.

— Zawsze mówił, że chciałby, żeby to ojciec odprawił pogrzeb.

— Tak.

— Usiadł dzisiaj rano na brzegu łóżka i po prostu wpatrywał się w ścianę, zobaczyłam go, gdy szłam korytarzem. „Betty — powiedział — czy możesz tu przyjść na chwilkę?” I weszłam, i...

Modlił się cicho, gdy ona płakała.

— I powiedział jeszcze: „Betty, byłaś dla mnie jak córka”. Łkała do telefonu.

— Nie mogę teraz mówić, ojczu, czy może ojciec przyjechać?

— Już jadę.

On i Russell byli przyjaciółmi od ponad dwudziestu lat, a w ostatnim czasie, z wyjątkiem jego tymczasowej posługi duszpasterskiej w Whitecap, zanosił Russellowi wątróbkę co tydzień lub dwa. Zawsze zatrzymywał się na chwilę, żeby posiedzieć na bujanym fotelu albo pospacerować z Russellem po małym ogrodzie, który z dumą urządził dla swojej „strażniczki”.

— Widzi ojciec, to moja strażniczka! — powiedział kiedyś starszy mężczyzna o Betty. — Niech Bóg ma ją w swojej opiece!

Teraz to dusza Russella była pod Bożą opieką. I to on musi być tym, który przekaże tę wiadomość.

Pojechał do Meadowgate, gdzie Dooley odkażał budy. Skryli się w cieniu klonu za stodołą.

— Tak mi przykro, że nie odwiedzałem go częściej. — Dooley potarł oczy, potem z wyraźnym wstydem i żalem dodał: — Mogłem to robić.

Ojciec Tim wybrał się w poszukiwaniu Pauline w Domu Nadziei i znalazł ją w jadalni, jak nakrywała do stołu przed wieczornym posiłkiem.

Pauline opuściła głowę; łzy popłynęły jej po policzkach.

— Tak mi przykro — szepnęła. — Tak mi przykro, że nie odwiedzałam tatusia częściej.

Żal. Jego własne serce najlepiej mogło zaświadczyć o tej prawdzie, świat wydawał się nim przepelniony.

— Na Boga! — wykrzyknęła Puni. — Na miejscu ojca wyrzuciłabym ten telefon przez okno!

Pomagał Pauline w przygotowaniach do pogrzebu; młoda para zadzwoniła z prośbą o udzielenie porady małżeńskiej; był potrzebny w kościele, żeby doradzić kościelnemu, gdzie ma zasadzić krzewy białej azalii, które musiały zostać przeniesione podczas naprawy rury kanalizacyjnej...

— Jest dokładnie tak jak kiedyś! — zawołała jego pomoca.

Tak, pomyślał. Rzeczywiście! I prawdę mówiąc, dość mu się to podoba. Dokładnie rzecz ujmując, podoba mu się to bardzo.

Harley zjawił się pod jego drzwiami o czwartej trzydziści, w drodze do domu od Lew Boyda.

Ojciec Tim rzadko widywał Harleya bez jego bezzębego uśmiechu.

— Nie jestem ojcu w stanie powiedzieć, jak bardzo mi przykro — wyznał Harley, zwieszając głowę. — Najbardziej mi żal, że Dooley się o tym dowie. Lace wiedziała, ale dla niej nie miało to żadnego znaczenia.

— Harley — wyznał — dla mnie to też nie ma żadnego znaczenia.

Harley spojrział na niego bez słowa.

— Ty i George spłaciliście swój dług, to już skończone, należy do przeszłości.

— Wydaje się, że najgorsze w tym wszystkim jest to, że razem z George'em mieszkamy w ojca domu, to tak jakby... przygarniał ojciec pod swój dach kryminalistów.

Ojciec Tim roześmiał się.

— Być może byłoby lepiej, gdyby któryś z nas przeprowadził się w jakieś inne miejsce.

— Nie myśl o tym. To się rozejdzie po kościołach. Przyjdźcie z George'em po mnie i pójdziemy razem do kościoła w niedzielę, przyda mi się wasze wsparcie.

Na twarz Harleya znowu wypłynął uśmiech od ucha do ucha.

Hoppy zadzwonił po piątej po południu.

— Bill Watson ma zastoinową niewydolność serca. Nie ma na to lekarstwa, ale leki mogą pomóc w złagodzeniu objawów.

— Przestał je przyjmować — odparł ojciec Tim, czując się jak zdrajca.

— Gdy się rozłączymy, zadzwonię do niego i wygłoszę mu kazanie.

— Zrób to!

Nie miał ochoty odprawiać kolejnego pogrzebu.

— A teraz — zwrócił się do niego Hoppy — jak ty sobie radzisz?

— Całkiem nieźle.

Jeszcze się nie przewrócił, więc chyba musi radzić sobie nieźle.

— Jak się udała wyprawa na Oregon Trail? Hoppy zupełnie zignorował jego troskliwe pytanie.

— Robisz sobie zastrzyki dwa razy dziennie?

— Absolutnie tak.

— Nie jesz chleba kukurydzianego?

— Ani okruszka.

— Ćwiczysz?

— Trzy razy w tygodniu, kilometr na drodze do Farmer.

— A co ze środkami antydepresyjnymi? Cisza. Nie może skłamać.

— Chcę cię zobaczyć jutro. Poproś Jean, żeby znalazła dla ciebie jakieś wolne miejsce.

— Nie mogę przyjść jutro! Mam pogrzeb.

— Pogrzeby nie zajmują całego dnia, przyjacielu. Opowiem ci o naszej wyprawie, gdy się zobaczymy jutro.  
Do licha.

Drzemał na sofie, gdy zadzwonił telefon.

— Ojczy, co słyszeć? Mówi Lew Boyd.

— Lew!

Był odurzony snem, ale dość świadomy, żeby natychmiast usiąść prosto i wziąć głęboki oddech. To był telefon, którego się obawiał.

— Jest coś, o czym chciałem z ojcem porozmawiać.

— Tak, Lew, wiem, bardzo źle się złożyło. Przykro mi. Zapadła pełna zaskoczenia cisza.

— Naprawdę?

— Tak. Bardzo tego żałuję i mam nadzieję, że nie wpłynie to źle na twoje interesy.

— Nie wpłynie to źle na moje interesy? Jak mogłoby to wpłynąć źle na moje interesy?

— Obawiałem się, że mogłoby to odstraszyć niektórych z twoich klientów.

— Nie rozumiem dlaczego — odparł Lew, najwyraźniej bardzo zaskoczony. — Ja tylko chcę się ożenić.

— Ożenić! — Wielkie nieba, przed chwilą najnormalniej w świecie krzyknął. Jego pies zerwał się z dywanu, szczekając.

— Gdy wygrałem konkurs na pikle, dawno temu w szkole średniej, pocałowała mnie.

— To zawsze działa!

— Nie zgłosiłem w tamtym roku koszernego kopru, zgłosiłem korniszony.

— Aha.

— Ma na imię Earlene.

— Earlene! A niech mnie...

— Wie ojciec, że Juanita nie żyje już od sześciu lat.

— To bardzo długo.

— Prawie siedem.

Nie bardzo rozumiał, do czego zmierza ich rozmowa.

— Czy jest coś... co mógłbym zrobić?

— Widzi ojciec, Earlene mieszka w Tennessee, i ja, i ona, no cóż, jestem już wykończony jeżdżeniem tam i z powrotem moim starym pick-upem. Nie jestem już taki młody, wie ojciec, o co mi chodzi?

— W istocie, wiem.

— Więc chodzi mi o to, żeby dał nam ojciec ślub.

— Ojej! Wielkie nieba. Gratulacje!

— Ale jeszcze przez jakiś czas nie możemy nikomu o tym powiedzieć. To musi pozostać sekretem.

— Dlaczego?

— Jej mama ma naprawdę duże kłopoty z sercem. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy jej powiedzieli, chcemy ją przygotować do tego stopniowo; widzi ojciec, Earlene opiekuje się swoją mamą od ponad dziesięciu lat, od śmierci jej taty.

— Rozumiem. O jakiej dacie myśleliście?

— Gdzieś w następnym tygodniu.

— W następnym tygodniu?

— To będzie musiał być wtorek albo środa — powiedział Lew zmartwionym głosem. — Tylko w te dni może wziąć wolne w fabryce mąki. Pracowała w bibliotece, ale fabryka mąki zaproponowała jej takie warunki, nie uwierzyłby ojciec.

— To wspaiała wiadomość, oczywiście. Nie mogę jednak odprawić tej uroczystości, dopóki nie udzielę tobie i Earlene porady.

Starsze pary planujące zawarcie małżeństwa rzadko o tym pamiętały, dlatego podkreślał znaczenie tej formalności.

— To bardzo ważne; to właściwie prawo kanoniczne.

— Prawo kanoniczne?

— Czeka was też trzydziestodniowy okres oczekiwania. Jego rozmówca najwyraźniej osłupiał.

— Czy mogę zapytać, dlaczego chcesz, żebym to ja dał wam ślub?

Lew był baptystą, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

— No cóż, widzi ojciec, Bill Sprouse wciąż jeszcze nie chodzi. A ponieważ ja zajmuję się ojca samochodami od dwudziestu lat czy coś koło tego, pomyślałem, że byłby to dobry sposób, żeby powiedzieć dziękuję.

Gdy Lew odłożył słuchawkę, ojciec Tim leżał na sofie, a w głowie kręciło mu się od wszystkich spraw, które go czekały.

Jak on to wszystko zrobi? Nie wiedział. Wiedział natomiast, że potrzebuje pomocy, potrzebuje...

Nie chciał nawet o tym myśleć, ale musiał przyznać, że potrzebuje Emmy Newland.

Przyłożył dłonie do czoła i wydał z siebie żalony dźwięk, odlegle przypominający jęk.

Jego zaskoczony pies usiadł natychmiast, lecz zrezygnował ze szczeknięcia.

Bał się odebrać telefon. Poczekaj na automatyczną sekretarkę... Pip.

— Ojczy! Mówi Olivia. Wróciliśmy do domu, jesteśmy w Mitford i tak bardzo chcielibyśmy się z ojcem zobaczyć. Słyszałam, że Cynthia jest w podróży i...

Chwycił słuchawkę.

— Olivia! Witaj w domu!

— No proszę, ojciec! Jak cudownie słyszeć ojca głos! Czy przyjdzie dzisiaj ojciec do nas na obiad? Wszystko, co będziemy jeść, jest dobre dla naszego zdrowia. Wiem, że zapraszam z krótkim wyprzedzeniem, ale proszę się zgodzić!

— Zgadza się!

— Lace coś dla ojca przywiozła, nie mogę powiedzieć co, mógłby ojciec zemdleć! To był jej pomysł, ja nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego.

Lace mu coś przywiozła? Uśmiechał się od ucha do ucha.

— Chce również pokazać ojcu swój nowy samochód — nie jest oczywiście zupełnie nowy, mimo to jestem śmiertelnie zazdrosna! I jestem pewna, że Hoppy chciałby się przyjrzeć swojemu pacjentowi — chociaż to ojciec będzie składał domową wizytę.

Szykował się do wyjścia i miał jeszcze kilka minut, żeby przejrzeć notatki do kazania, gdy zadzwonił telefon.

Cynthia zadzwoni dopiero późno wieczorem; znów poczeka na automatyczną sekretarkę.

— Tim, mówi Bill Sprouse, musisz to usłyszeć. Buddy, powiedz ojcu, ile jest osób w Trójcy Przenajświętszej.

Tuż przy słuchawce Buddy zaszczeakał trzy razy.

— Dobry piesek! Teraz, ile jest Testamentów w Piśmie Świętym?

Dwa szczeknięcia.

— Amen! Teraz, powiedz mu, ilu jest prawdziwych Bogów. Jedno szczeknięcie.

— Bracie, czy słyszałeś kiedyś coś lepszego? Zanosząc się śmiechem, ojciec Tim chwycił słuchawkę.

— Zapytaj Buddy'ego, czy chciałby odprawić za mnie mszę w niedzielę.

— Przykro mi, ale nie da rady — zastępuje księdza w Farmer.

Ojciec Tim nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio śmiał się z serca, a nie z głowy.

— Chciałem ci powiedzieć, że już wstałem i kuśtykam dookoła — podzielił się nowiną Bill.

— Dzięki Bogu!

— Zanim się obejrzyysz, wyjdziemy z Buddym na ulicę i będziemy ewangelizować sąsiadów.

Przez całą drogę do Harperów wspominał z radością brzmienie szczęścia w głosie Billa Sprouse'a.

BMW 325 coupé zielonego koloru w odcieniu paproci stało zaparkowane na podjeździe, skąpane w świetle gazowej lampy.

— A niech mnie! — zawołał ojciec Tim, zarówno w imieniu Dooleya, jak i własnym.

Lace stała przed nim z zapakowanym pudełkiem, promieniejąc.

— Czy chciałby ojciec zgadnąć? Może ojciec nim potrząsnąć!

— Nie mam pojęcia... — odparł, czując się jak dziecko w czasie Bożego Narodzenia.

Wziął spore, kwadratowe pudełko i potrząsnął nim. Stłumiony stukot czegoś ciężkiego.

— Hm.

Tak bardzo chciałby rozśmieszyć tę piękną dziewczynę jakąś zabawną próbą odgadnięcia zawartości pudełka, ale z próżnego i Salomon nie należy.

— Miechy do kominka? — zapytał zupełnie bez polotu.

— Nie, ojcie! Proszę spróbować jeszcze raz!

Hoppy siedział w głębokim fotelu, z nogami założonymi jedna na drugą, na stopach miał swoje kowbojskie buty i uśmiechał się od ucha do ucha.

— Może mogłabyś dać ojcu jakąś podpowiedź! — zawołała Olivia.

— Będzie nimi ojciec zachwycony! — wykrzyknęła Lace. Uważał, że jej bursztynowe oczy migoczą i błyszczą w cudowny sposób.

Potrząsnął ponownie pudełkiem. Czuł panujące napięcie. Może to książki...

— Książki!

— Jest ojciec blisko! — zawołała. — Też zaczyna się na „k” i kończy na „i”!

Siedząc w głębokim fotelu, Hoppy najwyraźniej nie mógł pozbyć się z twarzy głupiego uśmiechu, podrzucając jednocześnie w bardzo oczywisty sposób nogą.

Aha! Czy to możliwe?

— Nie — rzucił ojciec Tim, śmiejąc się. — To niemożliwe, żeby to były kowbojki!

Lace aż podskoczyła z radości.

— Zgadł ojciec! Zgadł ojciec! Teraz może ojciec otworzyć pudełko.

Ręcznej roboty. Na obcasach. Jak spod igły. Buty kowbojskie.

— Podobają się ojcu?

Lace czekała w napięciu, gdy chodził po salonie, nie bez aplauzu ze strony publiczności.

Jako mężczyzna, który przez nieomal całe swoje życie preferował półbuty, był odrobinę skonsternowany. Do butów kowbojskich, być może tak jak do kaparów i bakłażanów, trzeba się przekonać. Z drugiej strony, najwyraźniej pasowały na jego nogę, z pewnością dodawały mu wzrostu...

— Zastanawia się — wyjaśnił Hoppy — podobnie jak ja.

— Wydaje mi się, że już to przemyślałem — rzekł ojciec Tim. — Jest zupełnie prawdopodobne, że w najbliższej przyszłości rzeczywiście mogę... być nimi zachwycony!

To, że wszyscy uścisnęli go, gratulując mu decyzji, było dodatkowym bonusem.

Lace studiowała instrukcję obsługi samochodu; Hoppy wrócił do szpitala, żeby sprawdzić stan pacjenta; ojciec Tim i Olivia wyszli na taras i stali przy balustradzie. W zimnym nocnym sierpniowym powietrzu dał się wyczuć efemeryczny zapach jesieni.

— Ojciec, prezent Lace ma być formą podziękowania, nawet jeśli tak niedoskonałą, za wszystko, co ojciec dla niej zrobił. Gdy zobaczyła, jak bardzo był zachwycony swoim prezentem Hoppy, chciała sprawić tę samą radość również ojcu. Kupiła je za swoje własne pieniądze.

— Tym bardziej je doceniam!

— Wiemy, że para butów nie może wyrazić wszystkiego, co czujemy. Mam nadzieję, że nie czuje się ojciec urażony.

— Urażony? Wielkie nieba, to dla mnie pochlebstwo ponad wszelką miarę.

— Bez ojca nieomal z pewnością nie stałabym tutaj w ten cudowny wieczór, a kto wie, gdzie mogłaby być Lace? Dziękujemy, przyjacielu.

— Nie dziękuj mi — odparł. — To wszystko działa się pod przywództwem Ducha Świętego.

Pogładził dłoń Olivii z prawdziwą czułością.

— Lace wygląda wspaniale; powiedz mi, jak sobie radzi, co dzieje się w jej sercu.

— Zastanawiam się, czy jej złość kiedykolwiek minie. Ale jeszcze gorszy jest strach — żyła z nim przez tak wiele lat, nadal dostrzegam go w sposobie, w jaki kuli ramiona. Staje się coraz łagodniejszy, tak, ale rodzaj całodobowej gotowości i czuwania cały czas czai się tuż pod powierzchnią. Pamiętam, jak kiedyś byłam na spacerze w



lesie ze swoim tatą, miałam może dziewięć albo dziesięć lat. Pokazał mi szczególne drzewo w pobliżu rzeki. Wiele lat temu ktoś uderzył w drzewo siekierą i nie wyjął ostrza. Tato pokazał mi, jak drzewo zarosło ostrze, pozostawiając widoczną jedynie jego odrobinę. Strach i złość Lace są tym ostrzem siekiery zarośniętym głęboko w drzewie.

— Jej wiara. Czy była jakoś pomocna?

— Była bardzo pomocna. Mimo to myślę, że może ona wierzyć, tak jak zbyt wielu ludzi na tym świecie, że tak naprawdę nasza własna determinacja pomaga nam w osiągnięciu celu. Siła Bożej łaski jeszcze nie do końca się w niej spełniła, jest jeszcze bardzo młoda.

— Będę się modlił, żeby do końca się spełniła — odparł.

W istocie, gdy modlił się po kolei za wszystkie dusze na swej liście, Lace Turner była nieomal zawsze tuż po Dooleyu Barlowe.

— Wiem, że za wcześnie o tym mówić, ale razem z Cynthią mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia...

Odkrył, że nie zdoła tego powiedzieć, mimo wszystko; wypowiedziane na głos, wydawało się śmieszne.

— Że pewnego dnia stworzą przymierze?

— Cóż, tak.

— Ja i Hoppy też o tym myślimy. Kochamy Dooleya i uważam, że Lace zależy na nim. Ale ich szanse na wspólny związek wydają się niewielkie. Lace potrafi być bardzo krytyczna i zimna, i bardzo podejrzliwa, jeśli chodzi o miłość.

— Podobnie Dooley.

Olivia spojrzała poprzez drzewa na spowitą w półmroku górę za nimi.

— Co do jakiegokolwiek przyszłego... przymierza... możemy być pewni tylko jednego.

— Czego?

Odwróciła się i spojrzała na niego, uśmiechając się.

— Czas pokaże — powiedziała.

Śmiertelna zazdrość Olivii o BMW, myślał w drodze do domu, będzie niczym w porównaniu z zżerającą zawiścią Dooleya Barlowe'a. Nagle siedmioletni jeep Dooleya wyda się prehistoryczny, gotowy do wystawienia jako eksponat w stałej kolekcji muzeum Smithsonian.

Gdyby Dooley znajdował się w posiadaniu miliona i dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które panna Sadie zostawiła mu w testamencie, z pewnością wybrałby inny środek transportu. Sęk właśnie w tym, jak bardzo inny.

Zapamiętał cały fragment listu panny Sadie, który został mu doręczony zaledwie kilka dni po jej śmierci.

*Jak ojciec wie, dałam wiele pieniędzy instytucjom troszczącym się o los człowieka i chciałabym dać coś człowiekowi, dla odmiany.*

*Modliłam się w tej sprawie, podobnie Louella, i Bóg dał nam swoje pozwolenie.*

*Zostawiam pieniądze mamy Dooleyowi.*

*Uważamy, że ma to coś, czego trzeba, żeby zostać kimś. Wie ojciec, że tato nie miał żadnego wykształcenia, a proszę tylko spojrzeć, kim został, bez niczyjej pomocy. I Willard — niech ojciec patrzy, co udało mu się osiągnąć bez żadnej pomocy.*

*Ojciec, brak pomocy może być zbawienny.*

Gdy przypominał sobie list, słowo po słowie, wydawało mu się, że słyszy pannę Sadie, jakby stała tuż obok niego...

*Ale dostęp do niej może być jeszcze lepszy — jeśli charakter jest wystarczająco mocny. Wydaje mi się, że pomaga ojciec Dooleyowi ukształtować charakter, który pomoże mu zająć daleko w tym świecie, tak więc pieniądze będą jego, gdy osiągnie wiek dwudziestu jeden lat.*

*(Jestem staromodna i wydaje mi się, że osiemnaście lat to zdecydowanie zbyt wcześnie, żeby dostać spadek).*

*Złożyłam jeden i jedną czwartą miliona dolarów w miejscu, gdzie przyrosną, i podjęłam kroki, aby zabezpieczyć jego wstępny etap nauki. Gdy będzie miał osiemnaście lat, dochód z funduszu będzie pomocny przy opłaceniu jego nauki w college'u.*

*Ufam, iż nie powie mu ojciec o tym, dopóki nie będzie dość dorosły, by przyjąć to z godnością. Ufam również, iż będzie z nim ojciec w chwilach trudnych i dobrych, dokładnie tak, jak robił to ojciec do tej pory.*

Cynthia była zachwycona pytaniami, jakie zadawali jej młodzi czytelnicy; ale choć świetnie się bawiła, bardzo tęskniła za swoim mężem; życie w podróży miało swoje minusy; a jak Violet znosiła jej długą nieobecność?

— Całkiem nieźle — uspokoił żonę ojciec Tim. — Leży u mnie na kolanach.

Violet rzadko zauważała jego obecność, chyba że jej pani wyjeżdżała z domu. Wtedy natychmiast zaczynała go adorować, zaciągając rękawy jego swetrów, zostawiając na jego spodniach obfitą warstwę białej sierści...

— Ta mała flirciara! Czy rozkładałaś dach samochodu, odkąd wyjechałam?

— Hm, nie.

— Proszę, rozłóż go, najdroższy. Lato skończy się, zanim się obejrzymy, a okulary zaczną przymarzać nam do nosów.

— Rozłożę, obiecuję.

Nawet podczas swojej nieobecności Cynthia próbowała pomóc mu w tym, żeby miał trochę radości w życiu.

— Nigdy nie zgadniesz, co Lace przywiozła mi z Oregonu.

— Buty kowbojskie! — zawołała.

— Skąd wiesz?

— Zadzwoniła do mnie z wyprawy, to ja podałam jej twój rozmiar.

Żony wiedzą wszystko. Z wyjątkiem kilku bardzo wyjątkowych okazji zaskoczenie jego żony było nieomal niemożliwe.

Zastanawiał się nad swoim własnym ostrzem siekiery. Przez te wszystkie lata, raz po raz, wybaczał swojemu ojcu, potem gorycz znowu przenikała do jego duszy, niczym trucizna. Często pozostawała tam i czyniła spustoszenie przez całe miesiące, aż zaczynał zdawać sobie sprawę z podstępu Nieprzyjaciela, i wtedy na powrót wybaczał Matthew Kavanaghowi.

Bez wiary jego dusza mogłaby nie przeżyć tego ostrza. Ale podobnie jak drzewu, Bóg pozwolił mu wzrastać, nawet kwitnąć, wokół niego.

Nałożył piżamę, niewypowiedzianie znużony, ukląkł przy łóżku i podziękował Bogu za przetrwanie, za przezwyciężenie, za łaskę. Wspomnił Sammy'ego i Kenny'ego, i Dooleya, i Jessie, i Poo, i wszystkich tych, których dosięgło ostrze...

Cynthia wróci do domu za dziesięć dni, rozmyślał, kładąc się do łóżka, i Dooley wyjedzie do szkoły za dwa tygodnie. Już tęsknił za Dooleyem.

Przerwa wakacyjna nadeszła i nieomal się już skończyła, pozwalając jedynie na bardzo krótkie okresy wspólnych zajęć, bycia razem. I wszystkie te spotkania nie były pozbawione jakichś przykrych spraw.

Przypomniał sobie, że wszystko będzie inaczej następnego lata.

Tak, z Bożą pomocą, wszystko będzie inaczej następnego lata.

Z tą myślą, która przyniosła ze sobą pewien spokój, zapadł w sen, wdychając delikatny zapach wistarii z poduszki, którą trzymał w ramionach.

W sąsiednim domu Hélène Pringle stała w oknie swojej sypialni i przyglądała się, jak drugie piętro domu Kavanaghów powoli pogrąża się w ciemności.

Chciała zanieść bochenek chleba domowej roboty i podarować go sąsiadom, ale usłyszała w Sklepie, że Cynthia wybrała się w światową podróż — a może w szaloną podróż? Bez względu na to, jaki rodzaj podróży mógł to być, nie było jej na miejscu i nie byłoby rzeczą stosowną zanosić ojcu jedzenie podczas jej nieobecności.

Poczuła ulgę, naprawdę. Wydawało się jej, że darowanie jedzenia naznaczone było współczuciem, a on z pewnością znudził się już współczuciem z powodu czegoś, co wydarzyło się wiele miesięcy temu i co zostało mu, miała nadzieję, wybaczone i zapomniane przez wszystkich.

Oczywiście, nadal wyglądał *épuisé*. Stwierdziła to na podstawie jego bladej twarzy i powolnego kroku, gdy przechodził obok jej domu z tymi małymi rudowłosymi dziewczynkami, które nazywał swoimi wnuczkami.

Słyszała, jak dzwoneczki wietrzne grają na ganku na dole. Ten dźwięk sprawiał jej przyjemność. Harley i pan Gaynor byli bardzo uprzejmi, pomagając jej w ich zawieszeniu — prawdę powiedziawszy, pomogli jej w zrobieniu wielu rzeczy w domu i w ogrodzie. Była bardzo zaskoczona, kiedy się dowiedziała wczoraj, że Harley również przebywał w więzieniu. Rzeczywiście wydawało się to dziwne, w istocie, że pod nią mieszkało dwóch byłych więźniów, ale jeśli ojciec to aprobował i uważał za właściwe, to ona też. Być może jednym z zadań ojca było pomaganie takim ludziom, aby mogli rozpocząć nowe życie, dokładnie tak jak pomógł jej.

Hélène oparła czoło o szybę okna. W istocie, gdyby ojciec nie wycofał oskarżenia wobec niej o... nie dopuszczała do siebie słowa „kradzież”... zabranie anioła z brązu z półki nad jego kominkiem, ona również mogłaby zostać uwięziona.

Westchnęła głęboko, następnie odwróciła się i poszła do łazienki, żeby umyć zęby. Od czasu do czasu przypominała sobie, że przez wiele lat było to łóżko i łazienka ojca. Ta myśl zawsze zbliżała ją do niego w duchu.

Jakiś czas temu pogodziła się z myślą, że kocha go, ale bez namiętności. *Non!*

Kochała go z ogromną wdzięcznością za wszystko, co dla niej zrobił, za to, że pomógł jej na nowo odnaleźć i że uchronił ją przed unicestwieniem. Upierał się, że było to działanie Ducha Świętego, i wydawało się jej, że może mieć rację, iż w istocie była większa siła niż sam ojciec, która uratowała ją z otchłani.

Była zadowolona, że na nowo wykształciła u siebie nawyk modlitwy, coś, czego nie robiła od śmierci babci. Modląc się przez ostatnie tygodnie, usiłowała wyobrazić sobie Boga jako ogromnego człowieka z długą białą brodą, siedzącego na tronie i trzymającego coś, co przy bliższych oględzinach wyglądało na widły. Przypomniała sobie później, że to podobizna Neptuna, jaką widywała w książkach dla dzieci, i dlatego zrezygnowała z tego wizerunku raz na zawsze.

Wtedy znowu zaczęła wyobrażać sobie Boga jako wędrującego po niebiańskich ogrodach, w błyszczących szatach, które wydymał wiatr, w czasie gdy on kroczył przed siebie; na stopach miał sandały, chociaż powstrzymywała się przed spojrzeniem na jego palce. Ten Bóg jednak zdawał się tak bardzo pogrążony w myślach, że w ogóle jej nie zauważał i dlatego zrezygnowała z tego wizerunku, trochę zawiedziona.

Jako że modlenie się do nicości wydawało się jej nie do pomyślenia, próbowała stworzyć w swojej wyobraźni jakiś inny wizerunek, ale zupełnie się jej to nie udało. Nie przestawała się jednak modlić, załatwiając to szybko. I wtedy, pewnego wieczoru, ku swemu zaskoczeniu, przestała zastanawiać się, jak wygląda Bóg.

Bóg jest Bogiem, doszła do wniosku. Nie miało to już znaczenia, jak wygląda.

Prawdę powiedziawszy, próby odgadnięcia, jak wygląda, bardzo ją rozpraszały i koniec końców przeszkadzały jej w faktycznej modlitwie, z należną czcią i skupieniem. Obecnie wierzyła, że jeśli Bóg zechce się jej ukazać, zrobi to w swoim czasie i w sposób, który przerasta jej wyobraźnię.

Tymczasem postanowiła zwracać się do Niego, jakby siedział po drugiej stronie kotary, zdecydowanie bliiski, ale niewidoczny.

Zdjęła swój stary szlafrok i zawiesiła go na krześle, następnie uklękła na chodniku obok swojego łóżka i przeżegnała się. Dzisiaj pomodli się po angielsku. Jeśli zamierza bowiem żyć jako obywatelka amerykańska, którą ostatnio została, uważała za swój święty obowiązek dołożyć większych starań, żeby mówić w języku narodowym jej kraju.

— Dobry Boże, dziękuję Ci za uczniów, których powierzyłeś mojej opiece, i za moje życie w Mitford. Proszę, pobłogosław ojca, żeby zupełnie wyleczył się ze swojej... *malheurs*, i obdarz go długim życiem, w którym pomoże wielu innym, tak jak pomógł mnie. Chciałabym być dobrą sąsiadką, Boże, gdybyś mógł łaskawie taką mnie uczynić. Wybaw młodego Sammy'ego Barlowe'a od jego ciężkiego losu, żeby mógł wieść dobre i pożyteczne życie — nie pamiętam, kto to powiedział, ale słyszałam, że masz plan dla każdego z nas. Czy mógłbyś mi jakoś dać znać, czy tak samo jest w przypadku... Hélène Pringle?

Złapała oddech i zastanawiała się, czy to już wszystko, co miała do powiedzenia.

— I proszę, miej w swojej opiece wszystkich w Domu Nadziei, szczególnie Mamę. To wszystko, wydaje mi się.

Czekała przez chwilę, potem szepnęła:

— *Bon nuit.*

Zastanawiała się, czy nie powinna również jakoś wspomnieć Jezusa, Syna Bożego.

Nie wiedziała jednak prawie zupełnie nic o Jezusie, z wyjątkiem tego, jak wyglądał w ramionach Błogosławionej Matki, najpierw jako dzieciątko, a potem znowu jako dorosły mężczyzna krwawiący po ściągnięciu z krzyża.

Weszła do łóżka, kładąc się na prawym boku, i zamknęła oczy, słysząc jedynie ciche chrapanie Barbizona, dochodzące gdzieś z chodnika obok drzwi, gdzie leżał.

Wkrótce, jak prawie wszyscy w Mitford, Hélène zasnęła.

# Rozdział szesnasty

## ŻOŁĄDKI DROBIOWE W DZISIEJSZEJ OFERCIE

Jego cukier był bliski normy, waga dobra, poziom cholesterolu niski. Hoppy jednak chciał, żeby ponownie zaczął przyjmować środek antydepresyjny.

— Nie chcę go brać — usiłował się bronić ojciec Tim. — Chcę to pokonać, to musi mieć swój koniec. Ja sobie z tym... radzę.

Hoppy wzruszył ramionami.

— OK.

— Jak to „OK”?

— Nie bierz go. Pokonaj to. A jak zaczniesz pokonywać siebie, zacznij ponownie przyjmować leki.

Nie ma nic lepszego niż długie wakacje, aby trochę rozluźnić bezkompromisowego lekarza.

— Wysłuchałeś wszystkich wykładów, jakie miałem w zanadru — stwierdził Hoppy. — Każdej prośby, każdego ostrzeżenia.

Hoppy wrzucił do ust kilka zielonych cukierków żelowych.

— Przyjdź na wizytę za trzy tygodnie.

Roześmiali się. Uścisnęli sobie dłonie. Porównali swoje buty.

Następnie, czując się jak ulaskawiony więzień, czym prędzej się pożegnał.

Obudził się w niedzielę rano i czekał, aż dopadnie go zmęczenie.

Był już zmęczony wyskakiwaniem z łóżka, żeby je uprzedzić, tylko po to, żeby go dopadło, zanim zdąży dotrzeć do kuchni. Poczeka na nie, postara się poczuć z nim dobrze i wstanie powoli; to jest ważny dzień.

Pieśń procesjonalna o jedenastej była naprawdę poruszająca. Nie pamiętał, kiedy Lord's Chapel była tak uderzająco piękna, a chór tak utalentowany i perfekcyjny.

Spod ołtarza spoglądał chętnie na twarze, których nigdy wcześniej nie widział, a znajome dodawały mu serdecznej otuchy — Hoppy, Olivia i Lace, w trzecim rzędzie po lewej stronie od ołtarza; Buck, Pauline i klan Barlowe'ów po prawej stronie, a z nimi Dooley w swojej szkolnej marynarce i krawacie. Również tam Harley i George, jego cheerliderzy na zarówno porannych, jak i wieczornych nabożeństwach... Emma i Harold Newlandowie, Bolic-kowie, Hal i Marge Owenowie...

Po raz drugi dzisiejszego ranka wypowiedział słowa powitania z prawdziwą radością.

— Niech będzie błogosławiony Bóg: Ojciec, i Syn, i Duch Święty!

— I jego Królestwo na wieki — odpowiedziała kongregacja — teraz i na wieki. Amen!

Oczekiwał, że jego serce będzie biło z pewnym niepokojem, gdy tak będzie stał przed większością swojej byleż trzódki; zamiast tego odczuwał jedynie wszechograniający spokój.

Pod kościołem rozmawiał z Dooleyem i rodziną Owenów.

— Czy widzieliście nowego beemera\* doktora Harpera? — zapytał Dooley. — A niech mnie!

— To nie jest nowy beemer doktora Harpera — wyjaśnił ojciec Tim.

— Pokazywał go komuś kilka minut temu.

— To beemer Lace Harper.

Dostrzegł na twarzy Dooleya przelotny wyraz szoku, gniewu, a potem... coś na kształt upokorzenia.

\* **Beemer** — w amerykańskim slangu nazwa samochodu marki BMW.

Po południu stali pod namiotem na miejskim cmentarzu, podczas gdy do wykopanego grobu opuszczano trumnę. Russell nie chciał być poddany kremacji, chociaż oznaczało to zrezygnowanie z przywileju wiecznego spoczynku w Ogrodzie Modlitewnym Lord's Chapel, który stworzył własnymi rękami.

Jessie łkała cicho, podczas gdy Poo usiłował ją pocieszyć; Dooley zachowywał spokój. Ojcu Timowi wydawało się, że wie, co czuje Pauline — zajęta budowaniem swojego życia, jako pracującej matki i żony, w dużym stopniu zaniedbała ojca i pozostawiła opiekę nad nim Betty Craig. Poczucie winy jednak nie przyniesie żadnego pożytku...

Objął Pauline i podtrzymał ją, gdy płakała na jego ramieniu.

— Podjęliśmy decyzję w sprawie Sammy'ego — powiedział mu Buck.

— Tak, proszę taty — zawtórował Dooley.

— Chcę pojechać go odwiedzić z tobą i Buckiem.

— Cudownie.

— Jesteśmy teraz jedną rodziną — zadeklarował Buck.

— Nikt już nigdy nie będzie musiał być sam.

— Jeśli stanie się coś złego... — zaczęła Pauline.

— ...poradzimy sobie z tym — dokończył Buck.

W chwili, gdy dzwony Lord's Chapel wybijały dziewiątą w poniedziałek rano, Emma Newland zjawiała się przed jego drzwiami, z laptopem w jednej ręce i pękata teczką na dokumenty w drugiej.

— Niewiele brakowało, a musiałabym przycisnąć dzwonek brodą — rzuciła z wyrzutem, obrzucając go gniewnym spojrzeniem sponad swoich okularów.

Otworzył drzwi z siatką i rozpostarł ramiona, żeby ją uściskać na przywitanie. Przypominając sobie nagle, że prawie nikt nie ściska Emmy na powitanie, złączył dłonie w entuzjastycznym aplauzie.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — zawołał.

— Mogłeś mnie zobaczyć dużo wcześniej — odparła, maszerując korytarzem — gdyby nie ci, którzy chronili cię jak dalajlamę.

Pamiętaj — napomniał się — sam się o to prosiłeś. Opadła na fotel w jego pracowni.

— Oto twój e-mail od tego zachłannego na pieniądze ojca Rolanda! Nie mówi nic innego, tylko przyślijcie pieniądze na to, przyślijcie pieniądze na tamto! Czy jemu się wydaje, że u nas pieniądze rosną na drzewach? Jest gorszy niż baptyści.

— Na twoim miejscu pozwoliłabym mu trochę pocierpieć na tej prowincji, sam się o to prosił, to był jego wspaniały pomysł! Lepiej podziękuj Bogu na kolanach, że ominęła cię ta powódź, która zmiotła twoją blaszaną

chatkę do strumienia i sprawiła, że unosiła się ona potem na nurcie rzeki niczym korek. Cudownie byłoby obudzić się w środku nocy i przeżyć coś takiego.

— Napisał, że ktoś o imieniu Abner zdołał uratować głowę łosia, nie napisał, co łoś robił w Tennessee, wydawało mi się, że głównie pochodzą z Alaski.

— O, a tutaj najnowsze wiadomości z Mitford w Anglii — jesteśmy coraz bliżej uzyskania statusu siostrzanych miast czy coś w tym stylu, przypuszczam, że trzeba nas będzie nazwać siostrzanymi miasteczkami, ponieważ ich Mitford ma zaledwie pięciuset mieszkańców, a nasze tysiąc trzydziestu pięciu według ostatniego spisu. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał tam lecieć na żadną uroczystość, wyglądasz blade i jesteś chudy jak patyk! Ciesz się, że twoja żona cię teraz nie widzi, wsiadłaby do najbliższego samolotu do domu.

Powąchała powietrze.

— Czy Puny tu w ogóle coś dla ciebie gotuje? Powinam była przynieść resztki tej pieczeni wieprzowej, zrobiłam ją z konfiturami malinowymi, a nie z zupą grzybową. Harold się objadł aż do bólu.

Poprawiła okulary i spojrzała na niego.

— Potrzebujesz trochę dobrego czerwonego mięsa!

Przy Emmie Newland Fancy Skinner wydawała się niemową. W chwili błogosławionej ciszy, która zapadła, gdy Emma uruchamiała komputer, usłyszał, jak Puny włącza odkurzacz na korytarzu na górze.

— Świetnie ci poszło wczoraj w kościele, Esther Bolick powiedziała, że było tak, jakbyś nigdy nie odchodził, tyle że wyglądasz starzej. Wyjaśniłam jej, że nie powinna porównywać cię do ojca Talbota, który wybiela sobie zęby i może nawet nosi... Nie powinnam tego mówić.

— Nie powinnaś czego mówić?

— Tupecik. Niektórzy mówią, że jego włosy, no wiesz...

Westchnął, pocierając czoło. Czuł zbliżający się ból głowy, a może to tylko Emma?

— Domyślam się, że Hoppy wrócił już z tej swojej wyprawy na koniec świata, podczas gdy ludzie cierpieli i umierali w domu, i słyszałeś, co kupił Lace? Samochód, który kosztuje prawie tyle samo, co domy niektórych ludzi. Gdy ja byłam w jej wieku, nie miałam samochodu, miałam szczęście, że było za co kupić bilet na autobus, mam nadzieję, że nie pozwolą tej biednej dziewczynie wznieść się ponad jej pozycję społeczną.

— Lace Harper nie miała żadnej pozycji społecznej.

— Ach, no wiesz, o co mi chodzi. Weź na przykład Dooleya...

— A samochód jest używany.

— W każdym razie weźmy na przykład Dooleya — jeździ sobie tym starym jeepem z przerdzewiałymi błotnikami, co — jeśli chcesz znać moje zdanie — jest bardziej właściwe. Nie widziałam, żebyś mu kupował samochód, który kosztuje równowartość długu narodowego.

Czytał, podczas gdy jej gadanina wpadała mu jednym uchem i wypadła drugim. Wymuszona separacja od niego doprowadziła Emmę do prawdziwej furii, ujmując to delikatnie. Jak nauczyły go długie lata doświadczenia, jedynym sposobem było pozwolić jej mówić, aż się całkowicie oczyści i będzie mogła zająć się pracą, i nareszcie coś zrobić, na litość boską. Na chodniku przy kominku jego pies westchnął głęboko. O tak, rozumie go doskonale.

— I domyślam się, że słyszałeś, co ludzie mówią o Harleyu i człowieku z poddasza...

Spojrzał na nią sponad swojego e-maila.

— On nie jest człowiekiem z poddasza.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Ma na imię George i ufam mu całkowicie, tak jak Harleyowi. I nie, nie przygarniam pod swój dach kryminalistów, którzy rzucają się na miasteczko, żeby się zniszczenie. A tak w ogóle, kto mówi takie rzeczy?

Jeśli wiedziała tak wiele, to może również знаła źródło tej strasznej plotki.

Wzruszyła ramionami.

— Mnie nie pytaj.

— Właśnie, że cię pytam. Kto tak mówi? Gdzie to usłyszałaś?

— W Sklepie.

— Kto to powiedział?

— Ktoś... — odparła, wyrzucając do góry ręce, z wyrazem cierpienia na twarzy.

— Następnym razem, gdy zobaczysz tego „kogoś”, powiedz mu, że ci ludzie spłacili swój dług wobec społeczeństwa, a teraz dokładają wszelkich wysiłków, żeby pracować na jego rzecz.

— No dobrze — zgodziła się. — To Ed Coffey. Nie chciałam ci mówić, że to on, bo wiem, co myślisz o tej wiedźmie, dla której pracuje.

Edith Mallory. W pełni sił i sącząca swój jad.

Dopiero co napisał i wygłosił kazanie, a tu już był czas, żeby napisać kolejne. Ksiądz, którego nazwiska sobie nie przypominał, podsumował to w ten sposób: „To tak, jakbyś urodził dziecko w niedzielę i obudził się w ciąży w poniedziałek”.

Pobiegł drogą do Farmer, z Barnabą biegnącym za nim.

Chciał, żeby niedzielne przesłanie miało jakieś istotne znaczenie. W innym przypadku, po co zadawać sobie trud?

— Twoje słowa dla Twoich ludzi — zawołał, sapiąc.

— Hej, przyjacielu.

— Hej.

— Czy to dobra pora?

— Właśnie przygotowuję się do nakarmienia koni.

— Trudno powiedzieć, czy Sammy będzie w domu, ale możemy spróbować jutro rano. To dobra pora dla mnie i Bucka. A dla ciebie?

— Tak, proszę taty.

— Czy możemy się spotkać w barze Grill o ósmej rano? Zjemy śniadanie i spotkamy się z Buckiem na drodze na dół.

Długa chwila ciszy.

— W porządku.

Usłyszał obawę w głosie chłopca, poszedł usiąść na fotelu w pracowni i pomodlił się za jutrzejszą misję.

— A skoro już o tym mowa, Ojczy, proszę... pokaż mi, jak pokonać tę ciemność, a jeśli postanowisz, że powinna nadal trwać, daj mi radośniejszego ducha, abym umiał ją znosić.

Był żaloszny. Nienawidził być żaloszny.

— Ojczy! Mówi John Brewster.

— John, jak leci? Przyjadę w następnym tygodniu odwiedzić dzieci. Brakowało mi tych wizyt.



— Bardzo będzie nam miło, jak zawsze. Mam wspaniałą wiadomość!

— Strzelaj!

— Zadzwoił do nas anonimowy darczyńca. Chcą nam dać czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Wspaniale! Na pewno się przyda.

— Jest kilka obwarowań.

— Jak zwykle — odparł.

— Chcą, żeby odprawił ojciec nabożeństwa w prywatnej kaplicy w Kinloch, gdzieś nad jeziorem.

— Ja? Dlaczego ja?

— Nie znam szczegółów, czek zostanie doręczony razem z informacją, jak tylko się dowiedzą, czy ojciec to zrobi.

— Na kiedy zaplanowane jest nabożeństwo?

— W najbliższą niedzielę, o szóstej wieczorem. Wiesz, jak wiele znaczyłoby dla nas w tej chwili dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, Tim.

— Tak, wiem. Ale dlaczego nie Stuart Cullen?

Kwota dwudziestu pięciu tysięcy dolarów nie pasowała do wiejskiego księdza, pasowała do biskupa z dużego miasta.

— Poprosili właśnie o ciebie, mówili, że słyszeli, jak kilka razy głosiłeś kazania.

— Czy znasz tożsamość tego anonimowego darczyńcy?

— Nie. To kolejna niewiadoma. Być może słyszałeś, że Kinloch jest w tej chwili bez księdza. Wygląda na to, że jest to coś, co darczyńca chce zrobić dla parafii, ale nie chce, żeby parafia czuła się zobowiązana.

— Jaki rodzaj nabożeństwa? Z jakiej okazji?

— Powiem ci więcej, jak się tylko dowiem, prawdopodobnie jutro rano. Zrobisz to w takim razie, tak?

Zawahał się.

Czy miał dość siły, żeby odprawić dwa nabożeństwa w Lord's Chapel, wybrać się samochodem w nieomal czterogodzinną trasę tam i z powrotem, żeby odprawić nabożeństwo i wygłosić kazanie w Kinloch, potem wyjechać na lotnisko po Cynthię następnego dnia rano? Nie o to jednak chodziło. Chodziło o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na cel, który wymagał pilnego wsparcia, cel, w który żarliwie wierzył i który wspierał od ponad dwudziestu lat...

— Załatwione — odparł.

Odczuł ulgę, gdy zadzwonił do niego John Brewster. Wychodził właśnie z domu, śpiesząc na spotkanie z Dooleyem przy śniadaniu.

— Mam czek! — zawołał z radością pracowity administrator.

To był wielki dzień w rachunkach Johna; obecnie trzynastka poważnie chorych albo upośledzonych dzieci liczyła na jego umiejętności.

— Oczywiście nie mogę go zrealizować, dopóki nie odprawisz nabożeństwa. Przy okazji, nie ma żadnej specjalnej okazji, chcą po prostu dobrego, pełnego nabożeństwa.

— Kto podpisał czek? Skąd przyszedł?

— Podpisany przez... chwileczkę, Jonathan Ferguson, z rachunku inwestycyjnego Schwab, w Miami.

Jego serce dosłownie zatrzymało się na sekundę. Edith Mallory, oczywiście, miała dom w Miami. Ale tak samo parę innych milionów ludzi.

— Został przysłany pocztą kurierską około dziesięciu minut temu, wiedzieli, że będę w pracy dzisiaj wczesnie rano. Nawet nie wiedziałem, że mamy w tych górach pocztę kurierską.

John roześmiał się, szczęśliwy i beztrojski z powodu nieoczekiwanego wsparcia finansowego.

— Dziękuję, ojcie, to wspaniale, tysiącrotne dzięki.

Poza tym, pomyślał ojciec Tim, Edith nigdy nie pozbyłaby się dwudziestu pięciu tysięcy dolarów tak lekką ręką i za tak mało w naturze. Ona pragnęła zaszczytów, chwały, sławy i pochwał, których zwykły Szpital Dziecięcy bardzo rzadko mógł dostarczyć, z wyjątkiem skromnego corocznego wydruku listy darczyńców. Nie, to nie nosiło żadnych znamion jej działania.

Odetchnął z głęboką ulgą.

Był w boksie już za dziesięć ósma. Mimo że był gotowy na jazdę do przyczepy i miał nadzieję na najlepsze, próbował przygotować się na najgorsze.

— Jak sprzedają się żołądki drobiowe? — zwrócił się do Percy'ego.

— Wspaniale — odparł Percy. — Naprawdę wspaniale.

— To zasługa mojego dipu — dodała Velma.

— Podoba mi się wasza tabliczka.

Ojciec Tim skinął głową w kierunku odręcznie sporządzonej reklamy, przyklejonej taśmą do tylnej części kasy.

*Żołądki drobiowe w dzisiejszej ofercie. Teraz z Domowej roboty Dipem Velmy.*

Ktoś próbował zilustrować reklamę poprzez dodanie szkicu ołówkiem żołądków. Niezbyt dobry pomysł.

— Okazuje się — dodał Percy — że dip Velmy doskonale się sprawdza z wieloma rzeczami w naszym menu.

— Z burgerami! — wykrzyknęła Velma.

— Z frytkami! — zawołał Percy.

— Ze wszystkim — doszła do wniosku Velma. — Nawet z liśćmi rzepy.

— Aha!

— Szef policji dodaje go do jajek, powinien ojciec zamówić dzisiaj rano jajecznicę, świetnie smakuje do jajecznicy.

— Trochę za wczesnie na dip — odparł ojciec Tim, czując lekką mdłość.

Velma zmierzyła go wzrokiem.

— Odrobina urozmaicenia przyda się w życiu każdemu.

— Tak — przyznał. — Ale nie przed ósmą rano.

Dooley był bardzo małomówny, gdy bawił się łyżką włożoną do miski cheerios. Ojciec Tim też nie miał ochoty mówić — kto wie, co przyniesie dzień?

Dooley nagle podniósł wzrok.

— Jak to możliwe, że doktor Harper kupił jej BMW?

— Jest w świetnym stanie, kupił go za doskonałą cenę i powszechnie uważa się go za jeden z najbezpieczniejszych samochodów na świecie.

— To było głupie posunięcie.

— Głupie posunięcie?

— Nikt w college'u nie potrzebuje takiego supersamochodu, wygląda to tak, jakby Lace była snobką, pozerką.

— Nie wydaje mi się, żeby Lace była pozerką.

Dooley nic nie odpowiedział. Wyraz jego twarzy był znajomy ojcu Timowi; widział go, gdy poznał chłopca. Dooley aż gotował się w środku.

— Porozmawiaj ze mną — zachęcił go ojciec Tim. — Co się dzieje?

— Mój jeep wygląda jak wrak. Nie mam pieniędzy, żeby naprawić przerdzewiałe miejsca albo je pomalować. Nie cierpię nim jeździć.

— Nigdy o tym nie mówiłeś, dopóki Lace nie dostała... coupé.

Chciał całkowicie uniknąć posługiwania się nazwą BMW; wydawała się posiadać jakąś czarodziejską moc, której słowo „coupé” albo „samochód” było pozbawione.

*Złożyłam jeden i jedną czwartą miliona dolarów w miejscu, gdzie przyrosną, i podjęłam kroki, aby zabezpieczyć jego wstępny etap nauki. Gdy będzie miał osiemnaście lat, dochód z funduszu będzie pomocny przy opłaceniu jego nauki w college'u.*

*Ufam, iż nie powie mu ojciec o tym, dopóki nie będzie dość dorosły, by przyjąć to z godnością. Ufam również, iż będzie z nim ojciec w chwilach trudnych i dobrych, dokładnie tak, jak robił to ojciec do tej pory.*

Głos Dooleya był zimny.

— Nie chcę o tym mówić.

— No to nie mówmy — zgodził się ojciec Tim.

Powietrze ochłodziło się; wzdłuż brzegów rzeki było świeże i słodkie, pozbawione dusznej wilgotności sierpnia.

Buck zjechał czerwonym pick-upem na drogę, którą ojciec Tim teraz rozpoznał, i skręcił przy przydrożnym pulpicie.

„Strach zapukał, wiara otworzyła drzwi.

Nikogo nie było w domu”.

Buck ujął podbródek palcami lewej dłoni, pogrążony w myślach. Dooley siedział nieruchomo jak posąg; ojciec Tim wiedział, że spotykając się z ojcem, chłopak będzie musiał stawić czoło setkom demonów.

Co do niego samego, próbował siedzieć swobodnie. Odmówił modlitwę, która nigdy nie zawodziła, i ufał Temu, do którego ją skierował.

Nic więcej nie mógł zrobić. Nic.

Bezbronny i bez koszuli, Clyde Barlowe mrużył oczy, spoglądając na nich przez drzwi z podartą siatką.

— Nie mieszka tu żaden Sammy.

— Jestem Tim Kavanagh z Mitford. Pies obwąchał mu nogawkę spodni.

— Buck Leeper — przedstawił się Buck.

— A to — dodał ojciec Tim — jest Dooley. Dooley Barlowe.

Bosy, nieogolony mężczyzna przyjrzał się uważnie Dooleyowi, potem przeklął.

— Kiedy ma wrócić Sammy? — zapytał Buck.

Lewe oko Clyde'a Barlowe'a spoglądało na nich bez emocji.

— Nie zadaję się z nikim o imieniu Sammy. Lepiej stąd znikajcie, zanim poszczuję was psami, na tyłach mam parę bardzo złych psów.

Ojciec Tim cofnął się przed kwaśnymi oparami oddechu, które przedostały się przez siatkę.

— Słuchaj, Barlowe...

Buck podszedł bliżej do drzwi.

— Nie nazywam się Barlowe, tylko Jaybird Johnson. Wszyscy mówią do mnie Jaybird, takie nazwisko jest na czekach, co je dostaję od państwa. Nikt mi nie udowodni, że ja nie Jaybird. A teraz wynośta się z mojego terenu i trzymajta się z daleka.

Clyde Barlowe zrobił krok do tyłu. Chwycił drzwi i trzasnął nimi mocno.

Dooley zeskoczył z ostatniego stopnia i schował się za róg przyczepey, obok zbiornika z propanem. Wrócił po chwili, zawstydzony, ocierając usta wierzchem dłoni.

— Zwymiotowałem — mruknął.

Czekali pół godziny w pobliżu wejścia do zacienionego ogrodu, mówiąc niewiele. Może przyjdzie...

Przez chwilę pies stał w pewnej odległości, potem podszedł do nich wolno i położył się przy stopach Dooleya, a jego ogon wzniecał kurz, uderzając w ziemię.

— Poczekajmy jeszcze kilka minut — powiedział Dooley.

Szli w stronę mostu ponad godzinę później, gdy Dooley zatrzymał się i obejrzał, spoglądając na przyczepe.

— Nie jest...

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Nie jest co? — zapytał ojciec Tim.

— Nie jest już wysoki.

Hope Winchester wiedziała, co ludzie mówią o George'u Gaynorze.

Nie, żeby to było coś niesamowicie poważnego, ale nie cierpiała tych drwiących uwag czynionych tu i tam i tych sceptycznych spojrzeń.

Wydawało się to bardzo oczywiste — dopóki był człowiekiem z poddasza, był wspaniały, tajemniczy, egzotyczny. Zszedł po kościelnych schodach, wyglądając jak gwiazda rocka, z długimi, opadającymi na ramiona włosami, potem uczynił dramatyczne wyznanie przed całą kongregacją, a następnie poprosił ojca Tima, żeby wezwał policję, aby go aresztowała. Całkiem spora liczba świadków tego zapierającego dech w piersiach zdarzenia uważała, że to interesujący scenariusz na film; kilku uznało, że to fatalne, iż Harrison Ford jest za stary do tej roli.

Pamiętała żywo dzień, w którym FBI przyjechało do Mitford w swoich czarnych samochodach z przyciemnionymi oknami, przez które nic nie było widać — nieomal wszyscy w miasteczku stali wzdłuż Main Street, żeby pomachać na pożegnanie kryminaliście, który przyznał się do winy i który zdobył ich serca na wieczność.

Ale oczywiście nie trwało to wieczność.

Teraz człowiek z poddasza był prawdziwy i rzeczywisty, był istotą z krwi i kości, pracującą w ich księgarni i mieszkającą z innym skazańcem, zaledwie kilka przecznic stąd. Co najmniej dwóch klientów zasugerowało, że o ile im wiadomo, George Gaynor i Harley Welch spędzają noce, knując podejrzone plany, podczas gdy niewinni ludzie śpią spokojnie w swoich łóżkach. Uważali, że to bardzo nierozsądne ze strony ojca Tima, który wiele rzeczy zrobił dobrze, tak bardzo pomylić się w tej jednej sprawie. Mógłby przynajmniej, zasugerował ktoś, oddzielić ich od sie-

bie. Właściciel kafeterii, który miał dobre zdanie o Harleyu, powiedział, że pobyt w więzieniu za transport alkoholu nie jest sam w sobie taki zły, naprawdę, ale pomyślcie tylko, co kryminalista robi w więzieniu — uczy się złych rzeczy od innych kryminalistów, tak że to, co wiedział, idąc do więzienia, staje się zwielokrotnione, gdy wychodzi, czy ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę?

Hélèn, właścicielka księgarni, nie powiedziała ani słowa o ich nowym pracowniku, ale ona z kolei mieszkała na Florydzie przez dziewięć miesięcy w roku i ją interesował jedynie wynik finansowy. Prawdę powiedziawszy, pierwsze kilka tygodni zatrudnienia George'a Gaynora miały bardzo pozytywny wpływ na wynik finansowy — ludzie garnęli się, żeby go zobaczyć, ludzie tacy jak Emma Newland, którzy w całym swoim życiu nie przeczytali jednej książki, na ile Hope była to w stanie stwierdzić, i Esther Bolick, która nabyła egzemplarz *Różności do poczytania w łazience*, tom I, dla swojego męża cierpiącego na zatwardzenie spowodowane przyjmowanymi obecnie lekami na nowotwór mózgu.

Scott Murphy, kapelan w Domu Nadziei, przyszedł co najmniej dwa razy. Raz wszedł razem z George'em do kancelarii i wydawało się jej, że słyszała, jak zwraca się do niego „bracie” i jak się potem razem modlą, co wcale jej się nie spodobało; być może Scott się domyślił, bo wychodząc, kupił egzemplarz *Księgi przyzwoitych dowcipów* w miękkiej oprawie. „Dla mieszkańców Domu Nadziei”, wyjaśnił, uśmiechając się. Słyszała, że Scott Murphy każe tym starszym ludziom tańczyć, opisywać historię swojego życia i pracować w ogrodzie. Wiedziała, że ma dwa psy rasy jack russell, których używa jakoś w swojej pracy.

Hope poczuła prawdziwą ulgę, gdy pospólstwo nasyciło się George'em Gaynorem i zrobiło miejsce dla ludzi, którzy naprawdę kochają i czytają książki, a którzy to — zważywszy na ogólną sytuację — wydawali się stanowić zdecydowaną i topniejącą mniejszość.

W każdym razie właścicielka przez lata ufała Hope Winchester, że robi to dobrze, i jak do tej pory, wierzyła Hope robiła to dobrze.

A teraz to.

Załamywała dłonie w kancelarii, gdy do środka wszedł George z dużym pudełkiem z UPS. Postawił je i spojrzał na nią, uśmiechając się. Zdała sobie sprawę, że załamuje dłonie, ale najwyraźniej nie była w stanie przestać, nie mogła zmusić się do tego, żeby przestać. Była niesamowicie zawstydzona, że przyłapał ją w tak wielu niezręcznych sytuacjach — gdy za dużo mówiła, śmiała się zbyt głośno, upuszczała książki, zamiast powiedzieć „Henry James”, mówiła „James Henry”; przestała nawet używać bez potrzeby wielkich słów.

— Coś cię trapi — zauważył.

Nie cierpiała tego, jak nazywa rzeczy po imieniu, zupełnie odrzucając konwencję i od razu przechodząc do sedna. Gdyby tylko miała dość odwagi, zwolniłaby go natychmiast, żeby tylko pozbyć się tego bezbronного uczucia, które prześladowało ją w jego obecności.

Ona jednak nigdy nikogo nie zwolniła; i — przed George'em Gaynorem — nigdy nikogo też nie zatrudniła. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, to siedzieć na taborecie i zamawiać książki, czytać i spełniać oczekiwania klientów takich jak ojciec Tim, który często szukał pozycji wyjątkowych, trudnych do osiągnięcia i o wyczerpanym nakładzie. Nigdy nie chciała zarządzać.

— Tak! — odparła. — To znaczy nie! W ogóle.

— Czy trapi cię to, co mówią ludzie?

— Co... dokładnie... mówią ludzie?

— Niektórzy są niezadowoleni, że ja i Harley...

— Ach, to! — zawołała szorstkim głosem.

Następnie, bez ostrzeżenia, wybuchnęła płaczem. Łzy zdawały się tryskać z niej, jak wtedy gdy czasami chwyci nas gwałtowny kaszel, i zdała sobie sprawę, że łąka.

Miała nieprzepartą ochotę pobiec do łazienki i zamknąć za sobą drzwi, jednak zamiast to zrobić, usiadła na pudełku z książkami, które właśnie przyniosła, schowała głowę w dłoniach i płakała, zupełnie nie zważając na to, co on pomyśli.

Skręcali właśnie przy przydrożnym pulpicie, gdy zauważyli wyblakłego zielonego pick-upa nadjeżdżającego w ich kierunku.

Mimo że nie miał sokolego wzroku, ojciec Tim zobaczył włosy przez przednią szybę i wiedział natychmiast.

— Dooley — powiedział, czując, jak coś ściska go za gardło — to twój brat.

— Stać! — zawołał Buck, machając do kierowcy.

Lon Burtie wjechał w zakręt i zaczął hamować, zatrzymując samochód na poboczu. Spojrzał ostrożnie na pasażerów w czerwonej półciężarówce.

— Jak się macie?

— Dobrze — odparł Buck. — Sammy, przywieźliśmy twojego brata, Dooleya, żeby się z tobą zobaczył.

Ojciec Tim otworzył drzwi pasażera i wysiadł z samochodu. Dooley siedział jeszcze przez chwilę, jak sparaliżowany, biały jak płótno. Potem przesunął się i również wysiadł, obszedł ciężarówkę i zatrzymał się z przodu, robiąc to wszystko jak we śnie.

Sammy zeskoczył z zielonego pick-upa i stał przy drzwiach, czekając, z szeroko otwartymi i przestraszonymi oczami.

Wszyscy milczeli. Lon Burtie wyłączył zapłon i siedział, opierając prawy nadgarstek na kierownicy. Buck wyłączył zapłon.

Dooley stał przez długą chwilę, opierając się o maskę. Potem zebrał się w sobie i ruszył, zatrzymując się przed zielonym pick-upem.

— Hej — szepnął Dooley, spoglądając na swojego brata.

Sammy kiwnął głową, ale nie zdołał nic powiedzieć.

# Rozdział siedemnasty

## JESZCZE SIĘ OGIEŃ ŻARZY

Spodziewał się zapłacić wysoką cenę za wczorajszą podróż. Nie wyczerpała go jednak, w ogóle.

Po truchcie z Barnabą pod pomnik wrócił do domu z chłopięcą lekkością, przebrał się w coś wygodnego, zaparzył filiżankę herbaty i usiadł, żeby popracować nad swoim od dawna zaniedbanym esejem.

Doszedł do wniosku, że jest martwy jak skała.

Tak w ogóle, co chciał osiągnąć przez całą tę pisaninę? Te słowa równie dobrze mógł napisać ktoś inny; nigdy wcześniej nie widział, aby jakiś efekt pracy jego rąk był tak obcy mu w znaczeniu i wymowie.

Wyrzucił kartki do kosza, wyjął blok prawniczego formatu z szuflady biurka i wziął pióro, które podarowała mu żona. Następnie, przepełniony pewnością, zabrał się do pracy — z opuszczoną głową, jakby musiał stawić czoło silnemu wiatrowi.

Pokonując... ostrze, napisał.

Czyżby wyszedł na prostą, jakby i pokonał ostrze tych ostatnich strasznych miesięcy? Czy to już koniec? Czy Bóg wyprowadził go do światła, czy jeszcze miała nadejść ciemność?

Nie może jednak próbować przechytrzyć Boga. Nie ma żadnego pojęcia, co może jeszcze nadejść — nikt nie wie, oczywiście. Święty Francis de Sales ujął to jakże trafnie w następujący sposób: „Nie wyczekujcie, co może przynieść jutro; ten sam wieczny Ojciec, który troszczy się o was dzisiaj, zatroszczy się o was jutro i każdego dnia. Albo uchroni was od cierpienia, albo obdarzy niezawodną siłą, żeby je znieść”.

Pochylił się nad blokiem, pisząc zawzięcie, podczas gdy herbata stygła w filiżance...

Kurcz w prawej ręce pomógł mu wrócić do rzeczywistości. Ujrzał klon w parku; usłyszał chrapanie swojego psa, zdał sobie sprawę, że Violet owija się wokół jego nogi, pozostawiając po sobie warstwę białego futra.

Dzięki Bogu.

Żył, pisał, pracował! Przeszedł do innego wymiaru na... jak długo?

Spojrzał na zegarek. Dwie godziny. Dwie godziny, podczas których jego marne ciało siedziało bez bólu i poczucia winy, dwie godziny, podczas których szybował na skrzydłach inspiracji, z lekkim sercem, będąc w stanie powiedzieć to, co miał do powiedzenia, bez oglądania się wstecz. Znajdował się na szczycie, po długiej wędrówce spaloną słońcem doliną.

Wstał i wyszedł na tylny ganek i wdychał popołudniowe powietrze, widząc żywopłot w jakiś świeży, wyrazisty sposób, jak nie widział go już od dłuższego czasu. Odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy, dziękując. Przez dwie błogosławione godziny był rzeką bez tamy, żrebakiem na łące bez ogrodzenia.

Będzie delektował się tą chwilą, nie oczekując, że przytrafi mu się najgorsze za to, że się nią delektuje.

— Teraz w starości mej rozkwitam jeszcze — recytował na głos fragment wiersza George'a Herberta. — Po tylu śmierciach żyję, piszę, służę, Wącham znów rosę i deszcz, Wierszem raduję się i nużę. To być nie może, Że jestem, Boże, Tym, na kogo nocą spadły twoje burze"\*.

\* Fragment wiersza *Kwiat*, w przekł. A. Mierzejewskiego George'a Herberta, W: *Poeci języka angielskiego*, tom I, PIW, Warszawa 1969.

Nagle odzyskując świadomość, odwrócił się i pośpieszył do środka, do telefonu, obok którego trzymał listę miejsc, gdzie będzie można zastać Cynthię.

Chciał, żeby wiedziała, że napisał pierwszą wersję roboczą eseju, który mu się rzeczywiście podobał, że odnalazł w sobie ogień, który się jeszcze żarzył. Nawet jeśli nie można liczyć na to, że jego nowo odnaleziona wolność potrwa, chciał rozkoszować się ukłuciem radości i dzielić się z innymi.

Hélène Pringle umieściła fiołek afrykański na półce nad kaloryferem przy oknie w jadalni, podniosła wzrok i zobaczyła swojego sąsiada.

Ojciec Tim stał na swoim tylnym ganku, w czymś, co wyglądało na ściągane sznurkiem spodnie od piżamy, mówiąc na głos i unosząc do góry ręce, w sposób, który można by opisać jako gest kaznodziei. Zauważyła dziwny wyraz jego twarzy — coś na kształt szczęścia.

Poczuła dreszcz szczęścia, jakby właśnie była świadkiem jakiegoś znaku, na który czekała, nie zdając sobie z tego sprawy.

Siedział na fotelu z wysokim oparciem w ich sypialni, tęskniąc za swoją żoną — za jej widokiem, jej świszczącym chrapaniem na sąsiedniej poduszce, jej łagodnością charakteru, jej nie udawanym entuzjazmem, jej ciepłym ciałem.

Tęsknił za tym, jak przejmowała kontrolę, gdy tego potrzebował, i jak wycofywała się, gdy potrzebował podjąć własne decyzje, albo nawet błędy, na własną rękę. Postąpił słusznie, nalegając, że powinna pojechać; nie cierpiał tego jęklivego dziecka, którym był przez te długie tygodnie, i mógł sprawdzić naocznie, że umie sobie bez niej poradzić, gdy przyjdzie co do czego.

Wstał, przeciągnął się i położył okulary na nocnym stoliku. W pewnym sensie jej wyjazd pozwolił mu prawdziwie powrócić do domu.

Poklepał kołdrę na łóżku; Barnaba natychmiast wskoczył na swoje miejsce. Następnie ukląkł i pomodlił się za swoją żonę, podróżującą do miejsc, których on nigdy nie zobaczy, latającą samolotami, na których pokład on nigdy nie wsiądzie — w niej znajdował się ten ogromny zapas odwagi i chęci przeżywania przygód, których on nigdy nie będzie posiadał.

Wszedł do łóżka, myśląc, że pewnego dnia wynagrodzi jej te długie tygodnie, podczas których pielęgnowała go i chroniła. Zrobi dla niej coś cudownego, coś, co będzie wymagało prawdziwego poświęcenia z jego strony, nie coś zwyczajnego, co przychodziło tak łatwo.

Może ją gdzieś zabierze... gdzieś, gdzie zawsze chciała pojechać.

Pomysł, który mu nagle przyszedł do głowy, był elektryzujący, postawił go nieomal na równe nogi. Zabierze ją do ojczystej krainy jego przodków, tej wspaniałej, zielonej, tajemniczej krainy, z której wywodzi się męska linia jego przodków i skąd przybyła do Ameryki — do Pensylwanii i Kentucky, i Missisipi, i Mitford.

Był zaskoczony tym, jak bardzo ekscytujący wydawał mu się ten pomysł. Przerastał nawet radość, jaką czuł z powodu spotkania w domu Lona Burtiego, za dwa dni, podczas którego Dooley, Jessie i Poo odwiedzą swojego brata, w miarę jak Bóg nie przestaje wynagradzać Barlowe'om lat, które strawiła szarańcza.

Robił notatki, podczas gdy John Brewster zdawał mu relację.

...w p. na Tamblin Rd przy stacji benz. 1,5 km i w p. na Springlake Dr — zost. sam. na park. obok jeziora, Mary Fisher zawiezie mnie do prywatnej kaplicy, Obrządek I czas 5 po południu MF @ 972/604-7832

Droga do Kinloch jest kręta — podróż w każdą stronę zajmie mu ponad półtorej godziny.



Zadzwoił do Mary Fisher dwa razy, ale za każdym razem uruchamiała się automatyczna sekretarka z cyfrowym nagraniem głosu, które nie pozwalało na zostawienie wiadomości.

Spojrzał w lustro swojej starej orzechowej toaletki, obracając głowę w jedną i w drugą stronę. Zdecydowanie potrzebował lekkich postrzyżyn przed wydarzeniami w niedzielę.

Wybrał się do maluteńkiego salonu Joe Iveya na tyłach Sweet Stuff. „Nieczynne” — poinformowała go tabliczka.

Obszedł budynek i znajdując się na Main Street, otworzył drzwi do Cukierni — wykonując w ten sposób jedną ze swoich ulubionych czynności. Prawdę powiedziawszy, wystarczyło mu samo otwarcie drzwi; nauczył się delectować aromatem, nie pragnąc jednocześnie całej tacy lukrowanych pączków.

Pociągnął za dzwonek przy witrynie z ciastami.

— Winnie! Jesteś tutaj?

— Tak, proszę ojca — odparła, ukazując się zza zasłony i wycierając dłonie w papierowy ręcznik. — Ale przyszłam dopiero przed chwilą, byłam w szpitalu, domyślam się, że słyszał ojciec o Joe.

Miała zaczerwienione oczy i wyglądała na przygnębioną.

— Nie! Co takiego?

— Ma to.

Wyjęła kawałek kartki z kieszeni fartucha i podała mu ją.

— Hemochromatoza — przeczytał na głos.

— To dziedziczne. W jego krwi gromadzi się zbyt dużo żelaza i spowodowało to... spowodowało... Proszę spojrzeć na tył tej kartki.

Odwrócił kawałek kartki na drugą stronę.

— *Cirrhosis hepatis*. Ach.

— Doktor Harper powiedział, że zawsze martwił się, że Joe dostanie marskości wątroby z picia brandy, a tu proszę, dostał jej ze zbyt dużej ilości żelaza w organizmie!

Nie pomogła nawet żelazna dyscyplina, co za ironia, pomyślał.

— Co mogę zrobić?

— Był naprawdę bardzo słaby i zmęczony ostatnio, ale myśleliśmy, że to wszystko przez te kłopoty z kobietą z góry. Fryzjerstwo w tym mieście przerodziło się przez nią w prawdziwą kampanię wojenną. Mogłabym się kazać wychłostać za to, że pozwoliłam Fancy Skinner na podpisanie umowy wynajmu na dwa nędzne lata — i na robienie tych czarnych interesów tuż nad naszymi głowami!

Nigdy nie widział, żeby Winnie była tak zmartwiona, z wyjątkiem tego czasu, gdy sługusy Edith Mallory usiłowali zmusić Winnie do sprzedaży Cukierni.

— Co mogę zrobić? — zapytał ponownie.

— Proszę się modlić! — odparła błagalnym głosem.

Stał na chodniku przy wejściu na schody, spoglądając do góry.

W żaden sposób nie mógł oddać się w ręce Fancy Skinner, nawet jeśli była ona ostatnim fryzjerem w miasteczku. W żaden sposób. Nie wejdzie na górę po tych schodach, a potem do tego różowego pokoju, który wygląda jak wnętrze owrzodzonego żołądka. O nie, w rzeczy samej! Nie, nie, nie, po tysiącokroć nie.

Odwrócił się i poszedł do domu, rozłożył dach mustanga i ruszył do Wesley, gdzie za dwanaście dolarów kazał sobie ostrzyć włosy, osiągając przyzwyczajony, nawet jeśli odrobinę kolczasty efekt. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, przypominał sobie.

W maluteńkiej łazience Księgarni Szczęśliwych Zakończeń Hope Winchester popiła aspirynę colą Classic, uciekając się do odwiecznego sposobu swojej mamy na uspokojenie nerwów.

Będzie dzisiaj spokojna, nie będzie studiowała profilu George'a Gaynora w chwili, w której jej się wydaje, że on tego nie widzi, i z pewnością nie będzie go porównywać do postaci literackich, takich jak Lord Byron, albo nawet fikcyjnych, takich jak Heathcliff. Będzie pewna siebie, wyniosła i opanowana.

Hessie Mayhew stała na swoim tarasie, pijąc drugą filiżankę kawy z zabielaaczem o smaku orzechowym i przyglądając się krzesłu ogrodowemu, które niedawny podmuch wiatru przesunął pod ogrodzenie.

Było to jedyne krzesło z kompletu liczącego siedem sztuk, którego tkane plastikowe siedzenie pozostało w nienaruszonym stanie. Była w rozterce co do losu swoich starzejących się krzeseł ogrodowych już od kilku lat. Czasami rozważała wystawienie ich na ulicę na Doroczną Miejską Zbiórkę. Innym znowu razem była zdecydowana zawieźć je gdzieś na dół i kazać naprawić siedzenia. Przyklejona do lodówki kartka głosiła: „NATYCHMIAST!!! Zawieźć krzesła do Wesley”. Z grubsza licząc, miała pięć lat.

Takie właśnie było życie. Po prostu pędziło. Napisz kartkę, podnieś wzrok, a tu nie ma pięciu lat. Jako wolontariuszka w bibliotece studiowała dawnych poetów, żeby napisać swoją doroczną kolumnę pod tytułem „Pani Wiosna”. Dawni poeci mieli dużo do powiedzenia o przemijaniu czasu, żeby wspomnieć chociażby takiego Roberta Herricka. „Zbierajcie te pąki różane, póki możecie — napisał. — Ten czas, on prawdziwie płynie”.

Nie zebrała wiele pąków różanych ostatnio. W kółko tylko pracowała i pracowała. Lato prawie zupełnie ją wykończyło, a do drzwi już pukała jesień, strasząc trzema ślubami w Wesley, imprezą charytatywną Kobiet Kościoła Episkopalnego przy Lord's Chapel, obiadem misyjnym w kościele metodystów...

Bóg raczy wiedzieć, obiady misyjne w ogóle się nie opłacają, będą oczekiwali, aby podarowała im czternaście kompozycji. No cóż, użyj liści — jesienne kolory powinny być wspaniałe w tym roku, ponieważ noce są zimne już od tygodni, kilka razy spała w swetrze. I oczywiście, są też orzechy i jagody. Zawsze są orzechy i jagody.

Wypiła łyk kawy i przyjrzała się krzesłu. Dlaczego nie usiądzie na tym cholerstwie? Dlaczego ona nigdy nie siada? Jej babcia nigdy nie siadała, jej mama nigdy nie siadała i ten gen najwyraźniej został jej przekazany. Nie pozwalając sobie na ani chwilę dłużej rozmyślenia o tym fakcie, usiadła na krześle, wzdychając głęboko.

Niech Bóg ma nad nią litość za to, że została wychowana na baptystkę. Baptyści prawie nigdy nie siadali, w odróżnieniu od prezbiterian, do których obecnie należała, którzy od czasu do czasu siadali. Episkopalianie to już zupełnie inna historia; wyglądało na to, że oni siadali, jak tylko mieli na to ochotę.

Problem z siedzeniem, oczywiście, polegał na tym, że rodziło ono poczucie winy. Rozważała to przez chwilę. Może powinna wstać i pójść do środka, i wziąć swój żółty blok, i przynieść go tutaj, i — w czasie gdy będzie siedziała — sporządzić listę rzeczy do zrobienia.

Ale jeśli wstanie i wejdzie do środka, to już nie wróci.

Siedziała nadal, postanawiając postąpić zgodnie z instrukcją, jaką widywała niezliczoną ilość razy na naklejkach na zderzakach: „Przystań, by powąchać róże!”. Ha! Nie trzeba dawnego poety, żeby to wymyślić.

Hessie odsunęła krzesło do tyłu i oparła stopy na balustradzie.

Potem je opuściła.

Nie należała do tych, co opierają stopy na balustradzie.

No cóż, w takim razie może chociaż jedną stopę.

Oparła prawą stopę,trzymała ją przez chwilę, potem znowu ściągnęła. Jedna stopa oparta na balustradzie sprawiała, że czuła rozdzierający ból w plecach.

Żeby nie marnować czasu, może powinna medytować. Słyszała o medytacji, ale nie wiedziała, o czym należy myśleć, gdy się medytuje. Może o niczym się nie myśli, może po prostu się siedzi.

Co za straszna myśl!

Sądziła, że za chwilę zwariuje, gdy nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

W ostatnią niedzielę jej ksiądz poprosił wszystkich, żeby zastanowili się nad tym, komu muszą coś wybaczyć. Zawsze dawał im jakieś rzeczy do zrobienia: Policz, ile razy modliłaś się w tym tygodniu! Zrób listę tych wszystkich okazji, gdy Bóg wysłuchał twoją modlitwę! Uśmiechnij się do kogoś! Pomyśl, komu musisz wybaczyć — a potem im wybacz!

Nigdy nie zwracała uwagi na te napomnienia; za bardzo przypominały jej zadania domowe, którymi też nigdy się nie przejmowała.

Ale może zrobi tę jedną rzecz.

Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Polly Morris!

Hessie nie miała pojęcia, jak, na Boga, będzie mogła wybaczyć Polly Morris.

Zastanowiła się nad całym zdarzeniem od początku do końca. Jak można było rozebrać wszystkie bukiety, jakie ona, Hessie Mayhew, zrobiła na Bal Azaliowy Country Clubu w Mitford, ze zniżką — ze zniżką! — i ponownie je ułożyć w zupełnie inny sposób, brzydki jak noc? To był policzek wymierzony prosto w twarz! Polly Morris, jak wszyscy wiedzą, nie ma swojego życia, co daje jej czas na wtrącanie się w sprawy innych ludzi, stąd aż po nieskończoność!

Hessie poczuła, jak pulsuje jej krew w skroniach. Wstając gwałtownie z krzesła, wylała sobie kawę na kolana.

— Do licha! — zawołała.

Z krzewu obok balustrady wyleciał ptak.

Dość już tego bezsensownego siedzenia! Niech inni siedzą i marnują czas!

Hessie poszła do kuchni, wytarła przód spodni khaki ścierką i naląła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Potem chwyciła blok ze stołu i zapisała: „Wyrzucić krzesła ogrodowe DZISIAJ!!!”.

„Wróg nie da ci spokoju! — ostrzegł ją ksiądz. — Nie chce, żebyś komukolwiek wybaczyła, chce, żebyś nosiła całą tę gorycz i gniew w sobie, aż przerodzi się w chorobę i słabe zdrowie!”

Chwyając kubek, otworzyła gwałtownie rozsuwane drzwi i pobiegła z powrotem do krzesła; siedzenie śmiertelnie ją wykańczało.

Spróbuje jeszcze raz, a jeśli to nie przyniesie rezultatów, tyle ją tu widzieli. Musiała posprzątać na tylnym ganku, znieść krzesła do suterenu do czasu kolejnej zbiórki, zrobić zakupy spożywcze, zawieźć oponę do bieżnikowania. W przeciwieństwie do niektórych ludzi, jacy teraz przychodzili jej do głowy, ona miała życie, którego nie mogła przeżyć na swoich czterech literach.

Zamknęła oczy i słuchała chrypiącego śpiewu ptaka siedzącego na klonie. Wiewiórka cmoknęła przy strumieniu.

Ojciec Tim. Tak, to jest ktoś, komu musi wybaczyć. Gdy dostarczyła ten kosz z roślinami ogrodowymi do szpitala, ten biedny człowiek był w śpiączce, na litość boską. Albo dopiero co się z niej ocknął, albo w każdym razie był chory. Bardzo chory. Żadną miarą nie był w stanie napisać kartki z podziękowaniem. Ale Cynthia mogła. Tak, rzeczywiście, co to za żona księdza, która nie potrafi napisać prostej kartki z podziękowaniem albo zadzwonić?

Ale może Cynthia była tak zrozpaczona z powodu swojego męża, że nie miała głowy do pisania kartek z podziękowaniem? Hessie to rozumiała. Oczywiście! To było zwykłe przeoczenie.

Wtedy Hessie przypomniała sobie ten kosz i jak dużo kosztował, nawet po cenie hurtowej. Pomyślała o różyczkach miniaturkach i o tych wszystkich cudownych rzeczach, które w nim umieściła, nie wspominając o całych połaciach mchu z jej własnego specjalnego i prywatnego miejsca na jej własnym podwórku.

— Boże — zawołała na głos — musisz mi w tym pomóc! Postawiła swój kubek z kawą na poręczy i chwyciła poręcz krzesła ogrodowego.

— Przebaczam Cynthii! Proszę bardzo. Wzięła głęboki oddech.

— I ojcu Timowi, jeśli miał z tym coś wspólnego! Od razu poczuła się lepiej.

— Nigdy nie odgadniesz, kto siedzi w kiciu — rzucił J.C.

Ojciec Tim pomieszał herbatę.

— Stary Mueller przejechał o jeden raz za dużo na czerwonym świetle?

— Ed Coffey nakrył Coota Hendricka, który kręcił się po posesji Edith Mallory, szukając grobu jankesów.

— Ojej.

— A na dodatek Coot jest honorowym członkiem rady miejskiej — rzucił Mule. — Nie cierpię, jak politycy łamią prawo.

Percy ponownie napełnił ich kubki kawą.

— Nie mam pojęcia, po co w ogóle ktoś miałby szukać grobu pełnego jankesów.

— Święta prawda!

Velma stała przy ladzie, zawijając pary widelców i noży w serwetki.

— Nikt nie zapłaci mu ani grosza za obejrzenie tego cholerstwa, nawet jeśli je znajdzie.

— Chce znaleźć ten grób, bo to jego pradziadek zastrzelił jankesów i to część historii miasteczka — wyjaśnił Mule.

Percy prychnął.

— Nie wywołuj wilka z lasu, to moja dewiza.

— Słuchajcie — wyjaśnił ojciec Tim — jeśli jego przodek strzelając, zabił wrogów, nie uhonorowałby ich pochówkiem w oznaczonym grobie. Oznaczanie grobu jest rodzajem hołdu, więc ten grób nie byłby oznaczony. A zatem jak Coot może mieć nadzieję, że go znajdzie?

— Zgadza się!

J.C. włożył do ust widelec z całą parówką.

— Powiedział mi, że będzie wiedział — tłumaczył Mule. — Ale dlaczego nie szukał go, zanim ta wiedźma nie urządziła sobie domu na tym grzbiecie góry?

— Bo — odpowiedział Percy — gdy kupiła tę parcelę dwadzieścia lat temu, Coota w ogóle nie obchodziła historia miasta.

Percy uważał się za jednego z tych, którzy wiedzą co nieco o wczesnych dniach Mitford; wszystkie indyki z tego boks przybyły tu z innych stron.

— Bardziej interesowało go uganie się za kobietami.

— Wolę nawet nie myśleć, za jakimi kobietami mógł uganiać się Coot Hendrick.

J.C. wyjął chusteczkę i otarł czoło.

— O ile sobie przypominam — odpowiedział Percy — uganiał się za Emeline Poovey z Blackberry.

— Myślałem, że wszyscy Pooveyowie mieszkają w Poovey's Grove — rzucił Mule.

— Ci z Blackberry odłamali się od Pooveyów z Poovey's Grove.

— Więc jeśli się za nią uganiał, udało mu się ją zdobyć?

— Emeline poślubiła tego wielkiego przemytnika alkoholu, który obrabował Sklep, gdy jeszcze należał do ojca Avis. Nazywał się Sauce Harris, zakopał się w ładunku kolb kukurydzy do prażenia, ktoś podjechał ciężarówką do magazynu na tyłach, zrzucił ładunek, a potem zamknął drzwi do magazynu i odjechał. Sauce dostał się do Sklepu, zjadł wędzoną szynkę, wypił duszkiem trzy kwarty mleka czekoladowego i opróżnił sejf za witryną z mięsem. Wybił okno i uciekł z dwoma tysiącami dolarów.

Ojciec Tim posmarował cienką warstwą masła swój tost z pełnoziarnistego pieczywa.

— W tamtych czasach to było dużo pieniędzy.

— To dużo pieniędzy dzisiaj, przyjacielu.

— Prawda. Jak go złapali?

— Emeline go wydała. Okręg był nieomal zupełnie trzeźwy przez cztery lata.

— Jak myślisz, ile dostanie Coot?

— Dzisiaj po południu zostanie wypuszczony za kaucją — poinformował J.C. — To mi przypomina, że mam umówiony wywiad za... — J.C. spojrzął na zegarek — trzydzieści minut.

— Z kim?

J.C. powiódł wzrokiem po zebranych przy stole, z wyrazem wyniosłej dumy, zarezerwowanej wyłącznie dla prasy.

— Z Edith Mallory.

— Co?

Percy postawił twardo pusty dzbanek na stole.

— Rozmawiasz z tą nędzną, chytrą...

— Chwileczkę! — zawołała Velma, która nakrywała do stołu w sąsiednim boksie.

Chwyciła swojego męża za ramię i zaciągnęła go do grilla, gdzie postawiła go jak mebel.

— A teraz cisza! — rzuciła ostro do J.C. — Już ci mówiłam, nie mów o tej kobiecie w naszym barze, serce zaczyna mu wariować. Jak musisz o niej mówić, wyjdź na zewnątrz i rób to na cholernej ulicy.

— Ona nie żartuje — rzucił ojciec Tim, opuszczając głowę na wypadek, gdyby coś miało przelecieć obok jego głowy.

— Jestem dziennikarzem! — zawołał J.C. ogólnie w stronę grilla. — Nie mogę ograniczyć swoich dociekań do wyjątkowych, przychylnych i ogólnie uwielbianych; jest moim obowiązkiem węszenie, dokopywanie się do prawdy, gdziekolwiek ona istnieje, i relacjonowanie jej czytelnikom — czy to się komuś podoba czy nie!

— Głoś ją, bracie! — poparł go Mule, mamrocząc pod nosem.

Nigdy nie zależało mu za bardzo na opinii Velmy, która

— z czystej złośliwości i zaledwie tydzień temu — podała mu surówkę z białej kapusty z piklami, wiedząc bardzo dobrze, że nie cierpi pikli.

Ojciec Tim był zaskoczony, widząc Eda Coffeya w środku dnia w Sklepie. Wprawdzie często widziano go, jak woził Edith Mallory, ale poza tym Ed raczej nie pokazywał się w Mitford — niektórzy mówili, że Ed wozi swoją pracodawczynię do Wesley, gdzie załatwiają wszystkie zakupy spożywcze i inne drobne sprawunki. Ale oto właśnie Ed Coffey stał przy półkach z produktami rolnymi w Sklepie, zaledwie kilka metrów przed nim.

Gdy ojciec Tim zaczął pracować w Lord's Chapel, często widywał Eda w barze Grill. Wszyscy byli zgodni co do tego, że to całkiem przyzwoity gość, który urodził się i wychował na drugim końcu ulicy, aż do chwili, gdy zatrudnili go Edith i Pat Mallory. Wkrótce po tym jak Pat zmarł na atak serca i stoczył się ze schodów u siebie w holu, miasteczko zaobserwowało zmianę w Edzie. Zaczął zachowywać się podejrzanie, stał się smutny i niezadowolony, jakby toksyczna natura Edith zaczęła go w jakiś sposób zatruchiwać.

Ojciec Tim zaczął obracać swój wózek i kierować się w inną stronę, ale zatrzymał się gwałtownie. Nie, nie pójdzie w inną stronę. Pojechał ze swoim wózkiem obok mężczyzny, który w ciepły sierpniowy poranek miał na sobie czarny prochowiec i czapkę z daszkiem, którą nosił jako element swojego stroju szofera.

— Dzień dobry, Ed.

Ed Coffey odwrócił się, zaskoczony.

— Słyszałem, że rozpowiadasz bardzo złe rzeczy o Harleyu Welchu i George'u Gaynorze.

Można było zarzucić Emmie Newland wiele rzeczy, ale nie to, że kłamie.

Twarz Eda poczerwieniała z gniewu.

— Nie wiem, o czym ojciec mówi, nie znam nikogo o nazwisku Gaynor.

— Gdybyś znał tego konkretnego Gaynora, na pewno doszedłbyś do wniosku, że jest szlachetnym, prawym człowiekiem, pracującym na rzecz naszej społeczności. Co do Harleya Welcha, on również spłacił swój dług wobec społeczeństwa i udowadnia każdego dnia, że jest dobrym i odpowiedzialnym obywatelem. Proszę, abyś zastanowił się dwa razy w swoim sercu... zanim ponownie wypowiesz się niepochwlebnie o tych osobach.

— Skąd się ojciec wziął, żeby mi mówić, jak mam postępować w przypadku kogoś, o kim nigdy nie słyszałem? Księża myślą, że wszystko wiedzą — chodzą sobie i zachowują się, jakby pozjadali wszystkie rozумы, pouczając niewinnych ludzi, jak mają żyć.

Ojciec Tim oddalił się, popychając swój wózek w kierunku witryny z owocami morza. Ed Coffey najwyraźniej nie przyjął zbyt dobrze tego pouczenia.

— Świeży łosoś! — zwrócił się do Avisa Packarda. — Na to miałem nadzieję. Ale oczywiście owoce morza dostarczane są tu w czwartki i jeśli kupię je w czwartek, będę musiał je zamrozić do poniedziałku.

— Za dziesięć dolarów mogą zrobić dla mnie świeżą dostawę kilku kilogramów w poniedziałek, prosto ze statku. Powinna dotrzeć tutaj późnym popołudniem.

Nikt inny w całym Mitford nie zapłaciłby ciężko zarobionych pieniędzy za specjalną dostawę łososia. Ale jego żona uwielbiała łososia, a to nie był właściwy moment na kompromisy. Nie za dziesięć dolarów, w każdym razie.

— Zamawiaj! — zawołał, uśmiechając się.

— Rozumie ojciec, że dziesięć dolarów to sama dostawa. Do tego dochodzi cena łososia.

— Zgadza się.

— W porządku!

Avis zatarł ręce z nieukrywanym entuzjazmem.

— Mam idealny przepis!

Niektórzy byli urodzeni, żeby głosić kazania, inni — żeby robić zakupy, i całkiem liczni — wydawało się — żeby mieszać się w nie swoje sprawy. Avis urodził się po to, żeby zachwalać sztukę kulinarną. Ojciec Tim wyjął notes i pióro z kieszeni marynarki.

— Strzelaj!

— Rolada z łososia! — obwieścił Avis. — Smaczna, niskotłuszczowa i dobra dla diabetyków.

— Dokładnie to, co zalecił lekarz! — ocenił ojciec Tim, zadowolony z życia ogółem.

Po rozpakowaniu zakupów podjechał szybko na wzgórze, do szpitala, gdzie pomodlił się z Joe Iveyem. Następnie odwiedził państwa Sprouse, którym podarował przysmaki dla psów i doniczkę ze szczypiorkiem do postawienia na kuchennym oknie Rachel. Pomodlił się też z Billem i był świadkiem, na żywo, quizu biblijnego Buddy'ego. Potem pośpieszył do Domu Nadziei, gdzie usiadł na podnóżku i wtórował Louelli w interpretacji *Chleba życia*, po czym pojechał windą do jadalni, gdzie znalazł Pauline.

— Jak się czujesz przed jutrzejszym dniem?

— W porządku — odparła. — Nie winię Sammy'ego za to, że nie chce mnie widzieć. Rozumiem to.

— Naprawdę?

— Tak, proszę ojca, wydaje mi się, że rozumiem. Proszę tylko spojrzeć na wszystkie te cuda, które Bóg działał w naszej rodzinie. Ale ja liczę jeszcze na dwa. Czy myśli ojciec, że proszę o zbyt wiele?

Zobaczył bliznę na jej policzku, po strasznym oparzeniu.

— Nigdy! Święty Paweł przypomina nam, że Bóg jest w stanie spełniać nasze życzenia w prawdziwej obfitości, przewyższając to, o co prosimy i co przychodzi nam do głowy. Ale to może potrwać.

— Tak — odparła. — Wiem.

Uściskał ją, bez słów. To właśnie Pauline wybrał Bóg, aby wydała na świat Dooleya i dała go jemu; był niewymownie wdzięczny za ten dar.

To była prawdziwa zagadka.

W miarę jak mnożyły się osiągnięcia techniki, żeby uczynić życie ludzi łatwiejszym, życie stawało się coraz trudniejsze, to znaczy szybsze, bardziej szalone, bardziej skomplikowane i wymagające, a wszystko to spowodowane było — według niego — osiągnięciami techniki.

Niemniej jednak nie mógł się już doczekać, kiedy dostanie swoje e-maile.

— Wszyscy są dostępni online — stwierdziła Emma, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem.

— To dobrze! — odparł, jeszcze bardziej zdeterminowany, aby nie poddać się ogólnemu trendowi.

Timothy, na litość boską+\* to nowa klawiatura/i staram się jak mogę9 nie miałem wiadomości od ciebie już od wieków. Zabierz się do roboty.

abner jest ekspertem od budowania — biblioteczka do mojej chatki i buda dla Williego, który adoptował nas wszystkich. dZieci przychodzą codziennie, ich liczba rośnie. Urządzamy pokaz ich rysunków na podstawie historii biblijnych, pobierając jednego dolara opłaty, które to pieniądze przekazywane są do lokalnego banku żywności/mam

nadzieję, że zechcesz potroić kwotę, którą uda nam się uzbierać, w zamian otrzymasz żywe przedstawienie Noego i powodzi, a może wolałbyś Jonasza I wieloryba?

(\*U

Mam nadzieję, że wracasz do zdrowia, wielka szkoda, że twój lekarz nie pozwoli ci wyjechać na prowincję, wyszłoby Ci to na dobre, i pomogłoby Ci też. Richard wycofał wczoraj jeepa w przedni róg mojej chaty ra/

no gdy odmawiałem poranną modlitwę. Zburzył podmurówkę, co sprawiło że zawalił się cały róg — wszystkie książki i wyposażenie na północno-zachodniej stronie ześlizgnęło się/zjechało/ spadło na południowo-wschodnią stronę, sypiąc się prosto na mnie. Nie jestem ranny, ale stosownie zbulwersowany umiejętnością prowadzenia samochodu przez Richarda. Udało nam się ponownie postawić całość na podmurówce, koszmarne zadanie.

frekwencja rośnie we wszystkich kościołach, łamiemy się wspólnie chlebem w niedzielę podczas ogólnoparafialnej kolacji na przykościelnym terenie. Módl się za nas.

Twoja sekretarka mówi, że nie cierpisz mieć do czynienia z komputerami, bądź dobrym kolegą i dołącz do nas w dwudziestym pierwszym wieku... gdybyś był dostępny online moglibyśmy sobie codziennie pogawędzić. Super sprawa@

dam Ci znać jaką kwotę udało nam się zebrać w najbliższy wtorek, będę wyglądał czeku od Ciebie w poczcie, serdeczne pozdrowienia dla Twojej uroczej małżonki. O. Roland

PS Elly to siedmioletnia dziewczynka, która wczoraj zapytała mnie, czy moja koloratka ma za zadanie odstraszać wszy i kleszcze. Popatrz tylko, co tracisz!!

PPS Dzięki za \$\$, to mniej niż połowa tego, co potrzebowalibyśmy, ale sobie poradzimy.

*Dziękuję, Ojcze, za to, że poprosiłeś Emmę aby pozostała z nami w kontakcie, zachęcam aby zaczął Ojciec e-mailować, sprawi to Ojcu taką radość!*

*Murek pomiędzy sklepem Mony i Erniego został częściowo rozebrany i zamieniony w rodzaj sięgającego bioder przepierzenia, na którym ustawiono mnóstwo doniczek ze sztucznymi kwiatami. Ogólnie wszyscy odbierają to jako dobrą wiadomość. Co do mnie, to wiem, że Ernie jest znowu taki jak przedtem.*

*Stan zdrowia Sama poprawia się z każdym dniem. Dziękujemy za Ojca modlitwy, nie poradzilibyśmy sobie bez nich. To taka ogromna pociecha, wiedzieć, że nasz drogi przyjaciel zanosí nasze troski do Boga, czasami Sam i ja wierzymy, że prawdziwie czujemy, jak wznosi Ojciec za nas modlitwy i prosimy Boga, aby pobłogosławił tych, którzy się modlą!*

*Damy Ojcu znać, gdy przyjdzie na świat dziecko Misty, to już niedługo. Junior nie posiada się z radości.*

*Więcej dobrych wiadomości! Morris został na kawę i ciastko w ostatnią niedzielę, ale tylko na kilka minut, to ogromny triumf Jean Ballenger, która zawsze wierzyła, że to możliwe. Planujemy niesamowicie ambitny program bożonarodzeniowy w oparciu o muzykę organową. Morris komponuje coś wyjątkowego i ludzie przyjadą z łądu. Ach, jak bardzo chciałabym, żeby mógł ojciec do nas dołączyć!*

*Myślę, że możemy bezpiecznie powiedzieć, że powiedzie się Tolsonom — Jeffrey jest, jakbyśmy to nazwali, zupełnie innym człowiekiem, pod każdym względem! Najwyraźniej to działanie Boga (mówi, że bardzo długo rozmawialiście tego wieczoru na plaży).*



*Błagamy, żeby dbał ojciec o siebie! Prosimy o przekazanie naszych najlepszych pozdrowień dla Cynthii. Jeśli tylko znajdzie Ojciec chwilę, żeby nas odwiedzić, zapraszamy do skorzystania z naszego pokoju gościnnego i gwarantujemy całą miłość, jaką mamy w naszych sercach dla Was. Sam serdecznie Was pozdrawia.*

*Marion*

Hope Winchester weszła na drewnianą drabinę i stanąwszy na trzecim szczeblu, zaczęła czyścić roztworem octu i wody najwyższą część okna wystawowego księgarni.

Zastanawiała się, czy nie poprosić George'a Gaynora o wykonanie tej pracy, ponieważ był dużo wyższy i nie musiałby stać na palcach, tak jak ona to obecnie robiła. Nie mogła jednak poprosić kogoś z tytułem doktora o wykonanie tak banalnego zadania jak mycie okien.

Starła się nie rozlać pachnącego płynu na wystawę znajdującą się poniżej, która składała się z ułożonych jeden na drugim egzemplarzy *Foggy Mountain Breakdown Shary*

McCrum i innych książek, których akcja toczy się na górzystym południu. Jak do tej pory doroczny Miesiąc Gór w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń cieszył się przeciętnym powodzeniem, nawet biorąc pod uwagę dziesięcioprocentową zniżkę na każdą książkę, której tytuł zawierał słowo „góra”. Ludzie mogli dostać dziesięcioprocentową zniżkę na wszystko, wszędzie, doszła do wniosku. Zaproponowała, żeby za rok zaoferowali piętnastoprocentową zniżkę. Według niej, to przy piętnastu procentach ludzie zaczynają zwracać uwagę.

Uniosła butelkę ze spryskiwaczem prawą ręką i rozpyliła roztwór w kierunku okna, potem odwróciła się wolno, żeby ją wytrzeć papierowym ręcznikiem, który trzymała w lewej ręce.

Wydawało się, jakby spadała w zwolnionym tempie, jak pióro, albo jakby jakaś wielka dłoń przytrzymywała ją delikatnie, prowadząc ją w dół i amortyzując jej upadek na spód okna wystawowego, gdzie wylądowała na kompozycji *Cold Mountain* w miękkiej oprawie Charlesa Fraziera.

— Zaiste! — stwierdziła Minnie Lomax z Woolen Shop, która była właśnie w drodze na pocztę. — Cóż za interesujące okno wystawowe. Bardzo nowoczesne. Manekin leżący na książkach.

Wiedziała, że Hope Winchester lubi wypróbować nowe rzeczy; kiedyś postawiła sztucznego kota na podnóżku, tak że prawie wszyscy zatrzymywali się przed oknem, czekając, aż kot się poruszy. Mimo że wyglądał zaskakująco prawdziwie, oczywiście się nie poruszył, co sprawiło, że niektórzy poczuli się głupio.

Poprawiając swoje dwuogniskowe okulary i idąc dalej, Minnie doszła do wniosku, że obecna wystawa jest „za bardzo w stylu Nowego Jorku jak na to miasteczko!”. Tę krytyczną ocenę obwieściła na głos, mimo że skierowała ją tylko do siebie, czekając, aż zmieni się światło.

— Hope!

Zobaczyła George'a Gaynora, jak pochyła się nad nią, polecając jej, żeby coś zrobiła.

— Hope! — powtórzył, wyglądając na zaniepokojonego.

Dlaczego miałyby mieć jeszcze jakąś nadzieję? Co prawda jej imię oznacza nadzieję, ale jest przecież starą panną, która nigdy nie wyjdzie za mąż, która popełniała niezgrabne, głupie błędy przed przystojnymi mężczyznami i która właśnie spadła z drabiny. Była tak bardzo rozczarowana sobą, że nie próbowała nawet poruszyć się czy wstać. Nie czuła żadnego bólu, brakowało jej jedynie powietrza, jakby zupełnie uszło z niej życie. Nie chciała niczego więcej, jak tylko leżeć tutaj, zamknąć oczy i w jakiś sposób mieć to wszystko za sobą. Była lekko rozczarowana, że nie umarła podczas upadku.

— Czy jesteś ranna?

— Nie wiem — szepnęła.

— Przeszedłem kurs udzielania pierwszej pomocy. Podniosę cię bardzo delikatnie. Ostrożnie, teraz.

Jego twarz była blisko jej twarzy. A co, jeśli pachnie jej nieprzyjemnie z ust? Odsunęła gwałtownie głowę.

— Czy coś cię zabolalo?

— Nie!

Uniósł ją do pozycji siedzącej.

— Proszę. Jak się czujesz?

— Cudownie! — odparła, wcale nie zamierzając tego powiedzieć. — To znaczy dobrze! Po prostu dobrze, dziękuję.

Będzie musiała zapewne teraz wstać i żyć dalej; nie może tak po prostu leżeć na oknie wystawowym, podczas gdy grupka dzieci gapi się na nią. Zauważyła pannę Tomlinson, jak macha do niej jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymała sznurek, na którym prowadziła wszystkie dzieci ze swojej przedszkolnej trzódki.

— Czy... wszystko... w porządku...? — zapytała, poruszając ustami panna Tomlinson.

— Tak — odpowiedziała w ten sam sposób Hope.

— Jak twoje plecy? — zapytał George.

— Dobrze! Wspaniale! Jestem tylko trochę... przyćmiona, wydaje mi się.

— Czy mam ci pomóc wstać? Kiwnęła głową.

Jego długie, wiotkie palce dotknęły jej palców, a potem jego dłonie chwyciły jej dłonie i zaczęły podnosić ją w górę, w górę, w górę...

Gdy stanęła na nogach, czuła się silna i wysoka — co najmniej tak wysoka jak George Gaynor.

— Proszę! — zawołał, uśmiechając się. — Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

— Stałam tylko na trzecim szczeblu — wyjaśniła, porażona nagle wyjątkowym poczuciem szczęścia.

# Rozdział osiemnasty

## WYGLĄDAJĄC PODOBNI

— Idę o zakład, że wiem, dlaczego Sammy nie chce widzieć mamy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nienawidzi jej za to, że go oddała.

Jessie obwieściła swoje zdanie Poo, który siedział pomiędzy nią i Dooleyem na tylnym siedzeniu mustanga, w drodze w dół góry.

— Ale mama mówi, że nasz tato z nim uciekł.

— Tak, ale mama nie wyruszyła w pościg za tatą, żeby odebrać mu Sammy'ego.

— Ach — westchnął Poo.

Jessie wyjęła grzebień z plastikowej torebki i przeczesała nim swoje długie włosy.

— Ja i Sammy zgubiliśmy się.

— Ale w końcu was znaleźliśmy — wtrącił się Dooley.

— Ja nigdy się nie zgubiłem — rzucił Poo. — Zawsze byłem z mamą.

Jessie zmarszczyła czoło.

— Bo jesteś jej ulubieńcem.

— Nie jestem jej ulubieńcem, kocha nas wszystkich tak samo.

— Nie, nie kocho.

— Nie kocha — poprawił go Dooley, zaciskając szczęki.

— Ciebie kocha najbardziej, bo tylko ciebie nikomu nie oddała ani nie pozwoliła nikomu z tobą uciec.

— Kocha nas wszystkich tak samo — nie zgodził się Poo. — Dokładnie tak samo.

Jessie zaczęła przeszukiwać swoją torebkę, po czym wyciągnęła puderniczkę.

— Ciekawa jestem, czy Sammy jest do nas podobny.

— Tak!

Ojciec Tim spojrzał we wsteczne lusterko, na gadatliwą i pewną siebie Jessie, pojednawczego Poo i Dooleya, który spoglądał niewidzącym wzrokiem przez okno.

— Gdy panna Pringle zobaczyła Sammy'ego, myślała, że to Dooley.

Dooley rzucił krótkie, ale gniewne spojrzenie we wsteczne lusterko. Wyraźnie nie zgadzał się z tym, że można go pomylić z chłopcem z kucykiem.

Jessie wychyliła się do przodu i zwróciła się z pytaniem do pasażerów zajmujących przednie miejsca.

— Czy wszyscy myślicie, że ja, Poo i Dooley jesteśmy do siebie podobni?

— Jak krople wody — odparł ojciec Tim. Buck roześmiał się.

— Gdyby nie to, że Poo nie nosi spódnicy do szkoły, w ogóle nie byłbym w stanie was odróżnić.

— Jak możesz odróżnić Poo od Dooleya?

— Dooley jest o kilka głów wyższy — wyjaśnił Buck.

Jessie oparła się wygodnie o oparcie siedzenia, sprawdziła swoje odbicie w lusterku puderniczki, następnie przyjrzała się uważnie swojemu młodszemu bratu.

— Poo jest dużo, dużo brzydszy ode mnie — obwieściła.

— Jesteś największym palantem pod słońcem — stwierdził Poo.

Dom Lona Burtiego okazał się stacją benzynową Amoco z lat pięćdziesiątych, postawioną na płycie popękane-kanego asfaltu.

Lon przywitał ich w drzwiach.

— Skromnie tu u mnie — powiedział, wyciągając dłoń. — Ale wejdźcie i siadajcie.

Weszli do małego pokoju z betonową podłogą i ścianą pustych półek. W rogu stał stary automat na napoje i batoniki.

— Zapraszam wszystkich na tył, nie mieszkam z przodu.

— Boję się — szepnęła Jessie do Bucka. Ujął jej dłoń.

— Czego się boisz?

— Nie wiem, ale trzęsę się, więc muszę się bać.

— Jesteś podekscytowana — wyjaśnił jej ojczym. — A to różnica.

Jessie wyglądała na bardzo poważną.

— Może czasami — odparła — ale nie zawsze.

Gdy weszli do pokoju, Sammy siedział na fotelu naprzeciwko telewizora. Wstał natychmiast, wyglądając na zaniepokojonego.

— Lepiej to wyłączę — stwierdził Lon. Podeszedł do stolika obok Sammy'ego i wziął pilota. Ekran zrobił się czarny i Lon skinął w stronę grupy.

— Usiądźcie. Tutaj mieszkam, w czasach Amoco był tutaj magazyn smarów.

Sammy odchrząknął.

— H-h-hej — przywitał ich.

Jessie rozplakała się, tuląc się do Bucka. Buck dotykał delikatnie jej ramienia, kierując ją w stronę Sammy'ego.

— Ty i Poo idźcie przywitać się z bratem.

Sammy przesunął się sztywno w ich stronę; ojciec Tim obserwował, jak rozwija się ta scena, jakby w zwolnionym tempie.

Jessie podeszła ostrożnie do Sammy'ego, podobnie Poo. W pokoju zrobiło się dziwnie cicho. Dooley cały czas stał przy drzwiach, na jego twarzy widać było napięcie.

Nagle Poo ruszył biegiem do Sammy'ego, z szeroko otwartymi ramionami, płacząc.

— Hej, Sammy! Hej, Sammy!

Poo i Jessie znaleźli się przy swoim bracie w tej samej chwili. Ich nogi splątały się niezręcznie, sprawiając, że Sammy zaczął upadać na podłogę. Cała trójka przewróciła się w końcu razem, a ich upadkowi towarzyszył pisk podekscytowanej Jessie.

Ojciec Tim przyglądał się, jak Dooley podchodzi do swojego brata i wyciąga ręce, a następnie pomaga mu wstać. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, następnie objęli się w milczeniu, płacząc.

— Będę dla ciebie gotować, Sammy! — Jessie pociągała za T-shirt Sammy'ego. — Codziennie rano przed szkołą będę ci robiła jajecznicę i dam ci wszystkie pieniądze, jakie udało mi się zaoszczędzić.

— Mam nowy kij do baseballu, Sammy, najlepszy, jaki kiedykolwiek widziałeś, możesz go używać, kiedy tylko będziesz chciał.

Lon Burtie otarł oczy gołym ramieniem. Buck wyciągnął chustkę z kieszeni dżinsów. Ojciec Tim odwrócił się i spojrzał w inną stronę, a jego serce przepełniała radość pomieszana ze smutkiem.

— Sammy chce pokazać nam swój ogród, czy mogę wziąć samochód?

— Jak to daleko stąd?

— Kilka kilometrów.

— A co na to...?

Nie chciał powiedzieć „twój ojciec”.

— Nie ma go tam, nie będzie go przez cały dzień.

— Dobrze.

Ojciec Tim sięgnął do kieszeni i podał kluczyk Dooleyowi. Nigdy przedtem nie widział, żeby twarz chłopca była tak promienna. Siła miłości miała moc przeobrażania; Bóg widział to przez cały czas.

— Nauczyłem się to pić w Wietnamie — wyjaśnił Lon, nalewając herbatę do trzech kubków.

— Nie chcieli mnie wziąć. — Buck spojrzał na podłogę, a potem znowu podniósł wzrok. — Jaki wydział?

— Armia. Byłem pomocnikiem artylerzysty, E-4. Lataliśmy na helikopterach Huey, do i ze strefy wojennej. To duże helikoptery, które transportują ludzi i artylerię.

Chwilę niezręcznej ciszy zagłuszał jedynie dźwięk dwóch wiatraków, które poruszały duszne, wilgotne powietrze.

— Wydawało mi się, że nigdy nie poradzę sobie z tym, co tam przeżyłem, ale musiałem, inaczej bym zwariował. To, co działo się w Wietnamie, było wystarczająco trudne, żeby sobie z tym poradzić... Potem wróciliśmy do domu i musieliśmy sobie poradzić z tym, co działo się tutaj.

Zwinął dłoń w pięść i uderzył się w głowę, szybkim ironicznym gestem.

— Przykro mi — odparł ojciec Tim.

— Tak, no cóż, teraz mogę o tym mówić. Problem w tym, że nie mam do kogo mówić, tylko do Sammy'ego. — Lon uśmiechnął się. — Jest dobrym chłopcem, cieszę się, że go odnaleźliście. Ale lepiej z nim nie zadzierać, ma temperament swojego tatusia.

Buck podmuchał na swoją parującą herbatę.

— Nie wiemy, jak się do tego zabrać, dokładnie, staramy się nie podejmować zbyt pochopnych kroków. Nie wiem, czy chciałby, no wiesz, zamieszkać z nami. Lon wzruszył ramionami.

— Sammy czuje się odpowiedzialny za swojego ojca, robi za niego wszystko, z wyjątkiem podcierania mu tyłka. Kupuje mu alkohol, kładzie jedzenie na stole, chodzi do miasta, gdy nie mogę go zabrać, pierze pościel, na którą ten zwymiotuje. Clyde Barlowe to pieprzony dupek. Prawdę powiedziawszy, najbardziej pieprzony, jak to tylko możliwe.

— Zakładamy, że to prawda, że Barlowe'a nie ma dzisiaj w domu. Nie chciałbym, żeby dzieciaki napytały sobie jakiejś biedy.

— Wszystko w porządku, pojechał do Wirginii z Cate'em Turnerem, jednym z jego kumpli od flaszki.

Cate Turner. Ojciec Lace Harper. Ojciec Tim był szczęśliwy, że nigdy nie będzie miał żadnego powodu, żeby jej o tym wspominać.

— Wiesz, kiedy wróci?

Może mogliby zabrać ze sobą Sammy'ego na górę na jeden dzień...

— Dzisiaj w nocy, jadą za granicę stanu kupić losy na loterię. Przyjedzie do domu pijany do nieprzytomności i pozostanie w takim stanie przez następne cztery albo pięć dni.

— Potrzebuje pomocy — powiedział Buck. — Ja też kiedyś dużo piłem.

— Gdyby ustawić nas, pijaków, w szeregu, opasalibyśmy całą kulę ziemską kilka razy.

— Co możemy zrobić? — zapytał Buck. — Na teraz? Na krótką metę?

Lon potrząsnął głową.

— Nie wiem, co wam powiedzieć. Zaproponowałem Sammy'emu, żeby ze mną tu zamieszkał, ale on nie chciał zostawić Clyde'a.

— Nie chcemy niczego narzucać — odparł Buck. — Ale...

— Gdybyście włączyli do tego opiekę społeczną, na pewno udałoby się wam wydostać stamtąd Sammy'ego. Sęk w tym, czy chciałby stamtąd pójść.

— O co chodzi z tym całym Jaybirdem Johnsonem? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Wydaje mi się, że Clyde prawdopodobnie ukradł czyjś dowód, nie znam szczegółów.

— Czy Sammy chodził do szkoły, wiesz coś o tym?

— Znam go od czasu, gdy skończył siedem, osiem lat. Od tego czasu raczej niewiele chodził do szkoły, mogę to wam powiedzieć. Nie lubi siedzieć w szkole, dwa razy powtarzał klasę. Ale ma bystry umysł, bardzo bystry. Widzieliście jego ogród, jego zrobienie poszło mu jak z płatka, ma do tego dryg. Z drugiej strony, potrafi ograć każdego gracza w bilard. To też przychodzi mu łatwo; to dziwna kombinacja. Wydaje mi się, że byłby w stanie zrobić wszystko, na czym tylko będzie mu zależało, ale jak zostanie tutaj, to nic nie osiągnie. — Lon wzruszył ramionami.

— Mnie to nie przeszkadza, że tutaj zostanę, ale...

— Ale co? — zapytał ojciec Tim. Lon zachichotał krótko.

— Ale ja nie zamierzam niczego osiągać, więc po co wyjeżdżać?

— Stary kaznodzieja w Missisipi powiedział kiedyś: „Bóg nie robi wybraków”. Jestem pewien, że jesteś w stanie osiągnąć dużo więcej, niż ci się wydaje. — Ojciec Tim się uśmiechnął. — Masz jakiś wyuczony zawód?

— Maluję domy. Mam ciężarówkę, kilka drabin, nie narzekam na brak zajęcia. Wszystko polega na tym, żeby przyjechać na czas, zrobić swoje, być trzeźwym i posprzątać po sobie.

— Dobry plan.

— Można powiedzieć, że przy życiu trzyma mnie moje dodatkowe zajęcia.

— Co to takiego? — zapytał Buck.

— Skoro dzieci są u Clyde'a, to mogę wam pokazać — nie mam zbyt wiele okazji, no wiecie, żeby pokazać to komukolwiek.

— Proszę! — rzucił entuzjastycznie ojciec Tim. — Prowadź.

Lon poprowadził ich przez duży, skromnie urządzone pokój do drzwi.

— Tam była kwatery główna.

— Nie ma sprawy — rzucił Buck. — Nie muszę tam wchodzić. Ojciec chyba też nie.

— Była — wyjaśnił Lon.

Ojciec Tim pomyślał, że ich siwiejący, około pięćdziesięcioletni gospodarz, jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną, gdy się uśmiecha. Lon otworzył drzwi i zrobił miejsce, żeby mogli zobaczyć.

Ojciec Tim zaniemówił z wrażenia.

— Wielkie nieba!

Buck zdjął swoją czapkę z daszkiem.

— A niech mnie!

— To mój ogród. Zapraszam.

Pomieszczenie było dość duże. Tam, gdzie kiedyś były kabiny, ściany po trzech stronach zapełnione były półkami, na których stały orchidee w doniczkach, przeróżnych kolorów i o różnym kształcie płatków. Orchidee znajdowały się również w doniczkach na półkach nad umywalką i chwyciły się metalowej siatki, podczas gdy ich korzenie ciągnęły się, wisząc w powietrzu. Podniesiona rattanowa żaluzja na małym oknie wpuszczała do środka południowe światło.

— Niektóre z tych roślin mają już parę niezłych lat, kupiłem je po powrocie z Da Nang. Ta tutaj to *Paphio-pedilum delenatti*, przywiozłem ją z Wietnamu w torbie podróżnej, a korzenie zawinałem w bieliznę. Przez wiele lat ludzie myśleli, że roślina ta wyginęła, była wtedy warta dziesięć, piętnaście tysięcy dolarów. Buck zagwizdał lekko.

— Dzisiaj wziąłbym za nią prawdopodobnie tyle samo, ale nie rozstałbym się z nią, żadną miarą.

— Czy wszystkie są z Wietnamu?

— Pochodzą z całego świata. Te tutaj są z Filipin, ta z Indii, tam te ciemnoróżowe to odmiana południowo-amerykańska.

— Cudownie! — zachwycił się ojciec Tim.

— Jest tu dobrze i wilgotno, w pobliżu rzeki, odpowiada im to.

— Jak zacząłeś to robić? — zainteresował się Buck.

— To się zaczęło od człowieka, który nazywał się... — Lon odchrząknął, nagle wzruszony — Tran van Hoi. Poznaliśmy się w górach, gdzie mieszkał w małej chatce z rodziną. Był wrogiem, według USA, ale był... najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Lon otarł oczy grzbietem dłoni, zupełnie się tego nie wstydząc.

— Spędziłem większość przepustek w dżungli, tylko podziwiając ich piękno. Nigdy się nie bałem dżungli. Wyrosłem tu w okolicznych lasach, zanim je ścięto i zamieniono na centra handlowe. Tran nauczył mnie wszystkiego o orchideach, w samym tylko Wietnamie jest dwa i pół tysiąca różnych odmian.

— Brak słów — rzekł ojciec Tim.

— Tak, no cóż, szkoda, że nie każdy, kto odsłużył tam swoje, ma coś takiego. To uratowało mnie od straty ich wszystkich. Widzicie to halogenowe oświetlenie, co je zainstalowałem? Światło je oszukuje, nie mają pojęcia, że rosną na stacji benzynowej Amoco, blisko Holding w Karolinie Północnej. — Lon uśmiechnął się. — Można by powiedzieć że elektryczność jest moją jedyną słabością, od kiedy odstawiłem alkohol.

— To jest wspaniałe! — wyraził swój zachwyt Buck. — Po prostu wspaniałe!

— Dzień cudów! — zachwycił się ojciec Tim.

No to mieli za sobą cztery cudy i jeden — co najmniej — jeszcze ich czekał.

Hope Winchester siedziała na taborecie przy kasie, na kolanach trzymała zamkniętą książkę i usiłowała zrozumieć, co się jej stało, gdy spadła.

Upadła w stanie zmieszania i bólu, a została podniesiona w stanie... znalezienie właściwego słowa było bardzo ważne... w stanie szczęścia. Zawsze nie dowierzała temu słowu i unikała jego używania. Ale najwyraźniej doświadczyła właśnie szczęścia — szczęścia i poczucia wolności.

Wolności!

Nigdy w swoim życiu nie czuła się wolna, dopiero gdy podniosła się po tym upadku. Używając innych słów, upadła z ogromnym ciężarem w sercu, a wstała lekka i transparentna, jak skrzydła émy.

Nawet jej mama wyczuła coś nowego, gdy rozmawiały przez telefon kilka dni temu. Jej mama, która cały czas żyła w bólu, zdołała zapomnieć na chwilę o cierpieniu i skoncentrować się na swojej córce, oddalonej o ponad sto kilometrów na północ.

„Wydaje mi się, że masz się dobrze — powiedziała jej mama. — Twój głos brzmi inaczej”. A potem, na koniec, dodała: „Musisz być szczęśliwa. Mam nadzieję, że wsiądziesz do autobusu i przyjedziesz, żebyśmy mogły z twoją siostrą zobaczyć, jak wyglądasz jako szczęśliwa kobieta”.

Mimo że siedziała na tym dziwnym i nieprzyjemnym taborecie, tak jak zwykle — ze ściągniętymi ramionami i plecami, jako że nie miała się o co oprzeć — w myślach tańczyła z twarzą zwróconą do słońca.

— Pięknie się dzisiaj uśmiechasz — zauważył George, wchodząc z kancelarii.

— Dziękuję — odparła.

Zauważyła, że nie zwija się w kulkę ani że jej serce nie bije gwałtownie. Powiedziała dziękuję w najbardziej naturalny sposób na świecie, co było częścią tego cudu przemiany, nad którym właśnie rozmyślała.

— Przy okazji, gdybyś kiedykolwiek potrzebowała jakiegś pomocy, możesz zadzwonić do mnie, do domu panny Pringle. Wiem, że miałaś problemy z kanalizacją kilka dni temu wieczorem.

— Dziękuję. Na pewno tak zrobię.

Toaleta zaczęła przeciekać dokładnie w chwili, gdy zabierała się do zamknięcia księgarni, i musiała wezwać hydraulika z Wesley.

— Kawa dzisiaj rano?

— Tak! — odparła, nadal się uśmiechając. Nawet nie próbowała mu zapłacić, bo nigdy by tego nie przyjął. — Bardzo chętnie napiję się kawy.

— Tak jak zwykle — upewnił się. To nie było pytanie.

— Tak.

Ich wzrok spotkał się, a ona nie czuła strachu, najmniejszego. Nie cofnęła się ani nie wzdrygnęła, nie pragnęła też schować się pod ladą.

— Dziękuję.

— Wracam za pięć minut. Teraz i on się uśmiechał.

— Trzymaj straż — polecił, zamykając za sobą drzwi.

Ześlizgnęła się z taboretu i podeszła, zatrzymując się na środku pomieszczenia, żeby kąpać się w bladym prostokacie światła, które wpadało przez podłużne szyby w drzwiach. Nadal czuła się trochę sztywna i obolała po upadku, ale wyciągnęła ramiona i wygięła plecy, tak jak robiła to Margaret Ann, kot z księgarni, który drzemał obecnie w części poświęconej książkom ogrodniczym. Z trudem powstrzymywała się od tego, żeby nie zatańczyć, mimo że nie miała pojęcia o tańcu, nigdy nie tańczyła, ale też nigdy przedtem nie miała takiej ochoty.



Przypomniała sobie historię mężczyzny, który doznał urazu głowy, i wkrótce po tym usiadł i zagrał Chopina i Beethovena, mimo że nigdy nie brał lekcji gry, nie wspominając nawet o jakimś kontakcie z pianinem. Był też ten dziesięcioletni chłopiec, który po upadku ze schodów nagle został geniuszem matematycznym. Mimo że nie doznała urazu głowy, czy coś takiego się jej przytrafiło?

Powinna poczytać o tym zjawisku, oczywiście. Odwróciła się w stronę półki, na której powinna znajdować się taka książka. Ale... zatrzymała się i zastanowiła: nie chciała czytać tej książki. Ani trochę. Nie miała nawet ochoty studiować słownika, by znaleźć słowo, jeśli takie nawet istniało, określające to, co jej się właśnie przytrafiło.

Czego w takim razie chciała?

Iskierka zatańczyła w jej oku. Miała ochotę doznawać swoich nowych uczuć. Jedno po drugim.

Wrócił ze swojej wyprawy na dół góry uradowany i jednocześnie zmęczony.

Ale cóż, „Ten czas, on prawdziwie płynie” i musiał zabrać się do notatek do kazania.

Niestety, dzwoniący telefon był zawsze pokusą, gdy pracował nad kazaniem... Zdejmował z ramion ogromny ciężar odpowiedzialności, nawet jeśli tylko na ułamek sekundy...

— Halo!

— Ojcie Timie, mówi Lew Boyd.

— Lew! Nie odzywałeś się czy zmieniłeś zdanie?

— Ależ skąd. Nie zrobiłbym tego. Rzecz w tym, że, hm...

— Tak?

— Pojechaliśmy do Karoliny Południowej i załatwiliśmy to w urzędzie.

— Och!

— Widzi ojciec, ja i Earlene nie jesteśmy już tacy młodzi.

— Zgadza się.

— Cóż, już wiedzieliśmy to wszystko, o czym chciał nam ojciec powiedzieć.

— Aha.

— Nie chcieliśmy, żeby tracił ojciec czas...

— To żadna strata.

— ...ani my, rozumie ojciec — my też nie chcieliśmy tracić czasu.

— Nie mam wam tego za złe.

— Nie?

— Oczywiście, że nie! Gratulacje!

— Proszę pamiętać, nie może ojciec nikomu powiedzieć.

— Pamiętam.

— Absolutnie nikomu.

— Jasne.

— Jak przyjedzie ojciec na stację, ma u mnie ojciec darmowe mycie i odkurzanie.

— To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, Lew, nie musisz tego robić.

— Zamierzam to zrobić! Proszę przyjechać.

— Dziękuję uprzejmie. Chciałem powiedzieć, że przykro mi z powodu wiadomości dotyczącej Harleya.

Wiedziałem oczywiście, ale...

— Nie zamierzam się tym martwić. Musiałem trochę wysłuchać, gdy George zaczął nam pomagać w weekendy i teraz też trochę mi się oberwie, ale rzadko widuje się takich pracowitych ludzi jak oni. Większość z pomocników, których zatrudniałem w ostatnich latach, była takimi łajdakami, że to pachniało kryminałem... że tak powiem.

— No cóż, w takim razie! Kiedy poznamy Earlene?

— Zamierza zostać w swojej pracy przez kolejny rok lub dwa, wie ojciec, nabyć uprawnień emerytalnych i tak dalej, potem przeprowadzi się do Mitford.

— Małżeństwo na odległość. Słyszałem, że są ostatnio bardzo modne.

— Instaluję nowy silnik w moim dodge'u ramie i wymieniam gaźnik.

— To powinno wystarczyć.

— Proszę pamiętać, żeby nikomu nie mówić.

— Dobrze.

— Zamierzamy się z tym nie afiszować, dopóki sprawy się nie ułożą.

— Aha.

— Cóż, proszę przyjechać za dzień, dwa, żebyśmy mogli umyć ojca samochód.

— Przyjadę, Lew, i bardzo dziękuję. Chcielibyśmy, żebyś odwiedził nas z Earlene, gdy sprawy się ułożą.

— Bardzo dziękujemy, ojczu.

— Niech Bóg błogosławi wasze małżeństwo, żeby było długie i szczęśliwe!

— Dziękujemy.

Uśmiechał się, gdy odkładał słuchawkę. Miał raczej słabość do późno rozkwitających romansów.

Znaleźli Sammy'ego Barlowe'a; Bill Sprouse miał odprawić nabożeństwo w kościele baptystów w niedzielę; a co do niego, jego waga stała w miejscu, stan cukru oscylował wokół normalnego poziomu, a on miał swoje własne nabożeństwo do odprawienia.

Powinien krzyczeć z radości. Zamiast tego czuł, jak ogarnia go dziwna ciemność.

O czwartej po południu nałożył strój do joggingu i zasznurował buty. Ćwiczenie nie wymaga energii, poczuł się, ale jej dostarcza, wszyscy o tym wiedzą.

Barnaba podszedł i stanął przy jego kolanie, zaglądając mu litościwie w oczy. Jego pies jest bardzo mądry, zawsze taki był. Ojciec Tim otoczył ramieniem jego dużą głowę, której ciemne futro poprzetykane już było siwymi włosami, i szepnął:

— Jesteś, mój przyjacielu, najlepszy z najlepszych.

Przytulił głowę psa do swojego bijącego serca. Nigdy nie było i nigdy nie będzie bliższego towarzysza niż ten.

— Bóg z tobą — powiedział chropowatym głosem.

Zszedł do kuchni, otworzył lodówkę i zobaczył, że Puny zostawiła jego kolację przykrytą folią, gotową do odgrzania. Zajrzał pod folię.

Danie zdawało się zawierać kurczaka, marchewkę i szpinak. Był pewien, że będzie wyglądało bardziej apetycznie na gorąco, chociaż mógłby zjeść całość na miejscu. W zamian spałaszował łyżkę masła orzechowego, uśmiechając się na widok „Anglican Digest”, który Puny umieściła przy jego talerzu na ladzie kuchennej, żeby dotrzymał mu towarzystwa przy kolacji.

Zamiast kierować się w stronę Farmer, postanowił, że pobiegą na północ Main Street, skręcą w prawo, potem w lewo do szpitala. Potem w dół Old Church Lane i przez park Baxter. To da im ponad dwa kilometry, a to przecież lepsze niż nic. Gdy Cynthia wróci do domu i wszystko wróci do normy, nadrobi krótszy czas w tym tygodniu. Cynthia...

Stał na schodach wejściowych, trzymając w ręce czerwoną smycz. Tęsknił za swoją żoną. Nic dziwnego, że było mu smutno. Usiłował nie dopuszczać do siebie tej myśli...

Poczuł nagle gwałtowny przypływ emocji, coś na kształt „obezwładniającego smutku”, o którym zwykła była mówić jego mama, i odrzucił go. Jego cukier jest w normie, właśnie go sprawdził i wypił mnóstwo wody — czas ruszyć przed siebie.

Zbiegli po schodach, następnie pokonali chodnik i wybiegli na ulicę. Kolejny piękny sierpniowy dzień w górach — ale suchy. Suchy jak pieprz. Odrobina deszczu, jaka spadła, była nieomal niezauważalna. Harley podlewał róże nawadniającym węzem osiem razy, według obliczeń ojca Tima, a rabaty z bylinami też nie wyglądały zbyt bujnie. Prawdę powiedziawszy, „Mitford Muse” ostrzegła przed zbliżającymi się ograniczeniami w użyciu wody.

— W porządku, stary druhu — rzucił, gdy rozpoczęli trucht.

Przebiegał obok Woolen Shop i nieomal staranował kobietę wychodzącą z torbą z zakupami.

— Przepraszam, tak mi przykro, powinienem bardziej uważać...

— Nic się nie stało, absolutnie! Czy pan jest ojcem Timem?

— Tak, proszę pani!

Podąła mu dłoń, uśmiechając się.

— Millie Tipton z kaplicy metodystów. Na Jowisza, miała koloratkę...

— Wielebna Tipton! Miło mi, że w końcu panią spotykam. Witamy w Mitford.

Będzie musiał upiec jej tartę, i to szybko; jest w miasteczku już od kilku tygodni,

— Jestem dumna, że mogę tu być. Miałam nadzieję, że będziemy mogli wypić kiedyś razem kawę. Mimo że jest ojciec na emeryturze, słyszałam, że nadal jest ojciec bardzo wpływową postacią w Mitford. Wszyscy ojca kochają.

Zaczerwienił się. Poprzedni biskup ostrzegwał go, żeby nigdy nie ufać całkowicie osobie, którą wszyscy kochają.

— Nie wszyscy! — nie zgodził się. — Być może będzie pani mogła dołączyć do nas na śniadanie w barze Grill, jeśli jest pani w stanie znieść towarzystwo starzejącego się duchownego, zrzedliwego wydawcy gazety i... agenta handlu nieruchomościami.

Doszedł do wniosku, że jego przyjaciel Mule nie daje się łatwo zaszufadkować.

— Mikrokosmos warstw społecznych tego świata! — odparła, śmiejąc się. — Słyszałam, że klub indyków spotyka się około ósmej, prawie codziennie rano?

— Niestety, Mitford nie ma sekretów! — odparł.

Joe Ivey wyglądał blado, mizernie.

— Coś jeszcze jest nie tak, nie wiedzą co. Robią mi tyle badań, że pewnikiem puszczą służbę medyczną z torbami.

— Przykro mi, że chorujesz, przyjacielu, ale staniesz na nogi.

— Tylko mi żal, że muszę oddać biznes fryzjerski w tym mieście w ręce tej przeklętej kobiety.

— O tak, będzie miała mnóstwo klientów, udało ci się naprawdę zbudować niezłą bazę. Ale nie oddałeś go przecież na zawsze.

— Gdy Winnie wynajmowała jej to miejsce, widziała to jako rodzaj fryzjerskiego imperium, które będzie służyło wszystkim klientom w jednym miejscu — góra, jak życzysz sobie trwałą, płukankę i tak dalej, dół to moje stanowisko na strzyżenie i może golenie. Ale nie, pani wymyślne spodnie zapragnęła mieć wszystko. — Joe spojrział mu prosto w oczy. — Staram się bardzo jej nie znienawidzić.

— Tak trzymać. Nie przestawaj próbować! Poproś Boga, żeby ci pomógł.

Joe westchnął głęboko.

— Wie ojciec, na czym polega problem z byciem fryzjerem?

— Nie.

— Nikt nie chce już tego robić. Za dużo stania przez cały dzień na nogach.

— Rozumiem.

— Żyłaki, ból w krzyżu, haluksy, nie wiem, co jeszcze. To dlatego uciekłem wtedy do Graceland, żeby pracować jako ochroniarz.

— I Bóg wykorzystał ten czas na twój pożytek. Tylko pomyśl — w Graceland rzuciłeś picie.

Joe zamknął oczy; na twarz wypłynął mu delikatny uśmiech.

— Rzuciłeś, prawda?

Joe otworzył oczy i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo, że w końcu zaczął się krztusić.

— Przed Bogiem, tak, ale lubię widzieć, jak się ojciec martwi, czy rzeczywiście to zrobiłem.

— Ty łajdaku — odparł ksiądz. — Pozwól, że się za ciebie pomodłę.

Skoro już był na górze, to może powinien złożyć krótką wizytę w Domu Nadziei — ucałować Louellę, zajrzeć do Pauline, zapytać, co nowego u jego starego przyjaciela, Scotta Murphy'ego...

Ale nie. Nie czuł się na siłach.

— Do domu — rzucił do Barnaby.

Zbiegli w dół Old Church Lane i skręcili w prawo, w chłodny cień parku Baxter. Dlaczego tak często zapominał o parku Baxter i jego słodkim, ukrytym pięknie? Najwyższy czas, żeby ponownie wybrał się tutaj ze swoją żoną na piknik, może na początku października, gdy klony będą zmieniać barwę.

— Dzień dobry, ojcze!

Barnaba zatrzymał się gwałtownie, sierść zjeżyła mu się na karku, a wtedy ukazała się Lace Turner z czekoladowym szczeniakiem labradorem na smyczy. Barnaba stał w miejscu, spięty i podejrzliwy, warcząc cicho.

— To jest Guber! — zawołała Lace, usiłując utrzymać podskakującego szczeniaka na odpowiednią odległość.

— „Guber”? — Co to za imię dla psa pięknej młodej kobiety?

— Od „gubernatorski”. Hoppy powiedział, że ma gubernatorski wygląd, jak nasz gubernator.

— Na Jowisza, rzeczywiście! Jak się masz, moja droga?

— Wspaniale! Proszę spojrzeć, chyba zaprzyjaźnił się z Barnabą.

Ogon jego psa poruszał się teraz, choć nieco ostrożnie. Szczeniak czekał wniebogłosy, niecierpliwy, żeby dobrać się do czarnego Behemota na czerwonej smyczy.

— Myślisz, że moglibyśmy usiąść na chwilę i porozmawiać? — zaprosił ojciec Tim.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — odparła, uśmiechając się. — Ale możemy spróbować!

Podniosła szczeniaka i usiadła na jednym końcu ławki, trzymając psa na kolanach. Usiadł obok niej.

— Ach — westchnął. — Prawdziwa rozkosz!

Barnaba rozciągnął się na trawie, nie spuszczając wzroku ze szczeniaka.

— Czy cieszysz się z wyjazdu do University of Virginia?

— Tak, proszę ojca. Tam jest pięknie.

— Byłem tam raz jako młody seminarzysta. Pamiętam, że nie nazywają swojego campusu campusem.

— Tak — zgodziła się. — Nazywa się „ziemie”.

— Na pewno świetnie sobie poradzisz. A gdybyś potrzebowała kiedyś modlitwy — o cokolwiek, w dowolnej chwili, zadzwoń do mnie. Będziesz o tym pamiętać?

— Tak, proszę ojca. Będę.

— Nałożyłem raz moje buty kowbojskie.

— Czy są wygodne?

— Bardzo! Dziękuję jeszcze raz. W niewiele prezentów, które otrzymałem, włożono tyle serca.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, zadowolona.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— W poniedziałek.

— Tak samo jak Dooley.

Spuściła wzrok i pocałowała czubek aksamitnej głowy Gubera.

— Znaleźliśmy brata Dooleya, Sammy'ego. Usłyszał, jak złapała szybko powietrze.

— Spotkali się, patrzymy z nadzieją w przyszłość. Nadal dotykała ustami głowy szczeniaka, milcząc.

— Przykro mi z powodu tych wszystkich chwil, gdy Dooley potraktował cię nieuprzejmie.

Spojrzała na niego; w jej bursztynowych oczach rozbłysła iskierka żalu.

— Powiedział mi, że kiedyś nie odpowiedziałś na jego telefon. Wydaje mi się, że to go jakoś... zraniło.

Mieszał się oczywiście w nie swoje sprawy. Księża najwyraźniej nie mogą się powstrzymać od mieszania się w nie swoje sprawy.

— Po co miałabym do niego dzwonić, skoro będzie się tylko zachowywał nieuprzejmie i chłodno w stosunku do mnie?

— To dobre pytanie. Nie myślę, że chce się zachowywać nieuprzejmie i chłodno w stosunku do ciebie.

— Jeśli nie chce, to powinien przestać to robić.

Gniew, który zobaczył w jej oczach, wydawał się stary jak świat.

— Tak. Zgadzam się. Powinien. I, Lace...

— Tak, proszę ojca?

— Wierzę, że tak się stanie.

Nie wiedział, czy go usłyszała — albo czy mu uwierzyła.

— Proszę spojrzeć — powiedziała Lace. — Śpi.

— Możesz wyjść wcześniej, jeśli chcesz.

Pakowali większość książek ogrodniczych do pudełek; z wyjątkiem kilku burz to lato w Mitford było zbyt suche, żeby wywołać jakikolwiek entuzjazm dla prac ogrodniczych. Hope nie cierpiała zwrotów — cały ten wysiłek, żeby napisać książkę, a potem, w końcu, jeśli się nie sprzedała, trzeba ją było wysłać na cmentarzysko książek.

— W porządku, wolę zostać.

— Wczoraj zostałeś do późna wieczorem, możesz wyjść dzisiaj wcześniej.

Uważała, że od ludzi, którzy otrzymują niewielkie wynagrodzenie, nie należy wymagać, żeby pracowali w nadgodzinach za darmo.

— Większość wie, że księgarnia jest zamykana o szóstej. Nie wyglądałoby dobrze, gdybym wyszedł z pracy o czwartej trzydzieści.

Jego oczy wydawały się jej błękitne jak niebo.

— Dlaczego nie?

— Nie chcę wywoływać żadnych niepotrzebnych plotek ani podejrzeń, ponieważ to wszystko kładzie się cieniem na takich dobrych ludziach jak ty i ojciec Tim. Gdyby, niech Bóg strzeże, coś stało się w miasteczku, wiele oczu zwróciłoby się na mnie — albo na Harleya. Tak to już jest. Zrozumiała, że nie uda się jej go przekonać.

— Tak — odparła. — No cóż.

Miała niewielu przyjaciół w swoim życiu i nigdy nie miała przyjaciela, który byłby mężczyzną. Ale jej uczucie do George'a było teraz inne; od czasu upadku było inne. Było przyjemne i swobodne.

— Jak się czuje twoja mama? — zapytał.

— Trochę lepiej. Ale niewiele. Chyba powinnam pojechać ją odwiedzić we wrześniu.

— Wydaje mi się, że od czasu upadku radzisz sobie bardzo dobrze.

— Czuję się wspaniale, naprawdę. Trudno to wyrazić, próbowałam to zrozumieć. Ale coś się stało, gdy upadłam. Coś... cudownego.

— Cieszę się. Modliłem się za ciebie.

Wydawało się jej, że to jest to, co robią chrześcijanie — modlą się za ludzi. Ale ona nie chciała, żeby ktoś się za nią modlił; wydawało się jej to naruszeniem jej prywatności.

— Naprawdę nie musisz sobie robić kłopotu modleniem się za mnie, nie wierzę w to.

Coś z tego dawnego, zimnego dystansu wróciło i zmroziło jej serce.

— Nie musisz w to wierzyć, żebym mógł się za ciebie modlić. I to nie jest żaden kłopot, to błogosławieństwo.

— Ach — westchnęła, spoglądając na niego. Przypuszczała, że nadal jest przystojny, ale już tego nie zauważała. To, co natomiast widziała teraz coraz częściej, to jego życzliwość.

— Od upadku — zauważył, uśmiechając się — wydajesz się żywym przykładem swojego imienia.

— Tak.

Zastanawiała się nad tym z podziwem.

— Wydaje mi się, że to prawda. Nigdy nie wierzyłam tak naprawdę w moje imię. Nadzieja wydawała mi się taka... obca. Myślałam, że powinnam być raczej Janet albo Peggy.

— Uważam, że Hope bardzo do ciebie pasuje.

— Dziękuję.

Cudowne ciepło rozgrzało jej serce; do oczu napłynęły jej łzy. Czowała się, jakby nadano jej to imię po raz pierwszy, podczas czegoś w rodzaju chrztu.

— Pamiętam, że kiedy spojrzaleś na mnie leżącą na wystawie, powiedziałeś: „Hope!”, jakby to było polecenie. Nie skojarzyłam mojego imienia z tym słowem; raczej poczułam się tak, jakbyś wzywał mnie do tego, żebym miała nadzieję.

— Twoje imię oznacza nadzieję — wyjaśnił.

Siedzieli teraz na podłodze, nie kucali, a pomiędzy nimi znajdowały się otwarte pudła.

— Gdzie są twoi rodzice? — zapytała. — Czy wiedzą, że jesteś w Mitford?

— Moi rodzice zginęli w katastrofie samolotu piętnaście lat temu. Ja też byłem w tym samolocie.

— Ach.

Nie była w stanie wyobrazić sobie takiej tragedii.

— Tak mi przykro.

— Byłem uwięziony przez trzy dni w kokpicie, przy ujemnej temperaturze. Złamane nogi, rozbita głowa.

Potrząsnęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

— Zawarłem wtedy z Bogiem umowę, ale nie dotrzymałem słowa.

— Czy teraz... dotrzymujesz słowa? Uśmiechnął się.

— Staram się.

— Czy podoba ci się w Mitford?

— Nie wybrałem Mitford, Bóg to zrobił. Wydawało mi się, że jadę bez celu i powodu. Mitford nie wydawało się niczym więcej, jak tylko przypadkowym miejscem, w którym będę się mógł schować przed policją federalną. Teraz wiem, że Bóg mnie tutaj przyprowadził i kazał się ukryć na strychu Lord's Chapel specjalnie po to, żebym — w czasie gdy ojciec Tim będzie odmawiał modlitwę zbawienia w nawie — był przy tym obecny — żebym też ją odmówił.

— Czy to nie mogło się zdarzyć gdziekolwiek?

— Możliwe. Ale nie myślę tak. Myślę, że to było moje miejsce i że to był mój czas.

— Jakiego rodzaju modlitwą jest modlitwa zbawienia?

Czytała ją kiedyś w kolumnie listów do wydawcy „Muse”, ale nie pamiętała słów.

— Jest prosta. Bardzo prosta.

— Ale ty nie wydajesz się prostym człowiekiem. Co sprawiło, że wydała ci się prawdziwa i głęboka?

— Duch Święty przemówił do mojego serca i wiedziałem, że jest prawdziwa.

Poczuła delikatne mrowienie w plecach. Duch Święty. Przemówił!

— I zmieniła twoje życie — powiedziała.

To nie było pytanie; wszyscy w Mitford wiedzieli, że jakaś modlitwa zmieniła życie mężczyzny, który oddał się w ręce policji, na skutek czego spędził osiem lat w więzieniu.

— Tak.

Nie miała ochoty prosić go, żeby odmówił modlitwę, jeśli w istocie byłby w stanie; to naturalne, że chciała wiedzieć, była z natury ciekawą osobą.

Rozważała to, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach i trzy nauczycielki ze szkoły w Mitford wtargnęły do środka, gawędząc beztrąsko. Hope wiedziała, że przed przyjściem do księgarni zajrzały do cukierni; ich ubrania nadal pachniały rozkosznym aromatem cynamonu i czekolady.

Rozmawiał z Cynthią o ósmej trzydziści; ona też za nim tęskniła.

— Ty tęsknisz za mną, ja tęsknię za tobą. Podpórki na książki! — zawołała, nazywając ich czułem określe-  
niem, jakie wymyśliła podczas okresu ich wczesnej znajomości.

— Ale cieszę się, że cię zachęciłem, żebyś pojechała.

— Wcale mnie nie zachęciłeś, nalegałeś! Ale dziękuję, że nakłoniłeś mnie do tego, Timothy, to cudowne  
przeżycie — wyczerpujące, ale cudowne.

— To, że kazałem ci wyjechać, wyszło mi na dobre.

— Dlaczego, najdroższy?

— Ponieważ zacząłem się bać, że cię stracę. W jakiś dziwny sposób, przez to, że kazałem ci wyjechać, opu-  
ścił mnie strach, że cię stracę.

— Dlaczego się bałeś?

— Twój sukces... Zastanawiałem się, czy nie przyćmi tego, co nas łączyło.

— Nic nie jest w stanie tego zrobić, Timothy. I nigdy, ale to przenigdy mnie nie stracisz, nie zgadzam się na  
to.

— Kocham cię, Kavanagh.

Miał ochotę być czuły dla swojej żony. Życie jest krótkie!

— Szalenie.

— Ja też cię kocham szalenie!

— Będę miał dla ciebie niespodziankę albo dwie. Rolada z łososia była wszystkim, co wymyślił do tej pory,  
ale z pewnością może zaplanować jeszcze coś innego.

— Kocham niespodzianki — odparła, szczęśliwa. — A teraz kładź się spać, kochany. Sądząc po głosie, wy-  
dajesz się wykończony.

Przeczytał wieczorne oficjum brewiarzowe i śpieszył do łóżka, słuchając zaleceń swojej żony.

Dzień wydawał się trwać sto lat. Wydawało mu się, że to całe wieki temu i w innym życiu jechał z Buckiem  
i dziećmi na dół góry i był świadkiem ich radości. Nawet Dooley, który zazwyczaj ostrożnie dobierał słowa, mówił  
nieprzerwanie przez całą drogę do domu — co będą wszyscy robić, gdy znowu spotkają się z Sammym, jak będą  
mogli go namówić, żeby przyjechał do Mitford na swoją pierwszą wizytę, jak kupi Sammy'emu naprawdę wspaniałą  
parę butów sportowych, a do tego da mu mnóstwo rzeczy, których już nie nosi...

Jessie była zdecydowana dać Sammy'emu swoje oszczędności, które opiewały na kwotę ponad czterdziestu  
dolarów; Poo prawdopodobnie zatrzyma swój nowy kij, ale da bratu swoją rękawicę łapacza i nauczy go grać w  
softball; nie mógł uwierzyć, że Sammy nie wie, jak się gra w softball...

Nie mógł pozwolić, aby dzień się skończył bez rozmowy z chłopcem.

— Hej — przywitał go, gdy Dooley odebrał telefon.

— Hej — odwzajemnił jego powitanie chłopiec.

Usłyszał szczęście w głosie Dooleya.

— Chciałem tylko zadzwonić i powiedzieć, jak bardzo się cieszę z dzisiejszego dnia.



— Tak, proszę taty. Ja też. Tak bardzo nie chcę wracać w poniedziałek.

— Wiem. Gdy przyjedziesz do domu na Święto Dziękczynienia, być może uda nam się nakłonić Samm-y'ego, żeby też przyjechał.

Poczuł nieoczekiwanie, jak coś ściska go w gardle.

— Ma zepsute zęby.

— Tak.

— Może moglibyśmy coś zrobić, żeby je naprawić, panna Sadie na przykład zostawiła pieniądze, żeby naprawić moje.

— Prawdopodobnie coś uda nam się wymyślić. Jaki wspaniały pomysł.

— Czy znajdziesz chwilę czasu, żeby zajrzeć w poniedziałek po drodze do Georgii? Powinienem przywieźć Cynthię do domu kilka minut po dwunastej. Możesz zjeść z nami lunch, nasycić się spaghetti z serem.

— Dobrze. Ekstra.

— Wspaniale.

— Pamiętasz, jak pytałeś mnie, jaka jest Reba Sanders?

— Tak.

— Zapomniałem ci coś powiedzieć.

— Ach.

— Jest piękna. Naprawdę piękna.

— Chciałbym ją kiedyś poznać. Co mi przypomina — widziałem dzisiaj kogoś pięknego.

— Kogo?

— Lace Harper. Cisza.

— Nie traktuj jej źle ze względu na jej samochód, synu. Jest warta więcej. Dużo więcej. Pamiętasz ten dzień, gdy Barnaba został potrącony? Bóg sprawił, że mogłeś uratować mu życie. Ale nie byłbyś w stanie tego zrobić bez Lace. Pamiętasz, jak ci pomogła?

Ogarnęła go fala emocji na wspomnienie jego cierpiącego psa, leżącego bezsilnie na ulicy, z krwawiącą raną na klatce piersiowej, podczas gdy jego pan stał obok, jeszcze bardziej bezsilny. Dooley wiedział dokładnie, co ma zrobić, podczas gdy Lace, kierując się jedynie odwagą i tym, co podpowiadał jej czysty instynkt, pomagała mu jak fachowa pomoc.

— Odczuwam ogromną wdzięczność i dumę z was obydwójga.

— Tak, proszę taty.

Dooley go wysłuchał; słyszał, że strzała osiągnęła swój cel.

Może się i mieszał, ale wiedział, że dobrze robi. Jednego jednak nie zrobi, nie powie Dooleyowi o Guberze. Pamiętał, jak Dooley kiedyś mówił, że bardzo chciałby mieć brązowego labradora. Dooley mógł się dowiedzieć o szczeniaku od kogoś innego, ale nie, w istocie, nie dowie się o nim od niego samego.

Wujaszek Billy leżał w łóżku na tyłach muzeum miejskiego w Mitford, obok swojej żony od ponad pół wieku.

Usłyszał, jak chrapie, i widział wyraźnie blask ulicznej lampy przez okno, mimo to w jakiś dziwny sposób w ogóle nie miał wrażenia, że leży w swoim łóżku.

Stał na bosaka przy torze kolejowym w jasnym wąwozie Turncoat Mountain, nasłuchując gwizdu lokomotywy i obserwując, jak jastrzębie wznoszą się i nurkują na niewidzialnych falach prądu termicznego.

Wczoraj stał przy torze dokładnie w tym samym miejscu i czekał, aż długi pociąg nadjedzie z hukiem, plując żarem i hałasem, mocą i gorącem, w drodze do Mortimer, dwadzieścia dwa kilometry na południe.

Pociąg nawet tutaj nie zwolni, o nie, to nie jest nawet szerokie miejsce na drodze, ale coś cudownego i tak może się zdarzyć, coś nieomal tak dobrego jak pociąg zatrzymujący się z hukiem i kierownik pociągu wychylający się przez okno i krzyczący: „Chcesz się przejechać, mały Billy?”.

Jego wujek, który pomagał kierownikowi pociągu, kilka razy w przeszłości rzucił mu z pociągu paczkę — chociaż nic w przeszłości nigdy nie równało się najzwyczajszemu cudowi małego metalowego pudełka, które wylądowało w jego rękach wczoraj.

Pamiętał pierwszy raz, gdy jego wujek wyrzucił coś z okna pociągu. Była to kartka obciążona małym kamyczkiem i przewiązana szpagatem. Zgodnie z tym, co przeczytała mu mama, kartka mówiła:

*Mały Billy, widzę, jak stoisz przy torze codziennie machając i myślę o Twojej mamie i o tym że nie widziałem swojej młodszej siostry od dwóch lat. pewnego dnia wysiądę w mortimer i wrócę na piechotę żeby wszystkich was odwiedzić, bądź dobrym chłopcem pomagaj twojej mamie, uszanowanie wujek joe.*

Jednego dnia była to landrynka zawinięta w chusteczkę, która nie była zbyt czysta.

Innym razem para ciężkich butów — ale były zdecydowanie za małe. I tak je nosił, okaleczyły mu obydwie stopy, następnie przekazał je Maisie. Jego mała siostra nosiła te buty przez cały dzień i spała w nich w nocy, mimo że musiała czekać całe dwa lata, żeby były na nią dobre.

Stanie tam przy torze to był szczęśliwy moment dnia, nawet jeśli jego wujek nie jechał akurat pociągiem, ale jeśli na przykład pomachał i niczego mu nie rzucił, nie miało to znaczenia. Aż kręciło mu się w głowie, gdy tylko tam stał i był świadkiem, jak ta fala ciepła przetaczała się obok niego, gotując go żywcem i sprawiając, że szczękały mu zęby, aż czasami krzyczał ze zwykłej radości.

Cokolwiek zostało wyrzucone, nigdy nie otwierał paczki zaraz przy torze. Zamykał oczy i biegł przez całą drogę do domu, pięć kilometrów, zanim pozwolił sobie na rozmyślanie, co też niesie ze sobą.

Tak jak wtedy, gdy dostał buty, wiedział, że to buty, fakt, że to buty, natychmiast trafił do jego serca i sprawił, że zaczęło walić jak młotem, ale nie pozwalał, żeby myśl o tym, że to są buty, dotarła do jego głowy, aż do chwili, gdy znalazł się w ich małym drewnianym domku przy strumieniu. W ten sposób on, jego mama i Maisie mogli mieć niespodziankę wszyscy razem.

— Co to niesiesz? — zapytała jego mama.

Postawił buty na stole i jego mama wydała stłumiony okrzyk zachwytu, a potem z jej oczu popłynęły łzy. Nic nie powiedział i ona też nic nie powiedziała. Usiadła po prostu i patrzyła na buty, jakby były workiem czystego złota.

— Cóż — rzekła w końcu, uśmiechając się do niego. — Zobaczmy, czy na ciebie pasują.

Ale nie pasowały. Wsunął swoje bose, niezgrabne stopy do butów, tak jak jego mama wpychała mieloną wieprzowinę do osłonki. Ledwie był w stanie je tam włożyć i zawiązać sznurówki.

— Może będą pasować na Maisie — powiedziała.

— Nie, proszę mamy, chcę nosić te buty, ja je dostałem.

— Dobrze w takim razie — zgodziła się.

Innym razem wujek Joe wyrzucił małą papierową torebkę z gwizdkiem w kształcie kaczki. Dmuchało się z jednej strony, a z drugiej wydobywał się dźwięk, jakby dzika kaczka przywoływała swojego partnera. Zastanawiał się, czy go zatrzymać, czy sprzedać, mógłby go sprzedać, gdyby poszedł do Mortimer, ale wujek Joe mógłby się dowiedzieć o tym, że został sprzedany, i poczuć się zraniony, więc zatrzymał go i nosił przez długi czas w kieszeni, zawsze gwizdząc na nim, gdy przyszła mu taka ochota. Była to większa frajda niż cukierek; potem zgubił go, skacząc przez strumień.

Pamiętał, jak jednego Bożego Narodzenia on i Maisie dostali prezenty w skarpecie. Była to jedna ze starych skarpet jego taty, z wieloma dziurami, wisiała na gwoździu nad kominkiem.

Nigdy wcześniej nie dostali bożonarodzeniowej skarpety i nieomal posiusiał się ze szczęścia. Ale gdy przyszło do zawartości, okazało się, że nie ma za bardzo o czym mówić.

Żadna z rzeczy, które znajdowały się w środku, nie mogła się równać z tym, co wujek Joe wyrzucał z pociągu. O nie. W pończosze były dwie pomarańcze, które zostały natychmiast zjedzone, i cztery małe landrynki, po dwie na osobę, które ssali przez jakiś czas, a potem wyciągnęli z ust i położyli na półce nad kominkiem, żeby starczyły im na jeszcze jeden dzień, i mała laleczka dla Maisie, zrobiona z liści kukurydzy.

Gdy nie zachwycał się prezentami, które były w skarpecie, jego tato powiedział: „Niech mnie licho, jeśli nie jesteś zepsuty do szpiku kości”.

I wydawało mu się, że tak jest. Jeśli ktoś już dostał buty i gwizdek w kształcie kaczki i tak dalej, musiał być zepsuty do szpiku kości.

Ledwie słyszalny gwizd pociągu dobiegał z północy. Będzie jechał przy starym korycie rzeki...

Lewą dłonią poklepał kieszeń spodni, żeby się upewnić, że metalowe pudełko nadal tam jest. W prawej dłoni trzymał mocno to, nad czym pracował ostatniej nocy.

Leżał na podłodze przed resztkami ognia, na którym mama gotowała kolację i który rzucał odrobinę światła. Z pomocą mamy zdołał napisać jedną linijkę na kawałku kartki, którą jego tato przyniósł mu z tartaku.

Napisanie zaledwie jednej linijki zdawało się trwać wiele godzin; wielokrotnie wymazywał słowa.

— Na końcu „Joe” jest „e” — wyjaśniła jego mama. — Patrz, to jest „e”, na pewno potrafisz napisać „e”, skoro ja potrafie!

Narysowała „e” w powietrzu, a on skopiował je na kartkę papieru.

— Nie wypisz swojego ołówka za bardzo — przestrzegala go mama. — To twój ołówek do rysowania.

— W porządku, nie będę już potrzebował tego właśnie ołówka, dam go Maisie.

— Ten rysunek, który zrobiłeś, nie jest zwyczajny — rzekła mama. — Pochodzi od Boga.

— Popatrz tutaj, czy to „e” jest dobre?

— Tak!

Klasnęła w dłonie, a potem jej twarz przybrała smutny wyraz.

— Przypuszczam, że powinnam cię niedługo posłać do szkoły, gdzie będą mogli nauczyć cię pisać i czytać.

— Nie, proszę mamy — nie zgodził się. — Nie pójdę do szkoły, sam mogę się nauczyć pisać i czytać.

Było zimno tam przy torze, ale był wdzięczny, że nie wieje wiatr. Chłód szczypał go w bosa stopy, a on otulił się mocniej starym płaszczem swojego taty. Wtedy, nagle, usłyszał, jak dźwięk gwizdka staje się coraz głośniejszy. Oto nadjeżdża!

Miał nadzieję, na litość boską, że będzie potrafił zrobić to dobrze. Wszystko w nim pragnęło, aby zawiniątko wylądowało prosto w wyciągniętych dłoniach wujka Joe. A co, jeśli wyląduje pod kołami pociągu i zostanie rozgniecione w drobny mak? Modlił się na głos do Boga w niebie, aby pomógł mu wykonać zadanie i nie pozwolił diabłu pokrzyżować jego planów.

Pociąg zbliżał się coraz bardziej, *stukpukstukpitkstukpuk*.

Gdyby kiedykolwiek wsiadł do pociągu, wiedział, że nigdy by nie wrócił, nawet jeśli kochał swoją mamę ponad wszystko, i Maisie, i czasami swojego tatę.

Oto nadjechał, teraz, pokonał zakręt i ujrzał wujka Joe wychylającego się z okna i machającego. Pomachał, odwzajemniając powitanie.

Nigdy przedtem nie dał wujkowi Joe absolutnie niczego. Aż do wczoraj nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby zrobić coś więcej, niż pomachać.

Jego serce biło mocno. Pociąg nieomal go dotykał.

Zamachnął się daleko za siebie i rzucił najlepiej, jak potrafił. Zwinięta kartka obciążona kamieniem i przewiązana postrzępionym wiązaniem od fartucha leciała w górę i w górę, hen, hen...

„Droki wujku joe...”

Wędrowka kartki, z wiązaniem fartucha powiewającym w powietrzu, zdawała się zajmować dużo czasu...

„to najlepsza rzecz jaką dostałem...”

...zanim zaczęła opadać w miejsce, do którego wędrowała, a potem wylądowała — prosto w rękach wujka Joe...

„Pozdrawiam billy”.

Nie miał czasu, żeby stać tam i poklepywać się z uznaniem po ramieniu, o nie.

Wyjął to małe metalowe pudełeczko z kieszeni spodni i złożoną kartkę papieru z drugiej kieszeni spodni i usiadł na szynie, która była ciepła od tarcia dużych żelaznych kół, i położył pudełko na jednym kolanie, otworzył je i wyjął jeden z nowiutkich ołówków, które zaostriżył nożem do mięsa mamy i zaczął rysować wagon pociągu, szybkimi, pewnymi, zamaszystymi pociągnięciami ołówka, aż obraz na papierze stał się realny, tak realny jak pociąg, który właśnie przetoczył się obok, pozbawiając go tchu.

Gdy o drugiej nad ranem zadzwonił telefon, ojciec Tim usiadł na łóżku, zaniepokojony.

— Halo?

— Czy to kaznodzieja?

Rose Watson — rozpoznałby jej głos na końcu świata.

— Tak! O co chodzi?

— Proszę tu szybko przyjechać! — zapiszczała. — Bill Watson odszedł!

# Rozdział dziewiętnasty

## JEDEN DZIEŃ W PRZYBYTKACH TWOICH

Ale Bill Watson nie odszedł.

Po zadzwonieniu na 911 i szybkiej jeździe do Porter, żeby zdążyć na przyjazd ambulansu, ojciec Tim zastał wujaszka Billy'ego na wpół przytomnego, a pannę Rose w hysterii.

— Zupełnie nieżywy — jęczała starsza kobieta.

— Serce mu jeszcze bije! — krzyknął.

— Przeze mnie nie żyje? Przecież dawałam mu jeść, pewnie myśli ojciec, że zagłodziłam go na śmierć.

— Na litość boską! — zagrzmał.

— Mam ojca poczęstować szarlotką? Chce ojciec szarlotkę w takiej chwili? — Jej głos podniósł się o kilka decybeli. — Nie dostanie ojciec ode mnie żadnej szarlotki!

Dzięki Bogu, pomyślał, słysząc sygnał karetki jadącej Main Street na północ.

Jechał w karetce z wujaszkiem Billym, trzymając go za rękę i modląc się przez cały czas, nie zastanawiając się nad tym, jak dostanie się do domu ze szpitala.

Siostra Kennedy, która pracowała na nocną zmianę, zaproponowała, że go odwiezie, jak tylko nadejdzie czas jej przerwy.

Była czwarta rano, gdy wszedł do domu tylnymi drzwiami, sprawiając, że pies, który na niego czekał, zerwał się na równe nogi. Ojciec Tim opadł na fotel w pracowni, zbyt zmęczony, żeby wdrapać się po schodach, potem zdał sobie sprawę, że zapomniał poprosić siostrę Kennedy, żeby zawiozła go do jego samochodu.

O czwartej trzydzieści wszedł na górę, wściekły na siebie i wszystkich innych.

Gdy o szóstej rano zadzwonił telefon, przekreślił się w łóżku i złapał gniewnie słuchawkę.

— Kto tam?

Był zaskoczony przywitaniem, którego użył, a które było typowym zwrotem, którego używał jego ojciec, gdy odbierał telefon.

— Dzień dobry, ojcie Timie, Beverly Hobgood.

— Beverly Hobgood, Beverly Hobgood... — Nie miał pojęcia.

— Sekretarka biskupa!

— Ależ tak! Oczywiście!

— Wiedziałam, że ojciec wcześniej wstaje...

— Oczywiście. Serce było mu mocno.

— Dzwonię, żeby poprosić ojca o modlitwę za biskupa, wiem, że byłby wdzięczny za ojca modlitwę.

— Co się stało?

— Bóle w piersiach, bardzo silne. Idzie dzisiaj na badania.

Szkoda wydawać te wszystkie pieniądze, żeby poznać powód, chciał powiedzieć — to stres, najzwyklejszy w świecie.

— Tak, będę się modlił. Oczywiście! Wiernie! I poproszę innych, żeby się modlili.

— Polega na ojcu! — zawołała łamiącym się głosem.

— I ja polegam na nim.

Gdy odłożył słuchawkę, zaczął liczyć ofiary. Joe Ivey, wujaszek Billy, jego biskup...

Oparł się na poduszkach i zaczął wpatrywać się w sufit.

Dlaczego, na litość boską, Stuart nie chce przejść na emeryturę? Teraz, gdy już sprawy ruszyły do przodu, niech ktoś inny zbuduje katedrę!

Ale co dobrego wynikłoby dla jego biskupa z przejścia na emeryturę? Wziąłby na swoje barki ten sam ciężar, który przytłaczał jego — stres tu, stres tam, stres wszędzie. Jeśli sprawy potoczą się tak jak do tej pory, zaczniesz szukać sposobu na przejście na emeryturę od bycia na emeryturze.

Jutro jest wielki dzień, ważny dzień, wystarczy tylko wspomnieć dwa poranne nabożeństwa, nabożeństwo nad jeziorem i czterogodzinną podróż tam i z powrotem, której — gdyby nie okazała dotacja na rzecz Szpitala Dziecięcego w Wesley, nigdy w życiu by się nie podjął.

Jak zwykle przez te wszystkie lata nie zaznał spokoju, dopóki nie ukończył kazania i nie był z niego zadowolony. Mimo to, bez względu na to, jak bardzo się starał, nie chciało wyjść dokładnie tak, jak sobie wyobrażał; kazanie miało mocne przesłanki, nawet bardzo solidne, ale nie mógł poskładać kawałków w całość.

Cienkie!, pomyślał. Ten żargon zdawał się opisywać z pewną elokwencją to, jak się czuł.

Po porannym oficjum brewiarzowym ukląkł, żeby się pomodlić, ale odkrył, że zupełnie nie potrafi zapanować nad swoimi rozbieganymi myślami. Chciał zadzwonić do swojej żony i poprosić ją, żeby się za niego pomodliła, ale to jedynie by ją zaniepokoiło. Poza tym, co też przyszło mu do głowy? Modliła się za niego; wiernie.

— Dobry Boże — powiedział na głos.

Pozostał na kolanach, jakby otumaniony, i odkrył, że nie jest w stanie powiedzieć nic więcej poza tym żalonym wezwaniem.

Był księdzem głównodowodzącym, myślał, jedząc śniadanie przy kuchennej ladzie, ale bez żadnej pomocy w odwodzie. Diakon został wezwany do pogrzebu w rodzinie, a obecny starszy kościelny, jego zdaniem, nie nadał się do tego, żeby odwiedzić wujaszka Billy'ego i pomodlić się z nim.

Z pewnością mógł wykroić trochę czasu, żeby złożyć wizytę na wzgórzu — jeden ostateczny wysiłek, a potem z powrotem do domu, żeby odizolować się od wszystkiego, odłożyć słuchawkę telefonu i zgłębić znaczenie tej rzeczy, którą chciał przekazać.

Ale nie. Nie zdołał. Sama myśl o tym, żeby przejść Main Street do swojego samochodu i pojechać na wzgórze do szpitala... I należało oczywiście zawieźć pannę Rose, żeby mogła odwiedzić męża... Może Hessie Mayhew, może Esther Bolick, chociaż nigdy mu nie wybaczą, jeśli je poprosi...

Skończył jeść jajka z wody, połknął dwie aspiryny i poszedł do biurka, zadowolony, że Puni dzisiaj nie przyjdzie.

„Nauczałem tak, jakbym nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie mi to jeszcze dane, i jak umierający człowiek naucza umierających ludzi”, napisał Richard Baxter w siedemnastym wieku. Tak właśnie chciał nauczać. Każdy raz może być tym ostatnim! Co niemniej jednak ważne, chciał nauczać z energią i entuzjazmem, jakby robił to po raz pierwszy. Cóż, wiedział dokładnie, czego chce...

Scott Murphy. Ten pomysł przyszedł mu do głowy zupełnie niespodziewanie.

— Oczywiście, ojcze — zgodził się kapelan Domu Nadziei. — Chętnie pójde się z nim pomodlić. Czy coś jeszcze mam zrobić, gdy już tam będę?

— Joe Ivey. Pokój dwa czternaście. Gdybyś mógł...

— Nie ma sprawy.

— Jestem twoim dłużnikiem — odparł z ulgą.

— Proszę uważać się za dłużnika Boga, a nie mojego. Prawda jest taka, że to ja jestem ojca dłużnikiem na zawsze.

— Jak to?

— Za to, że sprowadził mnie ojciec do Mitford. Pamięta ojciec, jak zatrudnił mnie ojciec przed moją rozmową kwalifikacyjną z panną Sadie?

Uśmiechnął się.

— Tak, to było bardzo śmiało z mojej strony, ale całkowicie powodowane przez Ducha Świętego. Więc, proszę, uważaj się za Jego dłużnika, jeśli chcesz, ale nie mojego.

— No to pat! — zawołał Scott, śmiejąc się.

Spędził cały dzień jakby w zamroczeniu, idąc z psem na spacer pod pomnik, otwierając i zamykając drzwi lodówki, czytając Emily Dickinson, Spurgeona, Whitefielda. Czytał pochłonięty lekturą, odczytując ich przesłanie przez długie chwile, potem gubiąc je i zaczynając od nowa.

Jego notes z kazaniami leżał obok, czekając...

O drugiej nad ranem zdał sobie sprawę, że zasnął w fotelu w pracowni i znalazł swój notatnik na podłodze. Żałował, że się obudził. Zdawało mu się, że oświetlony lampą pokój spowija mgła, jakby miał założone okulary przeciwsłoneczne. Nie miało to nic wspólnego z jego oczami, ale brało się z jego ducha. Czuł się u kresu sił.

Być może powinien był brać leki na depresję. Ta mgła, ciemność zdawała się zawsze wisieć w pobliżu; jeśli znikwała na chwilę, zawsze wracała. Poczul ponownie moment paniki — a co, jeśli ulegał tak jak jego ojciec temu, co zrujnowało jego małżeństwo, zrujnowało jego firmę, zrujnowało jego zdrowie?

Nie może jednak o tym rozmyślać. Musi myśleć o przesłaniu, bo przesłanie nadal mu nie wychodziło.

Będzie musiał wygrzebać coś z dawnych lat, jakiś przeżytek, który będzie można poskładać z notatek do kazań, które przechowywał w szafce w pracowni.

Nie miał jednak dość siły w sobie, żeby nawet poskładać swoje kazanie.

— Boże — powiedział — przemów do mnie, proszę. Nie mogę tak dłużej. Przemów do mnie w sposób, który będzie dla mnie zrozumiały. Przeczytałem Twoje słowo, szukałem Twojej rady, błagałem, korzyłem się, rozpaczalem, prosiłem — i czekałem. I przez cały ten czas, Boże, byłeś tak dziwnie milczący.

Siedział przez chwilę, pogrążony w rozpacz, której nie był w stanie określić; nic nie mówiąc, usiłując słuchać, podczas gdy jego myśli uciekały. Potem w końcu wziął głęboki oddech i usiadł prosto, zdecydowany.

— Nie pozwolę Ci odejść, dopóki mi nie pobłogosławisz! — rzucił zaskoczony swoim głosem w ciszy panującej w pokoju.

Wziął Pismo Święte leżące obok jego fotela i otworzył je na przypadkowej stronie.

*Przestań szukać tego, co chcesz usłyszeć, Timothy, i słuchaj tego, co mam ci do powiedzenia.*

Nie poczuł nadnaturalnego wstrząsu; zdarzyło się to w bardzo prosty sposób. Bóg właśnie przemówił do jego serca z ogromną czułością, jak zaledwie kilka razy wcześniej w jego życiu; wywołało to u niego całkowity spokój.

— Tak — odparł. — Dziękuję. Dziękuję.

W miejscu, w którym otworzyło się Pismo Święte leżące mu na kolanach, zaczął czytać z nadzieją i pewnością.

Znalazł ten fragment zaledwie kilka sekund później. Natychmiast wiedział: odkrył w końcu to, co Bóg trzymał w rezerwie — specjalnie dla niego, specjalnie na teraz i specjalnie na jutro rano.

Przepelnił go spokój.

Mimo że wiedział od lat, że to wezwanie znajduje się tu, w Pierwszym Liście do Tesaloniczan, i nawet głosił kilka razy kazanie na podstawie tych słów, dotarło do niego, jakby to była nowa, nie stara mądrość. Dotarło do niego z całkowicie olśniewającą pewnością, że ten fragment Pisma Świętego należał do niego i że może go chwycić jak błyszczący miecz, który pomoże mu przekłuć...

...przekłuć co?

Ciemność.

Nadszedł czas, żeby zacząć.

— Dziękuję — szepnął — za ten czas ciemności.

— Nie śpisz, bracie?

— Bill! Dzień dobry! Odprawiasz dzisiaj nabożeństwo i modłę się za ciebie!

— Nie wstydzę ci się powiedzieć, że żołądek podchodzi mi do gardła. A ty jak się masz?

— Ciągnę na rezerwie, źle sypiam. Ale Bóg jest wierny; dzisiaj rano dał mi coś, czego potrzebowałem już od dawna.

— Można powiedzieć, że zrobił to samo dla mnie, dlatego dzwonię. Wczoraj wieczorem wezwał moje serce, żebym do ciebie zadzwonił i ci podziękował.

— Podziękował mi?

— Wiesz, ten znak stopu...

— Tak.

— Pokazywał mi, żebym potraktował ten znak stopu jako znak, żeby się zatrzymać. Zanim zatrzymał mnie ten znak, biegałem w koło bez opamiętania. Byłem tak zajęty pracą dla Niego, że straciłem Go jako przyjaciela! Te tygodnie były bardzo długie, ale były dobre. Przeżyłem cudowne chwile zjednoczenia z Duchem Świętym i spędziłem też chwile z Rachel, jakich nie przeżyliśmy razem już od lat. A na dodatek, podarował mi Buddy'ego.

— Syzyfowa praca.

— Szczerze mówiąc, czuję się jak nowo narodzony. I chciałem ci podziękować, Tim, za to, że pozwoliłeś, aby Bóg użył cię, bez względu na to, jak bardzo złe mogło się to wydawać dla nas obydwu.

W przeciągu dwóch godzin otrzymał dwa razy pomoc.

— Dziękuję — odparł, z trudem wydobywając słowa. — Dziękuję.

Esther Bolick usadowiła się na wytartej dębowej kościelnej ławce, nie bez pewnej satysfakcji.

To właśnie tu siadywała zawsze z Gene'em, chyba że jakiś bezmyślny parafianin zajął ich miejsce, zanim zdążyli do niego dotrzeć. Można by oczekiwać, że ludzie będą szanować miejsce, które wybrałeś i któremu jesteś wierny od dwudziestu trzech lat, ale nie, dla niektórych to w ogóle nie było ważne, gdzie siedzisz, nie mówiąc już o nich samych. W jedną niedzielę siadywali obok chóru z tyłu, a w drugą pokazywali się w pierwszym rzędzie po lewej stronie.



Zajmowała to samo miejsce, na długo zanim przyszedł do nich ojciec Tim. Czowała się tutaj jak w domu. Jak tylko usiadła, wydawała się zespolona ze swoim miejscem, co w czasach takich jak te wydawało się jej błogosławieństwem.

Otworzyła swój biuletyn kościelny i przyjrzała się porządkowi nabożeństwa. Ojej, podczas sakramentu komunii mieli śpiewać tę pieśń, która nigdy jej nie wychodziła, za żadne skarby świata! Minnie Lomax z Collar Button siadywała obok niej i Gene'a w każdą niedzielę rano, aż do tego fatalnego dnia, gdy śpiewając z całej mocy, ona, Esther Wielka Gęba Bolick, zapiszczała tak, że wszyscy usłyszeli: „Gdy upadam na twarz z kolanami w stronę wschodzącego słońca, / O, Boże, miej litość nade mną...”

W następną niedzielę Minnie przeniosła się na drugą stronę kościoła, gdzie pozostała aż do obecnego dnia. Esther postanowiła nie otwierać ust podczas pieśni 325.

Była zadowolona, że dotarli z Gene'em piętnaście minut przed czasem. Dzięki temu, że była tu wcześniej, miała chwilę, żeby zebrać myśli, które zdawały się pędzić przed siebie.

Dzięki Bogu, ojciec Tim był z powrotem. Przez dwie niedziele z rzędu! Starła się zachować swoje zdanie, dlaczego tak bardzo się cieszy, że wrócił dla siebie, ale prawda była taka, że nigdy nie polubiła ojca Talbota, chociaż na początku zrobił na niej bardzo dobre wrażenie.

Weźmy na przykład ojca Tima — chętnie ścisnął swoich parafian i podawał dłoń, nawet całował. Pocałował ją entuzjastycznie w policzek, gdy jej i Gene'owi urodził się pierwszy wnuk, i uściskał ją serdecznie na dodatek.

Ale weźmy ojca Talbota. Gdy chciało się go uściskać, cofał się do tyłu, być może dlatego, żeby nie zburzyć mu fryzury. A może była to peruka? Nikt nie wiedział na pewno, ale jego włosy zawsze wyglądały idealnie, jakby nigdy w nich nie spał.

I jeszcze jedno. Wydawało się, że ojciec Talbot ma tę więź z Bogiem, której nie chce z nikim dzielić. Jakoś to był tylko Bóg i on, a nic z tego nie skapywało na parafian. Z drugiej strony, był niesamowicie inteligentny, używał słów, których nie słyszała nigdy wcześniej w swoim życiu. A na dodatek jego kazania brzmiały jak pierwsza strona gazety. Niestety, miała zawsze za sobą lekturę wszystkich gazet, zanim dotarła do kościoła, więc czasami ucinała sobie drzemkę, gdy głosił kazanie.

Ktoś powiedział, że studiował na Harvardzie. A może na University of Michigan? Nigdy nie pamiętała, na którym. Plotka głosiła, że skończył studia jako makler. Według Hessie Mayhew, która wiedziała wszystko o członkach Kościoła episkopalnego, mimo że należała do prezbiterian, pracował jako makler do czterdziestego roku życia, potem otrzymał powołanie i poszedł do seminarium. Może to wina tego, że późno zaczął. Zastanawiała się, jak jego żona zniosła zmianę zawodu z jednego na drugi.

W każdym razie, cudownie było znowu mieć ojca Tima, nie wiedziała, dlaczego nie mogą mu pozwolić chodzić do swojego starego kościoła — jakie uciążliwe musi być jeżdżenie do Wesley w każdą niedzielę! Problem oczywiście brał się z tego starego kościelnego prawa, które mówi, że nie można pozwolić na pozostanie starego księdza, ponieważ wszyscy biegliby do niego i zostawiliby nowego księdza na lodzie.

Rozbrzmiały dzwony! Od dzieciństwa to była jedna z jej najbardziej ulubionych rzeczy w kościele. Potem organy zagrały preludium. Chociaż nie miała pojęcia, co to za muzyka, wiedziała, że to coś, co lubi ojciec Tim; Richard często to grywał w dawnych czasach...

Łatwo było pomyśleć, chociaż tylko przez chwilę, że nic się nie zmieniło... z wyjątkiem oczywiście tego, że ojciec Talbot nakłonił radę parafialną do ściągnięcia chodnika, żeby chór miał lepszą akustykę. Niewiarygodne! Idź

sobie środkiem kościoła w śnieżny niedzielny poranek, pod butami topi się śnieg na śliskiej drewnianej podłodze, i bach!, leżysz jak długi, a potem szpital ze złamanym biodrem i skrzepem krwi płynącym do twojego serca. A może mózgu?

Nigdy, za żadne skarby świata, nie zrozumie polityki kościelnej.

Hélène Pringle weszła z jasnego ciepłego słońca do chłodnego, słodkiego cienia narteksu.

Zanim do końca zdołała odzyskać równowagę po szoku, jaki przeżyły jej zmysły, ktoś podał jej egzemplarz kościelnego biuletynu i pozdrowił ją zniecacka, ale jednocześnie ciepło. Odpowiedziała po francusku, ku swojemu rozczarowaniu.

Drżała lekko z powodu zarówno strachu przed nieznanym, jak i dziecięcej ekscytacji.

To nabożeństwo będzie inne od nabożeństw w tym dużym, zimnym, zbudowanym z kamienia kościele, do uczestnictwa w których zmuszała ją przez krótki okres jej babcia. Prawie nigdy nie rozumiała, co mówi ksiądz, ponieważ echo sprawiało, że jego głos wydawał się drżący i metaliczny, jakby pochodził ze ścian, nie od człowieka. Akustyka jednak sprawiała cuda w przypadku brzmienia chóru; pamiętała gęsią skórkę, która robiła się jej, gdy miała dziewięć lat; czuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa i na czubku głowy, które zdawało się podnosić jej włosy.

Bała się, że nie będzie wiedziała, co powiedzieć albo zrobić w czasie dzisiejszej porannej mszy, chociaż ktoś powiedział, że liturgie Kościoła episkopalnego i katolickiego nie różnią się tak bardzo, koniec końców. Oczywiście cały Kościół episkopalny zaistniał z powodu Henryka VIII, który był próżnym i ordynarnym człowiekiem, mówiąc delikatnie. Zastanawiała się, jak to możliwe, że ktokolwiek chciał przyznawać się do przynależności do czegoś, co on ustanowił. Ale jak tylko się obudziła dzisiaj rano, poczuła, że musi tu być, tak więc wstała i ubrała się, prosząc niewidoczną Istotę po drugiej stronie kurtyny, żeby pomogła jej wybrać strój, który nie będzie się wyróżniał ani nikogo nie obrazi.

Przypuszczała, że będzie dużo klękania i ruchu ogółem, co spowodowało, że wybrała ostatni rząd, po stronie z witrażem przedstawiającym *Kazanie na Górze*, gdzie usiłowała skurczyć się najbardziej jak potrafiła, żeby nikt nie zauważył, że tu jest.

*Jakże cudowny zda mi się  
Twój przybytek, Panie zastępów!  
Ma spragniona dusza pragnie i tęskni,  
By w Twym przybytku być;  
Serce moje i ciało woła,  
O żywy Boże, do Ciebie.  
Przy Twych ołtarzach, łaskawy Panie,  
Jaskółki gniazdo znajdują;  
Jakże szczęśliwi ci, co w Tobie mieszkają  
I bezustannie Cię chwala,  
I szczęśliwi Ci, którzy Pielgrzyma los wybrali.  
Ci, którzy przez pustynną dolinę idą,  
Znajdą ją pełną źródeł,  
I będą wspinać się, z wyżyny na wyżynę,  
Aż rozbrzmia dzwony świętyń Syjonu,*

*Na Twoją chwałę, w glorii ukoronowany  
Dobry Boże, wielki Królu królów.  
Jeden dzień w przybytku Twym,  
przewyższa tysiąc poza nim;  
Jakże szczęśliwi ci, co praw Twych strzegą  
I od Twych nakazów nie zbachają,  
Bo Ty z pewnością pobłogosławisz Tych,  
Którzy żyją tak, jak modlą się.*

Hope Winchester weszła do kościoła w chwili, gdy organy zaczęły grać preludium, i rozejrzała się gorączkowo za miejscem, w którym mogłaby usiąść. W ostatniej ławce po lewej stronie siedziała tylko jedna osoba.

Myśląc, że ostatnia ławka jest dobrym wyborem, wślizgnęła się szybko, zauważając, że Héléne Pringle zajmuje jej przeciwny koniec. Przywitała skinieniem głowy pannę Pringle, która kupowała kartki w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń zaledwie tydzień temu.

Przejrzała swój biuletyn, otworzyła modlitewnik na stronie 355 i przytuliła otwartą książkę do piersi. Była w Lord's Chapel zaledwie dwa razy wcześniej i czuła się zupełnie nago, jakby nieprzygotowana i wystawiona na widok publiczny. Miała nadzieję, że się nie ośmieszy, a szczególnie miała nadzieję, że George nie siedzi w miejscu, z którego mógłby ją zobaczyć, gdyby jej się to przytrafiło. Wiedziała jedynie, że to ważne, żeby była tu dzisiaj rano, chociaż nie była pewna dlaczego.

Być może, pomyślała, to dlatego, że jej imię nosi teraz ze sobą to drugie znaczenie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — powiedział, zegnając się. — Zmagałem się z dzisiejszym przesłaniem, tak jak Jakub zmagał się z aniołem, aż w końcu powiedziałem do Boga: „Nie pozwolę Ci odejść, dopóki mi nie pobłogosławisz!”.

— Modliłem się i pracowałem nad kazaniem, którego tytuł znajduje się w waszym biuletynie i który nie ma już nic wspólnego z tym, co mam tu dzisiaj rano do powiedzenia, nie objaśnia również znaczenia dzisiejszego prioprium.

— Miałem nadzieję powiedzieć coś, o czym wszyscy musimy pamiętać i nad czym musimy w naszym życiu się zastanowić, to przesłanie jednak zupełnie mi nie wychodziło, nie zawierało tej głębokiej prawdy, którą — czułem — Bóg chce, abym przekazał.

— A powód, dla którego mi to nie wychodziło, był prosty: pisałem niewłaściwe kazanie.

— Potem... w ostatniej godzinie, gdy traciłem już nadzieję, a moje serce było obolałe od poczucia porażki, Bóg pobłogosławił mnie zupełnie innym przesłaniem — kazaniem specjalnie dedykowanym dla tego nabożeństwa, tego dnia i tych ludzi.

Ojciec Tim uśmiechnął się.

— Problem w tym, że dał mi tylko cztery słowa.

— Przypomniałem sobie wtedy Winstona Churchilla, jak poproszono go, żeby wygłosił mowę z okazji uroczystego pożegnania absolwentów w jego dawnej szkole — w której, na marginesie, wcale nie radził sobie świetnie, a jego dyrektor przewidywał jedynie porażki dla Churchilla. Poproszono go, aby wygłosił mowę, a on wyszedł na podium i wszyscy uczniowie i profesorowie aż nie posiadali się z ekscytacji, że oto stoi przed nimi niesamowita

postać historyczna, wielki człowiek pióra i słowa, który zaraz powie im, jak mają radzić sobie ze swoim przyszłym życiem.

— Pan Churchill pochylił się nad mównicą, spojrział uważnie na swoją widownię i oto, co zgodnie z legendą im powiedział; oto cały tekst jego przemówienia:

— „Młodzi ludzie, nigdy, nigdy, ale to przenigdy się nie poddawajcie!”.

— Potem usiadł. To było jego przesłanie. Dziesięć słów. Doprawdy, gdyby powiedział więcej, te dziesięć słów mogłoby nie mieć mocy, żeby zapaść tak głęboko w serca ani stać się taką mądrą radą.

— Zeszłej nocy, gdy pracowałem samotnie w pracowni, Bóg dał mi cztery słowa, które święty Paweł napisał w swoim Pierwszym Liście do Tesaloniczan. Cztery słowa, które mogą nam pomóc zbudować posłuszeństwo, zaufanie i bliższą więź z samym Bogiem, który dał się poznać przez Jezusa Chrystusa.

— Oto te cztery słowa. Proszę, abyście zapisali je w swoich sercach.

Hope Winchester pochyliła się do przodu w swojej ławce.

— W każdym położeniu... dziękujcie.

Ojciec Tim przerwał i spojrział na tych, którzy zebrali się przed nim. Na Emmę Newland... Gene'a Bolicka... Dooleya Barlowe'a... Pauline Leeper... Hope Winchester... Hélène Pringle. W całej nawie ich oczy patrzyły na niego, zbliżając ich do siebie.

— W każdym położeniu... dziękujcie. To wszystko. To dzisiejsze przesłanie.

— Jeśli wierzycie, tak jak ja, że Pismo Święte jest natchnionym Bożym Słowem, wtedy jawią się nam one nie jako przypadkowa myśl albo dziwnie sprytny pomysł Jego sługi, Pawła, ale jako zainspirowane miłością przykazanie dane przez wielkiego apostoła.

— Ogólnie rzecz biorąc, chrześcijanie rozumieją, że wznoszenie podziękowań jest dobre i właściwe.

— Mimo że nie robimy tego często, łatwo jest mieć wdzięczne serce za jedzenie i schronienie, miłość i nadzieję, zdrowie i pokój. Ale co z trudnymi rzeczami, rzeczami, które przynoszą ciemność do naszego życia i ranią nas do bólu? O co chodzi w tym „w każdym położeniu”?

— To jest haczyk. To jest klucz. „W każdym położeniu” jest zasadniczym elementem, na którym opiera się całe to polecenie i na którym zasadza się jego istota.

— Proszę, nie zrozumcie mnie źle; słowo „dziękujcie” jest zasadnicze. Ale głębsza duchowa prawda, wydaje mi się, spoczywa w dziękowaniu w... każdym położeniu.

— Przy każdej stracie. W chorobie. W depresji. W smutku. W porażce. I oczywiście w zdrowiu i w pokoju, sukcesie i szczęściu. We wszystkim.

— Przyjdą chwile, gdy będziecie się zastanawiać, jak możecie Mu dziękować za coś, co wywraca wasze życie do góry nogami; z pewnością nadejdą takie chwile dla mnie. Dziękujmy zatem, w takich chwilach, tylko opierając się na naszej wierze... posłuszni, ufający, pełni nadziei i wiary.

— Być może pamiętacie młodego chłopca, który został porwany, był bity i wtrącony do więzienia, a mimo to powstał jako król Józef, władca narodów, który mógł powiedzieć swoim braciom, w duchu wybaczenia: „Wy niegdyś knuliście zło przeciwko mnie, Bóg jednak zamierzył to jako dobro, żeby sprawić to, co jest dzisiaj, że jest wielki naród”. Ale jeszcze lepiej, pamiętajcie Naszego Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, który cierpiał ból, jakiego nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, spełniając wolę Boga, żebyśmy ty i ja mieli życie wieczne.

— Niektórzy z nas mają za sobą ciężkie miesiące. Niepokojące. Nie chcące ustąpić. Nawet, myślimy czasami, nie do zniesienia. Dobry Boże, modlimy się, spraw, żeby się to skończyło! Napraw to! Pobłogosław nas — i to szybko!

— Przyznaję się przed wami, że chociaż często dziękuję Bogu za moje błogosławieństwa, nawet najmniejsze, nie dziękowałem mu za moje nieszczęścia.

— Znam piąty rozdział Pierwszego Listu do Tesaloniczan całkiem nieźle, mimo to nie przyszło mi do tej pory do głowy, żeby przyjąć to wezwanie Boga. Byłem zbyt zajęty błaganiem go, żeby wyprowadził mnie z doliny i zaprowadził na szczyt góry. Mam przecież pracę do wykonania, cele, które muszę osiągnąć... Niestety, jestem jak ten królik, który cały czas goni do nory, jak reszta ludzkości.

— Chcę wam powiedzieć, że zacząłem mu dziękować wczoraj w nocy — dzisiaj o drugiej rano, mówiąc dokładnie — za coś, co bardzo mnie smuci. I zamierzam wytrwać w dziękowaniu mu za tę trudną rzecz, bez względu na to, jak rozpaczliwe może się to stać, i zamierzam zacząć szukać w tym dobra. Czy Bóg to spowodował czy też na to przyzwolił, możemy być spokojni — jest w tym wiele dobra.

— Dlaczego postanowiłem potraktować te słowa jako osobiste zadanie? Oto cały osiemnasty werset.

— „W każdym położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie Chrystusie, względem was”.

— Jego wola względem was. Jego wola względem mnie. To, co przyjąłem jako swoje zadanie, intryguje mnie. Chcę zobaczyć, gdzie mnie to zaprowadzi. Modłę się, abyście i wy zostali wezwani do tego samego. I proszę, powiedzcie mi, gdzie was zaprowadzi. Chcę usłyszeć, co się stanie, gdy odpowiecie na to, co jak uważam, jest potężnym i trudnym, chociaż pozornie łatwym, wezwaniem Boga.

— Przyjrzyjmy się ponownie tym czterem słowom, które Bóg kieruje do nas... przez przyjrzenie się, co nasze posłuszeństwo wobec nich powie Bogu.

— Nasze posłuszeństwo powie: „Ojczy, nie wiem, dlaczego powodujesz albo pozwalasz na to, żeby działa się ta straszna rzecz, ale zamierzam Ci za nią dziękować, ponieważ mnie o to prosisz. Zamierzam zaufać Ci, że masz w tym cel, którego nie znam i mogę nigdy nie poznać. Koniec końców, jesteś Bogiem — i to mi wystarcza”.

— A co, gdybyście musieli pozwolić na to, żeby jedna z waszych nastoletnich córek doświadczyła czegoś trudnego i gdyby zwróciła się do was następującymi słowami: „Mamo, naprawdę nie rozumiem, dlaczego pozwalasz, żeby się to stało, ale jesteś moją mamą i ufam ci, i to mi wystarcza”?

Rozejrzał się po kongregacji.

— Ach, no cóż — rzucił — może to nie jest najlepszy przykład.

Śmiech.

— Ale rozumiecie, o co mi chodzi.

— Jest oczywiście dużo więcej słów w Liście do Tesaloniczan. Oto kilka z nich:

— „Nieustannie się módlcie”.

— „Unikajcie wszelkiego rodzaju zła”.

— „Ducha nie gaście”.

— Te słowa również zawierają świętą radę i absolutną prawdę.

— Ale słowa, które Bóg wybrał na ten dzień, na to nabożeństwo, dla tego pastora i dla tych ludzi, są tylko cztery. Tak, róbcie te inne rzeczy, które nakazuję wam robić, mówi, ale miejcie szczególne baczenie na te właśnie słowa.

Spojrzał na swoją dawną trzódkę z ogromną czułością.

— Miejcie baczenie na te właśnie słowa.

Hélène Pringle zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech od, jakby się mogło wydawać, bardzo długiego czasu.

— Gdy wyjdziemy na ten złoty poranek i spotkamy się na naszych pięknych kościelnych ziemiach, niech ci, którzy zechcą, postąpią zgodnie z jeszcze innym wezwaniem z listu świętego Pawła. „Pozdrówcie wszystkich braci pocałunkiem świętymi”

— Amen.

Panna Pringle odetchnęła głęboko; a potem, razem z kongregacją, odpowiedziała:

— Amen!

Hélène Pringle wyszła szybko przez drugie drzwi kościoła, kierując się wzdłuż ulicy, na róg Main i Wisteria, gdzie zatrzymała się na chwilę i oglądnęła za siebie.

Nie chciała, żeby ktokolwiek ją całował, w ogóle na tym właśnie polegał problem z Amerykanami, potrzebowali dużo dotykania. Tak, oczywiście, Francuzi całowali się na powitanie — w obydwie policzki, mówiąc dokładnie — ale to nic szczególnego nie znaczyło. Wydawało się jej, że ten święty pocałunek, o którym mówił ojciec, mógł rzeczywiście coś znaczyć, chociaż nie była pewna co.

Zadrzała lekko i zaczęła się zastanawiać, co na litość, tak głęboko smuci ojca. Potem skrzyła i pośpieszyła w górę Wisteria Lane, w kierunku domu pastora, gdzie Barbizon z pewnością już czeka na swoje wątrobiane przekąski.

Hope Winchester pokonała swoje uczucie nagości i teraz czuła się w pełni ubrana i mogła stać w słońcu i rozmawiać z kilkoma ze swoich klientów, podczas gdy młodzi ludzie podawali talerzyki z ciasteczkami i lemoniadę w papierowych kubkach.

— Jej, a niech mnie! — zawołała Esther Bolick. — Patrzcie, kto tu jest!

— Czy cuda się nigdy nie skończą?

Członek chóru, który zbierał klasykę Penguina, uścisnął ją.

Hope nie widziała George'a, a Harley Welch skinął głową w jej stronę i uśmiechnął się nieśmiało.

Odwracała się, żeby pójść dalej, gdy kapelan z Domu Nadziei, stojący z grupą na chodniku prowadzącym do kościoła, odwrócił się gwałtownie i uderzył ją łokciem w żebra.

— Au! — zawołała.

— Panna Winchester! Tak mi przykro.

Wyglądał na szczerze zmartwionego.

— W porządku — odparła. — Naprawdę.

Scott Murphy odwrócił się i zerwał mały, kremowy kwiat hortensji z krzewu przy chodniku. Uśmiechnął się sympatycznie, pochylił głowę w skromnym ukłonie i podarował jej kwiat.

— Proszę mi wybaczyć!

Ponieważ nie miała pojęcia, co z nim zrobić, zatknęła go do małego koka, jaki nosiła ostatnio.

— No właśnie! — zawołał wyraźnie zadowolony.

Pomyślała, że kapelan, którego widziała tylko dwa razy i za każdym razem w dzinsach, wygląda bardzo dorośle w krawacie.

Jak na kogoś, kogo życie polega niemal wyłącznie na chodzeniu do księgarni i wracaniu do domu, kościół wydał się jej oślepiającym wirem śmiechu, muzyki, ciasteczek, dzwoniących dzwonów, nowych pomysłów, dzieci bawiących się na murawie i ludzi, którzy, ogólnie rzecz biorąc, roili się jak pszczoły w ulu.

Ojciec Tim podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

Dotknęła policzka i uśmiechnęła się.

— Święty pocałunek!

— Tak. Cieszymy się, że jesteś z nami, Hope. Hope!

Po raz kolejny jej imię zabrzmiało w zupełnie nowy sposób.

TLR

# Rozdział dwudziesty

## W KAŻDYM POŁOŻENIU

Po szybkim lunchu zadzwonił na podany numer w Kinloch. Nikt nie odpowiadał.

— Barnaba!

Barnaba wyczołgał się spod stołu w holu i przeciągnął się. Następnie przydreptał do pracowni i usiadł, wpatrując się w ojca Tima.

— Co ty na to, żeby się stąd wyrwać, w tej sekundzie? Rozpoczęło się wielkie machanie ogonem.

— Poznać nowe wiewiórki! Zobaczyć nowe miejsca! Poszerzyć horyzonty!

Machanie ogonem stało się jeszcze bardziej energiczne.

Ludzie w Kinloch z pewnością będą mieli jakiś kąt, w którym będzie mógł przywiązać swojego psa do nogi stołu, albo może jakiś nieustraszony młodzieniec będzie mógł posiedzieć z jego psem na tylnej ławce.

Poszedł do pracowni i położył się na sofie na półgodzinną drzemkę. Potem wstał i przebrał się, poszukał w szufladzie biurka odręcznie napisanych wskazówek z trasą dojazdu, przygotował miskę psa i butelki wody na drogę i postawił miseczkę wątróbki z puszek na podłodze przy lodówce.

— Violet — rzucił — chata wolna. Czuł się wspaniale, otwarty na wyzwania. Czuł się gotowy na wszystko.

Byli daleko za Mitford, kierując się na północ, gdzie deszcz wyraźniej padał z większą regularnością i wzgórzka były nadal zielone letnią zielenią.

— Co powiesz na odrobinę Wordswortha? — zwrócił się do swojego psa, który na siedzeniu pasażera jechał przypięty pasem i spoglądał prosto przed siebie.

Brak odpowiedzi. Przypuszczał, że Barnaba nasłuchiwał się już dość Wordswortha przez te wszystkie lata.

— Longfellow w takim razie! Barnaba poruszył lewym uchem.

— Chwileczkę.

Będzie musiał mocno się zastanowić, żeby przypomnieć sobie coś Longfellowa, minęło tyle lat...

— Grzebię w pamięci — wyjaśnił swojemu towarzyszowi.

Ach, jak dobrze było się wyrwać i nikogo nie interesowało, co wiejski pastor mówi do swojego najlepszego przyjaciela.

Jechał stromo wznoszącą się drogą do Kinloch, słuchając stacji z muzyką country.

— To, co rozślawiło Milwaukee, mnie przyniosło złą sławę...

Czując się wspaniale, zaczął się zastanawiać nad kilkoma rzeczami, które chciałby zrobić teraz, gdy z serca spadł mu ten ciężar.

Przede wszystkim chciałby odwiedzić Bezdomnego Hobbesa w jego nowym mieszkaniu. Chciał też zrobić metalowe ogrodzenie wokół ich kublów na śmieci, zabrać bliźniaczki na film do Wesley i... zdecydowanie...! urządzić grilla w stylu Missisipi dla George'a i Harleja.

Co jeszcze? Zamierzał skończyć swój tom esejów, za wszelką cenę.

Jazda samochodem pod górę w olśniewające popołudnie sprawiała, że życie starało się oferować nieskończone i kuszące perspektywy.



Na parkingu czekał na niego samochód, który wskazywał, że Kinloch jest raczej zamożną parafią. Założony przez Szkotów pod koniec osiemnastego wieku, Kinloch był teraz znany jako szacowna twierdza dużych domów wybudowanych w latach dwudziestych za pieniądze z Florydy i przekazywanych kolejnym pokoleniom. Zważywszy na luksusowy wygląd i zadbane brzeg, nawet jezioro wydawało się zamożne.

— Ojciec Kavanagh! Witamy!

Postawna, siwa i żywotna Mary Fisher uścisnęła mu mocno dłoń, następnie chwyciła przewieszane przez jego ramię szaty liturgiczne i powiesiła je w samochodzie. Podczas gdy Barnaba załatwiał potrzebę w pobliżu jeziora, otwierała drzwi po stronie pasażera i niewiele brakowało, a własnoręcznie umieściłaby go na siedzeniu.

— Kazano mi o ojca dbać! — krzyknęła, wyraźnie mając problemy ze słuchem.

— Proszę poczekać! Mój pies...

— Pies? Jaki pies?

Mary Fisher odwróciła się dokładnie w chwili, gdy Barnaba pędem zbliżył się do zaskoczonej kobiety i padł do jej nóg, dysząc.

— Dobry Boże! — jęknęła, cofając się na samochód.

— To trochę nietypowe, przyznaję, ale miałem nadzieję, że może ktoś...

— Nikt nic nie wspominał o psie!

— To prawda, prawda. Nie wspomniałem o nim. Ale nie sprawi kłopotu. I proszę spojrzeć! Wykąpałem go! Jest zupełnie czysty!

Wprowadził swojego psa na tylne siedzenie, podczas gdy Mary Fisher złorzecząc, przeszła na stronę kierowcy i usadowiła się za kierownicą, włączyła wsteczny bieg i wycofała z zawrotną prędkością.

— Jezioro... — szepnął.

— Tak, o co chodzi? — krzyknęła.

Nieomal w nie wjechała, o to mu chodziło. Pomyślał, że to przeżycie sprawi, że jazda z Hélène Pringle wyda się tak niewinna jak spotkanie przy kawie w Lord's Chapel.

Odwrócił się i spojrzał na swojego psa, który tulił się z całych sił do skórzanej tapicerki, a Mary Fisher przycisnęła mocniej pedał przyspieszenia i ruszyli przed siebie.

— Więc, o czym będzie dzisiaj pastor nauczał?

— Ach...

Ścisnął mocniej uchwyt nad drzwiami pasażera, podczas gdy jego kierowca skręcił gwałtownie w prawo i ruszył w górę wąską drogą prowadzącą po zboczu stromego wzgórza. Nie był w stanie przypomnieć sobie tematu kazania.

— Ilu się spodziewamy? — zapytał.

— Proszę?

— Ilu się spodziewamy? — zagrzmiął swoim głosem kaznodziei.

— Bóg raczy wiedzieć!

Gdy pokonywali z zawrotną prędkością zakręt, miał wrażenie, że zderzą się czołowo z furgonetką, ale Mary Fisher zręcznie ją ominęła. Rozważyłby wyskoczenie na zewnątrz, ale wawóz wydawał się dość głęboki i w zasięgu wzroku nie widział żadnych barierek. Czy nie ma jakichś przepisów na temat barierek? Być może po nabożeństwie zejdzie na parking na piechotę.

Spojrzał na zegarek. Siedem po piątej. Jego wizyta w Kinloch wydawała się za długa, zanim się jeszcze zaczęła.

— Proszę tam spojrzeć.

Jego kierowca podsunął mu pod nos ramię i wskazał na duży dom znajdujący się na szczycie góry.

— To tam jedziemy.

— Dobrze wiedzieć — przyznał, gdy pokonywali zakręt.

Widząc prosty odcinek drogi przed nimi, Mary Fisher nacisnęła mocniej pedał przyśpieszenia. Z pewnością prowadziła samochód zawodowo. Grand Prix, być może, albo tylko Talladega.

— Proszę bardzo! — zawołała, wjeżdżając w końcu na wysypyany żwirem podjazd i wyskakując z samochodu.

— Czy kaplica jest niedaleko? — zapytał, gdy otwierała jego drzwi.

— Proszę?

— Kaplica. Czy jest niedaleko?

— Tak, do miłego. Zobaczą się z ojcem w drodze powrotnej na dół, po nabożeństwie.

Otworzyła tylne drzwi i Barnaba wypadł na zewnątrz bezwładnie jak worek.

— Nikt nic mi nie mówił o psie! — przypomniała mu.

— Tak. Przepraszam. Naprawdę! Sam chwycił swoje szaty liturgiczne.

Mary Fisher wprowadziła go do sypialni, w której mógł się przebrać przed przejściem do kaplicy. Choć był to wyraźnie dom, i w dodatku pięknie urządzone, nikogo nie było w pobliżu. Wszyscy są zapewne w kaplicy, przypuszczając, przygotowując się do nabożeństwa.

Barnaba rozłożył się w kącie, najwyraźniej niezadowolony po krętej drodze na górę. Prawdę powiedziawszy, ojciec Tim też nie czuł się za dobrze. W szatach i ze stulą wyszedł do holu, szukając kuchni. Zostawił miskę swojego psa i wodę w swoim samochodzie, a obydwójce powinni się czegoś napić. Dlaczego nie ma tu nikogo, żeby dogłębnie wszystko sprawdzić? To wszystko jest trochę... — zastanawiał się nad właściwym słowem... — dziwne.

Znalazł miskę i z nadzieją, że nikomu nie będzie to przeszkadzać — była kamionkowa, nie z porcelany, przekonywał się — napełnił ją pod kuchennym kranem. W pomieszczeniu poczuł znajomy, ale trudny do zidentyfikowania zapach. Stał przez chwilę nieruchomo, usiłując go określić, ale nie potrafił.

Po wypiciu szklanki wody pośpieszył do sypialni z miską wody.

Pomyślał, że powinien postawić miskę na ręczniku, Barnaba pił wodę, rozchlapując ją wkoło; jeszcze lepiej postawi ją na podłodze z płytek małego pokoju sąsiadującego z sypialnią i wytrze potem wodę chusteczką. Był z siebie niezadowolony. Bycie na emeryturze to oczywiście prawdziwy powód. Gdy człowiek nie trzyma ręki na pulsie, wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli.

Barnaba wypił łączywie wodę i położył się na podłodze w pokoju, żeby się zdrzemnąć.

Piąta trzydzieści. Dlaczego nikt po niego nie przyszedł? I znowu poczuł ten zapach. Dlaczego tak go prześladowuje? Mimo że bardzo słaby, wydawał mu się bardzo nieprzyjemny. Poruszał prawą ręką, czując zeszywniałe mięśnie od trzymania się kurczowo uchwytu w samochodzie.

Zaczął chodzić po pokoju, nerwowo, zanim zdał sobie sprawę, czego potrzebuje.

Potrzebował modlitwy.

Upadając na kolana przy pasiastym fotelu z wysokim oparciem, przeżegnał się.

— Wszechmogący i wieczny Boże — modlił się na głos — tak przywiedź nasze serca do Ciebie, tak poprowadź nasze umysły, tak natchnij naszą wyobraźnię, tak pokieruj naszą wolą, abyśmy mogli być całkowicie Twoi, całkowicie Tobie poświęceni; i użyj nas, błagamy Cię, wedle swojej woli i zawsze na Twoją chwałę i dla dobra Twoich ludzi, przez Pana Naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

No proszę. Od razu lepiej! Dużo lepiej! Wstał i wyjrzał przez okno, z którego ujrzał jedynie skarpe porośniętą rododendronem. Gdzie jest jezioro, skoro ma odprawić nabożeństwo nad jeziorem? Piąta trzydzieści dwie.

Odwrócił się, zaskoczony cichym warczeniem swojego psa.

— Dobry wieczór, ojczu.

Ed Coffey zamknął drzwi do pokoju i spojrzął na niego, bez uśmiechu.

— Widzę, że się ojciec rozgościł.

— Co tu robisz? — Serce biło mu głośno.

— Sprawdziłem tylko te drzwi — odparł Ed.

Ojciec Tim usłyszał szcęk zamka i szczekanie Barnaby po drugiej stronie.

— Nie! — krzyknął, biegnąc przez pokój. — Stać!

Ed Coffey wyszedł szybko przez sąsiadujące drzwi, w czasie gdy Edith Mallory weszła do środka.

— Timothy! — zawołała, zamykając za sobą drzwi. — Jak miło, że się zjawileś.

Stał jak wryty w miejscu, z trudem oddychając.

— Co przez to rozumiesz? Uśmiechnęła się.

— Zapłaciłam dużą kwotę za to, żebyś tutaj dzisiaj przyjechał. A zatem mam prawo do twojego towarzystwa. — Wzruszyła ramionami. — To wszystko. — Przeszła przez pokój i usiadła na dwuosobowej kanapce pod oknem. — Ależ usiądź, proszę, Timothy.

— Nie zamierzam nic takiego robić.

Podszedł do drzwi prowadzących do drugiego pokoju i próbował przekręcić gałkę.

— Barnaba! Czy jesteś tam?

Cisza. Odwrócił się szybko w stronę drugich drzwi, przerażony.

— Są zamknięte, Timothy.

Edith uniosła pokrywkę pudełka, znajdującego się obok dwuosobowej kanapki, i wyjęła jedno z długich ciemnych cygar Tiparillos, które zwykła palić. Trzymała je przez chwilę w palcach, potem zapaliła.

— Ed otwórz je, gdy minie szósta trzydzieści. Kupiłam godzinę twojego czasu i zamierzam dostać godzinę twojego czasu.

Uśmiechnęła się w sposób, który wydawał mu się odrażający.

— Pomyśl, że jestem twoją kongregacją — stwierdziła.

— Czy Barnaba nadal jest w tym pokoju?

— Oczywiście, że nie. Jesteś zdecydowanie zbyt uprzejmy, żeby przeszkadzać swojej kongregacji szczekaniem twojego psa.

— Edith, możesz mi wierzyć, możesz mi wierzyć...

Uduś ją własnymi rękami, naprawdę.

— W jakim sensie mam ci uwierzyć?

Pstryknęła srebrną zapalniczką. Koniec jej tiparillo rozżarzył się; zaciągnęła się głęboko.

Proszę! To był ten mdlący słodki zapach, którego nie był w stanie zidentyfikować.

— Jeśli cokolwiek przytrafi się mojemu psu, nie cofnę się przed niczym, abyś została ukarana.

— Hm — odparła, znowu się uśmiechając. — Jesteś znacznie bardziej atrakcyjny, gdy się złościš; zawsze tak uważałam.

— Jesteś złą i niedobrą kobietą, Edith.

— Gorzej mnie już nazywałeś w przeszłości.

— Wszystko, co o tobie mówiłem, mówiłem ci prosto w twarz.

— Skoro już mowa o mojej twarzy, może zauważyłeś... że poddałam się pewnym zabiegom plastycznym, tu i tam. Podoba ci się?

— Żaden zabieg kosmetyczny nie jest w stanie zamaskować okrutnej natury.

— Och, proszę. Widzę, że przemawiasz do mnie tak jak zwykle, jakbyś głosił kazanie i mnie pouczał. Rozejrzyj się, Timothy. Czy podoba ci się ten dom? Kupiłam go ostatnio, już umeblowany wspaniałymi antykami. A co myślisz o tym dywanie? To aubusson, oczywiście, z początków federacji. Wiem, jak kochasz piękne rzeczy, to wstyd, że nigdy nie mogłeś sobie na nie pozwolić. Wszystko to mogło być twoje, kiedyś, razem z wieloma innymi wygodami, jakie mogłabym ci zaoferować. Ale ty byłeś zbyt dumny. Wiesz, co się mówi o dumie, oczywiście.

Poklepała poduszkę obok siebie.

— Chodź, Timothy. Chodź, nauczaj mnie i zbaw moją duszę.

— Nie mogę zbawić twojej duszy. To leży jedynie w mocy Ducha Świętego.

— W takim razie chodź i módl się za mnie, drogi Timothy.

— Nie naśmiewaj się ze mnie, Edith. I nie bluźnij przeciwko Bogu twoimi nieszczerymi deklaracjami.

— Ale nie jestem wcale nieszczera, mówię to całkiem poważnie. Nigdy się za mnie nie modliłeś, gdy byliśmy tylko we dwoje. Zawsze musiałam dzielić się tobą z tabunami ludzi. Wychodziłeś do każdego, tylko nie do mnie, przez ponad szesnaście lat.

Ściągnęła usta i spojrzała na niego dużymi, złotymi oczami, które zawsze przypominały mu oczy rysia namalowanego na aksamicie.

Od śmierci Pata Mallory'ego robiła wszystko, co w jej mocy, żeby uwieść i dręczyć ojca Tima; nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby się z nią modlić w samotności.

— Często modliłem się za ciebie, Edith. I często nie miałem wcale na to ochoty.

— Czy uważasz, że Bóg wysłuchuje modlitwy, która nie jest odmówiona szczerze?

— Była odmówiona szczerze. Przez lata modliłem się, żebyś porzuciła chłód twojego serca i raniące niedyskrecje i zawierzyła swoje życie Jemu. Nie muszę być osobiście zaangażowany i rozczulać się, żeby móc odmówić za ciebie tę modlitwę. Odmawiam ją jedynie siłą mojej woli, zgodnie z wolą Boga, abyś oddała swoją duszę Temu, który cię stworzył, temu, który za ciebie umarł, i jedynemu, który jest w stanie prawdziwie cię kochać.

Zaciągnęła się i wolno wypuściła dym.

— Nigdy nie mogłam uwierzyć w to, że Bóg mógłby kochać kogoś, kto jego nie kocha.

— Tak myślą ludzie. Bóg jest inny. Kocha nas bez względu na wszystko.

— Timothy, nie ma takiej możliwości, żeby w to uwierzyła. Nigdy.

— Masz rację. Nie ma takiego sposobu, żeby móc sprawić, żebyś w to uwierzyła. Duch Święty jednak może to sprawić, jeśli tak zechce.

Przeszedł przez pokój i stanął przed nią.

— A teraz powiedz mi. O co dokładnie chodzi w tej farsie?

Stał przed dwuosobową kanapką, rozwścieczony do białości.

— Dlaczego przetrzymujesz mnie w zamkniętym pokoju? Jakie są twoje intencje?

Przełknął strach. Zawsze może uciec przez okno...

— Moje intencje? Byłam zmuszona oddać dodatkowe dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, żeby skarb państwa się na mnie nie obraził. Zadzwoiłam do ciebie z nadzieją, że będziemy mogli obmyślić jakiś plan, ale ty odłożyłeś słuchawkę. Gdy to zrobiłeś, pomyślałam: jakie to cudowne, dać pieniądze i mieć przy okazji trochę rozrywki! To prawdziwy komplement, Timothy. Mogłam dać szpitalowi żalosne pięć tysięcy, a resztę komuś innemu. Przyjechałbyś, oczywiście, za marne pięć tysięcy. Wstydz się, to właśnie dlatego nigdy niczego nie osiągniesz, gdy przyjdzie co do czego. Powinieneś podziękować Bogu za swoją żonę, która osiągnęła dużo więcej w oczach świata.

Spojrzała na niego ponownie zmrużonymi oczami i znowu się zaciągnęła.

— Przy okazji — ostrzegła go — jeśli powiesz komuś, że pokój był zamknięty, zaprzeczę i powiem, że zachowywałeś się niestosownie w stosunku do mnie.

— Czego ode mnie chcesz, Edith?

Nie mógłby popełnić morderstwa. Nie mógłby i nie chciałby. Ale ta myśl sprawiła mu przez krótką chwilę przyjemność. Poczul w ustach gorzki smak.

— Chciałabym, żebyś zrobił to, za zrobienie czego ci zapłaciłam.

— Mam wygłosić kazanie? Odprawić pełne nabożeństwo?

— Za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, Timothy, wydaje mi się, że pełne nabożeństwo byłoby stosowne. Nie uważasz tak?

— Są jednak dwa problemy. Jeden polega na tym, że nie mam zestawu do komunikowania, niezbędnego, abym mógł ci podać komunię. Drugi polega na tym, że od duszy, która staje przed hostią, wymaga się czegoś bardzo istotnego. Musisz szczerze żałować za swoje grzechy.

Uniosła do góry ręce w udawanym geście bezradności.

— W takim razie to proste. Pomijamy komunię! Muszę przyznać, że wyglądasz uroczco w tej stule. Czy to nie ta, którą podarowaliśmy ci z Patem wiele lat temu?

— Nie.

— No cóż, w takim razie zaczynaj.

Wyjęła kolejne tiparillo z pudełka i pstryknęła zapalniczką. Koniec cygara rozżarzył się, gdy ona zaciągała się głęboko.

Stał zupełnie osłupiały, odmawiając modlitwę, która nigdy nie zawodzi. Czego Bóg mógł oczekiwać od niego w takim położeniu? Jakież mogłyby być Jego zamiary w zderzeniu go twarzą w twarz z Edith Mallory w zamkniętym pokoju? To był sen, koszmar.

Zdał sobie sprawę, że zaczęły mu drżeć kolana. Usiadł natychmiast na fotelu obok dwuosobowej kanapki.

— Dam ci twoją godzinę, Edith. Z radością. Jest teraz w szpitalu mała dziewczynka, ma cztery lata, wydaje mi się — jej wujek złamał jej nogę, ponieważ próbowała uciec przed swoim prześladowcą. Inne dziecko urodziło się z dziurą w sercu i oczekuje właśnie na trzecią operację. Mógłbym mnożyć te przykłady. Chodzi o to, że jeśli taka godzina jak ta może zaoszczędzić tym dzieciom chociaż odrobinę cierpienia...

— Zamykasz mi usta, Timothy, swoim gadaniem księdza. Czy nigdy nie znudzi ci się taka gadka?

— Nigdy.

— Nie jesteś jedyny, wiesz, w chęci służenia Bogu. Ja też chcę służyć Bogu.

— Tak, oczywiście, ale jedynie w funkcji doradcy. Zmarszczyła czoło.

— Co masz na myśli?

— Nieważne.

— Jesteś nieuprzejmy. Zawsze jesteś nieuprzejmy w stosunku do mnie, Timothy. Nie znajduję dla tego żadnego wytłumaczenia. Bóg też by nie znalazł.

Ponownie ściągnęła usta, opuszczając w dół ich kąciki.

— Czy zechciałabyś zgasić cygaro?

— Nie. Wstał.

— Zaczniemy.

Kolana nadal mu drżały.

— Niech będzie błogosławiony Bóg: Ojciec, Syn i Duch Święty.

Czekał na jej odpowiedź.

— Czy odpowiesz?

— I Jego królestwo — odparła gniewnie — teraz i na wieki. Amen.

— Boże Wszchemogący, na Ciebie wszystkie serca są otwarte, Tobie znane są wszystkie pragnienia i przed Tobą nie ma żadnych sekretów...

Nie wiedział, jak zdoła przez to przebrnąć; to była parodia. Wszystko, czego pragnął, to żeby Bóg wybawił go z tej niedorzecznej sytuacji. Usiadł ponownie, upokorzony i zrozpaczony, pozbawiony jakiegokolwiek pewności siebie.

— Chwileczkę — poprosił.

Przesłanie porannego nabożeństwa, które wydawało się w tej chwili należeć do dalekiej przeszłości, nagle wróciło do niego z głębokim przekonaniem, z którym go nauczał. W każdym położeniu...

— Och, zapomnij o tym wszystkim, czego nauczyłeś się z książki! I tak nie chciałam, żebyś odprawił pełne nabożeństwo, nigdy nie byłam w stanie zapamiętać tych wszystkich męczących odpowiedzi. Chciałam jedynie, żebyś ze mną porozmawiał, Timothy, żebyś... żebyś mnie przytulił.

Pochyliła się do przodu, siedząc na kanapce.

— Jesteś istotą ludzką, masz uczucia i namiętności, jak każdy inny. Czy aż tak bardzo boisz się swoich namiętności, Timothy?

Gdy położyła mu dłoń na kolanie, cofnął się w widoczny sposób, ale nie wstał ani nie odsunął się. Zamiast tego, pokonując niesmak, podziękował Bogu za umieszczenie go w tym pokoju, w tym czasie, bez względu na to, jakie miał po temu powody.

„Bądź ze mną, Boże, nie opuszczaj mnie. Zamierzam stawić temu czoło”.

Zabrał jej dłoń ze swojego kolana i ujął ją we własną.

Drżał w środku, gdy to czynił, ale jego dłoń była nieruchoma, nie wstrząsał nią strach.

— Zaczniemy od tego, o co mnie prosiłaś. Pozwól, że się za ciebie pomodłę, Edith.

Jej dłoń wydawała się mała i zimna, niczym łapa ptaka, dziwnie bezduszna. Poczul, jak się wzdraga, ale nie cofnęła swojej dłoni — wyczuwał jej puls tuż obok własnego.

Pochylił głowę.

— Ojcze.

Nie mógł jednak zrobić nic więcej, oprócz wezwania jego imienia.

— *Abba!* — szepnął. „Pomóż mi”.

Jezus wyszedł na górę; otworzył usta i nauczał ich tymi słowami... „A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują...”

— Pobłogosław Twoje dziecko, Edith, realnością twojej obecności — modlił się i nagle znowu zamilkł.

Zmuszał się, żeby się za nią wstawić; nieustannie musiał zaczynać od nowa, niczym muł ciągnący sanie w głębokim bagnie. Przestał zatem walczyć i poddał się; nie był w stanie udźwignąć tego ciężaru sam.

— Mocą Ducha Świętego, tak zadziałaj w jej sercu i w jej życiu, że nie będzie mogła Cię zignorować ani odwrócić się od Twojej miłości do niej. Idź, Boże, w tę ciemną noc, gdzie nie mieszka żadna wiara, gdzie nie pali się żaden płomień, gdzie nie można znaleźć żadnego pocieszenia, i roznieć Twoją miłość w Edith Mallory w potężny i zwycięski sposób. Spuść na nią Twoją miłość, Boże, miłość, której nie jest w stanie i nigdy nie będzie w stanie dać żadna ludzka istota, spuść ją na nią z taką czułością, że nie będzie mogła się od niej odwrócić, z taką łaskawością, że nie będzie mogła zaprzeczyć Twojej łasce. Przepelnij jej serce pewnością — wiarą i pewnością, że stworzyłeś Edith Mallory dla siebie, abyś mógł znajdować przyjemność w jej życiu... i jej służbie. Tak, dziękujemy Ci, Boże, za niezliczone tysiące dolarów, które przeznaczyła dla dobra Twojego królestwa, bez względu na powody, które nią kierowały.

W dobrej czy w złej wierze, spora ilość pieniędzy Edith Mallory przyniosła wiele dobra przez te wszystkie lata, a on nie będzie jej sędzią.

Teraz mocno ścisnął jej dłoń; tak jak ścisnął uchwyt nad siedzeniem pasażera, trzymał się jej tak mocno, jakby ktoś mógł odebrać mu ją siłą.

— Dziękuję, Ojcze, za ten wyjątkowy czas w Twojej obecności, za to, że uwięziłeś nas w kręgu Twojej miłości i Twojej łaski. Całym moim sercem proszę Cię o duszę tej kobiety, aby mogła zostać wezwana do skruchy i mogła zostać Twoim dzieckiem na wieki.

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, mimo że w pokoju było chłodno.

— Przez Chrystusa, Pana naszego — szepnął. — Amen. Podniósł wolno głowę, czując ogromną ulgę.

Na jej twarzy widać było smugę rozmazanego tuszu do rzęs; wyrwała swoją dłoń z jego uścisku.

— Nienawidzę cię — rzuciła. — Nienawidzę cię.

— Dlaczego?

— Bo wierzysz. — Wyjęła chusteczkę z kieszeni kostiumu i przyłożyła ją do oczu. — Wydaje mi się, po raz pierwszy, że rzeczywiście wierzę, że wierzysz.

— Dlaczego mnie za to nienawidzisz?

— Bo ja chciałabym wierzyć i nie mogę.

— Dlaczego nie możesz?

— Bo to wszystko jest dla mnie pozbawione sensu.

— To dobrze! — zawołał. — W wierze nie chodzi o to, żeby miała sens. Wiara jest wiara.

— Głupota! — wykrzyknęła.

— Chesterton określił to dużo trafniej. Powiedział: „Wiara oznacza wiarę w nieprawdopodobne, bo w przeciwnym razie nie jest żadną cnotą”.

— Dość tego gadania! Nie wiem, po co to zrobiłam. To żalosne.

Strzepnęła popiół ze swojego tiparillo, wściekła.

— Kim jesteś, Edith? Poznałem cię prawie dwadzieścia lat temu, mimo to nie wiem prawie zupełnie nic o tobie. Kim byli twoi rodzice? Jakie było twoje życie, gdy...

Roześmiała się grubiańsko.

— Nigdy nie zapłaciłam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za godzinę, żeby poddać się psychoanalizie przez wiejskiego księdza, i nie zamierzam zaczynać teraz. Jestem pewna, że dowiedziałeś się dość dużo o mnie od mojego męża, chociaż on miał skłonność do przekręcania prawdy. Uwielbiał mówić, jak to chodzi do tej garkuchni, którą nazywacie barem Grill, żeby uwolnić się od mojej obecności.

Rzeczywiście wiedział o tym. Pat Mallory często wyrażał się bardzo pogardliwie o swojej żonie.

— Nie szanowałam swojego męża, ponieważ bardzo szybko przekonałam się, że łatwo go pokonać. Mężczyzna, którego łatwo jest pokonać, wcale nie jest mężczyzną. Jest to jeden z powodów, dla których intrygowałeś mnie przez te wszystkie lata, Timothy — trudno cię pokonać.

— Jeśli Bóg jest ze mną, kto może być przeciwko mnie?

Wzdrygnęła się.

— Czy nie możesz rozmawiać normalnie, bez wciągania do tego wszystkiego Boga? Nie cierpię pobożności. To coś, czego duchowni powinni szczególnie unikać.

— To do niczego nie prowadzi.

— Być może zainteresuje cię odrobina lokalnych plotek z Mitford. Sprzedają Clear Day. Zawsze nienawidziłam Mitford, Mitford to był pomysł Pata. Wszyscy uważacie się za lepszych ode mnie, przez te wszystkie lata właściwie nigdy nie zostałam przyjęta tak jak należy.

Gniewnie zgasiła swoje tiparillo w popielniczkę.

— Próbowалаś ustawić wyniki wyborów na burmistrza, chciałaś wyrzucić rodzinę z prawnie wynajmowanego lokalu...

— Mam dość tych bzdur. Jedź do domu!

Wstała z dwuosobowej kanapki, stając tak blisko niego, że nie mógł wstać z fotela.

— Koniec końców, jakiś niesmak przynosi mi zawsze twoje towarzystwo. Nie było to tyle warte, nie dwadzieścia pięć tysięcy, nie dwadzieścia, nie pięć.

Podeszła do drzwi, gdzie się odwróciła, z przykrym i gorzkim wyrazem twarzy.

— Twoja godzina dobiegła końca. Zabierz przed wyjazdem swojego psa.

— Edith.

Jej ręka zatrzymała się na gałce.

— Co?

— Mam prośbę. Spojrzała na niego lodowato.

— Powiedz Mary Fisher, że chciałbym poprowadzić samochód do parkingu. Jeśli jej to nie odpowiada, pójdę na piechotę.



Wybuchnęła gwałtownym śmiechem. Nadal się śmiejąc, otworzyła drzwi, potem zatrzasnęła je za sobą.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### ROLADA Z ŁOSOSIA

— Ojciec Tim?

— Tak!

— Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, mówi Jeanine Stroup ze szpitala, jestem tu nowa i nie znam jeszcze wszystkich. Pan Bill Watson mówi, że chce się zobaczyć z kaznodzieją. Czy to może chodzi o ojca, ktoś mi powiedział, że to pewnie będzie ojciec.

— Tak, proszę pani. Wydaje mi się, że to chyba ja. Czy jego stan zdrowia się pogorszył?

— Nie, proszę ojca, ma się całkiem nieźle.

— Cudownie! Cóż, chwileczkę... może przyjdę o ósmej?

— Bardzo dobrze! Pójdę teraz do niego i powiem mu.

— Czy może zjeść pączka?

— Pączka? Nie wiem.

— Zwykłego oczywiście — wyjaśnił. — Bez dżemu.

— Niech ojciec przyniesie, i jak nie on, to ja go zjem.

— Jeanine — odparł — zajdziesz daleko.

— Emma! Tim Kavanagh. — Nie musi przepraszać za wczesną porę; Emma wstaje tak wcześnie, że trudno ją wyprzedzić. — Masz sekundę?

— Strzelaj.

— Potrzebuję parę dowcipów z Internetu.

— Dowcipy z Internetu? Ty, który nie chcesz mieć nic wspólnego z Internetem, absolutnie, zdecydowanie niech ci wszyscy dadzą spokój z Internetem, ty chcesz dowcipy z Internetu?

— Tak — odparł. — Przyzwoite dowcipy.

— To nie będzie łatwe — odparła. — Możesz mi wierzyć.

— Jeśli ktokolwiek może to zrobić, to ty jesteś tą osobą.

— Pochlebstwa nic ci nie dadzą. Nauczę cię, jak korzystać z Internetu, raz na zawsze.

— Ależ, Emmo...

— Zajmie ci to trzydzieści minut, najwyżej. Pojadę nawet z tobą do Wesley, żeby kupić ci komputer. Pojedziemy we wtorek rano. Nie możesz już dłużej tak się zachowywać.

Miała rację.

— Masz rację!

— Mam rację? Czy słuch mnie zawodzi? Czy muszę kupić sobie aparat słuchowy, jak już będziemy w sklepie?

— Nie, do licha, dobrze mnie usłyszałaś — masz rację. Nie mogę do ciebie wydzwaniać, prosząc cię o takie rzeczy, jestem dorosłym mężczyzną.

Milczała jak grób.

— Więc znajdź mi parę dowcipów — poprosił. — Do siódmej.

— Do siódmej dzisiaj rano?

— Zgadza się.

— Załatwione! — zawołała, cytując swojego byłego pracodawcę.

Wujaszek Billy otworzył oczy.

— Niech mnie licho, jeśli to nie kaznodzieja — szepnął. Ojciec Tim przełknął z trudem.

— Wujaszku Billy...

Starszy mężczyzna uniósł dłoń i ojciec Tim uściśnął ją. Chuda jak patyczek, zimna jak lód. Ojciec Tim usiłował ogrzać ją swoją własną.

— Jak się wujaszek czuje?

— Niedobrze.

— Nie brał wujaszek leków.

— Nie, proszę ojca, osłabiały mnie.

— Mówi się, że małym ludzi żyją dłużej. Musi wujaszek posłuchać doktora Harpera i zacząć być w tej sprawie małym.

— Rose, ona jest wystarczająco mała, za nas dwoje.

W oczach wujaszka Billy'ego zaigrała iskierka, ale tylko na chwilę.

— Przyniosłem dla wujaszka pączka. Siostra Herman mówi, że może go wujaszek zjeść.

— Proszę go tam położyć — polecił wujaszek Billy.

Ojciec Tim jeszcze nigdy nie widział, żeby wujaszek Billy był tak chory, żeby nie mógł zjeść pączka. Poczuli, jak coś ściska go w gardle. Martwiła go też myśl o tym, że trzeba będzie przenieść starą kobietę z jej rodzinnego domu i umieścić ją w Domu Nadziei.

— Czy czujesz się na siłach, wujaszku Billy, by wysłuchać dobrego żartu? — Miał w zapasie kawał, którego się właśnie nauczył. Z całego serca pragnął usłyszeć śmiech wujaszka Billy'ego.

— Oczywiście. Zatraciłem umiejętność opowiadania dowcipów, może przejmiesz tę robotę?

— To niełatwa fucha, przyjacielu. Zbyt odpowiedzialna.

— To prawda.

— Dobrze zatem. Jesteś pewien, że chcesz to usłyszeć?

— Jeśli jest dobry, to tak, a jeśli kiepski, to nie. Spora presja.

Zwilżył usta. Odchrząknął.

— Dwóch gości siedziało na ławce, kłócąc się o to, kto z nich jest bardziej wierzący. Pierwszy z nich mówi: „Stawiam pięć dolarów, że nie umiesz nawet odmówić Ojciec Nasz”. Drugi na to: „Ja też, a więc — Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój”. Pierwszy na to: „Do licha, oto twoje pięć dolarów, a myślałem, że tego nie znasz!”.

Wujaszek Billy spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, potem potrząsnął głową.

— Jej, jej.

— Nie podoba się wujaszku. — Poczuli się trochę zawiedzeni.

— Nic w nim nie ma.

— Mam jeszcze jeden!

— Posłuchajmy — zgodził się wujaszek Billy, chociaż bez większego entuzjazmu.

— No dobrze. Proszę bardzo. Pewien człowiek kopał dołek u siebie w ogrodzie, gdy nagle podszedł do niego sąsiad, pytając: „Co robisz?”. On na to: „Kopię dołek, żeby pochować mojego psa...”

— Chwileczkę! — przerwał mu wujaszek Billy. — Czy to ten, w którym sąsiad odpowiada: „A na co jest ten drugi dołek?”, a gość na to: „To pierwszy dołek, ale był za mały”.

— Tak, proszę wujaszka, to ten.

— Usłyszałem ten dowcip, gdy miałem czternaście lat.

— Ach — westchnął ojciec Tim.

— Jeśli zamierza ojciec zacząć opowiadać dowcipy, to musi się ojciec dużo bardziej starać.

— Tak, proszę wujaszka.

— Nie może ojciec tak po prostu opowiadać, co tylko ojciec usłyszy.

— Nie, proszę wujaszka.

— Musi ojciec czekać na ten właściwy; czasami musi ojciec czekać bardzo długo, to jak strzelanie do kaczek.

— Nigdy nie zestrzeliłem kaczki.

— No, widzi ojciec, o co mi chodzi?

Wyszedł ze szpitala zdeterminowany, że sprawi, iż wujaszek Billy się roześmieje. Wujaszek Billy był uparty jak muł, po prostu dlatego, że był niekoronowanym królem dowcipu w Mitford. Ale on znajdzie dobry dowcip, jakiś, gdzieś, niech no tylko wujaszek Billy poczeka.

Tymczasem, musi pojechać czym prędzej na lotnisko, żeby odebrać swoją żonę...

— Dzień dobry, ojcze! — przywitała go siostra Herman.

...potem wrócić do Mitford, żeby odebrać świeżego łososia i pospieszyć do domu, żeby zjeść lunch z Dooleyem. Prawdziwy urodzaj błogosławieństw!

— Siostro Herman, oto dzień, który Pan uczynił...

— Tak, proszę ojca!

— ...radujmy się nim i weselmy!

— Księga Przysłów?

— Psalm sto osiemnasty!

Siostra Herman była zadowolona, widząc, że ojciec Tim zdecydowanie odzyskał zdrowie i dobre samopoczucie.

Drogi Wydawco! Określenie „Jankes” niesie ze sobą negatywne znaczenie i jest źle odbierane na południu. Nie tyle wskazuje, skąd dana osoba pochodzi, ile nazywa tę osobę idiotą. Ja osobiście pochodzę z północy i nie lubię, jak się mnie nazywa Jankesem. Chciałbym zaproponować, aby pisząc o nieszczęsnym wielokrotnym morderstwie, które pominęła historia, używał Pan określenia: żołnierze unioniści, przez szacunek. Poza tym, dlaczego ludzie mówią, że ten a ten jest z dalekiej północy? Oczywiście, że północ jest daleko, podobnie południe. To wszystko kwestia perspektywy.

Co do mnie, wolę, aby mówiono o mnie: to ten ze wspaniałego miasta Bostonu. Do boju, Socks.

Z poważaniem Richard Crandon

POLITYCZNIE POPRAWNY I DUMNY Z TEGO!!

*Prawnik Hendricka twierdzi, że jego klient odniesie ostateczne zwycięstwo*

Po raz kolejny Pani Edith Mallory, mieszkanka Mitford od ponad dwudziestu lat, nie zgodziła się na rozmowę z „Mitford Muse”/Nie udało się nam skontaktować z jej prawnikiem, aby mógł to skomentować.

Johnson Cutliffe, prawnik Coota Hendricka, rodzimego mieszkańca i praprawnuczka założyciela Mitford, oświadczył, że Pan Hendrick pojawi się w sądzie w połowie bądź późnym październikiem. Pan Cutliffe donosi, że Pan Hendrick, który został ostatnio uwolniony za kaucją w wysokości 500 dolarów, po uprzednim osadzeniu w więzieniu za wkroczenie na teren prywatnej posiadłości pani Mallory, przyzna się do winy.

„Pan Hendrick nie powinien był łamać prawa i szukać miejsc pochówku na prywatnym terenie”, stwierdził. „Ale ta sprawa ma dużo szerszy kontekst i wierzę, że w efekcie końcowym mój klient odniesie zwycięstwo”.

Starsza już matka pana Hendricka, pani Marshall Hendrick, zaoferowała, że zaśpiewa piosenkę skomponowaną przez jej prapradziadka, podczas procesu.

Piosenka wskazuje, że jej przodek Hezekiah Hendrick zabił pięciu jankeskich żołnierzy i pochował ich na terenie, na którym kiedyś znajdowała się skromna chatka naszego założyciela, a teraz Clear Day, posiadłość pani Mallory.

Pani Hendrick zadeklarowała również w rozmowie z „Mitford Muse”, że zaśpiewa tę piosenkę dla każdej miejscowej organizacji albo grupy, która będzie zainteresowana jej wysłuchaniem.

Aby uzyskać więcej informacji na temat, jak zorganizować wystąpienie pani Hendrick przed twoim klubem lub organizacją, zadzwoń do urzędu miasta na 555-6240 i poproś z Mildred. Zapisz się i przynieś magnetofon! Proszę pamiętać, że pani Hendrick potrzebuje podjazdu dla niepełnosprawnych.

Denerwował się jak uczeń. Minęły dwa tygodnie, według kalendarza, ale całe dwa lata, licząc w inny sposób.

Ubrał się ze szczególną starannością, rozpaczając nad swoją fryzurą. Był zdania, że się jej nie spodoba — po raz kolejny przypominała kwiat chryzantemy i nie było na to żadnej rady. Przygładził włosy, ale wtedy doszedł do wniosku, że wygląda zbyt oficjalnie. Nastroszył je. Nie, żadną miarą, wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka.

— Puny — rzucił, gdy ta była zajęta spaghetti z serem, nie wspominając o cieście czekoladowym. — Mam godzinę, żeby dostać się na lotnisko. Spójrz na moje włosy. Co możesz z nimi zrobić?

Przyjrzała mu się uważnie.

— Proszę się obrócić — powiedziała. Obrócił się.

— Nic.

— To znaczy co?

— Nic nie mogę z nimi zrobić.

— Ach — jęknął.

Ze wszystkich możliwych rzeczy, ze wszystkich możliwych rzeczy! Gdy zobaczył swoją żonę, jak wychodzi z małego pasażerskiego samolotu z Charlotte, do oczu napłynęły mu łzy.

Chociaż był bardzo zawstydzony, uważała, że jego łzy są cudowne, i uroniła kilka własnych, dla równego rachunku. Siedzieli przez chwilę na parkingu, trzymając się za ręce.

— Hej — przywitał ją.

— Hej — odwzajemniła jego powitanie.

W czasie pierwszego odcinka drogi na górę ona powiedziała mu wszystko — o ogromnym entuzjazmie szkolnej publiczności, o tym, jak udało się jej wejść na konia w Montanie, ale tylko, żeby zrobiono jej zdjęcie, o zabawnym zdarzeniu po drodze do San Francisco, o jej nowej inspiracji do książek o Violet, o jej ogromnym i całkowitym wyczerpaniu...

W czasie drugiego odcinka drogi on opowiedział jej wszystko — o wizycie u Lona Burtiego, o przypadkowym spotkaniu z Millie Tipton, o jakże mile widzianym telefonie Billa Sprouse'a, o nabożeństwie w niedzielę, o wyjeździe do Kinloch.

Mimo że ta ostatnia wiadomość wprawiła ją we wściekłość, oględnie mówiąc, już nigdy niczego przed nią nie zatai. Ta lekcja kosztowała go bardzo dużo.

— Naprawdę dobre — pochwalił Dooley. Puny uśmiechnęła się.

— Dzięki, kolego!

Komplement z ust Dooleya był czymś niezmiernie rzadkim.

Ojciec Tim odsunął swoje krzesło od kuchennego stołu.

— Chodźmy usiąść na ganku.

— Ty i Dooley? — upewniła się Cynthia.

— Wszyscy, cała paczka.

Dlaczego ludzie nie korzystali już ze swoich ganków? Od czasu do czasu słyszał o jakimś renesansie ganków, kiedy to kilka pionierskich dusz pokazywało się ludziom, jak siedzą na ganku, ale ten trend szybko mijał.

Ojciec Tim i Cynthia usiedli na ławce; Dooley usiadł na ławce naprzeciwko nich.

— Muszę stąd zmykać za... — Dooley spojrział na zegarek — dziesięć minut.

— Masz ze sobą swój zestaw do golenia? — zapytał ojciec Tim.

Bóg raczy wiedzieć, że już dwa razy o nim zapomnieli, i musieli wysłać go do Georgii ekspresową pocztą lotniczą.

— Tak, proszę taty.

— To, co dała ci Cynthia?

— Tutaj.

Dooley poklepał kieszeń dzinsów. Banknot studolarowy.

— To, co ja ci dałem?

— W tym samym miejscu. Kolejna setka. Jeszcze raz dziękuję.

— Zajrzałeś do Lew's?

— Tak, proszę taty. Paliwo, olej, opony.

— I spaghetti z serem na dodatek — dodał ojciec Tim, ciesząc się tym chłopakiem, ciesząc się tą chwilą.

— Całkiem niezły dzień.

— Nie zapominaj o cieście czekoladowym — sprostował Dooley, pokazując na papierową torbę obok niego na ławce. — Nie będzie po nim ani śladu, zanim zdążę dojechać do Spartanburga.

Ojciec Tim uważał, że Dooley Barlowe wygląda jak książkę w swoim T-shircie z napisem „University of Georgia” i wyprasowanych spodniach khaki. Tęsknił jednak za piegami.

— Chciałem cię zapytać — co się stało z twoimi piegami? Widzę jedynie trzy albo najwyżej cztery.

Dooley wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Zaczęły po prostu znikać.

— Zgolił je! — zawyrokowała Cynthia, która zdawała się wiedzieć. — Proszę, niczym się nie martw; postaramy się odwiedzić Sammy'ego w następnym tygodniu i damy ci znać w sprawie Święta Dziękczynienia.

— Wierzmy, że wszystko ułoży się po naszej myśli — dodał ojciec Tim.

— O, patrzcie!

Cynthia wstała i pomachała do Lace Turner, która zbliżała się, biegnąc lekkim truchtem po chodniku, z Guberem, który ciągnął ją mocno za smycz.

— Chodźmy się przywitać! Ojciec Tim zbiegł po schodach.

Dooley miał kamienną twarz, gdy Cynthia złapała go za ramię.

— Chodź, wielkoludzie.

Zeszli na chodnik, gdzie Cynthia czule przytuliła Lace. Ojciec Tim poszedł za dobrym przykładem, podczas gdy milczący Dooley stał obok.

— Witam wszystkich! — zawołała Lace. — To jest Guber, od gubernatora.

Widok Lace był prawdziwą przyjemnością dla oka, doszedł do wniosku ojciec Tim — jej uśmiech rozjaśniał ulicę.

— Olivia i ja jedziemy do Wirginii za parę godzin, musiałam zabrać najpierw Gubera na długi spacer.

Pochyliła się i pogłaskała swojego szczeniaka po głowie.

— Tak bardzo nie chcę go zostawiać.

Guber wykręcił się spod jej dłoni i wykonał kilka wysokich podskoków w kierunku klatki piersiowej Dooleya.

— Nie, Guber! Na dół!

Lace usiłowała zapanować nad szczeniakiem za pomocą smyczy.

— Na dół.

— Hej — przywitał się Dooley z Guberem.

— Nie, Guber!

Gdy Lace brała szczeniaka w ramiona, ojciec Tim spojrzał na Dooleya, który wpatrywał się w panią Gubera.

— Cieszę się, że odnalazłeś swojego brata — powiedziała Lace.

— Dziękuję.

W błękitnych oczach Dooleya ojciec Tim ujrzał pragnienie, czułość, odrzucenie... nadzieję. Odwrócił się szybko, dziwnie zawstydzony, że widzi duszę chłopca jak na dłoni.

Wiedział, że nigdy nie będzie się musiał martwić o Rebę Sanders. Nie, w istocie. W ogóle.

— Timothy, zrobiła to już kiedyś, musisz pamiętać tę sytuację, gdy wróciłeś do domu, wyglądając, jakbyś uszedł z życiem z kociej potyczki, uwięziony przez całą noc w domu tej kobiety, kilometry od ludzkich skupisk...

— Około dwóch kilometrów. Tak.

— ...a teraz znowu to zrobiła. Żeby zamknąć cię tak w pokoju! Co zrobi następnym razem? Nie zgodzę się na to! Nie zgodzę się na to! I ten jej ohydny sługus, krążący po Mitford niczym kocur z jeszcze ciepłymi piórami w pysku. Pranie! Pranie! Pralnia!

Wyrzucała zawartość swoich walizek na stos na dywanie.

— Nigdy nie lubiłam tej kobiety, ani przez sekundę, dlaczego nie zostawi Mitford w spokoju? Nigdy nie była jedną z nas w każdym razie, zawsze taka ważna i wyniosła, i arogancka, i dumna, jakbyśmy byli nędznym robactwem, które można rozdeptać, i żeby tak prześladować mojego męża niczym wąż, z którego zębów jadowych kapie trucizna...

— Uspokój się, Kavanagh. Chodź i usiądź na chwilę. Posadził ją na swoich kolanach, na fotelu.

— Wszystko w porządku. Sprzedaje Clear Day, mówi, że nienawidzi Mitford. Wydaje mi się, że już więcej jej nie zobaczymy.

Zastanawiał się przez chwilę głęboko w sercu, czy prawdziwie w to wierzy.

— Ale jak możesz tak mówić. To był podły i złośliwy podstęp. Jestem pewna, że ma już w odwodzie kolejne złośliwe oszustwo, coś dużo bardziej niebezpiecznego niż bycie zamkniętym razem z nią w jednym pokoju przez godzinę, chociaż nie umiem sobie wyobrazić nic gorszego, niż bycie uwięzionym razem z tą drwiącą z prawa, niepoprawną wiedźmą na miotle.

Cóż mógł powiedzieć?

— Czy nie możemy oddać sprawy do sądu? Czy nie możemy nic zrobić? Czy musimy być dwójką nieszczęśliwych ofiar, czekających na kolejny cios?

— Wszystko w Kinloch przybrało w końcu pozytywny obrót. Nie ma czego oddawać do sądu — jakie zamieszanie to by spowodowało.

— Timothy, nie mogę siedzieć ci tak na kolanach jak dziecko, mam rzeczy do zrobienia.

Zeszła mu z kolan i wróciła do swojej walizki. — Pranie! Pranie! Pralnia! Szafka z lekami! Piżama, pończochy, spódnica, pudełko na lekarstwa — zawartość jej walizki aż mieniła się w powietrzu. Wymknął się do kuchni.

— Co się dzieje na górze? — dopytywała się Puny. — Czy to przemarsz wojsk pana Shermana przez Atlantę?

— Blisko — odparł.

— Timothy! Mówi twój biskup!

— Stuart! Co powiedział twój lekarz? Co ci dolega?

— Stres! Plaga postmodernistycznego pokolenia. Wszystkie badania wyszły wspianiale, w istocie, ale mój lekarz upiera się przy nowym stylu życia — dieta, ćwiczenia i odpoczynek. W każdym razie mam mniej niż rok, żeby zebrać resztę funduszy, i jestem nadal zdeterminowany rozpocząć ten projekt bez długu.

— Czy ktoś inny nie mógłby wejść i rozruszać projekt budowy katedry?

— Absolutnie nie! Czy ty oddałbyś swoje najczulsze marzenie w inne ręce? Poza tym, jeśli ludzie mają dać pieniądze, chcą, żeby poprosił ich o to facet w spiczastej czapce.

— Stuart, Stuart...

— Martha zaczęła korzystać z nowej książki kucharskiej, ja chodzę codziennie i odwiedzam wnuki we wtorki. Wszystko będzie dobrze. A teraz. Wiesz, że to najbiedniejsza diecezja w stanie. Potrzebuję poważnego kapitału, Timothy.

Ojciec Roland, biskup Cullen... Czy nie ma z tym końca?

— Musisz znać jakieś szczy, których ja nie znam — kontynuował Stuart — albo może kogoś, kogo pomijają archiwa diecezji. Lord's Chapel zawsze otrzymywała wsparcie z Florydy. Pomóż mi, przyjacielu — powiedz mi jeszcze raz, jak nazywała się ta kobieta, z którą miałeś zawsze takie problemy.

— Edith Mallory. Nie mam pojęcia, jak do niej zadzwonić — ma dom na Florydzie i nowy dom w Kinloch.

— Wdowa po Pacie Mallorym, tak?

— Tak.

— Potrafimy ją znaleźć. Ktoś jeszcze?

— Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Czy nie powinieneś przez jakiś czas trochę przystopować?

— Przystopowałem. Mam kłaść się codziennie o trzeciej w południe.

Ojciec Tim spojrzał na zegarek.

— Jest dziesięć po trzeciej, idź i się połóż, na litość boską.

— Leżę.

— I ty nazywasz to leżeniem? To jest zbieranie funduszy, to jest torowanie sobie drogi i męczenie innych, to jest praca!

— Pierwsze trzy miliony przyszły mi dość łatwo, ale ostatnie trzy, z tym są już problemy, to jakby chcieć wykrzesać energię ze zmarłego człowieka.

— Rozmawiasz w tej chwili ze zmarłym człowiekiem, co pokazuje, jak bardzo zmały twoje szanse. Porozmawiam z Cynthią i pošlemy ci czek.

— Nie wiesz, ile mniej więcej?

— Nie, dopóki nie porozmawiam z Cynthią. Pamiętasz to kazanie, które nam wygłosiłeś? To o finansach małżeńskich?

Stuart zachichotał.

— Jesteś nieustępliwy.

— Nie takie rzeczy o mnie mówiono.

— Kiedy wybierzesz się w te strony? — zapytał Stuart. — Chciałbym cię zobaczyć.

— Wkrótce, bracie, wkrótce. Przyjadę i pozwolę ci się zaciągnąć na to smagane wiatrem pastwisko.

— Nic nie sprawi mi większej przyjemności. Chcę, żebyś zobaczył plany; będzie cudowna, przyjacielu, cudowna! W całej Ameryce nic nie będzie mogło się z nią równać. Bóg będzie czczony w naszej drewnianej katedrze; jestem absolutnie przekonany, że będzie z tego zadowolony.

— Czy ludzie są zafascynowani tym pomysłem?

— Ach, tak! Większość zaczyna rozumieć, że katedra jest centrum życia liturgicznego, przestrzenią dla muzyki i oddawania czci, i modlitwy, i jednoczenia się. Wydaje mi się, że papistyczne wyobrażenie powoli, powtarzam: powoli, się rozmywa i wszyscy są coraz bardziej podekscytowani szkołą chóralną.

— Nie ustaję w modlitwach za ciebie, Stuart.

— To samo mogę ci przyrzec ze swojej strony. I słuchaj — jak przyjedziesz, przywieź ze sobą Cynthią. Do pełni szczęścia chciałbym zobaczyć i jej piękną twarz.

— Jest prawdziwym skarbem.

— Wiedziałem o tym przed tobą!

— Zawsze sobie przypisujesz wszystkie zasługi. Zupełnie jak biskup.

Roześmiali się razem, swobodnie. Niewiele rzeczy w życiu dawało taką radość jak stara przyjaźń, która z czasem była tak bliska, że można było spokojnie użyć znanego powiedzenia „znamy się jak dwa łyse konie”.



Sprzedaż rzadkich książek w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń zdecydowanie wzrastała, jak mogła doce-  
nić Hope po wynikach sprzedaży za ostatni miesiąc. Prześle wszystko e-mailem do właścicielki przed końcem dnia i  
będzie oczekiwać na zwyczajową reakcję Hélèn e-mailem, zawierającą się w jednym słowie, „Brawo!”. W tym  
przypadku Hope uważała, że może liczyć na rzadkie podwójne brawo, zważywszy na to, że przerażająca promocja  
Miesiąca Gór nie wpłynęła dodatnio na sprzedaż ogółem.

Poszła do pokoju, w którym George pracował przy komputerze.

— Mieliliśmy doskonały miesiąc! — zawołała, gdy na nią spojrział. — Wspaniale sobie radzisz.

Wydawało się jej, że jest zasmucony tą deklaracją. Zauważyła, że od kilku dni jest wyjątkowo cichy, jakby  
nieobecny.

— Dziękuję — odparł.

Wstał i spojrział na nią, jak nigdy przedtem.

— Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Cofnęła się, jakby obawiając się ciosu, potem usiadła znowu na kiwającym się krześle, które kiedyś przytar-  
gała do księgarni ze śmietnika przy Collar Button.

— Zamierzam wyjechać — powiedział.

Wyjechać? Próbowала wymówić na głos to słowo, ale nie zdołała.

— Chciałem poczekać z tą informacją, aż skończymy podliczanie sprzedaży. Wiem, jak nie lubisz tego ro-  
bić.

— Wyjechać — powiedziała.

— Wracam do więzienia.

Do oczu napłynęły jej łzy. Nie przytrafiało się jej to wcześniej, zaledwie od kilku ostatnich tygodni.

— Nie rozumiem.

— Od jakiegoś czasu wiem, że mój przyjazd tutaj nie jest tym, co powinienem robić. Postaram się to powie-  
dzieć inaczej: miałem przyjechać do Mitford, to było ważne, żebym tu przyjechał, ale nie mogę zostać. Nie wiedzia-  
łem o tym na początku, ale gdy to zrozumiałem i zacząłem się modlić w tej sprawie, Bóg wezwał moje serce, abym  
powrócił do systemu więziennego i do posługi.

— Ach — westchnęła.

— Nigdy nie zdołam podziękować ci za to, że dałaś mi pracę i zaufałaś mi, żebym się tym zajął.

Wzruszyła ramionami.

— Nie ma sprawy.

— Nigdy nie zdołam ci podziękować za to, jak stanęłaś w mojej obronie, gdy ludzie czynili złośliwe uwagi.  
Masz wspaniały charakter, Hope, i jestem ci wdzięczny.

Zawsze się jej wydawało, że charakter to coś staromodnego, coś z książki, coś, czego posiadaniem nikt już  
się nie przejmuje, ale jeśli ma to takie znaczenie dla George'a...

— Dziękuję — odparła.

— Będzie mi żal wyjeżdżać.

— Ach — odparła, słysząc obrzydliwą nutę żalości w swoim głosie.

— Jadę do Connecticut — najpierw będę miał szkolenie, potem będę pełnił posługę duszpasterską w więzie-  
niu federalnym. W przeciągu ośmiu lat, gdy odsiadywałem wyrok, widziałem ludzi, którzy nie mieli dość nadziei,

żeby zaufać w jedną wielką nadzieję. Widziałem rodziny, które odbudowywały i zmieniały swoje życie w sposób, o którym trudno było nawet marzyć — ale nie każde życie. Pamiętam ciszą nocą o dziewiątej wieczorem, mieliśmy pięć minut na dotarcie do naszych cel. Dla wielu więźniów to był najgorszy czas — czas, gdy ciemna noc duszy pożerała ich żywcem, podczas gdy ja szedłem do celi ze swoim Bratem, Przyjacielem, Powiernikiem. Bez względu na to, jak było ciężko, miałem to pocieszenie, tę siłę — miałem wszystko, mogłem przetrwać.

Uwolniła oddech długim, powolnym, nieświadomym westchnieniem.

— Z Bożą pomocą, będę służył jako asystent kapelana — jeśli uda mi się pokonać wszystkie formalności.

— Uda ci się, George! Jeśli On zamierza ci pomóc, z pewnością musi znaleźć jakiś sposób na pokonanie formalności.

— Proszę bardzo, znowu przynosisz chlubę swojemu imieniu.

Roześmiał się, a w jego oczach zabłyszczały łzy.

— Zostanę jeszcze przez dwa tygodnie, jeśli pozwolisz. Pokażę ci, jak prowadziłem naszą sprzedaż przez Internet, i pomogę ci w każdy inny możliwy sposób. Oczywiście, nie będziesz w stanie sama prowadzić sklepu i sprzedaży rzadkich książek przez Internet. Modlę się, żeby Bóg przysłał właściwą osobę.

— Myślę...

Wzięła głęboki oddech.

— Co myślisz?

— Chcę ci coś powiedzieć.

Bała mu się powiedzieć, ale to było ważne.

— Wydawało mi się, że... To było trudne i kłopotliwe.

— Wydawało mi się, że się w tobie zakochuję, i wtedy... Nie wiem, co się stało, miało to coś wspólnego z tym upadkiem i wyładowaniem na tych wszystkich książkach, ponieważ potem zdałam sobie sprawę, jak bardzo cię cenię jako przyjaciela. Wiem, że ponad wszystko byłam wdzięczna za twoją serdeczność w stosunku do mnie.

Ponownie wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się, podczas gdy on usiadł na brzegu biurka i spojrzał na nią, jakby jej wyznanie przyniosło mu ulgę.

— Po upadku czułam się swobodnie w twoim towarzystwie, już się nie bałam. Chcę ci jeszcze raz powiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, jak wymówiłeś moje imię, gdy leżałam na wystawie.

Ujrzała, jak jego oczy patrzą w jej oczy, gdy do niego mówi, zobaczyła w nich radość, która ją poruszyła.

— Prawdziwie zaczęłam mieć nadzieję — stwierdziła. — Czuję, że czeka mnie coś ważnego, że w moim życiu wydarzy się jeszcze coś ważnego. Nie umiem tego wytłumaczyć, nie wiem, co to jest. Ale wiem, że cieszę się twoim szczęściem. Wydaje mi się, że mogę uczciwie powiedzieć, że cieszę się, że wyjeżdżasz.

Podniósł się z biurka, przysunął do niej swoje krzesło i usiadł, pochylając się do przodu.

— Czy wiesz, że twoje imię pojawia się w całym Piśmie Świętym?

— Nie — odparła. — Nie czytam Pisma Świętego. Próbowалам kiedyś, ponieważ mówi się, że to wspaniała literatura, ale Wordsworth i Austen wydawali mi się bardziej przystępni. A Wodehouse dużo bardziej zabawny.

Roześmiał się; jego śmiech sprawił jej radość.

— Więc nie wiesz, że zwany jest Bogiem nadziei. Poczula dziwną radość, jak dziecko...

— W Liście do Rzymian święty Paweł napisał: „A Bóg, [dawca] nadziei, niech wam udzieli pełni radości i pokoju w wierze, abyście mocą Ducha Świętego byli bogaci w nadzieję”.

— Byli bogaci... — powtórzyła, znajdując przyjemność w wypowiedzianych słowach.

— Ufam, że pewnego dnia zaczniesz wierzyć i że przepelni cię radością i spokojem w twojej wierze. To w ten sposób będziesz bogata nadzieją, a ona rozmnoży się tysiącrotnie. Modlę się o to, codziennie.

— Ale ja nie chcę, żebyś się za mnie modlił, pamiętasz?

— Wiem.

Podjechał znowu na swoim krześle do komputera.

— Na marginesie, chciałbym cię prosić, żebyś nie mówiła nic ojcu Timowi, dopóki nie zobaczę się z nim w środę.

— Obiecuję. Czy Harley wie?

— Powiedziałem mu wczoraj wieczorem. Kiwnęła głową i odwróciła się, żeby wyjść z pokoju.

— Hope?

— Tak?

— Przypomniało mi się, że widziałem też budynek nazwany na cześć twojego imienia.

— Naprawdę? — zdziwiła się i roześmiała.

— Dom Nadziei. Czy byłaś kiedyś w Domu Nadziei?

— Nigdy!

— Nad ich drzwiami, wyryty w piaskowcu, znajdziesz napis: „Niech nas ogarnie łaska Twoja, Panie, według... ufności pokładanej w Tobie!”.

Jego uśmiech był ciepły i radosny.

— Nie do wiary — odparła, uśmiechając się w odpowiedzi. — Zabierzmy się lepiej do pracy, bo w przeciwnym razie w następnym miesiącu nie będziemy mieć żadnego raportu ze sprzedaży do przesłania.

Właśnie wyjmował bułki z piekarnika, gdy zadzwonił telefon.

— Proszę! — zawołał wystrojony w parę łapek do piekarnika.

— Ojczy! Mówi Marion Fieldwalker, mam wiadomość, która zasługuje na lepszy środek przekazu niż e-mail!

— Zamieniam się w słuch.

— Junior i Misty mają chłopczyka! Urodził się dziś o czwartej rano!

— Dzięki Bogu!

— Nigdy ojciec nie zgadnie, jak ma na imię!

— Jedediah?

Wydawało się, że nikt już nie dawał imion kończących się na „iah”.

— Timothy! Nazwany tak po ojcu.

Zaniemówił. O ile wiedział, nikt nigdy nie dostał po nim imienia.

— Wspaniała wiadomość, Marion! Przekaż im gratulacje ode mnie, od razu wyślemy prezent.

Po odłożeniu słuchawki odwrócił się do swojego psa.

— Juniorowi i Misty Brysonom, pamiętasz ich, urodził się chłopiec!

Barnaba przechylił na bok głowę.

— Ma na imię Timothy — powiedział z dumą. — Po mnie.

Zdjął kuchenne łapki i pobiegł pod schody.

— Cynthia! Juniorowi i Misty Brysonom urodził się chłopiec!

— Cudownie! — zawołała, pojawiając się u szczytu schodów w szenilowym szlafroku, który, jak przyznawała, pamiętał czasy Watergate.

— Kolacja gotowa. Ma na imię Timothy.

— Timothy! Moje ulubione imię!

— Nazwany po mnie.

— Gratuluję, najdroższy, co za zaszczyt. Posłała mu pocałunek.

— Czy nie będziecie ci przeszkadzało, jeśli zejść na dół w tym szlafroku, którego tak serdecznie nienawidzisz?

— Oczywiście, że nie. Gdybym miał czas, też nałożyłbym ten swój stary szlafrok, którego tak serdecznie nienawidzisz.

— Timothy Bryson — powiedział do siebie, wchodząc do kuchni, żeby nałożyć im kolację. — Timothy Bryson! Brzmi wspaniale.

Jego zmęczona podróżą żona pałaszowała roladę z łososia, jakby nie jadła od tygodni.

— Niebiańskie! — szepnęła. — Boskie!

— Dziękuję. — Zarumienił się z radości. — Dostałem ten przepis od Avisa.

— Doskonały!

Nieomal zapomniał jej nieograniczony entuzjazm, cudownie było mieć ją znowu, bez niej był taki zagubiony... Spojrzała na niego nad flakonem późnych róż.

— Nic dziwnego, że kobiety tak się za tobą uganiają, Timothy.

— Ależ, Kavanagh...

— To prawda. Jesteś przystojny, czarujący, troskliwy, wrażliwy — i potrafisz gotować! Dokładnie o takiej kombinacji marzy każda kobieta. Ale...

Przyłożyła do ust wykrochmaloną serwetkę i nabrała na widelec kolejną kopiałą porcję dzikiego ryżu.

— Pamiętaj, że...

— Tak?

— Jesteś mój. Roześmiał się.

— Cały.

— Amen — odparł.

— Całkowicie, kompletnie, absolutnie mój, tak jak mówią słowa małżeńskiej przysięgi.

— Przysięgałem tak kiedyś, przysięgam ponownie.

— Więc uważaj, kolego.

— Załatwione — odparł, uśmiechając się jak idiota. Uwielbiał, gdy tak mówiła.

# Rozdział dwudziesty drugi

## W PROCH

— Czy trzeba go trzymać na kolanach?

— Oczywiście, że nie! Ja trzymam swój na kolanach, bo nie ma innego miejsca, żeby go położyć, gdy pracuję u ciebie w pracowni. Co za pytanie!

Emma przewróciła oczami, jakby był największym idiotą pod słońcem. Pracownik salonu sprzedaży komputerów wpatrywał się w sufit, jakby liczył płytki dźwiękochłonne.

Dlaczego musi to robić? Wolałby raczej wyjść do ogródka i kopać dołki.

Poszedł do domu Winnie Ivey Kendall, poprzednio domu mamy Olivii Harper, a ostatnio domu, w którym mieszkały panna Sadie i Louella, zanim zmarła panna Sadie. Zabawa w berka!

Był tutaj na przyjęciu połączonym z prezentacją kapeluszy, odwiedził Olivię w tej czarnej godzinie przed jej przeszczepem serca, przyszedł odwiedzić pannę Sadie w dniu, gdy odwiesiła swoje kluczyki od samochodu, a teraz składał wizytę bratu Winnie, również swojemu emerytowanemu fryzjerowi. W istocie za każdymi drzwiami, do których pukał ksiądz, działy się zawsze inne i równie dramatyczne rzeczy.

Joe Ivey otworzył drzwi, nieogolony, bosi i w piżamie.

— Pomyślałem, że zajrzę, żebyś mnie podciął trochę po bokach — rzucił na powitanie ojciec Tim.

Joe wcale nie wydawało się to zabawne.

— Nie zostanę długo, chciałem jedynie zobaczyć, jak sobie radzisz.

Joe podreptał do sofy, na której czekały na niego poduszka i koc. Położył się, zostawiając swojego gościa, aby ten radził sobie sam.

— Powolutku.

Ojciec Tim opadł na noszący ślady użytkowania fotel z pokrowcem z jedwabiu, który kiedyś należał do nieżyjącej matki Olivii.

— Hoppy mówi, że wszystko będzie z tobą w porządku, jeśli tylko posłuchasz tego, co ci mówi. I w tym właśnie, przyjacielu, sęk.

— Jaki sęk?

— W słuchaniu twojego lekarza.

Joe jęknął, podciągając koc pod brodę.

— I pomyśl tylko, co cię czeka!

— Co mnie czeka? — zapytał podejrzliwie Joe.

— Jesteś teraz na emeryturze, możesz zacząć łowić ryby!

— W całym swoim życiu nie łowiłem ryb i nie zamierzam teraz zaczynać.

— Aha. Więc co będziesz robił?

— Będę haftował krzyżykami — odparł Joe.

— Haftował krzyżykami? To bije na głowę wszystko, o czym słyszałem. Szczerze mówiąc, może się prześłyszałem...

— Mężczyźni też zajmują się robótkami ręcznymi, wie ojciec.

Joe wyglądał na urażonego.

— Tak, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłoby cię to interesować.

— Zatem, jak myślisz, co mogłoby mnie interesować?

— Nie wiem... nigdy o tym nie myślałem. Może... witanie klientów w Wal-Mart w Wesley?

Joe spojrział na niego złowrogo.

— Chyba sobie ojciec ze mnie żartuje.

— Dobrze płacą, poznajesz wielu miłych ludzi.

— Ja poznałem już wszystkich miłych ludzi, jakich kiedykolwiek chciałem poznać — odparł Joe. — Nie muszę już poznawać żadnych nowych miłych ludzi.

Bycie księdzem to trudne powołanie. Musisz się starać sprawić, aby chorzy ludzie poczuli się lepiej, nawet jeśli nie mają żadnego zamiaru tak się poczuć.

Rozmawiał z administratorką Domu Nadziei; wszystkie pokoje były zajęte. Chociaż pan Berman był najstarszym z rezydentów, powiedział jasno, że nie zamierza nigdzie wyjeżdżać w najbliższym czasie, a pensjonariuszka, która w poprzednim tygodniu znajdowała się, jak się wydawało, w bardzo ciężkim stanie, poczuła się znacznie lepiej i planuje przyjęcie z okazji swoich dziewięćdziesiątych urodzin. Zważywszy jednak na koneksje Rose i panny Sadie, administratorka robi co w jej mocy, jak tylko zwolni się jakieś miejsce.

Dlaczego zawsze miesza się w sprawy innych ludzi? Nigdy nie mógł zrozumieć swojej odwiecznej potrzeby, szczególnie że często z tego powodu miał kłopoty.

Zadzwonił do Betty Craig.

— Betty, teraz, gdy odszedł Russell...

— Proszę tego nawet nie mówić, ojczcie. Miałam nadzieję, że ojciec nie zadzwoni, wiem, co chce ojciec, abym zrobiła.

— Co chcę, abyś zrobiła?

— Chce ojciec, żebym zaopiekowała się panną Rose Watson, a może nawet wujaszkiem Billym, jeśli przeżyje.

— O tak, przeżyje, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Chciałbym zaproponować następujące rozwiązanie...

— Na samą myśl, że miałabym się opiekować panną Rose, dostaję dreszczy.

— Rozumiem, Betty... ale posłuchaj tego... jesteś najlepsza.

— Nie, proszę ojca, proszę mi nie mydlić oczu, jestem jedyna, nie licząc Domu Nadziei.

— Tak. Ale jesteś najlepsza, Betty. Zobacz tylko, co zrobiłaś dla Russella Jacksa — dzięki tobie złagodniał, żył dłużej...

— A ja będę żyła krócej...

— Betty, a co ty na to, będziesz chodziła do muzeum miejskiego dwa razy dziennie, raz rano i drugi raz po południu, to wszystko? Nie proszę cię, żebyś przyjmowała kogoś do swojego domu, jak postąpiliśmy w przypadku Russella.

— Dwa razy dziennie?

— To wszystko, dopóki nie zwolni się coś w Domu Nadziei. Wujaszka Billy'ego trzeba mieć na oku; zdarza mu się nie przyjmować leków, a i panna Rose nie przyjmuje ich zbyt regularnie.

Betty westchnęła.

— Może mogłabyś też doglądać ich posiłków dwa razy dziennie, skoro już tam będziesz. Zatrudnimy kogoś, kto będzie tam sprzątał.

Betty zastanawiała się.

— Przypuszczam, że nie byłabym dobrą chrześcijanką, gdybym ojcu odmówiła — stwierdziła.

— Jeśli mi odmówisz, to niekoniecznie będzie to miało coś wspólnego z tym, czy jesteś chrześcijanką, dobrą czy nie.

Betty zastanawiała się jeszcze przez chwilę.

— A może pomodłę się w tej sprawie i oddzwonię do ojca? Co ojciec na to?

— Myślę, że to jedna z najmądrzejszych odpowiedzi, jakie zostały mi udzielone na moje pytania w bardzo długim czasie.

— Sucho, prawda?

— Nie pamiętam takiej suszy od lat. Prosiłbym uprzejmie, żebyś go napelnił i odkurzył w środku, jeśli oferta jest nadal aktualna.

Ojciec Tim wysunął się zza kierownicy i znalazł papierowy ręcznik, żeby wytrzeć szyby.

— Zamierzam zrezygnować z całego tego odkurzania — oświadczył Lew.

— Dlaczego?

— Wiek. Wiek i jazda do Tennessee w weekendy. Czuję się, jakby brakowało mi pary.

— Zastanawiałem się — jak udało ci się zachować sekret o Earlene w tym miasteczku? Czy nikt się nie domyślił, że masz ukochaną gdzieś za miastem?

— Nie, proszę ojca, mówię im, że odwiedzam swoją starszą ciocię.

— Masz starszą ciocię w Tennessee?

— Tak, proszę ojca. Tę, która nauczyła mnie robić pikle.

— To wygodna historia, zgadzam się, ale nie jestem pewien, na jak długo wystarczy.

— Sucho jak pierz — ocenił Lew, wlewając benzynę do baku mustanga. — Nie pozwalam na palenie na stacji, dopóki nie spadnie obfity deszcz.

— Czy można gdzieś znaleźć Harleya?

— Wielebny, jak sobie radzicie?

Już sam widok Harleya sprawił mu radość.

— Wspaniale! — zawołał. — Tęskniłem za tobą.

— Ja też — odparł Harley.

— Spotkajmy się.

— Tak, proszę ojca. Kiedy byłaby dobra pora?

— Przyjdźcie z George'em do mnie do domu w piątek wieczorem. Zrobię wspaniałego grilla w stylu Missisipi.

Na twarz Harleya wypłynął szeroki uśmiech, od ucha do ucha, ukazujący zupełnie bezzębne dziąsła.

Emma pokazała mu, jak wejść online, i po mozolnych staraniach, wybrał adres i hasło.

Jego adres wydawał mu się najbystrzejszym, najbardziej oryginalnym pomysłem, na jaki wpadł od bardzo długiego czasu, ale ktoś już taki miał. Kto inny mógł wybrać coś takiego? Wypróbował jeszcze trzy równie bystre i

wyjątkowe adresy, zanim jeden został w końcu zaakceptowany. Hasło, „Barnaba”, zostało zaakceptowane przez cały labirynt, które te rzeczy mogą zawierać, co było dla niego niedużym pocieszeniem.

Siedział z nią, gdy wysyłała e-maila do Waltera i Katherine, czyn, który z pewnością zetnie ich z nóg, potem jak tylko Emma wyszła, zapomniał wszystko, co mu powiedziała, i nie umiał wymyślić, jak go wyłączyć.

Jako że miał trudności z odczytaniem tych maluteńkich hieroglifów i poleceń, które zapisane były na czarnej obudowie, wyjął szkło powiększające i w końcu wymyślił, jak go wyłączyć. Gdy uruchomił go ponownie, żeby się przekonać, że go nie zepsuł, na ekranie odczytał przerażające ostrzeżenie, straszliwą przepowiednię, która wielce go zaniepokoiła.

Wyłączył go i zamknął pokrywę i — pod nieobecność swojej żony, która była na spotkaniu poświęconym czytaniu Pisma Świętego — poszedł na lunch do baru Grill, potrząsając głową.

— Sucho — zawyrokował Mule. — Po trawie u mnie nie zostało już ani śladu.

Percy postawił dwie szklanki z wodą na stole w tylnym boksie.

— Mój ogród był tak wysuszony, że go zaorałem. Zostały mi cztery małe pomidory, garść fasoli limeńskiej i trzy kolby kukurydzy, którymi nakarmiłem wiewiórki.

— Ja w tym roku w ogóle nie uprawiałem ogrodu — przyznał ojciec Tim.

— Ten rok był najlepszy, żeby dać sobie z tym spokój.

— Głęboko prawdziwe.

— Co jecie?

— Czekamy na J.C. — rzucił Mule. — Możesz mi przynieść dietetyczną colę. Nie, niech no pomyślę... poproszę pepsi.

— Dietetyczną pepsi — potwierdził Percy, zapisując. Mule potrząsnął głową.

— Nie lubię dietetycznej pepsi.

— Więc zamawiasz zwykłą pepsi? To o to ci chodzi?

— Tak.

— A ty co na to?

— Ja piję wodę — odparł ojciec Tim. — Już ją mam.

— Jaką specjalność dnia dzisiaj podajecie? — zainteresował się Mule.

— Żołądki drobiowe — poinformował Percy. Mule klepnął się w czoło.

— Zapomniałem, że dzisiaj jest wtorek. Wydaje się, że powinniście mieć dwie specjalności we wtorek, żeby można było wybrać.

— To nie jest czterogwiazdkowa restauracja, gdzie specjalności dnia przewyższają liczbę dań w menu. I tak jest to bardzo uciążliwe.

— Panowie?

— Wielebna Tipton!

Ojciec Tim pośpieszył z boksu i uściśnął dłoń nowemu księdzu metodystów w Mitford.

— Nie musi ojciec dla mnie wstawać.

— Najwyższy czas, żeby duchowni zaczęli się cieszyć w tym miejscu jakimś szacunkiem.

Mule wstał i z entuzjazmem uściśnął dłoń przybysza.

— Czy zmieści się jeszcze jedna osoba, czy też może inny dzień byłby bardziej odpowiedni?



— Zawsze znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby!

— Tak, proszę pani! — potwierdził Mule. — Zawsze!

— Czekamy tylko na wydawcę naszej gazety, J.C. Hogana, będzie tu lada chwila.

Mule usiadł szybko i przesunął się na róg.

— Proszę bardzo! — zwrócił się do Millie Tipton, klepiąc miejsce obok siebie.

Ojciec Tim był rozczarowany, widząc, że to zmusi go do siedzenia po stronie J.C., które to miejsce było zajmowane tylko przez J.C. i oczywiście teczkę wydawcy, która była z grubsza wielkości furgonetki.

Bez wątpienia nowa pani pastor była atrakcyjną kobietą — wysoka, ciemnowłosa, okulary na sznurku pereł i z pewnością wyglądała dużo lepiej niż on w czarnej koszuli i koloratce.

Millie Tipton aż tryskała informacjami. Pochodziła z Daphne w stanie Alabama, gdzie nadal mieszkali jej rodzice. Była szczęśliwa, że może mieszkać w Mitford. Lubiła włoską kuchnię, robienie pikowanych narzut i czytanie. I mieszkała po drodze do Farmer, w małym kamiennym domku z dwoma psami, kotem i rabatą dali, które zdawały się doskonale sobie radzić podczas suszy.

— Wygląda na to, że mamy miasteczko dwóch koloratek. — Mule wydawał się bardzo zadowolony.

— Trzech koloratek — poprawił go ojciec Tim. — Nie zapominaj o ojcu Talbocie z Lord's Chapel.

— Jedne światła i trzy koloratki. To wyjątkowo dobra średnia.

Mule odwrócił się i spojrział na swoją sąsiadkę.

— Niezameżna?

— Jeszcze nie — odparła w zupełnie nieskrępowany sposób.

Percy podszedł do nich, żeby przywitać się z Millie Tipton, twierdząc, że został wychowany jako metodysta, ale przeszedł do baptystów dwadzieścia lat temu.

— W takim razie zapewne wiesz, ilu baptystów potrzeba, aby wymienić żarówkę?

— Nie, proszę pani, nie wiem.

— Co najmniej piętnastu. Jednego, żeby zmienić żarówkę, i trzy komitety, żeby zatwierdzić zmianę i zdecydować, kto przynosi piezzonego kurczaka.

Percy roześmiał się.

— Ja też jestem teraz baptystą, ale zostałem wychowany jako luteranin — rzucił Mule, uzupełniając informację.

— Ach, luteranie! Wszyscy wiedzą, ilu luteran potrzeba, żeby zmienić żarówkę.

Rozejrzała się wokół stołu, wyraźnie dobrze się bawiąc.

— Ilu? — zapytał Mule.

— Ani jednego. Luteranie nie lubią zmiany. Pohukiwania. Ogólny śmiech. W przednim boksie dwóch pracowników rady miasta doszło do wniosku, że tylny boks świetnie się bawi...

— W porządku — stwierdził Percy. — Musicie się zabrać do roboty, brakuje mi rąk do pracy. Niech J.C. sam sobie radzi, jak tu dotrze. Co dla pani?

— Proszę mi mówić Millie!

Percy nie miał zamiaru zwracać się do księdza po imieniu, a szczególnie do atrakcyjnego księdza kobiety. Millie nałożyła okulary.

— Chwileczkę... to dla mnie nowe menu, potrwa to chwilkę. Proszę, wy zamówcie najpierw.

— Ja poproszę kanapkę z tuńczykiem na chlebie pełnoziarnistym — zamówił ojciec Tim. — Tost bez majonezu i z surówką z białej kapusty.

— Zawsze wie, czego chce — poinformował Mule Millie.

— Szybko, proszę — rzucił Percy.

— Jestem gotowy, kolego. Przynies mi hot doga, ze wszystkimi bajerami!

— Hot dog ze wszystkimi bajerami.

— Dobrze. Bez cebuli, bez musztardy i bez sosu. Percy potrząsnął głową; to do niczego nie prowadzi. Millie Tipton uśmiechnęła się do niego szeroko.

— A ja poproszę żołądki drobiowe.

Spędził całe popołudnie w Szpitalu Dziecięcym, śmiejąc się, płacząc, opowiadając historie, doradzając pacjentowi, trzymając małe dłonie, modląc się. Jak zawsze okazywało się to prawdziwym treningiem dla jego emocji; potem był zawsze albo w euforii, albo obolały od cierpienia i nigdy nie doświadczał stanów pośrednich.

Przyszło mu do głowy, żeby zapytać Millie Tipton, czy również nie zastanowiłaby się nad cotygodniowymi wizytami — wydawała się mieć dość energii, żeby to robić.

Prawdę powiedziawszy, średnia trzech koloratek na jedno światła była bardzo pożądana, a może jeszcze bardziej.

— Ojciec? Mówi Gene Bolick.

— Gene! Niech cię Bóg błogosławi, przyjacielu. Jak się masz?

— Nie najgorzej, w zaistniałych okolicznościach. Hola, chwileczkę, zapomniałem, że usiłuję żyć nie w zaistniałych okolicznościach, ale je tworzyć.

— Dobrze powiedziane!

— Chciałem ojcu coś powiedzieć.

— Zamieniam się w słuch.

— Chciałem powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny za ojca kazanie w niedzielę.

— Dziękuję.

— Wydawało mi się, że mówi ojciec prosto do mnie.

— Znam to uczucie.

— Jak może człowiek dziękować Bogu za raka mózgu? Zadawałem sobie to pytanie. Ale mogę mu podziękować za to, że zbliżyło to do nas córkę, tę, która mieszka w Asheville i z pewnością sprawia, że patrzę na każdy dzień zupełnie inaczej. Innymi słowy, wydaje mi się, że Bóg używa tego raka mózgu, aby... Chcę powiedzieć, że rak to zła rzecz, ale widzę, jak to sprawiło, że zdarzyły się dobre rzeczy.

Gene'owi uwiązał głos w gardle.

— Słyszę cię.

— Więc to chyba wszystko

— Dziękuję, Gene. Bóg kocha wdzięczne serce, pobłogosławi cię za to.

— Dobrze sobie ojciec radzi?

— Tak!

— Cóż, proszę kiedyś przyjechać nas odwiedzić. Esther piecze dzisiaj szarlotki, mówiła, żeby ojcu powiedzieć, że nie doda do jednej cukru, jeśli będzie chciał ojciec po nią przyjechać.

— To — odparł — najlepsza oferta, jaką dzisiaj otrzymałem.

Chętna udzielić kolejnej lekcji, Emma zjrzała do niego w drodze do Sklepu, pokazała mu ponownie, jak odbierać e-maile, i dostarczyła jeden z własnych.

Droga Pani Newland,

Jesteśmy podekscytowani i zachwyceni perspektywą stworzenia partnerstwa miast pomiędzy naszym i Waszym Mitford. Piszemy, żeby zapytać się o Państwa zdanie w następującej sprawie: Jak powinniśmy wymienić delegatów, żeby ten szczęśliwy sojusz stał się oficjalną rzeczywistością?

Planujemy wysłać Andrew i Margaret Hartów, czarującą parę, których jednogłośnie wybranie było okazją do radości, jako że Andrew ma krewnych mieszkających we wschodniej części waszego stanu, których nie miał jeszcze okazji poznać. Wydaje się nam, że maj albo czerwiec następnego roku byłyby idealnym czasem na świętowanie po obydwu stronach oceanu, jeśli to odpowiadałoby Państwa planom, oczywiście.

Pogoda w naszym Mitford jest zazwyczaj urocza o tej porze roku, chociaż w zeszłym roku mieliśmy okropne upały, a rok wcześniej straszną powódź, która zmiotła nasze świeżo zasadzone rododendrony do rowu sąsiadów.

Prosimy o odpowiedź.

Przesyłając serdeczne pozdrowienia dla wszystkich, pozostajemy z wyrazami szacunku...

Komitet Koordynacyjny Partnerstwa Miast Mitford w Wielkiej Brytanii

— Jak myślisz, kto powinien pojechać? — zainteresowała się Emma.

— Burmistrz, oczywiście, to należy do jego obowiązków.

— Jeśli nie będzie mógł pojechać, to jak myślisz, kto? Hessie Mayhew?

— Hessie Mayhew? — Oburzenie Emmy nieomal zmiotło go na podłogę.

— Dlaczego nie?

— Dlaczego nie? Jest prezbiterianką, dlatego nie.

— Nie rozumiem.

— Ja pracowałam tam z anglikanami, to wszystko robione jest przez anglikanów!

— Rozumiem. Ale czy nie uważasz, że delegatem powinien być ktoś, kto po prostu dobrze oddaje ducha — serce, jeśli wolisz — naszego Mitford, bez względu na denominację?

— Tak naprawdę to ja myślę, że to ty powinieneś jechać.

— Jak szybko zapominasz. Nie zamierzam lecieć nad tym oceanem ani żadnym innym.

— Kupiłeś komputer — przypomniała mu.

— Dać ci palec, to chcesz całą rękę.

— Może Esther Cunningham. Była burmistrzem przez ile lat, osiemnaście?

— Esther tego nie robi, woli raczej podróżować z Rayem ich wozem rekreacyjnym. Na twoim miejscu porozmawiałbym z Andrew, zapytał go o zdanie.

— Dobrze — zgodziła się.

— Wiesz, kogo bym wysłał?

— Kogo?

— Ciebie — odparł.

— Mnie?

— To był twój pomysł. To dzięki twojej ciężkiej pracy znaleźliśmy się w tym punkcie. Uważam, że powinnaś to zrobić. Szczerze mówiąc, wspomnę o tym burmistrzowi.

— Mam przelecieć nad oceanem?

— Nie patrz w dół — poradził. — Wybierz miejsce przy przejściu.

Zmarszczyła czoło.

— Jestem za gruba, żeby lecieć do Anglii. Poza tym nie mam co na siebie włożyć. Absolutnie. I mimo że kiedyś należałam do episkopalian, teraz jestem baptystką.

— Hm — zastanowił się.

— I Snickers... Nigdy nie zostawiałam Snickersa. Nie wiem, czy poradziłby sobie beze mnie.

— Boisz się latać, jesteś za gruba, nie masz co na siebie włożyć, twój pies nie poradzi sobie bez ciebie i jesteś baptystką! Przekonałaś mnie, na twoim miejscu też bym nie pojechał.

Spojrzała na niego sponad swoich połówkowych okularów. Znał to spojrzenie. Czekala, żeby ją błagał, przymilał się, zachęcał i namawiał. Ale nie. Niech to zadanie przypadnie w udziale komuś innemu.

Podniosła kartkę z e-mailem i przyjrzała mu się dokładnie.

— Co, u licha, znaczy to „która zmiotła nasze świeżo zasadzone rododendrony do rowu sąsiadów”?

— W Anglii znaczą koniec czyjegoś pola przez rodzaj rowu, z jednej strony opadającego, a z drugiej pionowego, wyłożonego kamieniami. W ten sposób oszczędzają na ogrodzeniu.

— Jak oni się tam wyrażają. Można by pomyśleć, że żyją w obcym kraju.

Zajął się ponownie kartkowaniem esejów, które wpisała do komputera i wydrukowała przed erą jego własnego peceta.

— OK — powiedziała.

— Co masz na myśli?

— Jeśli burmistrz mnie poprosi, pojedę. Zrezygnuję z ziemniaków, sosu, chleba i lodów, poczynając od stycznia. W ten sposób rzucę pięć kilogramów do maja, co oznacza, że zmieszczę się w ten błękitny kostium, w którym mnie widziałeś, ten ze złotymi guzikami, i tę dzianinową pomarańczową sukienkę z marynarką. Pamiętasz tę dzianinową pomarańczową sukienkę z marynarką.

— Niestety nie. Wzięła głęboki oddech.

— Powinam prawdopodobnie zrezygnować przy okazji z bekonu i wezmę pastylkę od Hoppy'ego, która uśpi mnie na podróż nad Atlantykiem.

— No widzisz — rzucił. — Dla chcącego nic trudnego.

— Ale nie zamierzam robić sobie zbyt dużych nadziei — zaznaczyła. — Andrew prawdopodobnie pojedzie albo ma już kogoś na myśli.

— Niewykluczone.

— I spójrz tylko, oni wysyłają parę. Zastanawiam się, czy to znaczy, że my też powinniśmy wysłać parę, żeby zachować równy bilans. Nie mam pojęcia, kto mógłby to być? Nie Bolickowie, on ma raka. Nie Harperowie, dopiero wrócili z wakacji...

Przyglądał się uważnie górze ekranu komputera, zastanawiając się nad możliwościami drzemiącymi pod hasłami: Plik, Edycja, Widok, Wstaw, Format, Narzędzia...

— Poza tym kto robiłby śniadanie Haroldowi?

— Percy Mosely? — zapytał, pragnąc pomóc.

— Koniec lutego, powiedział lekarz. Ale ja mam nadzieję, że to będzie marzec! Jeśli będzie mogło poczekać do trzeciego marca, to urodzi się w urodziny mojej mamy.

Usiadł przy kuchennym stole, licząc drobne, które miał w kieszeni.

— Wiesz, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka? Dolar czterdzieści, dolar pięćdziesiąt...

— Nie, proszę ojca, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Co ludzie robili, zanim mogli zaglądać przez kamerę do brzucha? Czekali, aż się urodzi, to wszystko!

— Czy... ee... będziesz przynosiła dziecko do pracy?

— Z pewnością nie oddam go pod niczyją opiekę! Poza tym, jak mogłoby poznać swojego dziadka, gdybym nie przynosiła go do pracy?

Wydawało mu się, że Puny wygląda promiennie.

— Dolar siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt siedem. Masz rację — przyznał.

Prawdopodobna misja Emmy do Anglii i jego kolejny wnuczek w drodze...

Niech mu tylko ktoś spróbuje powiedzieć, że cuda nie zdarzają się codziennie.

Drogi Ojczy,

Widziałam małego Timothy'ego i jest śliczny jak obrazek. Wygląda dokładnie jak Junior, mimo że ma oczy swojej mamy. Mamy nadzieję, że będziecie mogli przyjechać wkrótce z Cynthią, żeby zobaczyć na własne oczy dziecko, które nosi ojca imię.

Czuję się jak największa plotkara, ale muszę ojcu powiedzieć, że Ernie i Mona wybierają się w rejs statkiem i odnowią swoją przysięgę małżeńską w Honolulu! Ściana, którą zbudowali na żółtej linii, jest obecnie używana jako słup ogłoszeniowy, chociaż trzeba się schylić, żeby przeczytać ogłoszenia. To tam znalazłam cudowny stary odkurzacz Hoovera, zupełnie jak nowy. Zawsze lubiałam te o sztywnym kręgosłupie!

Proszę o nas nie zapominać!

Serdeczne pozdrowienia od Marion i Sama

*Timothy!*

*Witamy z Tennessee!*

*Tylko czekaj, a pod Twoje drzwi zawędruje paczka, w podziękowaniu za wyjątkowy podarunek od Ciebie dla Backyard. Abner pracował nad tym cudem przez kilka miesięcy i jako że nie ma talentu do rysowania ani malowania, postanowił posłać właśnie to, w zamian. Z największym trudem powstrzymuję się, żeby Ci nie zdradzić, co to takiego, ale mogę jedynie powiedzieć, że jesteś szczęściarzem! Bóg z Tobą, napisz do nas jak najszybciej. Przyślij mamonie, jak zwykle.*

*W Jego służbie. O. Roland*

Misiu! To my, [walt&kat@icm.com](mailto:walt&kat@icm.com)! Ścięto nas z nóg (posługując się slangiem), gdy otrzymaliśmy twojego e-maila. Nie możemy się zdecydować, czy Twoje pojawienie się w cyberprzestrzeni to początek czy też koniec ery!

Rok w Meadowgate wydaje się wspaniałym pomysłem i tak, chętnie przyjechalibyśmy na tydzień, prawdopodobnie przyjedziemy samochodem i zatrzymamy się po drodze. Zdzwońmy się niedługo.

Wyprawa C. chyba była wyczerpująca, ale za to fantastyczna, czytam obecnie jej książkę o Violet moim kochanym pensjonariuszom z domu opieki, jako że mocno wierzę, iż wspaniała dziecięca literatura jest dobra w każdym wieku.

Tak bardzo się cieszymy, że jesteś już zdrowszy. Serdeczne pozdrowienia i ucałowania dla Ciebie i Twojej utalentowanej C, uściski dla Dooleya.

— To ja... Betty.

— Betty!

— Zrobię to.

— Wspaniale! Cudownie!

— Ale nie będę sprzątać.

Usłyszał, jak drży jej głos. Dyktowanie warunków nie przychodziło Betty Craig łatwo.

— Absolutnie!

— I tylko dwa posiłki dziennie.

— Ani odrobiny więcej — uspokoił ją.

— Kiedy zaczynam?

— Wraca do domu jutro. Zdecydowałaś się w samą porę.

— A więc, zaczynam jutro wieczorem?

— Tak, proszę pani. Około czwartej trzydzieści, jeśli to możliwe.

— Czy będzie tam ojciec, żeby mnie wprowadzić?

— Tak.

— I ojciec?

— Tak?

— Za każdym razem, gdy panna Rose będzie dla mnie podła, zamierzam wrzucić dziesięć centów do małej skarbonki, którą zrobiłam z puszki po sprite.

Roześmiał się.

— Możesz szybko stać się bardzo bogata.

— Tak, proszę ojca, a gdy skończę tę pracę, przeznaczę te pieniądze na wakacje — bo na pewno będą mi potrzebne.

Ojciec Talbot zadzwonił wieczorem. Czy Kavanaghowie nie chcieliby przyjść na spontanicznie zaplanowane ogólnodostępne przyjęcie składkowe w piątek? Będzie tam Bill Sprouse i Millie Tipton; będzie specjalna muzyka, a na dodatek będą się również modlić ekumenicznie o deszcz.

Cynthia była chętna.

— Surówka z białej kapusty Raya Cunninghama, pieczony kurczak Margaret Larkin i bułki drożdżowe Hessie Mayhew. Fantastycznie! — zachwycała się jego żona.

— Skąd wiesz, że tam będą?

— Warto zaryzykować — stwierdziła.

Doszedł do wniosku, że Cynthia Kavanagh wróciła do domu śmiertelnie wygłodzona.

Ojciec Tim zadzwonił do George'a i Harleya, żeby sprawdzić, czy będą mogli przenieść grilla na sobotę, przed wyjazdem George'a. Bez problemu. George powiedział jednak, że zrezygnuje z wyjścia do Lord's Chapel, żeby się spotkać ze Scottem Murphym.

Harley był chętny na kościelną kolację.

— Jaki strój? — chciał upewnić się Harley.

— Spodnie khaki, wydaje mi się, i sportowa koszula.

— Czy myśli ojciec, że powinienem przynieść blaszkę ciastek czekoladowych?

— Zdecydowanie tak!

— Orzechowe czy zwyczajne?

— Orzechowe — odparł ojciec Tim. — A jak będziesz zdejmował folię, to odsuń się na bezpieczną odległość.

Harley zachichotał. Do dzisiaj wspominał z dumą tę chwilę, gdy dwie z parafianek błagały go o przepis. Zapisał go na odwrocie biuletynu kościelnego i teraz za każdym razem, gdy przyjeżdżały na stację, opowiadały o ciastkach czekoladowych, które przyniosły im sławę stąd aż po Minnesotę, a może Montanę?

Prędej czy później i tak będzie musiał zdobyć słomkę do skarbonki.

W takim razie, dlaczego nie miałyby to być prędzej?

Poświęci na to pięć minut, w czasie gdy Cynthia będzie przygotowywała się na kościelną kolację, i wdroży w życie wezwanie firmy Nike.

Opadając na krzesło przy biurku, włączył laptop i otworzył skrzynkę pocztową. Nic nowego. Poczł zaskakujące ukłucie rozczarowania.

Dobrze. Wie, jak odbierać e-maile, ale czy będzie potrafił wysłać wiadomość bez Emmy stojącej nad nim? Musi jedynie postąpić zgodnie z instrukcjami, które zapisała odręcznie na żółtym bloku. Co się może przecież stać, jeśli zrobi to bez nadzoru? Czy może jakoś zepsuć rzecz, która kosztowała go cały majątek i przeniosła go w dwudziesty pierwszy wiek?

Jeśli tak, to trudno...

Droga Emmo, piszę żeby Ci powiedzieć Jak bardzo doceniam Twoją nieznośną uporczywość, nie wspominając o twoim cierpliwym Nauczaniu. Podoba mi się To, i tak, możesz sobie teraz śmiało powiedzieć, a nie mówiłam? (Żebyś nie cieszyła się za bardzo, widząc czarne na białym moje odważne wyznanie, podrzyj je, błagam Cię, albo lepiej włóż do zniszczarki). Myszka doprowadza mnie do Szaleństwa/Zgadnij Kto

Kliknął na ikonie Wyślij, wstrzymując oddech. Poszło.

Emma Newland uzna to za jeden ze swoich największych triumfów.

Szczerze mówiąc, on też był całkiem zadowolony.

O szóstej trzydziści Hope Winchester napełniła czajnik butelkowaną wodą i umieściła go na palniku. Zastanawiała się, czy знаła kiedykolwiek kogoś oprócz George'a, kto byłby skłonny na osobiste poświęcenie względem Boga.

Pomyślała o swojej mamie, którą stać było na ogromne poświęcenia względem swoich dwóch własnych córek, ale nie względem Boga. Jej mama najwyraźniej nie wierzyła w Boga, chociaż Hope pamiętała, jak jej siostra

cierpiała na bardzo wysoką gorączkę i jej mama siedziała w nogach łóżka, płacząc i kołysząc się. „O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże”, powtarzała cały czas szeptem. Hope aż bolało serce, gdy widziała jej smutek. Gdy była starsza, Hope pamięta, że zastanawiała się, czy to Bóg uzdrowił Louise.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego George woli wrócić do więzienia, do rozpacz i beznadziei, a nawet narazić się na możliwe niebezpieczeństwo, skoro mógłby wybrać łatwe życie w Mitford. Mimo to wyczuwała, że nie należy do tych, którzy wybierają łatwe życie.

Podeszła do frontowego okna swoich dwóch pokoi nad Chelsea Tea Shop i wyjrzała na Main Street. Dni zrobiły się krótsze; lampy uliczne już rozświetlały zapadający zmrok. Trzy osoby przeszły ulicą w dół, dwoje z nich niosło coś przykrytego ściereczką.

Członek chóru zaprosił ją na kolację do Lord's Chapel i przez cały dzień zaproszenie nie dawało jej spokoju. W całym swoim życiu nie gotowała ani nie piekła niczego na składkowe przyjęcie i myśl, że mogłaby spróbować i ponieść porażkę, była dla niej upokarzająca.

Byłoby jeszcze gorzej, gdyby wzięła coś i nikt by tego nie jadł, i musiałyby nieść danie z powrotem nietknięte, podczas gdy wszyscy inni wracaliby do domu z pustymi półmiskami.

Przyszło jej do głowy po południu, że mogłaby kupić dwanaście bułeczek kukurydzianych, zanim zamkną herbaciarnię, i ten pomysł przyniósł jej na jakiś czas ukojenie. Gotowe bułeczki mogłyby jednak zostać źle odebrane, nie do końca to rozumiała, ale jednak tak się jej wydawało.

Zapragnęła żarliwie, żeby jej nigdy nie zaproszono, i odkryła, że znowu załamuje ręce. Pogodny nastrój, który ostatnio odczuwała, zniknął i znowu była taka jak kiedyś, jak przed upadkiem, zmartwiona i niepewna.

Podeszła do czajnika z gotującą się wodą i spojrzała na zegar nad kuchenką. Szósta czterdzieści pięć. Ponieważ kolacja była o siódmej, było już za późno, żeby się nią martwić. Mogła nareszcie zapomnieć o całej tej sprawie.

Jednocześnie poczuła zarówno ogromną ulgę, jak i niewytłumaczalny smutek, coś na kształt uczucia, którego doznała, gdy zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nie kocha George'a Gaynora, ale że traktuje go jak przyjaciela.

— Pan Zastępów przygotowuje dla wszystkich ludów na tej górze ucztę z tłustego mięsa, ucztę z wybornych win, z najpożywniejszego mięsa, z najwyborniejszych win...

Na modlitwę przed posiłkiem ojciec Talbot wybrał cytat z proroka Izajasza, potem zaprosił wszystkich, żeby łamali się chlebem.

— Czy przyniósł pan swoje ciastka czekoladowe? — zwróciła się z pytaniem do Harleya Amy Larkin, która stała przed nim w kolejce do stołu z jedzeniem.

— Tak, proszę pani — odpowiedział jedenastolatek. — Są tam.

— Ja przyniosłam kanapki z serem pimiento. — Jej oczy aż błyszczały. — Bez skórki.

— Gdzie są?

— Obok sałatki ziemniaczanej w czerwonej misce — odparła. — Po lewej stronie.

Kiwnął głową z szacunkiem.

— Na pewno się poczęstuję.

Amy Larkin przypominała mu Lace, gdy ta była jeszcze małym urwisem i biegła do jego przyczepy z książką pod pachą. Tak bardzo nie lubił tego, że wyrosła i poszła do szkoły, ale wiedział, że tak jest lepiej.



Zatrzymał wzrok na cytrynowych ciasteczkach Cynthii, na stole z deserami. Nastawił się na ciastko cytrynowe i miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć do znajomego białobłękitnego półmiska, zanim będzie za późno.

— O Boże, niebieski Ojczy, który przez Twojego Syna Jezusa Chrystusa obiecałeś wszystkim, którzy szukają Twojego królestwa i jego prawości, wszystkie rzeczy niezbędne, żeby podtrzymać ich życie: ześlij nam, prosimy Cię, w tym czasie potrzeby taki umiarkowany deszcz i opady, abyśmy mogli otrzymać owoce ziemi, ku naszej pomocy i Twojej chwale; przez Jezusa Chrystusa naszego Pana.

*Pozostań ze mną:*

*Wieczór nadchodzi chyżo;*

*Ciemność gęstnieje;*

*Panie, pozostań ze mną:*

*Gdy przyjaciół innych brak i nadziei mało*

*Pomocy bezradnych, Pozostań ze mną...*

Słowa osiemnastowiecznego psalmisty niosły się przez otwarte okna sali parafialnej, przez łagodne wrzesniowe powietrze.

Przecznicę dalej Hope Winchester wydawało się, że słyszy śpiew. Może słyszała coś jak „Pozostań ze mną”... i coś o wieczorze, ale nie była pewna.

Stała w swoim otwartym oknie przez dość długi czas, słuchając.

Hélène Pringle usłyszała delikatny odgłos zamykanych drzwi do sutereny i wiedziała, że ktoś przyszedł.

Gdy widziała Harleya dzisiaj po południu na stacji, mówił, że wychodzi na kolację do Lord's Chapel.

— Czy pani też idzie? — zapytał.

— Ach, nie — odparła. — Nie zostałam zaproszona.

— Każdy jest zaproszony — wyjaśnił. — To ogólnodostępne przyjęcie, powinna pani przyjść.

Ale oczywiście nie poszła; w ostatnią niedzielę przeżyła trudne chwile, gdy ojciec nauczał o byciu wdzięcznym, i miała dziwne wrażenie, że mówi bezpośrednio do niej. Usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek dziękowała Bogu za coś, czy tylko prosiła, żeby jej coś dał, tak jak dziecko zwraca się z prośbami do Świętego Mikołaja.

Wspominała czule te czasy, gdy rozmawiała przez kurtynę z tym, którego uważała za Boga. Nadal nie miała pewności, czy go to obchodzi, albo czy nawet słucha, ale miała taką nadzieję. Prawdę powiedziawszy, zależało jej coraz bardziej na tym, żeby słuchał i żeby go obchodziło, i żeby ten czas spędzony razem nie okazał się niczym więcej jak tylko produktem nadmiernie rozbudzonej wyobraźni starej panny.

Wyłączyła światło w kuchni i szła korytarzem, gdy zadzwonił telefon. To na pewno uczeń, który chce odwołać albo zmienić termin lekcji.

— *Allo!* — przywitała się po francusku.

— Proszę pani, mówi Hope Winchester. Jak się pani czuje?

— Bardzo dobrze, Hope, a ty?

— Dobrze, dziękuję. Czy... mogłabym rozmawiać z George'em Gaynozem? Mam nadzieję, że to nie sprawi kłopotu.

— Ależ skąd! Chwileczkę, zaraz go zawołam.

Położyła słuchawkę na stole w korytarzu, podeszła do drzwi prowadzących do sutereny i otworzyła je.

— Czy pan George Gaynor jest w domu?

Mimo że mówiła do Harleya po imieniu, czułaby się skrępowana, zwracając się w ten sposób do George'a Gaynora.

— Tak, proszę pani?

George Gaynor pojawił się w plamie światła u stóp schodów prowadzących do sutereny.

— Jest do pana telefon. Czy wejdzie pan na górę?

— Tak. Dziękuję.

— Słuchawka leży na stole w korytarzu, proszę tylko włączyć lampę.

Pan Gaynor ma wyjątkowo atrakcyjną fizjonomię, pomyślała, gdy pojawił się na szczycie schodów — całkiem przystojny i dystyngowany, w ogóle nie przypominał kogoś, kto odsiadywał karę za kratkami.

— Proszę się nie śpieszyć — powiedziała. — Będę na górze.

— Dziękuję jeszcze raz.

To było *étrange*, zastanawiała się, idąc na górę, że jej sąsiad zdołał w jakiś sposób zebrać ich wszystkich pod jednym dachem — co za dziwna zbieranina! Uśmiechnęła się do tej myśli.

*Ça alors!*, co to był za dzień — Barbizon był w okropnym nastroju i wszyscy troje uczniowie radzili sobie fatalnie w czasie lekcji. Weźmie gorącą kąpiel, nałoży *sa chemise de nuit préférée* i porozmawia z istotą po drugiej stronie kurtyny.

Zatrzymała się na szczycie schodów, zaintrygowana śmiechem w korytarzu. Był to taki dziwny odgłos, mężczyzna śmiejący się w jej domu...

— Mówiłem, że możesz zadzwonić w każdej chwili. Tak, nic nie szkodzi, zapewniam cię.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Héléne myślała, że powinna pójść do swojego pokoju, ale nie ruszyła się z miejsca przy poręczy schodów.

— Oczywiście. Pamiętam ten dzień, gdy przyszły nauczycielki, miałem powiedzieć ci o modlitwie, ale...

Wysoki zegar w szafie jej babci tykał na półpiętrze.

— To bardzo prosta modlitwa. Czasami ludzie myślą, że chcieliby czegoś bardziej wyrafinowanego albo nawet skomplikowanego. Ale jeśli masz chętne serce, to wszystko, czego potrzebujesz, nic więcej...

— Co się stanie? To dobre pytanie.

Héléne usłyszała, jak zachichotał; wydawało się to przyjemnym dźwiękiem.

— Potrzebowałbym całych lat, żeby powiedzieć ci, co się dzieje, gdy zawierzysz swoje życie Bogu. Być może wybaczenie — wydaje mi się, że Jego wybaczenie może być najważniejszą rzeczą, która się dzieje...

— Tak. Nawet za najgorsze rzeczy...

Héléne spojrzała na zegar. Za niecałą minutę wybije godzinę. Serce biło jej w skroniach.

— Zawierzenie Mu duszy zmienia wszystko. To brzmi przerażająco, ale ja byłem przerażony, gdy wydawało mi się, że to ode mnie wszystko zależy...

— Rozumiem. Ja też miałem wiele powodów po temu. Mój wujek był księdzem, który ukradł sześćset tysięcy dolarów z kościelnego skarbcza — z pomocą mojego ojca. Odkryłem, że jeśli będziemy się wzorować na chrześcijanach, możemy się gorzko rozczarować. Ważne jest, żeby wzorować się na Chrystusie...

— Nie mogę przyznać ze szczerym sercem, że wiem, co to znaczy być szczęśliwym. Powiedzmy, że jestem pewien...

— Kim on jest, po co jest życie, dokąd zmierzam, co to znaczy otrzymać drugą szansę...

— Tak, możesz ją ze mną odmówić... cokolwiek uznasz za stosowne.

Hélène usłyszała, jak mechanizm we francuskim zegarze zaczyna się nakręcać.

— Drogi Boże, dziękuję Ci za to, że mnie kochasz... i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy...

Rozległo się pierwsze uderzenie zegara...

— Szczerze za nie żałuję... i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela.

Rozległo się drugie uderzenie zegara...

— Teraz, jako Twoje dziecko, zawierzam Ci całe swoje życie. Amen.

Zegar na półpiętrze starego domu pastora zaczął bić ponownie, siedem razy.

Hélène stała przy poręczy, wstrzymując oddech, nieruchoma, żeby nie zdradzić się przed George'em Gayno-rem, że tam stoi.

Gdy w końcu zeszła po schodach, żeby wyłączyć światło, korytarz był pusty, a drzwi do sutereny zamknięte.

Gdy szef ochotniczej straży pożarnej Hamp Floyd odebrał telefon od sąsiada, podbiegł do tylnych drzwi i otworzył je na całą szerokość. Zupełnie nagi i nadal trzymający kurczowo słuchawkę bezprzewodowego telefonu, spojrzał na wschód.

Przykuty do miejsca, wykręcił numer szefa straży pożarnej w Wesley.

— Mówi Hamp — zaczął drżącym głosem. — Przyjedźcie obydwoma ciężarówkami, na skrzyżowaniu Lilac i Main będzie czekał pilot.

Ubrał się w dwie i trzy dziesiąte minuty i nie całując żony, wybiegł z domu, żeby zrobić to, co niemożliwe.

Ojciec Tim usłyszał, jak wóz opuszcza posterunek straży pożarnej o drugiej rano.

Wstał szybko i podszedł do okna wychodzącego na Wisterię, ale nie zobaczył nic niezwykłego.

— Co się dzieje, Timothy?

— Nie wiem. Zamierzam coś narzucić i zejść na ganek. Wygląda, jakby jechali na północ.

— Będę się modlić — obiecała.

Nałożył spodnie, wsunął stopy do butów i zapiał koszulę, schodząc na dół.

— Zostań — polecił psu, który stał tuż za nim przy drzwiach wejściowych.

Z ganku ujrzał sąsiada biegnącego w stronę Main Street.

— Co się dzieje? — zawołał.

— Pożar na wzgórzu!

Wybiegł na chodnik, skręcił w lewo i pobiegł na Main.

Kilku sąsiadów stało na ulicy; mała grupka zebrała się na chodniku przed domem Ediego Adamsa.

Bill Adkins, w piżamie i wiatrówce, skinął głową, gdy ojciec Tim znalazł się na chodniku obok domu Ediego.

— Wygląda poważnie — oznajmił Bill.

Ojciec Tim odwrócił się i spojrzał na północny wschód, na długi grzbiet wzgórza, gdzie pożar nadawał niebu pomarańczowy kolor, gdzie dziwny wewnętrzny żar zdawał się rozjaśniać skały.

— Clear Day — szepnął.

— Tak, proszę ojca. Wygląda na to, że straż pożarna pojechała zdecydowanie za późno.

— Powiniennem pojechać.

Nagle zrobiło mu się zimno, cały drżał.

— Nie, proszę ojca, na miejscu ojca bym tego nie robił.

— To ogromny pożar.

— Tak, nie ma takiej możliwości, żeby wóz pożarny sobie z tym poradził, będą musieli sprowadzić pomoc z Wesley. Bóg raczy wiedzieć, mam nadzieję, że pożar nie przeniósł się na drzewa, zważywszy na to, jak było sucho.

Trzydzieści sześć hektarów wysuszonego drewna graniczącego z ośmiuset metrami kwadratowymi sosny, dębowego stropu i cedrowej dachówki.

— Ten żółty wóz pożarny będzie musiał wykonać robotę trzech albo czterech czerwonych — ocenił jeden z gapiów.

— A co, jeśli ona tam jest? — zapytał Bill Adkins.

— Przypuszczam, że jest na Florydzie.

Coś jednak mówiło mu, że jest inaczej. Przerażony, odmówił na głos modlitwę, która nigdy nie zawodzi:

— Dobry Boże, niech się dzieje wola Twoja!

— Amen — odpowiedział głos z tłumu.

Sąsiedzi w pantoflach, niektórzy z wałkami we włosach, przybywali nieustannie na zachodnią część Main Street, jakby gromadzili się na paradę. Zapadały długie okresy pełnej zaskoczenia ciszy, gdy spoglądali na wschód na prawdziwe piekło na wzgórzu. Potem znowu przez tłum przebiegał dreszcz zdziwienia, przeradzając się w żywą rozmowę i śmiech.

Ojcu Timowi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim usłyszeli podwójne syreny wozów pożarnych z Wesley pędzących na południe w stronę pomnika w Mitford. Gdy wozy pojawiły się przed nimi i skrzyły w lewo na Lilac Road, rozległy się wiwaty.

Poszedł do domu, modląc się.

— Ta kobieta dostaje to, na co sobie zasłużyła.

— Odrobina tego, co ją czeka, jeśli wiesz, co mam na myśli?

Śmiech. Szli dalej.

— Hej, ojczu.

— Hej, Sam. Będziesz się modlił?

— Tak, proszę ojca.

Cynthii to nie zbudzi; jej nie zdołałby zbudzić nawet nalot lotniczy. Nie będzie jej przeszkadzał. Ale była mu potrzebna; była mu potrzebna, żeby mu powiedzieć, co ma zrobić.

— To poważne, prawda?

Siedziała na łóżku, czekając z szeroko otwartymi oczami.

— To Clear Day.

— Dobry Boże...

— Wydaje mi się, że nic nie mogę zrobić. Trzy wozy strażackie i być może przyjadą kolejne, nie wiem.

— Gdybyś pojechał, mógłbyś się jedynie modlić; możemy to zrobić tutaj. Chodź, kochanie.

Wyciągnęła do niego ręce.

Podszedł do niej, usiadł obok, cały czas jednak był rozdygotany.

Obudził się o świcie i leżał cicho, niespokojny, słuchając chrapania swojego psa na korytarzu.

Myślał przez chwilę, usiłując zebrać myśli w głowie, w której panował zupełny mętlik, następnie wstał i po-  
człapał do fotela z wysokim oparciem, włączył lampę stojącą, wziął do rąk Pismo Święte i otworzył je na słowach  
proroka Izajasza.

Pod koniec dwudziestego piątego rozdziału znajdowało się ostrzeżenie proroka Izajasza dla tych, którzy nie  
chcą zaufać, odwrotność radosnego fragmentu, którego użył ojciec Talbot podczas swojej modlitwy zaledwie wczoro-  
raj wieczorem, chociaż wydawało się to wieki temu.

— „Albowiem ręka Pana spocznie na tej górze... Niezdobytą twierdzę twoich murów On zgniecie, zwali,  
zrzuci na ziemię, w proch”.

Nie budząc Cynthii, ubrał się, zszedł na dół i zadzwonił z kuchni.

TTLR

# Rozdział dwudziesty trzeci

## ŹRÓDŁO

— Mówią, że nie uruchomił się alarm.

Coot Hendrick zajmował centralnie usytuowane wysokie krzesło przy ladzie Percy'ego i wyglądał na tak wymęczonego jak cała reszta porannych klientów.

Ojciec Tim wziął kubek kawy od Percy'ego i usiadł na krześle obok Coota.

— Zadzwoiłem dzisiaj rano do szpitala w Wesley, licząc na to, że może coś wiedzą. Wygląda na to, że Ed Coffey zawiózł ją tam i została przyjęta na oddział urazowy. Zabrali ją helikopterem do Charlotte.

— Czy jest bardzo poparzona? — zapytał Percy.

— W ogóle. Zawaliła się belka w stropie i część sufitu w jej sypialni — to poważne, wydaje mi się.

Duchowni i prasa cieszyli się kilkoma wspólnymi przywilejami; czasami udzielano im informacji, do której inni nie mieli dostępu.

Percy potarł oczy. Z jego domu wyjątkowo dobrze było widać posiadłość Clear Day i spał niewiele.

— Tim Jenkins był pierwszy dzisiaj rano, zabrał kawę na wzgórze, mówił, że jej dom był doszczętnie spalony, gdy tam dotarli.

— Zostaną na wzgórzu jeszcze przez jakiś czas — zawyrokował Coot. — Cały czas dymi się z niego porządnie.

— Zabrało im dobre pół godziny, zanim dostali się do domu z drogi, Tim mówił, że musieli sforsować tę jej elektroniczną bramę, musieli ją zupełnie zburzyć, a potem wiecie, co się stało?

— Co? — zapytał Coot.

— Wygląda na to, że po obydwu stronach drogi jest żywopłot z rododendronów, ciągnący się od bramy do domu...

J.C. wtoczył się ze swoją teczką, osmolony od stóp do głów i cuchnący dymem. Wziął kubek kawy od Percy'ego.

— Mówiliśmy właśnie o żywopłocie z rododendronów — wyjaśnił Percy.

— Ludzie, co za galimatias. Faceci w wozach nie wiedzieli, że do domu jest też wjazd z drugiej strony, próbowali więc wjechać wozami od frontu. Rododendrony zrosły się po bokach i na górze, tworząc stalowy tunel.

— Ale stary Hamp poprowadził swój wóz i ruszyli za nim. Problem jednak w tym, że nie udało im się zjechać zbyt daleko. Wszystkie trzy wozy utknęły w tym tunelu z rododendronów, a oni stali bezsilnie, podczas gdy dom płonął jak snopek słomy.

— Wydaje mi się, że Hamp uszkodził swój pojazd, zanim zdołał w końcu dotrzeć do domu.

Podał z powrotem kubek Percy'emu.

— Dodaj mi tu trochę śmietany i wiaderko cukru.

— Rozumiem, że przez cały ten ciężki sprzęt, który miała u siebie pod domem w czasie ostatnich kilku miesięcy, być może naruszyli jakiś kabel, może przecięli jakieś druty i dlatego naruszyli system bezpieczeństwa — to dlatego nie zadziałał alarm przeciwpożarowy i nie powiadomił o całym zdarzeniu Hampa.

J.C. wyrwał kilka papierowych serwetek z aluminiowego serwetnika i wytarł twarz.

— Boże, w całym swoim życiu nie widziałem niczego tak strasznego i już nigdy więcej nie chcę widzieć.

— Ojciec mówi, że Ed Coffey zawiózł ją do Wesley i że wysłali ludzi z oddziału urazowego, żeby ją odebrali.

— Muszę znaleźć Eda — rzucił J.C. — To on jest brakującym ogniwem. Ta historia musi się ukazać w poniedziałek, muszę poukładać w całość wiele faktów. Jaki oddział urazowy?

— Nie wiem — wyznał ojciec Tim. — Mówili, że zawałiła się część sufitu w jej sypialni, zabrał ją helikopter z Wesley około drugiej trzydzieści nad ranem.

J.C. wypił łyk kawy.

— Żałuję, że nie drukujemy w kolorze, jak gazeta Gary'ego Barnes'a po drugiej stronie góry. W przypadku pożaru czarno-białe zdjęcia zupełnie nie wystarczają.

— Więc jak się to stało, że Ed wyszedł ze wszystkiego bez szwanku? — zainteresował się Percy.

— Mieszka w domu nad garażem za domem Edith — wyjaśnił J.C. — Prawdopodobnie dzięki temu uszła z życiem.

— Wygląda na to, że pożar był tak potężny, że pochłonął całe trzydzieści sześć hektarów — poinformował ojciec Tim.

— Tak, no cóż, gdy strażacy zobaczyli, że z domu już nic nie będzie, zabrali się do gaszenia pożaru, żeby nie rozprzestrzenił się na las; to oznaczało być albo nie być, według Hampa.

— Co zamawiasz? — zwrócił się Percy do J.C.

Ta godzina wiadomości CNN mogła trwać w nieskończoność. Trzeba jakoś zarabiać na życie.

— Czy możesz zrobić lunch?

— Zależy, co chcesz.

Jest szósta trzydzieści rano, na litość boską.

— Daj mi stek na bułce z tosterem, z majonezem, sosem, cebulą i smażonymi ziemniakami — podwójny. Pracowałem jak szalony, odkąd Hamp przejechał obok mojego domu o drugiej nad ranem.

Percy skrzyżował przed sobą ramiona.

— Mogę to zrobić, ale to jednorazowe przedsięwzięcie.

— A skoro już o tym mowa, to usmaż mi ze stekiem cebulę.

Percy nie miał zamiaru smażyć cebuli o szóstej trzydzieści nad ranem. Niech Pan Gruby Kot Wszystkowiedzący sam sobie usmaży przekłętą cebulę.

W poniedziałek rano zwęglone pozostałości Clear Day nadal dymiły na wzgórzu; zapach dymu wisiał nad miasteczkiem niczym gryzące w oczy kadzidło.

Mimo że wielu ludzi nie mogło oprzeć się sekretnemu zadowoleniu, iż właścicielka Clear Day dostała w końcu to, na co zasługiwała, większość z nich nie puszczała pary z ust. Przy suszy, która panowała, ogień mógł z łatwością wyrwać się spod kontroli i przenieść się po wzgórzu na dół, pożerając całe miasteczko, jak miało to miejsce w przypadku pożaru w Gordonsville w 1978 roku. O nie, w takim czasie nie obmawia się nikogo, szczególnie jeśli sam zostałeś oszczędzony — będą obmawiać Panią Wielce Wyniosłą i Ważną, gdy dym się rozwieje i opadnie kurz.

*Dom na grzbiecie wzgórza doszczętnie spalony*

Clear Day, dom wieloletniej mieszkanki Mitford, Edith Mallory, spłonął doszczętnie około drugiej nad ranem w sobotę w zeszłym tygodniu.

Szef straży pożarnej Hamp Floyd i jego drużyna ciężko pracujących ochotników połączyła siły z dwoma wozami pożarniczymi z siostrzanego posterunku w Wesley. Walczyli z piekielnym ogniem do siódmej rano w sobotę, ze szczególnym naciskiem na zbudowanie bariery ochronnej, która nie pozwoliła na rozprzestrzenienie się ognia na sąsiadujące lasy.

Szef Floyd oświadczył, że duży obszar gołej ziemi i duży basen również był pomocny w ograniczeniu pożaru. Nieznana osoba poinformowała, że pani Mallory rozpoczęła budowę lądowiska dla helikopterów w zachodniej części swojej trzydziestosześciohektarowej posiadłości, na której kiedyś stał drewniany domek założyciela Mitford, Hezokiaha Hendricka.

— Był naprawdę duży — oświadczył szef Floyd. — Najwyraźniej alarm przeciwpożarowy pani Mallory nie zadziałał i nie zadzwoniła do nas firma ochroniarska. Otrzymałem wiadomość o pożarze od Bustera Boyda, który musiał wypuścić swojego psa i zobaczyć, co się dzieje na wzgórzu. Chciałbym osobiście podziękować Busterowi za jego nieocenioną pomoc.

Dowiedzieliśmy się, że pani Mallory odniosła poważne obrażenia, chociaż nie wskutek poparzenia. Ed Coffey, pracownik pani Mallory, który wrócił na miejsce pożaru, aby zabrać osobiste rzeczy ze swojego mieszkania, oświadczył, że nie może wypowiadać się na temat konkretnych obrażeń, które odniosła. Przyznał natomiast, że pani Mallory wraca do zdrowia w szpitalu w Charlotte i wróci do swojego domu na Florydzie za kilka tygodni. Dodał, że na strychu domu zakładano nową instalację elektryczną i że być może to było przyczyną pożaru.

Pragniemy podziękować wszystkim, którzy dzielnie walczyli z ogniem, który gdyby nie został właściwie powstrzymany, mógłby rozprzestrzenić się na inne domy i przynieść tragiczne rezultaty.

Relacji towarzyszyło duże czarno-białe zdjęcie na pierwszej stronie, ukazujące sierp księżycy unoszącego się nad niewyobrażalną pożogą. Ogrodowa rzeźba na pierwszym planie wyglądała na podobiznę Diany, bogini polowań. W tłumie ludzi i sprzętu jedno z ramion zostało odłamane i leżało w trawie.

— Spójrz tylko! — zawołała Emma.

Wyjęła coś z torby na zakupy, rozwinęła i zaprezentowała mu granatową sukienkę z białym kołnierzem.

— Anglia! Co myślisz?

— Podoba mi się.

— Doszłam do wniosku, że nie będę próbowała zrzucić wagi, kupię po prostu coś ciemnego i luźnego, co sprawi, że będę wyglądała szczupło.

— Genialnie.

— Na wyprzedazy. Za pół ceny.

— Genialnie do kwadratu.

Nie nazwałby Emmy Newland szczególnie piękną, nie, w istocie. Ale odkąd Andrew postanowił, że to ona powinna pojechać, wyglądała promiennie, była nową osobą.

— Uczę się mówić po angielsku — obwieściła.

— Najwyższy czas.

— Staram się zapamiętać te ich inne nazwy dla najzwyczajniejszych rzeczy.

— Idealnie — pochwalił ją.



— Timothy, tu Stuart. Mam dobre i złe wiadomości.

— Złe najpierw.

— Słyszałeś o Edith Mallory?

— Tak. Ale nie znam zbyt wielu szczegółów. To był straszny pożar, nigdy nie zapomnę tego widoku.

— Pamiętasz, jak cię pytałem, czy nie wiesz, jak się można z nią skontaktować, myśląc, że może uda się nam nakłonić ją do przekazania daru na rzecz katedry? Nie figuruje już na liście członków Lord's Chapel, więc musieliśmy ją odszukać. Beth O'Conner — czy znałeś Beth?

— Tak, odwiedzała kilka razy Edith, przychodziła do kościoła.

— Wiedzieliśmy, że jest znajomą Edith, więc zadzwoniliśmy do niej. I tylko posłuchaj...

Zdecydowanie już bardzo dawno nie słyszał radości w głosie Stuarta.

— Daje nam pół miliona dolarów na szkołę chóralną!

— Gratuluję! *Mazel tow!*

— To na pamiątkę jej syna, który zmarł na raka kilka miesięcy temu. Czekala, wyjaśniła, aż Bóg przemówi do jej serca, na jaki cel powinna przeznaczyć pieniądze. Jest zachwycona pomysłem szkoły chóralnej, jej syn zaczął śpiewać w chórze, gdy miał jedenaście lat, może nawet zrobi coś jeszcze dla nas w przyszłości.

— Mój przyjacielu, jesteś tak radosny, jakbyś sam miał jedenaście lat. Ale wydawało mi się, że zamierzałeś zacząć od złych wiadomości.

— Taki miałem zamiar, ale zapomniałem i zacząłem od dobrych. W każdym razie to pierwsze konkretne zobowiązanie finansowe na rzecz szkoły chóralnej i szczerze mówiąc, nie posiadam się z radości. Przy okazji, wielkie dzięki za dar Kavanaghów, to, że go otrzymałem, bardzo dużo dla mnie znaczy.

— To, że go wysłaliśmy, bardzo dużo znaczy dla nas.

— Zła wiadomość to oczywiście, że Edith Mallory jest w bardzo ciężkim stanie. Beth mówi, że Edith na pewno chciałaby, aby zostało to zachowane w tajemnicy, ale pomyślałem, że powinienes wiedzieć — zarówno jej ośrodek mowy, jak i słuchu zostały zniszczone. Ma ogromne trudności z wysławianiem się i jest sparaliżowana po prawej stronie, podobnie jak przy udarze. Będzie się poruszała na wózku inwalidzkim, a lekarze nie wiedzą, do czego może doprowadzić uraz głowy. Obecnie, twierdzi Beth, mówi od rzeczy. Lekarze określają to terminem „sałata słowna”.

— Przykro mi — odparł jak najbardziej szczerze.

— Tak, mnie też. Będzie więc w ośrodku rehabilitacyjnym przez kilka miesięcy, a potem wróci na Florydę.

— Czy wiesz, gdzie dokładnie jest w Charlotte?

— Putney.

— To dobrze. Dziękuję, że tak szybko mnie poinformowałeś. Bardzo mi zależało, żeby wiedzieć.

— Przyszło mi do głowy, że Edith uczestniczy w budowie szkoły chóralnej, mimo że bezwiednie. W każdym razie — przechodząc do weselszych tematów — jestem pełen optymizmu, Timothy. Mam nadzieję, że ty też.

— O tak. Ja również.

— Bóg jest wierny, Timothy, posłuchaj tego — moja sekretarka zapisała to dzisiaj rano w moim notesie. „Szczęśliwi, których moc jest w Tobie, a Twoje ścieżki są w ich sercu. Przechodząc doliną Baka, przemieniają ją w źródło, a wczesny deszcz błogosławieństwem ją okryje”. Psalm osiemdziesiąt cztery.

— Amen i amen.

— Serdeczne pozdrowienia dla Cynthii.

— I dla Marthy.

Siedział przez chwilę, wyglądając przez okno na park Baxter.

Następnie wysunął szufladę biurka i wyjął swoje pióro Mont Blanc i kartkę papieru listowego koloru kości słoniowej.

*Droga Edith,*

Nie będzie jej mówił o Bogu. Niech Bóg zrobi to sam.

*Modlimy się za Ciebie wiernie.*

*Cynthia i Timothy Kavanagh*

— Uf! — sapnęła jego żona, usiłując przynieść pudełko z ławki na ganku.

— Poczekaj — zaproponował. — Ja je przyniosę.

— Jest z Tennessee! — zawołała, pragnąc równie niecierpliwie jak on sprawdzić jego zawartość.

— Muszę zbesztać ojca Rolanda za to, że przysłał to pocztą UPS, podczas gdy zwykła przesyłka byłaby dużo tańsza.

— Powiedz mu to, gdy następnym razem będzie prosił o pieniądze.

Siedzieli na podłodze w pracowni, przecinając starannie przyklejoną taśmę klejącą starym nożem kuchennym. Otworzyła pudełko i zajrzała do środka.

— Na zawiniątku na górze jest polecenie: „Rozpakuj pierwsze”.

— Nie możemy inaczej.

Ściągnęła sznurek, odwinęła papier, a na podłogę upadła arka Noego, lądując w pozycji stojącej. Do oczu napłynęły jej łzy.

— Timothy!

Natychmiast zachwyciła go wyjątkowa lekkość i perfekcja rzeźby Abnera. Długi, w kształcie buta statek został z pewnością stworzony według architektonicznych i inżynierskich wskazówek zawartych w Księdze Rodzaju.

— Niesamowite! — zachwycił się.

— Spójrz!

Dwa sympatycznie wyglądające wielbłądy wypadły z grubego papieru pakunkowego, wprost na jej kolana.

— Są cudowne — zawołała. — Cudowne!

Nie mogąc się oprzeć, sam rozwinął kolejny pakunek.

— Gęsi, dzięki Bogu!

— Nie, dzięki Abnerowi! — wykrzyknęła jego uradowana żona.

Przez całą godzinę czuli się jak dzieci, rozpakowując kozła i łanie, dwie świny, dwa niedźwiedzie i dwa muły. Przyglądali się uważnie każdemu stworzeniu, podziwiając sposób, w jaki nóż wyrzeźbił drewno, podziwiali senne oczy świń, postawione uszy koni, wzór sęków drewna.

— Jeśli to może być jakąś wskazówką — zawyrokowała — Backyard pomaga Bogu działać cudowne rzeczy w Tennessee.

— Zdecydowanie tak!

— Mam wspaniały pomysł.

— Jaki?

— To nic nowego oczywiście, ojciec Roland wpadł na to już dawno temu.

— Mów.

— Poślijmy mu trochę pieniędzy — oznajmiła. — Naprawdę hojną sumę.

— Mamy to zrobić i pozbawić go dreszczu emocji, jaki znajduje w nagabywaniu nas?

— Pójdę na górę i przyniosę książeczkę czekową.

— A ja zaniosę list na pocztę — dokończył.

— Potrzebuję dowcipu.

— Po co? — zapytał Mule.

— Idę odwiedzić wujaszka Billy'ego, jest już w domu i odrobina śmiechu wyjdzie mu na dobre.

— Nie jestem w stanie zapamiętać dowcipów. Wlatują mi jednym uchem, a wylatują drugim.

— Może Percy zna jakiś dowcip.

— Daj spokój. Czy słyszałeś, żeby ten stary ponurak opowiadał kiedyś dowcip?

— Rzeczywiście, jak już o tym mówisz, to w istocie nie.

— Słyszałem, jak Coot opowiadał dowcip, raz czy dwa, ale wolałbyś go nie powtarzać.

— Może Harley — zastanawiał się ojciec Tim. — Raz na jakiś czas Harley ma jakiś dobry dowcip.

J.C. wrzucił swoją teczkę do boksu i usiadł ciężko.

— Potrzebujesz dowcipu?

— Przyzwyczajony — zaznaczył ojciec Tim.

— Proszę bardzo. Lekarz pyta siostrę: „Jak się ma ten mały chłopczyk, który połknął te wszystkie ćwierćdolarówki?” Siostra odpowiada: „Cierpi bez reszty”.

J.C. spojrział nad stołem, unosząc brwi.

— Nie rozumiem — odezwał się Mule.

— Masz coś innego? — zapytał ojciec Tim.

Zaledwie chwilę temu, przechodząc zwyczajnie po podłodze w kuchni, Hélène Pringle z zaskoczeniem odkryła, że Bóg w istocie się jej objawił.

Objawił się jej, pozwalając jej odnaleźć Sammy'ego Barlowe'a, i zaplanował, że stała na półpiętrze w chwili, gdy George Gaynor powtarzał przez telefon modlitwę.

Było to osobiste odkrycie, które przyniosło jej głęboką radość, i ponownie pomyślała o tym innym wieczorze, o nocy, gdy wydarzył się ten straszny pożar, a jej życie zostało odmienione na zawsze.

Wiedziała, że to nieelegancko podsłuchiwać, ale najwyraźniej Bóg był gotów przeoczyć tę drobną niedyskrecję, aby zyskać coś dużo bardziej ważnego.

W istocie, miała serce w gardle, powtarzając słowa tej prostej modlitwy. Czowała się zelektryzowana.

Potem zapragnęła natychmiast pójść do swojego pokoju i uklęknąć przy swoim łóżku i porozmawiać z drugą stroną kotary. Zeszła jednak na dół, żeby zgasić światło, ponieważ nie mogła sobie pozwolić na ekstrawagancję świecenia lampy bez powodu.

W tamtej chwili nie miała pojęcia, jaki może być rezultat modlitwy, którą odmówiła po cichu — być może żaden. Mimo to wiedziała, że musi ją powtórzyć za George'em Gaynore; nieuczynienie tego byłoby nie do pomyślenia.

Gdy weszła po schodach i znalazła się w swojej sypialni, zdała sobie sprawę, że kotara, tak długo istniejąca w jej wyobraźni, zniknęła. I mimo że nie zobaczyła Go, jak rzeczywiście siedzi po kiedyś wyimaginowanej drugiej stronie, nie była wcale zaskoczona, zdając sobie sprawę, że jest tam obecny.

Hope Winchester po raz kolejny przyglądała się, jak George Gaynor wyjeżdża z Mitford.

Tym razem nie wyjeżdżał samochodem z przyciemnionymi szybami, prowadzonym przez agenta FBI, jechał z ojcem Timem i jego psem czerwonym mustangiem kabrioletem z rozłożonym dachem.

Stała ze Scottem Murphym na chodniku, dokładnie w tym samym miejscu, które zajmowała ponad osiem lat temu i machała na pożegnanie, gdy samochód zbliżał się do nich z Wisteria Lane.

George czekał na nią dzisiaj rano przed księgarnią, trzymając dwa kubki kawy z baru Grill, gdy przyszła, żeby otworzyć zamki. Usiedli w jego biurze, pijąc kawę i żegnając się, i powiedział jej, że jest zaszczycony tym, że wyobrażała sobie, iż jest w nim zakochana, chociaż przez tak krótko. Roześmiali się wtedy obydwójce, a on podziękował jej jeszcze raz i powiedział, że będzie pisał, i ona też mu to obiecała.

Potem dołączył do nich w biurze Scott, gdzie stał z jedną dłonią na ramieniu George'a, a drugą na jej ramieniu i modlił się — o siłę, pocieszenie i prowadzenie Ducha Świętego na przyszłość George'a i w życiu Hope Winchester.

Mężczyźni objęli się następnie, nie zawstydzeni i szczęśliwi, a jej własne serce przepełniła czułość, gdy George wyszedł, kierując się do żółtego domu, skąd ojciec Tim miał zawieźć go na lotnisko w Asheville.

Gdy mustang ich mijał, ojciec Tim przycisnął dwa razy klakson, a George uniósł do góry rękę i spojrzał w ich stronę, promieniejąc. Barnaba siedział wyprostowany na tylnym siedzeniu, patrząc przed siebie.

Przyglądali się, jak czerwony kabriolet objeżdża pomnik, a potem znika z pola widzenia.

Scott odchrząknął i zwrócił się do niej.

— Muszę wybrać książkę. Uśmiechnęła się.

— Jesteś we właściwym miejscu.

Płacił za książkę, gdy do głowy przyszedł mu wspaniały pomysł.

— Hope...

— Tak!

Uwielbiała brzmienie swojego imienia.

— Przypuszczam, że nie... — przerwał, szukając właściwego słowa — rozważyłabyś zaproszenia na kolację i do kina w Wesley. Kiedyś.

Zmarszczył czoło, jakby przygotowując się na najgorsze.

— Ależ, tak... bardzo chętnie bym je rozważyła.

Mogłaby policzyć na palcach jednej dłoni, ile razy była na kolacji i w kinie — dwa razy z mamą i raz na randce w ciemno.

— Dobrze! — ucieszył się. — Wspaniale!

Nigdy przedtem nie zaprosił nikogo na kolację i do kina. Gdy miał zaledwie dziewięć lat, troje jego dziadków zginęło w wypadku samochodowym w drodze do domu z wyjścia na kolację i do kina. W cudowny sposób

przeżyła mama jego mamy i nadal żyła, i była bardzo aktywna, i zawsze chętnie słuchała, co się dzieje w życiu jej wnuka.

Wiedział, że zadzwoni do swojej babci dzisiaj wieczorem.

Mimo że słyszał tę wiadomość, nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy ją drukiem, czarno na białym.

Gdy wrześniowe siódme wydanie „Muse” wylądowało na ich trawniku przed domem, ojciec Tim wyszedł na bosaka i przyniósł gazetę do kuchni, gdzie parzyła się kawa.

Przeczytał nagłówek, wydrukowany największą czcionką, jaką kiedykolwiek widział w ich miejscowym dzienniku, i przeżegnał się z emocji.

*Część posiadłości pani Mallory zostanie przekazana miastu.*

Według Eda Coffeya, pracownika i oficjalnego rzecznika wieloletniej mieszkanki Mitford pani Edith Mallory, jeden hektar ziemi zniszczonej przez pożar posiadłości pani Mallory na wzgórzu nad Mitford zostanie przekazany miastu.

Pan Coffey twierdzi, że pani Mallory podjęła kroki prawne, żeby przekazać oficjalnie ten kawałek ziemi na rzecz miasta na kilka dni, zanim pożar zniszczył jej dom o powierzchni ośmiuset metrów kwadratowych we wczesnych godzinach rannych w przedostatnią sobotę.

— Pani Mallory poleciła zbadanie tego kawałka ziemi grupie archeologów, którzy znaleźli niezbite dowody na istnienie pięciu grobów.

Pan Coffey przekazał miastu pisemne oświadczenie, które udostępnił „Mitford Muse” burmistrz Gregory. Głosi ono, że kawałek ziemi, ciągnący się na północno-wschodniej krawędzi posiadłości pani Mallory, zawiera „pięć widocznych wgłębień w ziemi”. Według oświadczenia grupa archeologów nie naruszyła samych grobów, jako że prace wykopaliskowe nie były prowadzone głębiej, niż było to absolutnie konieczne, żeby zidentyfikować górną warstwę wykopanych w ziemi otworów i „nie ekshumowano żadnych szczątków”.

Pani Mallory wyraziła chęć podarowania jednego hektara ziemi pod kilkoma warunkami.

Szczałki ofiar nie mogą być ekshumowane teraz ani w przyszłości. Nie można parkować tam samochodów. Miasto może umieścić oznakowanie, jakie uważa za stosowne. Pani Mallory, szczególnie życzy sobie, aby umieszczono tabliczkę wskazującą na założyciela miasta i stosowne daty. Na terenie posiadłości, która jest głównie zalesiona i dysponuje „bogatą dziką florą” można utworzyć trasę spacerową. Za dostęp do miejsca pochówku nigdy nie będzie można pobierać opłaty, oddalanie się od oznaczonego szlaku będzie surowo karane.

Burmistrz Gaynor oświadczył, że władze miasta „nie posiadają się z radości” z powodu tego aktu „niezrównanej hojności”. Rada przeanalizuje koszty renowacji, oznaczenia miejsca pochówku i przystosowania go do publicznego zwiedzania prawdopodobnie na wiosnę następnego roku.

Rada miasta rozważy również możliwość zakupu busa, który będzie mógł kursować na trasie, wożąc turystów.

Coot Hendrick, przedstawiciel rady miasta, który zajmował się zbieraniem danych o miejscu pochówku, jak również zaznajomieniem szerszego grona mieszkańców z jego historią, oświadczył, że dowód na istnienie pięciu grobów, a nie jednego, przynosi chlubę jego przodkowi, Hezikiahowi Hendrickowi, założycielowi Mitford.

— Z oczywistych powodów, jeśli się nad tym zastanowić — powiedział.

Pan Hendrick poinformował, że osobiście urządzi małe przyjęcie w ratuszu miejskim dla wszystkich pracowników, jutro w południe. Podane zostaną ciasteczka i herbata. Jego mama, pani Beulah Mae Hendrick, będzie śpiewać.

Nie mógł uwierzyć, że J.C. w końcu poprawił pisownię swoich artykułów. Sprawdził całą historię ponownie, żeby się upewnić, czy dobrze widzi, potem przeszedł do kolejnego artykułu.

*Miasto ogłasza pięćdziesiąt dolarów kary za podlewanie ogródków.*

Schowajcie spryskiwacze i zwińcie węże. Po czterdziestu dniach bez deszczu w Mitford i okolicy zarządca miasta Jim Sherrill ustanowił karę pięćdziesięciu dolarów za używanie wody miejskiej do podlewania trawników, rabat kwiatowych czy też do jakichkolwiek innych zewnętrznych celów. Mieszkańców również przestrzega się przed używaniem pralek i zmywarek w godzinach szczytu.

— Nie ma wyjątków od tej reguły — podkreśla zarządca miasta Jim Sherrill. Poinformował „Mitford Muse”, że obecny poziom wody jest niższy od normalnego o dwadzieścia pięć centymetrów.

Burmistrz Andrew Gregory zgadza się całkowicie z decyzją o nałożeniu kary.

— Zważywszy na to, jak duży jest brak wody, kara jest stosunkowo łagodna. Liczymy na wsparcie wszystkich obywateli.

W czasie gdy Cynthia była zajęta rozmową telefoniczną w korytarzu, on oglądał wiadomości o piątej i zdołał umyć dwa ziemniaki, które zamierzał upiec.

— Kto dzwonił? — zapytał żonę, gdy weszła do kuchni.

— Zgadnij! — zawołała, wyglądając na zachwyconą.

— Błagam! Nie cierpię zgadywać.

— Tylko raz — poprosiła, z trudem opanowując się, żeby nie zacząć podskakiwać z radości.

Wziął pilota i ściszył telewizor.

— Burmistrz postanowił wysłać Coota Hendricka do Anglii z Emmą i Emma zrezygnowała z wyjazdu.

— Sammy chce przyjechać na Święto Dziękczynienia i Lon Burtie go przywiezie.

— Alleluja!

— Sammy chce przyjechać tutaj, nie chce widzieć swojej mamy.

— To trochę potrwa. Ale to naprawdę dobra wiadomość; zadzwonimy dzisiaj wieczorem do Dooleya.

Usiadła na taborecie.

— Kocham dobre wiadomości — stwierdziła. Nakłuwał ziemniaki widelcem.

— Czego ty nie kochasz, moja droga?

— Metek, które drapią w szyję, dżinsów w rozmiarze osiem, które już na mnie nie pasują, i pieczonych ziemniaków bez kwaśnej śmietany.

— Nic się nie martw. Właśnie znalazłem kwaśną śmietaną na dolnej półce — przydatna do spożycia jeszcze przez kilka godzin.

— Timothy, co to za dźwięk? Unieśli głowy, słuchając.

— Czy to możliwe? — zapytał.

— Deszcz!

Zerwała się z taboretu i pobiegła otworzyć tylne drzwi. Chłodne, słodkie powietrze dostało się do środka przez siatkę; krople spadały na stopnie i podest schodów.

— Wyjdźmy z domu! — zawołała.

— Ty wyjdź z domu.

— Timothy...

— Mamy wyjść z domu na deszcz?

— Oczywiście! Pospacerować, pośpiewać, cokolwiek. Tylko ten jeden raz, zanim się zestarzejemy i posiwiejemy.

— Kavanagh, ja jestem stary i siwy.

— Pójdziemy do parku Baxter... Patrz, leje jak z cebra, jest cudownie, zawsze chciałam to zrobić! Nikt nas nie zobaczy w parku Baxter, dosłownie nikt, nałóż wiatrówkę...

— Potrzebny mi będzie płaszcz przeciwdeszczowy — stwierdził, marszcząc czoło.

— Nie, najdroższy, to nie byłoby chodzenie po deszczu!

Proszę, ubierz to... Idealnie! Dobrze, kochanie! Cudownie! Jesteś najlepszy...

Ostatni raz wychodził z domu na deszcz, gdy był jeszcze dzieckiem w Holly Springs.

Wybiegli na tylne schody i ruszyli biegiem na wschód, po ich stronie żywopłotu, krzycząc jak opętani.

Zrzucił swoje przemoczone ubranie na podłogę w łazience i wysuszył się ręcznikiem, podczas gdy jego żona brała prysznic. Co do niego, on właśnie wziął prysznic, jak na razie wystarczy.

Wysunęła głowę zza zasłonki prysznica.

— Właśnie sobie przypomniałam...

— Co takiego?

— Dzisiaj jest nasza rocznica. Zapomniałeś?

— Tak. Przepraszam.

— W porządku. Ja przypomniałam sobie wczoraj, a potem znowu zapomniałam.

— Dzięki Bogu, że to nie tylko ja — pocieszył się.

— Uczymy to jakoś?

— Właśnie to zrobiliśmy. Uśmiechnął się.

Nałożył parę starych spodni od dresu i gwizdząc, zszedł na dół ze swoim psem, żeby wrócić do swych zajęć.

Nastawił pokrętkę na 230 i właśnie wkładał ziemniaki do piekarnika, gdy zadzwonił telefon.

— Proszę!

— Hej, tato!

— Hej, synu!

— Nie uwierzysz.

— Spróbujmy.

— Nie, na serio, nie ma sposobu, żebyś uwierzył.

Czy w głosie chłopca słyszał czystą, niczym nie skrepowaną radość? Cokolwiek to było, nigdy wcześniej nie słyszał tego w głosie Dooleya. To było coś jak czysta radość.

— Wygrałeś na loterii! Dooley zachichotał.

— Tak, zgadza się. — Krótka chwila ciszy. — Lace do mnie oddzwoniła.

— Niemożliwe.

— Szedłem korytarzem, gdy zadzwonił telefon, odebrałem i mówię: „Proszę, Tau Kappa Epsilon\*“, a ona na to: „Dooley?”. A niech mnie.

— A niech mnie! — powtórzył za chłopcem.

— Odpowiedziała na mój telefon — powtórzył Dooley, jakby usiłując w pełni zrozumieć prawdę.

— Nigdy nie mów nigdy.

\* Tau Kappa Epsilon — jedno z bractw akademickich aktywnych na uczelniach amerykańskich i kanadyjskich.

Był prawdziwą skarbnicą mądrości.

— Zajęło jej to tylko półtora roku.

Uśmiechał się najwyraźniej od ucha do ucha.

— No cóż, wszyscy są dzisiaj tacy zajęci.

Zapadła krótka chwila ciszy, w czasie której obydwaj usiłowali w pełni pojąć ten cud.

— No cóż, tato, muszę już kończyć. Na razie.

— Na razie — szepnął, odkładając słuchawkę.

Stał przy kuchennej ladzie, patrząc na deszcz, który nie przestawał padać. Zupełnie zapomniał powiedzieć Dooleyowi o Sammym. Później zadzwonią z Cynthią i powiedzą mu razem.

— Timothy...

Do kuchni weszła Cynthia w szlafroku i pantoflach.

— Masz łzy w oczach, co się stało, kochanie?

— Życie! — odparł. — I miłość.

Przyciągnął ją do siebie, czując na ramieniu jej mokre włosy. Porozmawiają o telefonie przy kolacji. To będzie wielka niespodzianka.

Teraz przytulił ją mocno, nie mówiąc ani słowa, kołysząc ją delikatnie w ramionach.